

# Tejpal Tarum J

## Alchemia pożądania

**Wspaniale odmalowane Indie to tło powieści, której akcja rozgrywa się na przełomie wieków i opowiada historię pary młodych ludzi, biednych jak myszy kościelne, ale bezgranicznie w sobie zakochanych. Zakochani w sobie bez pamięci, przenoszą się z małej miejsciny do dużego miasta, gdzie mężczyzna, który marzy o zostaniu pisarzem, pracuje gorączkowo nad powieścią i odrywa się od pracy jedynie po to, by zaspakajać niepohamowane pożądanie, jakie budzi w nim piękna żona.**

**Kochankom trafia się okazja opuszczenia miasta, jadą do otoczonego mgłami podnóża Himalajów i wprowadzają się do zrujnowanego starego domu, który, jak mają nadzieję, stanie się przybytkiem ich miłości. Początkowo oddają się miłości fizycznej z bezgraniczną intensywnością. Jednak w trakcie odnawiania domu zostają znalezione dzienniki jego pierwszej mieszkanki – amerykańskiej podróżniczki - narrator zaś nie może się im oprzeć, coraz bardziej oddala się od żony i zagłębia w inny świat i inny czas. Kiedy miłość przestaje być najważniejsza w jego życiu, mężczyzna powoli odkrywa ciemne tajemnice w samym jądrze jej historii, aż do chwili, gdy szokująca prawda wychodzi na jaw, a wszystkie pewniki obracają się wniwecz.**



Księga pierwsza  
PREMA: MIŁOŚĆ

## PORANNY CHŁÓD

Miłość nie jest najwspanialszym spoiwem łączącym dwoje ludzi. Seks — jest.

Prawa fizyki mówią, że trudniej jest rozdzielić dwa ciała połączone pośrodku niż te, które scalono blisko górnej lub dolnej części.

Kiedy odchodziłem, nadal byłem w niej szaleńczo zakochany, ale pożądanie wygasło, a wszystkie razem przeżyte lata, wzajemna troska, wspólne odkrywanie i podróżowanie nie mogły powstrzymać mnie przed ucieczką.

Może nie tak to było.

Ściśle mówiąc, nie odszedłem. To Fizz zniknęła.

Prawdą jest natomiast, że godziła się — jak zawsze — na wszystko, co chciałem, na co miałem ochotę. A ja zrobiłem, co zrobiłem, bo do tego czasu moje ciało odwróciło się od niej. I każdy, kto wysiłał i zgłębiał zarówno ciało, jak i umysł, powie, że ciało, ze swoimi natarczywymi potrzebami, jest prawdziwym motorem życia. Umysł wynajduje mu jedynie ścieżki albo pociesza je szumnie brzmiącymi homiliami, gdy nie można na żadną natrafić.

Brednie purytanów i moralistów są krzykiem ludzi umęczonych, którym nie udało się znaleźć drogi do rozkoszy. Kiedy patrzę na duchownych — hinduskich, muzułmańskich, chrześcijańskich — tłumiących instynkty ciała, widzę zagubionych, sfrustrowanych i złych mężczyzn. Niezdolni do zlokalizowania cudowności drzemających w ich ciałach, niezdolni do odszukania ścieżki prowadzącej do radości, są zdeterminowani, by mącić w głowach innym, uczącym się życia. Ci, którym nie udało się znaleźć własnych synaps seksualnych, podżegają nasze ciała i umysły do wojny przeciw sobie.

Zgadzam się, że są prawdziwie uduchowieni ludzie — podobnie jak wierzę, że istnieją jednorogie nosorożce — ale trafiają się bardzo rzadko i łatwo dają się rozpoznać. Dla reszty z nas ciało to świątynia.

Ale tak naprawdę bóstwo jest namacalne.

Ma zapach. Ma smak. Można się w nie zagłębić.

Kiedy się obudziłem tego ranka i nie poczułem chęci wślizgnięcia się w jej ciało, wdychania jej piżmowego zapachu, wiedziałem, że mam problem.

\*

Zawsze spaliśmy w niewielkim pokoju z oknami wychodzącymi na dolinę Dzeolikot, na łóżku z sosnowych desek zbitym jednego dnia przez wychudzonych chłopaków Bideši Lala. Twarde niczym fundamenty, absolutnie niczego nie oferowało. Blaknące żółtawe deski. Linie proste. Bez żadnych ozdób. Po latach przespanych na łóżkach ze sklejki i taśmy uwielbialiśmy poczucie solidności, jakie z niego emanowało. Leżąc na nim, w znacznie mniejszym stopniu czuliśmy się mieszczuchami. Nasze łóżko było pojedyncze — u cieśli miało nazwę kuwin, półtorak. Wolelibyśmy jeszcze szersze, z większą przestrzenią do tarzania, ale pokój był mały, a ponieważ zawsze spaliśmy blisko siebie, dotykając się ciałami, nic poza łóżkiem nie było potrzebne.

Każdego ranka rozsuwaliśmy żółte zasłony i równomierne światło brzasku wypełniało delikatnie cały pokój. Tylko w górach, przy wszystkich oknach otwartych o pierwszej godzinie poranka, gdy jest już jasno, ale jeszcze nie widać słońca, można uzyskać efekt, kiedy światło wewnątrz i na zewnątrz jest identyczne i panuje doskonały spokój, jak w kulistym akwarium, gdy ryba trwa w bezruchu.

Świat przybiera jeden kolor. Jest on zarówno płynny, jak i zastygły.

Na sękatym, pozbawionym koloru dębie za oknem grzebieniaste bulbule o białych policzkach zaczynały się krzątać, choć jeszcze cicho świergotały. Siadywałem ze zgiętymi plecami, mając za sobą złożoną wpół poduszkę, opartą o surową kamienną ścianę, i patrzyłem przez wielkie okna na pofalowane góry naprzeciwko. Świeża warstwa jasnej zieleni zaczynała rosnąć w miejscu, gdzie dwa lata wcześniej powstała paskudna wyrwa po osunięciu się ziemi. Kiedy patrzyło się na nią przez potężną lornetkę Minolty — regulując ostrość powolnym ruchem palców — miała w sobie brzydotę nowości.

Paprocie, trawa, młode drzewka zgłaszały nieśmiało swoje pierwsze roszczenia do tej ziemi. Żadnych warstw, żadnej głębi. Jak nowe domy i nowe meble, i nowe ubrania, i nowi kochankowie — potrzeb-

ny był czas, historia, mózół, by nadać im jakąś wartość. Niemniej nowa skóra pozwalała patrzeć na górę bez wzdrygnięcia się. Poprzedniego roku ziejąca wyrwa przyciągała i odpychała wzrok niczym wystawiona na widok rana u żebraka. Dwie ulewne pory deszczowe zatroszczyły się o to i zrobiły, co należało.

W zasięgu mojego wzroku były też smugi dymu z palącego się drewna, które kłębiły się z dna doliny niby wężykowate linie na dziecięcym rysunku przedstawiającym górski krajobraz. A przesuwając odrobinę głowę, mogłem zobaczyć Fizz, śpiącą w typowej dla niej pozycji embrionalnej, zwiniętą w kłębek z dala ode mnie.

Miała na sobie jedynie zwykły podkoszulek z zielonym sloganem o ratowaniu drzew, wydrukowanym starannie na plecach ostrym krojem pisma znanym jako Helvetica. Obrazek pod napisem przedstawiał wystylizowane, poharatane drzewo przemieniające się w czaszkę. Jeden z niegłupich graficznych pomysłów. Napis głosił: „Zabić drzewo to zabić człowieka”. Czasami, kiedy poruszałem się w niej z powolnym rozgorączkowaniem, a jej podkoszulek zsuwał się i zakrywał pochylone ramiona, słowa zaczynały się zacierać, aż mogłem przeczytać jedynie: „Zabić zabić”. Było to nawoływanie do amoku, dodawało coś do tej chwili.

Podkoszulek zrolował się teraz pod piersiami i unosząc grubą niebieską kołdrę, którą dzieliliśmy, mogłem popatrzeć na wspaniałe krągłości ciała Fizz. Szerokie rozkloszowanie w dół od wąskiej talii, jej najpełniejsza część, zawsze podniecało mnie w jednej sekundzie.

Wpatrywałem się w nią przez długą chwilę, podtrzymując kołdrę lewą ręką. Nie obudziła się. Przywykła do tego, że podglądam ją całymi godzinami, dniem i nocą. Podobnie jak pies, który przestaje słyszeć kroki znanych mu służących, jej skóra przestała świerzbic pod moim spojrzeniem. Prawdę mówiąc, zdarzało się, że w środku nocy dobierałem się do jej ciała na wszelkie możliwe sposoby, a ona się nie budziła i rano nie miała o niczym pojęcia. Za każdym razem, gdy jej o tym mówiłem, przerażała ją myśl, że nieświadomie brała w coś udział.

Jej kręcone włosy leżały w skłębionych grubych pasmach na bieli prześcieradła — nigdy nie używała poduszki, co łączyło się podobno z kątem ustawienia szyi i zapobieganiem powstawaniu drugiego podbródka. Miała piękne włosy i swego czasu wystarczyło, że zanurzyłem w nich twarz, a od razu się podniecałem. Wiele lat wcześniej, kiedy była osiemnastolatką, kilka minut po tym, jak skończyliśmy się kochać pierwszy raz, gdy stała w mojej maleńkiej łazience w Cándigarhu i patrzyła w brudne lustro nad

umywalką, kontemplując nieodwołalne zmiany — ja, zachodząc ją od tyłu, zagłębiłem twarz w bogactwie jej włosów, a nowy zapach perfumowanego szamponu i mokrej skóry pod spodem sprawił, że znów byłem gotów, i w jednej chwili znaleźliśmy się na materacu pomiędzy flotyllą książek dryfujących po lastrykowej podłodze.

Drugi raz trwał przez jedno pełne zagranie. Pierwszy raz był jedynie rozgrzewką.

Znacznie później, kiedy mogliśmy już rozmawiać o tych rzeczach, nazwała to podwójnym kozłowaniem. Zdarzyło się to akurat, kiedy oglądałem mecz koszykówki w telewizji i wyjaśniałem jej zasady gry. Powiedziała: Pamiętasz swoje pierwsze wspaniałe podwójne kozłowanie?

Zawsze potem używała tego określenia, żeby się ze mną droczyć. Czasami, gdy leżałem już po wszystkim, a ona nadal była ożywiona, otulała się ramionami i mówiła: Nie masz ochoty na podwójne kozłowanie?

Jasne, że nieodmiennie miałem ochotę i kozłowałem.

Teraz jednak patrzę na nią i niczego nie czuję. Przez większość ranków naszego wspólnego życia budziłem się, ocierając moją twardość o jej miękkość. Wspomnienie jej zapachów towarzyszyło mi przez wszystkie godziny dnia i w takich właśnie chwilach przebudzenia ruszałem na ich poszukiwanie. Przesuwałem się w dół i w górę jej ciała, wdychałem, wdychałem, wdychałem, tropiłem tajemne źródło, pulsowanie krwi nasilało się, aż wybuchało crescendo, a potem następował spokój powolnego oddechu i perspektywy całego dnia przede mną.

Dzisiaj nic nie czuję. Nic poza mglistą czułością, kiedy patrzyłem na dwa dołki w górnej części pupy, którą wypięła zwinięta w kłębek. Niewielkie zagłębienia po obu stronach kręgosłupa, wabiące odrzwia do głębokiej linii jej kobiecości.

Przedtem nigdy nie byłbym w stanie patrzeć na Fizz bez jakichkolwiek emocji. Na początku, bardzo długo, była aż bolesna bezpostaciowa miłość. Miłość, która nie patrzy.

A potem, po podwójnym kozłowaniu na podłodze mojego pokoju w Sektorze Dziewiątym, któregoś popołudnia pojawiło się niepohamowane pragnienie, narastająca potrzeba. Pożądanie, które jest ślepe.

Podobnie jak ona, nie miałem niczego na sobie poza podkoszulkiem, lungi podwinęło się do góry przez noc. Dotknąłem się gibkimi palcami, ale nic tam nie było. Noc ściągnęła ze mnie swoje myto. Byłem zaspokojony, wyczerpany z energii i pożądania. W ca-

lym życiu spotykałem się z tym uczuciem tylko w minutach po szalonym seksie. Po tym, jak byłem wchłaniany i wchłaniany, aż nic nie zostało.

Fizz miała określenie na takie obłąkańcze chwile, kiedy zdobywa się każdy kolejny ostateczny szczyt i spada bez przytomności po drugiej stronie. Wszechnasycenie. Nicość po maksymalnej przyjemności.

Ostatniej nocy wydarzyło się to bez przyczyny i znowu w pustce. I nie miałem zielonego pojęcia, kiedy straciłem przytomność.

Fizz obróciła się we śnie i przerzuciła ramię przez moje biodra. Chciałem ją odsunąć od siebie. Zamiast tego jednak położyłem rękę na jej włosach i mierzwiłem je powoli, unosiłem kręcone pasma i puszczałem. Podobnie jak jej nieskazitelna skóra, włosy były żywe. Poruszały się w dłoni, jakby oddając pieśczętę.

Fizz nie miała w sobie nic z nijakości. Wszystko w niej promieniało. Kiedy ją spotkałem po raz pierwszy, pomyślałem, że jej uśmiech mógłby oświetlić cały świat.

Bawienie się jej włosami było fałszywym sygnałem. Ten rodzaj gestu zawsze ją rozpalał. Opuściła rękę niżej i szukała mnie. Spróbowała podniecić. Było to coś, co zawsze się jej udawało. Ale mnie tam nie było. Przez noc uszło ze mnie wszystko i nie zostało nic, co można by pobudzić.

Kocham cię, wymamrotała przez sen.

Powtarzaliśmy to sobie jako pierwsze słowa każdego ranka.

Ja też cię kocham, powiedziałem.

Jej ręka stała się bardziej natarczywa. Ale tam nic nie było. Mogłem wyczuć rosnące zdziwienie jej palców, kiedy obracały, ciągnęły, ścisnęły i zsuwały. Dobrze znane ruchy mające wywołać dobrze znane skutki.

Ale on mnie nie kocha, powiedziała.

Kocha, odparłem, pieścąc jej włosy.

Moja druga ręka spoczywała na notatniku leżącym obok poduszki. Oprawa z brązowej skóry wydawała się gładka i ciepła. Musiałem zwalczyć w sobie pragnienie rozchylenia okładek i zanurzenia się w środku.

Kilka przyzwoitych minut później pocałowałem Fizz w policzek i zsunąłem gołe nogi z łóżka. Wyciągnąłem lungi spod kołdry i okręciłem wokół bioder.

Wracaj, wyszeptala. Pokaze mu, gdzie jest jego najwlasciwsze miejsce na swiecie.

Musze sie wysikac, odpowiedzialem i wyszedlem z pokoju. Po skrzypiacych deskach podlogi dostalem sie na gorny taras. Stanalem przy kwietniku, na ktorym nie rosly zadne kwiaty, i sikalem na korzenie mojego ulubionego dębu — byl teraz wyzszy ode mnie — patrzac w dol na budzaca sie doline.

\*

Autobusy i cięzarówki zaczynały przemierzać góry, z odgłosami zmiany biegów. Głuche zgrzytania, wysokie wycia i wiedziało się, że kolejny zakręt został pokonany przez starzejącą się ciężarówkę Tata jakiegoś przewoźnika. Można było, jeszcze niejasno, wyczuć, że na bazarze w Dzeolikocie, daleko w dole, po drugiej stronie doliny, narasta krzątania w sklepach, ludzie zaczynają się uwijać, a znad palenisk unosi się dym. Ruch na Jedynce — Y tworzone przez dolinę, gdzie jedno ramię drogi wiodło do Najnitalu, a drugie prowadziło do nas po trasie do Almory — wciąż jeszcze był niewielki. Od czasu do czasu jakiś maruti wspinał się z Dzeolikot i przystawał na chwilę przy rozwidleniu Y, by potem skrócić do Najnitalu albo zjechać łagodnie ku nam.

Mgła nie zaczęła się jeszcze przemieszczać. O tej porze roku zawsze budziła się ostatnia. Miną kolejne dwie godziny, zanim podniesie się z dna doliny. Najpierw będzie to kilka gęstych i białych jak bawełna kul, niemożliwie czystych, które potem nadmą się gwałtownie do właściwych rozmiarów i wypełnią całą dolinę. O dziewiątej odwiedzi Birbhatti, a potem rozpocznie zejście na nasz dom. O wpół do dziesiątej odetnie nas od świata, ukrywając przed nami nawet naszą bramę. W tym czasie będziemy już jedli miód i grzanki w niewykończonym gabinecie i dokonywali głośnego wyboru między scrabblami a czytaniem.

Nagle poczułem chłód. Wszedłem bez szala. I zmoczyłem stopy obfitą rosą. Jasność zaczęła się nasilać, a świat zyskiwał pierwsze tego dnia kolory. Kiedy się obróciłem, druga dolina, Bhumiad-har, o zboczach pokrytych gęstym futrem sosen i dębów, leżała w bardziej poszarzałej, pozbawionej ruchu strefie.

Była to jedna z zalet naszego domu. Rozsiadł się na grani, która dzieliła właśnie te dwie doliny. Dwa różne światy. Jeden zielony i dziki, i cichy, i zimny, i ciemny; ten drugi cywilizowany i monotony, i zielono-brązowy, i ciepły, i jasny.



Wybór doliny można było uzależnić od nastroju, najczęściej jednak siedzieliśmy nad skrajem Džeolikot, oferującej cieplejszy, jaśniejszy, bardziej monotony krajobraz. Góry rozstępowały się nam u stóp, otwierając się szeroko na całą dolinę: na kręte drogi, stare bungalowy o czerwonych dachach, rosące budowle z betonu, dalekie sklepy przydrożne, starannie pomalowane budynki rządowe, pełzające samochody, sady z gruszami i drzewkami brzoskwiniowymi, połacie zarośnięte dębami, sosnami i srebrnymi jodłami, obdarowujące nas swoją kompanią, ale na dystans, obdarowujące nas ruchem, ale na dystans.

Z drugiej strony droga do Almory, biegnąca tuż przy ścianie domu, oddzielała nas od doliny Bhumiadhar, niszcząc zarówno wrażenie intymności, jak i widok. Panorama była tu zamknięta, mroczna i pełna tajemnic. Gęste dębowe i sosnowe lasy pokrywały zbocze aż po niewidoczne dno doliny. Kilka domów mieszkalnych i tarasów, które się tam znajdowały, ścieśniło się poniżej drogi, przez co bardzo trudno było je dojrzeć z naszego domu. To właśnie z ostępów tej doliny skradały się bezszelestnie dzikie zwierzęta, zwłaszcza pantery.

Ten widok wprowadzał nieuchronnie w melancholię godną piosenki Mohammeda Rafiego, która miałaby przeogromny urok, gdyby nie okropne trzaski i szumy ścieżki dźwiękowej — za każdym razem, gdy człowiek poddawał się uwodzicielskiemu mrokowi doliny, rycząca i miażdżąca żwir ciężarówka zasłaniała widok i nastrój pryskał. W niektóre dni — tuż po deszczu, kiedy mgła unosiła się poszarpanymi pasmami, a popołudniowe słońce oświetlało wszystko pod kątem — dolina Bhumiadhar stawała się piękniejsza od tej drugiej. Ale to zdarzało się rzadko.

Kamienną rampą przeszedłem zmarznięty z tarasu do kuchni. Bębniłem w sosnowe drzwi, aż po drugiej stronie poluzowała się zasuwka, wszedłem, zapaliłem gaz i nastawiłem wodę w garnku. Baghira łąził w tę i z powrotem za moimi plecami. Rakszas nie spodziewał się, że wstaniemy tak wcześnie, i dlatego nie przyszedł jeszcze z domu gospodarczego. Ucieszyło mnie to. Nie miałem ochoty przekomarzać się z nim ani słuchać, jak wyśpiewuje swoje pieśni religijne.

Wchodząc do oddzielnego wnętrza domu, zatrzymałem się w jadalni, żeby oczy przywykły do półmroku, i ponownie przystanąłem w zrujnowanym salonie, gdzie było chyba jeszcze ciemniej. Potem odnalazłem drogę do schodów. Szedłem ostrożnie po żwirze niewykończonyj podłogi. Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty stopień zatrzeszczały pode mną, przestąpiłem nad złamanym

szóstym i na palcach pokonałem górny przedsionek i werandę, wreszcie delikatnie pchnąłem drzwi do naszego małego pokoju.

Skrzynia z cedru himalajskiego — łono chaosu — stała przy przeciwległej ścianie, ciemna i nieporuszona, piękne drewno pozbijane mosiężnymi okuciami, z przodu wisiała błyszcząca kłódka z rozwartym pałąkiem.

Ona nadal spała, ściśle opatulona wielką kołdrą. Widziałem jedynie nos i czoło — resztę stanowiła kotłowanina pościeli i włosów. Podłoga była tu z betonu — niewykończona, niewypolerowana — ale my wybraliśmy to miejsce, żeby robić, co nam się podoba, dniem i nocą, niepomni na trzeszczące deski podłogi i niosące się odgłosy.

Poruszałem się po pokoju bezszelestnie, odwiązałem sznurki, żeby rozsunąć zasłony, wygłuszyłem pobrzękiwanie żabek.

Obudziła się w chwili, gdy wkładałem kurtkę, i wyciągając rękę, powiedziała: Dokąd idziesz? Podejdz tu, proszę.

Przeszedłem przez pokój i pocałowałem ją w wyciągniętą dłoń.

Wrócę za minutę, odpowiedziałem. Herbata jest na gazie.

Ale nie wróciłem na górę. Nalałem sobie duży kubek mocnej, słodkiej herbaty, wziąłem paczkę biszkoptów z glukozą, wyszedłem tylnymi drzwiami i kamienną ścieżką wspiałem się na taras. Rozpaczliwie potrzebowałem uporządkować myśli. To, co się ze mną działo, było surrealizmem. Jeśli szybko nie odnajdę w tym sensu, moje życie legnie w gruzach. Jedna więcej noc podobna do poprzedniej i będzie po mnie.

Nagle poczułem chęć, by jeszcze bardziej zwiększyć odległość pomiędzy mną a Fizz. Przeszedłem na kolejny taras, najwyższą część domu, gdzie osiem lat wcześniej zainstalowano zbiornik na wodę i skąd widać było wyżej położone peryferie Najnitalu, połączenie ziemi z chaotyczną betonową zabudową i, dalej, dominujące nad okolicą wieżyce i czerwone dachy St. Joseph's School. Kiedy kupiliśmy ten dom, ustawiliśmy tam ławkę z kamienia z Koty, na tyle szeroką, że dwie osoby mogły się na niej położyć i wpatrywać w niebo. Ławka była teraz mokra od nocnej rosy, dlatego usiadłem na niej w kucki i objąłem kolana ramionami.

W ciągu piętnastu lat nigdy nie czułem się tak daleki od Fizz. Nawet w czasie najgorszych kłótni, naszych niemal zerwań, namiętność i wzajemna potrzeba brały górę. Balansowaliśmy na granicy szaleństwa, mieliśmy bzika na swoim punkcie. Kiedy zapadało między nami pełne urazy milczenie, ciała rozmawiały ze sobą i choćby najlżejszy dotyk stawał się iskrą wyzwajającą zapamiętanie, które usuwało w cień wszystkie pretensje.

Pewnego razu u jej ciotki, po dwóch cichych dniach — powody zawsze były przyziemne i mało ważne — wpadliśmy na siebie w łazience, myjąc ręce przed lunchem. Zapach jej skóry, spojrzenie w lustro i zaczęliśmy się całować. Oparłem ją o drzwi, jedną ręką szukałem zasuwki, drugą suwaka džinsów Fizz, podczas gdy ona wgryzała się w moje usta, powodowana szczególnym szaleńczym głodem. Jak zawsze pasowaliśmy do siebie niczym części puzzli, wilgoć i twardość, ciało i włosy, miłość i żądza.

Kiedy usiedliśmy do lunchu, animozja powróciła, ostra jak nóż, którym ciotka kroїła owoce mango na plasterki. Do domu pędziliśmy bez słowa. Tym razem puzzle były wielokrotnie składane i rozkładane, dopasowywane i rozłączane; i wspięliśmy się na każdy możliwy szczyt, aż opadliśmy po drugiej stronie. Wszechnasycenie.

Teraz jednak szykowało się coś, co zachwiało mną całym.

Wyruszyłem w tę podróż pełen obaw — podróż, która przez ostatnie dwa lata była moją ulubioną. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Delhi, towarzyszył nam strach pomieszany z tęsknotą. Dwie ostatnie wizyty były dziwne, tak dziwne, że nie potrafiłbym nawet powiedzieć samemu sobie, co tak naprawdę się wydarzyło, nie wspominając już o opowiedzeniu tego komuś. Od ostatniego wyjazdu byłem rozdarty pomiędzy pragnieniem natychmiastowego powrotu a pozostaniem daleko na zawsze. Dlatego decyzję pozostawiłem Fizz.

W trakcie jazdy uwagę skupiłem na drodze, a kiedy zatrzymaliśmy się, żeby zjeść śniadanie w przydrożnej jadłodajni Śer-i-Pan-dżab w Bilaspurze, Fizz zapytała: Czy coś cię gryzie?

Odpowiedziałem starym dowcipem: Chyba chodzi o śmierć.

Porozmawiam z nią, powiedziała.

W hindi, poradziłem. Musisz rozmawiać z nią w hindi. To działka hindi.

Odpowiedziała: Ale ona nie rozumie hindi — za dużo naczytała się staruszka Ezry. Roześmieliśmy się.

Nie miałem jednak żadnego poczucia pewności. Poprzedniego dnia, kiedy zapadała noc, zaczęła we mnie narastać mieszanina strachu i pożądania. Fizz, bardzo zajęta przy sadzonkach drzewek, niczego nie zauważyła, nawet gdy znaleźliśmy się w łóżku, mając w sobie ciepło dwóch szklaneczek whisky.

Byliśmy zmęczeni. W Moradabadzie trafił się nam nużący korek uliczny, utknęliśmy przy obu przejazdach kolejowych. Fizz wtuliła się we mnie, położyła głowę na moim lewym ramieniu, jej twarz znalazła się przy moim podbródku.

Kiedy nie zacząłem jej głaskać, powiedziała: Chcesz, żebym z nią porozmawiała? Wiesz, mogę z nią pogadać w hindi!

Nic nie odpowiedziałem, wymamrotałem coś niezobowiązującego, a ona zasnęła w mgnieniu oka. Leżałem rozbudzony i wpatrywałem się w ostatnie światła pobłyskujące w górach. Wkrótce został tylko świetlisty łuk obserwatorium i upstrzone pulsującymi gwiazdami kwadraty nieba widoczne przez okna. Raz po raz słyhać było tok tok tok lelka kozodoja, rezydującego w krzakach lan-tany wcisniętych w kąt pod tarasem poniżej domu. Kiedyś przez wiele godzin łąziłem po tych krzakach i usiłowałem go wytropić, ale najpewniej gniazdo miał głęboko ukryte.

W którymś momencie wysunąłem ramię spod głowy Fizz, a ona jak zawsze przekręciła się na bok i zwinęła w kłębek.

Usiadłem oparty o ścianę, otworzyłem oprawiony w skórę notes i zagłębiłem się w nim bez reszty. Wkrótce oczy zaczęły mnie piec od wczytywania się w walcowate pismo — pędzące kółkosłowa — w słabym świetle lampy sztormowej. Ale nie ustawałem, przekonany, że jeśli nie zasnę, będę w stanie odeprzeć wszystko, przetrwać to. Chimera rozpadnie się i zniknie, i będzie po wszystkim. Musiałem jednak zasnąć, na wpół siedząc, bo kiedy wreszcie się to stało, nadal byłem w tej pozycji. Trwało to do późna w nocy, a kiedy się skończyło, po wielu godzinach, spadłem z tyłu szczytów, że nie wiedziałem, jak ponownie pozbierać się do kupy.

\*

Nogi zaczęły mnie boleć, musiałem wstać z ławki i je rozprostować. Ostatnie krople herbaty wylałem na zbocze — zniknęły bez śladu — i zapatrzyłem się na panoramę, w której zakochałem się w chwili, gdy pierwszy raz ją zobaczyłem.

Ten dom miał być dla nas zbawieniem, ostatecznym przypieczętowaniem naszej miłości i życia. Teraz jednak miałem złe przeczucia. Po raz pierwszy w moim związku z Fizz obudziłem się bez pożądania. Obojętny na wdzięki jej ciała rozciągniętego obok mnie.

Szykowało się coś straszego. Czulem to całym sobą. W powietrzu.

Ranek był zimny i rześki, ale niezależnie od tego, jak długo potrząsałem głową, nie potrafiłem uporządkować myśli.

Zaczął mnie boleć ząb trzonowy. Jedno przynajmniej się nie zmieniło. Zamknąłem oczy, czekając, aż rwący ból przejdzie w miarowe pulsowanie.

Nie wiedziałem, w jaki sposób rozpadnie się moje życie, jedyne życie, jakie kiedykolwiek miało dla mnie znaczenie.

Słońce nadal było tylko ostrzegawczym lśnieniem za obserwatorium na odległych szczytach.

## NAWAŁNICE

Przez cały dzień padał ulewny deszcz i wciąż lalo się z nieba, kiedy — pół roku po tamtym zimnym poranku — stałem z nią przy dolnej bramie, czekając na autobus z Bhowali, który miał ją zabrać do Kathgodamu, niewykluczone, że na zawsze.

To zakrawało na ironię. Uszkodzony w wielu miejscach kamienny murek pobocza, przy którym staliśmy, był dokładnie tym samym miejscem, gdzie przysiedliśmy, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy ten dom. Było to na zakręcie drogi, trochę za sanatorium, jeśli jechało się z Dzeolikotu. Zamarliśmy w bezruchu, gdy dom pojawił się w naszym polu widzenia. Pobocze znajdowało się poniżej domu i widać go było stamtąd pod pewnym kątem, nadającym mu wyjątkową, romantyczną aurę.

Siedzenie na murku pobocza nie należało teraz do przyjemności. Mnóstwo było ostrych krawędzi i obluzowanych kamieni. Rok wcześniej wpadła na niego ciężarówka, nad którą kierowca stracił panowanie. Spoiwo się wykruszyło, kamienie powypadały. Ciężarówka zwiśla jednym kołem nad przepaścią przez wiele dni, zanim z Haldwani przyjechał dźwig i ściągnął ją z powrotem na szosę. Właściciel, sikh, kiedy już sprzął dokładnie kierowcę i pomocnika, rozdawał laddu i mówił: Bóg jest łaskaw. Niewiele brakowało, żeby ciężarówka znalazła się na dnie doliny.

Staliśmy blisko siebie, nasze ramiona ledwie się dotykały pod wielkim zielonym parasolem reklamowym J & B, który dostaliśmy kiedyś na jedynym meczu polo, na jakim byliśmy w Delhi. Kiedy otwieraliśmy go, puszyliśmy się i mówiliśmy rzeczy w rodzaju: Wspaniała runda, co nie? Szefie, wyciśnij temu konikowi trochę przyspieszenia z dupy!

Tego dnia jednak szliśmy z domu w milczeniu. Odrzuciła wszystkie moje propozycje odwiezienia jej na dworzec. Był to niebezpieczny sygnał, niemający precedensu. Domyśliłem się, że posunąłem się za daleko, że nie mam już prawa tworzenia lub niszczenia naszego związku. Tama została przerwana. Woda sama

ustanowi swój poziom. Moja kontrola nad słuzami nie miała już teraz żadnego znaczenia.

Przez piętnaście lat wspólnego życia z Fizz zawsze i nieodmiennie odprowadzałem ją i odbierałem z przystanków autobusowych, stacji kolejowych, kin, biur, szpitali, zewsząd i za każdym razem. Było to czymś więcej niż troską. Wydawało się bliższe paranoi. Żyłem w strachu, że coś się jej przydarzy, i w odruchu samozachowawczym wiedziałem, że moje życie legnie w gruzach, jeśli ona kiedykolwiek mnie zostawi.

Kiedyś, w czasie pierwszego roku naszego związku, gdy nadal chodziliśmy do college'u, musiała wyjechać do Nahanu na ślub w rodzinie. Jechało się tam trzy godziny z Čandigarhu. Nie miałem zamiaru pozwolić, by podróżowała sama. Wsiadliśmy do rozklekotanego autobusu Himachal State Roadways, usiedliśmy blisko siebie i przegadaliśmy całą drogę bez jednej chwili przerwy. W niczym nie przeszkadzały nam niezliczone przystanki, uderzenia pierwszych podmuchów monsunu, muchy, kurz, natarczywe spojrzenia.

W którymś momencie trasa wiodła sennymi bocznymi drogami stanowymi. Wąskie, pozbawione ruchu wiejskie szosy tuż u podnóża gór, ocienione akacjami, miodłami i figowcami, wiły się wśród pobłyskujących zielonych pól ryżowych, patrolowanych przez nadgorliwe czaple białe. Nagle znaleźliśmy się pod grubą szarą chmurą, daremnie usiłującą zatrzymać w sobie zawartość napęczniałego brzuszyska. Zimna bryza pełna kropli deszczu uderzyła w nas i wpadła do środka przez rozbite okna skrzypiącego autobusu.

Znużenie panujące w zatłoczonym autokarze zostało zmyte w jednej chwili, niczym piasek pod prysznicem, a pot nabrał walorów mięty na podrażnionej skórze. Wszystkie rozmowy ucichły. Nawet warkot silnika wydawał się zanikać. Jakby na znak dany przez reżysera wszyscy aktorzy tej sceny unieśli twarze i zamknęli oczy w oczekiwaniu na wybawienie.

Dla bezbożnika był to moment religijnego uniesienia. Trzymałem jej dłoń w mojej dłoni — ukryte pod skórzaną torebką — patrzyłem na jej jaśniejący półuśmiech, grube brązowe włosy, zwiewane z doskonale ukształtowanych kości policzkowych, i byłem tak szczęśliwy, że nie umiałbym tego wyrazić.

Oczywiście kiedy dojechaliśmy do Nahanu — wyżej, u podnóża Himalajów — chciałem odprowadzić ją możliwie najbliżej do miejsca przeznaczenia. Odstawić do schodów. Wyruszyliśmy w górę po zboczu do kwaterekowego bungalowu jej ciotki i tak bardzo pograżyliśmy się w rozmowie, że ciotka dosłownie znalazła się przy nas, zanim Fizz ją zauważyła.

Och, witaj, masi!, krzyknęła Fizz.

Zawróciłem na pięcie i zszedłem po zboczu na przystanek autobusowy, nie ośmielając się zatrzymać i obejrzeć za siebie choćby raz. To były nasze pierwsze dni. Fizz była zaledwie siedemnastolatka, a ja nie chciałem, żeby miała przeze mnie jakieś kłopoty w rodzinie. Trzygodzinna jazda do domu trwała dla mnie całą wieczność i kiedy wróciłem do swojego pokoju, było już późno, a w wieczornym świetle kolumny książek na podłodze przypominały karzące palce. Tamtej nocy zżerało mnie poczucie niespełnienia, jakby ktoś wyciągnął mnie z kina w połowie filmu.

Następnego dnia już przed świtem stawiłem się na przystanku autobusowym w Sektorze Siedemnastym i postawiłem motocykl na parkingu. Przez całą drogę marzyłem o niej i o pisaniu — tylko to mnie wtedy zajmowało. Bez Fizz u mego boku kręte linie krajobrazu traciły cały swój urok. Wspiąłem się po zboczu i na szczycie wzgórza wypełnionego rzędami domów, usiadłem w narożnej herbaciarni, zamówiłem omlet i zapytałem sękatego górala, gotującego w nieskończoność herbatę w czarnym garnku, gdzie znajduje się dom jej wuja.

Maleńki jak wróbelek, wyśpiewywał: Har Gowinda Har Go-pal! Har Gowinda Har Gopal!

Gruby inżynier od nawadniania?, powiedział między zaśpiewami. No cóż, jeśli chcesz spotkać grubego inżyniera i jego grubą żonę, będziesz musiał poczekać, bo pojechali właśnie na mandi, żeby jak najtaniej kupić warzywa. Znasz tych ludzi z państwowych posiad, którzy chcą wszystko za darmo. Ale kiedy sami coś robią, nieźle sobie liczą.

Muszę im coś dostarczyć, wyjaśniłem.

Popatrzył na mnie. Trzymałem pod pachą *Pożegnanie z bronią*, które właśnie czytałem.

Na bramie jest tabliczka z namalowanym wściekłym psem. Po prostu wejść. Pies jest jak oni — tłusty i leniwy — i ugryzie tylko wtedy, jak mu się za to zapłaci, powiedział.

Położyłem trzy rupie na popękany drewniany stół i zapytałem: Nie lubisz grubasów?

Nie, sahibie, odparł. Wszystko powinno być umiarkowane.



Twój dom powinien być nie większy od twojego serca, twoje łóżko nie większe niż twój sen, a twoje jedzenie ani o ziarenko obfitsze niż twój żołądek.

Zeskoczył z żerdki obok syczącego piecyka — zupełnie jak ptak — zgarnął w dłoń pieniądze i kontynuował: Człowiek nie powinien dodawać matce ziemi nawet jednej uncji dodatkowej wagi. Ziemia i tak jest przeciążona. Przeciążona ciałem, przeciążona chciwością, przeciążona cierpieniem. Kiedy równowaga zostanie zaburzona, nadejdzie apokalipsa. Świat jest taki, jaki jest, bo ludzie zapomnieli, jaka jest różnica między dobrem i złem.

Nie patrzył na mnie, kiedy mówił to wszystko, zajęty pracą: unosił niewielkie prążkowane szklaneczki i skrobał plastikowe talerze, dolewał wody, mleka i dosypywał cukru do bezustannie parzącej się w garnku herbaty.

Idź bez strachu, przyjacielu, powiedział w końcu. I słuchaj głosu serca, a nie rozumu. Świat zszedł na psy, bo zbyt intensywnie wsłuchiwał się w głos rozumu. Har Gowinda Har Gopal!

Dom odszukałem z łatwością, odważnie otworzyłem bramę z ohydną cynową tabliczką ostrzegającą przed wilczurem i wszedłem do środka. Pod wiklinowym stołem na werandzie spał spasiony labrador, łeb oparł na przednich łapach. Spojrzał na mnie badawczo spod oka i nie poruszył nawet jednym mięśniem.

Nacisnąłem dzwonek. Zagrał całą frazę *Jingle Bells*. Drzwi otworzył chłopak wyglądający na rozpuszczonego. Miał na sobie obcisłe nylonowe szorty i podkoszulek z wyblakłym wizerunkiem Bruce'a Lee i wydrukowanym napisem: „Król kung-fu”.

Czego chcesz?, powiedział, wyciągając gumę z ust prawą ręką aż ponad tłusty nochal.

Chciałbym się zobaczyć z Fizz.

Po co?, rzucił przez zaciśnięte zęby, dalej ciągnąc gumę. Muszę jej oddać książkę.

Pokazałem mu ją. Na okładce była Catherine Barkley ubrana w fartuch pielęgniarki. W tle widać było niewielki ambulans. To książka dla dzieci? Wskazałem na ambulans. Co to jest?

Opowiada o chłopcach, którzy połknęli żutą gumę, i o tym, co potem lekarze musieli im zrobić.

Wpatrywał się teraz we mnie bez poruszenia. Pokaż mi pępek, powiedziałem.

Lewą ręką uniósł koszulkę z Bruce'em Lee, prawą zaś wpychał sobie gumę do ust. Miał paskudny, wystający pępek.

Minie jeszcze pół roku i będą musieli rozciąć ci tylek, żeby wyskrobać gumę, powiedziałem. Wykrzywił twarz w grymasie.

Biegnij szybko i zawołaj Fizz, to nauczę cię sztuczki, która może cię uratować.

Pojawiła się Fizz, wyglądała olśniewająco.

Przyniosłem ci książkę, powiedziałem, wyciągając przed siebie Hemingwaya.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, który rozświetlił cały świat. Jej uśmiech nigdy nie miał nic z fałszu, był szczerą reakcją na niektóre bodźce. Nigdy nie krył w sobie ukrytych znaczeń, potajemnego spiskowania, sekretnych wskazówek. Kiedy coś ją uszczęśliwiało, uśmiechała się po prostu, a świat się rozświetlał.

Wariat z ciebie, powiedziała.

Dobry wariat? Zły wariat?, spytałem.

Naprawdę niezły wariat, odparła z uśmiechem.

Wtedy po raz drugi widziałem ją taką: miała na sobie szeleszczącą białą kurtekę, w której spała, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, skóra błyszczała. Wyglądała, jakby zesza z kart przebogato ilustrowanych książek z bajkami, które czytaliśmy jako dzieci — białą powiewną suknię zastępowała kurta. Była niewypowiedzianie piękna.

Gdzie?, zapytałem.

Dom jest pełen ludzi, powiedziała. Wszyscy zaraz wstaną i będą schodzić na dół.

Była niezwykle spokojna. To jej kolejna cecha, jaką miałem poznać przez wspólne lata. Bo choć nie było w niej nic z radykała i sama z siebie nie potrafiła łamać zasad ani nie wrywała się z odważnymi słowami, to na swój pogodny sposób nie przejmowała się konwenansami i opiniami innych ludzi.

Musi tu być jakiś pusty pokój, powiedziałem i obserwując chłopaka, dodałem: Gdzie będę mógł ci wyjaśnić, o co chodzi w tej książce?

I jemu?, zapytała.

Bruce Lee, podejź tu.

Zabrałem go w róg pokoju.

Okay, sztuczka wygląda tak. Pójdiesz od razu i usiądziesz na nocniku, do każdego ucha wciśniesz mocno palec i powiesz głośno Liiiiiiiiiiiiiiii. Powtórzysz to sto jeden razy. Potem sprawdzisz. Jeśli guma nie wylazła, znowu powtórzysz to sto jeden razy.

Odszedł, wsadziwszy sobie ponownie gumę do buzi.

Gdzie kazałeś mu iść?, zapytała.

Ma ćwiczyć kung-fu, powiedziałem.

Rozejrzałem się wokół. Pokój był pełen tandety typowej dla przeciętnego salonu hinduskiej klasy średniej: plastikowych kwiatów, ceramicznych figurek bóstw, słoni z cedru maszerujących w jednej linii, sfatygowanych mebli w rodzaju serwantki, zdjęć rodzinnych w brzydkich ramkach. Szukałem wzrokiem wyjścia. Było tu stanowczo za wiele drzwi. Staliśmy w samym sercu domu. Musieliśmy się stąd wydostać. Konalem z potrzeby przytulenia jej, powąchania za uchem.

Gdzie jest sypialnia ciotki?, zapytałem.

Na twarzy dostała rumieńców. Moment szaleństwa był bliski. Tak się właśnie z nami działo, gdy znajdowaliśmy się obok siebie. Najczęściej ledwie mogliśmy rozmawiać. Pragnienie bezpośredniego kontaktu blokowało wszystko inne.

O, tam, powiedziała, wskazując głową przeciwległą ścianę.

W chwili gdy znaleźliśmy się w pokoju, zamknąłem go na zasuwkę i wzięłem ją w ramiona. Wewnątrz panował mrok, moje usta docierały wszędzie, biała bawełna, którą miała na sobie, była cienka i świeżo uprana, a ja byłem twardy i szaleńczo zakochany, ona zaś wilgotna i niesłychanie piękna. Nasze dłonie stały się rękami garncarzy, a nasze ciała gliną. A potem za drzwiami rozległy się głosy, ona znalazła się na brzegu łóżka, czułem zapach jej miłości i smakowałem jej miłość, i słyszałem jej miłość, a moja miłość prężyła się ku jej miłości i znalazłem się tam, gdzie było moje miejsce, gdzie chciałem żyć i gdzie chciałem umrzeć, i świat stał się kawałkiem skóry, i świat stał się dwoma kawałkami skóry, i świat był już tylko kawałkami skóry, i świat był płynem, i świat był ciasny, i świat był piecem, i świat się poruszał, i świat się ślizgał i świat eksplodował, i świat się kończył, i świat się kończył, i świat się skończył.

Kiedy odzyskaliśmy słuch, ktoś wołał Fizz z salonu. Minęło tylko kilka minut.

Wskoczyłem oknem i wylądowałem na grządce kolczastych czerwonych róż. Pewnym krokiem, nie oglądając się za siebie, ruszyłem ku bramie. Gdy otwierałem zasuwkę, zza rogu domu rozległo się pełne determinacji Liiiiiiiiiiiiiiii.

W drodze powrotnej minąłem grubego inżyniera od nawadniania i jego grubą żonę, wspinających się z wysiłkiem w górę zbocza. Nieśli kosze pełne warzyw, których zielone liście dyndały sponad brzegów. Nie zauważyli mnie, kiedy zbiegałem drogą, niesiony gorączką dogłębnego szczęścia.

Minęła prawie godzina i nie było nawet śladu autobusu z Bhowali. Zaczęła się gwałtowna ulewa, przed którą parasol J & B nie dawał wystarczającej ochrony. Spodnie mieliśmy mokre do kolan i każde z nas miało przemoczony jeden rękaw koszuli. Autobusy jeździły bardzo niepunktualnie, jak zawsze w niedzielny wieczór. Niekończący się deszcz przyczynił się pewnie do zwiększenia opóźnień. Oczywiście nie zachodziła żadna obawa, że pociąg do Delhi ucieknie, bo wyjeżdżał z Kathgodamu o dwudziestej pierwszej. I choć zapadł już przedwczesny zmrok, spowodowany grubą zasłoną deszczu, dochodziła dopiero osiemnasta. Fizz uparła się, żeby wyjść z dużym zapasem czasu.

Nie było prądu — zawsze go wyłączali w pierwszych minutach nawałnicy — więc dom stał się jedynie ciemnym kształtem po drugiej stronie drogi. Pień Triśula, naszego ogromnego cedru, górował nad wszystkim i robił wrażenie czarniejszego niż zwykle. Znajdująca się u naszych stóp dolina Bhumiadhar wydawała się złowroga, wypełniała ją dudnienie ulewy. Patrząc na nią w dół, oczekiwało się, że zaraz z leśnej ścieżki wyłoni się jakiś prehistoryczny olbrzymi zwierz.

Z drugiej strony strugi deszczu działają specyficznie kojąco w górach — wśród zboczy i zieleni — przeważa wtedy aura nieruchomego spokoju i głębokiej ciszy.

Przez cały ten czas nie zamieniliśmy słowa. Chciałem coś powiedzieć, coś ugodowego, coś zwyczajnego, cokolwiek, ale nic nie przychodziło mi do głowy. W rzeczywistości bowiem mój umysł, pracujący na wysokich obrotach od tak dawna, skołowany mieszaniną uczuć i myśli, jakich nie dałoby się wyrazić żadnym słowem, popadł ostatecznie w stan odrętwienia.

Miała kamienny wyraz twarzy. Piękny obrys podbródka, klasyczny nos, doskonale szerokie usta, wszystko jakby zastygło w szkłe. Tylko z jej oczu dawało się coś wyczytać. Były opuchnięte i zaczerwienione z braku snu i nadmiernego płaczu.

To zakrawało na ironię. Przez lata kpiłem z niej — bo rozwinęła w sobie skłonność do częstego płaczu — i powtarzałem, że jej łzy są prawdziwe tylko wtedy, gdy doprowadzają do deszczu. A teraz lalo jak z cebra od zeszłego wieczoru, całe zastępy kropel maszerowały w wojskowym szyku po blaszanym dachu i wdzierały się do środka przez bezszybe okna. A ona łkała cały ten czas.

Myślę, że stojąc pod szlochającym niebem, w końcu jednak opróżniła źródło łez.

Dwadzieścia cztery godziny to długo. Sześć miesięcy to długo.

Minęło sześć miesięcy od ranka, kiedy obudziłem się w naszym pokoju z oknami wychodzącymi na dolinę Dżeolikot i nie czułem pożądania. Minęło sześć miesięcy od chwili, kiedy stałem, patrząc w dół na dolinę, zaspokojony i wystraszony nocą, która minęła, pełen obaw o naszą przyszłość. -

Te sześć miesięcy upłynęło fatalnie. Powstał między nami dystans, jakiego kiedyś nie umielibyśmy sobie nawet wyobrazić.

Zgodnie z naszą prywatną mitologią po każdej kłótni byliśmy jak dokładnie zapięta kurtka. Ciepła i ciasno opinająca. Czasem coś się zacinało i suwak zostawał w połowie otwarty. W dni wyjątkowo okropne suwak otwierał się cały. Ale poły zawsze trzymały się razem dzięki zaczepowi na dole i ponowne zapięcie suwaka trwało moment. Przez ostatnie sześć miesięcy jednak nie tylko rozpięliśmy kurtkę naszego związku, wzięliśmy też nożyczki i przecięliśmy ją na dwie oddzielne połowy.

Niech to zostanie powiedziane: wina była całkowicie po mojej stronie.

\*

Z każdym mijającym dniem stawałem się innym mężczyzną. Z każdym dniem mój zmysł węchu tracił wrażliwość. Przez piętnaście lat zapachy jej ciała definiowały moje życie. Woń fałdki na jej skórze od razu odciągała mnie od wszystkiego, co akurat robiłem. Czytania, pracy, oglądania telewizji, rozmowy przez telefon.

Ale kiedy wróciliśmy z gór po owym ranku sprzed sześciu miesięcy, moje nozdrza zaczęły się zamykać. Usiłowałem wąchać jej skórę, za uszami, w szczeciniastych pachach, w wilgotnych zagłębieniach pod piersiami, w pępku, w trójkącie podbrzusza, w parowie między nogami, w ciemnym wąwozie bioder, z tyłu kolan, w ciasnych przestrzeniach między palcami u nóg. Próbowałem powąchać ją wszędzie, ale nic dobrego z tego nie wynikło.

I nie chodziło tylko o moje nozdrza. Kurek wszystkich moich zmysłów został zakręcony. Ssanie jej ciała, jakiegokolwiek części jej ciała, mogło wprowadzić mnie w stan zapamiętania. Zdarzało się, że spadałem w otchłań tylko dlatego, że ssałem jej łydki. Teraz jednak jej skóra nie wywierała na mnie żadnego wrażenia. Czułem

się, jakbym żuł gumę, która wiele godzin wcześniej straciła smak. Oczy także mnie zawodziły. Przez całe dorosłe życie, rano i wieczorem, obserwowanie, jak ona się zmienia, było moją ulubioną rozrywką. Już samo zerknięcie na jej nagą talię lub udo powodowało u mnie wzwód. Dzisiaj, kiedy rozbierała się w sypialni i wyciągała rajstopy z dżinsów, a potem wachała je, żeby sprawdzić, czy pachną nieładnie, zanim wrzuciła je do kosza z brudnymi rzeczami — wzrok koncentrowałem na zawartości notesów.

Nie było jednak tak, jakbyśmy przestali uprawiać miłość w jednej chwili. Niczym huśtawka, która się kołysze jeszcze długo potem, gdy zeszło z niej ostatnie dziecko, rozpęd nabrany w minionych latach nie pozwolił mi zaniechać sięgania po seks. Ale było to pozbawione namiętności kopulowanie. Jakaś ręka, jakieś usta, jakieś odwieczne ruchy w przód i w tył.

Nie spadaliśmy z żadnego szczytu. Prawdę mówiąc, na żaden się nie wspinaliśmy.

Już po kilku tygodniach Fizz zaczęła się zamartwiać. Szybko przekonała się, że inicjatywa jest po jej stronie, a ja jedynie się poddaję. Bawiliśmy się już tak w przeszłości, zamieniając się rolą zdobywcy, ale to było coś zupełnie innego. Nigdy nie potrafiłem zachować zimnej krwi, kiedy jej usta zaczynały wędrować po moim ciele. Teraz musiała się namęczyć, żebym był gotów. Ostatecznie pewnej nocy odsunęła się ode mnie wyczerpana, kiedy leżałem na łóżku i obserwowałem jej wysiłki. W świetle lampy jej usta lśniły wilgocią, ale to jej oczy przyciągały moją uwagę. Było w nich zmieszanie i uraza.

Przepraszam, powiedziałem, nie patrząc na nią.

Co się dzieje?, zapytała, także nie patrząc na mnie.

Zostawmy to. Wszystko będzie okay. Z nami też będzie okay, odparłem.

Wątpię, żeby spała tej nocy. Była roztrzęsiona. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś podobnego. Moje nieustające pożądanie stanowiło jedną z wielkich prawd naszego życia. Było faktem, który kotwiczył dla niej wszystko inne — pracę, przyjaźnie, stosunki z rodziną. Kiedy coś wytrącało ją z równowagi, kiedy ktoś sprawiał jej zawód, mogła wrócić bezpiecznie do kokonu mojego nieskończonego pożądania. Wiedziałem, że moja gorączkowa potrzeba posiadania jej czyniła ją silną.

Ale pożądanie jest nieprzewidywalne.

Wątpię, żeby spała tej nocy, ja jednak spałem. Stawałem się niebezpiecznie oziębły. Czułem coraz mniejszą namiętność i coraz mniej przejmowałem się przykrością, jaką jej tym sprawiam.

Byłem zbyt zajęty zmaganiem się z nieznanymi demonami szalejącymi w mojej głowie.

Niedługo potem Fizz zdecydowała, że powinniśmy wybrać się na kilka dni do Rzeczy Pierwszych, a wtedy wszystko wróci na właściwe miejsce. Chciałem jechać i nie chciałem. To, że ona podjęła decyzję, ułatwiało mi sprawę. Tak więc wyruszyliśmy przed świtem w sobotni rano i jechaliśmy niemal bez słowa, z samochodowego radia leciały przez całą drogę wesołe piosenki Shammiego Kapura. Nie umiem powiedzieć, jakie myśli ją nękały, ale prawda jest taka, że prawie w ogóle nie zastanawiałem się nad nią czy nad nami. Skoncentrowałem się na tym, co czeka nas na szczycie wzgórza.

Wyprawa okazała się katastrofą. Nie udało się nam odnaleźć źle ulokowanego klucza do naszych ciał, a na dodatek straciliśmy najwyraźniej klucz do naszych rozmów. Fizz podejmowała wiele prób, opowiadała nowe historie o rzeczach, które oboje uwielbialiśmy — o drzewach, ptakach, książkach, seksie, filmach, związkach między ludźmi, muzyce. Usiłowałem jakoś reagować, ale myślami byłem zupełnie gdzie indziej. Sobotniej nocy to znowu się powtórzyło — z nadnaturalną siłą — i kiedy obudziłem się w niedzielę rano, byłem jeszcze bardziej nieobecny.

Popadłem w najgorszy nastrój, objawiający się mówieniem monosylabami, brzmiałem niczym lelek kozodój, tok tok tok. Fizz zaś stała się ponura — przeciągające się odrzucanie prowadziło u niej do wybuchów złości.

Skutkiem tego, gdy oglądaliśmy rano oborę dla kóz, wszczęliśmy szaloną kłótnię z powodu jakości drewna użytego na drzwi. Młoda sosna już zaczęła się wypaczać. Obwinałem Fizz o brak dbałości o szczegóły, powiedziała, że jestem leniwym, przymulonym dupkiem. Wrzasnąłem, że posuwa się zbyt daleko, na co odpowiedziała, że jestem najgorszym rodzajem egocentrycznego krytyka.

Zażenowani cieśle zrobili sobie wcześniejszą przerwę na lunch i odeszli na tyle daleko, że nie mogli nas słyszeć. Zapanowało milczenie. Jedyne religijne pieśni Rakszasa, krzątającego się przy zbiorniku wody, zakłócały ciszę.

Zamiast wrócić w poniedziałkowy rano, byliśmy w domu już w niedzielę wieczorem. Co właściwie nie robiło różnicy, bo kto wie, jakich spustoszeń mogłaby dokonać kolejna noc. Wracaliśmy w jeszcze większym milczeniu, niż jechaliśmy w tamtą stronę. Tym razem towarzyszyła nam płaczliwa muzyka Rafiego. Dotarliśmy do Delhi późnym wieczorem, uniknąwszy szczęśliwie

kierowców zabójców, zdradliwych dróg, rozklekotanych ciężarówek i autobusów. Raz lub dwa ogarnęła mnie ochota, by się poddać i pożeglować prosto między dwa światła samochodowe z naprzeciwka.

To byłoby wspaniałe zakończenie wszystkiego, obeszloby się bez dramatycznego rozstania, które zaczęło już się na nas czaić.

Po tej wyprawie sprawy ulegały stopniowemu pogarszaniu. Wracała ze swoich wywiadów po południu, podczas gdy ja leżałem rozciągnięty na połamanej sofie w naszym maleńkim gabinecie, pogrążony w lekturze notesów, zmagający się z odcyfrowywaniem kółkosłów, zajęty robieniem notatek. Zwykle szła wtedy do kuchni, parzyła herbatę dla nas obojga, stawiała moją na stole do pracy i wychodziła ze swoją na taras, żeby doglądać roślin.

Jak udał się wywiad?

Okay.

Lunch?

Zjadłam w Maharani Bagh.

Co słyhać u Pani Surowej królowej?

Nic.

Tok tok tok. Dość, żeby zniszczyć każdy związek.

Oczywiście nie pytała mnie o moją pracę. To było zakazane. Zawsze musiała czekać, aż sam coś powiem. Na tym polegała stara, niezmienna zasada naszej gry. W jednej chwili miała jednak być zlekceważona: lecz nie na szczycie namiętności, nie w pieczarze zbliżenia.

Ale przecież wiedziałem, że ona wie, że już nic nie piszę. Pewnego ranka, wychodząc z łazienki, dostrzegłem, jak sprawdza mój stół do pracy w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak czegoś nowego. Nic nie powiedziałem. To nie miało znaczenia. Niczego nie poczułem. Wcześniej doprowadziłoby mnie to do wściekłości.

Dni dawało się jakoś wytrzymywać, ale wieczory i noce stały się trudne. Staraliśmy się spędzać wieczory poza domem — biegliśmy na jakiś film, spotykaliśmy się z przyjaciółmi na obiedzie. Oboje dużo piliśmy. Wypijała trzy, cztery whisky prawie co noc, ja pięć, sześć. Rozmowy stały się płytkie; niemal dosłownie poprzestawaliśmy na myciu zębów i rzucaniu ubrań na ziemię.

Cieszyłem się z tego. Nie było sposobu, bym wytrzymał poważną wymianę zdań albo, co jeszcze gorsze, wypytywanie. Zawsze



tak było, kiedy usiłowałem coś rozpracować — zanim poruszyłem z nią jakiś temat, czekałem, aż wszystko się skataloguje, uporządkuje w mojej głowie. A potem wykorzystywałem jej wkład, by całość doszlifować. Tym razem jednak chodziło o czysty dystans. Jej cień prawie nigdy nawet nie musnął tego, co wypełniało mi myśli.

Był to dziwny i smutny okres. A ja przez cały czas zachowywałem się paskudnie.

Robiła, co mogła. Po kilku próbach dąsania się, unikania mnie i złości — z czego nic nie robiło na mnie wrażenia, bo stałem się zimny jak lód — zaczęła się starać od nowa. Próbowwała znów nawiązać ze mną kontakt, próbowwała mnie rozśmieszać, próbowwała uwodzić, próbowwała zrozumieć, co tak naprawdę się dzieje. Ale skoro ja sam tego nie wiedziałem, jak ona mogłaby się dowiedzieć?

Prawdę mówiąc, pogarszało to jeszcze sprawę. Jej desperacja, jej obnażone potrzeby po raz pierwszy w życiu mnie odpychały. Zostawiła mnie samemu sobie, lecz po kilku miesiącach czekania, aż wrócę na klęczkach (w przeszłości robiłem to już po kilku dniach), jej determinacja zaczęła słabnąć. Byłem jej oczywiście wdzięczny za to, że dała mi święty spokój. Słyszałem, jak krząta się po domu. Gotowała, ścierała kurze, czyściła łazienkę, zmywała mopem podłogi, podlewała kwiaty, słuchała muzyki z lat sześćdziesiątych.

Najczęściej telewizor był włączony, dochodził mnie sztucznie poważny ton przekazywanych informacji. Ponieważ nasze rozmowy ustały, nagle uzależniła się od wiadomości. Można było pomyśleć, że wszelkimi nowymi śmieciami z wszechświata wypełnia powstałe niespodziewanie luki w życiu. Gapienie się w kanał z wiadomościami jest chyba najdziwniejszym sposobem przekonywania samego siebie, że ma się związek ze współczesnym światem. W Portoryko nastąpiło trzęsienie ziemi, to nadaje sens mojemu istnieniu. Jakiś typowy amerykański pomylenieć zastrzelił dzieci w teksańskim miasteczku, to nadaje mojemu życiu kontekst. Jacyś smutni politycy obrzucają się błotem przed kamerą, czuję się zaangażowany. Fałszywa natarczywość głosu przekazującego wiadomości irytowała mnie. A Fizz usiłowała posłużyć się programami informacyjnymi niczym grotem strzały, by przebić się przez mój pancerz.

Wpadała przez wąskie drzwi gabinetu i mówiła: Wspominają o możliwości wojny w Pakistanie. Indie wygrały jednym okrążeniem. Premier jest oskarżony o jakiś przekręt z łapówkami.

Lady Di robiła to ze swoim ochroniarzem. Superman przeleciał przed naszymi oknami. Dzwoniła do ciebie Demi Moore. Tok tok tok. Tok tok tok.

Nie było na świecie takiej strzały, która zdołałaby się przebić przez moją skorupę. Czasami, kiedy zmierzałem na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, mijałem ją, zastygła na dwuosobowej niewielkiej kanapie w salonie, słuchając muzyki i wpatrując się w pustkę, a wtedy coś we mnie drgało. Ale potem patrzyła na mnie oczami pełnymi bólu, moment mijał, a ja szedłem dalej.

W miarę jak zapadała się w rozpacz, szukała po omacku wszelkich starych kluczy, desperacko licząc, że jeden z nich otworzy zamek.

Puszczala muzykę: Beatlesi, Doorsi, Dylan, Louis Armstrong, Ella Fitzgerald, Neil Diamond, Simon i Garfunkel, K.L. Saigal, S.D. Burman, Gita Dutt, Kishore Kumar, Mukesh, Rafi, Asha Bhonsle. Ragtime, ąawali, *Koncerty brandenburskie*, *Dziwiata Beethovena*, *Czterdziesta Mozarta*.

Powyciągała książki i ułożyła z nich stosy na łóżku: Kafka, Joyce, Greene, Steinbeck, Miller, Naipaul, Pound, Eliot, Larkin, Auden. *Paragraf 22*, *Rzeźnia numer pięć*, *Wielki Gatsby*, *AU About H. Hatterr*, *Ryży*, *Grek Zorba*.

Wypożyczyła filmy i kiedy zachodziłem do pokoju, oglądała je z wideo: *Rzymskie wakacje*, *Złodzieje rowerów*, *Żądło*, *Chinatown*, *Amarcord*, *Ran*, *Urzeczona*, *Gupi gajn bagha bajn*, *Apa-radżito*, *Pjasa*, *HalfTicket*, *Łapać złodzieja*, *Abhiman*, *Dżane bhi dojaro*.

Wyjmowała białą kurtę, ubierała się w nią i rozpuszczała włosy. Mając na sobie jedynie podkoszulek, pochylała się przede mną. Klękała naga na brzegu łóżka. Goła kuciała na piętach przed kredensem. Czytała w łóżku Nancy Friday i wkładała sobie dłonie między nogi.

Na haczyku za drzwiami do sypialni wieszala rajstopy, które nosiła tego dnia.

Zaczynała mieć prześcieradło i szeleściła pościelą w chwili, gdy gasło światło.

Układała sobie włosy przed lustrem, w którym mogłem ją widzieć. Zostawiała otwarte drzwi do łazienki, tak bym mógł słyszeć odgłosy jej sikania do muszli klozetowej.

Żaden z kluczy nie pasował do moich drzwi. Może żaden już nie istniał.

Byłbym nie w porządku wobec siebie, gdybym powiedział, że się nie starałem. Starałem się, nawet jeśli bez entuzjazmu. Niemniej pożądanie to dziwna rzecz. Jeżeli nie istnieje, to po prostu nie istnieje i nic nie da się zrobić, żeby je wyczarować. Co gorsza—jak się przekonałem — kiedy pożądanie zaczyna zanikać, podobnie jak tonący statek, pogrąża ze sobą mnóstwo czegoś innego.

W naszym przypadku były- to rozmowa, śmiech, poczucie wspólnoty, troska, marzenia i prawie całe — najważniejsza rzecz, najważniejsza rzecz — także prawie całe przywiązanie. Dość szybko moje tonące pożądanie zabrało ze sobą na dno morza wszystko inne i jedynie przywiązanie pozostało niczym kołysząca się nad powierzchnią ręka tonącego, stercząca w niebezpiecznym miejscu pomiędzy życiem i śmiercią.

Więcej niż raz Fizz usiłowała wykorzystać sprzyjający moment i poruszyć tę sprawę. Robiła to z zaciętym albo z łagodnym wyrazem twarzy. Robiła to, gdy próżnowałem na tarasie i gdy byłem pogrążony w pracy; na rozpoczęcie poranka i na zakończenie wieczoru.

Musimy porozmawiać.

Tak.

Chcesz porozmawiać? Jasne.

Co się dzieje? Nie wiem. Jest ktoś inny? Nie.

Czy coś zrobiłam? Och, nie.

O co w takim razie chodzi, do cholery? Nie wiem.

Czy jest coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Nie wiem.

Jak to nie wiesz?

Nie wiem.

Jak to nie wiesz?

Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Tok tok tok.

Przez cały czas próbowałem uratować kołyszącą się dłoń — przywiązanie — przed zniknięciem. W jakiś sposób czułem, że jeśli utonie, na ogromnej, targanej burzami przestrzeni nie będzie

nawet jednego punktu orientacyjnego, który wskaże mi miejsce, gdzie kiedyś była nasza miłość. Ta kołysząca się ręka przywiązania stała się tablicą, boją, utrzymującą nadzieję, że któregoś dnia będziemy mogli uratować zatopiony statek. Gdyby zniknęła pod wodą, stracilibyśmy wszystkie zamiary i nie wiedzielibyśmy nawet, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Mimo mojego dziwnego stanu był to obraz takiego osamotnienia, że serce zaczynało mi walić jak młotem.

Przez długi czas bezmiernie zadufana w sobie — w nas — nie zwracała się do nikogo o pomoc. Ani do przyjaciół, ani do rodziny. Zbyt długo wyobrażała sobie po prostu, że to faza przejściowa, a potem, kiedy mijał tydzień za tygodniem, wraz z powolnym nasilaniem się oznak, straszna prawda zaczęła do niej docierać. Do tego momentu znane jej już były wszystkie gierki typowe dla związków: wycofanie się, dąsy, złość, uwodzenie, wypytywanie, czułość, groźba.

Logika, miłość, żądza.

Epitafium zaczynało w niej kiełkować. Akceptacja.

Dziwne, ale nawet nie zadałem sobie trudu, żeby zastanowić się, co się dzieje. Wiedziałem, że sprawy są w opłakanym stanie, ale chyba nie przypuszczałem, że ich bieg zmierza ku pełnemu końcowi. Głupia stałość, która cechowała moje życie, sprawiała, że obchodziło mnie teraz tylko jedno. W którymś momencie pewnie pomyślałem, że Fizz da mi spokój i zorganizuje sobie życie wokół mnie i nowego obiektu mojego zainteresowania. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że w ogóle nie myślałem o niej ani o tym, przez co przechodziła, tak bardzo byłem zafiksowany na nowej obsesji.

A potem nie wróciła którejś nocy. Pracowałem w gabinecie, czytałem notesy, robiłem notatki i zasnąłem na połamanej sofie — przez to, że była uszkodzona, mogłem lepiej się wyciągnąć. Kiedy Fizz przyszła następnego ranka do gabinetu, nie powiedziałem słowa. Nie miałem pojęcia, że była poza domem.

Tego dnia nigdzie nie wyszła. Zamknęła się w sypialni i płakała. Cienkie ściany z pojedynczej cegły naszego barsati na drugim piętrze sprawiały, że jej szloch odbijał się echem w całym domu. Od niechcienia zawołałem coś kilka razy.

Nie rób tego.

Otwórz drzwi.

To naprawdę głupie. I na pewno niczemu nie pomoże.

Fizz.

Fizz!

Fizz?

Odfajkowawszy tę formalność, wróciłem do gabinetu. Po jakimś czasie jej łkania stały się tok tok tok i przestałem je słyszeć. Tylko kiedy poszedłem do kuchni zrobić sobie coś na lunch, ponownie ją usłyszałem. Zdobyłem się na jeszcze kilka apeli o rozsądek, ale nie odpowiedziała.

Znacznie później, gdy zapadła noc, usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi sypialni. Nie wyszedłem jednak z pokoju. Dochodziły mnie odgłosy krzątania w łazience: chlupot w muszli klozetowej, wydmuchiwanie nosa, gulgotanie, spuszczenie wody, odkręcanie kranu, mydlenie, plusk, szorowanie, a potem stłumiony szum jej suszarki do włosów. To zadziwiające, jak głośno wydają się zwykle dźwięki, kiedy między dwojgiem ludzi w jednym domu zapada głębokie milczenie, wynikające z tego, że nic ich już nie łączy.

Słyszałem, jak drzwi do łazienki otwierają się i zamykają. A gdy wyszedłem od siebie trochę później, niby po to, żeby na tarasie zaczerpnąć świeżego powietrza, a w gruncie rzeczy powodowany ostatkiem zaciekawienia, zobaczyłem ją. Wyglądała cudownie w czarnych spodniach i stylowej bawełnianej białej bluzce. Włosy miała zupełnie rozpuszczone i — coś nietypowego dla niej — była umalowana. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej rzuciłoby mnie to na kolana jak niewolnika. Oparłbym ją o drzwi i wdychał zapach za jej uchem. Teraz jednak nic takiego się nie stało.

Wszedłem do środka z tarasu, miała więc okazję coś mi powiedzieć. Za sprawą ołówka do powiek czy tuszu do rzęs wydawała się nadąsana, z napuchniętymi oczami. Minęła mnie w oparach Madame Rochas i zeszła po schodach, gasząc po drodze światła.

Była dwudziesta pierwsza trzydzieści. Przez piętnaście lat nigdy nie wyszła z domu o takiej porze beze mnie. Kiedy wróciłem do gabinetu i powaliłem się na połamaną sofę, słyszałem własny oddech.

Nie wiem, o której wróciła, ale kiedy obudziłem się nazajutrz rano, jej oddech na poduszce obok był ciężki od zapachu skwaśniałej whisky, a pomięte ubrania poniewierały się po całym pokoju, koronkowy stanik zwisał z oparcia krzesła niczym pnącze.

O nic jej nie spytałem. Ona nic nie powiedziała. A wieczorem ponownie ładnie się ubrała i wyszła. Następnego dnia znowu po-

czułem zapach przetrawionej whisky na poduszce i zobaczyłem stanik na krześle. Dwa dni później przekonałem się, że tym razem spała w ubraniu.

Powiedziałem do niej potem: Fizz, proszę, jedź ostrożnie, kiedy pijesz.

Spojrzała na mnie z wyrazem takiej udreki, że odwróciłem się i poszedłem z powrotem do gabinetu. Nie miałem pojęcia, co zamierza, i tak naprawdę w ogóle mnie to nie obchodziło, ale nie chciałem, żeby była nieszczęśliwa. Jednocześnie nie potrafiłem zebrać się w sobie i jej uszczęśliwić. W jakiś niejasny sposób żywiłem nadzieję, że znajdzie sobie gdzieś nowe źródło radości i wyprowadzi się ode mnie. (Niedoskonała natura egoistycznej miłości: zdobywać się na życzliwość tylko wtedy, gdy własne potrzeby już się zaspokoilo). W rzeczywistości mogłem jednak coś zrobić.

Mniej więcej dwa tygodnie później jej nocne wypadki skończyły się i kiedy zaczynałem się już do nich przyzwyczajać, poranny smród whisky zniknął. Ubrania znalazły się tam, gdzie było ich zwykle miejsce, za drzwiami łazienki i w koszu na bieliznę.

Niespodziewanie w domu zaczęły się pojawiać jej przyjaciółki, właściwie o wszystkich porach dnia. Jej przyjaciółki, nie nasze. Dża-ja, Mini, Čaja. Pewne siebie, twarde kobiety, prowadzące ekspansywne, niezależne życie, dla których Fizz była uroczym kuriozum, czymś w rodzaju zagadki. Dostrzegały jej niezależność i widziały jej potrzeby, nie potrafiły jednak zrozumieć, w jaki sposób umiała je zharmonizować, wyśmiewały ją i jednocześnie jej zazdrościły. Teraz ich współczująca obecność wypełniała nasze niewielkie barsati. W atmosferze wyczuwało się specyficzną wojowniczość — coś w rodzaju nastroju towarzyszącego deklaracji praw człowieka — która zawsze była obca miejscu naszego zamieszkania.

Próbowałem nie odrywać się od prowadzonych studiów, unikałem konfrontacji. Gdy nasze drogi się krzyżowały, patrzyły na mnie oskarżycielsko, a potem gromadziły się w salonie i ściszymi głosami gadały bez końca.

Czasami wyciągały na taras wiklinowe krzesła, siadały i popijając rum Old Monk z colą, dokazywały do późna w pogodną noc obejmującą Delhi. Nigdy nie miałem ochoty ich podsłuchiwać, złościło mnie tylko, że zajmują taras, bo po dniu spędzonym w gabinecie lubiłem pospacerować przez godzinę po tarasie, przewietrzyć się i uporządkować myśli.

Za każdym razem odnosiłem wrażenie, że Fizz mówi najmniej. Poza tym jej decyzja, żeby przystąpić do walki i sprowadzić posiłki z zewnątrz, również była czymś zupełnie nowym. Poddawanie

naszej miłości jakimkolwiek sprawdzianom, korektom lub dyskusji przez kogokolwiek innego uważaliśmy przez piętnaście lat za świętokradztwo. Żadna kłótnia, żadna rana w sercu, żadna niedola nigdy nie wyszły poza ścisły krąg naszej miłości i nie dostały się pod lupę przyjaciół albo rodziny.

Ale wtedy pożądanie nigdy nas nie opuszczało.

Czasami, kiedy przechodziłem przez salon i widziałem posagową Dżaję pochylającą się w stronę Fizz i nakłaniającą ją do czegoś — podczas gdy ona siedziała z brodą opartą na zwiniętej dłoni, a jej oczy podążały za mną — czułem, że to kolejne przedstawienie, obliczone, by mi dopiec. Miało podkreślić jej cierpienie i potrzeby, i moje jawne okrucieństwo.

Prawdę mówiąc, Dżaja na swój wyzywający sposób — duży kolczyk w jej nosie kołysał się w moją stronę — usiłowała zagnać mnie w kozi róg, domagała się wyjaśnień. Ale ja zbywałem ją uprzejmie. Nie byłem jeszcze gotów na wpuszczenie świata do mojego życia — głównie dlatego, że sam nie wiedziałem, czego chcę od niego. To nie miało znaczenia. Dość, że obecność tercetu Dżaja-Mini-Ćaja w naszym życiu szybko malała, by zniknąć zupełnie. Podobnie stało się z atmosferą wojowniczości i nastrojem towarzyszącym deklaracji praw człowieka.

Znowu było tylko nas dwoje.

Ostatecznie Fizz przełknęła swoją dumę, swój żal i zdobyła się na ponowne wyciągnięcie do mnie ręki. Pewnego wieczoru spytała, czy nie poszlibyśmy gdzieś na obiad, a ja się zgodziłem. Zaproponowała Daitchi w kompleksie handlowym South Ex, ale nie chciałem odwiedzać jakiegokolwiek miejsca, z którym wiązały się wspomnienia. Tak więc poszliśmy do eleganckiej pizzerii, otworzonej niedawno na rynku Defence Colony, i zajęliśmy krzesła naprzeciw siebie obok wielkiego okna.

Wyglądała na małą, zagubioną i podatną na zranienia.

Gdybym po prostu sięgnął ponad stołem i położył rękę na jej ramieniu, zemdlalaby z ulgi, wszystko zostałoby w jednej chwili zapomniane. Ale nie potrafiłem się na to zdobyć. Błyszczące zimne wnętrza — bezosobowy chrom, szkło i kafelki — pomagało mi zachować dystans. Namiętna miłość nie wystawia się na pokaz w takich miejscach. Z drugiej strony Daitchi, ze swoim przestarzłym wystrojem, wytartymi obiciami, kosymi spojrzeniami kelnerów, odurzającymi zapachami jedzenia i zakodowanymi wspomnieniami, mogłaby na chwilę mnie rozkrochmalić.

W milczeniu jedliśmy chrupiącą pizzę, wsłuchując się w paplaninę rodzin siedzących obok.

W końcu Fizz zapytała: Co chcesz robić? Nie wiem.

Chcesz przez to powiedzieć, że wszystko skończone? Nie wiem.

Chcesz, żebym się wyprowadziła na jakiś czas? Nie wiem.

Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem. Tok tok tok.

Nie mogłem nawet na nią spojrzeć.

Kiedy wróciliśmy do domu i położyliśmy się do łóżka, nie patrząc na mnie, powiedziała: Proszę, chodź tu.

Zgasilem światło i w odbitym blasku latarni ulicznej, wpadającym przez wentylator, odwinąłem lungi i wtoczyłem się na nią.

Zaczęła mnie całować, używała języka i zębów, starała się przywołać dawną magię. Odsunąłem usta, nastawiając twarz. Jej ręce były wszędzie, kiedy szukała po omacku śladów dawnych czasów. Zsunąłem się z niej i położyłem na boku, moja ręka znalazła się między jej nogami. Fizz była gotowa i wilgotna. Głaskałem śliskie ciało. Jej biodra się poruszyły. Wciągnęła mnie na siebie z powrotem. A ja nie miałem nic do zaoferowania. Jej biodra poruszyły się znowu. Usiłowałem przeczyć, zamknąłem oczy, koncentrowałem się. Ale choćby nie wiem jak się skoncentrować, nie sposób wbić makaronu w ścianę. Nagle zastygła w zupełnym bezruchu. Żadne z nas nawet nie drgnęło. Leżałem na niej jak martwy. Prawie nie oddychała. Stoczyłem się z niej. Nie poruszyła się. Widziałem, że ma otwarte oczy, zapatrzone w zmyśloną galaktykę na suficie, tracącą powoli niedawno nabyty blask.

Przepraszam, powiedziałem.

Milczała.

To nie ma z tobą nic wspólnego, mówiłem dalej. Problem tkwi we mnie.

Nie poruszyła się ani nie odpowiedziała.

Leżałem grzecznie jeszcze kilka minut, a potem wstałem i poszedłem do łazienki. Wziąłem mydło Dettol i zmyłem z rąk jej zapach.

Kiedy wróciłem, nie wykonała najmniejszego ruchu. Leżała, z podkoszulkiem wokół bioder, z rękoma podłożonymi pod głowę, zapatrzona w sufit. Przyćmione światło z ulicy wędrowało po wzgórku jej brzucha i znikало we włosach. Tłumiła w sobie złudzenia. Nie zamierzała już upokarzać się w mojej obecności.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Podniosłem lungi, okręciłem je wokół bioder i wyszedłem do gabinetu.



Pod koniec tamtego tygodnia spakowałem worek marynarski, rykszą pojechałem na dworzec Stare Delhi i zjawiłem się w Rzeczach Pierwszych. Rakszas przeżył szok na mój widok. Wczesnym rankiem wyłoniłem się z taksówki Maruti, sam na dodatek. Był to pierwszy raz, kiedy przyjechałem bez Fizz, i być może popełniła błąd, pozwalając mi na to.

Kiedy zadzwoniła tydzień później do sklepu thakura, oddaliłem się jeszcze bardziej. Prawdę mówiąc, mój głos musiał brzmieć zupełnie obco, bo gdy się odezwała, nie miała mi nic do powiedzenia poza pytaniem o Baghirę i jego szczepienie przeciw wścieklicznie.

Przyjechała cztery dni później, wolno prowadząc gypsy.

Rakszas był wobec niej bardziej uprzejmy niż kiedykolwiek. Wyczuwał, że jest zraniona.

Moim zdaniem szybko się zorientowała, że nie tylko mój głos brzmiał obco przez telefon, ale właściwie ja sam stałem się obcy. Do tego czasu łóżko Bideśi Lala i stadka jego chłopców stolarzy jakby przestało dla mnie istnieć, a dom ogarnęła upiorna cisza, jeszcze bardziej podkreślając przepaść między nami.

Nie dotykaliśmy się. Ledwie co rozmawialiśmy. Spędzałem dni w niewykończonym gabinecie, z notatnikami. Siedząc na kamiennym parapecie, wpatrywałem się w długi pas doliny. Ona z kolei snuła się po okolicy w szarych spodniach od dresu, wymachując sekatorem z pomarańczowymi rączkami, podcinając i modelując rośliny. Rakszas, z wyrazem troski na twarzy, podążał za nią z workiem nawozu.

Dęby — wielkości palca, kiedy kupiliśmy je rok wcześniej w zaniedbanej szkółce przy drodze do Ramgarhu — poradziły sobie z agresją miejscowych roślin i wystrzeliły w górę. Większość innych sadzonek nadal walczyła o przetrwanie.

Wełniak przy dolnej bramie, po wiele obiecującym pełnym rozkwicie latem, szerniał w zimowym mrozie i zmarniał. Sześć sadzonek płomienia Afryki i strączyńca, kupionych w szkółce Dźor Bagh w Delhi, nawet nie próbowało rosnąć i ogłosiwszy światu swoją lojalność wobec upałów równin, szybko zwiędło.

Figowiec święty przy frontowej bramie, przesadzony z donicy, która stała na naszym tarasie w Delhi, był podwiązany sznurkiem, a ciasno skręcone jasnozielone nowe pędy świadczyły o jego zamiarach. Banian nie większy od małej dłoni, także przesadzony

z doniczki Fizz, zastygł w stanie zawieszenia. Zbyt silny, by paść, zbyt dumny, by się piąć. Chiński bambus ze szkółki Hapur nie rósł w górę, zamiast tego rozgałęział się wszcz. Ale palisander i bauhinia — kupione u podnóża Haldwani i zasadzone przy ścieżce prowadzącej po zboczu do domu — były zielone od soków i nadziei.

Jadloszyn — kolejne dziecko Fizz — także miał sporo liści i urósł wysoki, ale jego pień był tak cienki, że martwiliśmy się o niego. Zastanawialiśmy się, czy wytrzyma, jeśli usuniemy bambusowy pręt podtrzymujący go w pionie. Sadzonki mango z Dżeolikotu objęły w posiadanie niższą część zbocza i pieniały się zaskakująco dobrze, wypuszczając mnóstwo ciemnozielonych liści. Dobre prognozy można było też snuć wobec czerwonego cedru i, co zadziwiające, drzewa goździkowego, zasadzonych jakby mimochodem przy ścieżce za domem.

Drzewem wartym oglądania była wierzba płacząca koło kranu. Fizz urwała pęd w Naukućijatalu i po prostu wetknęła go w ziemię, a roślina natychmiast zaczęła się umacniać na swojej pozycji.

Schodziliśmy sobie z drogi, zostawiając Rakszasowi, teraz kucharzowi, gospodarzowi i mediatorowi, budowanie między nami pomostów, jakimi stały się jedzenie i herbata, bo dzięki nim mogliśmy siedzieć razem. Rakszas był po sześćdziesiątce i miał tylko jedną rękę. Kiedy jeszcze jako dziecko zbierał w lesie z rodzeństwem drewno na opał, skoczyła na niego pantera i chwyciła go zębami za lewe ramię. Dwie starsze siostry natychmiast złapały siedmiolatka za prawą rękę i prawą nogę i nie dały go bestii. Gdy pantera zamierzała się wgryźć w resztę jego ciała, najstarsza siostra, piętnastoletnia Rampjari, wrzasnęła przeraźliwie, rzuciła się na drapieżcę i wbiła mu w łeb maczetę, którą ścinała drzewka. Panterze na pewno oczy wyszły na wierzch ze zdziwienia i bólu, przestraszona odskoczyła do tyłu. Zdążyła jednak w tym czasie odgryźć chłopcu lewe ramię. Dla przerażonego zwierzęcia sprawa się jednak nie skończyła, bo Rampjari zaatakowała je ponownie, krzycząc jak oszalała. Oszolomiona pantera upuściła krwawiącą rękę i jednym susem, niczym strzała, uciekła z maczetą Rampjari w głowie, sterczącą niczym grzebień na łebku bażanta.

Młody Rakszak — obrońca, tak się wtedy nazywał — przeżył. Został z poszarpanym piętnastocentymetrowym kikutem, opiętym błyszczącą skórą, którym poruszał z ogromną energią. Kiedy mówił z ożywieniem albo śpiewał głośno, prawą rękę trzymał przyciśniętą do boku, kikutem zaś wymachiwał niczym dyrygencką batutą. Miejscowi podśmiewywali się z niego, opowiadając, że przez

wszystkie te lata musiał dostarczyć mnóstwo rozkoszy wieśniaczkom z tych okolic.

Nie wykluczałbym tego, bo ciało miał smukłe, a twarz o klasycznych, ładnych, chłopskich rysach. Mocne szczęki, okazały nos, nieoczekiwanie delikatna skóra i krzaczaste wąsy. Mimo że miał już sześćdziesiątkę na karku, jego skóra nie straciła jędrności, nosił się zaś niczym wojskowy. Nie było rzeczy, której nie potrafiłby zrobić, od rąbania, sprząwania i gotowania po naprawianie kranów i bezpieczników, wstawianie okien i drzwi. Miał wyjątkowy wrodzony talent do geometrii i budowania: kamień, cyna, drewno, cokół, belka, kątownik, rura, pion, drut. Za każdym razem, gdy robotnicy natrafiali na jakiś problem, instynktownie zwracali się do niego.

A on odpowiadał: Maderód! Kto tu jest fachowcem, ty czyja?

Musiał też być niezwykłym sportowcem w czasach szkolnych. Grał w ataku w drużynach futbolowych i hokejowych, grał w kręgle i krykieta z ogromnym zacięciem. Jeszcze jako sześćdziesięciolatek nadal miał sporą siłę. Obiema dłońmi nie mogłem go pokonać w siłowaniu się na rękę. Skończył tylko osiem klas, ale szkoła trzymała go znacznie dłużej, wykorzystując jego talent sportowy. Powalał każdego przeciwnika jednym ciosem, a kiedy go zaczepiano, wpadał w zapamiętanie niczym derwisz.

Podczas nauki w szkole, kiedy można było pomyśleć, że we wszystkim pomagają mu jakieś niewidzialne ramiona, nadano mu imię Rakszas — demon o wielu rękach.

Nabrał też z czasem godnego demona temperamentu. Z nagłą wpadał we wściekłość, a wtedy mocno krzywdził — a nawet atakował — wszystkich wokół. W jednej chwili siedział spokojnie w kucki i pilnował postępu prac, by za moment zerwać się na równe nogi, chwycić za kark źle pracującego robotnika i posłać go do wszystkich diabłów, szarpiąc nim i wrzeszcząc mu do ucha: Maderód! Gandu! Wielkiś jak pierdolony wielbłąd, a nie umiesz utrzymać prostej linii!

Wszyscy znosili to pokornie ze względu na jego wiek, reputację i fakt, że prawie zawsze miał rację. A także dlatego, że wieczorami miewał chwile serdeczności, kiedy obejmował robotników ramieniem, dawał im pociągnąć z ćilam, częstował herbatą i dzielił się mądrością swojego wieku.

Jego surowość nie oszczędzała ani Fizz, ani mnie.

W oczy mówił nam jedynie: Are, tego nie znajdzie się w żadnej książce na świecie!

Ale kiedy tracił nas z oczu, choć byliśmy cały czas w zasięgu

jego głosu, wołał: Podcierają sobie tyłki papierem, z gazet poznają świat i chcą go zrozumieć! Skąd mają znać język ziemi? Skąd mają znać tajemnice gleby? Powiedz, podtarłbyś sobie tyłek papierem? Lepiej zdechnąć niż być takim głupkiem!

Zawsze mieszał nas z błotem, odwołując się do naszych niewłaściwych zachowań w ubikacji.

Powiedzcie mi, mówił do zebranych robotników, kiedy siedzicie na krześle i sracie, możecie zupełnie się wypróżnić? Are, na krześle się siada, jak się spotyka z przyjaciółmi albo z teściem. Jak się je w hotelu. Jak się zdaje egzamin. Czy możecie się wysrać, siedząc na krześle? Jak się to robi przez całe życie, to ani chybi zostaje się z masą gówna w środku! Widzieliście miastowych, jak wyglądają, jakby ciągle mieli zaparcia? To badziewie zostawione tu przez białego człowieka.

Kiedy był niezadowolony z powodu jakiegoś robotnika, mówił: Co się z tobą dzieje? Podtarłeś sobie dzisiaj tyłek papierem?

Rakszas mieszkał w walącej się ruderze obok bramy, zupełnie sam, zawzięcie niezależny. Jego żona umarła wiele lat wcześniej i choć synowe mieszkaly w okolicznych wioskach, nie wytrzymałyby życia u którejkolwiek z nich. Wszyscy czterej synowie byli w wojsku, rośli mężczyźni, którzy bardziej bali się własnego ojca niż wroga.

Zdecydowany optymistą, Rakszas dał się jednak opanować płacziwej atmosferze, jaką wytwarzaliśmy z Fizz. Zaczął nucić smutne piosenki nawet w ciągu dnia. Śpiewał bowiem według ustalonego schematu: religijne i smutne pieśni o świcie i o zmierzchu, pełne radości przeboje indyjskiego kina z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przez resztę czasu. Nie miał szczególnie przyjemnego głosu, ale teraz byłem mu wdzięczny za to nieustanne nucenie. Przełamywało dominującą w domu melancholię.

Kiedy nie chodził krok w krok za Fizz, siadał przy zbiorniku wody, ponad obiema dolinami, i śpiewał na całe gardło ramdhun rozśławione przez Gandhiego w dniach walki o wolność.

Pan z rodu Raghu, król Rama, oczyszczający duszę z wszelkich grzechów, Sita, Rama. Jakiegokolwiek jest Twoje imię, Iśwar czy Allah, wszystkich nas, Boże, obdarz łaską.

Intonował nabożną pieśń w różnych rejestrach, wypełniając dolinę, wysyłając nam wiadomość, a jego kikut obracał się powoli. Ale pieśń, która kiedyś poruszała miliony, na mnie nie robiła wrażenia. A Fizz naprawdę nie potrzebowała już niczego, co pogłębiłoby jej udrękę.

Minęło pięć trudnych dni od jej przyjazdu. Wieczorem gwałtowna nawałnica uderzyła w góry. Słońce już zaszło, gdy zaczęła wiać silna bryza. Wkrótce sosny i dęby kołysały się i szumiały. Byłem akurat na grani i siedziałem, nieobecny myślami, na pieńku cedru. Nie miałem pojęcia, gdzie jest Fizz, ale widziałem Rakszasa na ławce obok zbiornika wody. Urywki jego śpiewu docierały do mnie przez ostatnią godzinę.

Nagle jedynym dźwiękiem stał się szum wiatru, przebiegającego niezliczonymi odnóżami wśród gałęzi, po liściach, przekazującego wiadomość o tym, co miało nadejść. Poszycie wszczęło larum dziesiątkami języków. Żadna Hitchcockowska muzyka nie potrafiłaby stworzyć napięcia równego dziełu wiatru-herolda w górach.

Wstałem instynktownie i kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem Rakszasa stojącego na ławce. Trzymając prawą dłoń nad oczami niczym teleskopową osłonę, bacznie przyglądał się szczytom. Gdy podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem, dostrzegłem muskularne szaroczarne chmury zbierające się w górze, warstwa na coraz grubszej warstwie na całej długości doliny. Wielkością i groźnym wyglądem sprawiały apokaliptyczne wrażenie. Niedługo naprą mocno na szczyty i na nas. W miarę jak patrzyłem, wzgórza pociemniały gwałtownie. Rakszas odwrócił się do mnie i coś krzyczał. Silny wiatr unosił słowa w inną stronę, ale machanie jego ręki było dla mnie wystarczająco jasne.

Pośpieszyłem w dół stromą ścieżką pokrytą sosnowym igliwem i w chwili, gdy przeciskałem się przez dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego, wiatr stał się mokry — ostrzegawczy spray na plaży, zanim uderzy fala.

Rakszas gdzieś zniknął, pewnie zajął się wnoszeniem do środka krzesel i ubrań, zamykaniem okien i drzwi. Baghira miotał się po kwadracie kuchni w paroksyzmie strachu i sprzeciwu, czekał na wyjący wiatr i obniżające się chmury. Po drugiej stronie domu okno bębniło miarowo. Ktoś je zamknął i hałas ustał. Pokryty blachą dach zaczynał się budzić, przeciągał się z jękiem i trzaskiem. Wkrótce będzie się poruszał łagodnym kłusem, a potem, gdy szalejąca wichura dostanie mu się pod skórę, przejdzie w galop we wszystkich kierunkach. Dzieło młotków Bideś Lala i jego stadka pryszczatych chłopaczków zostanie wystawione na próbę.

Aż gęsty wiatr, wilgotny i niepohamowany, uderzył we mnie, wypełnił koszulę i utrudniał mi utrzymanie równowagi. Pobiegłem od zbiornika wody na wyższy taras, do betonowej płyty, którą położyliśmy, kiedy kupiliśmy dom, i poszukałem schronienia w osłoniętej od wiatru niewykończonej łazience.

Widziany stąd krajobraz przedstawiał sobą ucieleśnienie piękna i grozy. Zapanowała złowieszcza szarość, gdy gromadzące się czarne chmury zabijały dzień. Nawałnice w środku i pod koniec lata nie były czymś niezwykłym w Gethii, ale w większości przypadków rozpętywały się w ciągu dnia i obylały bez deszczu. Uwalniały jedynie skrzekliwe, rozdzierające wichury, które wyrwały wszystko z grzęd i miały ludźmi. W jasnym świetle dnia sucha nawałnica jest jedynie pełnym werwy chaosem; w gasnącym świetle, z towarzyszącymi jej burzowymi chmurami i zawodzącym wiatrem, to przerażająca i niewyobrażalna sprawa.

Kiedy patrzyłem, każde drzewo, każde źdźbło trawy na każdym widocznym zboczu było w anarchicznym ruchu. Kołysało się, szeleściło, gięło, obracało. Ale nawet gdybym zamknął oczy, wiedziałbym, że wszystko, co bezładnie zaludnia dolinę, poszukuje w panice jakiegokolwiek schronienia, wpycha się w każdą szczelinę i załom, które mogą dać jakie takie schronienie przed grasującym wiatrem.

Kozy, psy, konie, krowy tę noc spędzą ze swoimi właścicielami. Gęste krzaki lantany poniżej domu staną się kokonem dla tysięcy ptaków — kozodoje będą spały piórko przy piórku z bulbulami i drozdami. Miliony ciem przywrze do wewnętrznych ścianek spróchniałych pni drzew, szykując się na noc o głodzie. Członkowie wielu setek rodzin, opatuleni zatechłą kołdrą, będą poruszać ustami, klepiąc wyuczone na pamięć modlitwy, w nadziei, że dachy domów nie opuszczą ich w środku ciemnej nocy i nie odlecą z wyjąłym wiatrem.

Po wystarczającym ostrzeżeniu deszcz uderzył z furią boksera w pierwszej rundzie. Krople wielkości pięści lądowały niczym lawina ciosów, bębniły o cienki dach, rozpryskiwały się na betonowym tarasie i gdy we mnie biły, kłuły dotkliwie. W dziesięć sekund, jakich potrzebowałem na przebiegnięcie tarasu i wskoczenie do łazienki, zmokłem do suchej nitki.

Rakszas był na dole w kuchni, przycupnął w kucki i zapalił lampy sztormowe. Żarówki zgasły w chwili, gdy rozpętała się wichura, na długo przed nadejściem ulewy. Obsługa elektrowni zawsze uciekała się do takiego środka ostrożności, żeby nie kusić bóstw natury. Jutro rano spróbują włączyć prąd, ale nadarem-

nie; będą musieli mozolnie wspinać się po wzgórzach i dokonywać napraw.

Rakszas parzył herbatę imbirową, jej ostry zapach tłumił smród nafty nalanej do lamp. Po kilku dniach przerwy śpiewał teraz inną, choć tak samo popularną pieśń religijną — najwyraźniej w reakcji na szalejący żywioł. Była to pieśń o przepowiedzianej przez Ramę epoce upadku, w której właśnie nam przyszło żyć. O dniach, gdy skorumpowani napychają się darami natury, podczas gdy prawi wyskrobują resztki, byle przeżyć.

Ramcandra powiedział żonie Sicie, że nadejdą czasy panowania ciemności, kiedy łabędź będzie jadł nieczystości, a kruk dostanie perły.

Wyciągnąłem płócienny leżak i usiadłem, żeby poczekać na herbatę. Obserwowanie Rakszasa przy pracy zawsze było fascynujące. Bardzo sprawnie odkręcił jedną ręką korek na zbiorniczku lampy, włożył lejek, nalał nafty z plastikowej butelki i porządnie zakręcił — cały czas trzymając lampę mocno między stopami — zdjął szklany klosz, podciągnął knot, wziął do ręki świecę, zapalił knot, zamocował z powrotem klosz, przetarł go brudną szmatą i odstawił płonąca lampę na bok, po czym wziął następną zgaszoną lampę między stopy. Cały czas wymachiwał przy tym energicznie kikutem w rytm śpiewanej pieśni.

Dach Bideši Lala wytrzyma?, zapytałem.

Oczywiście, że wytrzyma, sahibie, powiedział z typowym dla siebie optymizmem. Nie takie burze ten dom widział i jeszcze niejedną zobaczy.

A czy dach był już kiedyś zerwany?

Postawił trzecią lampę obok dwóch poprzednich, wyciągnął z kieszeni koszuli dużą porcję zielono-czarnych listków, odmierzył niewielką część, pomiętosił w palcach, nabił mały cybuch ćilam i zapalił od świecy. Zaciągnął się głęboko, a słodki, uderzający do głowy aromat zaczął wypełniać pokój, wypierając zapach nafty i imbiru. Rakszas oparł się plecami o ścianę, żółte światło uwydatniało jego mocne rysy, zakrył dłonią otwór główki fajki, zaciągnął się i powiedział: Sahibie, kiedy przyjdzie jego czas, nic nie utrzyma go na miejscu. Nawet najlepsi cieśle, nawet najdłuższe gwoździe, nawet najmocniejsze stalowe pasy.

No więc, był już zerwany?, spytałem ponownie.

Nie odpowiadając, wstał, skończył parzenie herbaty. Przecedzając napar, nalał go do pełna do dwóch kubków, podał mi jeden, potem usiadł w tej samej pozycji i w tym samym miejscu i ponownie oparł się plecami o ścianę. Głośno pociągając z ćilam, powie-

dział tonem wiejskiego gawędziarza: Posłuchaj, sahibie, opowiem ci o tym, jak pierwszy raz dach tego domu został zerwany. Dobrze, odparłem.

Opowiadał: Hindustan nie był jeszcze wolny. Biały człowiek miał tu wiele lat przed sobą, a droga do Najnitalu była jedynie drożyną dla koni. Guldar władała tymi wzgórzami, a woda w strumieniach była czysta jak nektar. Miałem sześć lat i mieszkałem z matką niedaleko Ramgarhu. Ojca prawie nie widywałem — pracował w Gethii. Pojechaliśmy odwiedzić rodzinę wuja w Birbhat-ti. Wuj miał pracę w gorzelni i w każdy weekend przynosił do domu zbiornik piwa, które wszyscy piliśmy. Jego syn nazywał się faktycznie Bir Bahadur Singh. Wszyscy myśleli, że ma na imię Bir, odważny — ale prawda była taka, że miał imię od angrez beer, które tak żłopaliśmy.

Roześmiałem się. Ale on pozostał poważny. Wichura i ulewa szalały na zewnątrz, atakowały okna i drzwi, niczym karabiny maszynowe ostrzeliwały szyby. Niepomalowane framugi zaczynały przepuszczać niewielkie krople.

Napawając się spokojem, jaki dawał mu tytoń, zamknął oczy i kontynuował: Był wieczór jak dzisiaj, późnym latem, wuj wrócił właśnie do domu z pojemnikiem piwa, a my wszyscy siedliśmy przed chałupą i piliśmy, kiedy wuj uniósł nagle głowę, przyjrzał się dokładnie całej dolinie, którą strumienie płynęły do Kathgo-damu, podskoczył i wrzasnął: Wstawajcie! Wszyscy! Szybko! Zabierzcie rzeczy do środka. Spojrzeliśmy w stronę, w którą patrzył, i w dali zobaczyliśmy potworne czarne chmurzyska sunące w naszą stronę niczym kłęby dymu z parowozu pociągu z Delhi.

Ciotka zaniósła się głośnym lamentem. Ile nas tam było, wszyscy biegaliśmy, wnosiliśmy, wciągaliśmy do środka, co się dało. W ciągu minuty cała wioska miotła się dookoła, wszyscy krzyczeli do siebie. Kto wie, co tamtej nocy napadło Tego Nad Nami, ale postanowił dać poddanym nauczkę. Tamta noc była wtedy, a dziś jest ta noc, i powiadam ci, sahibie, że przez ponad pięćdziesiąt lat, jakie upłynęły od tamtego czasu, widziałem wiele rzeczy, ale czegoś takiego drugi raz nie przeżyłem. I wiedz, że nigdy bardziej się nie bałem — nawet wtedy, kiedy pantera miała w paszczy moją rękę.

Pociągnąłem łyk herbaty. Cudowna. Taki napar nazywamy surrc'ai: bardzo słodki i parzący, który trzeba pić z głośnym siorbaniem. Surr...r...

Rakszas zareagował na to własnym siorbaniem, surrrr, i mówił dalej: Przywarłem do matki, kiedy burza nacierała na nas ze



wszystkich stron. Wiatr wył tak głośno, że nawet stojąc obok siebie, musieliśmy krzyczeć, żeby się usłyszeć. A deszcz... maderćod, nie deszcz! To nie były krople. Miało się wrażenie, że ktoś wylewa na nas z góry niewyczerpaną rzekę. A potem w nocy dach zaczął spadać.

Baghira przybiegł i położył się u moich stóp. Pochyliłem się i zacząłem głaskać go po gęstym futrze. Był czarniejszy od bezksiężycowej nocy, rasowy mastyf z opadniętym jednym uchem, które nigdy nie chciało sterczeć prosto. Baghira miał spokojną naturę górali: nigdy nie zebrał o jedzenie ani też nigdy nie szczekał bez powodu. Mimo to w okolicy budził postrach. W górach bowiem dobrze znana jest zaciekłość mastyfów, to potwierdzony fakt, że w sprzyjających okolicznościach dwa takie psy są w stanie załatwić panterę.

Rakszas mówił: Kiedy dach zaczął się odrywać, rozległo się walenie do drzwi, więc wuj pobiegł z pomocą. Wiatrzysko było tak silne, że nie mogliśmy zamknąć otworzonych drzwi. Dziesięcioro nas, w tym moja matka, ciotka i kuzyni, napierało razem, ale wiatr zdążył już w tym czasie wpaść do środka, wszystko fruwało, i wtedy sosnowe krokwie zachwiały się, a potem gwoździe, liny przewiązań i stalowe pasy zaczęły się obluźowywać, wprawiony w drganie dach podskakiwał, potem usłyszeliśmy odgłos rozdzierania i nagle patrzyliśmy na ciemne, burzowe niebo, z którego lał deszcz, a my bezsensownie trzymaliśmy drzwi, które przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wstałem i przyniosłem herbatnika dla Baghiry. Wziął go delikatnie, bez cienia chciwości.

Rakszas mówił: Używając starych sari, matka przywiązała mnie w pasie do kuzyna Bira, a moją siostrę Ćutki do Rampjari. A to dlatego, że wiatr, który potrafił unieść dach, mógłby też porwać dzieci. Wszędzie dookoła było ciemno choć oko wykol i panował straszny hałas — demoniczny wiatr, ulewny deszcz, uderzenia gromów, klekotanie blaszanych dachów, odgłos wrywanych krokwi, krzyk ludzi, porykiwania zwierząt, płacz dzieci — panował taki harmider, że nikt nie wiedział, co się naprawdę dzieje. Można było pomyśleć, że to koniec świata. Nagle rozległ się krzyk, że wzgórze nad nami zaczyna się osuwać. Wszyscy na złamanie karku rzucili się biegiem w dół zbocza, nie mając pojęcia, gdzie znajdą ocalenie. Ziemia stała się już do tego czasu błotnista, strumyki ożyły, przewracaliśmy się z Birem, potykaliśmy, znowu przewracaliśmy i biegliśmy, nie wiedząc, czy dudnienie w naszych uszach pochodziło ze strumienia za nami, czy też osuwało się wzgórze,

czy też tak mocno pulsowała nam krew w skroniach. W końcu natrafiliśmy na półkę skalną, skuliliśmy się pod nią, mocno do siebie przytuleni.

Tylko was dwóch?, zapytałem.

Tak, nie mieliśmy pojęcia, gdzie są wszyscy pozostali, ale byliśmy zbyt zmęczeni, żeby się tym przejmować. Zasnęliśmy, a kiedy się obudziliśmy, na świecie był już jasny dzień, niebieskie niebo, świeciło słońce, ubrania wyschły na nas, zostały na nich tylko grudki błota. Tamtego dnia, kiedy spojrzano się do góry, świat był piękny, ale jeśli popatrzyło się w dół, wydawało się, że Czyngis-chan najechał wioskę i dolinę. Lasy dębów i sosen zostały wyrwane z korzeniami. Więcej powalonych drzew leżało na ziemi, niż wznosiło się ku niebu. Wzgórze osunęło się w setkach miejsc, a każda ścieżka była zatarasowana zwałami skał i błota. W naszej wiosce nie ostał się żaden dach, a cały dobytek był porzrzucany po zboczu — ubrania, narzędzia, dachy, meble.

A ten dom?, zapytałem.

Dach tego domu leżał w dolinie niczym ogromna czapka. Ten wspaniały dach, największy w tamtym czasie w okolicy. Drewno zachowało się w nienaruszonym stanie, blacha też, nic się nie złamało. Jakby jakiś demon zdjął dach z domu i odłożył delikatnie czterysta metrów niżej. Wszyscy poszliśmy go oglądać, wspinaliśmy się na niego, biegaliśmy pod nim. Po południu przyjechała memsahib, w rękach trzymała strzelbę. Wszyscy się odsunęliśmy. Obeszła powoli dach dookoła, a potem pokazała coś ręką Gadźowi Singhowi i drepcząc, oddaliła się. Wieczorem Gadź przyjechał z setką mężczyzn. Podnieśli dach i przez całą noc taszczyli go w górę po zboczu z powrotem do domu. Następnego ranka cieśle wzięli się do naprawiania, wbijali gwoździe, przypinali stalowe pasy. Oczywiście cała reszta mieszkańców naprawiała swoje dachy tygodniami. Wieśniacy mówili potem: Co można o niej powiedzieć? To, co dla nas jest dachem, dla niej to zaledwie czapka. Kiedy my czekamy, co przyniesie nam przeznaczenie, ona je wykuwa dla siebie.

I od tamtej pory dach nigdy nie był zerwany?

O ile pamiętam, to nie. Aż do czasu, kiedy pan go zdjął i zbudował nowy.

To, co zdjęliśmy, to był oryginalny dach?

Are, nie widział pan, jaka gruba była blacha? To była czysta stal. Jak pan myśli, dlaczego wszyscy z wioski błagali pana o kawałek blachy? A pan ją rozdawał, jakby był jakimś nawabem z Dżag-dewpuru!

Odstawiłem kubek i wyszedłem na frontową werandę. Od dymu trochę kręciło mi się w głowie. Rakszas spokojnie kopał ćilam.

Ulewa ryła ziemię. Porywy wiatru waliły w drzewa niemal równie bezlitośnie, jak rozwścieczony nauczyciel policzkuje uczniów w klasie. Tylko nasz cedr, Triśul, wydawał się nieporuszony w swoim majestacie.

Przez nieokiełznany szal wiatru i deszczu można było dostrzec kilka pobłyskujących świateł na zboczu Najnitalu poniżej St. Joseph's School. Góra naprzeciw domu wyglądała jak smolisty złowieszczy kształt, ciemniejszy od deszczu, ciemniejszy od nocy. W świątyni na szczycie nie zamigotał nawet jeden punkcik światła. Na werandzie, dwa piętra poniżej dachu, dudnienie deszczu o blachę było wytłumione — dominował tu mniej natarczywy, za to solidniejszy odgłos twardej wody uderzającej w miękką ziemię.

Stałem tam przez dłuższy czas, zanim się zorientowałem, że nie jestem sam. Na pierwszym i jedynym stopniu werandy, oparta o kwadratową kamienną kolumnę w najdalszym miejscu z prawej strony, siedziała Fizz. Deszcz obmywał jej ciało, przemaczając ją zupełnie.

Była tak nieporuszona i tak ciasno przytulona do kolumny, że nie zauważyłem jej obecności. Przypominała posąg dwarpala, strażnika bramy z zamierzchłych czasów w zrujnowanym, opuszczonym domu. Ponętny cień, pilnujący, by do środka nie dostał się żaden intruz; człowiek wielkiego ducha — jej kręcone włosy były teraz proste, jej klasyczny profil wtapiał się w przelewającą noc, przedramiona na kolanach, dłonie złożone razem.

Serce mi zamarło. Przez cały ten czas nie zastanawiałem się w ogóle, gdzie mogła być. W pierwszym odruchu chciałem jej dotknąć. Ale coś mnie powstrzymało. Wiedziałem, że ten jeden gest będzie prowadził do innych rzeczy.

Powiedziałem jedynie: Fizz, przestań moknąć. Rozchorujesz się.

Nie odezwała się.

Powtórzyłem własne słowa. Bardziej stanowczo. Fizz, nie wyglupiaj się, wejdź do środka.

Nic nie powiedziała. Najdrobniejszym poruszeniem nie dała poznać po sobie, że wie o mojej obecności. Stałem tam wyprany ze wszystkich uczuć i zastanawiałem się, co powinienem zrobić.

Daremnie powtórzyłem: Fizz!

Niezdolny do opuszczenia tego miejsca, niezdolny do uczynienia żadnego wysiłku, poszedłem i padłem na kute krzesło w kształcie smoka, stojące obok wewnętrznych drzwi.

Idź i połóż się spać, powiedziałem do Rakszasa, który przyszedł zawołać nas na obiad.

Deszcz nie ustawał, a my nie ruszaliśmy się. Przysypiałem co jakiś czas i za każdym razem, gdy zerkalem na jej sylwetkę, wyglądała tak samo jak wcześniej. W którymś momencie, już nocą, jej ramiona zaczęły się trząść — od dreszczy lub płaczu, tego nie potrafiłem powiedzieć. Tak jak nie umiałem się zmusić, by do niej podejść. Patrzyłem i zasypiałem. A kiedy się budziłem, znowu patrzyłem.

Wątle światło brzasku, szare i smętne, walczyło z deszczem i chmurami o przestrzeń. Była to bitwa, której nie udało mu się w pełni wygrać przez cały ten zapomniany przez Boga dzień. Jednak z chwili na chwilę wyłaniały się kontury świata — drzewa, wzgórza, dalekie domy, wszystko przemoczone, ponure, ociekające. Baghira wbiegł z zewnątrz, stanął pośrodku werandy i otrząsał się energicznie, posyłając na orbitę miliony zimnych kropli.

Złapana przez pełnzące światło, nie chcąc ani chwili dłużej być obiektem mojego badawczego spojrzenia, bez wątpienia przemoczona do suchej nitki i bez wątpienia już u kresu jakiejś nocnej podróży, Fizz w końcu się poruszyła. Opierając się ręką o kolumnę, wstała — spodnie i bluzka lepiły się jej miejscami do skóry — i wolno rozprostowawszy kolana, poszła w strugach deszczu ku bramie.

Patrzyłem, jak schodzi po łagodnej pochyłości. Miała krok chłopki, mocno stawiała stopy, z silnym poczuciem więzi z ziemią.

Na starej, połamanej bramie położyła ramiona, oparła o nie brodę i zapatrzyła się na dolinę Bhumiadhar. Z tej odległości i przez poruszającą się zasłonę deszczu nie sposób było dojrzeć wyrazu twarzy Fizz, ale mogłem sobie wyobrazić, że drży jej dolna warga, kiedy tak wędrowała po mrocznej strefie pomiędzy pełnym żalu płaczem a dumną rozpaczą.

Stała, wpatrzona przed siebie, samotna, widmowa postać. Sporadycznie jakaś ciężarówka przejeżdżała obok, rycząc na zakręcie, pokonując łagodne wzniesienie i zacinający deszcz.

Po długim, jak mi się wydawało, czasie zmieniła pozycję, pochylila się i sprawdziła sadzonki figowca świętego i płomienia Afryki, które rosły po obu stronach bramy, a potem zaczęła wolno iść wzdłuż kamiennego muru i oglądała po kolei wszystkie rośliny, które zasadziła. Orzech, śliwa, dąb, kadam, bambus, kuflik, wierzba płacząca, bauhinia, palisander, kail, kuflik pstry — zniknęła mi z oczu za domem — cedr, cedr czerwony, banian, sosna, dąb himalajski, lima, drzewo goździkowe, bugenwilla, guawa,

oleander, tuja, cyprys, mango. Klękała i dotykała każdej rośliny, głaskała liście, niektóre wachała, do innych przytykała twarz. Trwałem w bezruchu, zastępy pomiędzy izolacją i wspomnieniami.

Minęło wiele minut. A potem pojawiła się z innej strony domu. W złożonych dłoniach trzymała kilka liści, przeszła obok, nie patrząc w moją stronę. Usiadłem, nie bardzo wiedząc, dokąd iść, nie bardzo wiedząc, gdzie leży sedno mojego życia.

Resztę dnia spędziła w niewykończonym gabinecie. Siedziała na parapecie z kamienia z Dżajsalmeru i wpatrywała się w dolinę Dżeolikot, a deszcz lał jak z cebra na wyciągnięcie ręki od niej. W jasnym świetle dnia zabrakło mi odwagi, by przebywać w tym samym miejscu co ona. Przeniosłem się na górną werandę — miałem stamtąd rozległy widok — wsłuchiwałem się w padający deszcz i wpatrywałem przed siebie niewidzącymi oczyma. Czułem się wyzuty z wszelkich słów i uczuć.

Późnym popołudniem usłyszałem trzeszczenie drewnianej podłogi. To były jej kroki, zdecydowane, ciężkie. Weszła do naszego pokoju, a gdy kilka minut później na wpół się obróciłem, pakowała ubrania do skórzanej torby.

Kiedy zesliśmy na dół, Rakszas i Baghira czekali na werandzie. Kilka razy podrapała psa pod brodą i powtórzyła zalecenia weterynarza dotyczące głębokich ran, jakie miał pod łopatką.

Wracaj szybko, didi, powiedział Rakszas.

Otworzyłem wielki zielony parasol J & B i czekałem na granicy deszczu. Weszła pod niego, nie dotykając mnie i nie mówiąc ani słowa. Zaczęliśmy iść w perfekcyjnie zharmonizowanym rytmie. Kroki udoskonalane tysiącem spacerów odbywanych przez ostatnie piętnaście lat. Zesliśmy po starych kamiennych schodach, skręciliśmy w prawo przy naszym cedrze ociekającym wodą i dalej do stareńkiej połamanej bramy, przez którą weszliśmy za pierwszym razem, kiedy przyjechaliśmy obejrzeć dom.

Teraz nie było już żadnej bramy. Musiałem odsunąć dwa druty kolczaste, żeby zrobić przejście. Odruchowo wzięła rączkę parasola, gdy odczepiałem druty od zakrzywionych gwoździ przybitych do słupka. Kiedy spojrzałem za siebie, dostrzegłem jednoręką sylwetkę Rakszasa, stojącego pod okapem otwartego tarasu i patrzącego na nas.

Przeszliśmy przez drogę i stanęliśmy przy uszkodzonym kamiennym murku pobocza. To tam właśnie usiedliśmy pierwszy raz — w promieniach świecącego słońca, pod jasnoblękitnym niebem — wpatrzeni w dom, przekonani, że tego miejsca szukaliśmy przez całe życie, że tu właśnie zostaniemy po kres naszych dni.

Słońce i rześkie powietrze sprawiły, że jej skóra lśniła. Fizz powiedziała: Jest tak, jakbyśmy byli połączeni z tym miejscem poprzez karmana.

Teraz staliśmy w strugach deszczu i czekaliśmy na autobus z Bhowali, który miał zabrać ją do Kathgodamu i dalej. Na drodze, pod baldachimem nieustannego deszczu i wzbierającej ciemności, nie było żadnego ruchu ani w jedną, ani w drugą stronę. Równie dobrze moglibyśmy stać tak u podnóża gór setki lat wcześniej — w czasach sprzed elektryczności, sprzed samochodów, sprzed Gandhiego, sprzed niepodległości. Sprzed miłości.

Moi rodzice i rodzice moich rodziców, i jej rodzice, i rodzice jej rodziców, i tak dalej, nie rozumieli idei romantycznej i seksualnej miłości. Dla nich istniało małżeństwo, pieniądze, obowiązki, kopulacja, dzieci. My zaś uważaliśmy, że nie rozumiemy niczego poza miłością. Teraz jednak staliśmy w miejscu sprzed elektryczności, sprzed samochodów, sprzed niepodległości, sprzed miłości. A ja w ostatecznym rozrachunku nie wiedziałem już, czy rozumiem cokolwiek, czy ona cokolwiek rozumie, i nie było sposobu, żebym się tego dowiedział.

Staliśmy tam tak długo, że parasol coraz mniej nas chronił. Wiatr zaczął, mocząc nam boki. W którymś momencie Rakszas zszedł na dół ubrany w ciężki zielony wojskowy płaszcz przeciwdeszczowy i zaproponował, żeby Fizz odłożyła wyjazd do następnego ranka. To była formalność. Znał jej temperament. Wrócił na górę i ponownie stanął pod okapem na tarasie.

Było już dobrze po dziewiętnastej, kiedy zobaczyliśmy szeroko rozstawione ślepia autobusu, omiatające smugami światła górę ponad nami. Powoli, jęcząc w ulewnym deszczu, pokonał ostatni zakręt i wjechał na prostą drogę. Kiedy cały czas zwalniając, zbliżał się ku nam, oślepił nas zupełnie. Przetoczył się obok i zatrzymał. Jego przednie drzwi były dokładnie naprzeciw nas. Odzyskaliśmy wzrok. Jak większość autobusów jeżdżących w górach był stary, w silniku coś chrobotало niepokojąco, klekotał, jakby ktoś wrzucił garść marmurowych kulek do maszyny.

Drzwi otworzyły się. Mocnym szarpnięciem rozsunał je szczupły młody konduktor. Ubrany w obcisłe dzinsy pod rozchełstaną peleryną przeciwdeszczową w kolorze khaki, miał zawadiackie,

staroświeckie, zadarte do góry wąsy. Fizz podała mu torbę, a on zwinnym ruchem przerzucił ją na siedzenie obok drzwi. Położyła dłoń na metalowej poręczy. Usunął się. Jednym podciągnięciem znalazła się w autobusie.

Wsadziłem głowę do środka i rozejrzałem się. Nie było zajętych więcej niż tuzin miejsc, pasażerowie siedzieli stłoczeni razem pod złachmanionymi pelerynami. Fizz przeszła dalej i usiadła za kierowcą. Chłopak czekał, aż wsiadę, lecz ja tylko złożyłem i wręczyłem mu zielony parasol. Wydawał się zdezorientowany.

Cofnąłem się z ramieniem wyciągniętym przed siebie i uniesioną pionowo dłonią i szybko przeszedłem na czoło autobusu. Strugi deszczu przerywały żółte snopy światła z reflektorów. Klekoczący silnik pulsował ciepłymi spalinami, przebijającymi się przez ulewę. Kiedy uderzyłem w bok karoserii po stronie kierowcy, stary sardardzi otworzył skrzypiące drzwi. Miał na sobie po-przecieraną wojskową parkę.

Powiedziałem: Sardar sahibie, proszę, jedź ostrożnie.

Bez obaw, synu, odrzekł i z trzaskiem zamknął drzwi.

Odsunąłem się, kiedy z głośnym zgrzytem wrzucił bieg i zwiększył obroty silnika, wyrzucając z rury wydechowej kłęby szarych spalin.

Autobus szarpnął. Fizz siedziała przy oknie, włosy miała szesane ciasno do tyłu, klasyczny profil, patrzyła wprost przed siebie, ja zaś nie potrafiłem zgadnąć, czy jej twarz jest mokra od deszczu, czy od czegoś innego.

A potem patrzyłem na parę niknących w dali tylnych świateł.

Nie wiedzieć kiedy autobus zakreślił i straciłem go z oczu.

Długo stałem pośrodku drogi, niczym nieosłonięty przed niebiosami, pozwalałem, by woda wnikała głęboko w moją skórę, aż jej początkowy chłód stał się ciepły i przyjemny.

Kiedy wróciłem do domu, wspiałem się do naszego pokoju i rozebrałem, czułem się równie nagi i pusty jak w dniu moich urodzin.

## SPADKOBIERCY

Niewiele miast na świecie jest starszych od Delhi. Przez tysiąclecia awanturnicy, poszukiwacze, rabusie, wędrowcy, królowie, uczeni, sufi i żebracy przybywali do jego bram w melodramatycznym stylu, w pogoni za różnymi rzeczami.

Nowe Delhi bezustannie rozrasta się na starym.

Tylko szaleństwo władzy pozostało niezmiennie.

Przeprowadziliśmy się do Delhi zimą 1987 roku. To znaczy z bagażami i wszystkim innym. Żeby tam zamieszkać, zapuścić korzenie. Początkowo, aby się zorientować w sytuacji, mieliśmy ze sobą jedynie dwie walizki, szukaliśmy zaczepienia. Szybko jednak znalazło się mieszkanie, barsati, więc pojechaliśmy po rzeczy i wróciliśmy na dobre. Po raz pierwszy przyjechaliśmy, gdy skończyły się ostatnie monsunowe ulewy, i w ciągu dwóch miesięcy mieszkania na walizkach widzieliśmy, jak opadają liście, nastaje jesień, dni stają się krótsze. Ruch uliczny zmalał i teraz po północy słychać było tylko sporadyczny warkot silnika, rzadko widywało się światła samochodów. Ramiona mgły zaczynały się zacieśniać rankami i nocami, by wkrótce objąć wszystko swoimi pasmami w godzinie świtu.

Przeprowadzaliśmy się do epicentrum Indii, a Indie nie były już niewinnym państwem. Terroryzm zdarł z nas w latach osiemdziesiątych samozadowolenie, a trzy dziesięciolecia dawnej wspaniałości i chwały, zrodzonej z pełnego godności wyrzucenia Brytyjczyków, szybko się dewaluowały.

W nadchodzących latach przestaną w ogóle mieć znaczenie: filizanki i spodki, i ocieplacze na imbryki, matka przełożona w klasztorach marii i jana, i słuchajcie! Zwiastują aniołowie, absolwenci Oxbridge jako zastępcy redaktorów w gazetach, gandyści w białych papierowych czapczkach w publicznych miejscach, etyczni dakoici, którzy okradają tylko bogatych, mafijni bossowie podziemnego światka, którzy szmuglują, ale nie zabijają, zaszczyty w krykiecie i gin w toniku, trwałość kast i konstytucji, moralna i materialna odpowiedzialność, karman i dharm.



Człowiek u władzy niedługo uniesie dhoti i pokaże nam tyłek. Człowiek na ulicy niedługo opuści workowate spodnie i pokaże nam tyłek. A my, klasa średnia, pochylimy się przed lustrem, spuścimy kupione w sklepie spodnie i sami sobie pokażemy tyłek. Pojawi się mętna gadka naukowców i analiza w mediach, będą traktować o sile niższych warstw społecznych, postkolonialnej odbudowie, zastoju na wsi, entropii Trzeciego Świata, świetle w tunelu dla dalitów, nacjonalizmie w kulturze i tak dalej. Skończy się jednak na tym, że wszyscy nawzajem będziemy pokazywali sobie tyłki.

Ostatecznie będzie to jedynie konfederacja tyłków.

Jak mawiał ojciec mojej matki o swoich synach nicponiach, którzy trwonili wszystko w pogoni za chimerycznymi „konceptami”, począwszy od sprzedawania paczek piętnastocentymetrowych patyczków, które miałyby wyprzeć szczoteczki do zębów, przez spodnie z suwakiem z tyłu, żeby można było się załatwiać bez ich zdejmowania, po karmienie na siłę kur sterydami, żeby znosiły jajka co osiem godzin (aż zaczną puchnąć jak balony i po-wybuchają), i jakby powiedział, oglądając pozostałości kolejnego konceptu, zły tak, że aż jego fajka wodna z drewna i mosiądzu by bulgotała: W ciemności nawet tyłek może wyglądać jak twarz.

Zimą 1987 roku w Indiach pełno było „konceptów”, które szły na opak. Konceptów rolniczych, konceptów politycznych, konceptów ekonomicznych, konceptów edukacyjnych, konceptów religijnych, konceptów na blokowanie brudnych pieniędzy, konceptów na przyciągnięcie czystych turystów, konceptów na wodę zdatną do picia, konceptów na ochronę zwierząt, konceptów na dobrobyt kobiet, konceptów na dożywianie dzieci, konceptów na powstrzymanie badawczych spojrzeń na kobiece fetysze, konceptów na szybkie przecinanie nasieniowodów u mężczyzn, konceptów na nacjonalizację, konceptów nauki, konceptów sportu, konceptów na czyste Indie, konceptów na stare Indie, konceptów na nowe Indie.

Opanowaliśmy sztukę nomenklatury od białego człowieka.

Wspaniałe etykiety mogą zakrywać niewybaczalne rzeczy.

W całym kraju surowo wyglądający mężczyźni i kobiety w ubraniach z miękkich materiałów zasiadali w komitetach i na urzędach i proponowali koncept za konceptem, czerpiąc ze swej płytkiej wyobraźni. Wszystkie miały znaczące nazwy. To je właśnie wpychano

w permanentnie przeżuwaną zębiska rządu niczym trzinę cukrową w obracające się wyciskarki na przydrożnych straganach. Sok odstawiano, wyloczyny wchodziły do gry.

Ludzie patrzyli na sok i jedli suche łydgi.

Jak mawiał pewien mój przyjaciel, Indie to gymkhana club, w którym naród ma prawo głosu, ale którego członkami są politycy i biurokraci.

Mój dziadek powiedział jedynie: W ciemności nawet tyłek może wyglądać jak twarz.

Zimą 1987 roku Indira Gandhi już nie żyła. Prawdę mówiąc, nie żyła od trzech lat. Mój ojciec płakał, kiedy podziurawiły ją kule. Patrzyłem wtedy na niego z pogardą. Miała sporo na sumieniu i mam jedynie nadzieję, że ktoś tam teraz ją z tego rozlicza.

Rajiv Gandhi żył, ale gwałtownie tracił na znaczeniu. Powiedział nam kiedyś, że miał marzenie. Jednak w tej chwili był metodycznie patroszony ze swej niewinności. Arogancja matki Rajiva Gandhiego była jej trucizną. Niewinność — jego. Wszystko to źle się skończyło, tragicznie. Kiedy odszedł, na pewno miał pytania i mam jedynie nadzieję, że ktoś tam mu na nie odpowie.

Geniusz hinduskich prawicowców jeszcze nie wpadł na pomysły godne wariata. Ludzie potrzebują czasu, by zejść ze szczytów wyniosłości. Rok 1947 zostawił nas w osamotnionym, najeżonym trudnościami miejscu. Czas obłąkańczych pomysłów prawicowców nadszedł, kiedy stopniowo utraciliśmy wielkie ideały nowoczesności i demokracji, którymi karmili nas wspaniali wojownicy występujący przeciw kolonializmowi, i cofnęliśmy się do mierności kast, wspólnot i religii.

Geniusz obłąkanych prawicowców pojmie w przyszłości, że w ciemności tyłek może wyglądać jak twarz, ale to nadal jedynie tyłek. Zwrócić się do tyłka jak do tyłka to zapoczątkować dialog zrozumienia. Jaka to może być ulga przestać udawać, że jest się twarzą. To jak odrzucenie noża i widelca i wzięcie się do jedzenia rękami.

Jaka to może być ulga spuścić spodnie i pokazać własny tyłek!

Jaka ulga być w konfederacji tyłków!

Arogancja matki Rajiva Gandhiego była jej trucizną.

Trucizną Rajiva Gandhiego była niewinność.

Obłąkanych prawicowców — małostkowość.

Zimą 1987 roku Indira Gandhi już nie żyła, Rajiv Gandhi żył, obłąkana prawica była w stadium embrionalnym. Ale kiedy przyjechałem do Delhi — na dobre, z Fizz u mego boku — żadne z nich, żywe, martwe czy embrionalne, w ogóle mnie nie obchodziło. Prze-

niesienie się do stolicy było nagłą decyzją, choć przymierzaliśmy się do niego bardzo długo. To było dla nas typowe. Rozmawialiśmy i rozmawiali, i rozmawiali o czymś, ale nie robiliśmy nic, by coś z tego wyniknęło. A potem niespodziewanie pewnego dnia klamka zapadała, nastrój brał nas w posiadanie i zanim się zorientowaliśmy, byliśmy na nogach i wprowadzaliśmy zamiar w życie.

W tym przypadku klamka zapadła najpierw w sprawie mojej pracy, a później przeprowadzki.

\*

W marcu tamtego roku, dzień po moich dwudziestych szóstych urodzinach, wróciłem do domu późnym popołudniem, stanąłem w nerkowatej kuchni wielkości wanny, podczas gdy Fizz parzyła herbatę, i powiedziałem: Chcę się zwolnić.

Z typowym dla siebie opanowaniem, gdy chodziło o sprawy naprawdę ważne, odwróciła się i powiedziała: To się zwolnij.

A potem z uniesionymi brwiami: Niezależnie od wszystkiego, kochany, chcę spędzić z tobą trochę czasu. Chciałabym ci coś pokazać.

W jednej chwili — przed wypiciem herbaty — postawiłem moją czerwoną maszynę do pisania Brother na stole, energicznym ruchem zdjąłem spatynowaną czarną pokrywę, wkręciłem papier, ustawiłem marginesy i bez wahania bezbłędnie wystukałem rezygnację z pracy w wydawnictwie.

Podanie nie było długie. Stwierdzałem w nim, że potrzebuję po prostu sześciu miesięcy wolnego i będę wdzięczny za udzielenie mi bezpłatnego urlopu. W razie gdyby nie było to możliwe, szef powinien uznać to pismo za moją rezygnację. Nie napisałem, jakie są powody tej decyzji. Zamaszystym gestem wyciągnąłem sztywną kartkę i podałem ją Fizz. Kiedy skończyła czytać, uściśnęła mnie, twarz miała zaróżowioną podnieceniem. A potem mnie pocałowała. Odruchowo wziąłem ją na ręce i położyłem na stole, usiadłem obok i wielbiłem ją ustami, aż przestałem słyszeć jej głos.

Fizz. Szalona Fizz.

Zawsze podniecająca się przypadkowymi aktami wyobraźni i wspaniałomyślności czy artystycznym szaleństwem. Podobnie jak niektóre kobiety podniecają się samochodami i ubraniami, i mięśniami, i pieniędzmi.

Od stołu w jadalni przeszliśmy prosto do łóżka i wstaliśmy dopiero nocą, wsiedliśmy na motor i pojechaliśmy na długą prze-

jażdżkę. Przemierzaliśmy w górę i w dół szerokie aleje Candigarhu, od jeziora po uniwersytet i dalej drogą biegnącą do Mohali, z otwartymi zielonymi polami rozciągającymi się po obu stronach. Ruchu prawie nie było, panowało zimno, motocykl niczym suwak rozpinął ciszę za nami, wiatr owiewał mi twarz, a ona trzymała się mnie mocno, jej delikatne dłonie były pod moją koszulą.

Kilka rzeczy może się równać z rozkoszą rzucania pracy. Odzyskujesz życie, jakkolwiek na krótko. Żeby być — choć przez jakiś czas — panem samego siebie. Jeździliśmy w tę i z powrotem, pozwalaliśmy dłoniom robić, co się dało, a kiedy tylko nie było już nic więcej, co dłonie mogły zrobić, i potrzebowaliśmy domu, żeby dokończyć to, co zaczęły nasze ręce, dopiero wtedy zawracaliśmy.

Następnego ranka obudziliśmy się bardzo szczęśliwi, pozostaliśmy szczęśliwi przez cały dzień i byliśmy bardzo, bardzo, bardzo szczęśliwi przez wiele następnych dni. Ale ja byłem zdeterminowany nie mitrzyć czasu. A moje zdecydowanie najwyraźniej elektryzowało Fizz.

Nazajutrz, kiedy zostałem sam w domu z zamiarem nakreślenia własnych planów, Fizz zabrała maszynę do pisania i zaniósła ją do serwisu w Sektorze Dwudziestym Pierwszym. Maszyna wróciła do mnie wieczorem, jej czerwony korpus lśnił, nasmarowane klawisze odzyskały szybkość uderzenia, a nowa taśma miała służyć pisaniu nieścieralnej prozy. Fizz przyniosła także ryzę papieru dobrej jakości, pudełko ołówków z twardym grafitem, kołonoatnik do robienia zapisków, dużą białą-zieloną gumkę, małą buteleczkę korektora Eraz-Ex, plastikową temperówkę w kształcie książki. W typowy dla siebie sposób zażartowała ze mnie, bo kupiła drewnianą plakietkę na podstawie: widoczna była na niej dziewczyna z włosami na sztorc, dłońmi złożonymi w geście uwielbienia i z napisem: Mój bohater!

Ja ze swej strony byłem gotów narzucić sobie harmonogram pracy i zasady, których miałem przestrzegać. Zapisałem je w notatniku, zredagowałem, poprawiłem, w końcu przepisałem na maszynie i przyklepiłem na lustrze w łazience. Niemądrze — no, może nie do końca — widniało tam: Instrukcja artysty z czasów młodości, około 1987.

Śniadanie, seks, gazety, mycie do 9.00. Początek pracy o 9.30. Przerwa o 13.00.

Lekki lunch i sješta od 13.00 do 16.00. Powrót do pracy o 16.00 i praca do 19.00.

Herbata o 17.30, przy stole, bez przerywania pracy. Pisać każdego dnia minimum 800 słów. Dozwolone dwa dni wolne w tygodniu. To oznacza 4000 słów tygodniowo.

Pamiętać: pisanie to w takim samym stopniu zdyscyplinowanie jak natchnienie.

Żadnych filmów w tygodniu.

Żadnego czytania Kafki, Joyce'a, Faulknera.

Czytać poezję przed snem: Hardy'ego, Larkina, Stevensa, Whitmana, Yeatsa, Eliota.

Czytać jedną stronę Szekspira każdego wieczoru.

Żadnego alkoholu w dni pracy.

Żadnego seksu przy pracy.

Biegać każdego wieczoru, żeby krew lepiej krążyła.

Potem następowały przykazania dotyczące pisarstwa, oddzielone od reszty Instrukcji czarną linią:

Być ambitnym — nie zamykać się w ramach łatwizny. Pamiętać: wspaniałe książki nie muszą się przejmować intrygą.

Pomysły i postaci — na nich się skupić. Kształtować formę tak samo jak treść. Innowacje. Pisać w trzeciej osobie — z autorską wszechwiedzą. Sprawić, by proza zapadała w pamięć — dostarczać stylistycznej zabawy.

Jednoznacznie kierować okazywaniem emocji.

Niech to będzie pragmatyczne pisarstwo: świat to pragmatyczne miejsce.

Nie starać się o wiarygodność — Indie są niewiarygodne.

Unikać pisania o seksie — trudno to pociągnąć, łatwo wpaść w szmirę.

Nie przegadywać pisania.

Świat jest pełen nieprzeczytanych śmieci — nie dodawać nic do nich.

Pisarstwo nie jest życiem. Fizz jest.

Fizz wzięła flamaster i w ostatnim przykazaniu skreśliła „nie”, a potem dodała Fizz na końcu drugiego zdania. W sumie brzmiało: Pisarstwo jest życiem. Fizz jest Fizz.

Z tym się zgadzałem, ale nie powiedziałem jej tego.

Każdego ranka czytałem tę listę, myjąc zęby, i liczyłem przykazania, których byłem w stanie przestrzegać. Na początku szło całkiem nieźle. Dzień pracy zaczynał się o wpół do dziesiątej i kończył o dziewiętnastej, z odpowiednimi przerwami w środku. Potem czekała mnie Fizz i nagroda za wykonaną tego dnia pracę. Ale istniało jedno niewymienione zagrożenie, to znaczy obecność Fizz w ciągu dnia. To właśnie w stosunku do niej żadne moje zasady zdawały się nie obowiązywać.

Ranki nadal się zaczynały od wachania jej ciała i w chwili gdy siadałem przy stole w jadalni, byłem zazwyczaj kontent. Starłem się utrzymać ten stan do lunchu i sjesty. Sjesta zawsze była częściowo kochaniem się, częściowo spaniem, sen przychodził po miłości. Zdarzało się jednak i tak, że następowały liczne nieprzewidziane przerywniki, kiedy nagle dawałem się ponieść jakiemuś impulsowi i nie byłem w stanie usiedzieć przy stole.

Wszystko mogło być przyczyną. Przypomnienie wspaniałego seksu albo dręczący brak satysfakcji, kiedy poszło źle. Jej piżmowy zapach utrzymujący się na mojej twarzy albo jego niepokojący brak. Dobre postępy w pracy i stłumienie skoków adrenaliny albo fatalne wyniki i poczucie pustki, która domagała się wypełnienia.

Jej drażniąca obecność albo jej drażniąca nieobecność.

Kiedy się to zdarzało, szukałem jej gorączkowo — w sypialni, w kuchni, w salonie — byliśmy wtedy brutalni i szybcy, jakbyśmy popychali się wzajemnie do łamania dyscypliny. Kończyło się to po kilku minutach, a ja znowu siedziałem na krześle o prostym oparciu, z palcami delikatnie ułożonymi na klawiszach — pianista szukający doskonałej kompozycji.

Tak jak poprzedni, ten maszynopis również dobrze się zaczynał. Pierwsze zdania były lekkie i pogodne jak latawiec, który unosił się w moim umyśle nocą po rezygnacji z pracy, gdy jechaliśmy ulicami Čandigarhu, a jej dłonie poruszały się pod moją koszulą. Za każdym razem, kiedy Abhaj pędził swoim dławiącym się motocyklem gwarnymi, tętniącymi życiem ulicami Čandni Čauk, miał wrażenie, że brzemień historii Indii siedzi mu na tylnym siodełku. Wyczuwał wszystkich od Szahdżahana przez królową Wiktorię po Gandhiego, Nehru, Patela, Azada, przywierających do niego, przytłaczających go i pełnych żądań, i niezależnie od tego, jakich dokonywał zygzaków, gwałtownych skrętów i przyspieszeń, nie potrafił ich zrzucić.

Pierwszego dnia pracy, kiedy się obudziłem, kochałem ją z niesłabnącym zapalem, wykąpałem się, zjadłem omlet i grzanekę, poczekałem, aż sprawnie sprzątnie stół, potem ustawiłem na nim brothera, otworzyłem go, odłożyłem na bok pokrywę, wziąłem kartkę i wkręciłem ją swobodnym gestem, obróciłem lekko pokrętkę, żeby gładko przesunęła się po wałku, ustawiłem marginesy, wcisnąłem klawisz dużych liter i z celowo głośnym stukaniem napisałem: Brudnopis roboczy numer jeden. 15 marca 1987 roku. Przesunąłem kartkę o dwa wiersze niżej i: Rozdział pierwszy. Dwa kolejne przesunięcia, którym towarzyszyło brzęknięcie, a potem z ożywionym rytmicznym szczękiem: Za każdym razem, kiedy Ab-haj pędził swoim dławiającym się motocyklem...

Mieszkanie nabrało aury powagi. Przy ołtarzu sztuki klekot maszyny do pisania jest religijną pieśnią. Fizz przemieszczała się po pokojach krokiem lekkim jak piórko i rozmawiała szeptem z zatrudnianą przez nas na kilka godzin dziennie gosposią. Przeciągnęła kabel telefonu do kuchni i podnosiła słuchawkę już przy pierwszym dzwonku, nie pozwalając nikomu, by mi przeszkadzał.

Pisałem z przekonaniem i z łatwością, zdania wolno dojrzewały w mojej głowie, obracałem je raz po raz, by potem wystukać słowa na maszynie. Przez kilka pierwszych tygodni napisanie ośmiuset słów dziennie nie stanowiło problemu. Drugim końcem ołówka liczyłem je skrupulatnie u schyłku każdego dnia i zapisywałem dokładną liczbę w kołonoatniku. 15 marca: 887 słów. 16 marca: 902 słowa. 17 marca: 845 słów. Bardzo szybko weszło mi to w nawyk i zacząłem liczyć słowa po każdym akapicie, zapisując wyniki i sumując, w miarę jak kartka zakrzywiała się na wałku. Marnowałem na to ogromnie dużo czasu.

Fizz dotrzymywała obietnicy i nie pytała o pisanie, czekając, aż sam poruszę ten temat. Zdarzały się dni, kiedy chciałem, by przeczytała to, co napisałem, żeby dodała mi otuchy, żeby ją olśnić, ale coś mnie powstrzymywało, grałem sam ze sobą, obserwowałem, jak długo wytrzymam, jak długo uda mi się nie wątpić we własny osąd, jak dużo przeleję na papier, zanim ją do tego dopuszczę.

A także, coraz intensywniej: jak długo zdołam ją utrzymać w drażniącym stanie wyczekiwania.

Wykluczenie jej stworzyło przyjemne erotyczne napięcie, tajemnicę dotyczącą akcji, jaka rozwijała się na lśniącej maszynie do pisania. I ja byłem częścią tej tajemnicy. Potęgował się od tego żar, jaki w niej budziłem, i tworzyła się nieoczekiwana magia. Fizz obchodziła na palcach obelisk pisarstwa, który ustawiłem w naszym życiu, i mogła mną owładnąć z każdej strony, z jakiej się zbliżała.

Nigdy nie byłem dla niej kimś tak wyjątkowym jak wtedy, gdy pisałem.

Łamiąc zasady naszego współżycia, zaczęła przejmować inicjatywę. Zdarzało się to zawsze u schyłku dnia, gdy praca była skończona, obowiązki wypełnione. Siadywałem wtedy na kozetce albo na łóżku, zasłuchany w Beethovena, bo ćwiczyłem się w zgłębieniu jego muzyki, a wtedy ona pochylała się i zaczynała całować mnie poniżej ucha albo głaskać delikatnie palcami po twarzy, albo dotykać mojej piersi wilgotnym językiem, albo kłaść głowę na mych udach i gryźć delikatnie przez spodnie.

W chwili gdy mnie dotknęła, przepadałem.

Olejami swego ciała przygotowywała mnie do ofiary, siadała na mnie okrakiem z wprawą eksperta, chwytając w pułapki najczulszych miejsc, a potem metodycznie zabijała swymi mocnymi pośladkami i wewnętrzną stroną ud. Krzyczałem i ona krzyczała, chorały Beethovena osiągały crescendo. Kiedy było po wszystkim, leżała swą przepiękną twarzą na moim mokrym udzie, światło księżycy wpadało do środka przez otwarte okna, pobłyskując na wszechobecnej wilgoci.

Bywało, że sięgałem do starego magnetofonu Philips — z klawiszami, które ciężko się wciskały z głośnym klik! — i hałaśliwie przewijałem Dziewiątą, i puszczałem ją ponownie. Do czasu gdy rozlegał się chór, ona odzyskiwała wigor.

Co wieczór pozwalałem się kłaść i czekałem. Było mi cudownie, gdy brała mnie w posiadanie.

Przez te miesiące doznawaliśmy czasami najintensywniejszych uniesień seksualnych w życiu. Wkrótce stało się to najwspanialszą nagrodą za pisanie. Właściwie przez cały dzień pracy byłem świadomy tego, co przyniesie wieczór.

Pisanie szło mi dobrze przez pierwsze sześć tygodni, ale potem zacząłem tracić wątek. W głowie miałem pomysł na wielką powieść. W tamtym czasie byłem pewny, że nie chcę tworzyć małych książek o małych sprawach. Błahość społeczna, emocjonalna, materialna, problemy w relacjach między ludźmi — nad tym móżolą się pisarze. Matki i synowie, synowie i ojcowie, rodzinne intrygi, sprzeczki kochanków, nauczyciele i uczniowie, zbrodnia i kara, uczucia wieśniaka, lekcje natury, przyjaźnie, więzi.

Marzyło mi się coś o dużym formacie. Wielki dramat życia,



zakręty historii, idei, cywilizacji, dalekosiężne ruchy, tworzące i niszczące świat.

Powieść, którą usiłowałem napisać, miała się zacząć przed podziałem kraju, obejmować trzy pokolenia i być metaforą trudnej sytuacji Indii — raka w sercu wolności. Abhaj, młody mężczyzna pędzący dławiącym się motocyklem ulicami Ćandni Cauk, miał należeć do trzeciego pokolenia — dziedzic legend walk o wolność, słuchający powtarzanych bez końca opowieści polityków i rodziców, ale skazany na życie w skorumpowanej teraźniejszości.

Jego ojciec, Mahendar Pratap, reprezentował drugą generację. Był łagodnym młodzieńcem, kiedy Indie walczyły o niepodległość, i wbrew życzeniu ojca włączył się do sarjagrah, hartali i andolanów, zainicjowanych przez Gandhiego i Kongres przeciw brytyjskim kolonizatorom.

Pierwsze pokolenie to ojciec Pratapa, pandit Har Dajal, ogromny, krzykliwy gwałtownik, który w latach trzydziestych jeździł rollsem ze stopniami przy drzwiczkach i beztrudnie chłostał chłopów niemal na śmierć. Ugiął się tylko przed Timem Andersonem, rumianym komisarzem okręgowym, prowadził nieustannie interesy z garnizonem wojskowym, trzymał w salonie portret Jerzego VI i naprawdę wierzył, że obecność białego człowieka jest dobra dla Indii. W domu pandita Dajala kobiety nigdy nie otwierały masywnych frontowych drzwi ani nie odpowiadały na wołanie z ulicy. Gdy wewnątrz nie było mężczyzny, odwiedzający musiał się po prostu odwrócić, pocałowawszy klamkę, niechętnie widziany.

Opowieść rozpoczynałaby się od Abhaja, by potem zostać niespodziewanie poprzecinana scenami z życia Mahendara Pratapa i pandita Hara Dajala. Byłem podekscytowany wystylizowaną fabułą, jaką wymyśliłem. Książka rozwijałaby się klastrami trzech rozdziałów: historii Abhaja, historii Pratapa i historii pandita. Każdy klaster miał się kończyć kodą: elżbietańskim sonetem, który oddawałby wzruszający smutek ich życia i łączył go z postępującym chaosem w Indiach. Czułem, że poezja może dostarczyć filozoficznego podsumowania, co jest bardzo trudne do zręcznego oddania prozą. Pociągało mnie również nowatorstwo tej formy.

Pierwsze dwa klastry okazały się łatwe. Udało mi się wprowadzić trzech głównych bohaterów z pełnym rozmachem.

Mający już dość słuchania inspirujących wykładów o Gandhim-Nehru, wygłaszanych przez ojca, Abhaj podąży z duchem czasu, nawet jeśli jest zdezorientowany. Chce wstąpić do szkoły dramatycznej i zostać aktorem w Bombaju. Ubiera się w dżinsy,

pali charmsy, pije piwo i w wieku dwudziestu jeden lat ma dziewczynę, którą obmacuje gorączkowo w kinie. Dobrze rozumie siłę pieniędzy i marzy o sławie aktora. Uważa, że ojciec to zrzęda, anachronizm.

Ojciec, Pratap, był w latach trzydziestych w Pendżabie natchnionym młodzieńcem. Jako szesnastolatek usłyszał w Amritsarze Gandhiego, nawołującego młodzież do ofiarności. Poszedł do domu, zerwał rynny i wyszywane srebrem mankiety koszul od kompletów khadi, rzucił szkołę średnią i wstąpił do lokalnego oddziału Kongresu. A wszystko to na oczach ojca tyrana, któremu nigdy przedtem nie śmiał się przeciwstawić. Znienawidził ojca za jego bogactwo, za lizanie tyłków białym urzędnikom, za sposób traktowania kobiet i służby.

Pandit Har Dajal był twardym człowiekiem, który sam do wszystkiego doszedł. Wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt, nosił podkręcone do góry wąsy i nieugięcie wierzył, że ludzie są tym, kogo sami z siebie uczynili, a świat należy do tych, którzy go przejmowali dla własnej korzyści. Już we wczesnej młodości wzgardził ojcowskim wioskowym sklepikiem ze słodyczami, pojechał do garnizonu w Lahaur, uwiódł białego sahiba swoją pewnością siebie i zdobył kontrakt na dostarczanie drobiu do koszar.

Po kilku latach całe zaopatrzenie przechodziło przez jego ręce, poczynając od mleka i ziarna, a na mięsie, ubraniach, butach, narzędziach kończąc. Miał haweli w trzech miastach — Lahaur, Amritsarze i Dehli — i ogromną farmę na wsi. Jeździł na czystej krwi arabach, nosił garnitury z Savile Row, palił fajkę z pianki morskiej, jadł przy stole nożem i widelcem i pierwszy w dystrykcie kupił automobil. Kobiety z odległych miast — z Karaczi, Lakh-nau i Bombaju — przyjeżdżały go zabawiać. Jego trzy żony, piętnaście córek i jeden syn patrzyli przez otwory w pełnych ornamentów marmurowych ścianach, jak wirujące tancerki w drgającym świetle pochodni przykucają i wiją się przed panditem, który gładzi wąsy najpierw lewą, a potem prawą dłonią.

Pierwszy klaster zamknąłem ironiczną kodą, sonetem o dwuznaczej i pokrętej naturze wolności. O tym, jak walczyliśmy, by wydostać się z jednego więzienia, tylko po to, by znaleźć się w innym. Stworzenie sonetu zabrało mi dwa dni.

Kiedy go skończyłem, popołudnie zeszło mi na zapisywaniu liczb. Trzy tygodnie bez dwóch dni. Czternaście dni pracy. 11 782 słowa. Trzydzieści cztery wypełnione strony i jedna z kodą. A potem policzyłem wszystkie gwiazdki i czaszki na końcu każdej strony kołonotatnika, w którym zapisywałem dzienną liczbę słów.

Były starannie narysowane w jednej linii — pięcioramienne gwiazdki kreśliłem bez trudu, czaszki wymagały więcej pracy, mimo że miały tylko z grubsza zarysowane oczodoły, wyszczerzone zęby i to wszystko.

Gwiazdki oznaczały, że Fizz i ja dochodziliśmy razem.

Czaszki, że robiłem to sam.

Naliczyłem pięćdziesiąt cztery gwiazdki i czternaście czaszek.

Fizz jeszcze nic z tego nie czytała, ale tego popołudnia pokazałem jej wyliczenia dotyczące pierwszego klastra. Siedzieliśmy na łóżku, miała na sobie żółtą kamizelkę i rozkloszowaną spódnicę — ubranie, w jakim nigdy nie wychodziła z domu. Spojrzała na kartkę papieru, oczy się jej śmiały.

Dni: 19. Dni pracy: 14. Słowa: 11 782. Napisane strony: 35. Gwiazdki: 54. Czaszki: 14.

Wzięła ołówek i zrobiła kilka obliczeń.

Dwieście osiemnaście słów na gwiazdkę, powiedziała, patrząc na mnie w parodii przesłuchania. To dobrze czy źle?, zapytałem. Bardzo dobrze-źle, odparła.

To było nasze określenie na dobrze zrobione złe rzeczy.

Lepiej uważaj, powiedziała stanowczo, ssąc koniec ołówka. W takim tempie zaczniesz mieć kłopoty z Hemingwayowskim limitem.

Odrzekłem: Mam jeszcze wiele lat, żeby zbliżyć się do tego stanu.

Pokiwała ołówkiem w moją stronę, a ja pochyliłem się i wsunąłem twarz w jej pachę, gdzie włoski zaczynały dopiero odrastać. Zapach czystego potu uderzył mi do głowy.

Prawdę mówiąc, powinienem zacząć nad tym pracować od razu, powiedziałem.

Odwal się, zwierzaku, odparła, szturchając mnie ołówkiem. Węszące świnie nie tworzą literatury.

Życie ponad literaturą!, wykrzyknąłem i zagrzebałem twarz tam, gdzie powstawało piżmo.

Później, naga, ponownie wzięła kartkę — teraz pogniecioną — i kontynuowała swoje obliczenia.

Kręcąc ołówkiem, powiedziała: Osiemset czterdzieści jeden słów na czaszkę. No, nie tak źle. Do przyjęcia.

W rzeczywistości jest gorzej, głupia kobieto. Dlaczego?

Żeby sprawdzić Hemingwayowski limit, trzeba dodać czternaście czaszek do gwiazdek i podzielić liczbę słów przez ich sumę. 54 gwiazdki + 14 czaszek = 68. Słowa: 11 782. Podziel.

O mój Boże!, jęknęła. To oznacza jeden orgazm na sto siedemdziesiąt trzy słowa. Tak?

Powiedziała: W tym tempie, zanim napiszesz trzy książki, wyczerpiesz swój życiowy kontyngent.

Zapytałem: Powinienem zrezygnować z pisania? Spojrzała na mnie znacząco.

A może powinienem...?, powiedziałem z uniesionymi brwiami. Tak, odparła. I to natychmiast. Załatwione, zapewniłem. Nigdy więcej. Mój bohaterze, powiedziała.

Przeczytaliśmy gdzieś o przekonaniu Hemingwaya, że każdy człowiek ma w życiu daną ograniczoną liczbę orgazmów — dlatego trzeba je racjonować. Za każdym razem, gdy sprawy między nami dokonywały się szybko i w zapamiętaniu, żartowaliśmy sobie z naszego kontyngentu. Tym razem nie było potrzeby się tym przejmować. Kiedy ukończyłem drugi klaster i mordowałem się nad kodą, moje natchnienie osłabło. Dziwne, bo kiedy talent pisarski zaczynał mnie zawodzić, seksualna intensywność — spotęgowane pragnienie — także zaczęła słabnąć. Po pięćdziesiątym drugim dniu, odkąd rozpocząłem pracę nad klasterem, gwiazdki i czaszki na dole stron w kołonotatniku pojawiały się coraz rzadziej.

Wkrótce mój status kogoś wyjątkowego zaczął zanikać. Wkrótce nie przejmowała już inicjatywy. Wkrótce groźba Hemingwayowskiego limitu zbladła.

Ale wszystko nadeszło później. Pierwsze sześć tygodni było doskonałe, a pisanie drugiego klastra szło dobrze. Próbowałem rozbudować w nim relacje pomiędzy ojcami i synami.

Dominujący pandit uważał, że jego syn, Pratap, wychowany wśród piętnastu sióstr, jest oferumą — niemal zniewieściałym chłopakiem, któremu brak męskich przymiotów, ambicji i agresywno-

ści. Umieściłem Pratapa blisko jego drobnej matki, Kamali, a pan-dita obdarzyłem miażdżącym zdaniem, którego mógł używać przeciw żonie: Dobry bóg powinien dać ich szesnaście! Dlaczego dał nam tę atrapę syna?

Pratap ze swej strony ma ojca za człowieka słabego, spustoszonego wewnątrz przez chciwość. Pratap uczy się łagodności i siły od kobiet — sióstr i matek — które wypełniają jego życie. Od nich także nabiera hartu ducha — umiejętności przykucania blisko ziemi, tak by nic nie było w stanie cię zdmuchnąć. Pandit naprawdę bardzo się stara, by zarazić syna zamiłowaniem do handlu, który idzie mu coraz lepiej. Ale Pratapa nie interesuje kupowanie i sprzedawanie kurczaków i butów, pokazywanie się co tydzień w pełnych sztywniaków kwaterach wojskowych, gdzie stąpa się po cienkim lodzie i całuje tyłki białych ludzi. Niemniej boi się ojca, jego gwałtownego usposobienia i zwinnej łapy, lądującej na jego uchu niczym uderzenie pioruna. Dlatego chodzi tam, gdzie ojciec mu każe, zostawiając serce w domu, pod urabiającą opieką kobiet, które pozostają w zamknięciu.

Pewnego brzemiennego w skutki popołudnia Pratap przyłącza się do tłumu zwykłych ludzi, idących słuchać Mahatmy. Pośrodku morza głów odnosi wrażenie, że Gandhi mówi tylko do niego: czysta dusza nie zna strachu; tylko słabi uciekają się do przemocy; jedyna prawda tkwi w nas samych; jesteśmy tym, co robimy, a to, co robimy, ma jakąś wartość, kiedy przynosi korzyść najmniej szczęśliwym spośród nas; Indie muszą być rządzone przez Hindusów; prawdziwa odwaga ma wyłącznie wymiar moralny; w sprawach materialnych mniej to zawsze więcej.

Przed powrotem do szkoły Pratap zrzucił z siebie drogie ubranie i zanim dotarł do ojcowskiego domu, wyzbył się strachu. Jego ojciec jest teraz jedynie kolejnym bogaczem, znęconym okruciami ze stołu białego sahiba.

Klaster kończy się w połowie lat trzydziestych, z Pratapem i panditem na dwóch przeciwległych krańcach indyjskiego spektrum. Jeden z nich podpira rusztowanie imperium, drugi zaś je podkopuje.

Inne relacje ojciec-syn okazały się pod wieloma względami bardziej karkołomne. Prosta dwubiegunowość opisu nie wchodziła w grę. Pratap jako wyzwoliciel i dziedzic — wielkiego marze-

nia Hindusów — nie miał już w sobie niewinności z dni walki o niepodległość. Lewe ucho utracił od ciosów lathi, całe lata przesiedział w więzieniu, a w 1947 roku, kiedy Nehru wygłosił przemówienie tuż przed północą, zanim narodziło się nowe państwo i zaczął nowy dzień, piętnasty sierpnia, słuchał transmisji przez radio i płakał za utraconą młodością.

Ojciec, tyranizujący otoczenie pandit, umarł w 1942 roku, coraz bardziej wyizolowany i narażony na ataki rodaków, którzy zainspirowani przez historię i Gandhiego wyrzucali jego białych bogów na śmietnik czasu. Pratap nie mógł uczestniczyć w kremacji ojca, bo był pozycją w więziennej statystyce, a trafił tam w ramach odwetu za działalność Gandhiego, wzywającego Brytyjczyków do opuszczenia Indii. A kiedy wyszedł z więzienia, nie wahał się ani chwili: zgodnie z duchem czasu podzielił bogactwo ojca na dwie części. Z jednej wyliczył osiemnaście kwot, które wypłacił siostrze i matce, drugą przekazał Kongresowi na walkę. Nic nie zatrzymał dla siebie, postępując dokładnie tak, jak życzyłby sobie Mahatma.

Z godnością przypisaną pracy, jaką teraz zyskał, powrócił do zawodu dziadka i otworzył sklep z mithai na gwarnym Ćandni Cauk. Pamiętał dobrze wielkie karahi z bulgoczącym mlekiem i oliwą, których zawartość mieszała spoceni smagli mężczyźni, otwarte worki z cukrem ustawione w kącie, pobrudzone szklane gablotki z barii i szafranowymi laddu, przyprawiające o mdłości słodkie zapachy zatykające nozdrza, dziadka siedzącego na wybrzuszonej poduszce i muchy dosłownie wszędzie, pstrzące cukierki, pstrzące szkło, pstrzące ludzi. Pratap przekonuje się, że ma smykalkę do tego interesu i nawet udawana bezpośredniość, typowa dla sklepikarza, przychodzi mu z łatwością.

W miarę kolejnych lat istnienia niepodległych Indii — Gandhi umiera, Patel umiera i Nehru umiera, i Azad umiera, i Radha-krishnan umiera — sklep Pratapa prosperuje coraz lepiej, ale on sam czuje się coraz słabszy. Jest sierotą po ideałach, kamykiem na rumowisku ideałów. Bo na rumowisku ideałów znalazły się najbardziej tragiczne życiorysy.

Sieroty po ideałach w sposób nieunikniony musiały odkryć, że okazała autostrada historii, którą z taką dumą jechali — z twarzą owiewaną przez wiatr, z pieśnią na ustach i otuchą w sercu — podobnie jak wszystkie autostrady historii, kończy się na bazarze. A żeby pracować na bazarze, poruszać się, siedzieć i stać na bazarze, kupować i sprzedawać na bazarze, manewrować zręcznie i szybko po bazarze, trzeba zdjąć toporną zbroję ideałów, ciężki

hełm wzniosłych idei i odłożyć je przy bramie, gdzie zaczyna się bazar, a kończy okazała autostrada historii.

Kiedy okazała autostrada historii Indii kończy bieg o północy w 1947 roku, a godni szacunku podróżnicy zaczynają lokować się na bazarze, Pratap przegapia okazję, jaka się pojawia. On nadal nosi hełm i zbroję i wraz z upływem lat uświadamia sobie, że stanowi, niestety, rażące przeciwieństwo wszystkich bez wyjątku dawnych towarzyszy. Mężczyzn powalanych uderzeniami lathi, którzy szli z nim ramię w ramię, mężczyzn, którzy go inspirowali i przekabacali.

Pod koniec lat sześćdziesiątych najwięksi wojownicy są martwi lub konają, a reszta armii stała się artystami unoszącego się na falach świata, niczym niezakotwiczonego, zalatującego chciwością, z małostkowymi biznesmenami negocjującymi krótkowzroczne interesy pomniejszych polityków i drobnych handel-ków. Szlachetni ludzie sprowadzeni do formatu miernot przez rozhisteryzowane żony, nienasycone dzieci i wyłudających co się da krewnych.

Szanowani kiedyś za zasady, teraz mierzą sami siebie posiadanym dobytkiem.

Królowie ideałów stali się królami układów.

Powoli, nieubłaganie, Pratap także zrzuca balast i uczy się dryfowania.

Zaczepia się z powrotem w partii.

Zaczynają się nominacje do rozmaitych handlowych rad nadzorczych.

Dostaje pośrednictwo w handlu gazem, o które żona od dawna suszyła mu głowę.

Wierni zwolennicy partii zaczynają po niego posyłać. Kandydaci do partii zaczynają stukać do jego drzwi. Staje się negocjatorem w sporach. Łącznikiem potrzeb. Magikiem od pragnień.

Przygotowuje się do członkostwa we władzach miejskich.

Szkoły państwowe zaczynają zamawiać w jego sklepie słodczy na Dzień Niepodległości.

Mimo to nadal myśli o sobie jako o młodym człowieku, który pomagał Indiom zdobyć wolność. Nadal uważa się za zwolennika Gandhiego. Wierzy, że poświęca życie służbie narodowi. Jego wyobrażenie o sobie pozostaje mniej lub bardziej nienaruszone.

Byłem zadowolony z Pratapa, ale Abhaj nastęrczał mi masę problemów. Trudno było przedstawić go w opozycji do ojca w sposób stosowny dla ambitnej powieści. Nie chciałem, żeby był zupełnym draniem, oczywistym i nieudolnym przeciwieństwem swego ojca.

W Indiach przed odzyskaniem niepodległości można było oceniać ludzi w czarno-białych kategoriach, ale w Indiach lat siedemdziesiątych — w obliczu łamania praw człowieka, wybuchów jądrowych, wojen błyskawicznych, spotkań na szczycie, ruchów studenckich, przymusowej sterylizacji, skandali z praniem brudnych pieniędzy, demonicznych akronimów jak Misa, Cofeposa, Fera i upadku wartości — tak wymieszały się marzenia i żądze, że nie sposób było znaleźć jednego człowieka o czystych rękach, choćby miało się teleskop wielkości drzewa.

Tak więc uczyniłem Abhaj a człowiekiem jego czasów. Nie za dobry, niezbyt zły i niezainteresowany ani jednym, ani drugim.

Abhaj to wysoki, przystojny mężczyzna, pandit jak jego dziadek. I podobnie jak on ma gwałtowne usposobienie, dużo w nim namiętności — bez końca obmacuje dziewczynę w kinie — jest bardzo ambitny. Tylko przyjaźń i sukces mają dla niego znaczenie. Tłumaczy każde uchybienie, jakiego dopuszczają się przyjaciele, a jeśli zachodzi potrzeba, bije się o nich zawzięcie. Po każdej awanturze czuje się wniebowzięty. Głębokie poczucie spełnionego obowiązku przepelnia mu duszę.

Przyjaciele nazywają go „Jaro ka jar”. Przyjacieli przyjaciół.

Podobne uniesienie przeżywa, gdy napotyka na swej drodze kogoś, kto odniósł znaczący sukces. Bogatego biznesmena, polityka o ogromnych wpływach, sławnego aktora. Jak jego dziadek w obecności Tima Andersona, Abhaj staje się wtedy pełen szacunku, słucha uważnie, jest ciekawskim poszukiwaczem tajemnicy sukcesu. Wierzy, że człowiek jest tym, kogo z siebie uczyni, a świat należy do tych, którzy go przejmują dla własnej korzyści.

Przyjaźń jest jego religią. Sukces jest jego bogiem.

Abhaj gardzi sklepem ze słodyczami i agencją pośrednictwa sprzedaży gazu. Gryzie się miałością ich ambicji. Nie chce mieć nic wspólnego z żadnym z nich. Nienawidzi skarłałego sposobu, w jaki ojciec prowadzi interesy, i jego ubioru. Takie same kurty powtarzane bez końca, dzień po dniu. Jednak jego największą go-



rycz budzi biała bawełniana czapka — czapka Gandhiego — którą ojciec wkłada za każdym razem, kiedy wychodzi z domu.

Dlaczego musi nosić tę głupią czapkę?!, krzyczy Abhaj do matki. Nawet Gandhidźi krępował się ją nosić!

Abhaj oczywiście ubiera się w dzinsy, obcisłe podkoszulki i wysokie buty z cielęcej skóry. Ojciec jeździ karykaturalnie pękającym, pyrkającym skuterem Bajaj, Abhaj zaś ciężkim czarnym motorem Royal Enfield, którego warkot słyszać trzy ulice dalej. Abhaj ma w pokoju wyblakłą brązową fotografię dziadka, który pozuje oparty łokciem o karoserię własnego długiego samochodu. Za każdym razem, gdy na nią patrzy, ma ochotę biec i skopać ojca solidnymi skórzanymi butami.

Abhaj chce zyskać w Bombaju sławę aktora. Marzy o wielkiej scenie, wielkich przedstawieniach, wielkim świecie, rozciągającym się tuż za progiem sklepu z mithai i agencją pośrednictwa sprzedaży gazu. Ma wiarę w siebie i portfolio z własnymi zdjęciami. Wysłał je już kilku reżyserom z Bombaju. Każdego dnia czeka, a nuż telefon zadzwoni, na listonosza, a nuż się pojawi. Każdego dnia staje przez lustrem wielkości jego sylwetki, w butach z cielęcej skóry, ma na sobie kowbojski kapelusz Stetson, ugina kolana w niedbalej pozie i ćwiczy siłę przyciągania uwagi publiczności. Kiedy strzela, woła: Pif-paf!

A potem zdmuchuje dym z lufy.

Pratap uważa, że jego syn to leser i fantasia. Wie, że pali, pije i wozi dziewczyny na tylnym siodełku motoru. Nie aprobuje ubioru Abhaja, jego przyjaciół, jego ambitnych planów. Ale najbardziej nienawidzi kowbojskiego kapelusza khaki, w którym syn wszędzie się włóczy.

Kto nosi taki kretyński kapelusz?!, krzyczy do żony. Czy ten idiota myśli, że mieszka w Londynie?!

Ojciec marzy, by syn stał się echem jego własnej idealistycznej młodości. By sięgał ku rzeczom wznioślejszym, zajmował się czymś poważnym. Usiłuje rozmawiać z nim o splendorze historii Indii, o wizji ludzkości Gandhiego i Nehru. Ale Abhaj jest człowiekiem swoich czasów. Nie ma żadnych demonów, które musiałby zgładzić w zewnętrznym świecie. Chce jedynie uwolnić się od marudnych opowieści ojca o ofiarności i sile dobra, i o tym, że młodzi powinni być nieustannie wdzięczni za to, co zostało im dane.

Abhaj patrzy na ogromne plakaty zawieszane na kinach Filimistan, Regal i Golcha — jaskrawe zdjęcia Amitabha Bachchana i Dharmendry, którzy strzelają z pistoletów, obejmują kobiety,

ich długie włosy powiewają, krew spływa im po twarzach — i sam chce się na nich znaleźć.

Chce, żeby ojciec przestał zrzedzić.

Chce, żeby ojciec został ministrem.

Chce, żeby ojciec zlikwidował sklep ze słodyczami i otworzył dom towarowy.

Chce, żeby ojciec sprzedał agencję pośrednictwa gazowego i zajął się dystrybucją benzyny.

Chce, żeby ojciec kupił białego fiata.

Ale najbardziej chce, żeby ojciec zdjął wreszcie tę cholerną czapkę Gandhiego.

Abhaj bezustannie wygłasza do matki tyrady o głupocie jej męża. Choć nie ośmiela się zaczepić ojca wprost. Nie dlatego, że się go boi. Bardziej z powodu własnej łagodności, rodzaju współczucia, jakie dla niego żywi. Abhaj wie, że — w rozumieniu światowego życia — ojciec poniósł zupełną klęskę. Tak naprawdę jest jedynie naśladowcą, potulnym naśladowcą, któremu nie udało się przekuć własnej walki w jakikolwiek poważniejszy sukces. Wie dobrze, że owe wczesne lata ofiary i początkowy akt buntu przeciw panditowi są węzłem, dzięki któremu życie ojca nie legło w gruzach. Jeśliby go przeciął, ojciec po prostu by się rozsypał.

Zamknąłem klaster w miejscu, w którym Abhaj coraz bardziej identyfikuje się z dziadkiem i coraz bardziej pogardza ojcem. Zdrajca minionego pokolenia stał się teraz idolem, a bohater przynosi wstyd. Kiedy ten klaster się kończy, Pratap dryfuje z coraz większą swobodą, dopuszcza się manipulacji, żeby zyskać miejsce na liście w wyborach municypalnych, odrzuca potulność i wchodzi do nowego świata korupcji.

Abhaj nadal czeka na telefon z Bombaju, doskonaląc umiejętności przyciągania uwagi widzów. Pif-paf!

Duch pandita rośnie miarowo i staje się coraz potężniejszy, karmiąc się sprzedajnością nowej epoki.

Koda zabrała mi kilka dni. W końcu napisałem sonet o bohaterach i łajdakach, wieszcząc, że nadejdzie dzień, kiedy zrzuci się na Gandhiego i Nehru winę za niedoskonałą wolność Indii i zacznie się nimi pogardzać za słabość. A ci, którzy byli słabi i świętoszkowaci, będą obwołani bohaterami nowej, małostkowej epoki.

Wbrew moim usilnym próbom, wbrew mojemu wyczuciu rytmu wiersz pozostawał arytmiczny i ostatecznie go poniechałem, zwalając winę na brothera.

Tego wieczoru poszliśmy do Suzie Wong w Sektorze Dwudziestym Drugim i mieliśmy chińszczyznę na obiad. Łatwo się irytowałem, byłem nieobecny myślami. Chop suey było za ostre, wdałem się w kłótnię ze skośnookim kelnerem. Wrócił ze skośnookim starszym kelnerem. To pendzabskie wyobrażenie chińskiej restauracji — ingrediencje z północnego wschodu i gruby makaron, reszta potraw traktowana zupełnie po macoszemu. Dwie rzeczy skośnoocy zmonopolizowali w Indiach: chińskie restauracje i psychozę kung-fu. We wszystkich chińskich lokalach obsługują tylko oni, a od czasu *Wejścia Smoka* należy unikać wdawania się z nimi w bójki. Nic mnie to nie obchodziło. Szukałem okazji rozładowania napięcia. Nawrzeszczałem na starszego kelnera. Wrócił z właścicielem, którym okazał się gruby, nabzdyczony Pendzabczyk, nazywany Dżollidzi.

Z czym jest problem?, zapytał Dżollidzi, uśmiechając się niebezpiecznie.

To chop suey jest kurewsko niedobre!, powiedziałem. Dżollidzi obrócił się do kelnera i spytał pieszczotliwym głosem: Co jest nie tak, synu?

Wszystko w porządku, odparł kelner, miał rozbiegany wzrok. Kto to je?, pytał Dżollidzi, nadal niemal przymilnie. On, powiedział kelner. Kto za to płaci, synu?

On, powtórzył kelner. Zaczynał nerwowo szurać nogami. Kto w takim razie powinien wiedzieć lepiej?, wyszeptał Dżollidzi.

On, odparł kelner, cofając się odrobinę.

W takim razie zabieraj to pierdolone świństwo i przynieś coś nowego!, wrzasnął Dżollidzi, waląc kelnera w ucho.

Kelner zniknął w okamgnieniu.

Dżollidzi najwyraźniej nie widział *Wejścia Smoka*.

Odeślijcie to znowu, jeśli nie będzie okay, powiedział, odwracając się do nas, uśmiechając szeroko i zacierając ręce. W mojej restauracji klient ma zawsze rację!

Dzięki, odpowiedziałem.

Zapytałem, skąd wziął nazwę knajpy. Uśmiechnął się z fałszywą skromnością i wyznał, że z filmu, który kiedyś oglądał. Dodał, że podobała mu się grająca w nim kobieta. Obaj się roześmialiśmy, a on poklepał mnie po plecach.

Przez cały czas Fizz nie odezwała się słowem. Kiedy odszedł, zapytała: Co w ciebie wstąpiło? Milczałem.

Następnym razem, kiedy będziesz chciał się bratać z Dżollidzi i dokopać biednemu kelnerowi, zostaw mnie w domu, powiedziała.

Nie odezwałem się, a ona nie ciągnęła rozmowy. W ciszy wróciliśmy do domu i kochaliśmy się. Ale było bez wrażeń. Po prostu zwykłe ocieranie się. Następnego dnia nie usiadłem rano przy stole w jadalni, wylegiwałem się w łóżku. Fizz nic nie powiedziała.

Po południu zaproponowałem: Chodźmy do kina.

Nie wytrzymała i uśmiechnęła się: A co, chcesz dzisiaj dołożyć jakiemuś bileterowi?

Poszliśmy do KC, absurdalnie wzorowanego na hangarze lotniczym, i zdążyliśmy na hollywoodzką popołudniówkę. Film był hałaśliwy, ale zgiełk nie potrafił zagłuszyć moich obaw.

Potem wolno przechadzaliśmy się po pasażu handlowym w Sektorze Siedemnastym, a w końcu wylądowaliśmy w księgarni. Było tam tak mało książek, że stały wystawione pojedynczo niczym plakaty na ścianach. Właściciel był dziwakiem. Nie wyglądał na kogoś, kto czyta książki wyspiarzy, ale miał na składzie najlepszą kolekcję angielskich tytułów w Cándigarhu. Trzymał tam tytuły — w tym broszurowe wydania sprzed ponad piętnastu lat — jakimi nikt inny nie mógł się pochwalić.

W sklepie pachniało stęchlizną, ale każda książka była starannie zabezpieczona przed wilgocią, zapakowana w celofan. Kiedy się go zdjęło, brzegi książek okazywały się pożółkłe, ale grzbiet nigdy nie był złamany, a papier był suchy i szeleszczący. Właściciel sprzedawał wyłącznie literaturę piękną — żadnych poradników, żadnych przewodników, żadnych podręczników, i żadnych artykułów papierniczych. Półki wyglądały jak stelaże w magazynie, pokrywały całe ściany, każda książka była odwrócona okładką do przodu. Stojąc pośrodku sklepu, mogłem przeczytać tytuły wszystkich tomów zajmujących regały aż po sam sufit.

Nazywaliśmy go sirdzi, a on był z tego zadowolony. Sirdzi miał aluminiową drabinę, prowadził sklep w pojedynkę i nie mówił po angielsku. Dziwne, ale nie był starym zrzędą. i nie miał nic wspólnego z pozostałymi po okresie brytyjskim anglofilami, którzy widząc na własne oczy splendor białych sahibów, wyobrazili sobie, że szlachetność jest we wszystkim, co ma cokolwiek wspólnego z angielskim językiem i angielskimi książkami. Sirdzi prawdopodobnie nie miał więcej niż trzydzieści kilka lat i czasami, kiedy

udało się nam wejść po cichu do jego pustego sklepu, mogłem podpatrzeć go, jak czyta za kontuarem powieść w hindi, w jaskrawej okładce. Szybko chował książkę, przeskakiwał ladę, ścisnął mi dłoń i zaczynał wyciągać osobliwe tytuły, które, jak myślał, mogły nas zainteresować.

Pierwszy raz odwiedziłem tę księgarnię siedem lat wcześniej, jeszcze jako student z zaledwie kilkoma rupiami w kieszeni, i natychmiast dałem się złapać na haczyk. Przez te lata większa część naszej przeogromnej biblioteki zaczęła swoją podróż do naszego życia z księgarni sirdżego. Europejscy mistrzowie, amerykańska waga ciężka, pisarze latynoamerykańskiej nowej fali — najbardziej nieprawdopodobne książki zjawiały się na jego półkach: erotyczne wspomnienia Franka Harrisa, *Gra w klasy* Cortazara, *Ali About H. Hatterr* Desaniego, poezje zebrane Wallace'a Stevensa — książki, o których nikt w mieście nie słyszał ani których nie widział.

Fizz i ja kupowaliśmy i kupowali, a cudem było to, że sirdżi nigdy nie doliczał nawet pensa do ceny wydrukowanej na okładce. W sklepach całego miasta powszechnie stosowano praktykę zalepiania oryginalnych cen i zastępowania ich nowymi, gdy tylko pojawiało się droższe wydanie. Ale sirdżi sprzedawał po pierwotnej cenie. Zdarzały się dni, że wchodziliśmy do niego, mając piętnaście rupii, i wychodziliśmy z trzema lub czterema bezcennymi książkami.

Opakowanymi w brudny celofan, ale nowiuteńkimi w środku.

Wracaliśmy do domu, zdejmowaliśmy zabezpieczenie i gładziliśmy łagodnie okładki. Chłodne i gładkie na zewnątrz, chropowate i ciepłe w środku. Jeśli robiło się to wystarczająco długo, można było niemal usłyszeć mruczenie książki.

Nigdy — prawie nigdy — nie zdarzali się w księgarni inni klienci. Kiedy pierwszy raz wyjechałem z miasta do pracy w Dehli, zamartwiałem się, jak teraz sirdżi sobie poradzi. Byliśmy przecież najwyraźniej jego *raison d'être*. Poprosiłem Fizz, żeby od czasu do czasu zaglądała do niego. Wzięła to sobie do serca i odwiedzała go z regularnością pielęgniarki, chodząc tam co tydzień i kupując książkę, przez co dostarczała mu dawki entuzjazmu i pieniędzy.

List z takiego dnia miał standardowe postscriptum, na przykład: Sirdżi uratowany przez Camusa. Fizzdżi przysłała z pomocą w potrzebie.

Dziwne, ale cisza księgarni sirdżego rozpraszała mnie znacznie skuteczniej niż hałas w kinie. Przez ponad godzinę próbowałem zapanować nad własnymi niepokojami, przeglądając dziesiątki książ-

zek. Ostrożnie otwierałem celofan skleiony taśmą, przerzucałem kartki i oddawałem sirdżemu, żeby starannie zakleil go z powrotem. Przyłapałem się na przeciwstawianiu wszystkiego, co podczytywałem, mojemu pisarstwu. Zagłębiałem się w pierwsze kilka stron jakiegoś mistrza fabuły i próbowałem porównać frazę, bohatera, nastrój, dialog. Na jakiś czas odrywało mnie to od traumy związanej z tym, czego nie napisałem, a która narastała we mnie przez ostatni tydzień.

Zanim wyszliśmy z księgarni sirdżego, kupiliśmy dwie książki, ale inspiracja, której poszukiwałem — mapa, jakiej potrzebowałem — nadal była nieosiągalna.

A chodziło po prostu o to, że nie zacząłem trzeciego klastra, bo nie wiedziałem, jak kontynuować opowieść.

Mitrzyłem czas przez kilka następnych dni — z Fizz patrzącą z lekkim zdziwieniem — a potem postanowiłem zmusić się do powrotu do stołu. Po trzech zmarnowanych dniach stanąłem rankiem przed lustrem i przeczytałem na głos Instrukcję. Wygłaszałem ją niczym na konkursie recytatorskim. Sprawilem, że słowa odbijały się echem w małej łazience.

Jeden z nakazów uderzył mnie wyjątkowo: Świat jest pełen nieprzeczytanych śmieci — nie dodawać nic do nich.

Kiedy wyszedłem, Fizz powiedziała: To dużo lepsze od twojego śpiewania.

Zabrałem się do pracy tego ranka i zacząłem bębnić. Nie miało to nic wspólnego z pisanem, to było wystukiwanie na maszynie. Brakowało w tym inspiracji, brakowało podniecenia. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam.

Tego wieczoru pozwoliłem Fizz przeczytać manuskrypt po raz pierwszy. Potrzebowałem otuchy. Była nim bardzo przejęta, zatrzymywała się, żeby przeczytać głośno zdania, i robiła przy tym dramatyczne gesty. Za każdym razem, gdy kończyła, obściskowała mnie na swój dziecinny sposób.

A potem szafowała rekompensatą za sztukę. Przewróciła mnie na brzuch, owinęła mi twarz swoim podkoszulkiem i zaczynając końcem języka, robiła rzeczy, przy których zapomniałem o pandicie, Pratapie, Abhaju, Indiach, pisaniu i wszystkim innym, o czym kiedykolwiek wiedziałem.

Jęczałem jak dziecko. I spałem później jak dziecko.

Ale następnego ranka ponownie czekało mnie lustro z twardymi nakazami i gotów do pracy czerwony brother. Mężnie waliłem w czarne lśniące klawisze, ale opowieść po prostu nie miała ikry.

Wieczorem zaproponowałem, żebyśmy zrobili sobie wolne. Powiedziałem, że czuję się pusty jak beczka pozbawiona wody. Potrzebowałem znowu się wypełnić, chciałem, by natchnienie skapywało we mnie ponownie kropla po kropli. Nazajutrz, wczesnym rankiem, po ciemku włożyliśmy, co trzeba, do chlebaka, zamknęliśmy dom i pojechaliśmy na motorze do Kasauli. Kiedy mijaliśmy Pińdżaur, świt lizał horyzont szarą poświatą, a gdy przejechaliśmy zatłoczoną główną arterią Kalki — jeszcze w ruchu, ale już zaczynającą się korkować — dotarliśmy do podnóży Himalajów i zaczęliśmy wspinać się. Sosny gromadziły się wokół nas coraz liczniej, zrobiło się nam lekko na duszy. Nie śpieszyliśmy się. Powoli zagłębialiśmy się w góry, Fizz co kilka kilometrów odwracała moją głowę i całowała mnie.

Jak zawsze zatrzymałem się na zakręcie przed szlakiem, którym transportowano wycięte drzewa. Osiem lat wcześniej, kiedy jeszcze uczyliśmy się w college'u, straciłem tu dwóch przyjaciół. Jechali w niewielkim deszczu z Śimli, pijani piwem i młodością, ich yezdi wpadł w poślizg, sunęli bez końca środkiem drogi. Billa, na tylnym siedelku, trzymał się Timmy'ego, sardara, gdy obracało nimi po asfalcie, a rozpedzona ciężarówka gnała z przeciwka środkiem szosy. Kiedy podwójne koła przejechały po nich, Billa znalazł się na Timmym, poniżej pasa byli zmiażdżeni, razem w nieodróżnialnej brei kości, mięsa i krwi. Gdy reszta z nas dotarła do tego miejsca kilka minut później, nadal rozmawiali, z głowami o parę centymetrów od siebie, nieświadomi, że przestali istnieć od pepka w dół.

Zielonooki Billa powiedział: Mówiłem temu głupiemu sirdowi, że wpadniemy w poślizg.

Timmy, jego turban gdzieś przepadł, jego długie włosy leżały na szosie, odezwał się: Powtarzałem temu kutasowi, że za mocno się mnie trzyma, że nie będę mógł kierować.

Billa odpowiedział: Następnym razem, gnoju, daj mi kierować i tyle.

A Timmy na to: Cholera! Stary mnie zabije! Motorower jest bardzo rozwalony?

Nie, odparł Miler w typowy dla siebie, cichy, autorytatywny sposób, klękając. Jest w porządku. Wszystko jest w porządku.

Timmy powiedział: Tylko żeby nikt się o tym nie wygadał — człowieku, stary wpadłby w szal!

Umarli po kilku minutach. To dziwne. W jednym momencie rozmawiali, a w następnym już nie żyli. Byli tak fatalnie wtłoczeni w siebie nawzajem, że musiano położyć ich na jednych noszach, a potem nawet skremowano ich na jednym stosie. Dla nas wszystkich była to pierwsza poważna inicjacja. Dowiedzieliśmy się, że śmiertelność nie jest zarezerwowana wyłącznie dla starców.

Przez całe tygodnie postrzegaliśmy życie jako cud. A potem smutek minął, wspomnienia stały się piękne i rozpaczaliśmy jedynie, kiedy się upiliśmy.

Przy zakręcie, na wielkim kadamie rosnącym poniżej, wyryliśmy napis: Timmy i Billa, 26 lipca 1979, internat Himaćal, pokój 102, wspaniali przyjaciele, mistrzowie uderzenia w krykiecie, teraz współlokatorzy na zawsze, i pieprzyć wszystkich dyrów, którzy będą chcieli ich rozdzielić. Przysięgliśmy, że za każdym razem, kiedy będziemy przejeżdżać koło tego drzewa, zrobimy nacięcie. Kiedy zszedłem do drzewa kadam śliska, zarośniętą ścieżką, policzyłem nacięcia. Było ich dwadzieścia siedem. Cztery zrobiłem sam, teraz wziąłem kamień i wyryłem piąte. Billa i Timmy mieli kompanów.

Nim dotarliśmy do następnego zakrętu, chwila wspomnień minęła i Fizz zaczęła mówić o śniadaniu. Zatrzymaliśmy się przy wiacie i zjedliśmy przesiąknięte tłuszczem omlety z dwóch jajek, z kawałkami chleba opieczonymi nad ogniskiem, wypiliśmy przy tym po kilka małych szklaneczek herbaty. Pokazało się słońce, ale jeszcze nie pokonało odpowiedniej drogi po zboczach, by dotrzeć do drogi.

Kiedy zjechaliśmy z głównej szosy w Dharampurze i znaleźliśmy się na ostatnim uroczym odcinku do Kasauli, było nam lekko na sercach od świeżego powietrza i uczucia szczęścia. Na ostatnich trzynastu kilometrach droga się zwięzała — niczym falująca na wietrze wstażka — ruch zamarł i drzewa się przybliżyły, i w przepustnicach pod jezdnią wspaniałe czerwodziobe niebieskie sroki bawiły się głośno i niefrasobliwie parami w berka, i magiczne polanki pojawiały się tuż obok drogi, i zatrzymaliśmy motor, żeby iść na jedną z nich, i wykorzystaliśmy szeroki, popękany pień sosny i podłoże z milionów igieł sosnowych, by pić od nowa obłąkańczy koktajl miłości i pragnienia.

Miała na sobie luźny czerwony pulower. Uniosłem go — i wszystko, co było pod nim — i podsunąłem jej pod szyję. Wygięła plecy i była piękniejsza od drzew i ptaków, i gór. Na jej skórze pojawiła się niewielka gęsia skórka, różowe sutki zadawały pytania, a ja urodziłem się, by im odpowiadać. Jednemu odpowiedziałem uchylo-



nymi ustami, drugiemu rozwartą dłonią. Jej twarz nabrała koloru wschodzącego słońca, Fizz trzymała mnie za głowę i prowadziła ją wszędzie, aż moja twarz zaczęła lśnić niczym pierwsza poranna rosa. A kiedy wlałem w nią swoją miłość, wyjąkując jej imię, wiatr na polance szeptał je razem ze mną. Fizzzzzzzzz.

Zatrzymaliśmy się w państwowym domu wypoczynkowym na Lower Mail, w pokoju zalatywało stęchlizną od wilgotnych zielonych dywanów i pleśniejących zasłon. Materace okazały się grube, ale łóżko trzeszczało, a drzwi do łazienki, gdy zamknęło się je od wewnątrz, zacinęły się i trzeba było otwierać je kopniakiem z zewnątrz. Przez następne cztery dni wołaliśmy do siebie: Kop, skarbie! Na co słyszało się odpowiedź: Okay! Odsuń się! I barn! Uderzaliśmy w nie podeszwami stóp. Przypominało to granie głównej roli w filmie akcji. Łazienkę wyposażono w nowoczesne urządzenia, ale — co typowe — żadne nie było sprawne. Błyszczący bielą zbiornik i błyszczący bielą bojler nie działały. Pierwszy zaledwie bulgotał, kiedy się odkręcało kran, drugi nigdy nie otworzył czerwonego oka. W uświęcony przez czas tradycyjny indyjski sposób zimna woda trafiała do garnka z kubłą, a ciepła woda do kąpieli trafiała do łaźni z wiadra, pod którego ciężarem wychudzony dozorca chwiał się niebezpiecznie.

Ale my szybowaliśmy w obłokach. Nic nie mogło ściągnąć nas na ziemię. Już po kilku minutach Fizz otworzyła na oścież okna i drzwi, zawołała dozorcę i jego żonę, pokój został posprzątany i przewietrzony. Dwie godziny później posadziła nas w fotelach na werandzie, wychodzącej na wzgórze gęsto porośnięte lasem, i posiała kogoś na rynek po samosy.

Zamówiła dodatkowe dla dozorczy, jego żony i trójki ich dzieci. W jednej chwili stali się jej wyznawcami, a kiedy zjawiała się herbata i samosy, napar okazał się mocny, parząco gorący i lepki od cukru. Surréai. Siorbało się go przy picciu.

Właśnie minęła dziesiąta. Słońce dawało dość światła, ale jeszcze nie ciepła. Poranny szczypiący chłód minął co prawda i przyjemnie było posiedzieć na werandzie w samej koszuli. Nie docierały tu absolutnie żadne odgłosy ruchu samochodowego — jedynie stałe ćwierkanie w poszyciu i różnej wysokości ptasie nawoływania. Wesoly gang bulbuli o białych policzkach przejął władzę nad murawą, a kilka z nich zrobiło parę przyjacielskich wypadów na werandę. Stroszyły czuby, energicznie kiwając łebkami. Przemawiały całą gamą nut. Na pewno brały udział w przyjęciu.

Mogłabym zamieszkać tu na zawsze, powiedziała.

Wyglądała niczym sentymentalny obrazek z gór — z rozpuszczonymi falującymi czarnymi włosami, ze stopami na starym drewnianym stole, z jaśniejącą skórą, trzymająca obiema dłońmi biały emaliowany kubek, zapatrzona w dal.

Ja też, odparłem.

Powiedziała: Mógłbyś pisać, a ja hodowałabym drób albo robiła coś z górskimi ziołami. Wiesz coś o nich?

Nie tak trudno sobie to wyobrazić. Potrzebny jest jedynie taras albo dwa. I kto wie, pandit i jego potomkowie mogą przynieść nam trochę pieniędzy.

Tak, powiemy wydawcy: niech pan bierze książkę i daje nam dwa tarasy. Może trzy — po jednym za pandita, Pratapa i Abhaja.

Jasne! Na jednym postawimy dwuizbową chatę, z gabinetem do pracy i kominkiem. A na dwóch pozostałych będę uprawiała egzotyczne zioła.

Ja wtedy napiszę *Roślinożerców*, ponure studium samotnej pary mieszkającej na farmie, wykorzystującej erotyczne zioła do zbrodniczych praktyk.

Powiedziałam egzotyczne, nie erotyczne.

Przywilej pisarza.

Nie pozwolę, żeby moje zioła służyły przyziemnym celom. Literaturze, literaturze. Nie chodzi więc o seks?

Zupełnie nie. *Roślinożercy* to wciągająca opowieść o roślinach, pasji i celu. W poruszającej narracji zgłębia odwieczny dylemat ciała i chlorofilu, snując dziwną historię zagubionej pary, która zмага się bezustannie z melancholijnymi ziołami i ciągłymi erekcjami.

W takim przypadku pozwolę ci wykorzystać moje zioła. Powiedziałem: Literatura będzie twoim dłużnikiem po wsze czasy.

Po śniadaniu poszliśmy na spacer po Upper Mail, przechadzaliśmy się pomiędzy rozsianymi tu starymi bungalowami, ukrywającymi się za drzewami i krzakami, pokazującymi jedynie kominy i czerwone dachy. Kasauli było dla nas wyjątkowym miejscem. Przyjeżdżałem tu od ośmiu lat, a razem bywaliśmy tu od sześciu. Dopiero w pierwszym tygodniu college'u, kiedy poznałem Sober-

sa, dowiedziałem się o istnieniu Kasauli, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Sobers był jednym z moich trzech współlokatorów, źródłem hojności. Jego ojciec pracował w instytucie weterynaryjnym w Kasauli, a on się tam wychował.

Naprawdę nazywał się Arnab Dasgupta. Jednak w szkole zyskał przydomek nawiązujące do wspaniałego krykiecisty, Gary'ego Sobersa.

W trakcie meczu w pierwszej klasie ogłosił, że jest w stanie zaliczyć wszystkie biegi. Był niski, krępy i niepokojąco pewny siebie. Powiedział, że jest doskonałym sprinterem, a po dziesięciu sześciorzutowych seriach zaliczonych w średnim tempie kapitan rzucił mu piłeczkę.

Ta seria sześciu rzutów przeszła do historii internatu. Trwała przez siedemnaście podań, bo Arnabowi nie udawało się umieścić piłki w żadnym punkcie na boisku. Pierwsza piłka właściwie wypadła mu z ręki i uderzyła sędziego o grube nogi. Ostatecznie dał się namówić na rzut spod pachy i skończyć serię. Później dostał kij, ale miał osłonę tylko na jedną nogę. Odwrócił się tyłem do pierwszej piłki, a ona wbiła mu się między tłuste pośladki. Przez chwilę nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Wypadła stamtąd za chwilę z plaśnięciem.

Stojący poza boiskiem kapitan spojrzał na mnie i powiedział: Gdzieś ty, idioto, wynalazł tego Gary'ego Sobersa?

Kiedy na boisku już się uspokoiło, rzucona została następna piłka. Uderzyła go w nieosłoniętą nogę i wyeliminowała z gry na dobre. Upadając na biodro, wrzeszczał głośno po bengalsku, obiecując matce rzucającego natychmiastowy seks.

Na szczęście serwujący był dżatem, który niczego nie zrozumiał.

Potem znano go wszędzie jako Sobersa. Kiedy jego ojciec odwiedził internat pół roku później, nikt nie był w stanie mu powiedzieć, gdzie — albo kim — jest Arnab Dasgupta.

Pierwszy raz pojechałem do domu Sobersa w Kasauli z piątką przyjaciół, wszyscy mieliśmy zaledwie osiemnaście lat. Byłem chłopakiem z nizin, z gwarnych miast w sercu Indii, dlatego nastrój gór mnie przytłoczył. Brak tłoku, drzewa, rozdierające rześkie powietrze w płucach. Czuję się niesamowicie. W jednej chwili stare garnizonowe miasto stało się moim ulubionym ustroniem. Wracałem tam z Sobersem przy każdej nadarzającej się okazji, a z czasem jego cudowni rodzice otworzyli przede mną swój dom, jakby znali mnie przez całe życie.

Później, kiedy po raz pierwszy zabrałem tam Fizz, przyjęli ją z tą samą bezwarunkową hojnością. Wiedzieli, że nie jesteśmy

małżeństwem, ale dali nam wspólną sypialnię — wśród wspaniałej indyjskiej klasy średniej nie uchodziło to za coś zdrożnego — a rankiem cioteczka pukała do drzwi, zanim przyniosła nam herbatę do łóżka. Ludzie tak właśnie reagowali na Fizz. Łatwo było jej zaufać, łatwo ją pokochać. Tak działał jej uśmiech, bezpośredni język ciała, gotowość do zawinięcia rękawów i pozmywania talerzy albo poszatkania warzyw. Podczas gdy ja siedziałem milczący, Fizz nie przestawała mówić, pytała o historię rodziny cioteczki, o jej małżeństwo, o błazeństwa dzieci, komplementowała curry, jakie dla nas ugotowała, jedwabne sari, które nosiła, postrzępioną miesięcznicę hodowaną w przedpotopowej butelce po whisky Vat 69.

Dom, użyczony im przez instytut, stał na samym końcu Upper Mall i miał panoramiczny widok na doliny. Był stary i w opłakanym stanie — szyby trzymały się w oknach tylko dzięki brązowej papierowej taśmie, drewniane framugi drzwi i okien były przegniłe, krokwie przeżarte przez termity — ale miał w sobie rzadko spotykane ciepło i dawał poczucie intymności. Po wyjściu rodziców Sobersa — on jechał do instytutu, ona zaś uczyła w miejscowej szkole misyjnej — spędzałem dzień na prowadzeniu kampanii na ciele Fizz.

Upierałem się, żeby nosiła w domu jedynie krótką koszulkę, a kiedy przygotowywała dla nas śniadanie, zachodziłem ją od tyłu i wkładałem jej rękę między nogi. Byliśmy tacy szurnięci, karmiliśmy się nawzajem z ust do ust i jednocześnie karmiliśmy nasze dłonie własnymi ciałami. Bardzo często zmuszałem ją, by wychylała się z okna w jadalni, a ja padałem na podłogę za nią, przykładając usta do kostki jej nogi i zaczynałem podróż dobrze znanym szlakiem.

Obejmowałem wargami twardą wypukłość jej kostki i ssałem tak zapamiętałe, aż nabierało to głęboko erotycznego wymiaru. Wędrowałem potem ku wiele obiecującym krzywiznom jej pełnych łydek i ssałem tak zapamiętałe, aż stawały się organami seksualnymi. Później przesuwałem się powoli wokół, do piszczeli, i wspinałem ku kopułom jej kolan, zatrzymując się na ich szczycie, z rozchylonymi i poruszającymi się wargami. Przesuwając się na bok, docierałem do pupy i prowadziłem język płasko wzdłuż gładkiej autostrady, z oczami utkwionymi w ciemnej linii ostatecznego celu. I tak przemieszczałem się wolno, szukając źródła piżma. A kiedy byłem coraz bliżej, ciało coraz bardziej nabrzmiewało, a piżmo pachniało coraz silniej, zaczynałem tracić nad sobą kontrolę. Z ust stawałem się nosem. Przechodziłem od dawania przyjemności do

jej łaknienia. Mój myślący umysł zamykał się, okno po oknie. Racjonalność, intelekt, analityczność, postrzeganie, umiejętność mówienia — wszystko mnie opuszczało, jedno po drugim.

Byłem teraz bestią z zamierzchłej przeszłości, skradającą się na czworakach w poszukiwaniu tropu i ukrytego miejsca.

Na zewnątrz bladość cywilizacji.

Zwierzę, któremu nie można było odmówić.

A kiedy piłem u źródła, długo i zachłannie, stawałem się na-pęcznieniem. Wstawałem za nią i szukając punktu zaczepienia, obejmowałem ją w tali, a gdy patrzyła na opadające w dół zielone zbocza, aż ku parnym północnym indyjskim równinom, zaczynałem się poruszać w najstarszym tańcu świata. Wiatr niósł jej pojękiwanie do wszystkich zakątków subkontynentu.

Przemieszczaliśmy się z pokoju do pokoju, rozkoszując się tym, jak nasze ciała zmieniały się wraz ze zmianą otoczenia. Stawaliśmy się innymi ludźmi w innej scenarii.

Arystokratami w łazience.

Plebejuszami w kuchni.

Studentami na werandzie.

Dorosłymi w salonie.

Kochankami na stole w jadalni.

W sypialni partnerami i bratnimi duszami.

A robiąc to, odkryliśmy, że największymi kochankami nie są ci pobłogosławieni stałością i podobieństwem, ale ci, którzy nigdy nie przestają się zmieniać. Ci, którzy są obdarzeni talentem stawania się innymi ludźmi w różnym czasie.

Za każdym razem, gdy nasze ciała ogarniał spokój, czytałem głośno z mojej antologii: Louisa McNeice'a i świat jest szalony, i to bardziej niż myślimy, Eliota skoro nie mam nadziei, że jeszcze powrócę, skoro nie mam nadziei, skoro nie mam nadziei powrócić, ludzkich talentów żadny, ludzkiego wymiaru\*, Conrada Aikena ład wszelkich rzeczy i logikę mroku, układ atomów i łez w ludzkim oku; czas w sercu, mózgu pracę niemą, co zmiażdżyły Rimbauda, zdrwiły z Verlaine'a\*\* — i czytałem, i czytałem, podczas gdy ona trzymała swą piękną głowę na moich kolanach, jej ciepły oddech poruszał się w moich zmierzwionych włosach. I kiedy czytałem, czułem się połączony z czymś o większym wymiarze. Czułem, że moje życie, nasze życie, jest zaplanowane,

\* Fragment *Popielca* w tłum. Bogdana Barana.

\*\* Fragment *Preludium dla Memnona: LVI* w tłum. Krzysztofa Boczkowskiego.

ma inny cel, znacznie ważniejszy od tego, co czekało pozostałych ludzi.

Od czasu do czasu, nie poruszając się, mówiła: Jeszcze raz. A ja się cofałem i czytałem wersy od nowa. I jeszcze raz, i jeszcze raz.

Czytałem i czytałem, aż rytm wierszy zaczynał pulsować nam we krwi, a spokój mijał, jej oddech zaczynał mnie pobudzać u samego korzenia. Otwierała wtedy usta i wkrótce poruszaliśmy się zgodnie z muzyką bardziej pilną i elokwentną od wszystkiego, co było w antologii.

Kapaliśmy się o trzynastej — napełnialiśmy trzy wiadra gorącą wodą z bojlera i wolno polewaliśmy się nawzajem strumieniami z kubków: arystokraci w łazience — a kiedy rodzice Sobersa wracali o czternastej na lunch, stół był nakryty, warzywa podgrzane, ćapati zrobione. Fizz zaczynała paplaninę, a ja byłem zadowolony.

Leśnymi ścieżkami szliśmy po południu do miasta, schodziliśmy na wybrukowany kocimi łbami bazar na herbatę i samosy, wystawialiśmy na przystanku autobusowym, żeby patrzeć, jak tłum się przewala, włączyliśmy się po cmentarzu z jego chwytającymi za serce epitafiami, wymienialiśmy uprzejmości w lokalnej szkole misyjnej z pełnymi werwy zakonnicami, które wesoło komenderowały rumianymi dzieciakami w hałaśliwej zabawie sportowej, wypatrywaliśmy drożdów, brodaczy i bulbuli, siadywaliśmy na kamiennych ławkach na skraju Upper Mail, żeby patrzeć na zachód słońca.

Opowiedziałem Fizz historie bungalowów zasłyszane od Sobersa. W Kasauli były tylko dwie drogi, Upper Mail i Lower Mail, na ich poboczach rosły majestatyczne drzewa i stały wiekowe kolonialne bungalowy, z których wiele należało do sławnych ludzi. Dla nas oczywiście nie miało to wtedy najmniejszego znaczenia. Byliśmy młodzi i jak to bywa z młodzieżą, niewiele rzeczy robiło na nas wrażenie albo zakłócało nasze dobre samopoczucie. Przyglądaliśmy się parom starych ludzi przechadzających się wolno w tę i z powrotem po Mailach i nie mieliśmy żadnego pojęcia o ich życiu. Jak się tu znaleźli? Jak żyli? Czy ich życie miało jakąś wartość? Większość była siwa i przygarbiona, ale z rumieńcami na twarzach, przywróconymi przez góry. To dziwne, ale nie słyszało się ich rozmów, sunęli obok powoli niczym postaci z niemego filmu.

W czasie jednej z takich wizyt nasze uwielbienie dla gór — i snucie planów — zaczęło się krystalizować. Rozpadający się służbowy dom Sobersa, leniwe spacerowanie po Kasauli, wiatr gadający w starych drzewach, rześkie powietrze wciągane do płuc o każdej godzinie, przypominające skórze szczypaniem, że żyje, cień tajemnicy, gdy mijano się posępne bungalowy o egzotycznych, zangielszczonych nazwach, płomieniste zachody słońca, niewiarygodnie spokojne noce z ciszą przerywaną smyczkami cykad, pulsujące gwiazdy, wyraźne i bliskie, i w takiej liczbie jak nigdzie na świecie — to wszystko spletało się zupełnie z rytuałami i odkryciami naszej miłości.

Zanim którekolwiek z nas to powiedziało, oboje wiedzieliśmy, że ostatecznie osiadziemy w górach. To było miejsce przeznaczenia naszej miłości. Ale nawet w najbardziej makabrycznych wyobrażeniach czyż mogliśmy przewidzieć, co los nam szykuje?

To podczas tamtej podróży po raz pierwszy przedyskutowaliśmy możliwość posiadania domu na tych wzgórzach, ja bym pisał, ona uczyłaby w szkole. Siedzieliśmy na kamiennej ławce na pięknej wychodni Upper Mail. W tym miejscu góra wyglądała jak brzuch grubasa, a wiodąca wokół niej ścieżka przywodziła na myśl szeroki pasek. Na końcu nabrzmiałego brzuszyska, w pępku, trochę w bok od szlaku, stało kilka ławek.

Nie było nikogo w pobliżu, siedzieliśmy blisko siebie, dwoje ostatnich ludzi we wszechświecie. O tej porze nocy, pod czystym niebem, widzieliśmy w oddali migoczące światła Cándigarhu — prozaicznie geometryczne nawet z tej odległości.

Fizz powiedziała: Musimy mieć dom w górach — kiedyś. Ty mógłbyś pisać, ja bym uczyła.

Tak, odparłem. Musimy.

Trzymała mnie za rękę, jej niebieska kurtka z wywatowanymi ramionami lśniła w świetle księżyca.

Nie zabrzmiało to przekonująco, powiedziała.

Nie, odrzekłem. Wiesz, że kocham te góry. Ale myślałem o tobie. Zawsze mówiłaś, że wolisz morze.

Tak, mówiłam. Ale przemyślałam to sobie. Teraz uważam, że nad morze chciałabym wpadać, ale wołałabym mieszkać w górach.

Dlaczego?

Wiesz, że wolę morze, bo jest wiecznie żywe, nie zna spoczynku, a góry są niezmiennie, masywne i trochę nudne. Wydaje mi się jednak, że nie poradziłabym sobie w życiu z dwoma żywiołami naraz.

Mocno ścisnąłem jej dłoń.

Obróciła się ku mnie, uśmiechnęła i powiedziała: Tak więc, przynajmniej w tej chwili, zdecydowałam, że wybiorę ciebie zamiast morza.

Patrzyłem na nią z pełnym uwielbieniem.

Powiedziała: I bardzo bym chciała uczyć w szkole na wzgórzu, pełnej dzieciaków z zaróżowionymi buziami.

Wszystkie się w tobie zakochają.

To zdobędziesz mnie ponownie nieśmiertelną prozą.

Chyba jednak pojedę nad morze.

Pochylając się, pocałowała mnie i powiedziała: Nie, moim zdaniem *Roślinożercy* będą lepszą książką niż *Plażowe tyłki*.

Ująłem jej twarz w ręce i długo całowałem, księżyc wędrował po niebie, a dalekie światła Candigarhu migotały.

Czterodniowy pobyt minął nam w szczęśliwym oszołomieniu. Lub głównie w szczęśliwym oszołomieniu. Ponieważ między namiętnością a grą nie umiałem wyrzucić z głowy problemów, jakie miałem z manuskrytem. Nawet jeśli coś ściekało kropla po kropli do beczki mojego twórczego natchnienia, to działało się to stanowczo za wolno. Przy takim tempie musiałbym zostać w Kasau-li do końca życia, zanimbym się napełnił.

Kiedy jechaliśmy z powrotem do Candigarhu, panika znowu zaczęła we mnie narastać. W chwili gdy ustawiłem motor na wąskim podjeździe do domu, sięgnęła szczytu, a ja byłem gotów uciekać z powrotem. Kiedy przyjechaliśmy, nastawa! wieczór. Tej nocy spałem fatalnie.

Fizz wyczuwała mój niepokój. Orientowała się w moich kłopotach z pisaniem. Powiedziała zupełnie od niechcienia: Chcesz spróbować pisania wczesnym rankiem? Tak dla odmiany.

To był pomysł. Wiedziałem, że H.G. Wells zalecał taką strategię jako sposób na blokadę pisarską. Zaatakować utwór, kiedy się tego nie spodziewa — wziąć go przez zaskoczenie.

Zatem położyłem się wcześniej do łóżka i nastawiłem budzik na piątą, ale na wiele godzin przedtem czuwałem już w stanie pół-snu, rzucając się i wiercąc, przekładając poduszkę spod głowy między nogi i z powrotem.

Miałem dziwny sen. Stałem w sali rozpraw na miejscu dla świadka — takim, jakie widuje się w indyjskich filmach, wysokiej do pasa klatce z drewnianymi sztachetkami — i czytałem głośno Instrukcję.



Po każdym moim oświadczeniu świniowaty sędzia w peruce uderzał młotkiem, a wtedy chudy jak szczapa policjant o nawiedzonych oczach występował naprzód i walił mnie mocno bambusowym prętem po tyłku.

Czytać jedną stronę Szekspira każdego wieczoru.

Trrrach!

Żadnego seksu przy pracy. Trrrach!

Jednoznacznie kierować okazywaniem emocji. Trrrach!

Za każdym razem, gdy mnie bił, wszyscy obecni w zatłoczonej sali wstawali i bili brawo.

I za każdym razem krzychałem: Och, Szeekssspiiiiir!

Po jakimś czasie dostrzegłem, że większość ludzi w pełnej sali ma na głowach śmieszne kapelusiki, jakie nosi się na przyjęciach, że trzyma w rękach wiązki balonów i dmucha w papierowe trąbki. Jakiś młody mężczyzna z pierwszego rzędu miał na nosie żółte celofanowe okulary. Za każdym razem, gdy dostawałem po tyłku, wyrzucał do góry ramię i podskakiwał. Królicze uszy na jego czapeczce kołysały się w górę i w dół razem z nim.

Po każdej rundzie skoków zaczynał mnie parodiować, krzycząc: Ooooch, Szeeeeekssspiiiiir!

A rozbawiony tłum wrzeszczał unisono: Ooooch, Szeeeeekssspiiiiir!

W miarę czytania i chłosty atmosfera coraz bardziej przypominała festyn. Śmiechy, pohukiwania, przybijanie piątek, anarchiczne poklepywania po pupach. Przypominało to zabawę sylwestrową. Jakieś pary wirowały i tańczyły. Wtedy zacząłem rozpoznawać twarze.

Widziałem dawnych przyjaciół z podstawówki, kumpli z college'u, nauczycieli, opiekuna z internatu, ojca w ciemnym garniturze, matkę w rdzawoczerwonym sari, bibi Lahauri z krótko przystrzyżonymi włosami i obwiązanymi piersiami, wujów, ciotki, kuzynów.

Cholera, facet w okularach z żółtego celofanu i czapeczce z dyndającymi uszkami królika to Miler. I Sobers tu był, tańczył na krześle z tyłu, miał na twarzy wielki fałszywy nos inspektora Clouseau. I właściciel sklepu z owocami w college'u! Tłusty Gowinddzi! Co on tu robił? Podrzucał do góry jabłka, pomarańcze i banany i łapał je do warkoczącego stalowego pojemnika blendera!

W całym tym zgiełku Fizz siedziała cicho na krześle dla protokolanta obok stołu sędziego, miała na sobie togę i skrupulatnie robiła notatki. Wydawała się ponura.

Spojrzałem do góry, sędzia włożył stożkową czerwoną czapkę ze srebrnym dzwoneczkiem z papier mache na końcu. Mocno dmuchał w rozwijającą się, gwiżdżącą tutkę, nadymał tłuste policzki i zamiast młotka trzymał teraz w ręku wielki ananas.

Spojrzałem nań z błaganiem w oczach i zapytałem: Wysoki sądzie, z całym należnym szacunkiem, czy mogę iść teraz do domu i skończyć pisanie?

Wysoki sąd się zdziwił: Cooooo?

Powiedziałem: Wysoki sądzie, *Troilus i Kresyda*.

Tłum krzyczał: Wysoki sądzie, glycodin i paracetamol!

Wysoki sąd wziął wielki ananas, trzymał go w górze niby trofeum, żeby wrzaskliwy tłum mógł wiwatować, i dopiero potem uderzył nim o stół.

Owoc eksplodował niczym bomba, rozrywając się na równiutkie plasterki, które poszybowały po całej sali.

Oszalały tłum wrzeszczał: Ooooch, Szeeksssspiiiiir! Wyciągał ręce i chwycił plastry niczym frisbee. Sędzia popatrzył na policjanta o pustych oczach i warknął: Franz! Franz pochylił się do przodu i wymierzył mi kolejny głośny raz. Wrzasnąłem: Ooooch, Szeekssspiiiiir!

Wszyscy wiwatowali, wyrzucali w górę ramiona i zaczęli podskakiwać.

Fizz spojrzała ze srogą miną, wyjęła z ust trąbkę i zdetonowała dzwonek ogłaszający przerwę.

Obudziłem się przy pierwszym brzęku, sięgnąłem do budzika i wyłączyłem go na dobre.

Nie budząc Fizz, zrobiłem sobie herbatę i wypilem ją na balkonie. Nadal było ciemno choć oko wykol. W sąsiednich domach nie paliły się żadne światła. Kiedy wybije szósta, w mgnieniu piętnastu minut miasto ożyje dziećmi, gazetami, herbatą i porannymi spacerami. Była właśnie godzina finalnego bezruchu i nawet latarnie uliczne wydawały się trochę blade po długiej nocy.

Herbata wysączona. Poszedłem, otworzyłem brothera i przeczytałem wszystko, co napisałem do tej pory. Znalazło się kilka satysfakcjonujących momentów. Jednak gdy skończyłem, przekonałem się, że jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłem tydzień wcześniej, kiedy wychodziłem do Suzie Wong.

Niemniej byłem zdeterminowany nie wahać się już chwili dłużej: pamiętać, pisanie to w takim samym stopniu zdyscyplinowanie jak natchnienie. Uderzyłem w klawisze. Zaczynał powstawać trzeci klaster.

Trzymałem się go przez cały tydzień, pisząc bez przyjemności. Fizz widziała mój brak ożywienia i starała się ułatwić mi życie, unikając tematu książki. Tymczasem w naszym życiu rodziły się także inne problemy. Kiedy pisanie opowieści szło mi marnie, zaczęło być także cienko z pieniędzmi.

Łudziłem się wcześniej, że w ciągu dwóch miesięcy od rzucenia pracy uda mi się uwolnić zamrożone pieniądze, co dawałoby nam środki na przeżycie kolejnych trzech miesięcy. Teraz jednak wszystko wskazywało, że procedura może potrwać około roku. Nie mieliśmy żadnych oszczędności, a moja ostatnia pensja rozeszła się już dawno temu. Fizz udało się sprzedać nasz mały szary telewizor Akai za trzy tysiące rupii i jakoś z tego żyliśmy.

Ale trzymając się naszej początkowej umowy, nie mieliśmy zamiaru przejmować się pieniędzmi.

Nie mieliśmy nawet zamiaru o tym rozmawiać.

Fizz powiedziała zwyczajnie: Pójdę do pracy.

Z jakiegoś powodu nie bardzo chciałem, żeby pracowała, kiedy ja będę pisał. Myślę, że odebrałoby to pisaniu pewną radość.

Powiedziała: Ta głupia St. Caesar's School — mogę tam uczyć angielskiego i geografii. Pan Śarma ciągle mnie namawia, żebym się zatrudniła.

Odparłem: To miejsce dla idioty. A ten facet to krętacz. Jego głównym zajęciem jest sprzedawanie części motocyklowych. Musi być mistrzem w rachowaniu, ale wątpię, czy zna choćby alfabet.

Odpowiedziała: Jakie to ma znaczenie? To tylko ranki i tylko przez parę miesięcy.

Siedzieliśmy na kozetce. Wzięła mnie za rękę, zapaliła światło swego uśmiechu i kontynuowała: Potem pandit na pewno nas stąd zabierze.

Nazajutrz rano poszła i — czego można było być pewnym, zgodnie z zasadami garażowych szkół — została od ręki zatrudniona jako nauczycielka w młodszych klasach. Poprosiła, by mogła zacząć następnego dnia. To tajemnica pieniających się coraz bardziej w Indiach szkół garażowych — zawsze noszą imię jakiegoś zmyślonego chrześcijańskiego świętego i niemal zawsze rozpaczliwie potrzebują nauczycieli. Zawsze też znajdzie się w nich miejsce dla jeszcze jednego ucznia, jeszcze jednego nauczyciela. Klasy są urządzone na balkonach, werandach, pod schodami. Tak, proszę pani, postawimy jego krzesło tutaj, obok nauczycielki. Nie, to nie

jest za blisko. Dzięki temu można mu będzie poświęcić specjalną uwagę. Zbyt tu tłoczno? Skądże! Mamy surowe przepisy dotyczące liczby dzieci przyjmowanych do klasy.

Pensja została ustalona na tysiąc dwieście rupii.

Desperacko oszczędnie mogliśmy z tego wyżyć. Nadal zostało nam pięćset rupii ze sprzedaży telewizora.

Kiedy zaczęła uczyć w szkole, wróciłem do dawnych godzin pracy. Zasadniczo chciałem spędzać z nią ranki, bo bez spokoju osiąganego przesytem trudno było mi się skoncentrować na pracy.

Nie przekładało się to na pracę brothera, niestety.

Mówiąc wprost, nadałem teoretyczny sens Abhajowi, jego ojcu i jego dziadkowi, i historiom ich życia. Ale to, z czego zdałem sobie właśnie sprawę, nic nie znaczyło. Potrzebna mi była sensowna narracja, obejmująca ich wszystkich. Problem polegał na tym, że niczego nie wiedziałem o szczegółach ich życia. Co jedli? Jakiego mydła używali? Jakiego oleju? Jak podróżowali? Jaką gazetę czytali? Jak dużo pieniędzy wydawali? Nie znałem też sposobu wejścia do ich umysłów i do ich serc. O czym myśleli? Pozwalali miłości, by nimi powodowała? Jak ją rozgrywali? Czy rozmawiali z żonami o ich uczuciach? Jaką formę przybierała taka rozmowa? Czy kiedykolwiek paplali bezmyślnie ze swymi dziećmi?

Miałem podstawową wiedzę o wszystkich tych rzeczach dzięki moim rozmowom z ojcem i innymi starszymi ludźmi, którzy żyli w tamtym czasie. Niejasne historyczne szczegóły były stopem wiedzy z pobieżnych lektur. Ale to wystarczało, co z bólem zrozumiałem, na napisanie może piętnastostronicowego eseju, z pewnością jednak nie na trzystustronicową powieść.

Wraz z zanikającą początkową brawurą uświadamiałem sobie z coraz większym przerażeniem, że porwałem się na budowanie zamku z piasku. Ziarna ignorancji, przekłamań i czystych domysłów z ręcznie się poukładały jedno na drugim — ale pierwsza fala krytycznego czytania wypłukałaby je do szczętu.

Starłem się udawać, że mam problem z fabułą. Nie z brakiem wiedzy albo brakiem przeżytych doświadczeń. Dlatego w trzecim klastrze poszedłem na wygibasy myślowe. Powiedziałem sobie: Prawdziwe życie jest wymysłem, więc nie ma powodu, żebym się pilnował.

Zaaranżowałem dramatyczne starcia pomiędzy ojcami i synami. Wygłaszali sobie nawzajem rozwlekłe tyrady na temat filozofii, wartości i materializmu — krzyczeli, trzaskali drzwiami i oknami. Akcja stała się gorączkowa. Pandit przekupił strażników więziennych, żeby dawali synowi lepsze jedzenie i miejsce do

spania. Pratap się o rym dowiedział i wpadł w amok. Abhaj odebrał telefon od producenta z Bombaju, ale musiał zapłacić ogromną sumę za ułatwienie debiutu. Żeby zdobyć pieniądze, przekonał ojca, by przyjął łapówkę. Dziewczyna Abhaja zaszła w ciążę. Abhaj ją rzucił. Poszła do jego ojca. Pratap załatwił jej pracę. I aborcję. Wkrótce nawiązała z nim głębszą znajomość. W innym wątku powieści pandit został przyłapany na oszustwach przy dostawach żywności do garnizonu. Spotkał się z Andersonem w trybie pilnym. Despotyczny pandit padł do stóp białego człowieka. Doszło do porozumienia. Pandit zaczął sprowadzać najlepszych catamite do urzędu okręgowego. Tymczasem, w przewrotnym geście ironii, Abhaj został zmuszony do służenia swemu producentowi, by zapewnić sobie rolę.

Mówiąc krótko, książka rozpadła się w proch.

Dwa miesiące po naszym powrocie z Kasauli nadal trzymałem się rytuałów — ściśle przestrzegane godziny, Instrukcja, podliczanie słów — ale była to już pusta ceremonia, jak marsz malowniczych wartowników przed pałacem.

W żargonie Milera: chciałem w szczytach łowić krewetki.

Co kilka dni dawałem Fizz do przeczytania efekty moich wysiłków i łatwo wyczuwałem, że jest w rozterce. Myślę, że widziała, jak książka wymyka mi się z rąk, ale chciała zachować wiarę. Zatem bawiliśmy się dalej w tę szaradę. Stos zapisanych na maszynie kartek — z podwójnym odstępem — rósł na szafce, obciążony dziewczyną z włosami na sztorc na drewnianej plakietce. Mój bohater.

Na pierwszej stronie było napisane: *Spadkobiercy*.

Niżej podtytuł: *Indyjskie stulecie*.

I tuż pod spodem: Brudnopis roboczy numer jeden.

Wkrótce potem, kiedy narracja zaczęła kuleć, liczba gwiazdek i czaszek zaczęła maleć. Co dziwniejsze jednak, teraz znowu poczęły się mnożyć. Im moja pewność dotycząca pisania stawała się mniejsza, tym chętniej szukałem pociechy w fizyczności Fizz. Na początku pisanie sprawiało, że czułem się spokojny, spokojny i pozbierany. Teraz spokój przepadł, pozbieranie przepadło. Czułem się rozbity, spanikowany. Usiłowałem wypełnić się jej ciałem. Poszukiwałem spokoju chwili po stosunku. Liczba gwiazdek rosła.

Pożądanie to naprawdę coś nieprzewidywalnego.

Z nią zaś było zupełnie odwrotnie. Kiedy pisałem z zapalem i bez trudu, coraz bardziej mnie pragnęła. Znajdowała mnie wszędzie. Chciała sprawdzić moją spójność, uszczknąć jej kawałek. Wilgotniała przez cały czas. Teraz to minęło. Przestała odgrywać rolę agresora. Już nie mogłem liczyć na to, że położę się na plecach i zaczekam, a ona zacznie mnie masować. Dawny porządek sam ponownie się zaprowadził. Musiałem wyciągać rękę i prosić

O to, czego chciałem.

A potem nakazy Instrukcji, jeden po drugim, przestały obowiązywać. Zacząłem przegadywać pisanie, pić każdego wieczoru, przestałem czytać codziennie po jednej stronie z *Troilusa i Kre-sydy*, zaczęliśmy chodzić do kina co drugi wieczór, zmieniłem się w zdesperowanego rzemieślnika od fabuły.

Pratap miał się stać skorumpowanym przewodniczącym Rady Ministrów. Abhaja czekała przyszłość króla romansu indyjskiego kina. Pandit zaś okazywał się porządnym człowiekiem, który potajemnie wspiera bojowników o niepodległość.

Ślepy by dostrzegł, że chciałem w szczytach łowić krewetki.

Najgorsze jednak było to, że wróciłem do zapamiętałego czytania powieści. Zaciągnąłem Fizz do księgarni sirdżego i kupiłem kilka nowych książek zapakowanych w celofan. Zanurzałem się

1 zatracalem w opowieściach innych ludzi, powoli zapominając o własnej.

Fizz mnie nie wygwizdała. Sam to zrobiłem pewnego dnia.

Mniej więcej pięć miesięcy później usiadłem przy stole w jadalni, żeby na lśniącej czerwonej maszynie wystukać moją rezygnację z pracy. Tego wieczoru osaczyłem Fizz w kuchni i oświadczyłem, że zamierzam rzucić robotę.

Miała na sobie jedynie niebieską dżinsową koszulę i kroila ścisłą zieloną główkę kapusty na pofałdowane kawałki. Poszatkowana nożem kapusta wyglądała ogromnie prozaicznie. W tej chwili przypomniała mi o *Spadkobiercach*.

Nie przerywając, powiedziała: Przestań się zamartwiać! Zrób sobie po prostu przerwę.

Ostatnie dwa miesiące były dla nas czasem próby. Nadal nie chcieliśmy rozmawiać o pieniądzach, ale radzenie sobie z nimi przybrało formę nerwicy. Wiedziałem, że Fizz porobiła koperty

na różne wydatki — gazety, mleko, artykuły spożywcze, benzynę, gosposię, czynsz, prąd, gaz — i kalkulowała ich zawartość do ostatniej rupii.

Cały czas udając, że takie sprawy w ogóle nas nie obchodzą, zaczęliśmy spędzać każdego dnia po kilka godzin na obmyślaniu sposobów rozwiązania tego problemu.

Koniec z gazetami — możemy je pożyczać od sąsiadów z dołu. Zaoszczędzimy dzięki temu około trzydziestu rupii.

Odprawić gosposię. Ja będę zmywał, Fizz zajmie się zmiataniem i myciem podłóg. Siedemdziesiąt pięć rupii.

Chodzić codziennie na Bidźwara Ćauk i robić zakupy u hurtowników na targu warzywnym. Kupować masło Amul w stugramowych kostkach, a nie w półkilowych, i mądrze nim gospodarzyć.

Unikać jazdy motorem i chodzić (to było łatwe — mieliśmy w tym niezłe doświadczenie).

Żadnych więcej biletów na balkonie. Siadać na parterze.

Każdą zaoszczędzoną w ten sposób monetę Fizz odkładała do starej puszki po bournvicie i pod koniec każdego tygodnia sprawdzała, ile udało jej się zachomikować.

Ku mojemu najwyższemu oburzeniu roztrząsanie sprawy pieniędzy stało się problemem ważniejszym od książki.

To była większa porażka niż pisanie. Wiele lat wcześniej tylko tego jednego oczekiwałem od Fizz, tak się umówiliśmy. Że cokolwiek się stanie, pieniądze nigdy nie będą ważną kwestią w naszym życiu. Jeśli będziemy je mieli, będziemy wydawali. Jeśli zaś będzie ich brakowało, nie będziemy się tym przejmować. Mimo chwil największego niepokoju udawało się jej dotrzymać obietnicy. Wiedziałem, że było jej z tym ciężko. Zmagała się z wrogiem, którego imienia nie wolno jej było głośno wypowiedzieć.

Ale był to wróg, którego najbardziej się obawiałem. Widziałem już w życiu, jak wypruwa wnętrze mojej rodziny i klanu, i przyjaciół. Zżerał klasę średnią. Niczym samica komara widliszka przenosił podwójną klątwę. Wysysał soki przyzwoitości i zostawiał ofiarę w drgawkach chciwości. Byłem przekonany, że to wróg, którego każdy dotyk czyni nas mniejszymi.

Pieniądze, bardziej niż cokolwiek innego, zmieniły najwięcej wspaniałych ludzi w miernoty.

Moje zaniepokojenie wzrosło, kiedy Fizz zasugerowała, że weźmie pozaszkolne zajęcia w InstaEnglish, które obiecywały młodym adeptom: Będiesz mówić jak dżentelmen już w sześćdziesiąt dni! Od *hello* do *bye-bye!* Pełna gwarancja Fulluma! Stań się jankesem pierwszej klasy!

Lekcje odbywały się wieczorami na terenie szkoły i każda trwała godzinę, a uczyła się na nich dziwna mieszanka ludzi: młodzi chłopcy z miasteczek Pendżabu, Harijany i Himaćal Pradeśu, dziewczęta, które chciały poprawić swoje perspektywy małżeńskie, i starzy wyjadacze w połowie kariery, którym się zdawało, że powierzchowna znajomość kilku angielskich fraz zmieni ich życie. Pan Śarma łatwo i szybko zarabiał duży szmal, organizując każdego wieczoru zajęcia dla sześciu przeładowanych grup. Gdyby Fizz zgodziła się poprowadzić lekcje przez sześćdziesiąt dni, zapłaciłby jej za to dwa tysiące rupii.

To był naprawdę dzwonek alarmowy. Małe miasteczko — miejscina — zaczynało wywierać na nas wpływ.

Kuchnia była maleńka, dlatego stałem w drzwiach, z rękami opartymi o framugę.

Powiedziałem: Muszę to rzucić.

Odparła: Dokończ, wtedy będziesz wiedział lepiej.

Skończone. Nic w tym nie ma.

To nieprawda.

Prawda.

Jesteś zbyt surowy.

Fizz, pamiętaj: świat jest pełen nieprzeczytanych śmieci — nie dodawać nic do nich.

Odłożyła nóż, podeszła i objęła mnie ramionami. Pochyliłem nisko głowę i pocałowałem ją. Linia jej włosów była mokra, a na górnej wardze dostrzegłem cieniutką warstwę potu. Zapach jej skóry podniecił mnie, zamknąłem oczy i zacząłem się wgryzać w wolno rozchylające się usta. Kiedy trzymała w dłoniach moją twarz, czułem zapach zielonego soku na jej palcach.

Tego wieczoru pojechaliśmy nad jezioro Sukhna, gdzie szwendali się turyści i hulacy. Hałaśliwe rodziny już odeszły, a przy wózkach z lodami i golgappą obsługiwano ostatnich maruderów — przeważnie pary zakochanych albo podglądających je uczniów. Znaleźliśmy łódź, którą powiosłowaliśmy na kurczące się miarowo jezioro — jak większość sztucznych tworów, jezioro powstało, choć bezsens jego istnienia wydawał się oczywisty. W blednym świetle widać było ogromne dźwigi sprowadzone do wybierania zatykającego wszystko szlamu. Przycupnęły na piaskowym brzegu niczym gigantyczne owady u wodopoju.



Kiedy mogłem już wyczuć, że jest głęboko, dałem jej paczkę i powiedziałem: Okay, zrób to.

Dlaczego ja?, zapytała. Żebyś mnie potem o to winił? Tak, odparłem.

Nie odezwała się, trzymała paczkę.

Para czajek o czerwonych podgardlach przeleciała nad naszymi głowami. Czulem ruchy powietrza uderzanego ich skrzydłami. Darły się przeraźliwie: Zro-bi-li-ście? Zro-bi-li-ście?

Powiedziałem: Pisarstwo nie jest życiem. Fizz jest.

Odrzekła: Pisarstwo jest życiem. Fizz jest Fizz.

Zrób to po prostu. Musimy płynąć dalej.

Ciemny, szorstki wioślarz — ze wschodniego Uttar Pradeśu albo Bihar — przyglądał się nam z zaciekawieniem, usiłując odgadnąć sens naszej rozmowy. Sprzeczaaliśmy się? Intrygowaliśmy? Jakie znaczenie miała paczka, którą przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk?

Zrób to po prostu, powtórzyłem. Nic tam nie ma. W swoim czasie powstanie ta właściwa.

Nie patrząc na wodę, ale ze wzrokiem utkwionym w moich oczach, wyciągnęła lewą rękę i zanurzyła paczkę w jeziorze. Nie wrzuciła jej, nie było żadnego plusku, żadnego dźwięku. Trzymała rękę pod powierzchnią, pozwalając, by papier nasiąkał, w milczeniu wypełniała wodą jego płuca, by nigdy już nie wypłynął na wierzch. Jej ręka tworzyła niewielki ślad na ciemniejszej tafli, a kiedy ją wreszcie wyciągnęła, była pusta, ramię zaś miała mokre po łokieć. Przytuliła je do swych gładkich policzków i zamknęła oczy.

Pandit, Pratap i Abhaj mogli powoli zanikać.

Wioślarz odwrócił się, żeby popatrzeć na punkt w wodzie, gdzie ręka Fizz zanurzyła się razem z paczką. Na wypadek gdyby jutro zjawiała się policja i rozpytywała, zapamiętał koordynaty.

Kiedy dotarliśmy do brzegu, czajki ponownie przeleciały z łopotem skrzydeł: Zro-bi-li-ście? Zro-bi-li-ście?

Zro-bi-li-śmy.

Zro-bi-li-śmy.

Z powrotem jechaliśmy wolno, na trzecim biegu, i prawie nie rozmawialiśmy przez resztę wieczoru. Gdy dotarliśmy do domu, założyłem na brothera czarną pokrywę i odstawiłem go na dawne miejsce przy półce z książkami w salonie. Jego czerwony spód lśnił niczym wyrzut. Stół w jadalni — po pięciu miesiącach goszczenia maszyny — wydawał się dziwnie ogołocony. Niczym łazienka bez umywalki. Dwutomowy słownik Webstera wrócił na

półkę w sypialni. Gruby stos papieru, nadal częściowo w opakowaniu, powędrował na górę szafy. Przybory biurowe — ołówki, spinacze, taśma klejąca, pinezki — znalazły się w różnych szufladach. Instrukcja została oderwana od lustra, zwinięta w ciasną tutkę i zatknięta za plecy biblioteczki. Plakietka Mój bohater! znalazła się na parapecie w łazience. Za kilka dni zniknie z oczu za butelkami olejków i szamponów.

Zrobiliśmy to wszystko w zupełnym milczeniu.

Kiedy skończyliśmy, nie został nawet ślad, że w tym domu ktoś napisał manuskrypt, choćby stronę, a nawet jedno słowo.

Nocą Fizz powiedziała: Pierwszy rękopis spłonął, ten utonął w jeziorze, co chcesz zrobić z trzecim?

Siedzieliśmy na łóżku, oparci o wezglowie. Światła były zgaszone. Koniec jej papierosa jarzył się niczym dokuczliwy pomysł. Kilka lat po skończeniu college'u wróciła ostatnio do palenia — jeden papieros przed zaśnięciem każdej nocy. Trzy lata wcześniej zmusiłem ją do wrzucenia do kominka w domu Sobersa w Kasauli innej rzy papieru zapisanego na maszynie. Wtedy był to skończony tekst, ale znacznie gorszy. Odczułem ulgę, widząc, jak przepada. Był tak zły, że nawet ogień protestował. Krztusił się i dławił, potem beknął dymem, a pokój wypełnił się czarnymi płatkami, unoszącymi się aż do krokwi. W samym środku nocy musieliśmy otwierać drzwi i okna sypialni, starając się przy tym zachować kompletną ciszę. Przez ponad godzinę staliśmy na zewnątrz, trzęsąc się z zimna, podczas gdy dym i popiół osiadały. Śmialiśmy się, a Fizz ostrzegła mnie, że bym już nigdy nie pisał trudno palnych książek.

Teraz nasz nastrój był zupełnie inny.

Wyrzucenie na śmieci pierwszej książki może być chwalebny aktem. Pozbycie się drugiej jest mniej zaszczytne i bardziej najeżone nieprzyjemnymi pytaniami. Robiliśmy dobrą minę do złej gry, ale, moim zdaniem, oboje myśleliśmy o rybach, które skubały *Spadkobierców*, i wiadomości, jaką nam przesyłały.

Powietrze, powiedziałem. Następna należy do powietrza. Wyrzucona z samolotu. Albo może z domu na wzgórzu.

Tak, odparła, zaciągając się i rozjarzając koniec papierosa. Ogień. Woda. Powietrze. I może potem będziemy mogli iść do wydawcy.

Kiedy się obudziłem następnego ranka, nie miałem nic do roboty.

Fizz wyszła do szkoły. Usiłowałem czytać, ale byłem zbyt rozbity, żeby się na tym skoncentrować. Przyłapałem się na powtórnym czytaniu każdego akapitu, bo za każdym razem, gdy dochodziłem do ostatniej linijki, zdawałem sobie sprawę, że nie pamiętam ani słowa z tego, co znajdowało się wyżej. Słuchanie muzyki także się nie sprawdziło. Zadzwoiłem do Amreśa i pojechałem na herbatę do jego dobudówki w Sektorze Trzydziestym Czwartym. Był dziwnym facetem i unikałem go przez większość czasu. Kontaktowałem się z nim tylko wtedy, gdy sam czułem się nieswojo i nie na miejscu. Jego szajba nieodmiennie łągodziła mój niepokój.

Ta dobudówka — w żargonie Ćandigarhu: pokój nad garażem — to było przeżycie. Każdy centymetr kwadratowy ścian pokrywały karteczki ze słynnymi cytatami i fragmentami. Wypisy pochodziły z najrozmaitszych źródeł, z dzieł hinduskich i zachodnich filozofów, z prozy i poezji. Od bardzo krótkich, w rodzaju *tat twam asi* — *Ty jesteś tym* — i Kartezjusza *Myślę więc jestem*, do długich fragmentów z Marka Aureliusza i upanisad. Każdy tekst był nakreślony śmiałym odręcznym pismem, zawsze grubym kolorowym mazakiem — różnymi odcieniami czerwieni, zieleni, żółci, fioletu, czerni, brązu, oranżu, błękitu.

Na suficie Amreś napisał cały wiersz wielkimi czarnymi literami, *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo starannie obliczył powierzchnię, bo wiersz pokrywał sufit z ogromną precyzją. Ostatni wers — *lasy są urocze, ciemne i głębokie* — został napisany kontrastowo jaskrawą czerwienią. Efekt był psychodeliczny. Wszystkie te otaczające człowieka teksty wywoływały zamęt w głowie i zawsze po wyjściu z pokoju odczuwało się ogromną ulgę.

Był świrem w każdym calu.

Amreś pracował jako reporter w mało znanej gazecie z redakcją gdzieś na południu i miał pokrętne poczucie moralności. Podczas konferencji prasowych, kiedy wszyscy rzucali się najedzenie, on nie chciał nawet łyku wody. Nosił ze sobą pękata stalową manierkę — wojskowy sprzęt, przewieszony przez ramię razem z czarną torbą — i pociągał z niej, kiedy tylko miał ochotę. W granicach miasta nie uznawał zmotoryzowanych środków transportu. Miał doskonale utrzymany rower Atlas z zamykanym stalowym pojemnikiem przyspawanym do bagażnika. Przemierzał na nim w kilka minut całe miasto. Wysoki, dobrze zbudowany, stanowił znany obrazek w Ćandigarhu, kiedy pedałowal zawzięcie po drogach obsadzonych drzewami. Na prawej kostce nosił czarną opaskę na

włosy, zatykał za nią nogawkę spodni za każdym razem, gdy siadał na rower. Na szarych skarpetach widać było czarne tłuste smugi od smaru z łańcucha.

Z wyglądu był zupełnie przeciętny. Ubierał się formalnie — spodnie z kaniem, wyprasowana koszula bez jednego zagniecenia, szare skarpetki i czarne skórzane buty. Włosy nosił krótko przystrzyżone po wojskowemu, zawsze był świeżo wykąpany i dokładnie ogolony. Robił rzeczy, jakie nie przysłyby nawet do głowy chłopakowi z pendzabskiej klasy średniej: sam sobie gotował i sprzątał. Pochodził z Amritsaru, granicznego miasta znanego z typów macho, ale on był na swój skromny sposób zupełnie inny.

Realizowałem z nim wiele materiałów na pierwsze strony, poświęconych atakom terrorystycznym, i podczas gdy wszyscy domagaliśmy się gorączkowo informacji, on nieodmiennie zachowywał spokój i okazywał innym szacunek, zadawał uprzejme pytania i robił szczegółowe notatki. Zwykle przyjeżdżaliśmy wiejską drogą, kiedy słońce nie zdążyło jeszcze osuszyć porannej rosy, a rozciągające się przed nami pola łagodnie drżały pod naporem ptactwa budzącego się o świcie. Z oddali słychać było uspokajające pulsowanie ręcznych pomp wodnych. W tle rozlegało się szczekanie wiejskich psów. Rozklekotany autobus Punjab Roadways stał zaparkowany pod kątem ostrym obok drogi. W pewnej odległości widać było tłumek wieśniaków. Nieumytych mężczyzn w białe jak zwiniętych turbanach, kobiet w wyblakłych szalach na głowie i zasmarkane dzieciaki, trzymające dorosłych za palce i usiłujące jednocześnie podejść bliżej.

Gdy działo się to zimą — i zazwyczaj tak właśnie bywało, bo mordercom łatwiej było ukryć AK-47 pod kocami, którymi się owijali — mgła nadal unosiła się nad ziemią. Parowały zwłaszcza kałuże na poboczach. W dali niemal zawsze widzieliśmy zaparkowane szare jeepy policji i albo nieoznakowany ambulans, albo policyjną ciężarówkę. Zawsze stały tam także co najmniej dwa białe samochody Ambassador z zaciemnionymi szybami, jeden należący do nadinspektora policji, a drugi do jakiegoś okręgowego urzędnika wyższego szczebla. Podjeżdżaliśmy samochodami — z ręcznie wykonanym napisem Prasa przyklepionym do przedniej szyby — blisko służbowych pojazdów i wyskakując, biegliśmy na miejsce zbrodni.

Fotoreporterzy rzucali się pierwsi, klękali, pochylali, przechylali, pstrykali. Ciała leżały zazwyczaj ułożone na przyległym polu, równo, w trzech szeregach. Czasami przykrywały je białe prześcieradła, które fotografowie odchylali, żeby robić zdjęcia. Naj-

częściej jednak zwłoki leżały tak jak w chwili śmierci, tyle że teraz odciągnięte na bok.

Ofiarą zamachu mógł być każdy. Mężczyźni, ale także kilka kobiet i od czasu do czasu dzieci. Kodeks dawnych terrorystów już dawno przestał obowiązywać. Maszynowe serie z AK-47 skazywały na śmierć przypadkowych ludzi. Poszarpane i oderwane ramiona, nogi, czaszki i wnętrzności namierzone w chwili obłędu, gdy wrażliwe palce naciskały na spust. Czasami można było zobaczyć wyciekający mózg lub rozlewające się jelita.

Scenariusz się powtarzał: w środku nocy autobus był przejmowany przez trzech młodych chłopców, rozchylających koce, którymi się okutali, i wyciągających broń. Jeden przy przednich drzwiach, drugi przy tylnych, trzeci mówiący kierowcy, jak zjechać na opustoszałą polną drogę. Uspokajający odór powietrza w autobusie — stęchłego jedzenia, pikli, cuchnących oddechów i zionącego bekania — nagle zmieni się w smród zagrożenia. Śpiący pasażerowie, poowijani w szorstkie koce, zaczną się wiercić przez sen, coś będzie się zaciskało na sercach. Bardzo szybko w autobusie nie będzie już nikogo z zamkniętymi oczami, zwieracze zaczną popuszczać.

Pasażer na przednim siedzeniu, wygadany sprzedawca z Ludhijany, podziwiany przez przyjaciół i rodzinę za inteligencję, wierząc w swój talent do przekonywania, zacznie błagać i perswadować. Będzie mówił o niewinności pasażerów, ich przeciętności i trudnym życiu. Będzie głośno solidaryzował się ze sprawą chłopaków, pochwali ich odwagę, potępi niesprawiedliwość rządu, który na nich poluje. Może nawet zapyta, do jakiego ugrupowania bojowników należą — czy to Oddział Sił Khalistanu, Babbar Khalsa? Siły Wyzwolenia Khalistanu? Może nawet spyta, z którego są miasta, z której szkoły, z którego college'u? Gładko ogolony sprzedawca będzie się uśmiechał przez cały czas, będzie usiłował złagodzić napięcie chwili.

Przywódca o oczach jastrzębia, stojący przy kierowcy, z nosem i podbródkiem ostrymi jak grot strzały, z zarostem zbyt nikłym, by go podciąć lub podwiązać, nawalony opium, które żuje, trzyma w dłoniach przyjemny w dotyku AK-47. W którymś momencie skieruje krótką lufę na falującą pierś sprzedawcy i wystrzeli pocisk. Rozlegnie się cichy, stłumiony dźwięk, w żaden sposób niekojarzący się z piekłem, które zapowiadał. Sprzedawca umrze z szeroko otwartymi oczami, z twarzą nadal uśmiechniętą, z niedokończoną ostatnią wysoką sylabą. Jak dobry żołnierz w ostatecznej bitwie o własne życie. Wystrzelony z bliska pocisk roze-

rwie mu serce wewnątrz ciała na strzępy. Uciszy też innych chętnych do negocjacji strategów z autobusu.

Kierowca stanie się ugodowy. Nie będzie okazywał oporu. Spróbuje zmienić front. Uprzejmie spyta o instrukcje. Czy mam tutaj skręcić w lewo? W kierunku wsi Khakkar? Mam zwolnić? Zaparkować tutaj? Dokładnie tu? Na poboczu? Wystarczy jedno słowo, o bogowie. Powiedzcie tylko słowo.

Wszyscy wierzymy w naszą zdolność do wymigania się od śmierci.

W naszą umiejętność zagrania na strunie dobroci u mordercy.

Każdy z pasażerów będzie wierzył, że w jakiś sposób przeżyje, nawet jeśli śmierć nawiedziła autobus.

Ale chłopcy okażą się zdyscyplinowanymi żołnierzami o sercach z polerowanej stali. Będą działali zgodnie z planem. Najpierw wyprowadzą z autobusu sikhów. Każą im się położyć twarzą w dół pod akacją. Ich śladem pójda kobiety i dzieci, im tak samo polecą położyć się na ziemi. Jeden z chłopaków, chuderlawy, ze szczyrbą między zębami, zacznie chodzić nad nimi z AK-47 o drewnianej kolbie, dumą i sensem jego życia.

Jastrzębiooki przywódca obrzuci ostatnim niespiesznym spojrzeniem kulące się ciała i wysiadając z autobusu, da znak ostro zarysowaną brodą. Serce nowo pozyskanego konwertyty wypełni się podnieceniem i grozą. Każę pozostałym ludziom zająć miejsca pośrodku autobusu. Szurając nogami, kurcząc się w sobie i otulając ciaśniej szorstkimi kocami, posłuchają polecenia. Wszyscy staną przed ostatecznym dylematem swego życia: czy uczynić jeszcze jedną rozpaczliwą próbę błagania o litość, czy przyjąć postawę kogoś tak nieważnego, że chłopak i los w ogóle ich nie dostrzegą i przejdą obok?

Młody konwertyta z trądzikiem prześwitującym przez rzadki zarost wykrzyczy głośne i absurdalne zawołanie do wszechmogącego: Błogosławiony jest wybraniec... ustawi swą piękną broń poziomo na wysokości pasa, w chwili zupełnego upojenia naciśnie na gładki spust. Reszta jego porywającego okrzyku zaniknie, kiedy zacznie przesuwac lufę po łagodnym łuku, a broń będzie pluła i pluła, i pluła.

Wybuchnie mieszanina dźwięków: ostre strzały, cichy głuchy łoskot pocisków uderzających w koce, trzask rozrywanych i łamanych czaszek i kości, brzdęk kul odbitych rykoszetem od aluminiowych uchwytów przy siedzeniach i stalowej karoserii, krzyki umierających i chowających się, wreszcie coraz głośniejsze przeklinanie młodego konwertyty, który z coraz większym zapałem sięga po władzę, jaką daje mu broń pulsująca w rękach.

Kilka chwil później, całe eony później, wypełni nagłą ciszę dźwiękiem zakładania nowego magazynku. Ci, którzy jeszcze nie umarli, będą mieli jedynie moment na łudzenie się nadzieją, podczas gdy młody wojownik będzie chodził metodycznie między wilgotniejącymi rzędami i strzelał do wszystkiego, co się poruszy. Kierowca także się tam znajdzie, z sercem otwartym teraz jak kwiat, będzie leżał na wieśniaku spod Gurdaspuru, którego żona i córka przywrą twarzami do ziemi na zewnątrz.

Kiedy ostatni jęk zamilknie w ciemności nocy, chłopak otworzy tylne drzwi, wyjdzie na zewnątrz i obróci się do swego jastrzębiokiego szefa, stojącego nieporuszenie w świetle księżyca, z kocem opadającym z pleców niczym peleryna Batmana, z AK-47 wiszącym u boku, z lufą zwróconą do dołu. Szef uniesie broń w odwiecznym geście zwycięstwa i zawoła: Jo bole... i przyłączy się głos rekruta... So niha!... i głos spod akacji, trzeci chłopak dołączy do chóru: Sat sri akal.

Byli religijnymi wojownikami. Nie szumowinami, nie najemnikami. Jak wszyscy żołnierze dogmatu, wymaszerowali z baraków moralności, by ćwiczyć się we wspaniałej niemoralności.

Pamiętam, jak wchodziłem do takich autobusów. W przejściach zawsze było ślisko od zgęstniałej krwi, choć ciała zostały już wyniesione. Wrażenie tragedii było zupełne, tobołki i koce wały się wszędzie, smugi czarnej krwi zakrzepłej na siedzeniach, wszechobecne łuski po pociskach, kawałki białych kości, które człowiek szybko uczy się dostrzegać i pokazywać sobie wzajemnie, i materiał, którym wypchano fotele, wyłazający na zewnątrz niczym bebechy trupa — przypominam sobie, że raz widziałem akordeon leżący na jednym z siedzeń, jak na surrealistycznym obrazie, szeroko otwarty, z miechami na wierzchu, jego drewniane wypolerowane serce przestrelono na wylot.

Słodko-kwaśny zaduch wywołany świeżo skrzepłą krwią wypełniał mi nozdrza i nie mogłem się pozbyć tego odoru przez wiele dni.

Na miejscu zdarzenia, kiedy razem z innymi młodymi dziennikarzami zajmowaliśmy się autobusem, wieśniakami i brzuchatymi policjantami, starsi reporterzy, o gładkich wazelinarskich manierach i niebotycznej pewności siebie, szli prosto do nadinspektora policji i urzędników okręgowych, pompowali im dłonie, klepali po plecach i zaczęli ich sondować w poszukiwaniu informacji. Podczas gdy my polowaliśmy na atmosferę i dramat, kolor i szczegóły do zacytowania, oni węszyli za poufnymi wiadomościami, czymś na wyłączność — zazwyczaj był to fałszywy do-

wód, część wojny propagandowej pomiędzy różnymi stronami. Ale nie było to dziennikarstwo stronnice. W innych okolicznościach, w sali Złotej Świątyni, bojownicy przekazaliby poufne informacje, dali je na wyłączność i byłoby to rozesłane po świecie z takim samym pośpiechem.

Lubiłem Amreśa, gdy przygotowywał doniesienia, bo był poważny, pracowity i metodyczny. Bardziej niż ktokolwiek z nas. Nie śpieszył się, rozmawiał z każdym źródłem, bardzo się starał zrekonstruować przebieg wydarzeń i zachowywał pełny sceptycyzm wobec oficjalnej wersji. Także jako jedyny spośród nas nie był opryskliwy dla informatorów, niewinnych ludzi mimowolnie wkraczających na scenę historii. Nie domagał się napastliwie relacji i nie szedł zaraz dalej. Był uprzejmy, sympatyczny, chętnie czekał, aż skłębione emocje opadną i zostaną wyartykułowane. Siedząc w kucki, użalał się tymczasem nad wieśniakami. Głowę trzymał w dłoniach, chłonąc ostatni zadany im cios do własnego życia.

Obserwując go przy pracy, często myślałem, że bardziej przypomina pracownika opieki społecznej prowadzącego terapię niż zaprawionego w bojach dziennikarza, usiłującego zdążyć przed wyznaczonym ostatecznym terminem złożenia materiału.

Był również niesłychanie pomocny. Bezinteresownie dzielił się informacjami i często wskazywał nam, gdzie popełniliśmy błędy. W Chandigarhu i Amritsarze byliśmy wielką, rosnącą bandą reporterów z całego kraju, uganiającą się za wspaniałą, niekończącą się historią z rodzaju tych, które stworzyły i nadal tworzą wiele dziennikarskich karier. Terroryzm sikhów wybuchł w Pendżabie w 1938 roku i zawładnął wyobraźnią Hindusów. Dla kraju wiecznie poszukującego przyczyny i celu to był dobry towar. Poczucie tożsamości zyskaliśmy dopiero piętnaście lat wcześniej wraz z dziwaczną symboliką walki o niepodległość. Żeby zrozumieć, kim jesteśmy, nadal potrzebowaliśmy nieprzyjaciela.

W marszu Indii do dorosłości, gdy groźbą stała się utrata dziewictwa, to właśnie Pendżab był pierwszą aferą z prawdziwego zdarzenia. Dusze i ciała zostały drobiazgowo przebadane, obietnice poczynione, okaleczenia dokonane, intensywne i niebezpieczne emocje rozegrane. Na pewnym poziomie cała ta krwawa sprawa przypominała makabryczny dowcip. Jak w sekwencji bitwy u Kurosawy, gdyby mistrz zapomniał zawołać: Cięcie, i nagle poszedłby do domu. Nikt inny nie miałby na tyle cywilnej odwagi, żeby głośno przemówić, wkroczyć. Konie nie przestawałyby galopować, armie ścierałyby się ze sobą, samurajowie nie przerywaliby rzezi



za pomocą szerokich mieczy i wydawali syczące okrzyki. Hoszo! HoszoKoszoPoszoWoszo! Hoszo! Zanim mistrz by powrócił — zdążywszy uprzednio poprosić producenta o więcej pieniędzy — scenografia, broje, konie, aktorzy, wszystko obróciłoby się wniwecz.

Po jakimś czasie złudzenie bitwy utorowało drogę prawdziwej walce. Nic w tym niezwykłego. Ludzie mają uczucia, a zbyt wiele uderzeń, choćby tylko drewnianym mieczem, może stać się zarzewiem buntu.

Kiedy polityczni władcy w Delhi i Pendżabie posnęli, poturbowani aktorzy wkroczyli do akcji. Gry prowadzone przez polityków były fingowane, nieszczerze. Ich racje fałszywe. Ich cierpienia czystą fantazją. Z drugiej strony agonie pobitych wykonawców była prawdziwa. Trzech chłopaków, którzy przeszli przez autobus, nie bawiło się w żadną grę. Ryzykowali własne życie w jak najbardziej realnej sprawie. Zadawali prawdziwe rany. Wcześniej ktoś bardzo ich skrzywdził drewnianymi mieczami.

Będą zabijali prawdziwych ludzi.

Będą umierali prawdziwą śmiercią.

Niedługo.

Tymczasem władcy, starzy i nowi, stracili zupełnie kontrolę nad scenariuszem i usiłovali się domyślić, jaki był początkowy zamysł. Akcja wymknęła im się z rąk. W sierpniu 1987 roku, kiedy poszedłem odwiedzić Amreśa w jego nawiedzonym pokoju — *Spadkobiercy* rozkładali się na dnie jeziora Sukhna — poturbowani aktorzy zapanowali nad wszystkim i rozwłóczyli sceny po całym planie. Megafon już nie wystarczał, by przywołać ich do porządku. Ktoś musiał dobierać się do każdego z nich po kolei i metodycznie, na siłę przywracać im zdrowy rozum.

Oczywiście nie mogło być lepiej dla indyjskich dziennikarzy i czytelników gazet. Dramat na dużą skalę przyciągał uwagę. Dochodziło do zabójstw, zamachów, masowych mordów — pełnego spektaklu sikhów, tradycyjnie najdzielniejszego i najbardziej patriotycznego ugrupowania Indii, grzęznącego w walce z hinduskim państwem w pogoni za szaleńczą ideą oddzielenia się od kraju, co w sumie tworzyło jednocześnie opowieść, jakiej nie można się było oprzeć, mieszaninę rozrywki i traktatu moralnego. Przy naszej wszechobecnej mitologii i pełnych wigoru hollywoodzkich filmach nic nie mogło się nam bardziej podobać.

Wiadomości, jako najważniejsze widowisko, zaczynały się od Pendżabu, a wiele, wiele lat później, kiedy moje życie i moja miłość poszły swoimi torami i spuszczone zasłonę na burzliwy wiek,

ja zaś od dawna przestałem zajmować się dziennikarstwem, serwisy informacyjne stały się narodową obsesją. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę kilkanaście kanałów telewizyjnych ciąga teraz ludzi zbiorowo od jednego szaleńczego incydentu do drugiego, czyniąc ich kimś istotnym, bo zmieniając w uczestników jakiejś toczącej się gdzieś tragedii. Poturbowani odtwórcy dramatu z Pendżabu od dawna już zaczęli klepać wyuczone teksty albo zostali po prostu skreśleni ze scenariusza. Reszta powróciła do tego, co uwielbia najbardziej — zysku i straty oraz tkwiącej w nich celebry. Pendżab znów się znalazł w kategorii nudnych tematów, w rodzaju darmowej elektryczności, bankructw, cen pszenicy, podziału wody i pomniejszych nadużyć seksualnych i alkoholowych.

Ale wtedy, w 1987 roku, sytuacja w Pendżabie wydawała się nie do rozwiązania.

Wszyscy mówili o nim jak o Irlandii. Bezustannie, rozwlekle. Ale gorzej, bo sikhowie byli bardziej szaleni, mniej się bali od Irlandczyków.

Jako wielbicieli sikhów Amreś i ja często całymi godzinami dyskutowaliśmy o totalnym spieprzeniu sprawy przez Hindusów, przez co najdzielniejsi obrońcy Indii zamienili się w nieprzejednanych wrogów. Ale byliśmy wówczas młodzi i mieliśmy skłonność do uznawania alejki, na której się znaleźliśmy, za prawdziwą autostradę historii. Wydawało się nam, jako pewnym swej wiedzy młodzikom, że potrafimy dostrzec, dokąd ta autostrada zmierza. Dziś wiem, że przepowiedzenie przyszłości, choćby dwojga ludzi, jest niemożliwe, a co dopiero, gdy chodzi o miliony.

Nikt nie potrafi powiedzieć, co będzie, bo nikt nie wie, co ludzie robią.

Dziś wiem, że nie wiem nawet, co sam zrobię.

Co do autostrad historii, to nie ma ich w chwili, gdy historia się tworzy. Podobnie jak w przypadku stwierdzenia ojcostwa na podstawie DNA, autostrady historii są rozpoznawane i ustalane znacznie później. Dopiero kiedy opadnie kurz, można prześledzić trasę spermy mordercy. Nasienie ze sztucznymi wąsami, które wilo się aż od Linzu. To w rozwianej szacie, które wyrwało się wściekle z arabskiego pałacu. Nosiciel nieprzyciętej brody, który wyszedł wygwizdany z seminarium religijnego niedaleko Amritsaru. To w zbyt obszernych krótkich spodniach, które wymaszerowało po cichu z domu typowego dla klasy średniej w rozległym Hindustanie.

Sperma śpiewająca pieśń powszechnego mordy.

Każde nasienie znaczy rozpaloną autostradę, na której historia się załamie, utknie, szukając powietrza.

Ale cofając się do alejki, niezdolni do odczytywania historii, szukaliśmy po omacku przyrządów do nawigacji. Amreś, jako prawdziwy Pendzabczyk, okazał się nieocenionym przewodnikiem. Dogłębnie znał tę krainę, język, ludzi. Kiedy poruszaliśmy się w ciemności, bombardowani sprzecznymi informacjami, wielu z nas uratował od śmierci zadanej propagandą. W niczym nie przypominał żadnego z dziennikarzy, jakich znałem wcześniej i później. Pracował najciężej, a nie było w nim nawet cienia rywalizacji. Kiedy trafiał na trop, chętnie się nim dzielił i pomagał potem przez cały czas. Prawdę mówiąc, wszystko, co dotyczyło jego pracy dziennikarskiej, było inne.

Podczas gdy reszta z nas bazgrała coś na chybił trafił w maleńkich notatnikach, on nosił ze sobą duży kołonotatnik, który wypełniał wyraźnym pismem. Trzymał te kołonotatniki w pokoju, skatalogowane i ustawione na półce niczym płyty winylowe.

Kiedy wieczorami wpadaliśmy na pocztę, wszyscy rzucaliśmy się na teleksy i wystukiwaliśmy nasze historie — jeśli oczywiście nic nie przerywało zafajdanego połączenia — on zaś siadał przy rozchybotanym drewnianym stole w pełnym pajęczyn przedpokoju starego kolonialnego budynku z wysokim dachem, z umieszczonymi wysoko zacinającymi się wentylatorami i podwieszonymi na suficie wiatrakami o długich łopatach, z dala od stukotu maszyn, i zaczynał pisać konspekt swojego tekstu. Gdy wszyscy już wyszliśmy, żeby posiedzieć razem i poplotkować albo wpaść do hotelowego baru, siadał przy teleksie i starannie wystukiwał swoją korespondencję. Relacje większości z nas nie przekraczały objętości jednej lub półtorej strony, jego zawsze były co najmniej trzystronicowe. Szczegółowo przedstawiał panującą atmosferę i sugerował oceny moralne. Zdaniem w rodzaju: Samotna dziewczynka usiadła skulona pod drzewem, jej śliczną buzię plamiły odwieczne łzy, i zastanawiała się, co takiego zrobiła, że w tak okrutny sposób zabrano jej ojca, jedyną bliską osobę.

Lubił ujmować czytelników za serca ckliwymi opowieściami, czym dziennikarze na ogół się brzydzą. Ale jego nikt nie wyśmiewał — nawet za plecami — bo każdemu pomógł w jakimś momencie, a poza tym otaczała go aura niewinności, nad którą można jedynie pokiwać głową i od której trzeba się trzymać z daleka: dokuczanie mu nie łączyłoby się z żadną przyjemnością.

Większość z nas dozwała go sobie małymi porcjami. W każdym razie ja na pewno tak robiłem. Chętnie się z nim spotyka-

lem, gdy coś mi doskwierało i potrzebowałem wszystko sobie poukładać, mając za tło krzepiącą solidność jego surowych zasad moralnych.

Kiedy usiadłem na jedynym krześle, jakie znajdowało się w jego pokoju, powiedział: Zjesz ze mną lunch. Uczę się gotować chińszczyznę — smażony ryż z warzywami na słodko-kwaśno.

Nie było sensu się sprzeciwiać. Był despotycznym gospodarzem.

A kto cię uczy?, zapytałem.

To łatwe, powiedział, machając książką w miękkiej oprawie. Stał w połączonej z pokojem kuchni pozbawionej powietrza. Między oboma pomieszczeniami nie było drzwi — gdyby były, zmieniłyby kuchnię w grobowiec.

Na marmurowej płycie pedantycznie kroił świeżą zieloną fasolkę szparagową. Obok leżały stosiki pociętych wzdłuż ziemniaków i cebuli. Niewielki szybkowar Hawkins syczał cicho na gazie. Pokój wypełniały intensywne zapachy gotowania. Magnetofon Sanyo odtwarzał kasetę Shiva Kumara Bataliego, który śpiewał o rozkoszach miłości i o tym, że wszystkie kończą się bólem.

Rozejrzałem się po pokoju, żeby sprawdzić, czy zawiesił coś nowego. Wisiało tego tyle, że trudno było się zorientować, choć miałem wrażenie, że teraz jest więcej kartek. Miałem ochotę wziąć do ręki gruby czarny mazak leżący na jego stole do pracy i napisać DUPA wielkimi literami na wszystkich ścianach.

Wystawił głowę z kuchni — kropelki potu rosily mu czoło, w rękę trzymał niewielki nóż — i powiedział, wskazując brodą na sanyo: On rozumiał, na czym polega prawdziwa miłość! Dzisiaj nikt już tego nie rozumie.

Uśmiechnął się z błyskiem w oczach, jakbyśmy — on i ja — wiedzieli to lepiej.

Odparłem: Ale zapił się na śmierć.

Popełnił ten błąd, szefie. Każdy popełnia ten błąd. Wszyscy myślą, że bez picia nie może być poezji ani miłości. Trzeba żyć pełnią życia, szefie, i pełnią miłości.

W oczach miał iskierki, jakby wiedział coś, o czym inni nie mieli pojęcia.

Zdawałem sobie sprawę, że sam ani nie pił, ani nie palił. Byłem też pewny, że nadal jest prawiczkim. Żywił niepokojące romantyczne i seksualne przekonanie o istnieniu tej jednej jedynej. Przez

jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy się onanizuje. Ale tylko do chwili, gdy podnosząc poduszkę, żeby oprzeć się o ścianę, znalazłem pod nią *Sensuous Woman*\* autorstwa J. Mrugając do mnie, powiedział: To wspaniałe studium rewolucji seksualnej.

Nie chciałem rozmawiać o miłości ani o pisaniu.

Kiedy pierwszy raz przyszedł do naszego domu, obejrzał książki — na półkach, na stołach, na krzesłach — i powiedział: Lubicie czytać Penguinsa, prawda?

Wyszedł z kuchni. Słyszałem niskie odgłosy skwierczenia na patelni. Teraz trzymał w ręku łopatkę do mieszania. Podeszedł do stołu, wytarł lewą rękę o dżinsy na tyłku i podniósł gruby, oprawny w tekturę segregator — z rodzaju tych, jakich się używa na listy obecności albo grafiki dyżurów. Przekartkował go, zatrzymał się gdzieś w połowie i wręczył mi.

Czytaj od tego miejsca, powiedział. Sporo nowych. Możesz pominąć w pendżabskim i hindi.

Podobnie jak gotowania, poezji nauczył się z poradnika. Wszystko było napisane białym wierszem. Każdy wiersz wypełniał schludnie całą stronę. Niektóre wersy składały się wyłącznie z jednego słowa. Znaki interpunkcyjne pojawiały się jedynie na końcu każdego utworu — kropka, wykrzyknik albo znak zapytania. Odkąd byłem tu ostatnio, kilka miesięcy wcześniej, napisał około pięćdziesięciu nowych. Na szczęście wiele było w hindi lub pendżabskim i mogłem je sobie darować. Reszta dawała się szybko przeczytać jednym spojrzeniem. Najczęściej używanym słowem było „miłość”, zaraz po nim „serce”, „księżyc”, „krew”, „zmierzch”, „kwiaty”, „krople rosy” i „złote słońce”. Niektóre utwory miały długie tytuły, jak wiersz Frosta na suficie. Jeden brzmiał: *Serce lubej przebywa na rozkołysanych polach przy płynących wodach kanału.*

Kiedy minął odpowiedni czas, zamknąłem segregator. Nalepka na okładce głosiła: *Amreś Śarma: Wiersze i złote myśli: tom VI.* Powiedziałem: Nieźle się napracowałeś. Podoba mi się ten z porównaniem ukochanej do AK-47, który otwiera do ciebie ogień i rani serce.

Wynurzył się z kuchni, oczy mu błyszczały, ale zanim zdążył wszcząć dyskusję o wierszach, powiedziałem: Mam zamiar przenieść się do Delhi.

Po co? Dostałeś pracę?

Nie, nie dostałem, odparłem. Ale poszukam sobie jakiejś.

*Zmysłowa kobieta (ang.).*

W jego oczach nie było już blasku. Wyglądał na zmartwionego.

Powiedziałem: Potrzebne mi jakieś zajęcie. Muszę wrócić do pracy. Potrzebuję pieniędzy.

Ale dlaczego Delhi? Dlaczego chcesz zostawić Chandigarh dla Delhi?

Ot tak, po prostu. Żeby ruszyć się z miejsca. Ale, szefie, możesz wszystko zrobić tutaj. W mieście znajdziesz, co zechcesz.

Nagle spojrzałem do góry i zobaczyłem Tat twam asi: Ty jesteś tym, napisane czarnymi drukowanymi literami nad wejściem do kuchni, i poczułem się zmęczony. Chciałem wrócić do domu. Nie miałem już ochoty na rozmowę. Przede wszystkim jednak nie miałem pojęcia, po co w ogóle tu przyszedłem. Miał złote serce, lecz jednocześnie nierówno pod sufitem. Jego naiwna dobroć była rodzajem trucizny. Ślepa na skomplikowanie świata.

Jednak tego ranka, kiedy chciałem zabić czas i szukałem własnego miejsca, nawet by mi do głowy nie przyszło, jak dziwnie to wszystko skończy się dla niego. Dziesięć lat później spotkałem przypadkiem wspólnego znajomego i dowiedziałem się, że nie żyje, że się powiesił na wentylatorze w tym samym pokoju o wykpionych kartkami ścianach. Nie zostawił poźegnalnego listu samobójcy, nikt nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Ciężar moralności nie do zniesienia.

Powiedziałem: Muszę iść. Czeka na mnie robota, którą Fizz mi dała.

Oczywiście nie wypuścił mnie, dopóki nie zjadłem smażonego ryżu, ale zadbałem o to, by rozmowa dotyczyła wyłącznie Pendżabu. Mówiliśmy o przyjacielach z policji, którzy umarli, o tym, które z grup bojowników mają szansę na dominację. Według mnie chodziło o Oddział Sił Khalistanu, on był zdania, że Babbar Khalsa. Ci ostatni umieją robić bomby, co daje im przewagę, dowodził. Wyszedłem w chwili, gdy skończyłem posiłek. Smażony ryż okazał się naprawdę całkiem dobry i zjedliśmy go z wielkimi łykami sosu firmy Kissan, splukując wszystko gazowanym thumpsupem.

Zapakował mi jedzenie na drogę do plastikowego pudełka na lunch.

Potrzebna mi pochwała Fizz, nie twoja, powiedział. Oczy znowu mu lśniły.

Kiedy Amreś zadzwonił wieczorem, siedziałem zwinięty na kozetce i czytałem.

Powiedziałem: Ryż bardzo smakował Fizz. Zaraz oddam jej słuchawkę.

Nie trzeba, odrzekł. Dzwonię w sprawie twojej pracy w Delhi.

Dobroczyńca odwiedził wieczorem klub dziennikarzy i przysiadł się do stolików, żeby posłuchać plotek. Miał parę gorących tropów. Jeden dotyczył tradycyjnego dziennika poszerzającego dział publicystyki, drugi nowoczesnej gazety przecierającej nowe ścieżki. Amreś postarał się do tego stopnia, że zdobył kontaktowe nazwiska i numery. Jeśli naprawdę chciałem opuścić spokojny Chandigarh i jechać do wielkiej złej metropolii, zamierzał mnie tam urządzić. Teraz wystarczyło tylko, że podniosę słuchawkę i wybiorę numer.

Powiedziałem: A tak przy okazji, podobał mi się jeszcze jeden, ten, w którym ciało ukochanej jest jak blask księżycy — wiecznie można się w nim nurzać, ale nie można go dotknąć.

Zanim zdążył odpowiedzieć, oddałem słuchawkę Fizz.

Następnego dnia poszedłem na targ i zadzwoniłem do Delhi. Musiałem tam wracać kilka razy, zanim połączyłem się z odpowiednimi zastępcami redaktora. Nie wykazali szczególnego entuzjazmu. Niech pan przyśle papiery. Niech pan przyjedzie i się z nami zobaczy.

Dwa dni później, w sobotni rano, wsiałem przed świtem do autobusu jadącego do stolicy. Fizz wybrała się ze mną. W tamtym czasie było to dla nas typowe. Nienawidziliśmy rozłąki. Było ciemno i zimno, zajęliśmy miejsca na końcu, i mieliśmy wielki brązowy szal, i byliśmy podnieceni nową wyprawą, i nasze ręce wędrujące wzajemnie po udach prowadziły nas w górę i w dół oszałamiających szczytów, i godziny pędziły podobnie jak obłąkańczy autobus Punjab Roadways.

Podróżowanie to nam robiło. Bycie razem to nam robiło. Mogliśmy rozmieszczać życie i świat opuszkami palców. Rozmiłowany wędrowałem po jej śliskim ciele, a za każdym razem, kiedy docierałem do miejsca przyjemności, zamykała oczy i dostawała konwulsji. Potem trzymaliśmy się za ręce. Potem ona ujmowała moje pożądanie i sprawiała, że kwitło, kwitło. I nigdy nie byliśmy bardziej szczęśliwi.

Spędziliśmy dzień w Delhi jak turyści, jeździliśmy lokalnymi autobusami, pojadaliśmy w ulicznych jadłodajniach, czekaliśmy przed urzędami. Spotkania udały się. Zdołaliśmy obejrzeć pomiędzy nimi film w kinie Regal na Connaught Place. Trafiliśmy na

jakiś zły film w hindi. Hol świecił pustkami. Ale nas to nie obchodziło. Wyruszyliśmy, żeby robić rzeczy zupełnie nowe. Byliśmy razem. Byliśmy szczęśliwi.

Moje *résumé* wyglądało dobrze. Ale mój widoczny brak ambicji zbijał z tropu redaktorów.

Byłem reporterem, który nie szukał pracy reportera. To coś niesłychanego. W tamtym czasie, w latach osiemdziesiątych, zostać reporterem było celem każdego młodego dziennikarza. Zawód reportera oznaczał przemianę w dziennikarza — a z tym łączyły się podróże, kontakty, nazwisko w nagłówku, splendor, możliwości kariery, pieniądze. Ale ja szukałem pracy redaktorskiej. A i w tym przypadku chodziło o posadę adiustatora, na samym końcu drabiny. Nie chciałem niczego, co wiązało się z odpowiedzialnością. Nie chciałem niczego, co zżerałoby mój umysłowy i fizyczny czas.

Przemyślałem to dokładnie — w ciągu długich dni po utopieniu *Spadkobierców*, kiedy Fizz była w szkole, a moje życie ponownie stało się puste. Byłem pewien, że nie chcę już niczego relacjonować. Nie chciałem już nigdy rozmawiać z nudnymi politykami, niekompetentnymi biurokratami, nazbyt szybko chwytającymi za broń policjantami. Nie chciałem już nigdy pisać wiadomości, z informacjami, kto co powiedział i o kim. Każdy potrafi to robić i wszyscy to robili. Nie chciałem już nigdy pisać „nastrojowych” historii, wyczarowujących atmosferę i koloryt świata w zmyślony sposób. Nie chciałem już nigdy wymyślać nowych imion rykszarzy i przekupniów, w których usta mógłbym wkładać obmyślane przeze mnie słowa.

Nie chciałem wysuwać nowych teorii.

Nie chciałem udawać, że wiem, co się wydarzyło.

Nie chciałem udawać, że nie wiem, co się wydarzyło.

Nie chciałem upraszczać skomplikowanych spraw.

Nie chciałem sprawiać, by rzeczy proste wyglądały na skomplikowane.

Nie chciałem już bawić się w chowanego.

Każdy potrafi to robić i wszyscy to robią.

Chciałem zatopić się w najmniej oszukańczym dziennikarstwie.

Chciałem zachować się dla innych rzeczy.

Na samym końcu tej listy chciałem być odpowiedzialny jedynie za kropki i przecinki, za język i czasy gramatyczne, za stopkę z datą i miejscem wydania, i nagłówki.

Za niedające się naginać subtelności formy. Nie za szalbierstwa treści.



Chciałem za to niewielkie pieniądze i mnóstwo czasu. Abhaj i Pratap, i pandit stali się już na dobre karmą dla ryb, lecz jakaś opowieść czekała na mnie gdzieś tam, potrzebowałem wszystkich sił, żeby jej szukać.

I nie chciałem już nigdy więcej być daleko od Fizz.

To była bowiem jedna z najtrudniejszych spraw związanych z pracą reportera. Ciągłe wyjazdy.

Chciałem być piechurzem tej branży, szeregowcem, legionistą, sipajem, człowiekiem na samym dole, dzięki któremu armie idą naprzód, ale który śpi spokojnie bez trwogi, że coś straci albo zyska, i bez ciężaru śmierci i nieszczęść.

Najmniej oszukańcze dziennikarstwo.

Redaktor.

Przystań ludzi nieśmiałych, neurotycznych, moli książkowych, jakałów. Chłopiec z klasy, który wie wszystko, ale nigdy nie otworzy ust. Mężczyzna w biurze, który analizuje świat, ale nigdy nie będzie w stanie go kształtować.

Jak Herodot z Halikarnasu, który napisał: Chcę być adiustatorem, który pisze. I ostatecznie liczyć się bardziej od imperatorów.

Moja postawa budziła zdziwienie wydawców, ale z drugiej strony ułatwiała im pracę. Zanim dotarliśmy z Fizz na dworzec autobusowy tego wieczoru, myślę, że miałem już obie posady. Jeśli dobrze zna się język angielski i nie chce się dużo pieniędzy, to jest się tanią siłą roboczą, której w redakcjach gazet zawsze poszukują. Silniki dziennikarstwa dudnią dzięki olejowi, jakim są młodzi narwańcy.

Dotarliśmy do domu po północy, a kiedy skończyliśmy się kochać i zgasiliśmy światło, Fizz zapaliła swojego pierwszego i ostatniego papierosa tego dnia, dmuchnęła na żarzący się koniec i powiedziała: Już nigdy nie wrócimy do Cándigarhu. Czuję to całą sobą.

Wiedziałem, że ma rację. Nigdy nie wróciliśmy.

Nie wiedziałem jednak, jak daleko ostatecznie się znajdziemy. Tak daleko, że trudno będzie powiedzieć, kim kiedyś byliśmy.

Księga druga  
KARMAN: DZIAŁANIE

## NA DWORZE KRÓLA CZASZY

Pakowanie poszło gładko.

Wybrałem pracę w nowoczesnej, niedawno powstałej gazecie. Dali mi dwa tygodnie na dołączenie do zespołu. Fizz wymówiła pracę w szkole i na kursach InstaEnglish. Dostała od uczniów kartkę z napisem: Będziemy za Panią tęsknić, piękna madam. Jeden z uczniów narysował ją miękkim ołówkiem, z ostrym nosem, mierzwą włosów i łukowatymi ustami. Wyglądała absolutnie wspaniale.

Wzięliśmy od przyjaciół kilka pudeł kartonowych, kilka dostaliśmy od sirdżego. Starannie wyścieliliśmy je folią polietylenową, wrzuciliśmy całe garście prażonych liści miodli, żeby robaki trzymały się z daleka, i powkładaliśmy ciasno książki, upewniając się, że nawet jedna strona się nie zagięła. Kiedy skończyliśmy, zrobiło się z tego czternaście kartonów różnych rozmiarów i tak ciężkich, że ledwie dawały się podnieść.

Zostało jeszcze trochę innych rzeczy. Wyposażenie kuchni poszło do wielkiego metalowego kufra. Pościel i zasłony — z większą ilością kruchych liści miodli — włożyliśmy do mniejszego metalowego kufra. Sprzęt do słuchania muzyki wrócił do oryginalnego opakowania. Telewizora zdążyliśmy się pozbyć wcześniej. Łóżka należały do właściciela mieszkania. Stół z jadalni i krzesła sprzedaliśmy. Jedyne meblem, jaki nam pozostał, był ten sam, od którego zaczynaliśmy — to znaczy kozetka. Postawiliśmy na niej maszynę do pisania o czerwonym korpusie i byliśmy gotowi.

Właściciel domu — cudownie bezpośredni emerytowany pułkownik, już od rana nieodmiennie ubrany w wykrochmalony turban i garnitur, z brodą tak doskonale utrzymaną, że nawet jeden włos nie odstawał — dał nam wspaniałomyślnie trochę miejsca w garażu, gdzie mogliśmy umieścić nasze rzeczy. Obiecaliśmy, że wrócimy w ciągu dwóch tygodni, żeby je zabrać. Jak tylko znajdziemy nowe mieszkanie.

Rubasznym głosem powiedział: Postarajcie się wrócić, synu, zanim zjawią się tu Chińczycy.

Brał udział w straszliwej wojnie z Chinami w 1962 roku, cierpiał przez to na uporczywą neurozę. Odpowiedziałem, że się postaramy.

Przyjechawszy do Delhi, zatrzymaliśmy się u starego przyjaciela, który mieszkał na Wasant Kundź. Był to triumf pustki. Mieszkanie okazało się ogromne — trzy sypialnie i jadalnia-salon. Philip, mój przyjaciel, wynajmował je naprawdę tanio. Możliwe, że w ogóle nic nie płacił. Należało do członka parlamentu z jego rodzinnego miasta w Kerali i nie miało żadnej wartości na rynku wynajmu.

W tamtych czasach Wasant Kundź znajdowało się praktycznie na końcu świata. Opuszczało się miasto i jechało przez porośniętą karłowatymi krzakami okolicę — skały, cierniste akacje, falliczny Kutub Minar po lewej stronie — potem wpadało się w koszmarny las betonowych blokowisk. Były one z pewnością płodem bezmózgich urzędników państwowych. Zbudowane do upakowania w nich ciał, poprawienia statystyk i bezpiecznego napchania portfeli wykonawcom. Jeśli nie miało się życia wewnętrznego, bezduszość była gwarantowana.

Mieszkanie Philipa znajdowało się na drugim piętrze jednego z takich betonowych pudeł — bloki były do siebie tak podobne, że sporo czasu zabierało znalezienie właściwego. Stało tam trzeszczące łóżko z zapadniętym materacem i poszarzałą pościelą. Były także dwa trzcinowe krzesła, drewniany stół i maszynka elektryczna do gotowania. Maszynka stanowiła centralne dynamo mieszkania. Rozparła się okazale w kuchni i wydawała gorącą wodę, herbatę i jedzenie. Jej ceramiczną podstawę i spiralę pokrywały brązowo-czarne listki zaparzonej herbaty i żółte plamy, pozostałość po dalu. Nie miała wtyczki, a gołe druty były wetknięte do gniazdka i zaklinowane zapalkami. Całe ustrojstwo wyglądało na spalone i niedziałające. Kiedy jednak pstryknęło się włącznikiem, otwarte przewody zaczynały skwierczeć i iskrzyć — niebezpiecznie — a potem, powoli, spirala się rozjarzała. Najpierw dymiła, brzęczała i śmierdziała — gdy spalały się ostatnio rozlane resztki — wreszcie się uspokajała i pulsowała silnym ciepłem.

Jedyną inną rzeczą osobistą w mieszkaniu był wielki metalowy kufer stojący w pokoju, w którym Philip spał. Upchnął w nim cały swój dobytek. Szafki znajdujące się w różnych pomieszczeniach

świeciły pustkami. Wszystko wyciągał z kufra, od pasty do zębów przez książki po kondomy. Kufer miał potężną złożoną kłódę. Można by nią rozwalić czaszkę. Na wieku Philip napisał swoje imię i nazwisko, adres w Kerali, wszelkie dane, z kodem PIN włącznie. Nadany na pocztę, trafiłby do domu.

Kiedy pierwszy raz obejrzałem to mieszkanie, pomyślałem, że Philip byłby w stanie opuścić je w pięć minut i nikt by nie wiedział, że kiedykolwiek tam był. Może właśnie taką instrukcję zostawił mu polityk.

Przyjaciel dał nam do wyboru jedną z dwóch pozostałych sypialni, a my wybraliśmy tę z łazienką. Kupiliśmy tani materac z włókna kokosowego, szczotkę, mop i butelkę fenylu. Wieczorem wyskoczyłem do pobliskiej taniej dhaby i kupiłem dalroti, a kiedy zjedliśmy, Philip miał ochotę dłużej posiedzieć i pogadać. Przeprosiliśmy go — zasłaniając się zmęczeniem — i wyślizgnęliśmy się. Wcześniej gładziłem Fizz po przedramieniu i widziałem, jak powoli dostaje kolorów.

Osiągnęliśmy już ten punkt wieczoru, kiedy nie rozmawialiśmy ze sobą. Musieliśmy poprzez nasze ciała odnaleźć ponownie język mówiony. Pożądanie wyparło z nas wszystkie słowa. Musieliśmy się w nim spalić, wypalić je, zanim powstanie dla nich przestrzeń i znajdą do nas drogę powrotną.

Do pewnego stopnia byliśmy świadomi tego, co się działo. Znaleźliśmy się w obcym mieście i potrzebna nam była pociecha płynąca z tego, co znaleźliśmy najlepiej na świecie. Dokonaliśmy znaczącego posunięcia i chcieliśmy jedynej nagrody, jakiej kiedykolwiek pragnęliśmy. Ja już tu byłem. Za każdym razem, gdy nasze życie balansowało na krawędzi, rosła przyjemność z obejmowania się nawzajem. Materac na podłodze był doskonały. Umożliwiał po-padnięcie w obłęd. Prężyłem się w chwili, gdy zamykałem za nami drzwi i zdejmowałem ubranie. Fizz czekała. Magiczny moment. Na początkowej linii możliwości, cała rozkosz.

Pokój był na wpół oświetlony. Fizz zarzuciła ręcznik na słabą żarówkę. Siedziała na materacu oparta o ścianę, nogi miała gołe pod podkoszulkiem, zapowiedź wilgoci kryła się w czarnych cieniach. Rozpuściła włosy. Wyglądała niewiarygodnie pięknie.

Kiedy się położyłem, rozwarła swoje nawilżone ciało i wzięła w siebie mnie całego. Mój nos, moje usta, moje palce, moje pragnienia. Piżmo jej miłości oładnęło moimi zmysłami i całe moje życie zostało nagle zredukowane do jednego słowa. Fizz.

Zostawiając wszystko inne na później, zacząłem szukać miejsca, w którym zaczynały się włosy, i przesuwałem się wzdłuż piż-

mowych szlaków tam, gdzie ich w ogóle nie było. I znalazłszy jej rozżarzone sedno, upiłem z niego, porzuciłem je i włączyłem się po jej ciele tylko po to, żeby wracać zakolami po jego ożywczość.

Wspinaliśmy się na szczyty i spadaliśmy z nich. Robiliśmy stare rzeczy na nowe sposoby. I nowe rzeczy na stare sposoby. Czasami tak, jakbyśmy byli tworem surrealistycznych mistrzów. Każda część ciała mogła być połączona z każdą częścią ciała. Rezultatem było dzieło sztuki. Palec u nogi i język. Sutek i penis. Palec i kubek smakowy. Pacha i usta. Nos i łechtaczka. Obojczyk i pośladek. *Mons veneris* i *phallus indica*.

*Ostatnie tango Labii Minory*. Wasant Kundź, około 1987. Malował Salvador Dali.

Rysownicy: Fizzija.

Fizz krzyczała cicho cały czas — przez zaciśnięte zęby, szeroko otwartymi ustami — i tylko ci, którzy znają kobietę krzyczącą cicho podczas orgazmu, wiedzą, jak to głośno. Dźwięk przeszywał pokój, a mnie doprowadzał do pulsującego rozgorączkowania.

Za każdym razem docierała na tak wysoki szczyt, że traciłem ją z oczu i musiałem czekać cierpliwie, aż zejdzie na dół, zanim mogłem jej ponownie dotknąć.

Czasami wracała i nie mogła się doczekać, by rozpocząć nową wspinaczkę. Kiedy indziej wydawała się zupełnie opadła z sił i musiałem przygotowywać ją od nowa. I nie sposób było przewidzieć, jak wysoko dotrze następnym razem. Próbowałem iść za nią, podążać jej śladem, ale nie zawsze było to możliwe. Mężczyźni są bez wątplenia stworzeniami obozu-bazy: cieszy ich wiele przyjemności dostępnych w połowie drogi pod górę, ale przyprawiające o zawrót głowy szczyty są nie dla nich. Brakuje im powietrza, mają luki w wyobraźni, zapamiętaniu się, anatomii. Ich zadaniem jest przygotowanie prawdziwych zdobywców szczytów, kobiet, wirtuozek wysokich gór. Górale, które potrafią przeskakiwać od jednego punktu obserwacyjnego do drugiego, ze szczytu na szczyt, aż nie ma już przed nimi niczego poza wiecznością.

Mężczyźni zmagali się z tą wiedzą przez tysiąclecia. Świadomością, dokąd nie mogą pójść. Nie jest łatwo czuć się gorszym.

Nie jest łatwo żyć pomiędzy gazelami i być knurem.

Przebiegli mężczyźni czekają i przeżywają emocje z drugiej ręki, jakby były ich udziałem. To oni stworzyli pornografię i zabawki substytutu. Podlegają do wspinaczki, patrzą z daleka i są zadowoleni.

Głupi mężczyźni zakuwają górale w żelazo. To oni zwarli szyki, stworzyli religię, stworzyli moralność, stworzyli prawa, postavili

palisady i odgradzili góry. Nikt nie pójdzie tam, gdzie oni nie mogą się dostać. Wyżyny są stracone na zawsze.

Kochaliśmy się przez całe godziny i wkrótce mały pokoik zaczął się wypełniać zapachem seksu. I wtedy jej skóra zaczęła nim pachnieć i nim smakować. Za każdym razem, gdy ją całowałem — od twarzy przez piersi po plecy — czułem to samo piżmo, doprowadzające mnie do szaleństwa. Można było pomyśleć, że niczym gorliwy kaznodzieja zawędrowałem wszędzie i rozniosłem jej stopione sedno.

W końcu, późno w nocy, wiedziałem już, że ruszyła w ostatnią wspinaczkę na szczyt. Gramoliłem się za nią, desperacko dotrzymując kroku, i szliśmy wyżej i wyżej, i wyżej, aż krew wzburzyła mi się tak, że brakowało jej miejsca w żyłach, płuca mi wybuchły, nogi się pode mną ugięły, a odcinek lędźwiowy kręgosłupa się stopił, i straciłem ją z oczu, kiedy eksplodowałem w nicość.

Gdy następnego ranka odzyskałem świadomość, zrobiliśmy powtórkę. Nie była to już kierowana ekspedycja jak minionej nocy, choć równie wypełniona miłością i pożądaniem.

Poszedłem do pracy, która okazała się dziwnie satysfakcjonująca. Jest coś z purytańskiej etyki w pracowaniu przez cały dzień i zarabianiu na utrzymanie. Było mi cudownie, kiedy przez pół roku żyłem jako człowiek sztuki, ale powrót do solidnych kolein codziennego kieratu sprawił mi niespodziewaną przyjemność. Tego wieczoru dane mi było poznać zadowolenie pracownika fizycznego. W ciągu dnia zebrałem złe materiały, złe mentalności, złe słowa — złe konstrukcje innych ludzi — i pozbijałem w rzeczy o funkcjonalnym pięknie. Te rzeczy pójdą w świat i będą pochłaniane przez zapalonych czytelników. Będą służyły swojemu celowi. Stałem się częścią maszyny produkującej coś, co było niemal natychmiast widoczne i miało prawdziwą wartość.

Zarobiłem na obiad.

Problem ze sztuką polega na radzeniu sobie z chrzaniem sztuki, kiedy żadna sztuka nie powstaje. Może to przyprawiać o mdłości. Kretyni rozwodzący się nad estetyką. Ckliwe czekające na wspaniały pomysł. W czasie gdy odwiedziłem Amreśa w jego wykpionym cytatami pokoju, miałem już skurcze zapowiadające wymioty.

Chrzanie sztuki, kiedy żadna sztuka nie powstaje.

Nie powiedziałem Fizz tego wszystkiego. Niektórych złudzeń nie powinno się nigdy rozwiewać, bo podtrzymują twardą jak skała rzeczywistość. Mieliśmy robić inne rzeczy. A to musiałem przecierpieć.

\*

Fizz uczyniła z naszego pokoju przytulne miejsce. Kupiła dwa trzcinowe krzesła jako alternatywę siedzenia na łóżku. Na podłodze położyła fluorescencyjny zielony chodnik z juty. Powiesiła oprawiony w ramki czarno-biały plakat z Ezrą Poundem, przywieziony nam przez kogoś z Anglii, i mniejszy obrazek, wydrukowany złotą farbą portret Rabindranatha Tagore'a. Obok materaca, żeby było nam ciepło, ułożyła równo stosy książek, jakie zawsze z nami podróżowały. W ponurej łazience zawiesiła na ścianie kalendarz z wesołymi zdjęciami plaż w Goa zimą — z sugestią białej kobiety opalającej się nago — i żeby złamać monotonię, ustawiła kilka kolorowych plastikowych kubków i podstawek do mydła.

Niemniej w chwili, gdy wychodziło się z łazienki, wkraczało się na ziemię niczyją. Koty z kurzu toczyły się po podłodze i gromadziły w kątach. Wszędzie widać było grubą na ponad centymetr warstwę szarobrazowego brudu, począwszy od podłogi, na parapetach kończąc. Pajęczyny wisiały w całym mieszkaniu niczym girlandy — pomiędzy prętami okratowania, na ścianach, w szafkach, na muszli klozetowej i kranach w nieużywanej łazience. Mieszkanie było nowe, ale farba już odłaziła płatami. Złapana w pajęczyny, powiększała wrażenie brudu i odbierała im nawet dalekie podobieństwo do czegoś złowroźnie pięknego. Co dziwne jednak, nigdy nie dostrzegłem tam pająka. Pajęczyny, tak samo jak kurz, najwyraźniej same się mnożyły. Chodząc po pokojach, trzeba było zachowywać ostrożność, żeby nie poruszyć powietrza, bo groziło to natychmiastowym paroksyzmem astmatycznego kaszlu.

Pierwszego dnia, co było do przewidzenia, Fizz zaczęła mówić o zakasaniu rękawów i posprzątaniu całego mieszkania. Twardo się postawiłem. Moim zdaniem był to daremny trud. Kojarzyło mi się to z opowieścią o tym, jak zawsze busz upomina się w końcu o wykarczowane przez białego człowieka tereny. Postawiona naprzeciw Philipa, kurzu i pajęczyn, Fizz nie miała szans. Pierwszego dnia, kiedy opadła z sił, stary porządek ponownie wziął górę. Lepiej radziła sobie na własnym małym poletku, zamykając drzwi oddzielające ją od ugoru.



Philip był chyba jeszcze bardziej beznadziejnym przypadkiem. Kiedy go poznałem — w mojej pierwszej pracy — lubiłem jego umysłowość, całymi dniami rozmawialiśmy o pisarzach, polityce, kinie i sporcie. Podobnie jak ja kochał Alego i jak ja spędził szkolne lata, polując na materiały o pojedynkach Cassiusa Claya/Muhhamada Alego i śledząc uważnie maleńkie doniesienia o jego walkach, zamieszczane na sportowych stronach gazet. W odróżnieniu ode mnie przysięgał na manifest komunistyczny.

Wtedy Philip był szczupły, niemal chudy. Teraz jednak — mając dwadzieścia sześć lat — wyhodował sobie miękki brzusek i zaczynał mieć nalaną twarz. Rzucił dziennikarstwo i przeszedł do telewizji. Jeden z jego wujków z Kerali był słynnym filmowcem, znanym z niskobudżetowych produkcji poruszających problemy niedostosowania społecznego i stresu związanego z tożsamością. Choć jego filmów nigdy nie pokazywano w sieciach komercyjnych poza Keralą, były zajadłe atakowane przez badaczy poważnego kina. Philip wykształcił w sobie postawę lekceważenia niemal wszystkiego — podkreślaną gwałtownymi ruchami prawej ręki — i lekcewał również wuja jako człowieka pozbawionego wpływów. Zorientowałem się jednak, że zapracowany filmowiec jest tak naprawdę idolem Philipa, a Philip wiedział, że złapał filmowego bakcyła tylko dzięki wujowi. Nie chcąc się do tego przyznać, musiał obrać inną drogę. Wybrał telewizję, której macki zaczynały dopiero wpełzać w życie Hindusów.

Kiedy zamieszkaliśmy u niego na Wasant Kundź, powiedział, że siedzi nad scenariuszem megaseriału. Odkąd pracowaliśmy razem, zdążył wrócić do domu rodzinnego w Bombaju, a potem przyjechał tutaj, żeby pisać. W Bombaju pracował przez rok w firmie zajmującej się produkcjami telewizyjnymi i podłapał słownictwo obowiązujące w tym medium. Mówił, że telewizja zmieni Indie — miała wpłynąć na to, jak myślimy, żyjemy, jemy, pieprzymy się. Dodawał, że zmieni naszą politykę, nasze społeczeństwo. Mówił, że nadejdzie dzień, kiedy będziemy mieli sto kanałów telewizyjnych, przemawiających do nas dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu.

Mówił, że stanie z boku i pozwoli telewizji nami zawładnąć.

Z pozycji misjonarza. Z nogami wokół uszu. Z mózgiem pomiędzy naszymi jajami.

Nie będziemy słyszeli niczego poza telewizją.

Nie będziemy widzieli niczego poza telewizją. Pomieramy z rozbawienia.

Nie interesowało to ani Fizz, ani mnie. Uważaliśmy całą sprawę za nieprawdopodobną, błędną w ocenie. Słuchaliśmy go z pomrukami niedowierzania, marząc jedynie o powrocie do naszego pokoju i ugniataniu materaca.

Nasza chęć znikania okropnie go złościła.

Każdego wieczoru powtarzał: Przyjechaliście do Delhi, kanalie, żeby tylko spać czy co?

Sam zdawał się żyć bez żadnych reguł — dotyczących spania, ubierania się, pracy. Nosił spodnie i koszulę — i czarny gruby sweter sięgający do połowy ud — i nie zdejmował tego ubrania przez wiele dni. Spał w nim, budził się w nim, wychodził w nim z domu. Kiedy nie musiał wyjść, snuł się przygarbiony po pokoju niczym niedźwiedź, rozczochrany, długie włosy zwisały mu w strąkach. Gdy jednak musiał wyjść, moczył włosy wodą i przeczesywał je mokrymi palcami. Potem oglądał się z profilu w niewielkim zamglonym lusterku nad miską do mycia w jadalni, przyglądał włosy ponownie, wsuwał ręce do kieszeni i wyczłapywał z domu.

Pewnego wieczoru zastałem go stojącego nad umywalką i zdejmującego wszystko — koszulę, kamizelkę, sweter — przez głowę. Odkręcił potem kran, pochylił się nad umywalką i zaczął myć się pod pachami. Namydlił pozlepiane włosy i spłukał je garściami wody. Najpierw jedna pacha, później druga. Zachlapał wodą wszystko dookoła. Podłogę, stopy, ubranie. Kiedy skończył, nachylił głowę i powąchał własne pachy. Następnie przeszedł do swojego pokoju, jak stał — z ramionami uniesionymi do góry, z ubranem zatkniętym pod brodą, grubas prowadzony na egzekucję. Wziął brudny ręcznik i energicznie wytarł mokre włosy. Wyciągnął z kufra różowe pudełko zasypki cuticury i zamazyście posypał sobie pachy. Sypał talkiem na wszystko dookoła. Podłogę, stopy, ubranie. Poruszył kolicie ramionami kilka razy niczym zapaśnik, żeby talk dobrze się rozprowadził. A potem jednym ruchem nałożył na siebie ubranie i był gotów do wyjścia. Philip najwyraźniej miał jakieś życie intymne, ale nie chciał o tym mówić.

Nie sposób było przewidzieć, kiedy wreszcie się wykąpie i zmieni ubranie. Mijało wiele dni i nagle któregoś wieczoru widzieliśmy go, jak mozolnie podgrzewa garnki z wodą na pulsującej spirali maszynki. Ginał potem w łazience na długo i wylaniał się, parując, owinięty ręcznikiem. Czyste ubranie i gładko ogolona twarz wieściły światu zakończenie toalety. Uśmiechał się wtedy nieśmiało

i wyglądał na zakłopotanego. Kapiel uważał za coś bardzo burżuazyjnego. Jego zdaniem była łamaniem zasad braminów.

Przez pół dnia pachniał wodą kolońską Old Spice i można było nawet posiedzieć koło niego. Potem rozpoczynał się ponowny proces rozkładu i często przebiegał tak fatalnie, że widziało się kawałki dału na swetrze, a kiedy mówił, cuchnąca woń jedzenia, które utknęło mu w zębach, unosiła się w powietrzu.

Jadł jak zwierzę. Można było pomyśleć, że nigdy nie używał rąk, a po prostu wtykał usta w jedzenie. Ale wtedy człowiek zauważał jego palce. Były żółte od niezmytego curry i miały ziarna pod paznokciami.

Niemniej dobre maniery przy jedzeniu nie były jego problemem. Tym problemem był rum.

Nie spotkałem nikogo, kto piłby tyle rumu co Philip. Wypijał butelkę dziennie. Opróżnione butelki squat Old Monk stały w szeregu pod ścianami jego sypialni, przykucnięte tam niczym żołnierze na niespokojnej granicy. Przez cały dzień zmieniał się poziom bursztynowego płynu w szklance, kiedy nalewał, mieszał z wodą, pił, nalewał, mieszał z wodą, pił. Siedząc na łóżku, oparty plecami o ścianę, pisał na białych kartkach papieru i odkładał je zapisaną stroną w dół. Potrafił pić do późnej nocy, a ostatnią rzeczą, jaką robił przed zaśnięciem, było przygotowanie pełnej szklanki rumu z wodą i postawienie jej przy łóżku. Kiedy się budził, jeszcze przed włożeniem grubych okularów, sięgał po szklankę i opróżniał ją jednym haustem. Pił jak lekarstwo, wodę wapienną albo herbatę. Wtedy dopiero wstawał z łóżka, szedł do łazienki, mył zęby, sikał.

To było niesamowite. Takie anty burżuazyjne.

Niczym mantrę powtarzał: Od gówna w nocniku lepszy rum w przełyku.

Nie mam pojęcia, co to znaczyło.

Akcja mega serialu, nad którym Philip pracował, zaczynała się na początku XX wieku i była doprowadzana do czasów teraźniejszych, pokazywała losy trzech pokoleń i powstawanie Indii. To była epepeja, saga. Wiatr historii i jej ironia. Pisał pierwszy konspekt.

*Spadkobiercy* rozpadali się powoli na dnie jeziora Sukhna.

Ciekaw jestem, co by odpowiedział, gdyby nadleciały czajki. Zro-bi-li-ście? Zro-bi-li-ście?

Fizz lubiła go na swój dziwny sposób. Podobał się jej jego amoralny obłęd. Znacznie bardziej niż na przykład świętoszkowate wariactwo Amreśa. Opinie Philipa uznawała za interesujące, spierali się o wszelkie możliwe sprawy. On, rzecz jasna, obchodził

się z nią łagodnie i próbował nałożyć jej swoje obłeśne cugle. Wiecznie dostrzegał jakieś popełniane przez nią błędy, chciał nawet pomagać przy zmywaniu talerzy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się kimś przejmował. Wkrótce posunął się do tego, że zaproponował nam stałe współwynajmowanie mieszkania. Ale Fizz nie mogła po prostu znieść brudu, jego ciała i jego mieszkania. Sympatia i obrzydzenie toczyły w niej walkę, rozmawialiśmy o nim do późna w nocy, kiedy odpoczywaliśmy w obozie-bazie przed kolejną wspinaczką.

Ostatecznie postanowiliśmy się wyprowadzić. Jego niechlujstwo to tylko jeden z powodów. Ważniejsze dla mnie było to, że wolałem zostać w mieście. Pracowałem długie godziny i nie chciałem, żeby Fizz była pozostawiona samej sobie gdzieś na końcu świata. W tamtych czasach komunikacja autobusowa na Wasant Kundź dopiero raczkowała, a rykszarze byli szemrani. I jeszcze jedna przyczyna: oboje pragnęliśmy spędzać ze sobą czas, potrzeba tego była stale obecna i nagła. A ja chciałem słyszeć jej donośny głos, kiedy zdobywała ostatnie szczyty.

Skontaktowaliśmy się z kilkoma agentami nieruchomości. Większość odkładała słuchawkę w chwili, gdy mówiliśmy, jaką sumą dysponujemy. Nie zniechęcaliśmy się, aż udało nam się porozmawiać z dwoma dość nędznie wyglądającymi facetami. Jak się okazało, obaj pochodzili z Pendżabu, mieli spore brzuchy, łysiny i mamrotali niewyraźnie. Po latach uznaliśmy ich za delhijski prototyp. Fizz nazwała ich Niemaproblemupszepani i Bardzodobrzepszepani. Właśnie tak mówili, zacierali ręce i uśmiechali się, kłaniali i szurali nogami, i zwracali się wyłącznie do niej.

Chcieliśmy mieszkanie na pierwszym lub drugim piętrze. Ale niezależne.

Niemaproblemupszepani.

Żadnego kłopotliwego właściciela.

Bardzodobrzepszepani.

Musi być taras albo przynajmniej balkon.

Niemaproblemupszepani.

Idealnie, gdyby wokół domu rosło trochę drzew.

Bardzodobrzepszepani.

Przez pierwszych kilka dni pokazali nam około dwudziestu pięciu domów, ale żaden nie zaciekał nas w najmniejszym stopniu.

Zaczęli przypominać oszustów z doskoku, usiłujących się dorobić jako agencji nieruchomości. Kończyło się na tym, że zjawialiśmy się w domach zamkniętych na trzy spusty, a oni zaczęli się kłócić, używając pełnego ekspresji pendzabskiego.

Mówiłem ci, żebyś z nim porozmawiał i zorganizował klucze.

Gdybym sam wszystko robił, co zostałoby dla ciebie? Zostań przewodnikiem w Tadź Mahal!

Nie, wolałbym grzać łóżko twojej matki!

Najpierw musiałbyś przestać grzać łóżko własnej!

A potem obaj odwracali się do Fizz, zaczęli zacierać dłonie i uśmiechać się, i szurać nogami.

Niemaproblemupszepani, pokażemy pani znacznie lepszy dom.

Następna propozycja okazywała się służbówką, następna ogromnym mieszkaniem z czynszem czterokrotnie przewyższającym nasz budżet, następna nie miała ani tarasu, ani balkonu, właścicielką następnej była wrzeszcząca megiera.

Za każdym razem biegali wokół siebie i krzyczeli w pełnym wysokich tonów pendzabskim.

Ty pojebusie, znalazłeś cokolwiek czy nie?

Gdybym sam wszystko robił, czym byś się zajmował? Zjawiał się jak król Jerzy na darbarze?

Czekaliśmy, aż przestaną się kłócić i obrzucać wzajemnie seksualnymi oskarżeniami pod adresem siostr, matek, żon i córek, wmawiać sobie nawzajem uprawianie seksu oralnego, sodomii i zoofilii. Kiedy już mieli to za sobą, odwracali się do Fizz z płomiennymi uśmiechami i zacierali ręce.

Niemaproblemupszepani. Bardzodobrzezszepani. Pokażemy wam znacznie lepsze miejsce.

Wkrótce zaczęliśmy odkrywać znerwicowanie Delhi. Nie wystarczało, że podobało się nam jakieś miejsce i chcieliśmy za nie płacić. Byliśmy poddawani szczegółowemu sprawdzeniu. Właściciele przesłuchiwali nas i zadawali osobiste pytania. O naszą pracę, o nasze pochodzenie, o naszych przyjaciół, o nasze małżeństwo, o naszą religię, o nasze godziny pracy i imprezowania. Nie zdawaliśmy testu pod wieloma względami.

Nie pochodziliśmy z południa Indii, ale byliśmy agresywnymi mieszkańcami północy. Właściciele domów w Delhi nieodmiennie wyobrażają sobie, że mogą łatwo zastraszyć lokatorów — Hindusów z południa. Najwyraźniej większość z nich nigdy nie słyszała o Velupillai Pirabhakaranie.

Nie mieliśmy dzieci. Wyglądało na to, że posiadanie dzieci budziło pewien rodzaj szacunku i uspokajało właścicieli. Philip opo-

wiadał mi o przyjaciółach, którzy szukając mieszkania, pożyczali dzieci od znajomych.

Byliśmy parą mieszaną. Przynajmniej dwóch właścicieli podzieliło się z naszymi agentami nieruchomości niepokojem, jaki budził fakt, że Fizz jest muzulmanką. Chcieli wiedzieć, czy uciekliśmy od rodziców, bo nie zgadzali się na nasz związek. Jeden powiedział nawet, że chciałby obejrzeć nasz akt ślubu.

Na ogromny plus Nmppp i Bdpp trzeba zaliczyć ich komentarz. Powiedzieli: Takie właśnie pojeby rozpieprzają ten kraj! Wynajmują mieszkania czy chcą wydać córkę za mąż? Niedługo zaczną domagać się horoskopów!

No i oczywiście nie pracowaliśmy w zagranicznym banku ani wielonarodowej korporacji, więc nie mogliśmy wynająć mieszkania przez firmę. Wynajem przez firmę. Określenie, jakiego nie słyszałem, dopóki nie zaczęliśmy szukać mieszkania.

Chcieli kaucji. Gwarancji. Chcieli przyspilić prawa życia.

Przepytywanie wkurzało mnie. Nie przywykłem się tłumaczyć. Dlatego zacząłem się wycofywać i pozwalałem, żeby Fizz zajmowała się tymi przesłuchaniami. Niedobrze robiło mi się też od slapstickowej rutyny Abbotta i Costello. Dla Fizz nie stanowiło to problemu. Była pogodnie tolerancyjna. I podobnie jak wszystkich, także ich w sobie rozkochała. Zwracali się tylko do niej, podczas gdy na mnie nawet nie patrzyli, w obawie, że w chwili poirytowania mógłbym odesłać ich do diabła. Byli ubrani w błyszczące brązowe garnitury ze sklepu z używaną odzieżą i jeździli zabytkową zieloną lambrettą, tak ciężką, że jeden nie dałby rady postawić jej na stojaku. Za każdym razem, kiedy musieli to zrobić i ciągnęli skuter, Bdpp, który kierował lambrettą, mając na głowie blaszany kask, mówił: Nie jadłeś dzisiaj śniadania, pojebusie?

I za każdym razem Nmppp, wieczny kozioł ofiarny, odpowiadał: Chcesz, żebym swoim butem od Baty zrobił ci w dupie dziurę wielkości Buland Darwazy?

Ich buty także były w nie najlepszym stanie. Trzymały się jakoś dzięki przyklepcom ze skóry i gumy. Uznałem, że miało to coś wspólnego z hamulcami lambretty. Hamulce działały niezbyt dobrze, bo — jak zauważyłem — za każdym razem, kiedy hamowali, stawiali stopy na ziemi i szorowali nimi po drodze, aż tarcie zatrzymało warkoczącą bestię. Parę razy uderzyli nawet w samochody i ściany, aż brzęczał blaszany kask, a Nmppp wpadał na Bdpp.

Bdpp krzyczał wtedy natychmiast: I co teraz?! Chcesz mnie przelecieć od tyłu?!

A Nmppp, odsuwając się i zsiadając, wrzeszczał: Maderćod, to

pierdolony skuter czy jakiś zdziczały koń?! Dlaczego nie dasz hamulców do naprawy?!

Jeździliśmy za nimi rykszą, wysupłując na to ostatnie grosze. Dwa razy w czasie takich wędrowek, prosto po pracy, spragniony Fizz, rozładowałem irytację, biorąc ją przy ścianie, po wcześniejszym wysłaniu dwóch debili z serią pytań do właściciela. Raz ściągnąłem jej dzinsy na schodach dwupoziomowego mieszkania i wca-łowałem się głęboko w jej sedno. Skończyło się na tym, że usiadła na ostatnim stopniu na górze, nogi oplotła wokół moich ramion. Odkryliśmy prawdę w powiedzeniu, że puste domy mają erotyczny ładunek — niesamowitą próżnię domagającą się wypełnienia.

Ale ani ukradkowy seks, ani błazeński duet nie mogły wystarczać mi w nieskończoność. Nasze poszukiwania zaczęły mnie męczyć. Fizz nie traciła wiary. Nie dość, że uważała ich za zabawnych, to właściwie akceptowała ich chałupnicze metody i zupełny brak kompetencji. Przeszkadzały jej z kolei błyszczące garnitury, rozdźwięk pomiędzy ofertami i wygadane wazeliniarstwo. Tyle że moja cierpliwość wkrótce się wyczerpała. Powiedziałem Fizz, że albo znajdziemy sobie nowych pośredników, albo wycofuję się i zostawiam wszystko na jej głowie. Dopiero zacząłem pracować i nie mogłem się urywać codziennie pod koniec dnia.

Fizz popatrzyła na mnie wielkimi, szeroko otwartymi oczami i zapytała: Ale zamieszkasz ze mną, jak już coś znajdę, prawda?

Powiedziałem: Zgwałcę cię już na progu.

Przykazałem też Flipowi i Flapowi, żeby zachowywali się przyzwoicie, bo następnym razem mnie nie będzie.

Powiedzieli unisono: Niemaproblemupszepana, bardzodobrzepszepana. Wszystko pani pokażemy. Znajdziemy jej najlepsze mieszkanie w Delhi. Nigdy nie będzie chciała się z niego wyprowadzić. I będzie wspominała nas każdego dnia.

Spojrzałem na Fizz. Odpowiedziała mi słodkim uśmiechem. Wyglądała na przejętą.

Tydzień później zмагаłem się z bełkotem na temat zbliżającego się kryzysu w Indyjskim Kongresie Narodowym, kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon. Fizz powiedziała: Chciałabym, żebyś coś zobaczył.

Spotkałem się z nią przed Ogólnoindyjskim Instytutem Nauk Medycznych i poszliśmy do Green Parku, gdzie pokazała mi bar-

sati z widokiem na Deer Park. Schody były wąskie i kręte, ale kiedy dotarło się już na drugie piętro, przestrzeń się otwierała. Był tam spory taras, jeden duży pokój i dwa małe, łazienka z różowym sedesem i kuchnia, w której mogliśmy przebywać jednocześnie, jeśli żadne z nas nie poruszało rękami. W wieczornym świetle park wypełniały poruszające się cienie, ziemię pod drzewami zaścielały liście, zarówno stare i zgniłe, jak też świeże i szeleszczące. Spacerowicze chodzili po wijących się alejkach. Były wśród nich pary trzymające się za ręce.

Przed domem rósł gul mohr, płomień Afryki, jego ramiona były odrąbywane i odrąbywane — żeby słońce i światło dochodziły do niższych pięter — tak często, że pogwałcił własny kod genetyczny i zaczął rosnąć prosto w górę, niczym palma rozkładając na czubku baldachim na wysokości drugiego piętra. Gałęzie uderzały o nasz taras. Latem byliśmy skapani w gorejących barwach czerwieni i pomarańczy. Płomień Afryki dawał z siebie wszystko dla Fizz, ale również i dla mnie. Tak samo jak jego kwiaty, uwielbiałem lancetowate liście tego drzewa, zwisające błogo z pierzastych gałęzi. Miło było zerwać ich kilka, ułożyć w wachlarz i głaskać się nim delikatnie po skórze. Zachowując się jak dzieci, postępowaliśmy odwrotnie. Usuwaliśmy kolce z gałęzi i chłostaliśmy się nią nawzajem.

Philip okazał rozczarowanie, kiedy poinformowaliśmy go o barsati.

Osuszył bursztynową szklankę i powiedział: Od gówna w nocniku lepszy rum w przelyku. A potem dąsał się przez kilka dni. Uzasadnialiśmy jego egzystencję. Mógł prezentować swój radykalny tryb życia przed publicznością. Jednak bez nas w pobliżu przestawało to mieć znaczenie. Obracało się ponownie w gnuśność i brud.

Myślę, że były także inne powody. To fakt, że od ciał się uzależniamy. Szybko się do nich przyzwyczajamy. Ich kształtu, ich ruchu, ich ciepła. W przypadku Fizz było to podwójnie prawdziwe. W tej zatęchłej norze jej obecność rozświetlała wszystko. Philip wiedział, że w chwili gdy drzwi się za nią zamkną, będzie tak, jakby ktoś zgasił światło.

Rankiem, kiedy opuszczaliśmy jego mieszkanie — ładując do taksówki materac i walizki — oboje czuliśmy się parszywie. Philip siedział na brzegu łóżka, pieścił w rękach szklankę z drugim tego dnia drinkiem. Był w połowie cyklu rezygnacji z mycia i wyjątkowo rozczochrany. Fizz zostawiła mu niewielki zielony chodnik i trzciniowe krzesła, kupiła też biografię Orsona Wellesa i reprodukcję Jaminiego Roya.



Kiedy na wpół go objęła, powiedział burkliwie: Jeśli on kiedykolwiek zachowa się wobec ciebie niewłaściwie, wiesz, kogo zawołać.

Fizz uśmiechnęła się ciepło: Wiem, kogo wołać, nawet jak on zachowuje się właściwie.

Morsowate wąsy Philipa rozsunęły się w uśmiechu. Podrapał się po zmierzwionych włosach.

Objąłem go i powiedziałem: Do zobaczenia.

Odparł: Nie zasługujesz na nią, draniu.

\*

Mimo że w środku praktycznie niczego nie było, już po dwóch dniach czuliśmy się w tym mieszkaniu jak w domu. Fizz poszła do pobliskiej szkółki i kupiła kilka roślin doniczkowych. Liściastą palmę, kuczukowiec, bambus i dwa fikusy. Mając pięć kwiatów, dwadzieścia książek, oprawiony portrecik Pounda, jednego Tagore'a i materac, sprawiła, że barsati wydawało się wypełnione. Wiedziałem, na jakiej zasadzie działa to złudzenie. Byłem już w przeszłości szczęśliwą ofiarą czegoś podobnego. Zasadniczo wypełniała przestrzeń w taki sposób, że nie zauważało się niczego poza nią. Mogłaby być sama w pustym holu, a człowiek nawet by się nie zorientował, że nic tam nie ma, bo wzrok skupiałby się na niej. Zdarzają się takie osoby, nawet jeśli nie są sławnymi gwiazdami czy wielkimi ludźmi. Fizz była tego najdoskonalszym przykładem, z jakim się w życiu zetknąłem.

Kiedy wracałem do domu, widziałem tylko ją. I to było wspaniałe.

Każdego wieczoru, gdy zbliżał się czas wyjścia z pracy, zaczynałem bujać w obłokach. Wspomnienia rozkoszy opadały mnie i drażniły się ze mną. Tekst, który redagowałem, rozmywał się. Przyłapywałem się na tym, że czytam ten sam akapit po parę razy. Myśli skupiały się wokół tego, co będę robił, kiedy wrócę do domu. Zaczynałem wydawać odgłosy, jakbym był nawalony, toteż patrzono na mnie z kompletnym zdziwieniem.

Bardzo szybko przekonałem się, że w redakcji panuje jakaś neuroza. Nikt nigdy nie chciał wracać do domu. Była zorganizowana na bazie jednej zasady, doktryny wiecznej niepewności. Jeśli wyszło się wcześniej, przytłaczał cię ciężar świadomości, że ktoś metodycznie wspina się za twoimi plecami, wypracowuje więcej godzin, więcej słów, więcej historii, zdobywa więcej punk-

tów. Gdy nie siedziałeś na własnym krześle, nie wywracałeś słów do góry podszewką, nie kreśliłeś nagłówków, nie wyszczekiwałeś poleceń, kiedy szefowie przechodzili obok — zsuwałeś się ze słupa i już miałeś buty kolegów na twarzy.

I, jak wkrótce odkryłem, koledzy byli psychologicznie wdrożeni do tego, by natychmiast miażdżyć twarz, na której oparli się butem.

Nie w takich warunkach wcześniej pracowałem. W poprzednich firmach wszyscy prześcigali się w lenistwie i dekadencji. Za chamskie i głupie uważano tam rywalizowanie. Było zarezerwowane dla sztywniackich magistrów zarządzania i gorliwych urzędników państwowych — to jest dopóki nie pozdawali ostatnich egzaminów i nie odziedziczyli Indii. W dziennikarstwie, jakie znałem wcześniej, wszyscy byli wariantami Philipa. Cyniczni, wszechwiedzący, zapuszczeni, z pogardą traktujący pieniądze, krochmalone koszule i co tylko się z nimi łączyło. Prawie każdy był zaangażowany umysłowo w jakieś przedsięwzięcie, znacznie ważniejsze od piastowanej posady. Inni pisali fatalną prozę, fatalną poezję albo robili fatalne zdjęcia. Reszta czekała na inspirację i przegadywała to z rumem Old Monk w czasie beczynności.

Od gówna w nocniku lepszy rum w przełyku.

Ta redakcja była tego zupełnym przeciwieństwem, przypominała dobrze nasmarowany słup do ćwiczeń, z ludźmi pełzającymi w górę i ześlizgującymi się w dół wypolerowanej drewnianej kolumny. Dokładnie na szczycie, jak na statku, znajdowało się bocianie gniazdo, wygodna czasza, gdzie siedział jeden człowiek. Cała sprawa, jak się domyślałem, polegała na tym, żeby dotrzeć jak najbliżej czaszy i tego człowieka. Co działałoby się potem, nadal było dla mnie zagadką. To jasne, że Król Czaszy nie miał zamiaru nikogo wciągać do środka. Zostawało się na śliskim słupie. Ale coś jednak się zmieniało, napędzane ustawicznym rozgorączkowaniem.

Sprawy nie ułatwiało zachowanie Króla Czaszy, który co jakiś czas wychylał się i zrzucał na słup więcej smaru. Miało to ten skutek, że znajdujący się najwyżej wpadali w panikę, że będą się bardziej ślizgać i że się zsuną. But-na-twarzy, but-na-twarzy, but-na-twarzy. Na całej długości pała wspinający się trzymali miażdżący but-na-twarzy.

A potem szaleńcza wspinaczka zaczynała się na nowo.

Znajdowali się tam inteligentni ludzie, ślizgający się i rozpychający innych na boki.

Ich ubrania były brudne, ich ręce poplamione, ich twarze

błyszczały od tłuszczu, ale w ich oczach był zapal. Wzrok mieli twardo utkwiony w człowieka z czaszy, a im więcej smaru zrzucał na pal, tym bardziej zażarta stawała się rywalizacja but-na-twa-rzy, tym bardziej byli przekonani, że tam w górze — w czaszy — czekają rozwiązania zagadek ich życia i kariery.

Niektórzy bardzo, bardzo inteligentni. Twarze błyszczące od tłuszczu. Ślizgali się, rozpychając innych na boki.

Był wśród nich młody facet, nie starszy ode mnie, któremu smar niemal palił się pod palcami, gdy przeskakiwał po grupach ciał. Nawet w tych początkowych dniach wyczuwałem konsternację, jaką wywoływał wśród innych speców od wspinaczki. Ten facet był moim bezpośrednim przełożonym, szefem działu redakcji tekstów. Jego głód, urok i umiejętności były testosteronowe. Czytał odpowiednie książki, oglądał odpowiednie filmy, wydawał się wiedzieć coś o wszystkim, co działo się na świecie, i potrafił pisać zdania z tak syczącą aliteracją, że umysł wirował w muzycznej rapsodii.

Prozaiczne opisy nieciekawych wydarzeń lądowały na biurku i w chwili, gdy jego śmigające palce skończyły pracę, zyskiwały epicką wspaniałość. W jego poprawkach pełno było wyniosłych odwołań: grecka tragedia, miecz Damoklesa, manna z nieba, mit Syzyfa, ostatni Mohikanin, głowa hydry, głos Kirke, eksperymenty z prawdą, odkrycie Indii, biblijne porównania, lekcje wedanty, ośrodek się nie utrzyma, drogi nie obrano, naśladowcy, komu bije dzwon, setki wizji i rewizji, moc i chwała, sedno sprawy, jądro ciemności, udręka i ekstaza, przyczółki czasu, zagadka Sfinksa, męki Tantała, pomruki moralności, typ falstaffowski, Dicken-sowska mroczność, Homerowska czarna zaraza, Chaucerowska pudendum.

Wołano na niego Śulteri, co w pendzabskim oznacza kogoś zwinnego, szybkiego, nie do pochwycenia. Nazwał go tak sahib Gogia, dyrektor naczelny firmy — sypiący kawałami obleśny Pendzabczyk — bo bez najmniejszego trudu wystrychnął sahiba na dudka przy negocjowaniu pensji. Przewisko jednak odzwierciedlało bez wątpienia prawdziwą naturę tego człowieka i miało niewiele wspólnego z językiem jego ciała. Bo z wyglądu Śulteri był zawsze wyluzowany, łatwo się śmiał.

Lampart w skórze lwa.

Podziwiałem jego wydajność i tupet, kiedy błyskawicznie przebijając palcami, zmieniał badziewie bieżących spraw w połyskujące złoto. Ale tak naprawdę tym, co dobijało innych wojowników na słupie, były uprzejmość i urok Szulteriego. Wielu z nich mimowolnie zdejmowało but z jego miłej twarzy, by potem się przekonać, że dzięki temu zapewnił sobie miejsce na palu znacznie wyżej od nich. Robili przejście lwu, lampart tymczasem załatwiał własne interesy. Usiłowali potem rozpaczliwie chwycić go za kostki. Ale ręka na kostce niewiele może w porównaniu z butem na twarzy.

Widać było, że człowiek w czaszy jest z niego zadowolony. Wprowadzał nowy rodzaj dramatu do wydarzeń na słupie. Widziałem, że Król Czaszy chciał, by osiągnął wyższy poziom, z którego ześlizgiwali się rośli faceci. Arena najwspanialszych bokserów zawodowych, coś dla wagi ciężkiej. Uważał, żeby nie wylewać smaru w kierunku Śulteriego. Ten gest życzliwości wprawiał pozostałych w zmieszanie. Teraz mieli ochotę jeszcze bardziej dokopać Śulteriemu, ale jednocześnie nie chcieli, żeby Król Czaszy to widział.

Kiedy patrzyłem, jak Śulteri rozmawia z kimś uprzejmie — starszym, młodszym — dostrzegłem człowieka o pysku gryzonia, uśmiechającego się coraz szerzej, a tymczasem chwytającego za jaja. Można było to uznać za pieszczotę, ale tylko dopóki nie postanowił zacisnąć ręki. Komuś, kto pracował tam dopiero od roku, wydawał się facetem, który trzyma w ręku mnóstwo jaj.

Podwładni jak ja znajdowali się tak nisko w hierarchii, że nie byli nawet u podstawy słupa. Nam pozostawała jedynie rola zwykłych obserwatorów. Speszonych badaczy doktryny wiecznej niepewności. Dobrze w tym było to, że czasem wpadało nam w ręce trochę tłuszczu, ale też trafiały się nieraz drzazgi, lecące w naszą stronę z rytego pazurami pała. Oszczędzało to nam również buta--na-twarzy. Ale sami też nie mogliśmy deptać. Prawdziwym minusem jednak był fakt, że dla Króla Czaszy nie istnieliśmy. Jakikolwiek przysmaki były rozdawane na śliskich wysokościach, do nas nigdy nie docierały.

Śulteri niemal od razu mnie polubił. Może miało to coś wspólnego z mieszaniną, jaką sobą prezentowałem, to znaczy dobrą znajomością języka i brakiem ambicji. Zaczął natychmiast pozbywać się najgorszych tekstów i przerzucał je na moje biurko. Większość z nich była zwykłym małpowaniem komentarzy politycznych — chybione cytaty, banalny koloryt, powielane analizy i oczywiście kulawa gramatyka, ortografia, składnia. I na koniec zdania, których znaczenia można było się jedynie domyślić. Niektórzy autorzy

usiłowali rozbudować tekst, wplatając ozdobniki — rzeczy w rodzaju miecza Damoklesa i mitu Syzyfa.

Śulteri patrzył mi przez ramię na migoczący ekran monitora i mówił: To pierdolone śmieci! Odrzuć im to! Pieprzyć ich!

Ale mnie nie interesowało pieprzenie kogokolwiek. Chciałem jedynie bez problemów wracać do domu. Do Fizz i moich książek. To dziwiło i cieszyło Śulteriego. Nasz układ został przypieczętowany. On zbierał zasługi za wykonaną redakcję, a ja mogłem wychodzić z pracy w chwili, gdy wieczór zapadał nad miastem, a na głównych bazarach przycichał zgiełk.

On klękał przed ołtarzem Króla Czaszy. Ja rozkoszowałem się pośladkami Fizz.

On — po małe życie. Ja — po małą śmierć.

\*

Byli tam także inni bardzo, bardzo inteligentni ludzie. Twarze błyszczące od tłuszczu. Tuż pod czaszą. Ślizgali się, rozpychając innych na boki.

Niektórzy pokończyli takie uniwersytety jak Harvard czy Oksford i miażdżyli podrzędnych redaktorów — absolwentów uczelni w Bhopalu i Koczinie — rzucanymi mimochodem uwagami o lekturze Brodskiego i sztukach z West Endu.

Niektórzy wypowiadali słynne nazwiska — gwiazd filmowych i pisarzy — z taką poufałością, że trudno było im wierzyć.

Byli i tacy, którzy dzwonili w środku nocy i wyciągali z łóżek wszechwładnych ministrów. I nawet za to nie przepraszaali.

Byli i tacy, którzy podróżowali po świecie z taką prędkością, że ich paszporty stały się grubsze od wielkiego oksfordzkiego słownika języka angielskiego.

I był jeden, który wiedział wszystko o wszystkim. Począwszy od pochodzenia buzkaszi w Afganistanie, przez politykę Ku-Klux-Kła-nu, po fascynację Brytyjczyków śmierdzącymi majtkami. Uważał się przy tym za zabawnego gościa. Zbierał pracowników i ich rozśmieszał. Ale nie wolno było odpowiedzieć żartem. Jeśli ktoś tak zrobił, on zmieniał się w posąg. Uśmiech zamierał mu na ustach. Realna stawała się groźba, że kopniakiem obniży pozycję kogoś takiego na słupie.

Nazywano go Hajle Syllasje. Był agresywnym Biharczykiem z Patny, strasznie przewrażliwionym, o zamaszystym kroku boksera, i miał mnóstwo do udowodnienia rdzennie delhijskiej śmie-

tance. Wiele lat wcześniej na firmowej imprezie wygłosił orację o Etiopii i stąd jego przezwisko.

Za każdym razem, kiedy wychodził z pokoju redakcyjnego po długim monologu, wszyscy wstawali, unosili do góry prawe ramię i gnąc się w pasie, wołali: Niech żyje Syllasje!

Praktykantka puściła nawet raz jego artykuł z podpisem Hajle Syllasje. Zupełnie nieświadoma błędu. Straciła pracę następnego dnia.

Hajle Syllasje był komikiem bez krzty poczucia humoru, gdy cokolwiek dotyczyło jego osoby.

Każde słowo, jakie wypowiedział, każdy krok, jaki zrobił, służyły jednemu — by uczynić go panem wszechświata. Był ogromnie utalentowanym dziennikarzem — znacznie bardziej od Śulteriego — ale jego wewnętrzne niepokoje, jego potrzeba, by przyspieszyć wspinaczkę, kazały mu zapamiętałe rozpychać się i piąć po słupie.

Hajle Syllasje był jednym z kluczowych wspinaczy, mających błogosławieństwo Króla Czaszy. Humor nie stanowił jedynej broni, jaką Syllasje posługiwał się w walce na słupie. Był bardzo, bardzo inteligentny. Trzymał karty blisko piersi, a siebie zachęcał, byś w pełni się przed nim odsłonił. Jego usta się uśmiechały, gdy tymczasem kalkulował oczami. Pożenił powierzchowny humor z poważnym zagrożeniem dla innych. Zawsze wiedział, co od kogo można zyskać na śliskim słupie.

Przy Sulterim czuło się, że można się z nim zaprzyjaźnić. Ale z Hajle Syllasjem wiedziało się intuicyjnie, że o żadnej przyjaźni nie może być mowy. Każdy stanowił dla niego konkurencję. A przyjaźń to przeszkoda w osiągnięciu własnych korzyści.

Domyślałem się, że Śulteri i Hajle Syllasje zmierzają ku poważnemu pojedynkowi buta-na-twarzy.

Humor i groźba, i wszechwiedza kontra urok, wielomówność i lampart w skórze lwa.

To było zupełnie niezwykle. Śliski słup wiecznej niepewności. I bardzo, bardzo inteligentni ludzie rozpychający się ślizgiem. Najlepszą formułę przetrwania wypracował facet z Waranasi — Miśradzi. Był chuchrem, ubranym w białą ćuridar kurtę, żującym przez cały dzień betel. Zajmował kluczową pozycję pomiędzy księgowością-administracją a redakcją. Biurowy omnibus — telefony, bilety, taksówki. W odróżnieniu od pozostałych ludzi z firmy nie okazywał żadnego szacunku dziennikarzom, bo miał z nimi ciągle do czynienia i znał dobrze ich sposoby wyrywania pieniędzy. Łaził po biurze i przekomarzał się ze wszystkimi. Za

każdym razem, gdy opowiedział jakiś dowcip, puentował go gwizdnięciem. Niski, ostry, pełny dźwięk. Sssssuuuuuuu.

Miśradzi był naprawdę zabawny. Wyznawał zasadę: Uthao aur lagao. Podnoś i bierz. Demonstrował jej zastosowanie. Mówił, że za każdym razem, kiedy spotyka się kogoś wyższego pozycją, należy unieść kurtę z tyłu i się nastawić. Uthao aur lagao. Podnoś i bierz. Sssssuuuuuuu. I za każdym razem, kiedy spotyka się kogoś niższego pozycją, powinno się unieść kurtę z przodu i brać, co należy. Uthao aur lagao. Podnoś i bierz. Sssssuuuuuuu.

Nocą, już po wszystkim, opowiadałem o tym Fizz pod kołdrą. Moja ręka spoczywała wtedy między jej nogami, gdzie dopiero co byłem, gdzie świat jest nieodmiennie najcieplejszy i najbardziej wilgotny. Gdyby znowu miała ochotę, zaczęłaby się o nią ocierać. A ja w jednej chwili zostałbym wessany pod kołdrę i zniknął ze świata.

Fizz zachwycała się moimi relacjami i śmiała przez cały czas. Z szaleństwa. Desperacji. Ale była w tym metoda. Objaśniłem ją Fizz. Król Czaszy był wojskowym despota, przebrany za liberalnego władcę. Był biznesmenem, który wykorzystywał proste, sprawdzone przez czas zasady armii.

Izolacja. Iluzja. Pobudzenie. Działanie.

Uszczelnij granice, żeby nie wślizgnął się żaden agent prowokator.

Uzasadnij pozory ogólniejszą przyczyną, tak by nikt nie mógł narzekać na przeludnienie w barakach.

Stwórz pojęcie elitaryzmu — jesteśmy marines — tak by wszyscy żyli w kokonach.

Stwórz całe góry zadań, tak wysokie, żeby nikt nie mógł zobaczyć niczego poza nimi.

Żołnierze salutują wszystkiemu, co się porusza, i malują wszystko, co jest nieruchome. W naszym przypadku przerabialiśmy na nowo wszystko, co pojawiło się w naszym otoczeniu. Przepisane historie wychodziły spod klawiszy klawiatur, odbijały się od innych komputerów w redakcji i wracały do ponownej przeróbki. Niektóre historie krążyły dookoła i były przepisywane tyle razy, że czytały się coraz gorzej. Treść innych zmieniała się na dokładnie odwrotną od początkowej. Ale to była niewielka cena za utrzymanie ciągłego brzęczenia armii.

Czułem, że jestem w dziennikarskim garnizonie. Jego związek z rzeczywistością był nikły. Ale doskonałość blichtru zupełna. Szarże lśniły, mundury były wykrochmalone, oddziały maszerowały w tę i z powrotem. To tam dowiedziałem się, że zasady kor-

poracji i zasady wojskowe są praktycznie takie same. Izolacja. Iluzja. Pobudzenie. Działanie.

W przypadku armii skutkami są dyscyplina i zwycięstwo.

W przypadku korporacji skutkami są niepewność i zysk.

Wolność i prawda to szemrane wartości w obu.

Nim minęły dwa miesiące, wiedziałem, że nie będę w stanie długo tam popracować. Samo patrzenie na słup sprawiało, że dostawałem zawrotów głowy. Uświadomiłem sobie, że najlepiej będzie dla mnie, jeśli wzrok Króla Czaszy nigdy na mnie nie spocznie. Trzymać się niskich lotów, poruszać bezdźwięcznie, nie mówić niczego mądrego, wtopić się w tło mrużenia komputerów, nie szukać pochwał, zadawać się tylko z Śulterim i nie zastanawiać się w ogóle nad przepracowanym kawałkiem, który właśnie zszedł z mojej klawiatury. W jakiś sposób wiedziałem, że jeśli Król Czaszy zaciągnie kogoś pod słup choć raz, to człowiek jest stracony. Najwyraźniej działał tam jakiś magnetyzm. Smar, wspinaczka, but--na-twarzy. Przyjemności, jakich nie mogłem dostrzec, w oczywisty sposób podgrzewały atmosferę i nakręcały wspinaczy.

Byłem pewny, że jeśli położę rękę na słupie, na zawsze pożegnam się z pisaniem i być może z większością mojego prawdziwego życia.

\*

W dniu, kiedy pobrałem pensję za drugi miesiąc, wziąłem trzy dni wolnego i razem z Fizz wróciliśmy do Candigarhu po nasze rzeczy. Rozpaczliwie chciała już zapłacić czymś barsati. Poczucie tymczasowości zaczynało jej doskwierać.

Dla mnie to nie miało znaczenia. Gdy wracałem do domu, marzyłem jedynie o Fizz i obszedłbym się nawet bez materaca, który mieliśmy.

Podróż powrotna była dziwna. Wiedzieliśmy bowiem, że jest naprawdę ostatnia. Teraz, gdy mieliśmy znaleźć się tam znowu, chcieliśmy zabrać wszystko, co łączyło się z nami w tym obcym, nieorganicznym mieście, stworzonym przez geometrię, a nie potrzebę. Miasto wzniesione kątomierzami, linijkami, ustalonymi kwadratami i proporcjami, bez pasji, emocji, głodu, kreatywności. Francuz, który je zbudował, usunął z niego zarówno sprawdzoną wrażliwość Francuzów, jak i ziemskie żądze Hindusów.

Zostawił geometryczne osiedla. Tylko czas uczyni z nich miasto. Bardzo długi czas.



Dla nas jednak było ono wyjątkowe. To właśnie tam odnaleźliśmy się nawzajem, znaleźliśmy siebie. Nasz cynizm został na zawsze przesłonięty sentymentalizmem.

Sikhijski pułkownik otworzył drzwi i powiedział: Długo to trwało, synu. Na szczęście Chińczycy jeszcze tu nie dotarli.

Ponieważ i pułkownik, i jego żona uwielbiali Fizz, dostaliśmy do spania ich pokój gościnny. Zadzwoiłem do przyjaciela, urzędnika w kuratorium oświaty, mola książkowego, zawsze chętnego do pomocy. Obiecał, że zorganizuje transport, żebyśmy mogli przewieźć nasze rzeczy.

Powiedziałem: Chciałem tylko, żebyś mi polecił kogoś godnego zaufania, kto mnie nie wykiwa.

Jak prawdziwy Pendżabczyk odparł: Twoje problemy się skończyły, bracie! Szykuj się do wyjazdu!

\*

Następnego popołudnia — cudowne zimowe słońce oblewało miasto — wsiedliśmy do rykszy rowerowej, która zawiozła nas do sektorów Dziewiątego, Dziesiątego i Jedenastego. A potem wokół uniwersyteckiego kampusu i z powrotem przez sektory Piętnasty, Szesnasty i Siedemnasty. Ogarniała nas nostalgia. Na ulicach panował ospały ruch, niebo było czyste i błękitne, a wokół rosło wystarczająco dużo zielonych drzew, żeby wprawić człowieka w dobry nastrój. Wyczuwając, że nigdzie się nam nie spieszy, rykszarz — z Dżaunpuru w Uttar Pradeśu, wiem, bo spytałem — wyczuwając nasz brak pośpiechu, pedałowal wolno i rytmicznie. Skrzyp-cisza, skrzyp-cisza, skrzyp-cisza. Za każdym razem, gdy naciskał pedał, unosił tyłek z siodełka.

Trzymaliśmy się za ręce i rozmawialiśmy. To nadal mnie ekscytowało. Trzymanie ręki Fizz publicznie. Intensywna świadomość jej dotyku nigdy nie osłabła. To nigdy nie stało się mimowolnym gestem.

Przywoływałem wspomnienia. Wydarzenia, incydenty, spacer, knajpki. Pocałunek.

Wiele lat wcześniej. Świat jej ciała jest nadal nieznanym terytorium. Jedziemy oboje rykszą w ulewnym monsunowym deszczu. Popołudnie, ale jest już ciemno, nad dniem zamknęły się stłoczone szare chmury. Niebo grzmi bez przerwy. Czasem widać błyskawicę. Dach nad rykszą jest postawiony, ale krople i tak

przeciekają. Rykszarz kuli się na siodełku, jak na obrazie. Okryty brązowym workiem, z narzuconą na niego wielką przezroczystą polietylenową torbą, rozciętą z jednego boku, której róg założył na głowę. Niezniszczalna peleryna biedoty. Poboczami płyną strumienie wody. Z tyłu ludzie tłoczą się pod ociekającymi drzewami. Ruch spowolniał i zmalął do minimum. Wszyscy, na skuterach, motorach, rowerach, kulą się w ulewnym deszczu. Wszyscy patrzą w dół, żeby nie zacinało tak w oczy.

Przytulamy się mocno do siebie. Jedziemy z uniwersytetu do jej domu. Ubrania lepią się nam do skóry. Jej biały stanik odcina się na tle niebieskiej bluzki z etaminy. Moje żebra tworzą poprzeczne wzniesienia na podkoszulku. Marzniemy. Jesteśmy obłąkani z miłości. Nagle patrzymy na siebie i zaczynamy się całować. Piecze. Nasze wargi płoną. W zimnym deszczu mamy gorące usta. Woda ścieka nam po włosach, po twarzach. Wpijamy się nawzajem w siebie. Smakujemy języki. Nasze usta są bardzo gorące. To przeżycie nieporównywalne z niczym.

Biedak niczego nie wyczuwa. Jest zajęty kierowaniem rykszą i pilnowaniem trzepoczącej torby.

Przerywamy, żeby złapać oddech. Do tego czasu stało się jeszcze ciemniej, ale kogo to obchodzi. Wszyscy przypominają pomykające zwierzęta, rozpaczliwie szukające schronienia. Nasze wargi stygną. Wpada w nie deszcz. Potem patrzymy na siebie i zaczynamy od nowa. Nasze wargi płoną. W zimnym deszczu mamy gorące usta. Zadziwia mnie, że usta mogą być aż tak rozpalone. Woda oblewa nas strumieniami. Niejasno zdaję sobie sprawę, że mijamy majaczącą po prawej stronie bryłę kina Batra, która za chwilę niknie z tyłu. Nie przerywamy, żeby zaczerpnąć powietrza. Czy usta mogą być tak gorące?

Płacimy biedakowi przemokniętymi banknotami, które trudno porozdzielać, kiedy palce są mokre. On nie wysuwa się spod torby, bierze pieniądze i odjeżdża. Frontowe drzwi stoją otworem. Jej cioteczna babka jest w salonie i łuska groszek. Stos zielonych lupin na plastikowym talerzu przypomina uśpione koniki polne. Tylko jedna żółta żarówka rzuca światło na tacę. Kobieta nosi grube okulary. Niemal nie zauważa naszego wejścia. Nigdzie nie widzę gosposi. Idziemy przez sypialnię Fizz do łazienki. Jest stworzona do spotkań. Ma dwoje drzwi prowadzących do dwóch sypialni, jednej — Fizz, drugiej — ciotecznej babki.

Ubrania złażą z nas jak skórki z owoców. Leżą na mokrym stosie. Deszcz bębni w na wpół otwarty wywietrznik. Rykoszetem wpada do środka wilgotny opar. Pochylam ją przy emaliowanej

umywalce. Zapach jej pożądania wypełnia mi głowę. Trzymam ją w miejscu, gdzie rozszerzają się biodra. Ona stoi na palcach. Moja miłość szuka jej gorączkowo. Chybia, chybia i znajduje ją w nagłej śliskości. Jestem w miejscu gorętszym od jej ust. To przeżycie nieporównywalne z niczym.

Poruszam się. Ona natychmiast preży się, odrzuca głowę i odpływa. Nasza naga skóra jest mokra i zimna. Całe ciepło naszych ciał jest w jednym ciemnym, niepoznawalnym miejscu. Które teraz dzielimy. Czuję, że masują mnie niezliczone naoliwione palce. Poruszam się. Ona tężeje i znowu odpływa. Obłąkańcza eksplozja narasta we mnie. Wycofuję się trochę, walczę. Ona jest straszliwie gorąca. Głowa grozi mi wybuchem. Zamykam oczy. To nic nie pomaga. Ona ponownie szarpie się i odpływa. Kolana zaczynają mi drżeć. Teraz cały się trzęsę. Także odpływam. Walczę, by zostać. Otwieram oczy. Niczego jednak nie widzę. Wiem, że twarz mam wykrzywioną powstrzymywanym krzykiem. Wiem, że jeśli spojrzę na dół, wszystko się skończy. Chyba nie oddycham. Tak, nie oddycham.

Wycofuję się. Uderza mnie zapach jej pożądania.

Zagłębam się mocno w jej cudniejące-ciekliwe-czeluściowe ciało. Zatrzymanie na sekundę w wilgotnej wieczności. I eksplozja.

Eksplozje trwają długo, porywając ze sobą wszystko. Kolana opadają mi powoli na wyłożoną białymi kafelkami podłogę, mój policzek spoczywa na jej zimnym, wilgotnym biodrze. Słyszę jej ciężki oddech. Wraca. Staje na palcach, kładzie mi rękę na głowie i mierzwi mokre włosy. Dryfuję. Pozwalam, by kawałki mnie, które rozerwała eksplozja, zebrały się łagodnie z powrotem w całość. Deszcz bębni w wywietrznik. Ponownie czuję mgiełkę wilgoci przedostającą się przez drucianą siatkę. Nie wiem, ile czasu minęło. Pokój wydaje się ciemniejszy niż wtedy, gdy do niego weszliśmy. Po boskiej krzywiźnie, na której spoczywa moja głowa, spływa powoli gęsta strużka. Ospale wysuwam koniec języka, przytykam go do jędrnego, pełnego ciała i chwytam płynącą miłość.

Ale teraz, w rykszy, w zimowym słońcu, Fizz patrzyła w przyszłość.

Mówiła, że nasze dzieci przyprowadzimy do tych wszystkich miejsc. I będziemy im mówili, co gdzie robiliśmy.

Rykszarz pedałowal, skrzyp-cisza, skrzyp-cisza, skrzyp-cisza. Mimo zimna jego wynędzniała twarz lśniła od potu.

Fizz, praktyczna jak zawsze, powiedziała: Ale jak my się wszyscy pomieścimy w rykszy?

Odparłem: Ja będę pedałowal, a wasza trójka usiądzie z tyłu.

Och, cudownie! Ty naprawdę masz odpowiedź na wszystko!

Ścisnęła mi rękę, a potem obróciła się do mnie, otworzyła szeroko oczy i zapytała: Ale czy będziesz mógł pedałować i rozmawiać jednocześnie? To nie takie łatwe, sam wiesz.

Powiedziałem: Będę ćwiczył — zapiszę się na kursy.

Obiecujesz, że nas nie rozbijesz? Sam mówiłeś, że rozbiłeś się kiedyś z Milerem i Sobersem.

Jazda będzie gładsza od twoich ud.

To znaczy, że będzie wyboiście, tak? Coś mi się zdaje, że nie lubisz moich ud.

Kocham twoje uda, powiedziałem.

Kochasz tylko miejsce, gdzie się łączą.

Nieprawda. Kocham je na całej długości.

Odparła stanowczo: Tu nie chodzi o moje uda. Tu chodzi o nasze dzieci.

Skrzyp-cisza towarzyszyły nam przez Sektor Szesnasty. Drzewa strączyńca rosły na poboczach. Latem staną się tak olśniewająco złociste, że trudno będzie na nie patrzeć w południowym słońcu. Za nimi było bardziej zielono. Ogrody, żywopłoty, drzewa, krzewy. Uczniowie mijali nas, kiwając się na rowerach, motorynkach, skuterach, po troje na jednym, gadali, machali ramionami, śmiali się. Niedługo college'e zostaną zamknięte, a z miasta ubędzie wielka i widoczna grupa uczniów z prowincji. Kiedyś my też byliśmy tacy jak oni, Fizz i ja. Ale my byliśmy przyjezdnymi, którzy znaleźli znacznie więcej niż tylko to, czego szukali. Przenieśliśmy się już raz, a teraz przeprowadzaliśmy się na dobre.

Ostre powietrze sprawiło, że skóra Fizz jaśniała. Jej prawa dłoń spoczywała w mojej, lewa tkwiła w kieszeni jasnoniebieskiego żakietu. Jak zawsze odurzająco pachniała świeżą wodą, mydłami, balsamami, Madame Rochas i sobą. Usta miała rozchylone w uśmiechu szczęścia, oczy ożywione. Takie właśnie rzeczy na nią działały. Gdybym ją zabrał taksówką, przygasłaby i umarła.

Spojrzała na mnie niespodziewanie i powiedziała: Ale potrzebne będzie ci prawo jazdy?

Zdobędę je. Kiedy dostanę prawo jazdy na samochód, poproszę, żeby rykszę także w nie wpisali.

Doskonale. A ja ubiorę je w ogrodniczki i zaplotę im warkocze.

Zawsze byliśmy pewni, że będziemy mieli dziewczynki.

Powiedziałem: Nie, zostaw im rozpuszczone włosy.

Dobrze, odparła. Ale kiedy się strasznie popłaczą, ty będziesz je rozczesywał.

Wszystko. Kochanie, zrobię wszystko.

Wszystko?

Wszystko. Dla ciebie, kochana, wszystko. Będziesz pedałował rykszą?  
Wszystko.

Spacerował ze mną w środku ulewy? Wszystko.

Nigdy nie będziesz skończonym nudziarzem? Wszystko.

Zabierzesz mnie do Udajpuru? Wszystko.

Zignorujesz każdą moją wadę? Wszystko.

Napiszesz *Roślinożerców*? To też. I wiele, wiele więcej. Posłała mi jaśniejący uśmiech.

Zaspiewałem wysokim głosem: Zrobiłbym wszystko. Dla ciebie, kochanie, wszystko. Dla ciebie, kochanie, wszystko. Dla ciebie... Poszedłbym wszędzie. Za twój uśmiech wszędzie. Za twój uśmiech wszędzie. Za twój...

To był stary zwyczaj — delikatnie zmieniający się za każdym razem — piosenka z jednego z naszych ulubionych filmów. Rykszarz, nie tracąc rytmu, obrócił się i pokazał w uśmiechu popsute zęby.

Fizz zrewanżowała mu się uśmiechem i powiedziała: Sahib uważa, że umie śpiewać.

Wieczorem poszliśmy na obiad do restauracji, w której jadaliliśmy razem tyle lat temu. Była to niewielka knajpka znajdująca się pod ziemią w Sektorze Siedemnastym, nosiła nazwę Golden Dragon. Nikogo poza nami w niej nie było. Panowała tam aura chybionego przedsięwzięcia i przygnębienia, które się z nim łączy. Niewiele nas to jednak obchodziło. Nie śpieszyliśmy się z jedzeniem.

Kiedy włożyliśmy pieniądze w okładkę rachunku, Fizz powiedziała: Nie przyprowadzimy tu naszych dziewczynek. Nie, odparłem. Nie przyprowadzimy.

\*

Rankiem obudziliśmy się o wschodzie słońca. Pojazdem, który mój przyjaciel zorganizował do przetransportowania nas do Delhi, okazał się autobus przerobiony z ciężarówki z czasów drugiej

wojny światowej, ściągnięty z małego miasteczka w przyległym okręgu, gdzie był wykorzystywany w miejscowej szkole. Cechował go wystający pysk, lekko rozwarty, jakby miał kłopoty z oddychaniem. Niedawne malowanie — na niebiesko — nie mogło ukryć jego wieku. Grube okrągłe opony bez bieżników, po dwa siedzenia w rzędzie, przedzielone wąskim przejściem przez całą długość.

Pułkownik obejrzał go dokładnie niczym konia, obszedł dookoła i pomacał boki. Nawet drzwi sprawdził, otwierając je i zamykając. Jakby podnosił chrapy, żeby zobaczyć dziąsła.

Powiedział: Mieliliśmy dwie takie ciężarówki w naszym pułku w latach pięćdziesiątych. Solidne sztuki. Służyły Monty'emu pod Al-Alamajn.

Czy powinny jeszcze być na drogach?, spytałem z nadzieją w głosie.

Raczej w muzeum, w muzeum, odpowiedział. Ta powinna być w muzeum.

Ale w Indiach wiemy, że wszystko, co powinno być w muzeum, jest wykorzystywane do cna. Od pomysłów przez przedmioty po budynki. Prawdę mówiąc, ludzie też.

Zapytałem: Sahibie pułkowniku, czy to dojedzie do Delhi?

W zamyśleniu poklepał autobus po zadzie i powiedział: Powinno, powinno. Takie ciężarówki przejechały pustynie Afryki Północnej, zgodzisz się ze mną?

Autobus, jak się przekonaliśmy, nie był aż takim zabytkiem. Większym reliktem od niego okazali się dwaj faceci, którzy nim przyjechali. Wyglądali co prawda całkiem zwyczajnie. Sikhowie w średnim wieku z rozwianymi brodami. Jeden, kierowca, bardziej siwy i starszy od drugiego. Nosili luźne turbany i mówili gardłowym pendżabskim. Mili, oferowali się z pomocą przy załadunku.

Gdy kierowca wziął pierwsze kartonowe pudło, zapytał: Zabieracie kamienie do Delhi?

Roześmiałem się i odparłem: Nie, książki. A po co? W Delhi nie ma ich dość?

Wskazałem na pudła i powiedziałem: To są nasze ulubione książki.

Oznajmił: Książki to marnotrawstwo. Mój ojciec mawiał, że zaoranie jednego pola nauczy cię więcej o życiu niż przeczytanie stu książek. Zabrał mnie ze szkoły, kiedy byłem w piątej klasie. Powtarzał, jeżeli czytanie książek daje na wszystko odpowiedzi, to dlaczego w tym zasranym kraju jest ciągle tyle problemów?

Wszyscy nasi przywódcy, od Gandhiego po Nehru, przeczytali tysiące książek.

Powiedziałem: To prawda. Książki nie zawsze służą temu, po co powstały.

Na co on odrzekł: Tylko jedna książka się liczy. *Guru Granth Sahib*. I nie trzeba jej czytać — wystarczy jej posłuchać.

Młodszy, pomocnik, powiedział: Nie marnotrawstwo. To choroba. Ci, którzy czytają książki, myślą, że dzięki nim zrozumieją życie. Powiedz mi, sahibie, czy gdybyś przeczytał sto książek o kurczaku z tanduri, poznałbyś jego smak?

Kierowca klepnął go w plecy i zaryczał: No właśnie! Wszystko sprowadzasz do kurczaka!

To tylko taki przykład, powiedział pomocnik.

Z ich pomocą załadowaliśmy nasz dobytek. Pudła z książkami powpychaliśmy pod, na i między siedzenia. Motocykl wcisnęliśmy w przejście i przywiązaliśmy w różnych miejscach, żeby się nie kolebał.

Fizz kupiła pułkownikowi *Second World War* kwartetu Spike'a Milligana.

Powiedziała: To opowieść o wojsku, ale innego rodzaju, wujku. Mojego rodzaju.

Pułkownik popatrzył na odlotowe okładki z uśmiechem zdumienia, obracając je raz po raz. A potem oboje z żoną objęli ją serdecznie. Uścisnął mi krzepko rękę, mocno nią potrząsnął i powiedział: Nie zasługujesz na nią, chłopcze, i pamiętaj, żebyś się nią dobrze opiekował. W przeciwnym razie stary pułkownik dobierze ci się do skóry.

Zdaje się, że zawsze będę dostawał tę radę.

Gdybyż wiedzieli, jak się to wszystko skończy!

Ja, człowiek, który nie słucha żadnych rad.

Kiedy silnik zacharczał, musieliśmy złapać za uchwyty przy siedzeniach. Autobusem trzęsło, jakby miał się rozpaść na kawałki. Siedzieliśmy w drugim rzędzie za kierowcą, podczas gdy pomocnik zajął pojedyncze miejsce obok niego. Na szczęście po kilku minutach obłąkańczy warkot ucichł do poziomu, jaki dawało się wytrzymać. Podczas gdy kierowca grzał silnik, pomachaliśmy pułkownikowi i jego żonie. Dochodziło wpół do ósmej, w chłodny zimowy rano pułkownik miał na sobie oczywiście garnitur i krawat. Jego broda, ułożona niezwykle starannie, błyszczała. Pani pułkownikowa wyglądała na bardziej rzeczywistą osobę. Miała na sobie kamizelkę w kwiaty i szal. Wycięcia na ramiona w kamizelce były naprawdę duże. Kiedy uniosła

rękę, żeby nam odmachać, widziałem jej pachy pomiędzy fałdami skóry.

Kierowca wrzucił bieg, autobus skoczył do przodu niczym królik. Niewiele brakowało, a porozbijalibyśmy twarze o siedzenia przed nami. Państwo pułkownikostwo także odskoczyli, ale do tyłu. Ruszyliśmy z piekielnym łoskotem, wśród niesamowitych kłębow czarnych spalin z rury wydechowej. Nasi spece od transportu poprawili turbany, które zsunęły się im na oczy.

Podróż nie wytrzymała nas za mocno. Głównie dlatego, że autobus nie przekraczał trzydziestu kilometrów na godzinę. Kierowca zjechał na lewy skraj szosy i utrzymywał stałą prędkość. Wszystko nas wymijało. Ciężarówki, autobusy, samochody, motocykle, skutery. Nawet motorowery i traktory. Jechaliśmy na tyle wolno, że chłopcy na rowerach chwyтали za tylne błotniki i fundowali sobie darmową przejażdżkę. Jechaliśmy na tyle wolno, że nie było potrzeby hamowania przy policyjnych barierkach ustawionych w zygzak. Byliśmy naprawdę warci Grand Trunk Road, największej arterii subkontynentu, po której sunęło pięćset lat historii. Najczęściej na łeb na szyję i przy karkołomnej prędkości.

Naszych dwóch sardarów gawędziło pogodnie, odwracając się co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy wszystko z nami w porządku. Przez pierwszą godzinę zajmowaliśmy miejsca na brzegach siedzeń, zastanawiając się, jak potoczy się ta podróż. Potem, w miarę jak rozwiewała się poranna mgła i posuwaliśmy się stosunkowo prostym odcinkiem drogi, zaczęliśmy się trochę rozluźniać. Ale nasz spokój nie miał trwać długo. Nagle, na gardłowe polecenie kierowcy, pomocnik sięgnął pod siedzenie i wyciągnął brudną czerwoną cegłę. Kierowca wziął ją, pochylił się, wyćwiczonym ruchem zdjął prawą nogę z pedału gazu i w jej miejsce położył cegłę. Autobusem lekko szarpnęło. Kierowca podciągnął nogi i zrobił siad krzyżny. Zaczął prowadzić jedną ręką, podczas gdy drugą masował sobie stopy.

Niemal pomdleliśmy.

Fizz powiedziała: Sardarze sahibie, czy aby na pewno chcesz nas zawieźć do Delhi, a nie do boga?

Kierowca odrzekł: Bibidzi, do boga może iść tylko ten, kto ma zaproszenie. Nikt cię tam nie zabierze.

Fizz nie ustępowała: Wydaje mi się jednak, sardarze sahibie, że bardzo się starasz zdobyć takie zaproszenie, mam rację?

Pomocnik oznajmił: Nie ma zmartwienia, bibidzi. Nic się nie stanie. Singh sahib postarzał się. Ma kłopoty z nogami. Trochę odpocznie i znowu położy nogę na pedale. Poza tym to dobra ce-



gła. Cegły utrzymują masywne budynki. Czym jest przy nich stary autobus?

Na to nic nie potrafiliśmy odpowiedzieć.

Kierowca, masujący palce u nogi lewą ręką, powiedział: Bibidzi, nie martw się. Jeśli coś się stanie, to i tak my pierwsi umrzemy.

Usiedliśmy ponownie i zadumaliśmy się nad tym pocieszeniem.

Fizz powiedziała do mnie: No cóż, przy takiej prędkości chyba trudno o śmiertelny wypadek.

Zgodnie z ich słowami nic się nie stało i po piętnastu minutach stopa spoczęła ponownie na pedale gazu. Jazda okazała się długa. W miarę jak mijał dzień, nabierała walorów wyprawy. Zatrzymywaliśmy się po wodę. Na herbatę. Na jedzenie. Na sikanie. Zatrzymywaliśmy się, żeby ochłodzić silnik. Nalać wody do chłodnicy. Zatrzymywaliśmy się, żeby łątać dziury w oponach: po kilkudziesięciu kilometrach dętka pękała jak balony. Zatrzymywaliśmy się na modlitwę. Przy gurundwarach i przydrożnych świątyniach. W pewnej chwili kierowca powiedział, że musi załatwić grubszą sprawę. Nappełnił puszkę wodą i pobiegł w pole. Niedaleko Panipatu silnik też się zesrał. Obaj wyciągnęli ciężkie klucze i zniknęli pod autobusem. Poszliśmy na spacer po soczyście zielonym polu pszenicy. Kiedy pojawili się ponownie, byli umazani smarem, ale silnik ożył. Poprosili, żebyśmy popilnowali autobusu, sami zaś poszli się umyć przy ręcznej pompie.

Wszystko to było warte Grand Trunk Road.

Pogryzaliśmy biszkopty i rozmyślaliśmy nad naszą przyszłością.

Przez cały czas obaj byli bardzo opanowani, przekomarzali się ze sobą i serwowali nam filozoficzny spokój.

Cegła dociskała pedał gazu i zniknęła z niego. Za każdym razem, kiedy była w użyciu, Fizz zamykała oczy i ścisnęła mi rękę.

Podróż z Ćandigarhu do Delhi, normalnie trwająca około pięciu godzin, nam zajęła ostatecznie prawie dwanaście. Gdy dojeżdżaliśmy do przedmieść Delhi, zaczynał zapadać zmierzch. Na ostatnim odcinku dwupasmówki za Panipatem jechało się wyjątkowo przyjemnie, ale teraz, zbliżając się do stolicy, staliśmy się świadkami dramatycznej, ponurej zmiany, jaka zachodziła w naszych specach od transportu. Kiedy dotelepaliliśmy się do nasypu obwodnicy, która niczym kleszcze otacza Delhi, ich głosy zaczęły przycichać. Ruch się nasilał, przednie światła samochodów świeciły ze wszystkich stron. Ciężarówki i autobusy przepychały się, walcząc o miejsce. Jeden z naszych przewodników zerkał na nas co kilka minut i pytał: Dobrze jedziemy? To dobra droga? Jak daleko jeszcze do waszego domu?

Posuwając się bardzo nerwowo, z ciągłym hamowaniem, jakoś wjechaliśmy na zwęzenie przy skrzyżowaniu i skręciliśmy w lewo na obwodnicę. Kiedy ponownie znaleźliśmy się na trasie jednokierunkowej, poziom ich paniki trochę się obniżył. Znowu przytulili autobus do pobocza i pozwalali, by mknące samochody, autobusy i ciężarówki wymijały nas ze świstem. Podjęli przerwana rozmowę. Ale nie fundowali nam już wylewnych pogadanek filozoficznych. W ich rozmowie słychać było teraz zaniepokojenie. Ton, który zwalcza strach. Głucho brzmiącymi głosami robili docinki na temat ruchu ulicznego. Dłoń na kierownicy wydawała się lekko drżeć. Fizz i ja zsunęliśmy się na krawędzie siedzeń.

Bez poważniejszego kryzysu udało się nam minąć Madźnu ka Tila i zatłoczone okolice międzystanowego dworca autobusowego. Niemniej napięcie w autobusie rosło. Cegła została odłożona na dobre. Kierowca pochylił się w stronę szyby i koncentrował na jeździe. Pomocnik zrobił to samo i wykrzykiwał rady wysokim głosem: Uważaj na tego maruti! Zetnij w prawo! Z lewej zbliża się do ciebie autobus! Och, kurwa, tylko nie zabij motocyklisty, sardardzi!

Kierowca zamilkł zupełnie i złowieszczo.

Bestia się szarpała, a on był tym, który usiłował ją okiełznać.

A potem prześlizgnęliśmy się za średniowiecznym wybrzuszeniem Czerwonego Fortu i zanurzyliśmy w rzece pojazdów, która wzbierała, zasilana wartkami dopływami z Śahdary i Darjagandżu. Biura wypluwały z siebie ludzi, setki autobusów, samochodów, skuterów i ryksz przemykały wokół nas ze zgiełkiem klaksonów, wśród zgrzytań i krzyków. Nasz człowiek, kierowca, stracił ostatecznie panowanie nad sobą. Na czerwonym świetle pomiędzy za- bytkowym fortem Szahdżahana i pogodnym pomnikiem Mahatmy Gandhiego autobus odmówił jazdy.

Nie wiem, co się stało, ale kiedy czerwone światło zmieniło się na zielone, nadal stał w miejscu. Dźwignia biegu w podłodze zacięła się z jakiegoś powodu i kierowca nie mógł jej przesunąć. Kiedy się z nią szarpał, pchając i ciągnąc, wokół rozpętało się piekło. Za nami setki kierowców naciskało klaksony, wywołując ogłuszającą kakofonię. W miarę upływu sekund ludzie zaczęli walić pięściami w boki autobusu i wykrzykiwać przekleństwa. W oknach pokazywały się twarze, warczące coś i wrzeszczące. My także zaklinaliśmy naszych fachowców, żeby jechali, ale kierowca po prostu nie mógł wrzucić biegu. Jego pobladła twarz zdradzała napięcie, w mrugających światłach pobłyskiwała potem.

Chcieliśmy schować się pod siedzeniami.

Uliczny łobuziak, sprzedający kawałki orzechów kokosowych, otworzył okno autobusu, wcisnął przez nie uśmiechniętą buzię i zaśpiewał: Gand phati toh har koi bola! Hadźmola hadźmola!

Ręce zaczęły chwytać za drzwi i szarpać nimi.

Niespodziewanie dwa odmienne dźwięki przebiły się przez kakofonię. Jeden to policyjny gwizdek, świdrujący i czysty, i drugi, syreny policyjnej, rytmiczny i pulsujący. Wyjrzałem i zobaczyłem policjanta przy światłach, biegnącego z przeciwka, gwizdzącego jak oszalały i wymachującego ramionami. Po jego lewej stronie widać było policyjnego jeepa, przedzierającego się z błyskiem czerwonych świateł przez masę pojazdów. Jakiś człowiek wychylał się z niego i gestykulował pięściami.

Pomocnik powiedział: Singhu sahibie, ktoś ci chyba zaraz do-kopie!

Kierowca nie odezwał się słowem. Nie przerywał zmagania z dźwignią biegów. Przechylił się na bok i ciągnął ją obiema rękami. Silnik pracował na luzie.

Światło z powrotem zmieniło się na czerwone.

Wszyscy, którzy próbowali jakoś precyzyjnie się obok naszego autobusu, zaczęli jeszcze mocniej walić w boki karoserii.

Autobus łagodnie się kołysał.

Policjant z rozmachem otworzył drzwi po stronie kierowcy i wrzasnął: Maderód! Kto ci pozwolił wjeżdżać tym szmelcem do miasta? Dlaczego nie jedziesz?

W drzwiach widać było tylko jego głowę, ale za nią ujrzeliśmy całą chmurę złych, mamroczących pysków, kilka w lśniących kaskach z podniesionymi osłonami. Silnik pracował na luzie, więc nie mogli zrozumieć, dlaczego nie jedziemy.

Kolejny urwis, sprzedający chusteczki higieniczne, wsunął głowę w nasze okno i zawołał: Ćinćpokli! Ćinćpokli! Cześć, panie Ćinć-pokli!

Dostrzegłem tuż za nim szeroko uśmiechniętego chłopaka z orzechami kokosowymi.

Kierowca nie miał nawet odwagi się odwrócić. Spojrzenie miał chmurne i ciągnął dźwignię ze wszystkich sił.

Fizz powiedziała: Zrób coś, panie Ćinćpokli. On zaraz umrze.

Spojrzałem na nią. Uliczny łobuziak mnie dobił. Ćinćpokli: wymyślone przedmieście. Stamtąd domagano się piosenek filmowych, blokujących fale radiowe. Bałem się, że przez resztę moich dni będzie się znęcała nade mną tym epitetem.

Podniosłem się i powiedziałem: Are, sahibie, dźwignia biegów się zaklinowała.

Policjant obrócił się do mnie: Maderód! Ty pewnie jesteś właścicielem tego pierdolonego szmelcu!

Gliniarz z jeepa pojawił się za nim i wrzasnął: Zamknij wszystkie te łajzy! A tą pierdoloną puszkę na biszkopty odholować na parking policyjny!

Pierwszy policjant krzyknął: Zepchnijcie na pobocze tą puszkę na biszkopty, wyłaźcie, głupie kutasy!

W tej samej chwili światło zmieniło się na zielone, ponownie wybuchł chaos klaksonów. Lawina rąk waliła w karoserię. Przekleństwa wypełniły powietrze.

Niespodziewanie pomocnik, w nagłym przypiływie obłędnej desperacji, skoczył na równe nogi i wydarł się: Cofnij się, sardardzi! Ja to zrobię!

Odepchnął kierowcę i obiema rękami chwycił drążek przekładni biegów. Odrzucił głowę do tyłu niczym Tarzan i ryknął: Bóg jest wielki!

I jednym przepotężnym szarpnięciem wyrwał gładko dźwignię z podłogi.

Fizz powiedziała: Wielkie nieba, wielkie, kurwa, nieba!

Dokładnie między ostentacyjną siedzibą władzy Szahdżahana i ascetycznym miejscem kremacji Mahatmy Gandhiego, w sercu Delhi, osaczony ze wszystkich stron przez pojazdy, pomocnik stał, kołysząc się na nogach. Stalową dźwignię biegów trzymał w ręku niczym miecz, autobus zdechł mu u stóp jak gepard.

Średniowieczny wojownik w nowoczesnych czasach, który właśnie zabił zwierzę, chcąc je uratować.

Zdezorientowanie malowało mu się na twarzy. Powiedział: Co to jest?

Drążek miał na jednym końcu gładką drewnianą gałkę, z drugiego końca skapywał smar.

Kierowca powiedział: Jedyny prawdziwy bożem i u siebie nad nami! Zmiłuj się!

I zamknął oczy.

Tam, gdzie kiedyś sterczał drążek, obok siedzenia kierowcy, widać było teraz ciemną, oleistą dziurę.

Silnik na luzie pracował miarowo.

Fizz zapytała: Może jechać bez biegów?

Pomocnik spojrzał, jakby sięgnął po trzcinę cukrową, lecz zamiast niej trzymał w ręku węża.

Gliniarz, który wspiał się do środka, powiedział: Jechać tą blaszaną puszką! Jechać tą blaszaną puszką! Jak ją uruchomić? Gdzie jest, do cholery, drążek biegów?

Bez słowa, z pełnym szacunku ukłonem, pomocnik podał mu ociekający smarem drażek.

Gliniarz wrzasnął: Co to za maderćód? Jechać tą blaszanką! Gdzie jest pierdolony drażek biegów?

Kierowca powtarzał jak mantrę: Jedyny prawdziwy bożem i ułuj się nad nami! Zmiłuj się!

Zamknij się, ciulu!, zakomenderował policjant.

Potem rozejrzał się. Nie dostrzegł niczego przypominającego dźwignię biegów. I wpadł we wściekłość.

Łajzy!, darł się. Przyjeżdżacie do Delhi autobusem bez biegów! Autobus bez biegów! Maderćód! Ćutija! Przyjeżdżacie do Delhi autobusem bez biegów! Autobus bez biegów! Co macie — gęby bez dupy? Jaja bez fiuta? Z jakiego ścieku w Pendżabie wyleźliście wszyscy?

Fizz powiedziała: Drażek biegów, konstablu sahibie, trzymasz w ręku.

To!, ryknął. To jest pierdolony drażek! To co w takim razie robi w moim ręku?

Wyglądał, jakby to on tym razem trzymał węża. Odrzucił go pomocnikowi.

Glina stojący na ulicy powiedział: Zamknij tych wszystkich pierdzielonych alfonsów! I odholuj tą gównianą puszkę na biszkopty!

W tym momencie pomocnik dał się ponieść kolejnemu atakowi obłądu.

Wrzasnął: Jebać twoją matkę! I trzymając drażek biegów w obu rękach niczym oszczep, wbił go w dziurę w podłodze. Nie załapało. Wyciągnął i dźgnął ponownie. A potem, jak zabójca z toporem w niskobudżetowym filmie, wpadł w furję i walił drażkiem w zapamiętaniu, przywołując za każdym razem pizdę którejs z naszych matek.

Wbijam to w pizdę twojej matki! A to w pizdę twojej matki! A to w pizdę matki twojej matki!

Gliniarz odskoczył przestraszony, nawet kierowca wytrzeszczył oczy i odsunął się.

Fizz powiedziała: Panie Ćinćpokli, nasze matki są w niebezpieczeństwie.

Pomocnik dalej walił drażkiem: I w pizdę twojej matki! I w pizdę twojej matki! I w pizdę twojej matki!

Policjant z ulicy powiedział: Ha! Ten pierdzielony sardar oszalał! Zabierzcie go stamtąd!

Policjant w autobusie przyjął godniejszą pozę i krzyknął: Sar-darze! Weź się w garść!

Pomocnik zatrzymał się w połowie ruchu i popatrzył na przedstawiciela władzy oczami pełnymi szaleństwa.

Ostrożnie, odchylając się do tyłu, policjant powiedział: Spokojnie, sardarze. Wszystko w porządku.

Kierowca mamrotał: Jedynyprawdziwybożezmiłujsięnadnami! Zmiłuj się!

Pomocnik uniósł wysoko oszczep — policjant skulił się — i uderzył z całą siłą, wyjąc jak potępieniec: Ty pierdolona czarownico, wetknę ci ten drażek w brudną cipę, aż będziesz piszczała jak dziewczyna!

Twarz szpecił mu grymas, turban mu się przekrzywił i zaczął rozwijać.

Fizz zapytała: Czy on gwałci autobus?

Kiedy jednak tym razem spróbował wyciągnąć drażek, nie mógł tego zrobić. Drażek zaskoczył.

Obląkańczy uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Załapało, powiedział. Załapało! Pieprzyć cały ten zasrany świat, załapało! Chwała niech będzie piździe twojej matki, załapało!

Kierowca złączył dłonie, zamknął oczy, uniósł twarz w modlitwie i przesunął dźwignię biegów. Zadziałała. Autobus skoczył do przodu niczym królik. Wszyscy zatoczyli się gwałtownie.

Fizz powiedziała: Cyrk Gemini wyrusza w trasę.

Wszyscy wokół autobusu rozproszyli się. Światło było czerwone, ale gliniarz na drodze dmuchał w gwizdek: Przepuście ich! Przepuście ich! Niech te barany jadą i gdzie indziej psują ludziom krew!

Gliniarz w autobusie krzyczał: O sardarze, wypuście mnie! Wystarczy, że was poznałem, nie chcę się zaprzyjaźniać! Daję słowo, że was dwóch nie zapomnę do emerytury!

Kierowca powiedział: Jedynyprawdziwybożezmiłujsięnadnami! Zmiłuj się!

Kierowca i pomocnik nie odezwali się słowem, aż dotarliśmy do naszego barsati. Po rozładunku zabrałem ich na górę, posadziłem na tarasie. Dałem im ćwiartkę whisky i pobiegłem na targ po coś do jedzenia. Nadal się trzęśli i byli bardzo cisi. Kiedy zjedli, a whisky rozgrzała im krew, przyznali mi się, że nigdy wcześniej nie byli w Delhi. Dokładnie biorąc, nigdy też nie byli na pół-

noc od Chandigarhu, nigdy nie wyjechali autobusem poza własne miasteczko.

Kiedy poproszono ich o ten kurs, pomyśleli, że będzie to doskonała okazja poszerzenia horyzontów, zobaczenia świata. Obejrzenia Czerwonego Fortu, Kutub Minar, Chandni Chauk.

Przyznałem: Tak, powinniście zobaczyć je jutro.

Pomocnik powiedział: Widzieliśmy już dość, starczy nam do końca życia. Teraz chcemy jednego, wypiąć się na Delhi i zniknąć stąd.

Kierowca się odezwał: Mogliśmy się spodziewać, że Delhi jest takie duże? Myśleliśmy, że jest niewiele większe od Chandigarhu.

Pomocnik dodał: A okazało się wielkie jak pizda słonicy!

Wracała im odwaga. Wyszli przespać się w autobusie. Około drugiej nad ranem mnie i Fizz obudziło historyczne dzwonienie do drzwi frontowych bloku. Kiedy spojrziałem w dół z tarasu, obaj stali przy bramie i patrzyli do góry, opatuleni szarymi kocami, poprawiali sobie turbany.

Okazało się, że nie mogą spać. Chcieli wyjeżdżać natychmiast. Kiedy Delhi jest wymarłe. Jego mieszkańcy są martwi, policjanci martwi, pojazdy martwe, światła uliczne martwe. Chcieli, żebym wskazał im prostą drogę, która zawiodłaby ich bez problemu poza granice miasta. Opisałem im skrupulatnie wyjazd z osiedla, trasę do Ogólnindyjskiego Instytutu Nauk Medycznych, prowadzący stamtąd skręt w prawo, a potem długie kluczenie wokół Delhi, aż znajdą się u zwężenia, gdzie mieli skręcić na obwodnicę. Na wielkiej kartce papieru narysowałem im plan. Serdecznie uścisnęli mi rękę, biorąc ją w obie dłonie, i powiedzieli: Przepraszamy za wszystkie błędy i wpadki.

Odparłem: Obaj byliście wspaniali. Dziękuję za wszystko.

I naprawdę tak uważałem.

Unisono powiedzieli: Przekaż nasze uszanowanie bibidzi. Powiedz jej, że będzie matką stu synów.

Silnik autobusu zaryczał, zakrztusił się i uspokoił. Wylot rury wydechowej wyglądał, jakby godził w zimne nocne powietrze. Kierowca pomodlił się do zdjęcia guru Nanaka wiszącego nad przednią szybą i wrzucił bieg. Autobus skoczył jak królik. Pomachali mi. Twarze nadal mieli blade i wymizerowane. Średnia wieku ich trójki, kierowcy, pomocnika i autobusu, była wyższa od wieku współczesnych Indii. Jechali z powrotem, mając co opowiadać do końca życia. W kilka sekund już ich nie było. W tamtych dniach nie istniały jeszcze stalowe bramy, odgradzające delhijskie osiedla.

\*

Po kilku minutach zamarł także odgłos silnika. Na naszej wąskiej ulicy panowały chłód i cisza, a ponieważ latarnie znajdowały się dziesięć przecznicy dalej, było także ciemno. Księżyc już dawno zaszedł. Gwiazdy ledwie przeświecały przez ścieśnione rzędy domów i rozłożyste gałęzie drzew. Od czasu do czasu rozlegało się pohukiwanie sowy z pobliskiego Deer Parku. Bardzo długo stałem na środku ulicy — pośród ciszy, chłodu i ciemności. Było mi smutno. Nie umiałbym jednak nazwać tego smutku. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz zdarzyło mi się płakać. Nie przychodziło mi to łatwo. Teraz jednak chciałem usiąść na ulicy i zapłakać.

Musiało to mieć coś wspólnego z ich dwójką, telepiącą się po nocy z powrotem do domu, przemykającą samotnie. Z doskonałością ich ducha i podłością świata. Wiedziałem, jak ogromne mają serca i jak łatwo je zranić. Przypominała się historia wieśniaków i plemion, wszędzie taka sama. Opowieść o wszystkich-których-tak-łatwo-wywłaszczyć. Stawali wobec nowego świata zbrojni w wielkoduszność — jaką można zyskać, jedynie uprawiając ziemię. Ale współczesny świat nie cenił tej wartości. Zostali wyrzuceni na pobocza skrzyżowań historii, szybko rozjechani gwałtownym ruchem rozwoju i wzrostu, zatrzymani na czerwonym świetle nowo powstałych praw i teorii ekonomicznych, zamknięci w zagrodach przez żandarmów korporacyjnych władców.

Ci, którzy usiłowali chwytać sytuację za kark, przekonywali się, że ktoś dokonał już tego wcześniej. Zostawali z drażkiem zmiany biegów ich życia w rękach, z silnikiem znajdującym się gdzieś indziej, nie mieli ani jak, ani dokąd iść.

Zostawieni sami sobie, muszą grać w grę, której nie wybierali. O zasadach, których nie znają.

Świat jest w stanie przetrwać dzięki wielkoduszności.

Ale należy do tych, którzy jej nie mają.

Kiedy wracałem po schodach na górę, w głowie zaczynał mi kiełkować pewien pomysł.

Fizz spała głęboko, zwinięta w kłębek po swojej stronie łóżka. Wślizgnąłem się pod kołdrę i przytuliłem do niej, jak tylko mogłem. Podkoszulek otulał jej biodra. Skórę miała ciepłą i gładką, a kiedy doszło się do miejsca, gdzie się zbiegała i otwierała — gorącą i wilgotną. Byłem nieszczęśliwy. Potrzebowałem pocieszenia rozpalonych chwil, po których następowała zupełna utrata świadomości. Fizz mnie tym obdarowała, ostatecznym paradoksem:



była dla mnie źródłem totalnej namiętności i totalnego uspokojenia. Sięgałem ku jej ciału po obie te rzeczy i zawsze znajdowałem to, czego szukałem. To samo ciało, które doprowadzało mnie do szaleństwa, mogło, samym dotykiem, uspokoić mnie jak widok łabędzia na gładkiej tafli jeziora. Kładłem się, otaczałem ramieniem jej talię, z twarzą tuż pod jej krągłymi piersiami, i pozbywałem się niepokoju, opróżniałem ze wszystkiego poza trwałym spokojem.

Dawało mi to definicję mojej miłości.

Namiętność i spokój w jednej osobie.

Teraz, kiedy trącałem ją z tyłu — w wilgotny brzeg jej lokum — obróciła się i wtoczyła na mnie, a ja uniosłem się na łokciach. Polizałem dwa palce i przygotowałem się. Najłagodniejszy nacisk, cudownie doskonały, gorący opór. Ponieważ chodziło tylko o mnie, skoncentrowałem się na wszystkich moich doznaniach. Poruszając biodrami, wysunąłem się, zatrzymywany jedynie delikatnym nabrzmieniem, a potem powoli zagłębiłem się znowu na całą głębokość, pozwalając, by rozkosz mną zawładnęła.

Wszystko odpłynęło.

Myśli, idee, smutek. Ego, ambicja, sztuka.

Moja twarz znajdowała się pod jej lewym uchem, oddychałem w nie. Zamknąłem oczy i myślałem o rzeczach, które z nią robiłem. A potem poruszałem się bez poruszania. Powolna przyjemność zdawała się nie do zniesienia, wnikała we mnie jak silny narkotyk. Namiętność to gra dwuosobowa, ale mnie się to podobało. Sam regulowałem własną rozkosz, z własną szybkością. Despotyczna wspaniałość masturbacji ciałem prawdziwej kobiety. Wkrótce podskórny spazm wstrząsnął moim ciałem, prężąc je i prężąc do miłej ocieężałości, która nie ma sobie równych. Fizz w ogóle się nie ruszała. A ja właściwie też prawie w ogóle.

Czasami szelest liścia jest głośniejszy od dudnienia bębna.

Poprzez topiące mnie fale przyływu snu byłem świadomy narastającego uczucia ulgi. Szary smutek związany z dwoma autobusiarzami dal mi do myślenia. Może właśnie znalazłem to, czego szukałem.

Mylilem się, rzecz jasna, jak i w wielu innych sprawach.

## KLUCZ FRANCUSKI

Czytałem kiedyś w szkole, że poeci pozwalają, by wiersze dojrzewały im w głowach przez długi czas. W przeciwieństwie do powszechnego mniemania, wiersze nie powstają od razu w chwili natchnienia. Dobrzy poeci, kiedy uderzy piorun, przyczajają się i czekają. Poszczególne składniki dochodzą na wolnym ogniu, są przyprawiane, aż osiągną właściwy smak, gęstość i miękkość, zanim zostaną zdjęte z grzejnej płyty ich wyobraźni i zaserwowane na papierze.

Nawet po zdjęciu z ognia danie wymaga uwagi. Staranne garniowanie, dekorowanie, poprawianie. Kiedy jesz przy stole mistrza, kiedy czytasz tekst mistrza, nie spożywasz czegoś niespodziewanego i zrobionego na szybko. Długie godziny i delikatne przyprawy — niuansowanie przez całą wieczność — stoją za tym. Nie ma czegoś takiego jak arcydzieło w jedną chwilę.

Przypomniałem sobie tę radę i wziąłem ją do serca.

Coś przyszło mi do głowy.

Pomiędzy banałem a wulgarnością. Moment był doskonały, by rzucić się na ten materiał.

Postanowiłem zaczekać na niego cierpliwie.

Mój codzienny mozół w redaktorskich okopach nabrał teraz nowego znaczenia. Mogłem się na nim skupić, uspokojony wiedzą, że prawdziwa praca fermentuje we mnie miarowo. Pochwały od Śulteriego zaczynały sprawiać mi przyjemność. Przekonałem się, że sam wprowadzam pompatyczne słowa i frazy, wyglądam skomplikowane przeróbki, nie bałem się kalamburów ani aliteracji. Posunąłem się nawet do wykazywania aktywności i odważałem się wyjść z utartych szlaków, żeby przedyskutować niektóre sprawy z Śulterim — nagłówki, uatrakcyjnienia, naciąganie tekstów. Zacząłem też

zaprzyjaźniać się z kolegami z okopów. Nie minęło wiele czasu i rozmawiałem z nimi o coraz intensywniejszej przepychance pomiędzy Śulterim i Hajle Syllasjem. To było niebezpieczne.

Zmierzałem coraz szybciej w kierunku nasmarowanego słupa.

Myślę, że tak naprawdę raz lub dwa spojrzenie Króla Czaszy przesunęło się nade mną. Poczulem niespodziewany dreszcz, a ciarki przeszły całą redakcję.

Łatwo było dać się wciągnąć w rytmy biura. Spece od wiadomości są zapracowani. Ludzie, sprawy, wydarzenia, skandale eksplodowały w krajobrazie Indii jak niemający końca sznur petard. W sercu tego tkwiły dziwne i wzniosłe, długie i skomplikowane dzieje Rajiva Gandhiego w hinduskiej polityce. On i jego potworny mandat — zyskany po trupach odważnego przywódcy i sprzeciwiających się sikhów — zaczynały obracać się w popiół. Fizjonomia Pana Altruisty ulegała metamorfozie. Włosy mu rzedły, łagodny uśmiech twardniał, wesołe oczy mrużyły się.

Niewinność to dar, gdy ma się czternaście lat. Katastrofa u czterdziestolatka.

W życiu publicznym w Indiach — z jego obłąkańczym mieszaniem się kast i klas, religii i regionów, z rozdźwiękami między powiedzianym a zamyślanym, z grą między litością a niemoralnością, z niedozwolonymi związkami symboli z rzeczywistością, ze średniowieczem i współczesnością — to niebezpieczeństwo zawarte w niewinności jest podwójne. Młody Rajiv nie nauczył się niczego od matki ani od dziadka. Nie mógł nagiąć Indii do swych szlachetnych wizji i swej woli, jak Jawaharlal, i sam nie mógł się nagiąć do hinduskiej feudalnej mentalności i cynicznego rządzenia, jak potrafiła Indira.

Można go było cenić za wiele przymiotów: uczciwy człowiek, pozbawiony zarówno paraliżujących obciążeń, jak i wybujałych wizji. Z królewskim rodowodem, szanowanym przez Hindusów, i stale kierujący się zdrowym rozsądkiem, z którym Indie znakomicie by sobie radziły.

Ale nie zdołał wyczuć, kim być powinien. Był rozdarty pomiędzy stolkami. Zwolennicy domagają się jasności od przywódcy, nawet jeśli miałyby ich przez to wprowadzać w błąd. Muszą być pewni — pośród własnych obaw i niepewności — że ktoś tam wyżej wie lepiej. Zdesperowani, z głupoty kreują półmózgich, niebezpiecznych przywódców. Hindusecy zwolennicy zaczęli regularnie tworzyć takich właśnie liderów w latach siedemdziesiątych, a przyspieszyli jeszcze ten proces w osiemdziesiątych. Optymalna

produkcja, oczywiście, nadal była kwestią przyszłości. W ostatecznym rozrachunku każdy Hindus, który nie potrafił niczego innego, mógł przynajmniej utrzymywać, że jest godnym szacunku pracownikiem krajowej gałęzi przemysłu — Manufaktury-Przywódcy-Idioty.

Podobnie jak jest z gatunkami jednosłodowej whisky, produkcja w MPI wykorzystywała wodę z różnych źródeł, nasycala ją wyselekcjonowanymi smakami i kierowała do różnego rodzaju podniebień. Przywódcy idioci mogli być wytwarzani na wyżynach i na nizinach, nad morzem albo w wąskich górskich dolinach. Powstawali z rozmaitych rodzajów gleby — dynastycznej, kastowej albo religijnej. Można było przysięgać na laphroaig albo glenlivet, przydymienie albo łagodność, kastę albo społeczność. Ale, jak w przypadku wszystkich niewylewających za kołnierz, pije się to, co można dostać, nieważne, co się lubi najbardziej.

Wyprodukowaliśmy różnych przywódców idiotów i wysączyliśmy ich wszystkich.

MPI była kwitnącym interesem.

Zatrudniała miliony. Z łatwością została największym pracodawcą Indii.

Młody Gandhi pochodził z wyżyn dynastycznych, ale stawał się coraz bardziej niepewny własnego smaku. Za bardzo starał się o domieszkę. A zmuszony zmierzyć się z ograniczaniem indywidualnego sumienia w życiu publicznym Indii, poniósł porażkę. Była to oporna i niewybaczająca domena. Polegli na niej ludzie lepsi od niego i wielu jeszcze polegnie w przyszłości. Z każdym mijającym miesiącem tracił klarowność i choć ja nie mogłem jeszcze być świadkiem tych wydarzeń, uruchomił proces, który sprowadził wspaniałą Partię Kongresową do roli popychadła, nadającego się wyłącznie do drapania świerzbiących miejsc, podczas gdy Hindusi zaczęli szukać solidnego noża, by przyciąć ostro zarysowane indywidualności.

Niebezpieczni ludzie dostarczą im solidnych noży.

Indywidualności zostaną udoskonalone śmiertcionośnymi kosami.

Zanim milenium dobiegnie końca, skończy się moje dziennikarstwo i miłość, i życie, ostre jak brzytwa indywidualności będą otwarcie chlastać się nawzajem.

Będzie zbyt wiele ciał, by je liczyć. Zbyt wiele serc będzie bolało, by je pocieszać.

Ale wtedy, w 1988 roku, cały ten chaos był dla nas dobrą nowiną. Dostarczał więcej surowca do naszej fabryki. Każda nowa ka-

tastrofa wywoływała dreszcz podniecenia w redakcji: telefony dzwoniły, odbywano spotkania, ludzie krzżeli się w pośpiechu, Król Czaszy promieniał i jaśniał, Hajle Syllasje uwijał się jak w ukropie, Śulteri uśmiechał się leniwie, a słowa wpływały w nas i wypływały.

Egocentryzm i aktywność na śliskim słupie były tak ogromne, że pomyślałem: oni wszyscy uważają, że tworzą wiadomości, a nie tylko je relacjonują. Testosteron buchał w korytarzach oświetlonych jarzeniówkami. Przerzedzał włosy, wzmagął intrygi. Wystarczyło zamknąć oczy, żeby zobaczyć szamoczących się nagich mężczyzn z pulsującą erekcją. Światło odbijało się od połyskujących żołądzi. W sękatych żyłach przetaczały się mroczne zamiary. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego.

Bractwo Lśniących Żołądzludzi.

Rycerski ideał z kodeksem wielosylabowych słów.

Ludzie w okopie kulili się na odgłos ich kroków. Kobiety mizdrzyły się z daleka, chowały po kątach albo wybiegały przez drzwi.

Zauważyłem kolejną dziwną rzecz. Nawet ci, którzy nie mieli jeszcze sterczącej erekcji, nabierali wygórowanego mniemania o sobie. Dziennikarz dołączał do reszty, był na samym dole nasmarowanego pala — but-na-twarzy, początek rozpychania się i ślizgania — ale zyskiwał aurę mędrca. Klasyczna ułuda w samoocenie. Każdy uważał, że jego wartość jest wprost proporcjonalna do liczby ludzi, którzy go czytają. Lecz miała niewiele wspólnego z tym, co się wiedziało albo w jakim stopniu naprawdę było się dobrym.

Trochę jak rząd. Pozycje, tytuły, służalczość — rzeczy spoza człowieka determinowały jego poczucie własnego ja.

Uniwersalne prawo człowieka. Nie jesteś tym, którego odbicie widzisz w lustrze. Jesteś tym, którego widzisz jaśniejącego w oczach innych ludzi.

Niech żyje Syllasje!

Nie żyje Erekcja!

Niech żyje Bractwo Lśniących Żołądzludzi!

W tym całym zamieszaniu straciłem poczucie czasu. Wiele miesięcy przetoczyło się obok. Pewnego dnia opuściłem jasno oświetlony pokój na tyłach redakcji i ciasnym korytarzem poszedłem do wyjścia. Przeżyłem szok, widząc, że wszystkie sklepy są zamknięte i nawet parking opustoszał. Mój motocykl, który wcisnąłem po-

między maruti i ambassadora w południe, pośród rzeki napływających pojazdów, stał teraz samotnie. Na wiele metrów wokół nie było niczego. Nawet kaleka pilnujący parkingu — zawracający samochody jedną ręką — zwinął się już i zostawił jedynie chłopaczka, Pakorę, który mu pomagał. Chłopak siedział w brudnych szortach na krawężniku, obierał orzechy arachidowe i wrzucał je sobie w usta. Uniósł rękę w geście pozdrowienia, kiedy brałem motor, a ja rzuciłem mu jednorupiową monetę. Dzienni maruderzy już zniknęli, a stworzenia nocy — alfonsi, prostytutki, dilerzy narkotykowi i catamite — rozłazili się po alejkach i pod kolumnadami.

Spytałem Pakorę o godzinę. Była dwudziesta trzecia.

Ogarnął mnie nienazwany strach.

Ulice były puste. Kiedy przejechałem z warkotem obok Ogrodów Lodich, uświadomiłem sobie, że zima już się skończyła. Na tym odcinku drogi zawsze drzałem z chłodu i kulilem się. Teraz wiatr wydawał się balsamiczny. Podniosłem osłonę kasku i pozwoliłem, by mnie owiewał. Noc była pogodna. Gdy minąłem wiadukt Safdardżang, zobaczyłem pełną długość pierwotnego lotniska w Delhi, gdzie dzisiaj lądowali jedynie tchórzliwi lotniarze. Na skrzyżowaniu przy Ogólnoindyjskim Instytucie Nauk Medycznych miałem czerwone światło, ale przy kompletnym braku ruchu przezeğlowałem przez nie bez zmiany biegów.

Fizz siedziała na tarasie. Wcześniej czytała, ale teraz światło było zgaszone. Książka leżała na kamiennej ławce obok misy z chipsami bananowymi. Kupowała je regularnie w Madras Café na targu przy Green Parku. Nie znosiłem ich. Smak szorstkiej kredy. Przyniosłem rum Old Monk i przyciągnąłem drugie trzcinowe krzesło. Kupiliśmy dwa, razem z niewielkim stołem o szklanym blacie, na Panchkuin Road. Okragła szyba leżała nierówno na trzcinie i była brudna, niezależnie od tego, jak mocno się ją czyściło. Nalałem na dwa palce, dodałem trochę wody i usiadłem, kładąc nogi na ławce. Na osiedlu panował spokój. Od czasu do czasu liście płomienia Afryki szeleściły słodko. Fizz miała cienki szal narzucony na ramiona. Szklanekę odstawiła na betonową posadzkę. Palce trzymała skrzyżowane na podołku. Bez słowa wiedzieliśmy oboje, że przechodzimy kryzys.

Powiedziałem: Przepraszam.

Praca podoba ci się coraz bardziej, prawda?

To zespół idiotów. Ale kiedy się przejrzy na oczy i zobaczy, że tak wielu z nich to kretyni, człowiek czuje się zobowiązany do prostowania spraw.

Podoba im się to, co robisz?

Odparłem: Na ich kretyński sposób. Ale to nic nie znaczy. Posłuchaj, dla nich jestem po prostu kluczem francuskim. Może lepszym od innych. Ale tylko kluczem francuskim. Gdybym jutro padł trupem, zepchnęliby mnie z krzesła i posadzili na nim kogoś innego. Mówiąc szczerze, niezależnie od tego, za kogo się uważają, myślę, że wszyscy w redakcji są jedynie kluczami francuskimi, i jeśli którykolwiek z nich padnie trupem, zepchną go z krzesła i w sekundę posadzą tam kogoś innego. To dobra, wydajna fabryka. Dokręcam w niej śruby. Wszyscy w niej dokręcamy śruby. Ale tak, jasne, chyba podoba im się sposób, w jaki je dokręcam.

Jesteś bardzo dobrym kluczem francuskim. Najlepszym.

Mówiła powoli, głosem bez wyrazu. Patrzyła prosto na mnie. Wcześniej musiała coś przemyśleć. Zawsze była impulsywna, ale miała też wrodzoną zdolność do trafiania w sedno spraw.

Powiedziałem: Jestem w porządku. Jestem dobry. Ale jestem tylko kluczem francuskim.

Sowa nie pohukiwała już w parku. Nazwaliśmy ją Mistrzem Ullukapillu. Każdej nocy jej nasłuchiwałem. Wymyśliłem grę polegającą na interpretowaniu tego, co powiedziała. Pohukiwanie Mistrza Ullukapillu mogło dla nas znaczyć, co zechcieliśmy. Od prośby o przyniesienie szklanki wody, przez prośbę o wyłączenie światła, po interpretację świętych ksiąg.

Powtórzyła: Jesteś bardzo dobrym kluczem francuskim. Najlepszym.

Zapytałem: Co się stało? Co cię martwi? Przeprosiłem za to, że przyszedłem późno.

Powiedziała: Jesteś tak dobrym kluczem francuskim, że mógłbyś prawdopodobnie robić to przez sen.

Nic nie odrzekłem, nie wiedząc, dokąd zmierza ta rozmowa. W końcu dobiegło nas pohukiwanie. Ostre i wyraźne. Mimo to, jeśli się nie nasłuchiwało, można było go nie rozpoznać i wziąć za jeden z nieokreślonych odgłosów nocy.

Zrobiła ręką gest: Mistrz Ukp się zgadza. Jesteś najlepszym kluczem francuskim.

Powiedziałem: Mistrz Ukp mówi, rzuć to. Wie, że klucze francuskie są po parę rupii za tuzin.

Odparła: Nie te dobre. Nie te najlepsze.

Czułem, że zaczynam się irytować. Miałem ochotę coś odwarknąć. Ale wiedziałem, że nie była zła. Była spokojna. Chciała mi coś powiedzieć.

Zgodziłem się: Okay, jestem najlepszy. Jestem najlepszym kluczem francuskim na świecie. Co w takim razie mam zrobić?

Powiedziała: Właśnie to mnie niepokoi, panie Cincpokli. I byłoby lepiej, gdybyś ty też zaczął się tym przejmować.

Podniosła i osuszyła szklanę, wstała, podeszła do końca tarasu i chwyciwszy gałązkę płomienia Afryki, zaczęła uderzać się po dłoni pierzastymi liśćmi.

Powiedziała: Pamiętasz, co mówiłeś mi o pandicie?

Przypomnij mi.

Drobny sukces to katastrofa.

Pandit Har Dajal. Rozkładający się na dnie jeziora Sukhna. Razem z synem i wnukiem. Mimo że jego aforyzmy kwitły.

Powtórzyła powoli: Drobny sukces to katastrofa.

Wzięła szklanę, książkę i paczkę z chipsami bananowymi, po czym weszła do środka.

Siedziałem sam bardzo długo i sączyłem rum.

Mistrz Ullukapillu zaczął pohukiwać, raz, drugi. Był teraz bliżej, prawdopodobnie na drucie biegnącym wzdłuż ulicy. Usiłowałem zrozumieć, co mówił.

Myślę, że powiedział: Najlepszy klucz francuski na świecie.

Następnego dnia zadzwoniłem i powiedziałem, że nie przyjdę. Śulteri był trochę podejrzliwy. Źle się czujesz? Nie dasz rady przyjść na parę godzin? Od jakiegoś czasu coraz bardziej na mnie polegał. We wspinaczce po śliskim słupie potrzebne mu były mocne ramiona, na których mógłby stanąć. A jeszcze lepiej, gdyby należały do kogoś, kto niemal na pewno sam nie zacznie piąć się do góry. Nie byłem w nastroju do wyjaśnień albo wymyślenia jakiegoś kłamstwa. Odłożyłem słuchawkę. Oddzwonił do mnie trochę później, ale ja zamknąłem za sobą drzwi mieszkania i zszedłem na dół schodami, tak by Fizz mogła mu powiedzieć, że nie ma mnie w domu.

Poszedłem do Deer Parku i klucząc, mijałem posepne, otoczone drutem zagrody zwierząt o martwych oczach. Powlokłem się przez most do District Parku. Tam było przyjemniej. Łatwiejszy dostęp do słońca. Wszędzie zielona trawa. Czajki o żółtych podgardlach przeszukiwały popękane dno suchego stawu pod ruinami Hauz Khas. Żadnych klatek z zastygłą w bezruchu zwierzyną i apatycznymi królikami. Pod indyjskim wiązem nagle trzepotanie błyszczącej brązowej kukułki. Dudek dziurawił ziemię długim, igłowym dziobem. Dziwogony w połyskliwych czarnych smo-



kingach skakały wokół w poszukiwaniu południowego posiłku. Cherlawi ogrodnicy zręcznymi dłońmi powoli mieszały ziemię z nawozem na grządkach róż. Tu i ówdzie grupki nianiek z wózkami. Obierały orzechy arachidowe z łupin i paplały. Dziecko na porannym spacerze, podczas gdy para o podwójnym dochodzie przesiaduje w biurze.

Fizz zawsze mówiła: Kiedy będziemy mieli dzieci, oboje przestaniemy pracować.

Para bez dochodów. Dwoje dzieci.

Po błotnistych ścieżkach mknęły młode matki ciągnięte przez wózki. Z nieobecny wyrazem twarzy negocjowały warunki w wąskich korytarzach życia, w jakich się znalazły. Jeden mąż, jeden dochód, jedno dziecko. Jedna dusza.

Usiadłem na zielonym zboczu wzniesienia naprzeciw stawu, ale od razu wstałem. Spacer był lepszy. Łudziłem sam siebie, że osiągnąłem spokój. Udając, że pracuję — warzę i fermentuję — zataczałem coraz ciaśniejsze koła wokół natłuszczonego słupa. Teraz to Fizz przerwała tamę spokoju. Znowu znalazłem się na rzece, zniecierpliwiony. Parłem przed siebie i musiałem wziąć się do ostrego wiosłowania.

Drobny sukces to katastrofa.

Najlepszy klucz francuski świata.

Kiedy wróciliśmy po obiedzie — a zjedliśmy uttapamy w Madras Cafe — i położyliśmy się do łóżka, Mistrz Ullukapillu zaczął pohukiwać: pierwsze, jeszcze niepewne próby tej nocy.

Fizz powiedziała: Mistrz Ukp mówi, że w poważnych poszukiwaniach dróg życiowych mądrzy mężczyźni potrzebują żon.

Czekałem w ciemności, trzymając ją za rękę. Rozległo się kolejne pohukiwanie.

Powiedziałem: Mówi, że nie można zbudować domu bez planu.

Kiedy usłyszeliśmy następne, dodała: Mówi, że dobrzy architekci przelewają swoje plany na papier, nie trzymają ich w głowach.

Minęło trochę czasu, zanim Mistrz Ukp wykoncypował, co jeszcze obwieścić. Leżeliśmy w milczeniu. Jedyne dźwiękami były tykanie zegara i od czasu do czasu łomot niezaspokojonej lodówki. W rozproszonym nocnym świetle widziałem na przeciwległej ścianie oprawiony portret Ezry Pounda. Podobały mi się jego broda i ostro zarysowany nos. Wyglądał jak obłąkany rosyjski książę, który zajeżdżał konie na śmierć, wypijał beczułkę dziennie i gwałcił każdą napotkaną dziewczkę. Jego oczy ginęły w głębokim cieniu. Ale wiedziałem, że wpatruje się we mnie groźnie. I nie umie ukryć pogardy, jaką budzi w nim drobny sukces. Bo przecież sam w żadnym

stopniu nie był kluczem francuskim. Nieprzeciętny rzemieślnik. Tom mógłby to poświadczyć. *Il migliorefabbro*\*.

Zabrzmiało pohukiwanie. Ostre i wyraźne, wycinające dziurę w nocy.

Zanim Fizz zdążyła się odezwać, powiedziałem: Mistrz Ukp mówi, gadanie to nic, działanie to wszystko.

I wtoczyłem się na nią, odcinając od tego, co Mistrz chciałby może dodać.

Na targu z używanymi rzeczami na Ladżpat Nagar kupiliśmy niewielkie biurko. Miało dwie małe szuflady po lewej stronie i drewnianą podpórkę pod nogi. Szuflady otwierały się lekkim szarpnięciem, a ozdobiono je imitacją zabytkowych gałek. Było jasnobrązo-we i polakierowane na wysoki połysk, dzięki czemu wyglądało na drogie i stare. Właściwie za takie je uważałem. Ale kiedy Fizz stukała w nie kostkami dłoni, wydawało fałszywy dźwięk; a gdy skrobała, kit użyty do zalepiania szczelin zostawał jej pod paznokciami.

Roześmiała się i powiedziała: Pewnie zbito je dopiero wczoraj.

Dla mnie nie miało to znaczenia. Biurko było mi po prostu potrzebne. Dopasowaliśmy do niego tani fotel bez podpórek pod łokcie. Prawą tylną nogę miał niemal centymetr krótszą. Zanim zabraliśmy fotel do domu, poprosiliśmy brzuchatego sprzedawcę — który grzebał sobie w pępku, chyba w poszukiwaniu krzemienia, i jednocześnie zachwalał towary — o naprawienie tej usterki.

Kiedy lawirowaliśmy między bezładnie rozstawionymi kramami sprzedawców mebli, słyszeliśmy wokół prowadzone podniesionymi głosami rozmowy o autentycznych i fałszywych egzemplarzach. Wszyscy mówili: teczyna, teczyna, teczyna. Chcieli drewna tekowego, żądali drewna tekowego, kwestionowali prawdziwość drewna tekowego. Jeśli się postarało, można było w ogólnym zgiełku wyodrębnić dźwięk towarzyszący powstawaniu nowych antyków — tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk — powoływanych do życia młotkami na zapleczach straganów.

Biurko i fotel powędrowały do małego pokoju. Pokój miał okno, lecz wychodziło ono na drogę dojazdową. Nie była używana, zarosła trawą, śmieci wały się wszędzie. Widok był na tyły maleńkich domów. Klaustrofobiczne żelazne kraty ogradzały miniaturowe po

\* Dosł.: Lepszy kowal (wł.).

dworka i ciasne werandy. Wspaniała architektura indyjskiej klasy średniej, pełna światła, powietrza i zabezpieczeń. Przede wszystkim zabezpieczeń, zabezpieczeń, zabezpieczeń.

Wszędzie wisiały sznurki do suszenia bielizny, z kolorowymi plastikowymi klamerkami, zawieszonymi na nich niczym paki na gałązkach. Około południa — po czasie prania — rozkwitały w pełni wszelkimi rodzajami ubrań. Patrząc na nie, zyskiwało się wgląd w intymne życie mieszkańców. Jak zauważyłem, w niektórych domach nosiło się bardzo skąpe figi.

Droga dojazdowa miała na całej swojej długości również własną płataninę drutów. Telefonicznych i elektrycznych kabli. Ich macki wnikały w domy w najbardziej nierozplanowany sposób. W dniu, kiedy ustawiliśmy biurko, dostrzegłem ładnego szarocznego kruka zwisającego do góry nogami naprzeciw naszego okna. Padł niedawno. Porażenie prądem go nie spaliło. Pióra połyskiwały. Łebek miał bez skazy i spokojny. Mógłby być nurkującym kormoranem. Pogoda i robaki jeszcze go nie naruszyły.

Czy to zły omen?, zapytałem Fizz.

Powiedziała: Kruki zawsze zwiastowały gościa. W twoim przypadku mużę.

Ale ten wisi do góry nogami i jest martwy.

Czekał zbyt długo. Najpewniej padł, czekając.

Fizz kazała zrobić przy ścianach półki ze zwykłej sklejki. Cieśla powiedział, że to nowy rodzaj sklejki, odpornej na wodę i termity; zapewniał, że przetrwają dłużej od książek. Powtarzał to dziesiątki razy. Typowa dla starego człowieka obsesja związana z wiecznością. Patrząc na książki, mogłem mu powiedzieć, że wiele z nich jest już od dawna martwych.

Książki od miesiący leżały w stosach w porozdzieranych pudłach, w stertach niebezpiecznie poopieranych o siebie. Teraz dostawały pełną i wspaniałą oprawę. Fizz ustawiła je według wielkości. Kiedy przebiegało się palcami po kolorowych grzbietach — wgłębienie-grzbiet, wgłębienie-grzbiet — zmysłowe drganie przypominało ksylofon.

Fizz zawiesiła pastelowożółte zasłonki w oknach. Były z cienkiego materiału. Wydymały się przy powiewach bryzy i wpuszczały do środka mnóstwo słońca. Widziałem przez nie cień zwisającego kruka. Wisiał tam przez wiele tygodni, bardzo wolno poddając się silom natury. Przez jakiś czas był niczym poszarpany latawiec, kruszący się, z dziurami. A potem zniknął, a ja patrzyłem przez okno i czułem, że krajobraz przeszedł dramatyczną przemianę.

Maszyna do pisania stanęła na biurku, odsłonięta niczym ślicznotka. Jej czerwony korpus pobłyskiwał, a czarne piękne klawisze, przeczące się w powietrzu, stały się nagłym zaproszeniem dla palców. Pound został przeniesiony z sypialni i znalazł się naprzeciw biurka. Wystarczyło, że podniosłem oczy, i chwyciłem jego ponure spojrzenie. Wydrukowany złotą farbą Tagore zawisł niedaleko drzwi. Aluminiowa lampa o szerokim kloszu stanęła na biurku. Rozkraczała się nad maszyną niczym nadgorliwy nadzorca. Tani brązowy dywan, dwa na cztery, rozłożyliśmy na podłodze, żeby było cieplej. Wszystkie drogi ucieczki były zablokowane. Kiedy zamknęło się drzwi, nieznośny zapach lakieru do mebli uderzał w nozdrza. Potrzebował znacznie więcej czasu od kruka, by zniknąć.

Przez wiele ranków właściwie nie pisałem. Odsuwałem brothera na bok i usiłowałem narysować mapę drogową pisania. Starłem się stworzyć drzewo genealogiczne postaci i drugie, z zarysem fabuły. Powstawało wiele zagmatwanych gryzmołów, potem kreśliłem wszystko, przekładałem kartki i bazgrałem dalej. Fizz zaczęła się wycofywać do postawy pełnej szacunku. Musiałem często wychodzić, zarówno z powodu uderzającego do głowy zapachu lakieru, jak też odłogu, jakim leżał mój umysł. Za każdym razem, gdy wychodziłem, Fizz czytała zwinięta w kłębek na kozetce w niewielkim salonie. Podnosiła wzrok ze zrozumieniem i nic nie mówiła; najwyżej pytała, czy czegoś nie potrzebuję.

Świątynia sztuki została postawiona. Teraz pozostało czekać na cud.

Poprosiłem Śulteriego, żeby przydzielił mi na stałe popołudniową zmianę. Dzięki temu miałem zapewnione ranki w świątyni. Magia tego przybytku niemal natychmiast wpłynęła na moje życie w redakcji. Straciłem całe zainteresowanie nasmarowanym słupem. Groteskowy but-na-twarzy Hajle Syllasjego i Śulteriego nagle wydał mi się żaloszny. I guzik mnie obchodziło, na kim zatrzyma wzrok Król Czaszy, ile smaru dorzuci i komu. Czmychnąłem w otchłań redaktorskich okopów. Mój język odzyskał normalność. Narastająca do niedawna bombastyczność zaczęła znikać z mojego pisania. Przerabiane teksty ponownie do czegoś się nadawały.

Czy drobna porażka jest bardziej zaszczytna od drobnego sukcesu?

Nie wydaje mi się, żeby pandit wypowiadał się na ten temat.

Co dziwne, Śulteri niemal odczuł ulgę, kiedy wróciłem do przyjętej na początku postawy obojętności. Na śliskim słupie było wystarczająco tłoczno. Z radością zgodził się na moje nowe godziny pracy. Zachęcał mnie, bym miał jakieś życie poza redakcją. Zdrowa równowaga, powiedział. Wychodziłem teraz wieczorem, kiedy zamykano już sklepy. Śulteri opuszczał redakcję wraz z ostatnim redaktorem, dobrze po północy, ramionami mocno trzymał się śliskiego pala, wzrok miał wlepiony w czaszę.

Wiem, że przez pierwszy tydzień Fizz była trochę zdezorientowana. Nie słysząc było muzyki stukających klawiszy. Ale o nic nie pytała, powstrzymując się i czekając, aż sam się odezwę. A potem któregoś ranka zaświtało mi w głowie zdanie: Młody sikh nigdy nie był tam, gdzie jego koń nie mógł go dowieźć.

W ociążałym podnieceniu poprawiłem i tak już dobrze włożoną kartkę papieru i wystukałem je. Klawisze rozdzwoniły się w domu niczym głośny dzwon świątynny, a ja niemal słyszałem eksplozję ogromnego westchnienia w salonie. Kilka razy poruszyłem nerwowo palcami i następne zdanie wyszło spod klekoczących klawiszy: Według niego na świecie było tyle samo miejsca dla koni, co dla ludzi.

Tego dnia, kiedy wyłoniłem się z pokoju, żeby iść do pracy, unosiłem się w powietrzu. Napisałem jedynie dwa akapity, ale to nie miało znaczenia. Silnik wreszcie załapał. Zmiana biegów, przyspieszenie, te mogły pojawić się później.

Nocą, gdy Mistrz Ullukapillu pohukiwał, Fizz powiedziała: On chce wiedzieć, czy podzielisz się z nami tym, co się dzieje.

Podłożyłem jej ramię pod głowę i przytuliłem mocno do siebie.

Kiedy rozległo się kolejne pohukiwanie, powiedziałem: Mówi, że wszystko ma swój czas i swoje miejsce.

Wsadziła głowę pod kołdrę i kilka minut później wymamrotała mokrymi ustami: Myślisz, że to właśnie miał na myśli?

Tak, powiedziałem. Tak. Tak. Tak.

Nie wróciłem do starej Instrukcji, choć kilka jej nakazów nadal we mnie tkwiło. Tym razem doszedłem do wniosku, że dyscyplina to przeceniana cnota. Postanowiłem, że pozwolę prowadzić się muzie, niezależnie od tego, jaką drogę wybierze. Nie ustanowiłem żadnych zasad pisania. Nie notowałem liczby napisanych słów. Obiecałem sobie jedynie, że w pokoju będę spędzał minimum dwie godziny dziennie. Jeśli praca będzie szła mi dobrze, zostanę dłużej, a jeśli nie — mogę wstać i wyjść bez poczucia winy.

Spontaniczność sztuki.

Z perspektywy czasu nie jest to strategia, jaką bym polecał. Może zdaje egzamin w przypadku poetów, ale na pewno nie nadaje się dla powieściopisarzy. Czekanie na impuls do tworzenia wiersza może pogrążyć człowieka w beczce niejasnego samozadowolenia. I nierobienia. Życie poetów może zostać uwiecznione sześcioma impulsami, sześcioma wierszami. Twórcy prozy z sześcioma stronami — a nawet sześćdziesięcioma — nie mogą nawet pukać do drzwi przyszłych pokoleń.

Przez pierwszy tydzień pisałem po kilka akapitów każdego ranka i to było przyjemne. Mijał prawie rok, odkąd utopiłem *Spadkobierców*. Powrót do pisarstwa sprawił, że znowu czułem, że żyję, że jestem coś wart. Cieszyła mnie także nieobecność dawnego reżimu. Mniej kalkulowałem, mniej miałem w sobie cynizmu. Teraz na wspomnienie wcześniejszych metod robiło mi się niedobrze. Zasady, liczenie słów, tiki, które stały się substytutem tworzenia.

Bardziej niż cokolwiek uwielbiałem stukot klawiszy maszyny. W redakcji — nowoczesnym miejscu — po raz pierwszy posługiwałem się komputerem. Miękkiej w dotyku klawiaturze brakowało muzyki maszyny do pisania. A także wrażenia solidności. Pulsujące słowa na jaśniejącym ekranie wydawały się ulotne, rozmyte, podczas gdy odcisk czarnej taśmy na białym papierze wyglądał na niezmywalny. Kiedy pracowałem w redakcji, czułem się, jakbym tworzył zwykły blichtr. Kiedy pracowałem w domu, czułem się, jakbym wykuwał coś o trwałej wartości.

To przedziwne. Twarda rzeczywistość pracy w redakcji okazywała się imitacją. Delikatna fikcja powstająca na maszynie do pisania wydawała się prawdą.

Jak nie przestawali powtarzać dawni Hindusi, świat nie jest tym, czym się wydaje.

Tymczasem Fizz odbyła rundę po szkołach. Nudziła się i ponownie cienko przedliśmy, choć nadal żadne z nas nie chciało o tym rozmawiać. Ale szanse na dostanie pracy okazały się żadne. Epidemia stopni naukowych ogarnęła Indie. Predyspozycje, talent, możliwości nadal się liczyły, niemniej musiały jechać na koniu dyplomu. Hindusi z klasy średniej rzucili się na zdobywanie tych koni, jakby szykowali się do szarży lekkiej brygady. Podwójne magisterium z nauk humanistycznych, magisterium z nauk humanistycznych + licencjat z pedagogiki, magisterium z naukhumanii

stycznych + licencjat z prawa, magisterium z filozofii + magisterium z pedagogiki i małżeństwa, posady, reputacja — wszystko zdawało się zależeć od tych niekończących się tytułów. W większości przypadków miały całe lata, zanim ludzie odkryli, że podskakując na końskim grzbiecie, skręcili na manowce i właściwie zmierzają donikąd.

Ogromna część Hindusów z klasy średniej kolebała się na dyplomach, zmierzając donikąd.

Fizz była zwykłą absolwentką, która nawet nie odebrała dyplomu. Beztroska naszych lat w college'u. Jej próby były skazane na porażkę. Zwykli gońce wyśmiewaliby ją już u bram, gdyby nie to, że wyglądała, jakby posiadała w domu całą stajnię rozbrykanych koni.

Sprawdziłem w okopach inne tropy. Wszystkie sugestie, jakie do mnie docierały i wydawały się wiarygodne, wskazywały na redagowanie książek. Jeden ze strzelców z mojego okopu pracował kiedyś w powszechnie znanym wydawnictwie. Twierdził, że to prawdziwy skandal. Oficyna kupowała co prawda licencje na przedruki prestiżowych zagranicznych książek, ale w większości przypadków było to czyste piractwo. A nawet te tytuły, które kupiono, nigdy nie były uczciwie rozliczane. Ostatnio firma zaczęła wydawać hinduskie tytuły. Były to bardzo kiepskie biografie biznesmenów i polityków, za druk i papier płacono z góry. Plus od czasu do czasu zbiory prac naukowych, sprzedane na przedpłaty jakimś instytucjom. W ramach próby opublikowała kilka powieści. Przepadły na rynku bez śladu. Pisarze zbliżający się do redakcji mogli się spodziewać bardzo nieuprzejmego potraktowania.

Wydawnictwo nosiło nazwę Dharma Books. Zaczęły książki.

Człowiek, do którego należało, miał wielkie wąsy. Zakrywały mu policzki niczym bokobrody dakoita z doliny Ćambal. Palił cygara i jeździł białym mercedesem. Nazywał się Dum Arora. Prawie nigdy nie czytał książek. Dorobił się jako przedstawiciel stacji benzynowych i agencji dystrybucji gazu. Kumpel z okopu opowiedział mi, że raz Dum Arora zdradził mu tytuł swojej ulubionej książki. Była nią *Jonathan Livingston Seagull*. Dum powiedział, że dzięki niej poznał sens życia. No i zdjęcia ptaków były wyjątkowo dobre.

Mój strzelec dodał, że z tych powodów dobrze było pracować dla Duma. Płacił mało, ale terminowo, i zostawiał pracowników samym sobie. Dawał pięć rupii za zredagowanie strony, trzy rupie zaś za korektę jednej strony. Kiedy zapraszał kogoś do domu, proponował mu johnniego walkera w wielkiej butli z czarną nalepką. Jednym słowem, był wtedy hojny. Mogłeś wypić choćby

całą butelkę, jeśli oczywiście byłbyś w stanie tego dokonać. Strzelec mówił, że kiedy wchodziło się do domu, Dum Arora ryczał: Handzi, johnnie-shonnie ho dzaje? Może w takim razie pojoh-niemy-pobłyszczymy?

Fryzjer przyszedł do niego do domu, żeby mu ufarbować bacz-ki. Przez kilka dni, jak opowiadał strzelec, widać było czarne ślady na jego skórze.

Fizz poszła na spotkanie; Dum Arora był bezpośredni i przyjacielski. Mówił z pasją o swej miłości do książek. Twierdził, że nie zarobił na nich żadnych pieniędzy, ale dzięki nim czuł się uduchowiony. A pieniądze, jak wiemy, nie mają znaczenia, jedynie boskość się liczy. Wszystko inne zostawimy za sobą. Tylko bóg uda się z nami w podróż. Powiedział, że zapłaci Fizz trzy rupie za zredagowanie jednej strony. Fizz odpowiedziała, że mówiono jej, jakoby stawka wynosiła pięć rupii. On na to: Okay. Zapłaci pięć, bo widzi, że jest dobrą i szczerą osobą.

Dał jej do zredagowania historię życia jakiegoś urzędnika. Był to ładnie przepisany, pięknie oprawiony gruby manuskrypt. Autobiografia. Autor od dawna przebywał na emeryturze. Napisał odę do samego siebie. Pełno tam było wspaniałych rzeczy, jakich dokonał w swoim okręgu. Jak to służył narodowi Indii. Za każdym razem, gdy zaglądałem Fizz przez ramię, widziałem jej okrągłe pismo wypełniające strony, strzałki wskazujące we wszystkich kierunkach, z objaśnieniami poprawek.

Mówiła: Właśnie pogratulowano mu utworzenia wspólnotowej obory.

Albo: Opowiada, jak jego przemówienie na temat reform municypalnych, ogłoszone w Klubie Rotariańskim, przyjęto owacją na stojąco.

Pod koniec dnia przeciągała się teatralnie i mówiła: Piętnaście stron, siedemdziesiąt pięć rupii.

Moja praca z kolei szła dobrze. Poczulem, że trafiłem na fantastyczny pomysł, zainspirowany naszym wariackim wypadem do Delhi i artykułem, który przeczytałem w gazecie. Ta książka miała być totalnym przeciwieństwem *Spadkobierców*. Nie obszerna, nie rozwlekła, bez wielu pokoleń. Chciałem zbudować ją wokół jednego incydentu. Jeden incydent, jedna podróż, jeden bohater. Szlifowałem doskonały diament, nie bawiłem się w nizanie długiego, splątanego sznura koralii. Wiedziałem już, że rozumiem potęgę tkwiącą w małym ilustrującym duże.

Młody sikh nigdy nie był tam, gdzie jego koń nie mógł go dowieźć.



I tak zacząłem pierwszego dnia. Chciałem opowiedzieć historię pewnego młodego sikha, sieroty, który wychowuje się w sikhijskim seminarium w małej wiosce w Pendżabie. Intro-wertyczny, zafiksowany na religijnych przykazaniach i kodeksie rycerza — święty-wojownik — nigdy nie przekroczył granic seminarium. Poza pobieraniem nauk z *Granth Sahib* i skandowaniem gurbani miał jedną pasję: jazdę na koniach ze szkolnej hodowli.

Są jego rodziną. Na jeździe spędza długie godziny, karmi je, szczotkuje. Lepiej się czuje z nimi niż z uczniami rozmawiającymi o swoich rodzinach i przyjaciółach. Czasami budzi się w nocy prześladowany uczuciem głębokiej samotności. Idzie wtedy pod tamaryszek, gdzie konie są uwiązane. Leżąc między nimi, słysząc ich prychnięcia i szuranie kopytami, czując ich ciepłe boki unoszące się i opadające, uspokaja się. Często tam sypia.

Konie szepczą do niego. On uwielbia ich słuchać.

Pewnego dnia, gdy ma już dwadzieścia jeden lat, coś się wydarza — jeszcze nie postanowiłem co — ale to zmusza go do podróży do stolicy kraju, Delhi. Idzie po pozwolenie do santa, który kieruje seminarium, zwija koc, przypasuje miecz, bierze włócznię, wsiada na konia i wyrusza. Jedzie do Amritsaru, odwiedza Złotą Świątynię, pyta o drogę i trafia na stację kolejową.

Teraz następuje zasadniczy wątek mojej opowieści. Na dworcu znajduje pociąg odjeżdżający do Delhi i wsiada do niego z koniem. Nikt nie ośmiela się go zatrzymać. Ma na sobie niebieską zakonną tunikę, ma miecz, ma włócznię, a spojrzenie jego oczu dławi każdy sprzeciw. Podróż przez niziny Pendżabu i Harijany zapada w pamięć nie tylko jemu, ale każdemu — podróżnikowi i urzędnikowi — kto się na niego natyka. Każdy z nich jest zmuszony inaczej popatrzeć na świat.

Kiedy pociąg wtacza się na dworzec w Nowym Delhi, rozpętuje się piekło. Młody święty-wojownik wysiada z koniem. Pasażerowie rozbiegają się. Sprzedawcy odskakują do tyłu. Kulisi zdejmują turbany i drapią się po głowie. Zostają wezwane władze kolejowe. Przyjeżdża policja. Zjawiają się media. Średniowieczny Hindustan wyrósł w samym środku nowoczesnych Indii.

Niewinność i zdumienie stają naprzeciw przebiegłości i zdumienia.

Rozpoczyna się dziwny dialog.

Kiedyś czytałem takie książki. Przypowieści moralizujące. Kosmos w ziarnie. Jeden incydent objaśniający wszechświat. Miała to być niewielka książka. Jej pisanie będzie postępowało powoli. Ale

postawi doniosłe pytania. Widziałem ją już na półce: gruby papier, duża czcionka, cichy rezonans.

Miałem nadzieję, że praca dziennikarza w Pendżabie, pobyt w Delhi i podróże pociągami dostarczą mi wystarczającej wiedzy do nawigacji.

Tym razem niczego nie przyśpieszałem. W niektóre dni moje palce nawet nie dotknęły klawiszy brothera. Chodziłem w tę i z powrotem po małym pokoju, czekając na zdanie nadające się do napisania, myśl wartą obróbki. Albo siedziałem na fotelu bez poręczy, naciskałem stopami biurkową podpórkę pod nogi i sprawdzałem, jak mocno mogę wygiąć drewno, zanim się złamie. Zaskakujące, ale nawet złe drewno, jak ludzie, ma większą sprężystość, niż można się spodziewać.

Pound patrzył cały czas na mnie ponuro, a za sobą miałem Tagore'a.

Prowadziłem narrację niczym strużkę wody po podłodze w łazience. Niespodziewane zwroty sprawiały, że posuwała się ślimaczo. Opisałem okręcanie każdego zwoju turbanu, każdy kubek zimnej wody, każde machnięcie końskiego ogona, każde ostrzenie krawędzi miecza. Wbrew własnej naturze stałem się minimalistą. Poszukiwałem myśli mojego bohatera i przewietrzałem je z powolnością starowinki opróżniającej pradawne kufry.

Próba wejścia do umysłu kogoś prostego i samotnego okazała się ekscytującym doświadczeniem. Odkryłem, że aby wprowadzić się w ten stan, muszę usuwać ogólną wiedzę warstwa po warstwie. Musiałem także się męczyć, by znaleźć w angielskim kadencję, która przypominałaby kadencję wiejskiej gwary i pendżabskiego. Jako klucz wykorzystałem dwóch niewydarzonych transportowców, którzy przywieźli nas do Delhi.

Pisałem jedno zdanie naraz.

Nic z tego nie pokazałem Fizz.

Słyszała stukanie maszyny od czasu do czasu i zachowywała spokój.

Mijały miesiące. Nastał nowy rok. Pozyskaliśmy przyjaciół. Ona, ja, my. Wypełniali nasze barsati przez wiele wieczorów w tygodniu. Projektanci, artyści, aktorzy, dziennikarze, filmowcy, aktywiści — podobni do nas, zepchnięci na marginesz szperacze, szukający drzwi w życiu. Wychodziliśmy czegoś się napić, coś zjeść,

obejrzeć film. Czasami rozmowa rozpoczynała się wieczorem, a kończyła dobrze po północy. Dyskutowaliśmy o polityce, literaturze, kinie, kastach, społecznościach, miastach. Bałagan w Indiach zaczynał przyprawiać o zawrót głowy, jako że linie uskoków otwierały się praktycznie wszędzie. W życiu społecznym, politycznym, jednostkowym, w religii, regionach, języku, kastach, społecznościach. Zabezpieczenia linii uskoków, które zaszyto i zapieczętowano pięćdziesiąt lat wcześniej, żeby stworzyć naród, teraz pruły się szew po szwie.

Rządy Rajiva Gandhiego dobiegały końca. Nowa bestia, utuczona na religijnych mitach, budziła się do życia. Szykowała do przejęcia kraju. Do zmierzenia się z innymi bestiami.

Miliony buntów czekało za progiem.

Fizz i ja przeżyliśmy to wszystko w poczuciu nierzeczywistości. Tym samym dawnym poczuciu, kiedy odgrywa się swoją rolę na scenie, podczas gdy prawdziwe życie toczy się gdzieś indziej. Dziś wiem, że nie jest to coś niezwykłego. Wielu ludzi funkcjonuje dzień po dniu, wyobrażając sobie, że ich rzeczywiste życie trwa w innym miejscu. W ostatecznym rozrachunku — jak ja — zostają z niczym.

Nie mają dni, które przeżyli.

Nie mają tych, o których myśleli, że nadejdą.

Nie to, żeby wszystkie te dni były złe. Zdarzały się zabawne. Odkrywaliśmy różne rzeczy, uczyliśmy się nowych rzeczy. Najwięcej przyjemności sprawiały nam dwie: picie whisky i obserwowanie ptaków. W niektóre wieczory robiliśmy to pierwsze, w niektóre poranki to drugie. W Palika Bazaar kupiliśmy używaną lornetkę Minolta. Okazała się za ciężka, żeby powiesić ją sobie na szyi, i trzeba było trzymać ją w rękach. Stanowiła jednak cud powiększania. Zupełnie inna od plastikowych lornetek, jakie znaleźliśmy z dzieciństwa. Przez cały czas bawiliśmy się minoltą, a ja często patrzyłem przez nią po prostu na drugą stronę pokoju. Żeby wydobyć z niej w jakiś sposób więcej od tego, co już mi dała.

Z ogromnym entuzjazmem wychodziliśmy z domu tuż przed wschodem słońca. District Park, wzgórze, zaporę na Jamunie, a później religijne przybytki Sultanpur i Bharatpur. W inny sposób patrzyłem na ptaki, które spotykałem całe życie. Widok nakrapianego zimorodka albo płochliwego kotlarza stawał się taką samą frajdą jak whisky, której rodzaje zaczynaliśmy rozróżniać na podniebieniach, powoli nawet rezygnując z dodawania wody, żeby zbliżyć się do prawdziwego piekącego smaku.

Pewnego dnia w Connaught Place, kiedy czekałem w kolejce do

banku, wyrzalem i zobaczyłem szarego dzioborożca, który przysiadł na miodli. Niemal krzyknąłem z podniecenia, kiedy biegiem do zakratowanego okna. Widziałem go bowiem po raz pierwszy. Nie miałem pojęcia, że można je spotkać w samym sercu betonowego Delhi. Stałem się obiektem zdziwionych spojrzeń, a kasjerka musiała na mnie krzyknąć, kiedy nadeszła moja kolej oddania mosiężnego sztonu.

Tak, te dni nie były złe. Czasami mogłem się nawet oszukiwać, że żyję pełnią życia. Ale nagle rolka się kończyła i zapalano światło, wyrywając mnie z ułudy. To nie było moje życie. To był film. Całkiem dobry, ale nieprawdziwy. Takie chwile przydarzały mi się o każdym czasie. Najczęściej jednak, gdy jechałem z pracy do domu w pierwszej szarzyźnie zmroku, z podniesioną osłoną, z wiatrem na twarzy. Albo kiedy siedziałem z przyjaciółmi na dworze i rozmawialiśmy. W takich momentach czułem, że wszyscy wokół wiedą prawdziwe życie, moje zaś jest kłamstwem.

Moje życie było kłamstwem. I nie mogłem pozbyć się niedowierzania.

Jedynym, co zawsze wydawało mi się prawdziwe, było moje niekończące się zaangażowanie w Fizz. Jej ciało nadal stanowiło ośrodek mojego życia. Kochaliśmy się po kilka razy dziennie. W pozostałym czasie, w pracy, przy maszynie do pisania, obłąkańczo o niej myślałem — o tym, co właśnie zrobiliśmy, o tym, co wkrótce zrobimy. Czasami ekstaza przekraczała granice religijnych uniesień. Czułem się jak wirujący derwisz, który pochwycił nić i prując, odsłaniał wszechświat, lecz nie chciał jej puścić.

Wirowanie musiało trwać, aż cały wszechświat zostanie odsłonięty.

Aż nastąpi utrata przytomności.

Aż posmakuję nicości w sercu wszechświata.

Pilem nicość dzień po dniu i nie mogłem sobie nawet wyobrazić, by coś mogło się z tym równać. Zrozumiałem, dlaczego w dawnych wiekach czczono seksualną ekstazę i obawiano się jej. Umożliwia ona bowiem każdemu dostęp do jego boga. Niepotrzebny jest ani kapłan, ani król, żeby pokazać drogę. Miłość — bez reguł kapłana i króla — to wszystko, czego ci trzeba. Kapłan i król nie dzierżą w dłoniach klucza do wszechświata. Klucz do wszechświata kryje się w ciele ukochanej osoby.

Miałem ten klucz i otwierałem wszechświat każdego dnia.

Cóż mógł mnie obchodzić Król Czaszy albo nasmarowany słupek, albo pieniądze, których mi brakowało, skoro miałem Fizz? W tamtych latach odkryliśmy i robiliśmy ze sobą rzeczy, o jakich nigdy nie słyszeliśmy ani nie czytaliśmy. Nie przestawaliśmy obdzierać się nawzajem z maleńkich wstydy, które zdążyły nas do tego czasu oblepić. Pod tymi wstydami znajdowaliśmy niewinność reakcji, którą ledwie mogliśmy sobie wyobrazić. Rzadka radość, która niczego nikomu nie odbierała, jedynie dawała. Odkryłem, że aby ziemia się poruszyła, nie wystarczy sama nagość ciała, potrzebna jest jeszcze nagość duszy.

Gdy kochankowie obnażą ciała, uprawiają seks.

Gdy kochankowie obnażą dusze, obcuja z bóstwem.

Za każdym razem, kiedy leżałem nagi na Fizz, miałem świadomość, że oboje mamy obnażone ciała i dusze.

Byliśmy także niezmordowanymi poszukiwaczami.

Docieraliśmy do miejsc, gdzie czuliśmy się — jak wszyscy zakochani — pierwszymi odkrywcami.

Odkryliśmy, że ciało kochanka, ciało kochanki, skrywa niekończące się tajemnice.

Odkryliśmy, że o różnym czasie te same tajemnice ujawniają inne prawdy.

Przemierzałem pęknięcia i fałdki ciała Fizz i byłem nieodmiennie oczarowany.

Czasami intensywność była tak wielka, że zaczynaliśmy dygotać w widoczny sposób jeszcze przed pierwszym dotykem. Byliśmy jak saperzy, podnieceni wizją tego, co może się zdarzyć w pierwszej chwili kontaktu. Ja z erekcją, napięty, spragniony i odwlekający ten moment. Ona zarumieniona, z drżącymi ustami. A potem następował dotyk i zawsze następowała eksplozja, kiedy oboje stawaliśmy się zarówno prostakami, jak i arystokratami, zwierzętami i aniołami, ciałem i światłem. Fizz i ja.

Czasami rozkosz była tak bardzo nie do wytrzymania, że chciałem odgryźć kawałek jej ciała i żuć. Innym razem pragnąłem, by zawodziła, aż jej głos wypełni niebiosy.

Wiedziałem wtedy, że cokolwiek dwoje zakochanych robi sobie wzajemnie, nie może to być złe.

Wiedziałem wtedy, że nikt i nic — żadne prawo, żaden ojciec, żaden przyjaciel — nie ma jakiegokolwiek władzy sądzenia kochanków.

Wiedziałem wtedy, że ci, którzy naprawdę kochali, odgadli, iż klucz do wszechświata skrywa się w ciele ukochanej osoby.

Miałem ten klucz i otwierałem wszechświat każdego dnia. Wszechświat, który odkryłem, był zbudowany wyłącznie z pożądania.

Sprawy w redakcji przybrały kiepski obrót. Ja tymczasem straciłem całe zainteresowanie zziąjanym wysiłkiem jej pracowników i tekstami. Bractwo Lśniących Żołądźludzi okupujące korytarze nigdy mnie nie przerażało, powoli przestawało mieć nawet walor nowości. Erekcja jest fascynująca, bo pojawia się i przechodzi. Sterczenie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu jest nudne. Teksty odrzucały mnie coraz bardziej. Ciągłe pełne kortyzonu i sztucznie nadmuchiwane. Mówiły o rzeczach w taki sposób, że zmieniały je w zupełnie inne rzeczy.

Czasem, gdy coś czytałem, właściwie spodziewałem się przekształcenia słów w złośliwego raka.

W zamian stałem się przyczyną głębokiego rozczarowania redakcyjnych satrapów. Może nawet obiektem drwin. Siedziałem twardo w swoim okopie, wypełniałem obowiązek strzelania określonymi pociskami, ale odmawiałem pełnego zaangażowania. To było złe zachowanie. Zwierzęta, które postępują w ten sposób, zagrażają logice śliskiego słupa. Ta choroba mogłaby się rozprze-strzenić. Pamiętając o mojej początkowej obietnicy, poczyniono kilka prób powierzenia mi większej liczby obowiązków. Unikałem ich wszystkich. Stałem się paranoikiem. Ciężko pracowałem, żeby ograniczyć kontakty z tymi patafianami. Nie chciałem z nimi rozmawiać. Nie chciałem przyciągać ich spojrzeń.

Kiedy skończyłem przerabianie jakiegoś tekstu, faktycznie brałem go pod lupę od nowa i usuwałem wszelkie ślady upiększeń. Stawał się zupełnie płaski. Tak, że ani oko, ani wrażliwość nie mogły się zaczepić na jego powierzchni.

Któregoś dnia Śulteri zabrał mnie na lunch i powiedział: Nie rozumiem cię.

Odparłem: Jestem niezdecydowanym dziennikarzem.

Stał się melancholijny i otworzył przede mną serce. Powiedział, że Król Czaszy potrafi być dobry dla wszystkich innych w redakcji, ale on sam wyznaje innych bogów, a oni wszyscy są martwi i wszyscy są dosłowni. Powiedział, że wybrał zawód dziennikarza dwanaście lat wcześniej, bo nie znalazł innego sposobu robienia kariery piórem. Powiedział, że spodziewał się szybko przejść od dziennikarstwa

do pisarstwa, ale wpadł w pułapkę. Odnosił niejaki sukces i zarobił trochę pieniędzy- Mijały lata. Ożenił się. Urodziło mu się dwóch synów. Miał ładne mieszkanie. Czerwony samochód Maruti. Jego starszy chłopak chodził do drogiej szkoły, gdzie wykwintne drugie śniadanie podawano w pudełkach ze starannie złożonymi płóciennymi serwetkami. Takich właśnie słów użył: płócienne serwetki.

Powiedział, że w niektóre dni ma kłopoty z zaśnięciem, kiedy myśli o tym, co kiedyś postanowił robić, i o tym, kim się stał.

Zupełnie mnie zaskoczył. Podejrzliwa swoboda, jaką przyzwyczailem się z nim kojarzyć, nie znajdowała w niczym potwierdzenia. Nie było też ani śladu wspinacza z butem-na-twarzy. Przyjrzałem mu się badawczo, czy ze mną nie pogrywa. Ale nie mogłem się dopatrzeć żadnych oznak.

Jedliśmy parathy w kawiarni obok Cottage Emporium. Czasy świetności lokal miał za sobą. Nadal cieszył się dobrą opinią, ale przyszłość najwyraźniej nie stała przed nim otworem. Kelnerzy chodzili ponurzy i widać było, że nie dbają zupełnie o ubiór. Nosili białe pogniecione tuniki, na nogach mieli gumowe laczki. Na jedzenie — nawet na proste parathy — trzeba było długo czekać. A kiedy poprosiło się o dodatki — pikle, cebulę, masło — dostawało się raczej dokładki, bo podawano je na koniec posiłku.

Śulteri prawie nie jadł. Skończyłem porcję placków, a on zaledwie poskubał swoją. Przez chwilę poczułem, że może wreszcie patrzeć na prawdziwego człowieka.

Powiedziałem: Nigdy nie jest za późno.

Odparł: To właśnie sobie powtarzam.

Dziwny był dla mnie jego widok bez wyluzowanego, złośliwego uśmiešku. Kiedy go nabył? Jako młody chłopak, odgradzający się od rywalizujących z nim rówieśników? Czy później, gdy potrzebny był mu kamuflaż do poruszania się w obcym świecie?

Powiedział: Myślisz, że oszukuję sam siebie?

Odparłem: A czy wszyscy nie to właśnie robimy?

Siedział tak, nie jadł, jego twarz gryzonia stężała. Cisza zakrzepła przy stole niczym twardniejące masło, gdy wypowiedział powoli: Powiem ci, na czym polega problem.

Czekałem. Zapatrzył się gdzieś w dal.

Powiedział: Problem polega na tym, że ludzie tacy jak ja pochodzą znikąd. Pochodzimy ze skrajów ziemi. Znikąd. Dużo trzeba, żeby dostać się do centrum świata. A jeszcze więcej, żeby się w nim zagnieździć. Niełatwo jest z tego zrezygnować, wyrzec się. Niełatwo jest wyrzec się terytorium, jakie się zaanektowało w centrum świata. To nie jest łatwe.

Przyznałem: Tak, to nie jest łatwe.

Mieszkanie, czerwony maruti, płócienne serwetki.

Kiedy zamilkł na chwilę, powiedziałem: Ale z drugiej strony nie jest to aż takie trudne. Myślę, że wszystko sprowadza się do przypomnienia sobie tego, o co chodziło na początku. Jeśli...

Bez znaczenia, przerwał mi wesołym głosem.

Złośliwy uśmiezek znów się pojawił. Ciało ponownie wróciło do zrelaksowanego trybu. Był zbyt dumny, żeby znieść czyjś protekcjonalizm. Pozwolił sobie na to chwilowo, ot, żeby się odświeżyć. Nie po to, żeby wysłuchiwać pouczeń.

Powiedział: W każdym razie uważam, że to, co robimy, ma ogromną wartość. Moim zdaniem dobre dziennikarstwo to bardzo cenna rzecz.

Odparłem: Jestem pewny, że masz rację.

Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy widziałem go bez złośliwego uśmiešku. Dziwne, ale zamiast uczynić go bardziej przyjacielskim, ten moment zwierzeń sprawił, że Śulteri stał się wobec mnie nieprzychylnie nastawiony. Może obawiał się, że okazał niepokój, kryjący się pod zewnętrznym opanowaniem. Narażone na uszkodzenie żyły podtrzymujące połyskujący wzwód. Przypuszczam, że w kodeksie wojowników z Bractwa Lśniących Żołądźludzi najmniejsza wzmianka o zwiotczeniu była katastrofą.

Odkąd Śulteri cofnął mi swoje błogosławieństwo, już w nikim nie miałem oparcia. Wyczuwałem, że mogę harować w okopie przez jakiś czas bez narażania się na wyrzucenie. Drugorzędny klucz francuski. Ale byłem zdany na siebie. Łatwa ofiara dla kaprysu pojedynczej osoby lub grupy, chcących pozamiatać w redakcji.

Po dziesięciu latach czuliśmy się coraz bardziej rozdzieleni. Właściwie przestałem istnieć w redakcji. Niczym złośliwy duch przychodziłem i wychodziłem, dokręcałem kilka śrub bez znaczenia. Nikt ze śliskiego słupa nawet nie zerkał w moją stronę. Kraj znajdował się w samym środku kastowego trzęsienia ziemi, więc Żołądźludzie byli pochłonięci jego opisywaniem. Wszyscy wierzyli, że błędne poczucie sprawiedliwości jednego płacznego człowieka postawi Indie na głowie. Szczyt kastowej piramidy będzie wkrótce podtrzymywał jej podstawę. Elita Indii wpadła w panikę. Wiedziała, że nie jest w stanie utrzymać niczego poza folgowaniem własnym zachciankom.



Pan domu, pani domu i mrożona margarita.

Ale nie było potrzeby ulegania panice. Płaczliwy mężczyzna maszerował w rytm własnego bębna, nie minie wiele czasu i wymaszeruje bez śladu za drzwi. Człowiek, którego pokonał — Rajiv Gandhi — wkrótce umrze. Kastowa piramida znowu będzie bezpieczna, właściwą stroną do góry. A sam płaczliwy człowiek pomaszeruje za horyzont i spadnie z krawędzi ziemi.

Bez trudu udowodnił, że pokonanie budzącego respekt nieprzyjaciela to nic w porównaniu z pokonaniem własnego nieudolnego ja.

Elita Indii będzie bezpieczna. Przetrwiała pięć tysiącleci brutalnych wyzwania i machała na pożegnanie ludziom takim jak Budda, Mahawira, Kabir i Gandhi. Rozbawić ich, dokooptować i ustawić nad kominkiem w idealnym porządku. Płaczliwy człowiek po jakimś czasie, bardzo zresztą krótkim, nie będzie nawet pulsującym punktem na ekranie elity.

Pan domu, pani domu i mrożona margarita.

Obronieni przez Bractwo Lśniących Żołędźludzi.

Miałem czas, żeby o tym rozmyślać, bo kiepsko mi szło przy maszynie do pisania. Dni mijały bez uderzenia w jeden choćby klawisz. Zacząłem mieć poważne wątpliwości, czy moje pisanie jest coś warte. W niektóre dni czytałem wolno rozwijającą się opowieść o młodym świętym-wojowniku i czułem, że tworzę coś niepozbanionego znaczenia. Wchodziłem w jego umysł i zachwycałem się nieskomplikowanym zdumieniem, z jakim oglądał świat. Szedłem z nim do koni i wzruszałem się jego miłością do nich. Towarzyszyłem mu przy codziennych ablucjach i roz-tkliwiałem się ich prostotą. Wsiadłem z nim do pociągu razem z koniem i zaciekałem mnie sposób, w jaki inni pasażerowie na niego reagowali.

A potem, bardzo szybko, bo dzień później, czytałem to, co napisałem, i uderzał mnie fałszywy ton zdań. Szarpałem się z zagadką: dlaczego powieść jest dobra tylko wtedy, gdy jest prawdziwa? Moja opowieść trzymała się kupy, dobrze się czytała, czy to za mało? Jak miałem się przekonać, czy *Tessa d'Urberville* nie była czczym wymysłem?

Moja odwaga nigdy nie trwała długo.

Dwa dni pewności siebie i bębnienia, i następowała cisza przy maszynie do pisania.

Streściłem Fizz niektóre wątki powieści, ale jeszcze nie dałem jej nic do przeczytania. Czekala cierpliwie, o nic nie pytała, choć widziałem cień niepokoju kładący się jej na twarzy za każ-

dym razem, gdy wychodziłem od siebie bez jednego stuknięcia w maszynę.

Było gorzej. Zaczęliśmy się często spierać. Robiliśmy z igły widły. Niezakręcony kran. Gazeta źle złożona. Drzwi niezamknięte na zasuwkę. Niezgaszone światło. Niekupiony chleb. Mleko nie-zagotowane. Herbata niezaparzona. Zasłonka niezaciągnięta.

Książka nienapisana.

Droga nieobrana.

W większości przypadków niemal zaraz zapominaliśmy, co wywołało burzę w szklance wody, bo awantura zaczynała dotyczyć dowolnej liczby niezwiązanych z tym spraw. Rozdrapywaliśmy stare rany — dotyczące rodziny, przyjaciół, strat, wspomnień, rzeczy, które sobie nawzajem zrobiliśmy, i tych, których nie zrobiliśmy. Ona waliła na odlew. Ja chlastałem. Raniliśmy się, zadawaliśmy sobie ból.

Któregoś dnia rzuciła we mnie talerzem z pokrojonymi ogórkami.

Siedziałem tylko w lungi na kozetce i czytałem. Była na mnie zła, bo nie wezwałem hydraulika, by naprawił przeciekający rezerwuar w ubikacji. Trwało to już od kilku dni i złościło mnie suszenie głowy z tego powodu. Spłukiwanie muszli wodą z wiadra w ogóle mi nie przeszkadzało. A poza tym, sama nie mogła do niego zadzwonić?

Zapytała: Rozmawiałeś z hydraulikiem?

Odparłem głupawym falsetem: Tak, tak, hydraulik, hydraulik. Porozmawiać z hydraulikiem.

Masz zamiar zrobić coś z tą naprawą czy nie?

Tak, tak, masz zamiar zrobić coś z tą naprawą czy nie. Masz zamiar zrobić coś z tą naprawą czy nie.

Przestań zachowywać się jak palant!

Tak, tak, przestań zachowywać się jak palant, przestań zachowywać się jak palant.

Chwyła melaminowy talerz i rzuciła nim we mnie. Trafił w ramię, jego wybuchowa zawartość wylądowała mi na gołej piersi. Plasterki, skropione sokiem cytrynowym, z chili i solą, przylepiły mi się do ciała. Zimne. I spływała z nich woda.

Siedziałem i patrzyłem, jak ociekają. Nie wierzyłem własnym oczom.

Powiedziałem: Popierdolona wariatka. Odkrzyknęła: Wielki pisarz Cińcpokli!

Mocnym szarpnięciem otworzyła frontowe drzwi i wyszła. Powiedziała mi potem, że śmiała się przez całą drogę po schodach i wokół parku. Zanim wróciła, zdążyłem się wykapać i sprzątnąć cały bałagan.

Te kłótnie, następujące niczym gwałtowne powodzie, równie szybko mijały, unosząc ze sobą nagromadzone przez wiele dni frustracje. Były dobre, usuwały zadry i po nich zawsze znacznie lepiej się czuliśmy.

Niemniej zdarzały się inne, zapoczątkowywane bez fanfar, na niskich rejestrach, ale potem przechodzące w powolne spalanie. Zaczynały się od jakiejś niewypowiedzianej urazy, która w rezultacie prowokowała inną niewypowiedzianą urazę. Czekały ukryte niczym żarzenie się zapalniczki w samochodzie. Ale za każdym razem, gdy wyciągało się zapalniczkę, okazywała się rozgrzana do czerwoności, a potem gorętsza i jeszcze bardziej gorąca. To były złe awantury, polegały na długim boczeniu się na siebie. Nie rozmawialiśmy, a złość się otorbiała. W końcu musieliśmy zgasić silnik, żeby zapalniczka mogła ostygnąć.

Zawsze trwało to kilka dni, aż dochodziliśmy do martwego punktu, połączonego z uprawianiem seksu aż do bólu brzucha. W którymś momencie nasze ciała zaczynały się burzyć, łaknąć. Okrążaliśmy się wzajemnie, szukając doskonałej okazji, momentu bezsłownego odemknięcia przeszłości. Niektóre z łączących nas nici sygnalizowały, kiedy uczynić ruch. Mogło do tego dojść nocą, w ciemności, zacząć się od nieśmiałego dotyku. Na rowerze — od nagłego uścisku. Na tarasie — od naglącego spojrzenia. Byliśmy wtedy dobrzy. Ten, kto wykonał ruch, nigdy nie spotkał się z odrzuceniem, pełna namiętności reakcja już czekała.

Nasze awantury kończyły się fantastycznym finałem w łóżku. Nazywaliśmy to kłótniowym seksem i nie mogliśmy się go doczekać, nawet jeśli byliśmy akurat w połowie ponurej zwady.

Często zastanawiałem się wtedy, ilu potrzeba scysji, żeby namiętność zaczęła się wypalać. Ostrze zaczęło się tępić. Szczęściem nigdy do tego nie doszło. Tyle że mój niepokój nie wygasł.

Gdzieś w środku miałem świadomość, że wzbierająca burzliwość naszego związku ma coraz mniej wspólnego z nami, a coraz więcej z milknącym stukotem maszyny do pisania. Że gwiazdki i czaszki, szczyty i zejścia, wszechnasycenie i klucz do wszechświata były w jakiś sposób powiązane z moją zdolnością do przelewania słów na papier. Kiedy kartki pozostawały puste, wszystko

robiło się puste. Oczywiście mogłem oszukiwać. Uderzać bezmyślnie w klawisze. Żeby dźwięk był opowieścią.

Żeby iluzja stała się rzeczywistością.

Ale jeszcze nie do tego stopnia było po mnie.

Tymczasem Fizz przeżywała zadziwiające chwile związane z Dharma Books. Przez jej ręce przeszło kilka bardzo złych maszynopisów. Nie mieliśmy pojęcia, co się z nimi działo po wydrukowaniu. Nie można ich było znaleźć w żadnej księgarni. Nigdy nie słyszeliśmy, by ktokolwiek o nich wspominał. Przepadały najwyraźniej w jakiejś księgoczarnej dziurze, to znaczy w miejscu przeznaczenia większości tytułów wydawanych na świecie. Niewiele książek potrafi oprzeć się jej grawitacyjnej sile. Wraz z upływem czasu nawet najbardziej opasłe tomy są tam wciągane. Dziura jest cudownie higieniczna. Gdyby wszystkie księgoczarne dziury zaczęły wypluwać z powrotem całą swoją zawartość, świat utonąłby pod makulaturą.

Zła proza, złe pomysły i do gruntu złe opisy.

Przepadanie tych książek w żaden sposób nie peszyło Duma Arory. Zaczęliśmy wierzyć w to, co nam mówiono. A mianowicie, że książki Duma stanowiły część cichego układu z wydziałami administracji państwowej. Prosto z drukarni trafiały do rządowych domów towarowych, sprytnie omijając księgarnie i czytelników. Od czasu do czasu w jakiejś gazecie można było trafić na mętłą recenzję którejs z nich, ale nie wierzę, by ktokolwiek je czytał.

Jeśli to prawda, księgoczarna dziura rządu była ogromna.

Fizz nie wiązała ze swoją pracą żadnych ambicji, więc się tym nie przejmowała. Dum płacił o czasie i zawsze był wobec niej nienaganny.

Fizz rozstała się z Dharma Books w przedziwny sposób. Spotkała niezwykłą kobietę i dała się wciągnąć w jej niezwykle przedsięwzięcie. Dostarczyło to nam tematu do rozmów i powodów do zdziwienia na wiele miesięcy.

Kobieta była bardzo elegancką uczoną z dyplomami Harvardu i Oksfordu. Jeden z socjologii, drugi z psychologii. Miała niesłychanie bogatego męża. Produkował i sprzedawał części samochodowe. Nigdy właściwie nie dowiedzieliśmy się, o jakie części chodziło. Palił fajkę i mówił o „The Economist”. Był niepokojąco hojny, w rozmowie z nim bez przerwy przewijały się: Czy mogę? Może mógłbym? Proszę mi pozwolić. Cała przyjemność po mojej

stronie. Zauważyłem, że bardzo się starał, by kobiety dobrze się czuły w jego towarzystwie.

W przeciwieństwie do niego uczona nie miała czasu na uprzejmości. Była przystojna w surowy sposób — jak Indira Gandhi, Margaret Thatcher. Ostra jak brzytwa, natychmiast przecinała zasłonę z bzdetów. Włosy nosiła krótkie i ładnie zaczesane. Widać w nich było pasma w kolorze zimnego srebra. Jej głos działał jak otwieracz do konserw — chłodny, wyważony, donośny. Otwierał człowieka bez trudu. Nazywaliśmy ją Panią Surowąkrólową. Oboje nigdy nie słyszeliśmy, by choć raz wypowiedziała miłe słowo o kimś lub o czymś. Fizz powiedziała, że nawet jej kierowcy i służba byli otwierani przez nią jak puszki z zupą. Za każdym razem, gdy z nimi rozmawiała, krew bryzgała na podłogę. Trzeba było odwracać wzrok.

Myślę, że ubrdała sobie, by patrzeć na świat oczami perfekcjonisty i człowieka twardego. Ludzie, którzy utożsamiają łagodność ze słabością i obu zawzięcie się sprzeciwiają, bywają bardzo inteligentni. Nauka przez doświadczenie — i często bogactwo — każą im pogardzać sentymentami. Świat to okrutne miejsce, wyewoluował zgodnie z zasadami Darwina, trzeba zdawać sobie z tego sprawę. Przeogromny zasób słów, jaki zyskali i jakim posługują się przy artykulacji myśli, nie pozwala im się bawić w zwykłe uprzejmości.

Pani Surowąkrólową miała wszystko — stopnie naukowe, dolary, wygody, klasę, dzieci, zajęcie dla umysłu. Ale nie pozwalała sobie ani nikomu innemu na pobłażliwość. Jej życie było produktem jej własnych wysiłków. Nikomu niczego nie zawdzięczała. Ci, którzy niczego nie mają, mogą mieć o to pretensje tylko do samych siebie. Przeciw światu stanęła z siekierą i wyrąbywała sobie w nim drogę.

Świat to okrutne miejsce.

Dum Arora wysłał Fizz na spotkanie z nią. Powiedział, że szuka mądrej asystentki do gromadzenia danych.

Dodał: To bardzo miła pani, bardzo odważna pani. Dwa fakultety, Oksford i Harvard. Tyle że bez przerwy jest troszkę zła.

Fizz zapytała: Zła? Na co zła?

Dum odparł: Zła na świat. Zła na świat. Niektórzy ludzie już tacy są. Niektórzy ludzie są źli na rodziców. Niektórzy są źli na żony. Niektórzy na szefów. Niektórzy na własne dzieci. A niektórzy są źli na świat. Pani Khurana jest zła na świat. Ale to bardzo miła pani. Bardzo odważna pani.

Fizz poszła na spotkanie. Kobieta mieszkała w wielkim domu w Maharani Bagh, z wysokimi drzwiami, starymi kolonialnymi

meblami i dziełami sztuki nowoczesnej. Fizz posadzono najpierw w ogromnym salonie, podano jej szklankę wody, a potem zaprowadzono ją do wyłożonego dywanami gabinetu, z regałami z tekowego drewna i lampami ustawionymi pod kątem. Stonowana cisza panowała w całym domu, służba chodziła na palcach. Czekałem na zewnątrz przy imponującej stalowej bramie, oparty o motor pod drzewem mimozy, które rzucało żółte kłaczki zaścielające całą drogę. Podniosłem owoce z puchem i dmuchnięciem posłałem drobiny w powietrze. Ochroniarz w szarym uniformie i czapce z daszkiem ze złotym otokiem popatrzył na mnie pogardliwie.

Pani Surowakrólowa nie była zbyt zła na świat tego dnia. Była po prostu bardzo poważna.

Przystąpiła do rozmowy kwalifikacyjnej. Jej pierwsze pytanie brzmiało: Czy regularnie uprawiasz seks?

Fizz odparła ze śmiechem: Co pani rozumie przez regularnie?

Spotkanie miało udany przebieg. Nawet Pani Surowakrólowa nie była odporna na niewymuszony, dyskretny urok Fizz. Prowadziła badania dotyczące nawyków masturbacyjnych męskiej populacji Indii. Była to niedostatecznie udokumentowana sfera, jak powiedziała. Potrzebowała kogoś do pomocy przy zbieraniu danych. Należało przeprowadzić wywiady w cztery oczy, zapisać wyniki i dostarczyć je. Bez żadnych ubarwień. Bez dyskusji, bez poleceń. Trzeba było po prostu dostarczyć materiał. I odebrać pieniądze. Sto pięćdziesiąt rupii za wywiad.

Pamiętaj, żadnego zmyślania, żadnego upiększania, żadnego poprawiania materiału.

Zapisuj wprost i tylko prawdę. Analiza będzie jedynie tak dobra, jak dobre okażą się dane.

Okazuj empatię. Zachęcaj do zwierzeń.

Zagwarantuj poufność. Sprawiaj wrażenie naukowca.

Zachęcaj do plastycznych opisów.

Sprawiaj wrażenie serdeczności. Nie angażuj się.

Sto pięćdziesiąt rupii za mężczyznę.

Forsa po dostarczeniu.

Dasz radę to zrobić?

A, tak, jeszcze jedno. Dyskrecja przez cały czas. Możesz o tym rozmawiać z mężem, ale już z nikim innym.

Tylko dwie osoby będą znały prawdziwą tożsamość badanych. Ty i ja. Okay, może też twój mąż. Jeśli będziesz chciała mu powiedzieć. Ale odradzałabym.

Fizz powiedziała, że zadzwoni następnego dnia i da odpowiedź.

Pani Surowakrólowa powiedziała: Pamiętaj, Fizz, to poważne

badania. Nie daj się zwieść obiektom. Myśl po prostu, że zbierasz dane dotyczące wydalniczych zwyczajów cykad.

Przerwała na chwilę, zadowolona z porównania. A potem uśmiechnęła się ciężko i powiedziała: Właściwie to dobre, to bardzo dobre! O to chodzi! Mężczyźni są jak cykady — trą się, trą się, przez cały czas. Cholera. Ich nieustanne tarcie jest jak buczenie w tle naszego życia. Biedne małe cykady!

Tego wieczoru Fizz przeprowadziła na mnie próbny test.

Robisz to?

Tak.

Nawet teraz? Tak. Tak! Tak.

Kiedy zacząłeś?

Miałem osiem lat.

To możliwe u ośmiolatka!

Tak.

Jak to się stało?

Rozkoszny przypadek.

Nie, jak to się stało? Gdzie byłeś?

Och, w sraczu. Siedziałem na kiblu. Na zewnątrz świeciło słońce. Okno było otwarte. I?

I pocierałem. I pocierałem. Jak cykada? Jak cykada. I?

Nigdy nie czułem się lepiej. Ziemia się poruszyła. Ptaki rozśpiewały. Umysł otworzył się jak kwiat. A potem?

Podszedłem do tego z ogromną samodyscypliną. To znaczy?

Co najmniej dwa razy dziennie. Niezależnie od tego, jak byłem zajęty.

Czy ktoś o tym wiedział? Rodzice, służący, przyjaciele? Tego jestem pewny. Wszyscy wymienieni. Nie wstydziliś się? Nie na tyle, żeby przestać. Czy kiedykolwiek zostałeś na tym przyłapany? Tak. Raz. W łóżku, pod kołdrą. Przez kuzyna. Powiedziałem, że lekarz kazał mi to robić. Dopiero co wyszedłem z żółtaczki.

Uwierzył ci?

Nie jestem pewny. Chciał wiedzieć, czy to także zapobiega żółtacze. I? Powiedziałem, że tak. A zapobiega?

Nie wiem na pewno. Ale to uniwersalne antidotum na apatię i utrzymujące się swędzenie jajek. Gdzie to robiłeś? W jakich miejscach? Tak.

W łazienkach, sypialniach, pociągach, autobusach, bibliotekach, klasach szkolnych, w kinach, samolotach, na poboczu. Na poboczu?

Raz. Byłem prymitywnie podniecony przelotnym widokiem.

Kogoś, kogo znałeś?

Nie, kogoś nieznanego.

Ulubione miejsce?

Łóżko.

Najbardziej niezwykle miejsce?

Tylne siodełko motoru Royal Enfield. Miałem trzynaście lat. Z kuzynem. Wysunąłem sobie z szortów i ocierałem o trzęsące się siodełko. Skończyłem, zanim się zorientowałem. Patrz, mam, bez trzymania!

Przeznacz się wygłupiać. Mówimy o cykadach.

Przepraszam.

O czym myślisz, kiedy... kiedy to robisz? O kobietach. Co o kobietach?

Wszystko. Oglądanie, dotykanie, robienie... W porządku, wystarczy. Co cię pobudza? Książka. Magazyn. Film. Widok. Dźwięk. Zapach. Ale coraz bardziej pamięć, pamięć, pamięć. Pamięć?

O tym, co robiłem. Co mnie ominęło. Co widziałem. Co sobie wyobrażałem.

Myślisz o kimś, kogo znasz? Czasami.

A w innych przypadkach?

Przelotnie widziana osoba. Ktoś, kogo chciałbym poznać. Czyli to kwestia przypadku! Nie bardziej niż w życiu.



Czy wszyscy mężczyźni to robią? Tak.  
Nawet wtedy, gdy mogą mieć coś prawdziwego? Tak.  
Czy niektórzy mężczyźni wolą to od czegoś prawdziwego?  
Możliwe.  
A ty? Czasami?  
Odmawiam odpowiedzi, bo może być użyta przeciwko mnie. Mówimy o cykadach! Przepraszam. Tak. Nie. Co?  
Nie. Nie wolę. Chyba nie.  
Czy są różne sposoby robienia tego? To znaczy techniki.  
Jestem pewny.  
A w twoim przypadku?  
Mam konserwatywne podejście.  
To znaczy?  
Prawa ręką. Czasem dla odmiany lewą. Apna hat dżagannath. Co?  
Wszystkich nas błogosławi ręką boga.  
Czy chciałbyś mi jeszcze coś powiedzieć?  
Chciałbym się przyznać, że wykorzystałem cię w ten sposób przy wielu okazjach. Umysł to niemoralne zwierzę.  
W tej samej chwili Mistrz Ullukapillu zaczął pohukiwać.  
Fizz powiedziała: Koniec. Nie mów nic więcej. Jesteś obrzydliwy.  
Zadzwoiła do Pani Surowejkrólowej i przekazała, że spróbuje. Uczona dała jej kwestionariusz, będący podstawą wywiadów — niezbyt się różniący od testowego formularza Fizz. I powtórzyła swoje uwagi dotyczące empatii, zwierzeń, serdeczności, poufności, dystansu, naukowego reżimu. I wydalających cykad.

\*

Fizz wybrała Philipa jako pierwszego kandydata. Przyszedł do naszego mieszkania, by stać się źródłem danych. Był między kąpielami, tkwił głęboko w nieróbstwie. Popisywał się pozawerbalnym roztaczaniem uroku. Wspomagał się wzruszaniem ramion od niechcenia, drapaniem po głowie, nikłym uśmiechem. Chłopaczek z przedszkola w czasie swego pierwszego w życiu wywiadu.

Ostatecznie wstał i powiedział: Macie trochę rumu?

Od gówna w nocniku lepszy rum w przełyku.

Było wpół do dwunastej.

Fizz przyniosła butelkę old monka.

Nalał sobie wielką ciemną szklanę, wypił jednym haustem i zaczął mówić. Trik, jak powiedziała mi później, kiedy nocą leżeliśmy już w łóżku, polega na tonie głosu i spojrzeniu. Musiałam to sobie wyobrazić. Musisz zachować kamienną twarz. Nigdy się nie uśmiechać. A jeśli już musisz, śmieć się jedynie ustami, nigdy oczami. Mów monotonnym głosem. Bez zajakowania się. Mów śmiało i wyraźnie. Nadaj wszystkiemu pozór rzeczowości. A przekonasz się, że rozmawiasz o zwyczajach wydalniczych cykad.

Robisz to, stojąc na głowie?

Czy figi to jedyne owoce sprawiające, że od razu chcesz to robić? Czy zanurzanie go w gorącym budyniu sprawia, że budyń smakuje inaczej?

Wkładasz go do gniazdka elektrycznego z uziemieniem czy do gniazdka bez uziemienia? I co robisz, jeśli zaiskrzy? Spokojnie. Bez emocji. Świat to okrutne miejsce. Traktuj wszystkich jak cykady.

Pani Surowakrólowa była zadowolona z rezultatu. Od razu wręczyła jej sto pięćdziesiąt rupii. Uprzejmie schowała je uprzednio w białej lotniczej kopercie z niebiesko-czerwonymi krawędziami, na której napisała imię Fizz i podkreśliła je. Dwa banknoty. Jedna setka. Jedna pięćdziesiątka. Połączone żółtym spinaczem. Fizz dała mi pieniądze, a spinacz schowała do torebki.

Tego wieczoru wyszliśmy na miasto, upiliśmy się, wróciliśmy do domu i padliśmy, by się kochać. Po raz pierwszy odczuliśmy, jak wpływa na nas życie seksualne innej osoby. Kiedy poruszałem się z nią i w niej, jednocześnie niepewnie pytałem o jej pierwszy wywiad i w miarę jak mi powoli opowiadała o najintymniejszych sekretach Philipa, tak nas to kręciło, że z trudem oddychaliśmy. Zaczęła znikać na długie chwile, a ja zmuszałem się, by pozostać tam, gdzie byłem, w przejmującym do bólu miejscu pomiędzy życiem a zatraceniem się.

W miejscu, w którym jest się najbardziej żywotnym, zanim się umrze.

Badania pchnęły nasze pożycie na nowy poziom. Właśnie w chwili gdy myślałem, że zbliżamy się do końca możliwości kanalizacyj-

nych, jakie istnieją między dwojgiem ludzi, a skraj mogliśmy znaleźć już jedynie w niepewnym kłótlwym seksie, odkryliśmy zjawisko *ménage à trois*. Pięć lat wcześniej samo wspomnienie o innym mężczyźnie wyzwałoby we mnie zazdrość. Teraz mnie podniecało.

Zanim skończyliśmy z Philipem, pojawił się Rawi. A potem byli Alok i Anil, i Udajan. Każdy z nich trafiał do naszego łóżka na kilka dni i każdy stanowił indywidualne menu. Kiedy szliśmy się kochać, praktycznie nie odzywaliśmy się słowem, ale przeżywaliśmy dreszcz antycypacji, erekcji i rozluźnienia, wilgoci i rozpalenia, ciała i duszy. Wtedy, dokładnie w chwili gdy się w nią wślizgiwałem, zaczynaliśmy rozmawiać. Pytałem, a ona odpowiadała. Pytałem, a ona odpowiadała. I rozmawialiśmy, i rozmawialiśmy, i rozmawialiśmy. Do późna w nocy, poruszając się powoli. Zagłębiony w jej pożądaniu, mówiłem rzeczy, od których w innym czasie pękłoby mi serce. Często, potem, kiedy siedziałem przy maszynie do pisania albo harowałem w redakcyjnych okopach, pękało. Musiałem wtedy trzymać się mocno za głowę, żeby zagłuszyć własny głos, zanim zupełnie pozbawi mnie zdrowego rozsądku. Zanim zmieni wesołą zabawę w pojedynek na śmierć i życie.

*Zjawisko ménage à trois.*

Problem tkwił w tym, że w niczym nie przypominało to regularnych fantazji dotyczących baraszkowania. Nie przypominało anonimowego drażnienia się kochanków. To było zbudowane na prawdziwej wiedzy o prawdziwych mężczyznach. Było tak, jakbyś miał prawdziwego kochanka w łóżku. Za każdym razem, kiedy kończyłeś i leżałeś, ciężko dysząc, splatając wilgotne dłonie, pojawiał się męczące wrażenie, że ktoś niechciany jeszcze tu jest.

Że specjalne miejsce zostało zbrukane.

Zanim jednak zaczęliśmy się zмагаć z tym, co nam się przypadkiem trafiło, los gimnastykował już palce, by w niedalekiej przyszłości zmienić nasze życie.

Obdarzyć nas mocą, dzięki której ziściłyby się nasze marzenia.

I, w najstarszej przypowieści, pokazać nam robaka toczącego jej sedno.

BIBI LAHAURI

W małej wiosce niedaleko Kurukszetry — Pola Kurów — gdzie w starożytności rozegrała się bitwa między Pandawami i Kaurawami, w trakcie której świat wstrzymał oddech, i gdzie toczyła się akcja *Mahabharaty*, kładąc cudownie dwuznaczne podwaliny dla zrozumienia całego rodzaju ludzkiego — otóż w tej małej wiosce zadeklarowana optymistka szykowała się do śmierci.

Najwspanialsza księga na świecie, *Mahabharata*, mówi nam, że wszyscy musimy żyć i umrzeć zgodnie z cyklem naszego karma-na. W ten sposób działa doskonała zasada wszechświata: nagroda-i-kara, przyczyna-i-skutek. W obecnym życiu przeżywamy to, co sami zapisaliśmy w poprzednim. Ale ten wielki moralny thriller każe nam także walczyć wściekle z karmanem i jego despotycznym dyktatem. Uczy nas, jak go obchodzić. Zmieniać. Mówi nam, że naszym przeżywaniem teraźniejszości spisujemy również przyszłe życie.

*Mahabharata* nie jest zbiorem zaleceń religijnych.

Jest czymś znacznie wspanialszym. Jest dziełem sztuki.

Pozwala zrozumieć, że wola człowieka zawsze wpada w zmieniającą się przepaść między mozołem moralności a urokiem nie-moralności.

To właśnie w tej niestałej przestrzeni niepewności człowiek staje się człowiekiem.

Nie zwierzęciem, nie bogiem.

Pozwala zrozumieć, że prawda jest względna. Że jest definiowana przez kontekst i motyw. Daje najszlachetniejszym ludziom — Judhiszthirze, Ardżunie, samemu Krysznie — odwagę do kłamania, dzięki czemu może stać się zadość większej prawdzie.

Pozwala zrozumieć, że siłą napędową świata jest pożądanie. I że pożądanie jest nieprzewidywalne. Prowadzi do śmierci, zniszczenia, cierpienia. Ale także stwarza miłość, piękno, sztukę. To nasza największa zguba. I jedyny powód wszelkiego działania.

Działanie zaś to życie. Działanie to karman.

Dlatego pozwala wybaczyć nawet tym, którzy pożądamy nieumiarkowanie. Pozwala wybaczyć Durjodhanie. Człowiekowi, który pożąda bez przerwy. Człowiekowi, który doprowadza do wojny, by skończyć wszystkie wojny. Zapewnia mu raj i podziw bogów. W pożądaniu i czynieniu z niego najbardziej potępianej cechy ludzkości spełnia się mandat człowieka.

Musisz poznać świat, zanim się od niego odetniesz. Musisz słuchać pożądania, zanim się go wyrzekniesz. Nie będzie litości dla odmawiania sobie nieznanego.

Najwspanialsza księga świata ratuje wolę przed religią i oddaje ją z powrotem człowiekowi.

Religia to wymysł nauczyciela, zwolennika surowej dyscypliny.

*Mahabharata* jest pełną radości pieśnią wirtuoza.

W opowieściach tkwiących w opowieściach wprawia religię w ruch wirowy i przewraca na nice. Zostawia ją zadumaną nad własnymi mieszkami jadowymi.

Daje ludziom szansę na osiągnięcie wspaniałości. Szarpanym wątpliwościami architektom maleńkiej części ich życia. Durjodhanom, którzy zwyciężają, nawet kiedy ponoszą klęskę.

Na tym starożytnym polu bitwy *Mahabharaty* staruszka kładzie się, by umrzeć. Na wiele sposobów była uczciwa wobec ducha tej ziemi. Walczyła wściekle przeciw karmanowi, obchodziła go, zamieniała. Była ofiarą niepoczytalnych nauczycieli i ich marzeń o surowej dyscyplinie, ich ciskających gromy religii.

W czasach śmierci w 1947 roku od dawna oczekiwane siły ciemności nawiedziły jej pola uprawne. Pewnego późnego wieczoru gospodarstwo było plądrowane przez uczniów owych nauczycieli. Jej mąż o piersi jak beczka — którego miazdzącego ciężaru zręcznie nauczyła się unikać — został wyciągnięty z domu na podwórze. Jego potężne ramiona mocno trzymano odciągnięte na boki i kiedy ryczał i szarpał się, wypruto mu wnętrzności srebrnymi sztyletami.

Uczniowie wykonali swoją robotę po cichu. To była ich praca. Nie popisywanie się.

Nie zdziwiła się, kiedy umierając, wykrzykiwał jej imię. Śajla!

Była w tym intensywność, którą często słyszała w nocy.

Większość robotników rolnych nie żyła albo uciekła. Kobieta patrzyła, siedząc w kucki na podłodze. Jej piękne błękitne oczy

znajdowały się tuż nad parapetem. Skrupulatnie wytarli sztylety o kurtę jej męża i tam z nim skończyli. Przetrzęsnęli potem dom, lecz ona schowała się pod łóżkiem. Nie spalili całego gospodarstwa, bo wiedzieli, że jeden z nich tu wróci i się o nie upomni.

Polowali wyłącznie na żywych.

Wyszła spod łóżka wiele godzin później, kiedy zaczęły wyć szakale. Pierwszy posiał nocy niski długi jęk. Potem dołączył chór. Nie płakała. Kiedy nie patrzyło się na rozpruty brzuch i wijące się ciemnoczerwone strumyki, można było pomyśleć, że mąż spał. Na twarzy nie miał nawet zadrapania. Sprawdziła kieszenie jego kurty. Znalazła tam kopciuch z wielbłądziej skóry. Wzięła go, podobnie jak zegarek Favre-Leuba z rzymskimi cyframi, duży złoty sygnet z palca i łańcuszek, który nosił na szyi, ze zdjęciem jego i ojca na Oxford Street w Londynie. Obaj byli wtedy ubrani w meloniki i płaszcze. Choć z trudem, ale ściągnęła mu także bransoletkę z prawego nadgarstka. Krew stała się smarem, który to umożliwił. Musiała wytrzeć ją o kurtę w tym samym miejscu, o które oni wytarli sztylety. Był na niej wygrawerowany kursywą napis: *Sansar Cand*. S i C miały dodatkowe zawijasy u góry.

Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie nie zjawili się tu, by rabować. Przyszli zrobić czystkę.

W ślad za nimi pojawiają się padlinożercy.

Weszła z powrotem do środka i zdjęła wszystkie ozdoby, jakie miała na sobie, nawet ciasne biću z palców u nóg. Otworzyła potem skrzynię i odszukała w niej własne pieniądze i biżuterię. Odłożyła na bok małe rzeczy o dużej wartości, pierścionki i kolczyki do nosa. Zrobiła jeden wyjątek: ciężkie srebrne pajale — szerokie na dziesięć centymetrów — które dała jej matka, a które ona dostała od swojej matki. Zapakowała je w ciasny węzełek z muślinu, nie większy od jej obu dłoni. Resztę wrzuciła do małej drewnianej skrzynki z żelaznymi zawiasami i ryglami.

Odemknęła później ciężkie drzwiczki birmańskiego kredensu z tekowego drewna, ustawiła w środku ozdobione rytem lustro z Benaresu, umieściła przed nim płonąca świeczkę, wyjęła nożyce krawieckie i przystąpiła do obcinania swoich długich włosy. Zaczęła je zapuszczać, kiedy była małą dziewczynką. Spadały poniżej bioder gęstymi pasmami. Pięknie poddawały się nożycom, czemu towarzyszył w pełni satysfakcjonujący odgłos cięcia. Obcięła je krótko, tak starannie, jak umiała.

W migoczącym żółtym świetle widziała, jak staje się ładnym chłopcem o delikatnym ciele. Zgrabny mały nos, doskonałe w kształcie niewielkie uszy, doskonałe w kształcie niewielkie usta, a przy tym

widoczny rys oporu, lekko wysunięta broda z cieniem wgłębienia biegnącym pośrodku. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła własne włosy leżące na podłodze niczym zrzucona salwar.

Zdjęła ubranie. Noc była cicha, jeśli nie liczyć duetów szakali. Uczniowie najprawdopodobniej także udali się na nocny spoczynek. Podobnie jak resztę ciała, piersi miała małe, ale jędrne. Mimo wykarmienia dwójki dzieci sutki pozostały różowe, nie ściemniały. Ale były wydatne. Sansar Ćand ssał je bulwiastymi ustami, aż chciało się jej krzyżeć. Odruchowo pogładziła je kciukami. Sterczały. Strach miał ją w swoim posiadaniu. Oderwała pas materiału od prześcieradła. Przycięła go nożyczkami i wstrzymując oddech, ciasno owinęła piersi. Sutki wybrzuszały się niczym kamienie milowe. Spowolniła oddech, delikatnie położyła na nich dłonie i czekała. Kiedy je odjęła, biały pas był gładką autostradą otaczającą jej świat.

Banknoty, które znalazła, zwinęła w zwarty rulon, okręciła go cienkim białym skrawkiem muślinu i przewiązała krótkim sznurkiem. Postawiwszy stopę na łóżku, zamknęła oczy, otworzyła się lewą ręką i wsunęła tam pieniądze. Nie było to trudniejsze od zaspokajania Sansara Ćanda każdej nocy.

Wyjęła trochę ubrań starszego syna, Kewala, i zaczęła je przymierzać. Kewal i jego młodszy brat Kapil zostali wysłani do Delhi, kiedy zaczęły narastać problemy na linii Gandhi-Jinnah-hindu-si-muzułmanie-Indie-Pakistan. Przebywali tam od prawie pół roku. Sansar Ćand powiedział, że sprowadzi ich z powrotem, jak już wszystko się uspokoi. Najlepiej pasowały na nią szkolne spodnie khaki Kewala. Miał dopiero dwanaście lat, ale rozmiary odziedziczył po ojcu. A jego matka była tak drobna, że można było ją unieść jedną ręką. Przez całe długie życie nigdy nie przekroczyła wagi czterdziestu kilogramów. Musiała przewiązać się sznurkiem w pasie, żeby spodnie z niej nie spadały.

Kiedy dokończyła ubierania, wkładając koszulę i marynarkę, wyglądała jak śliczny chłopiec gotów do szkoły.

Codzienne marzenie karłowatych surowych nauczycieli.

W wykopanej dwa tygodnie wcześniej dziurze w rogu pokoju, gdzie odprawiano pudzę, umieściła niewielką drewnianą skrzynkę z żelaznymi ryglami. Zakryła ją błotem, które uklepała nogami i dłońmi, polała potem szklanką wody i jeszcze raz ubiła ziemię. Wzięła naręczę brudnej i czystej odzieży i rzuciła je w ten róg. Żaden inny kamuflaż nie przyszedł jej do głowy. Zabrała ze sobą niewielką torbę. Włożyła do niej muślinowe zawiniątko z biżuterią, trochę więcej ubrań Kewala. Dodała jeszcze garść

kruchych mathi. Niespecjalnie je lubiła, ale przynajmniej się nie psuły.  
Zostało jeszcze jedno do zrobienia.

Poszła do kuchni, wzięła stamtąd naręcze drewni i rzuciła je na męża, leżącego z rozłożonymi na boki ramionami. Musiała to powtórzyć czternaście razy, zanim pokryła go w wystarczającym stopniu. Za każdym razem przechodziła nad ciałami zamordowanych Kallu i Raka. Uczniowie okazali im znacznie mniej szacunku. Twarze mieli pokaleczone, gardła popodrzynane. Nie zdobyła się na dokładniejsze oględziny, ale to, co leżało obok ich zakrwawionych ust, wyglądało jak odcięte penisy. Małe kawałki pokrwawionego ciała.

Nieobrzezane.

A kuku fallusy. Teraz-je-widzisz-a-teraz-nie. Wiedziała, że tamci mieli inne. Żadnej hinduskiej zabawy w chowanego.

Nie odważyła się pójść do szopy parobków. Z kuchni widziała niski budynek. Drewniane krokwie kryte strzechą, lampa sztormowa zawieszona na gwoździu wbitym w bal przy drzwiach. W snopie światła lampy, tuż za progiem, leżało rozciągnięte długie ciało Dżarnajla. Jego stopy niknęły w cieniu. Z rozpuszczonym kokiem leżał twarzą do ziemi, otulony własnymi grubymi włosami. Najwyraźniej nie poddał się bez walki. Plecy miał pokiereszowane, krew była wszędzie, nawet na łatach w ścianach z błota. Wyciągniętą dłoń miał zaciśniętą na kirpanie.

Dwie białe kury — nazywane ZbieraczSahib i ZbieraczkaMem-sahib — które mieszkały razem z robotnikami, chodziły wokół jego ciała niczym oficerowie marynarki w czasie inspekcji.

Drewno było dzięki bogu suche jak pieprz i porąbane na małe kawałki, dobre do pieca. Łatwo było je przenieść, łatwo rozłożyć równo na zwłokach męża. Polała je, nie bez problemów, za pomocą mosiężnego naczynia, dwoma kanistrami ghi utrzymanego w spiżarni. Łagodny lepki zapach wypełnił nocne powietrze.

Wróciła, przyniosła torbę z ubraniami i usiadła blisko stosu męża-i-drewna-i-ghi, żeby wziąć się w garść. Siedziała długi czas, skulona, w kucki. Żadna ludzka istota nie poruszała się na gospodarstwie. Przez ostatnie piętnaście lat wystarczyło, by podniosła głos, a natychmiast rozlegało się tupotanie co najmniej tuzina



stóp. Przybyła tutaj jako czternastolatka, śliczna, maleńka żona Sansara Ćanda. Ale nie traciła czasu i szybko zadomowiła się jako bibidzi.

Uważnie słuchała instrukcji matki. Matka powtarzała jej — raz po raz — że mężczyźni są jak węże. Ich mit znacznie przewyższa rzeczywistość. Większość węży nie ma zębów. Niektóre mają zęby jadowe, ale nie mają jadu. A żeby sobie poradzić z tymi kilkoma, które dysponują trucizną, trzeba być doświadczonym zaklinaczem. To nie jest trudne. Poruszaj się i spraw, żeby patrzyli tam, gdzie według ciebie mają patrzeć. Po jakimś czasie będziesz mogła pozbawić większość ich zębów jadowych. Po jakimś czasie nauczysz się poruszać w tak mistrzowski sposób, że nigdy nie spojrzą tam, gdzie im nie każesz.

Kobiety, które dążą do konfrontacji z mężczyznami, radziła matka Śajli, zmierzają donikąd, jedynie tracą ich serca i ogniska domowe. Kobiety, które traktują mężczyzn jak oślizgłe stworzenia ciemności i podporządkowują ich sobie za pomocą trików, rządzą światem.

Traktuj mężczyzn jak węże. Ich mit znacznie przewyższa rzeczywistość.

Mimo czternastu lat Śajla była już na tyle kobietą, że rozumiała słowa matki. Od samego początku postępowała z Sansarem Ćandem jak z oślizgłym stworzeniem ciemności. Bardzo szybko nauczyła się, jak sprawić — był wybuchowym człowiekiem, dwanaście lat od niej starszym — by pojękiwał z rozkoszy. Kierując się intuicją i wyrachowaniem, wykorzystywała swe ciało w sposób, jakiego jej mąż wcześniej nawet sobie nie wyobrażał. Nauczyła się, jak zmuszać go do poskramiania swojej porywczoci, odmawiając mu powodu do pojękiwań. Ku swej głębokiej satysfakcji bardzo szybko nauczyła się także, że człowiek, który pokochał wijącego się węgorza, nigdy nie zadowolili się pozbawioną życia rybą.

Wedle własnego życzenia stawała się węgorzem lub rybą. Nagrody były zbyt cudowne, żeby rezygnować z nich na dłużej niż dzień lub dwa.

Śajla dała Sansarowi Ćandowi wiele najrozkoszniejszych chwil w jego życiu. Ale sama niewiele ich zaznała. Ciągłe wyrachowanie, praktyczne rady matki zabrały jej zdolność przeżywania rozkoszy. Motor pożądania został uszkodzony tak bardzo, że nie nadawał się już do naprawy. Strateg w głowie zabił celebrynta jej ciała. Zamiast krańcowym punktem wszystkich podróży, zamiast miejscem spoczynku wszystkich wysiłków, zamiast szczęśliwym

końcem wszelkich rzeczy — akt miłosny stal się dla niej instrumentem do osiągnięcia innych celów.

Matka Śajli była maltretowaną, zgorzkniałą kobietą, kulącą się ze strachu przed mężem i ledwie odważającą się odezwać w jego obecności. Człowiek, którego poślubiła, nigdy nie okazał jej nawet cienia czułości. Nie znając ani pożądanego, ani wolnej woli, nauczyła córkę, jak przetrwać. Przez cały czas obserwowała, powstrzymując się od działania, wiedziała, co córka powinna robić, by utrzymać w rękach lejce swego życia. Nigdy nie przejmowała się brakiem pożądanego, którego przecież nie знаła. Obchodził ją tylko brak kontroli, który, według niej, zaważył na jej życiu.

Rozwinęła w córce sztukę kontroli.

Śajla została uwolniona od pożądanego i wpadła w pułapkę mniej ważnych rzeczy.

Ściekające ghi zaczęło plamić ziemię. Śajla prawie nie widziała męża pod narzuconym na niego drewnem. Rozejrzała się wokół. Tuż za niskimi ścianami zabudowań gospodarstwa rozpościerały się pola. W tej chwili zagłębiały się daleko w noc młodymi kielkami pszenicy. Jedynym dźwiękiem wśród lepianek było podzwanianie dochodzące z obory, bo bawoły były przywiązane łańcuchami. Wśród odgłosów wydawanych przez bydło zdarzały się od czasu do czasu parsknięcia i głośne otrząsania się. Trzy kundle należące do rodziny, jeden stary i dwa młode, które przez większość nocy, czując intruza, wypełniały farmę ujadaniem, leżały spokojnie przy drzwiach, w bezruchu.

Kundle przeżyły, bo potrafią wyczuć, kto jest silniejszy.

Śajla zapomniała o świeczce. Wróciła do domu i wyniosła ją na zewnątrz. Płomień drżał gwałtownie na wietrze, ale nie zgasi. Wzięła nasiąkniętą ghi szczapę i zbliżyła do ognia. Drewno potrzebowało minuty, by się ogrzać i zapłonąć. Kiedy zaczęło trzaskać, obeszła męża wkoło i podpaliła we wszystkich czterech rogach. Robiąc to, odmawiała *Gajatri*, jedyny hymn religijny, jaki znała.

Obyśmy światłość tę posiadli cudowną bogą Sawitara, niech on pobudzi nasze myśli.

Gdy płomienie zaczęły tańczyć i skakać przy wtórze niskiego śpiewnego tonu, wrzuciła w nie trzymany w ręku kawałek drewna, odwróciła się, podniosła torbę z ubraniem i lampę sztormową i odeszła. Zbita z bali brama stała otworem. Niezamknięta po odjeździe uczniów. Kobieta wyślizgnęła się po cichu, z bardzo krótkim knotem lampy, zeszła z polnej drożyny prowadzącej do głównej drogi i wtopiła się w zielone pola. Trzy kundle niemal

bezgłośnie ruszyły śladem jej małych, ale pewnie stawiających kroki stóp. Niebo było przepastne z ostro zarysowanymi gwiazdami. Napęczniały księżyc wyglądał jak kobieta w szóstym miesiącu ciąży.

Ostatni szakal drażnił się ze światem głosem z piekła rodem.

Obejrzała się za siebie tylko raz, kiedy przekraczała granicę swojej ziemi i wymijała kępę drzew mango sąsiadów. Jej gospodarstwo wydawało się bardzo odległe, a pośrodku widziała powiększającą się dziurę pomarańczowego koloru, miarowo pożerającą noc.

Śajla przetrwała wszystko. Życie po prostu nie zdołało jej pokonać. Niemal pięć lat zabrało jej odtworzenie gospodarstwa i domu, ale przez cały ten czas nawet przez chwilę nie wątpiła, że odzyska w całości to, co kiedyś miała. Tygodniami i miesiącami, jakie mijały od momentu, gdy zapaliła stos męża i wymknęła się przez otwartą bramę w rozgwieżdżoną noc, była bezustannie poruszającym się pionkiem między milionami bezustannie poruszających się pionków. Brała udział w grze, nad którą szachiści stracili zupełnie kontrolę. Hindus, muzułmanin i biały człowiek. W rzeczywistości wyglądało na to, że porzucili stół, przestali rościć jakiegokolwiek pretensje do kontroli, logiki lub planu. Teraz, gdy królowie i laufry kulili się po bokach, pionki bezmyślnie wpadały na siebie, rozpętując Armagedon.

Śajla poruszała się nieustannie. I sprytnie. Unikała zderzeń z innymi pionkami, lawirowała na trzęsącej się szachownicy. Szła i szła, sama i w grupach. Jechała autobusami, siedząc lub stojąc. Podróżowała pociągami, na dachach i w przejściach. Widziała więcej trupów, niż ktokolwiek powinien w życiu oglądać. Nauczyciele obu stron dobrze wyszkolili swoich uczniów.

Mężczyźni i kobiety, dzieci i niemowlęta. Leżeli w stertach i pojedynczo. Ich ubrania przybrały ten sam błotnistokrwawy kolor. Gardła poderżnięte na całej szerokości, bebechy na wierzchu, odcięte piersi, zmiażdżone głowy, odrąbane fallusy. Teraz-je-widzisz-a-teraz-nie. Przywykła do spojrzenia otwartych niewidzących oczu, do nieporządnego wyglądu ludzi zmarłych w pośpiechu. Powykręcanych ramion i nóg, karków nienaturalnie zgiętych.

Niektóre z tych obrazów wypalały się piętnem w jej pamięci. Wracały do niej każdego dnia do końca życia. Skulona na małej stacji kolejowej niedaleko Tarn Taran, tkwiąca między ludźmi, lgnący-

mi do siebie w poszukiwaniu ciepła i bezpieczeństwa, czerwonym świtem rozjaśniającym niebo nad polami, usłyszała długi pociąg, który przejeżdżał wolno wzdłuż peronu, płosząc ranne ptaki. Otworzyła oczy, poruszał się niby ślizgiem, niemal bezgłośnie. Ciała ścieśnione wokół niej były pogrążone we śnie. Przesuwający się pociąg był pełen zastygłych w bezruchu ludzi. Barwne malowidło. U niektórych czaszki były otwarte. U niektórych gardła. Wielu leżało jeden na drugim, byle jak. Wszystkie drzwi stały otworem, przejścia zapełniali nieruchomi ludzie. Ze spowolniałym stuk-stuk-stukotem wagony sunęły do przodu. Nawet palec się nie poruszył, nikt nie gwizdał, żaden konduktor nie krzyknął. Wpatrywała się w ten obraz, zmieniona w słup soli, jak we śnie. W drzwiach przedostatniego wagonu leżał ładny młody chłopak, z pierwszym zarostem pod nosem, z kręconymi włosami, jego głowa zwisała na zewnątrz. Patrzył wprost na nią. Ciemnymi spokojnymi oczami. I wtedy stalowe koła zastukały na łączeniu szyn, wagonem zatrzęsło, ostatnie ściętno poddało się. Widziała, jak głowa ładnego młodego chłopaka, z pierwszym zarostem pod nosem, z kręconymi włosami, z ciemnymi spokojnymi oczami, potoczyła się po peronie jak piłka, odbijając się od ziemi. Śajła krzyknęła. Wszyscy się poruszyli. Schowała twarz w dłoniach. Pociąg jechał, zagłębiając się w coraz rozleglejszy obszar fantazji surowych, żadnych dyscypliny nauczycieli.

Wtedy rozumiała, że zabicie drugiego człowieka jest jedynie aktem wiary.

Kiedy raz się to zrobi, potem to jak zarzynanie kurczaków.

Można zabijać jednego dziennie na domowe potrzeby. Albo urządzić masakrę tysiąca na przyjęcie.

W tamtym czasie Indie i nowo powstały Pakistan wydawały wiekopomny bankiet.

Sześćset tysięcy kurczaków będzie w sam raz.

Każdy kształt i rozmiar się nada.

Koszerny albo zepsuty. To naprawdę bez znaczenia.

Zapewniona dostawa do domu. Na obszarze tysięcy kilometrów.

Dziękujemy panu.

Do następnego razu.

\*

W noc, gdy błyskały sztylety, musiała uzbroić się w obojętność, zachować spokój. Teraz opadło ją zmęczenie tą straszliwą wiedzą. Po takim doświadczeniu — jak lamentować? Stała się nawet jesz-

cze silniejsza, niż była. Wytrzymała mękę i plugawość obozów dla uchodźców, odnalazła synów, przedarła się przez zapory biurokracji i uzyskała odszkodowanie za ogromne gospodarstwo męża, a dostawszy je — ponad dwieście akrów odłogów i lasu — wyciągnęła rulonik spomiędzy nóg i biżuterię z muślinowego zawiniątka i wzięła się do zmagania z ziemią.

Salingarh został porzucony przez tych, którzy uciekali w przeciwnym kierunku. Na jej nowym gospodarstwie stał dom, kompletnie splądrowany. W niektóre dni Śajla stawiała na podwórzu i usiłowała sobie wyobrazić, że żyła tu kobieta, która wybiegła w ciemności nocy, z obwiązanymi piersiami i zatkaną waginą. Ze mężczyźni jej życia mieli odcięte genitalia, wsadzone potem za uszy. Że stała w tej chwili na podwórzu domu Śajli w Ćaudhuri Kalan, sześć kilometrów, w linii prostej jak lot strzały, od bazaru w Lahaur, obok jaśminu, zasadzonego przez Śajlę, obsypanego połyskliwymi białymi kwiatkami, roztaczającymi słodką woń każdej nocy i zrzucającym płatki co rano. Późną jesienią Śajla rozkładała pod jego gałęziami prześcieradła i każdego ranka znajdowała je pokryte pięknymi kwiatkami z filigranowymi złotymi pręcikami w środku. Kładła potem w całym domu pachnące garści płatków.

Sansar Ćand nazywał Śajlę swoim kwiatuszkiem jaśminu. Rozkwitającym w nocy, pięknym za dnia.

W Salingarhu nie było jaśminu. Śajla miała pretensję do kobiety, która stąd uciekła, że nie zostawiła po sobie takiego drzewka.

Ponieważ przy oczyszczaniu ziemi nie mogła liczyć na pomoc żadnego sprawnego fizycznie mężczyzny, poszła do nadinspektora policji i przekonała go do użyczenia jej skazanych, odsiadujących wyrok dożywocia w miejscowym więzieniu. Byli to gorzko doświadczeni, opryskliwi ludzie — mordercy i dakoici — i zjawili się w łańcuchach. Nadzorując ich mozoł, jeździła na dużym koniu o kasztanowej maści. Włosy nadal miała krótkie, upchane pod sola topi, poza tym przyzwyczała się do spodni khaki Kewala. Teraz nosiła szyte już specjalnie dla niej.

W tygodniu, kiedy przyjechali, dwudziestu, w asyście dwóch policjantów z ciężkimi strzelbami, strzeliła jednemu w udo, kiedy gładził się po nim lubieżnie i zachęcał, żeby na nim usiadła. Nazywał się Dżagga. Był wiejskim osiłkiem i zawodowym mordercą zatrudnianym przy sporach o ziemię. Postrachem okolicy. Nadinspektor pochwalił jej szybką reakcję. Fama o tym rozniosła się po okręgu. Tylko patrzeć, jak narodzi się mit bibi Lahauri. Z czasem będą mówić o Śajli jako bibi, która konno polowała na białego człowieka, która dosłownie utorowała sobie karabinem drogę do

Salingarhu, kiedy zaczęły się zamieszki związane z podziałem kraju. Reszta skazanych na dożywocie nauczyła się właściwego zachowania. Ponieważ dobrze ich karmiła i dawała im co tydzień po uncji oleju gorzycowego, żeby wcierali go sobie w głowy i ciało, nauczyli się też szacunku dla niej.

Wielu z nich, zwolnionych przedterminowo z więzienia, wracało na gospodarstwo, by dla niej pracować. Jako dziecko słyszałem ich historie, a niektórych widziałem już jako starych ludzi. Bidża, Cuda, który zabił siekierą czterech braminów, bo zgwałcili mu siostrę. Dhuus, madźhbi, wysoki na ponad dwa metry, który powalił kiedyś konia jednym uderzeniem w łeb. Gama, dźat, który potrafił wypić wiadro mleka bez przerwy na złapanie oddechu. Bira, marasi, który łapał węże za ogony i roztrzaskiwał o drzewa.

To byli mężczyźni, którzy przysięgli jej posłuszeństwo.

Mężczyźni chętniej przyklęką przed silną kobietą niż przed silnym mężczyzną. Przed mężczyzną robią to z poczuciem urazy i ze strachu. Przed kobietą robią to nieświadomie i z podziwu. Mężczyźni wiedzą, co wyzwała reakcje słabych mężczyzn, silnych mężczyzn i słabych kobiet. Ale nie wiedzą, co wyzwała reakcje silnych kobiet. Nie wiedzą, co doprowadza je do wściekłości. Nie wiedzą, jak rozwikłać ich DNA.

Żaden mężczyzna nigdy nie może się równać z silną kobietą.

Indira Gandhi musiała umrzeć, zanim silni mężczyźni Indii odzyskali jaja.

Historia jest pełna takich przykładów. Wystarczy rozejrzeć się wkoło. Każda rodzina na pewno coś o tym wie.

Kiedy las został wycięty — lisy zabite, węże zatłuczone, sambary, nilgau, jelenie aksis i dzikie świny zjedzone — bibi Lahauri zaczęła orać i sadzić.

Podobnie jak w przypadku wszystkich silnych kobiet, Śajla stała się główną osią wszystkiego, co znajdowało się wokół niej: wieśniaków, miejscowej administracji, kotwałów, handlarzy, pośredników z mandi. Otaczający ją świat został ukształtowany przez silnych mężczyzn i kobiety, którzy tracąc wszystko, poznali wartość każdego przeżytego dnia. Byli nie do złamania. A ona była z nich najtwardsza.

Całkowicie wyzbyta pożądania. Przeklęta jego nieobecnością.

W konfrontacji z jej żelazną wolą synowie stali się miękcy jak wosk. Wysłała ich do drogich szkół z internatem w Adźmerze i patrzyła, jak dorastają wśród śmietanki Radźputów i w pustce pompy. Kiedy rośli, myślała, że stają się jak orzechy kokosowe. Unoszą się wysoko nad ziemią, pod przepychem baldachimu, wyobrażając so-

bie, że należą do innego wszechświata. Jeden silny podmuch w życiu, wiedziała, i spadną, rozbijając się o ziemię. Żaden z nich, nawet w żartach, nie nauczył się orać, doić bawolic ani oceniać ziarna po kłosie pszenicy.

Obaj synowie poślubili dziewczęta wybrane przez matkę. Ładne, o jasnej skórze, ze skłonnością do tycia, z tej samej co oni kasty kszatrijów. Licencjatki w dziedzinie nauk humanistycznych. Potrafiące ugotować pełny wegetariański posiłek w trzy godziny. Potrafiące zrobić na drutach cały sweter w trzy dni. Obaj synowie objęli ciepłe posadki w mieście. Kewal został biegłym księgowym i osiadł w Bombaju, zapoczątkowując manhattańską linię rodu, która opuści nie tylko Salimgarh, ale niemal zupełnie Indie. Kapil zatrudnił się jako boxwallah w korporacji, która sprzedając mydło i szampon, była przykładem wzorowego profesjonalizmu. Zawiodło go to do małych osad i miasteczek w sercu ziemi Hindusów, wiążąc bardziej z Indiami, nawet jeśli odbywało się to z bezpiecznego kokonu luksusowych bungalowów, wieloosobowej służby, wieży stereo Grundig, modnych samochodów i klubów — pozostałości po rządach brytyjskich, sprawowanych przez brzuchatych pułkowników w stanie spoczynku.

To właśnie Kapil był moim ojcem. Lekarz przyjechał do domu, żeby odebrać poród. Nie ma wątpliwości, że się nie spieszyłem. A kiedy wymierzył mi klapsa, żebym zaczął płakać, posłałem mu gniewne spojrzenie.

W późniejszych latach, kiedy sprawy przybrały gorszy obrót, matka powtarzała, że od samego początku nie aprobowałem stylu życia ojca.

Czasami protestowałem, że wcale tak nie było. Ale prawda wyglądała tak, że ojciec mnie nudził, a z nudy wyrastała ogromna pogarda. Nienawidziłem postbrytyjskich klubów z ich żalonymi sezonowymi tańcami na drewnianej podłodze w rytm *These Boots Are Made for Walking*, pokojów bilardowych z przylizanymi chłopaczkami i starzejącymi się markierami zakładającymi się o naparstki whisky, chudonogich mężczyzn i grubonogich kobiet w białych sportowych koszulkach i butach do tenisa, machających rakietami i motających się po boisku do badmintona, zatechłych barów z facetami w średnim wieku dostających fallicznej swędziawki od siedzenia na stołku barowym. Nienawidziłem infan-

tylnych dowcipów, które opowiadali, i poufałości, z jaką klepali mnie po plecach. Nienawidziłem łuszczących się ubikacji, zawsze usytuowanych w jakimś miejscu z dala od gwaru, gdzie faceci podejrzanej konduity — wujowie — mogli zagnać mnie w kozi róg i wsadzić mi w szorty spocone łapy, a potem brać moją rękę i wsadzać ją sobie. Nienawidziłem tego, jak ogromni i tłuści, i rozpaleni, i wilgotni, i nachalni potrafią być mężczyźni. Nienawidziłem swojej bezsilności w takich chwilach.

I tak to było z moim ojcem. Nudził mnie i powoli z nudy rodziła się głęboka pogarda. Świat sprzedaży mydła, wyrabianie marek, rozumienia rynków nic dla mnie nie znaczył. Nie mogłem znieść jego gadek o zarządzaniu, marketingu i zyskach. Za każdym razem, kiedy wracał z objazdu i zaczynał mówić o nowych wymaganiach klientów, które właśnie poznał, chciało mi się krzyczeć. Idea ciągłego analizowania ludzi jako konsumentów szokowała mnie. Zwykujące mydło. Ekskluzywna pasta do zębów. Szampon gwiazd filmowych. Miałem ochotę rzucać talerzami o ścianę, przewrócić stół, przy którym jedliśmy obiad, odtańczyć shimsham.

On w zamian uważał mnie za dziwadło. Nieodmiennie opluwał książki, które czytałem. Początkowo chowałem je pod materacem, między szkolnymi podręcznikami i wśród ubrań w szafie. Zawsze z dużym namysłem umieszczałem je tam, gdzie nie mogły być znalezione. A potem minęły lata, przestałem się bać i ustawiałem sterty w całym pokoju, a nawet na rezerwuarze w toalecie. Wchodził, spoglądał na niego znad książki, którą czytałem; obrzucał każdy stos miążdżącym spojrzeniem, mamrotał coś pod nosem i wychodził.

Nie przepuszczał też żadnej okazji do robienia złośliwych uwag o chłopcach słabych jak kobiety. Chłopcach spędzających czas na czytaniu „głupawych powieści”. Chłopcach niepotrafiących zapiąć rozporka. Chłopcach bez przyszłości.

Byliśmy po prostu niepołączeni. To, że byliśmy na siebie skazani, stanowiło jeden z przykrych faktów w życiu.

Lepiej czułem się z matką. Nie ferowała sądów. Właściwie przeżyła życie, będąc obiektem oceny. Mogłem siedzieć i rozmawiać z nią godzinami o jej dzieciństwie, jej szkolnych latach. O takich sprawach, przy których serca pękają wszystkim synom, w chwili gdy zaczynają rozumieć. Przejście od dziewczęcych radości, igraszek, fantazji do ogłuszającej duszę rutyny, kiedy rodzice i tradycja, i klan spiskują, żeby zrobić z drzewa kartonowe pudło.



Zapakować i zamknąć wszelkie możliwości stwarzane przez życie.

Spojrzałem na jej zdjęcie w sepii: uczesana w warkocz, śmieje się do rozpuku, z nowymi połyskującymi bransoletami na przedramionach, a potem przyjrzałem się jej dzisiejszym posępnym oczom i serce mi pękło. Stracone lata. Drzewo zostało pocięte i przerobione na tekturę, mimo że zaczynało rosnąć. Stracone życie. Zdarzały się dni, kiedy po rozmowie z nią leżałem na łóżku i myślałem, że gdybym miał tylko jedno życzenie możliwe do spełnienia, oddałbym jej te wszystkie lata, co do jednego, zabrałbym od niej ojca i każdego innego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek znała, i przeniósł ich gdzieś daleko.

Nawet teraz, gdy to piszę, a cała ta sprawa dawno się skończyła, nie potrafię myśleć o niej inaczej, jak tylko o dziewczynie z warkoczami, roześmianej, połyskującej bransoletami, i czuję, jak pustka wypełnia mi serce. Muszę wstać od biurka i iść na spacer. Wspiąć się do zbiornika wody i spojrzeć na dolinę, pozwolić, by spokój ponownie się we mnie rozgościł.

Nauczyłem się nie myśleć o niej.

Żalu nie powinno się kultywować. To kiepski sposób na życie.

W miastach takich jak Bareli i Dźhansi, i Allahabad byłem jej kompanem. Towarzyszyłem jej, gdy szła do lekarza, do kina, na bazar. Najbardziej jednak lubiłem chodzić z nią trzy razy w tygodniu na targ warzyw. Wątpię, czy ojciec zrobił to choć raz w życiu. Pewnie nie licowało to z jego pozycją społeczną. Niosłem zielony plastikowy koszyk i pomagałem wybierać i kupować. Podobała mi się faktura skórek warzyw i owoców. Pieściłem je z upodobaniem. Papryka, pomidory: końce palców. Kapusta, jabłka: pełna dłoń. Mango: nos. Kokosy: ucho.

Ponad wszystko jednak uwielbiałem wysokie śpiewne nawoływania przekupniów: Kalafiory, ziemniaki. Ziemniaki, kalafiory. Cebule po rupii. Jedzcie, szanowni państwo! Wiele zawołań przypominało dokonania klasycznych muzyków Hindu-stanu, tworzących fascynujące nowe kanony za pomocą tych samych słów. Łagodne, niskie, wysokie, rozciągnięte, przyśpieszające, kłusujące, galopujące. Bhindi-tori, bhindi-tori, le le bhindi, le le tori, tori le le, bhindi le le, le le bhindi, le le tori, tori-bhindi, bhindi-tori, thodi bhindi, thodi tori, tori-bhindi, bhindi-tori. I będą tak nawoływać, aż pogrążą się w transie skandowania, i kiedy zamknie się oczy, łatwo wyobrazić sobie, że jest się w szkole muzycznej, gdzie uczniowie rozgrzewają struny głosowe.

Kolory także miały znaczenie. Prawdę powiedziawszy, im byłem starszy, tym bardziej kolor jedzenia stawał się dla mnie równie ważny jak jego smak. Nie znosiłem warzyw, które były ugotowane na brązowoszarą papkę. Lubiłem lśniącą zieloną okrę, połyskującą żółtą masur dal, błyszczącą dynię, plastry arbuza, kostki pomarańczowej papai, niepokrojone czerwone jabłka, zielone niczym liście guawy, białe jak śnieg twarożki.

Tak samo jak kubkami smakowymi, lubiłem delektować się potrawą oczami.

To był dar, jaki otrzymałem w Salimgarhu. Z jego otwierającymi się szeroko panoramami, ścielącymi się polami gorczycy i ciecierzycy, i trzciny cukrowej, i pszenicy, gajami guawy i jujuby, i mango, sadzonymi, rosnącymi i dojrzewającymi plonami zbóż i warzyw, stadami bawołów i wołów, i jedynym osamotnionym koniem. Krajobraz z żyłastymi wieśniakami, ziemnymi smakami i brakiem jakiegokolwiek sztywnej etykiety. Gospodarstwo bibi Lahauri było cudowne. Dokładne przeciwieństwo naszego kupieckiego domu, z jego obliczeniami stanu sprzedaży mydła i analizowaniem psychologii konsumenta.

Jako dziecko jeździłem do Salimgarhu każdego lata i każdej zimy, jednak ostrych. Latem przez większość dnia nie można było wyjść z domu boso i trzeba było się ratować niezliczonymi szklankami mleka pół na pół z wodą, wymieszanego z mnóstwem cukru i dużymi kawałkami lodu, odrąbanymi od wielkiej bryły, którą co rano przywożono z miasta w worku z trocinami. Zimą nie dawało się dotknąć wody bez uprzedniego podgrzania. I to właśnie w Salimgarhu nauczyłem się pić herbatę z mlekiem, bo w kuchni parzono ją nieustannie dla niekończącego się pochodu gości i robotników, którzy trzymali mosiężne czarki z naparem w obu dłoniach i dotykali nimi twarzy, by ogrzać zmarznięte policzki, wydechając przy tym kłęby pary. To właśnie tam odkryłem, że surrárma wyjątkowy smak. Wszyscy w Salimgarhu, z bibi Lahauri włącznie, robili surrrrr.

Zawsze też przyjeżdżałem do Salimgarhu z dziesiątkami książek i przez wiele godzin przesiadywałem w domu, zakopując się w papierach. Ponieważ ojciec nie lubił odwiedzać gospodarstwa ani własnej matki, mogłem to robić bez przeszkód.

Kiedy jednak wychodziłem na dwór — wczesnymi rankami i późnymi wieczorami latem, południami zimą — włączyłem się po polach i nic więcej. Chodzenie wąskimi kanałami było zabawne. Można było wymyślać zabawy. Liczyć kroki pomiędzy rogami, wracać, przeskakiwać całą długość pola na jednej nodze. Rankami

parobcy przynosili gałązki miodli, żulem jeden mężnie, aż rozpadał się na strzępy, potem wypluwałem wszystko i myłem zęby szczotką. Bibi mawiała wtedy: Takich synów poczęli moi synowie! Założę się, że podcierają tyłki papierem po tym, jak umyjają je wodą!

W niektóre dni, tylko po to, żeby poczuć się macho, chodziłem z wiejskimi chłopakami robić kupę na otwartym powietrzu. Niedaleko wyschniętego koryta rzeki, tuż za granicami naszego gospodarstwa, była polanka wyznaczona do tego celu. W samym korycie rzeki posadzono melony. Sralnia była sucha i spalona słońcem, z dołami, wzgórkami i kępami ostrego jak brzytwa sitowia. Rozchodziliśmy się, znajdowaliśmy dla siebie dziewicze kępy i nie przerywając rozmowy, robiliśmy swoje. Każdy miał ze sobą butelkę wody i w drodze powrotnej, stojąc w mokrym błocie przy pompie, zwykle myliśmy ręce. Narzekałem na ten rytuał. I natychmiast po powrocie do domu gnałem na złamanie karku do łazienki i sięgałem po twardą czerwoną kostkę mydła Lifebuoy.

Tuż za miejscem, gdzie kucaliśmy, po drugiej stronie wyschniętego koryta rzeki, znajdowała się ziemia niczyja. Rosły na niej gęstsze krzaki, a wysoka i ostra trawa tworzyła niemal nieprzerwany mur. Tam właśnie załatwiały się kobiety. Jej świętość była przestrzegana bardziej rygorystycznie niż w hotelowych łazienkach z lśniącymi królowymi narysowanymi na drzwiach. Niemniej czasami, walcząc z drętwieniem nóg, widywałem przez przerwy w murze z trawy jasną skórę przykucniętych postaci i czułem nagłe przyśpieszenie tętna.

Właściwie to nie znosiłem tych wypraw, głównie z powodu fizycznego dyskomfortu. A ponieważ potrzeba dostosowywania się do czegokolwiek powoli we mnie zanikała, w ogóle przestałem brać w nich udział. Inną rzeczą, której nienawidziłem, było chodzenie po polach trzciny cukrowej. Liście przecinały skórę. Ale w tamtym czasie trzcina rosła na tak ogromnej powierzchni, że nie udawało się uniknąć maszerowania przez jej gęstwiny.

Trzcina w Salingarhu naznaczyła mnie na dobre. Jako dziecko żulem patyczki z trzciny cukrowej, piłem sok i bez końca objadałem się lepkiem gurem, który wrząc, gęstniał w wielkich kadziach w północnym rogu gospodarstwa pod dwoma ogromnymi drzewami mango. Zęby zaczęły mi się wcześniej psuć i nigdy nie przestały. Moje życie ma trzy lejtymotywy: książki, Fizz i ból zębów.

Środki przeciwbólowe — aspiryna, combiflam, brufen, oraz domowe remedia — goździki, rozcieńczony olejek goździkowy, woreczki z lodem, kompresy z rozgrzanej cegły. Już w dzieciństwie wypróbowałem je wszystkie.

Zanim stałem się nastolatkiem, nauczyłem się radzić sobie z bólem zębów, jak mistrz surfingu radzi sobie z falami oceanu. Z łagodnym bólem mogłem żyć przez większość czasu. Całymi dniami ssałem bolący ząb, wyciągając z niego bolesność, smakując jednocześnie słonawy smak krwi i ropy. Nocą kładłem policzek na pięści i dociskałem do poduszki. Życie jakoś się toczyło. Z czasem doskwierający ząb jakoś się uspokajał. Przechodzenie od normalności do bólu i z powrotem było jak przemieszczanie się od gładkich fal do bałwanów i z powrotem.

Ale w dni, kiedy uderzał szkwał i zepsuty ząb odsłaniał nerw, i fale stawały się burzowe, i ból stawał się ostry, dawałem z siebie wszystko. Pulsowanie było tak niesamowite, że nie pozwalało się odizolować w ustach, i czułem, że czaszka za chwilę mi eksploduje. Musiałem wtedy zamknąć się w sobie, odciąć zmysły i jak wszyscy wielcy sportowcy przybyć z wolna pośród gorączkowej aktywności do ośrodka spokoju zen. Z niezmaconym opanowaniem wpływałem na wielką falę, a kiedy się rozbijała, krążyłem spokojnie aż do pojawienia się następnej. Wycofywałem się do zacisznej części domu, zamykałem oczy i surfowałem. W takich chwilach nawet najmniejszy hałas, najdrobniejszy ruch mogły zaburzyć równowagę i mnie przewrócić, a przeszywający ból sprawiał, że niemal traciłem przytomność.

Ostatecznie uzależniłem się od bólu. Czasami, kiedy fale przycichały — kiedy siedziałem w cichym zakątku i surfowałem — drażniłem nerw końcem języka i jak tylko pulsowanie zadudniło mi w czaszce, zaczynałem jazdę. Rozkoszowałem się bólem, rozkoszowałem się spokojem. Ból, spokój. Pulsowanie, odpłynięcie. Ból, spokój. Pulsowanie, odpłynięcie.

Kiedy człowiek opanuje tę sztukę po mistrzowsku, przestaje surfować po niebezpiecznych wodach od przypadku do przypadku, sam zaczyna ich szukać.

Ale nawet mistrzowie kończą kiedyś karierę. Na początku lat dziewięćdziesiątych, jak myślę, doszedłem do krańca swoich możliwości. Moje zęby przestały już być tylko sprawą bólu i surfowania. Popsuły się na tyle, że nie było z nich żadnego pożytku, jak u starego człowieka. Kilka połamało się, ukruszone kawałki odpadały w trakcie posiłku. W niektóre dni, gdy ją całowałem, Fizz narzekała, że kaleczą jej usta. Jadłem tylko lewą stroną twarzy, pra-

wa stała się polem minowym otwartych nerwów i zdradzieckich pieńków. Nie mogłem nawet marzyć o ugryzieniu twardej czekolady lub surowego owocu.

Powinna się mną zająć solidna firma budowlana.

Salingarh obdarował mnie permanentną zębną agonią, ale jednocześnie dal mi ceną lekcję wytrzymałości.

Choć przy bibi rzadko mieliśmy czas na nudę, obserwowanie jej pozwoliło mi po raz pierwszy się przekonać, że płeć i rozmiary nie mają nic wspólnego z siłą. Gruboskórni wieśniacy, przysadziści właściciele mieszkań do wynajęcia, ubrani w garnitury urzędnicy państwowi, tłuści handlarze, umundurowani policjanci przychodzili do niej po radę i pomoc. Siadali na brzegu krzesła na werandzie, mówili z szacunkiem, łagodnie się spierali, po czym wychodzili z wy-lewnym salaam i głębokimi ukłonami. Bibi zawsze przedstawiała swoje zdanie, nie podnosząc głosu. Nieprzyjemnie odnosiła się tylko do mojego ojca. Tak bardzo pogardzała jego otłuszczeniem, duszy i ciała. Nazywała go pappu-tappu, żonglując obrazami nadąsanych grubych chłopców. Ojciec nienawidził wyjazdów do Salingarhu. Uważał, że matka jest obłąkana, ma kamień zamiast serca i hysia na punkcie kontroli.

Czasami, kiedy dopiero co został obrażony uwagą o pappu-tappu, wpadał we wściekłość i mówił: Jestem pewny, że to ona wykończyła synową.

Teraz bibi Lahauri sama umierała. Zwyródniałe komórki przejmowały jej ciało. Prześwietlenie ukazywało białe cienie. Lekarz trzymał kliszę przy cienkiej jarzeniówce, zdjął okulary, objął ramieniem wnuka jej siostry — Anila, mojego kuzyna, który dorastał w gospodarstwie, wychowywany przez nią po śmierci ojca zabitego w wypadku — i powiedział mu, żeby zabrał ją do domu i zadbał o jej wygodę.

Doktor także był stary. Znał bibi Lahauri całe swoje życie. Wielka stalowa tablica przed jego kliniką informowała, że jest wpisany do rejestru praktykujących lekarzy. Ale on nie był jednym z małomiasteczkowych medyków, na których zabicie kilku pacjentów każdego tygodnia nie robiło wrażenia. Właściwie nie zachowywał się jak typowy lekarz, choć o medycynie wiedział wszystko, co można było wiedzieć. Ze stu podręczników nie sposób się nauczyć więcej niż od tysiąca pacjentów. Doktor zaś dbał o zdrowie dziesiątków tysięcy.

Cale drzewa genealogiczne przechodziły przez jego ręce. Narodziny i zgony tych, którym pomagał przyjść na świat. Sam byłem u niego z czyrakami i gorączką, ojca leczył z dyzenterii, grypy, wrzodów żołądka i zranień. Syn i córka doktora praktykowali w amerykańskich szpitalach, w Los Angeles i Bostonie, mieli specjalizacje w neurochirurgii i ortopedii. Jednak żadne z nich nie potrafiło pomóc pacjentowi słowem i dotykiem tak jak on.

Powiedział kiedyś do starej kobiety: Ciociu, nic ci nie jest. To drobne zapalenie. Przepisuję ci kilka leków. Nie przejmuj się tym na razie.

Staruszka stała się mniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Nie ważyła więcej niż trzydzieści pięć kilogramów. Można było ją podnieść jedną ręką jak dziecko. Wiedziałem. Kiedyś to zrobiłem, dla żartu. Była także bardzo kobieca, a jej skóra przywodziła na myśl czerpany papier. Pomięty, ale nie kruchy. Nos i usta zdradzały, że kiedyś musiała być piękną kobietą. Teraz maleńkie delikatne niebieskie żyłki na czerpanym papierze jej skóry czyniły z niej dzieło sztuki. Jednak przed wizerunkiem nieprzydatnej nikomu delikatności ratowała ją broda, zdecydowanie wysunięta ku przodowi, i niebieskie oczy, nadal świadczące o nieustępliwości. Z pewnością nie kojarzyły się z wodą, tylko raczej z niebem.

Nawet w chorobie nadal była głową rodziny. Ośrodkiem jej świata.

Spojrzała lekarzowi prosto w oczy. Zawsze był człowiekiem opanowanym. Widziała go, jak bawił się z jej synami na podwórzu. Jego matka, która przychodziła w marcu robić przetwory z warzyw i marynowane mango na początku lata, bez przerwy paplała o ogromnej cierpliwości Gattu. Mówiła, że kiedy był dzieckiem, co śmielsze żółte kurczaki zdiobywały ryż z jego nóg, gdy posilając się, siedział na ziemi. Jako dwulatek stał pewnego razu cierpliwie po łydki w wodzie na polu ryżowym przez ponad godzinę, aż parobek przyniósł mu wiadomość, że na farmie rośnie nowa sadzonka drzewa. Potem Gattu zachorował na polio i jako kaleka został daleko w tyle za kolegami, którzy dali stąd nogę — i to nie do jakiejś Kurukszetry, ale do dużych i jeszcze większych miast, Bombaju, Delhi, Madrasu i dalej, do Londynu i Nowego Jorku. Był znacznie starszy od Kewala i Kapila i dużo od nich bystrzejszy. Podczas gdy synowie bibi Lahauri chodzili do elitarnej szkoły w Adźmerze, on ukończył lokalne miejskie i państwowe szkoły.

Nigdy nie okazywał rozgoryczenia z powodu życia, jakie mu przypadło. Odnalazł spokój — znalazł swoje powołanie — w zmaganiu się z miejscowymi chorobami. Był z rodzaju ludzi, dla któ-

rych świat istnieje pod ich własnym drzewem i którzy nigdy nie czują potrzeby włączenia się po całym lesie. Budda zostania-w-domu.

Wiedział, że bibi już właściwie nie żyje. Dawał jej pół roku. Zapytała: Gattu, czyja umieram?

Odparł: Ja także. Tak jak my wszyscy, bibidzi. A potem roześmiał się i dodał: Czy cokolwiek dałoby radę cię zabić? Umrzesz, jak Indie i Pakistan ponownie będą jednym.

Powiedziała: Zabiłabym się sama, gdybym miała doczekać tego dnia.

Kiedy przysłała miesiąc później, zmiany się spotęgowały. Czuła się słabsza, ale nie przyznała się do tego. Gattu opowiedział mi potem to wszystko. Jej wytrzymałość go onieśmiała. Po obejrzeniu wyników drugiego prześwietlenia odjął dwa miesiące od pierwotnej diagnozy. Ale bibi przeżyła jeszcze kolejne półtora roku tylko siłą woli.

O raku dowiedzieliśmy się sześć miesięcy po jego wykryciu. Matka zadzwoniła. Ale nie zachęcała mnie do odwiedzenia Salimgarhu. Moja złość ostudziła się wiele lat wcześniej, a ja czekałem, żeby ktoś mnie szturchnął. Myślę, że matka nie bardzo wiedziała, jak bibi to przyjmie, może nawet nie umiała przewidzieć, jak ja zareaguję. Bibi także tego nie powiedziano, a moje niespodziewane przybycie na pewno by ją zaalarmowało i wzmogło jej czujność.

Fizz powtarzała, że powinienem był plunąć na te kalkulacje i pojechać. Życie to nie arytmetyka, to chemia. Trzeba wierzyć w alchemię rzeczy.

Słuchałem jej, ale nic nie zrobiłem.

Fiza!, powiedziała bibi Lahauri, kiedy podzieliłem się z nią najnowszymi wiadomościami.

Fiza! Muzulmanka! Pewnie wszystkie hinduski na świecie pomarły!

Niczego się nie nauczyłeś, beznadziejny głupku? Po moim trupie!

Byliśmy w Salimgarhu. Na podwórzu. Przyjechałem, żeby jej powiedzieć. Bardzo ją lubiłem, była dla mnie ważna. Matka i ojciec, zawsze skrepowani w jej obecności, poprosili mnie, żebym pojechał i przekazał nowiny. Kiedy wysiadłem z lokalnego autobusu z Śahabadu i szedłem polną drogą prowadzącą do gospodar-

stwa, nie czułem żadnej obawy. Był wieczór. Słońce zmieniło się w czerwoną kulę i właśnie zachodziło. Druga w kolejności najpiękniejsza pora dnia na farmie. Najpiękniejszy był świt. Rześkie, chłodne powietrze, cienka warstewka drżącej rosy na wszystkim, najczystsze światło dnia, dym z palącego się w kuchni drewna, śpiewające wokół ptaki. Teraz widziałem kreski nowej nadziei w świeżo zaoranych polach i ostatnich oraczy wyprzegających woły. Każdy z nich pomachał, gdy mnie zobaczył. Ryżowce szły wzdłuż bruzd, oceniając pracę wykonaną w ciągu dnia. Z mangowego gaju dochodziło głośne krakanie, bo kruki konferowały przed usadowieniem się na noc. Pompy nadal pulsowały wodą. Niedługo i one ucichną. A potem, w środku nocy, jakiejś ręce obudzą je i zmuszą do ponownego pulsowania.

Matka i ojciec roztrząsali swoje obawy, ale nic z tego do mnie nie dotarło. Byłem jej ukochanym wnukiem, a poza tym w przypadku miłości i namiętności nie ma miejsca na dyskusje.

Zapomniałem, że mam do czynienia z kimś, kto nie doznał ani jednego, ani drugiego. Z kimś, kto zamienił to wszystko w życiową strategię. Była twarda jak skała, ale jednocześnie stała się kaleką. Miała talent do sukcesów, ale nie miała talentu do szczęścia.

Mogła pokonać bogów. Ale nie mogła ich dotknąć.

Fiza!

Niczego się nie nauczyłeś, beznadziejny głupku?

Pewnie wszystkie hinduski na świecie pomarły!

To prawda. Zawsze mówiła swoim synom i nam, że możemy robić z życiem, co nam się podoba, z jednym wyjątkiem, nie wolno nam się żenić z muzułmankami. Nawet hinduski z południa były w porządku, z innych kast były w porządku, a gdyby sprawy przybrały najbardziej ponury bieg, niechby to była chrześcijanka. Wszystko w życiu i w pracy było do przyjęcia, byle nie to. Żadna muzułmanka. Piersi i pizda nadal ją bolały od bagażu z tamtej podróży sprzed wielu lat. Nienawiść podsyciała jej siłę przetrwania.

Nienawiść zdeformowała jej życie.

Fiza!

Po moim trupie! Niech i tak będzie.

Opuściłem farmę bez wdawania się w kłótnie. Minęła dwudziesta pierwsza, ostatni autobus już odjechał. Poszedłem do Śahabadu głównym szlakiem drzewnym, a potem szosą, na której mijały mnie z warkotem samochody i autobusy, pędzące z maniacką furją. Pokonałem całe dwadzieścia kilometrów do Ambali, osłonięty niezgrabnymi, bladokórymi eukaliptusami. Na dworzec kolejno-



wy dotarłem przed świtem. Wokół rozchodził się zapach parathów smażonych w przydrożnych jadalniach. Do tego czasu moja złość stała się zimna i okrzepła. Bibi Lahauri miała doświadczyć jednej z niewielu porażek w życiu.

Ojciec usiłował później przemówić mi do rozumu, a potem, jak się wydaje, próbował przekonać ją, ale usłyszał jedynie, że jest jeszcze większym głupcem, bo spłodził głupka takiego jak ja. Powiedziała: O, tak, pappu-tappu, posłałam cię do wielkiej szkoły i stałeś się wielkim głupcem. Powinnam cię była trzymać tutaj. Zostałbyś jedynie małym głupolem. Cieszę się, że twój ojciec nie dożył chwili, żeby widzieć ciebie, twojego brata i waszych niezrównanie głupich synów.

Celnie uklute uprzedzenia ojca wyskoczyły z nor. Napadł na mnie. Powiedziałem mu, żeby się odpierdolił. Odpłacił mi taką samą grzecznością. No i bardzo dobrze. Długa bolesna szarada dobiegła końca. Nic już nas nie łączyło.

Matka przemieszczała się w tle niczym wahadło.

Od tamtego dnia nie widziałem już bibi Lahauri. A niedługo po ślubie przestałem także widywać się z ojcem. Matka odwiedzała nas od czasu do czasu, a ja wypytywałem ją wtedy o ich dwoje, bibi i ojca. Ale wiedziałem, że od tamtej pory bibi ani razu o mnie nie wspomniała. Matka utrzymywała, że moje odseparowanie się zostawiło głęboką bliznę w jej sercu. Nie miałem na to żadnych dowodów i nie wierzyłem, że to prawda. Bibi Lahauri patrzyła, jak patroszą jej męża, i zaraz potem, z pozbawioną sentymentalizmu operatywnością, obłożyła go drewnem, polała ghi i spaliła. Ludzie tacy jak ona negocjują życie, nie kontemplują go.

Całkowicie wyzbyta pożądaniami. Przeklęta jego nieobecnością.

Muszę się przyznać, że wspomnienia o niej zaczęły w końcu we mnie zanikać. Lata, kiedy ją uwielbiałem, powoli budziły jedynie zgorzkniałą w pewnym sensie ocenę. Nie byłem pewny, czy mądrze jest pochwalać bezwzględność — nieważne, jak bardzo cenną przy przetrwaniu — która nie zostawiała miejsca na żadne uczucia.

Jak gruba może być skóra ocalonego człowieka, nim zmieni go w nieczuły kamień?

Nie umarła, mimo że minęło sześć miesięcy dawane jej przez Gattu, i nadal żyła po kolejnych sześciu. Nabrałem wówczas przekonania, że nie ma zamiaru schodzić z tego świata. Uwierzyłem, że po prostu poradzi sobie z rakiem, tak jak radziła sobie ze wszystkim innym. Przestałem rozważać możliwość wybrania się do niej z wizytą.

Tak więc już się z nią nie zobaczyłem. Mimo wcześniejszych ostrzeżeń nikogo nie było przy jej śmierci. Synowie odwiedzali ją — cynicznie — ale nigdy nie zostawali. Powodował nimi obowiązek, nie troska. Ona, oczywiście, była zbyt dumna, żeby kogokolwiek poprosić o pomoc. Nawet młodego Anila, który z nią był i spał we wnęce obok jej pokoju. Powiedział mi, że nocami patrzył, jak skulona bólem wlokła się przez pokój do ubikacji. Rak zaatakował jej wnętrzności, a brak kontroli nad czynnościami fizjologicznymi przerażał ją. Starła się to ukryć. Krzesła resztki sił, żeby przemieszczać się bezgłośnie. Anil musiał udawać, że śpi. Wyprawa do łazienki i z powrotem zabierała jej dużo czasu, a kiedy przysypiał, budził się i widział, jak podejmowała kolejny wysiłek.

Zabrałem Fizz na ceremonię kremacji. Przybyła tam cała wieś i jeszcze jacyś ludzie, wypełniając podwórze i polną drogę prowadzącą do zagrody. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy i młodzi, wieśniacy, handlarze, urzędnicy. Z powagą uściskałem się z dziesiątkami ludzi, których znałem od bardzo dawna. Oczywiście wszyscy mnie pamiętali. Marnotrawny wnuk, który odwrócił się od bibi przez muzułmańską dziewczynę. Wielu mężczyzn, wiele kobiet — niektórzy z nich nosili mnie na rękach, gdy byłem mały — wzruszali się i płakali głośno na mój widok. Fizz zakryła głowę szalem. Niektórzy odruchowo obejmowali także ją. Ich ubrania pachniały kwaśno potem i dymem drzewnym.

Bibi Lahauri została położona na centralnym podwórzu. Monotonne zawodzenie wypełniało przestrzeń. Grupa starych kobiet opłakiwała ją z wprawą zawodowców, rytmicznie uderzając się w piersi. Matka objęła nas. Oczy miała opuchnięte. Ubrany w czarny garnitur ojciec wydawał się spokojny. Uścisnął mi rękę, a potem trochę niepewnie wymienił uścisk z Fizz. Choć mężczyźni i kobiety siedzieli oddzielnie, trzymałem Fizz blisko, obok siebie.

Kiedy Anil mnie obejmował, powiedział, że bibi obudziła się rano na siusiu, zawołała go, poprosiła, żeby zdjął ją z łóżka i położył na podłodze. Wiedziała, że jej czas dobiegł końca. Powiedział, że nie zdążył wyprostować nóg, kiedy już odeszła. Ostatnie słowa, które wypowiedziała, brzmiały: O Sansarze Ćandzie, kazałam ci czekać, prawda?

Wszyscy byli zgodni, że była to największa procesja pogrzebowa za ludzkiej pamięci. Razem z jej dwoma synami, Anilem, manhattańskimi kuzynami Kunwarem i Tarunem wzięliśmy ją na ramiona. Była lekka jak piórko. Miało się wrażenie, że niesie-

my kijki bambusowe. Na miejscu kremacji, znajdującym się tuż za wsią, panował ścisk. Bardzo wielu ludzi przykucnęło na niskim murze z cegły wyznaczającym granice osady. Kiedy zastępca komendanta policji przyjechał białym ambasadorem, tłum zafalował. Był stosunkowo młodym mężczyzną w kremowej koszuli i okularach w złotych oprawkach. Przeszedł pomiędzy rozstępującymi się żałobnikami niczym magnat odwiedzający poddanych. Kilka osób wystąpiło do przodu i dotknęło jego kolan. Niósł bukiet kwiatów — tuberozy, gladiole, goździki. Skierował się prosto ku mojemu ojcu i stryjowi Kewalowi — obu w nienaganych czarnych garniturach i krawatach — i z powagą wymienił z nimi uścisk dłoni. Odwróciłem wzrok, kiedy rozglądał się, żeby sprawdzić, czy powinien jeszcze komuś złożyć kondolencje. Kapłan zaczął obrządek pogrzebowy.

Po tym, jak stryj Kewal uderzył ją w głowę drewnianym poprzecbuchającym ogniem, wszyscy umyli ręce pod pompą i każdy wziął gałązkę. A potem na polnej drodze za wsią, falanga za falangą, niczym rzymscy legionieści, ukłękliśmy, zwróceni tyłem do trzaskającego ognia, i gdy kapłan dał znak, złamaliśmy gałązki i rzuciliśmy je do tyłu przez ramię. Nasze więzi z płonąca za nami kobietą zostały zerwane. Cykl życia się dopełnił.

Kiedy się odrodzi, wejdzie w nowe związki z nami wszystkimi. Wyrówna stare długi. Transakcje z tego życia i wcześniejszych. Dawanie i branie.

To właśnie męczennik Abhimanju powiedział swemu niegdysiejszemu ojcu, wielkiemu Ardżunie, który przyszedł do pałacu Indry, króla bogów, w poszukiwaniu zmarłego syna. Młody Abhimanju, liczący wszystkiego czternaście lat, został zabity w czasie wspaniałej walki, jaką stoczył z hordą najpotężniejszych wojowników Kaurawa, bo ośmielił się wejść do koła zagadek, choć nie wiedział, jak stamtąd wyjść. Młody Abhimanju to wieczny wzór dla wszystkich dzielnych mężczyzn, którzy postępują właściwie, choć nie znają dróg ucieczki. Młody Abhimanju, grając w szachy z bogami, zapytał zrozpaczonego ojca, Ardżunę, sprowadzonego tam przez Krysznę: Z jakiego powodu zalewasz się Izami, człowieku? I kim jesteś? Na co Ardżuna powiedział: Jestem twoim ojcem i płaczę z powodu twojej przedwczesnej śmierci. Na co, pośród wybuchów śmiechu, Abhimanju odparł: Byłeś moim ojcem! A w wielu poprzednich wcieleniach ja byłem twoim! Nie zachowuj się bezmyślnie. Podałem się prawu karmana. Wypełniłem swój obowiązek jako wojownik i umarłem z honorem w walce. Ty, człowieku, wracaj i rób swoje!

W nowej sztuce otrzymamy nowe role. Bibi Lahauri i ja. I znowu zajmujemy się podsumowywaniem. Wyrównamy rachunki.

Ociągałiśmy się z Fizz, podczas gdy reszta żałobników odchodziła. Podeszliśmy do ceglanego murku i usiedliśmy. Ponieważ był niski i niewykończony, łatwo było na nim znaleźć wygodne miejsce. Panowała godzina ostatek światła i szwadrony rozszczebiotanych papużek aleksandrett leciały z powrotem do bazy. Drzewa tętniły życiem — figowce, mango, miódle, fikusy, tamaryszki — były terenem wzmożonej aktywności. Nietykalny, który dbał o miejsce do kremacji, wrócił do szopy w odległym rogu i pomagał żonie rozpalic ogień do ugotowania posiłku. Jego dwaj synowie, bos, w luźnych szortach, bawili się marmurowymi kulkami na wzniesieniu, gdzie odbywały się kremacje. Siedziałem, trzymając Fizz za rękę, a po jakimś czasie szary popiół bibi Lahauri zaczął wirować w powietrzu i osiadać na naszych ubraniach.

Kiedy zapadł zmrok, wstaliśmy bez słowa i ruszyliśmy w kierunku gospodarstwa. Bibi nadal paliła się pomarańczowym płomieniem, a mniejszy żarzący się punkt tworzyło ognisko nietykalnego, w rogu miejsca kremacji. Nad naszymi głowami widać było kreski przelatujących czarnych nietoperzy.

Tymczasem na farmie grupki przyjaciół i krewnych siedziały praktycznie wszędzie. Panowała atmosfera odprężenia i spokoju. Krążyły szklanki z herbatą. Dwóch osieroconych braci było w środku, w salonie, i popijało whisky. Prawdopodobnie poruszyli temat logistycznych implikacji odejścia bibi. Poszedłem i usiadłem z Gut-tu, on zaś opowiedział mi historię ostatnich osiemnastu miesięcy. Zjedliśmy potem obiad, a ja powiedziałem matce, że muszę jechać. Zrozumiała. Anil odwiózł nas nowym niebieskim maruti doktora na przystanek autobusowy w Pipli. Mocno go uściskałem. Był młody i miał w sobie wiele dobra.

Usiedliśmy na betonowej ławce, obleganej przez bzyczącą chmurę komarów. Tworzyły spiralę nad naszymi głowami, a kiedy się przemieszczaliśmy, spirala poruszała się z nami. Z wielu autobusów z łobuzami za kierownicą, które przejeżdżały obok, jeden się zatrzymał. Był to wytrząsacz należący do Haryana Roadways. Zajęliśmy miejsca z tyłu. Trzymałem ją za rękę i nie odzywałem się słowem przez trzy godziny, bo tyle trwała podróż do Międzystanowego

Dworca Autobusowego w Delhi. Kiedy dotarliśmy do domu, minęła północ.

Poruszałem się w niej z przyprawiającą o szaleństwo miłością, wypełniającą mi głowę — oczyszczałem się z tego długiego dnia — kiedy Mistrz Ullukapillu zaczął pohukiwać.

Położyła powstrzymującą rękę na moich plecach, a ja zastygłem.

Powiedziała: Mówi, że dobrze jest, jak jest.

Pocałowałem ją pod prawym uchem, wciągając jej ciało do ust, zmuszając ją do powolnego ruszania głową.

Tak, powiedziałem. Mistrz ma rację, dobrze jest, jak jest.

Jak pokażą nadchodzące lata, Mistrz Ukp był prorokiem z piekła rodem.

Księga trzecia  
ARTHA: PIENIĄDZE

## DOM NA WZGÓRZU

Kiedy matka zadzwoniła do mnie z nowinami, od śmierci bibi minął ponad rok. Tymczasem Rajiv Gandhi został pożarty przez potwora, którego sam stworzył. Meczet Babera w Ajodhji, mitycznym miejscu narodzin Ramy, został rozniesiony gołymi rękami w efekcie manipulowania wściekłymi atawistycznymi emocjami — stwarzania nowych potworów, a moja powieść wszechświat-w-drobinie zabrnęła meandrami w ślełą uliczkę.

Boga przycięto do wielkości cegły.

Nasze kolektywne umysły ślizgały się pod naszymi kutasami.

A produkcja MPI — Manufaktury-Przywódcy-Idioty — szła pełną parą na złamanie karku.

Mnie, oczywiście, nie udało się wycisnąć nic więcej z niewinnego sikha i jego starcia ze współczesnym światem. Tak jak w przypadku poprzedniego maszynopisu, osiągnąłem etap, kiedy zabrakło mi ciała, które mógłbym podczepiać do kości moich koncepcji. Czułem teraz, że historia młodego świętego-wojownika bardziej nadawała się na opowiadanie. Ale ten gatunek w ogóle mnie nie pociągał, dlatego niczego nie mówiąc Fizz, prawie całkiem porzuciłem ten pomysł.

Tym razem wstydziłem się własnej porażki. Nabrałem przekonania, że dużo stracę w jej oczach. Najgorszy rodzaj mistrza fabuły. Pusty w środku gawędziarz. Rozpoczywałem wspaniałe projekty, których nigdy nie mogłem dokończyć. Fizz przeczytała część materiału i nie ustawała w dodawaniu mi otuchy. Ale ja już bardzo dawno utonąłem w otchłani moich wątpliwości. Zaczynałem się zastanawiać, jak ktokolwiek może pisać z niezachwianą pewnością siebie.

W niektóre dni, kiedy siedziałem przy biurku — odurzający zapach lakieru dawno już wywietrzał, wiele czarno-białych literowych oczu brothera wpatrywało się we mnie, szukając oznak inspiracji, mój umysł szamotał się, tropiąc jakąś fabułę — czułem, że nigdy nie uda mi się napisać niczego wartościowego. Miałem

przeświadczenie, że każde wystukane słowo zmierzało prosto ku księgozmarnej dziurze.

W odruchu rozpaczy sięgałem po Fizz i na krótko topiłem moją pustkę w jej ciele, a kiedy wracała ze wzmożoną intensywnością, szedłem do Fizz i topiłem ją ponownie. Jej namiętność, jej pożądanie scalały mnie. Zdarzały się jednak dni, kiedy moja potrzeba jej bliskości była tak nieprzerwana, że Fizz nie potrafiła sobie z nią poradzić. Oddawała mi wtedy po prostu swoje ciało, a ja odnajdywałem w nim ukojenie.

Często nękany wątpliwościami, źle spałem. Budziłem się, zdesperowany, pchany przymusem, by usiąść do brothera i sprawdzić, czy jeszcze coś we mnie jest. Leżałem w łóżku i bardzo starałem się odgadnąć, co Fizz o mnie myśli, i nie udawało mi się to. Wspominałem przeszłość, bo po raz pierwszy nie potrafiłem wyobrazić sobie przyszłości. W młecznym świetle nocy wsłuchiwałem się w cichy oddech Fizz, a potem zaczynałem wachać jej skórę w nadziei, że wymażę tym wszystko — pamięć, wątpliwości, własne istnienie.

Przez całe godziny całowałem nieśpiesznie jej ciało, wwąchiwałem się w jego głęboko ukryte, dobrze mi znane, wilgotne sekrety, odzyskiwałem poczucie bezpieczeństwa i odpływałem.

Pełna namiętność i pełny spokój. W ciele jednej osoby.

W którymś momencie, wiele miesięcy po powrocie z Salimgarhu, zapaliłem się do napisania powieści opartej na życiu bibi Lahauri. Nagle uderzyło mnie, że mam bogaty materiał, i to z własnego podwórka. Teraz, kiedy nie żyła, uznałem, że jej historia jest całkiem niezła. Tym razem jednak postępowalem ostrożnie. Zostawiłem powieść wszechświat-w-drobinie, żeby dogotowywała się powoli na brotherze, otworzyłem kołnotatnik i zacząłem spisywać wszystko, co wiedziałem o bibi. Dwa tygodnie później prze-grzebałem już każdy, nawet najbardziej zakurzony zakątek mojej pamięci i miałem zapełnione jedynie szesnaście stron. Znalazły się tam słowa, które słyszałem od niej przez całe lata, i wszystko, co zdołałem sobie przypomnieć. W najlepszym przypadku kolejne opowiadanie.

Włożyłem kołnotatnik do szuflady biurka i wróciłem do wgapienia się w maszynę.

Fizz, i jej ciało, chroniła mnie przed utonięciem. Obzerałem się nią, żeby zapełnić każdy pusty dzień. Ale między nami sprawy nie układały się najlepiej. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy, niewiele rzeczy robiliśmy razem. Wina leżała całkowicie po mojej stronie. Kiedy mijał zapal, stawałem się kiepskim kompanem.



W domu byłem nieobecny myślami, marudziłem z powodu pisania, które mi nie szło, traciłem czas na kartkowanie książek i jałowe uderzanie w klawisze brothera.

Resztę czasu spędzałem w redakcji. Pograżony w letargu, ani nie walczyłem, ani nie umierałem. Dawno już zapomniany przez Bractwo Lśniących Żołądźludzi. Mój mózg rozpuszczał się powoli w szambie niepokoju i malejącej pewności siebie. Odsunąłem się nawet od towarzyszy broni z okopów. W niektóre dni z nikim nie zamieniałem nawet jednego słowa. Kiedy wychodziliśmy z Fizz i przyjaciółmi, tak naprawdę nie było mnie z nimi. Wiedziałem, że to zmyślony świat, który wkrótce przestanie istnieć. A moje życie zacznie się wtedy od nowa.

Albo raz na zawsze się skończy.

Stałem się ponury, wrogi. Wycofywałem się nagle w siebie, w połowie obiadu w restauracji, w połowie przyjęcia. Gdy ktoś usiłował się do mnie przebić, wstawałem i wracałem do domu. Bardzo często Fizz wracała ze mną. Jechaliśmy z hurgotem przez parną delhijską noc, ostrożnie wspinaliśmy się po krętych schodach do naszego barsati, siadaliśmy na tarasie, gdzie gałęzie płomienia Afryki ocierały się o beton, i nie zamienialiśmy słowa. Wtedy nawet Mistrz Ullukapillu nie był w stanie zachęcić nas do rozmowy.

W takich chwilach oboje z Fizz znajdowaliśmy się na różnych planetach.

Zadziwiająco, Fizz nie robiła z tego problemu, dając mi swobodę, jakiej według niej potrzebowałem.

Ale — niespokojna z powodu mojej huśtawki nastrojów — znalazła sobie coś, co odciągało jej uwagę. Odkryła telewizję. Proroctwo Philipa miało się spełnić i w dwa lata od wojny w Zatoce Perskiej telewizja kablowa pieniała się w indyjskich sypialniach jak kiedyś miesięcznice w starych butelkach po whisky w salonach naszych rodziców. Rozgrzewaliśmy się do rozrywki, która miała nas zabawić na śmierć.

Fizz, co dziwne, nie spodobały się seriale i teleturnieje. Za to CNN złapała ją na haczyk. W naszej sypialni ożył stragan z wiadomościami z całego świata. Ranek zaczynała, otwierając jego podwoje, a zamykanie go było ostatnią czynnością wieczorem. Biali mężczyźni i kobiety o włosach spod suszarek, głosach z amerykań-

skim akcentem i o trzeźwo-nagłym tonie, którzy komunikowali coś niesłychanie ważnego dla naszego dobra, byli z nami przez cały czas i doprowadzali mnie do szaleństwa. Nawet ich sport był mi obcy. Podawane w zawrotnym tempie wyniki rozgrywek amerykańskiego futbolu i baseballu nic nie znaczyły. Kiedy udawało mi się położyć łapę na pilocie, starałem się znaleźć stare hinduskie piosenki filmowe. Ale w chwili gdy wychodziłem, wracała CNN.

Fizz się uzależniła. Zbieranie informacji o bezsensownych tajemnicach świata, efemeryda, która nigdy nie powinna wkroczyć w nasze życie i która umierała w chwili, gdy się rodziła. Fizz śledziła rozdmuchiwane amerykańskie doniesienia o strzelaninach, porwaniach, projektach ustaw, wyborach, koncertach, awanturach, pożarach, ocaleniach, spotkaniach na szczycie, talk-showach, Wall Street, Manhattanie, Pentagonie, Beverly Hills, Dolinie Krzemowej, randkowych modach, implantach piersi — i niekończące się badziewie w stylu Mickey Mouse, tak się mające do naszego życia jak nawyki żywieniowe cesarza Bokassy. Ciekawe było to, że jadł na obiad własnych poddanych, ale poza tym co? Miło było wiedzieć, że Ameryka istnieje i ma własne problemy, podobnie jak my, ale poza tym co?

Często, gdy czytałem w łóżku, protestowałem zirytowanym spojrzeniem. Wyłączała wtedy głos i oglądała dalej. Patrzyłem na nią, a ona mówiła: Jak dużo czasu będę, twoim zdaniem, potrzebowała, żeby nauczyć się czytania z ruchu warg?

Czasami wracaliśmy dobrze po północy, pijani, zmęczeni. Padaliśmy na łóżko, a gdy zapadałem w sen, słyszałem kliknięcie i widziałem dobrze znaną niebieską poświatę CNN wypełniającą pokój. Coś nagłego musiało się gdzieś wydarzyć. Ameryka mówiła światu to, co powinien wiedzieć. Ścisząc głos do minimum, Fizz wysłuchiwała pełnego dziennika, zanim wyłączyła telewizor. Doszedłem do wniosku, że nadawanie wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu to choroba Zachodu, grożąca epidemią Orientowi. Należało ją wyeliminować jak ospę. Wywoływała świerzbienie, które na zawsze zostawi blizny na wrażliwości.

Moje próby wyjaśnienia tego Fizz spełzły na niczym.

Za każdym razem mówiła: Chcesz mi powiedzieć, że wiedza jest czymś niedobrym?

Nie, nie, nie, chciałem krzyczeć. To nie jest wiedza. To historyjki trzeciego gatunku. Odciągają od tych najważniejszych. Gdybyśmy słuchali wyłącznie opowieści snuty przed naszymi twarzami, przestalibyśmy słuchać tego, co mamy w głowach. To katastrofa!

Nigdy jednak tego nie powiedziałem, bo czułem się jak oszust, który przez wszystkie te lata nie potrafił wymyślić nawet jednej historii z gatunku tych najważniejszych.

W tym stanie zawieszenia, wywołanym wiadomościami CNN i redaktorskimi okopami, śmierci przy maszynie do pisania, ogólnego zniechęcenia, sporadycznego hiperseksu, któregoś wieczoru, późno, zadzwonił telefon. Tym razem dla odmiany na linii nie było zakłóceń. To była matka.

Oznażyła: Mam dla ciebie wiadomość.

Zapytałem: Usłyszałaś ją na CNN?

Odparła: Co takiego?

Kiedy odłożyłem słuchawkę, nie bardzo wiedziałem, jak powinienem zareagować. Na ekranie telewizora widać było mówiącego z ożywieniem, gładko wygolonego białego mężczyznę z wystającą dolną szczęką. Miał okulary w cienkich oprawkach i krawat w groszki. Potem nastąpiło kilka ujęć wielu białych ludzi w czarnych garniturach, z kontrolowaną agresją ściskających sobie ręce. Głos był wyłączony, więc nic nie słyszałem. Kolejne spotkanie na szczycie, jak przypuszczałem, by zagwarantować prawa bogaczy.

Fizz patrzyła na mnie pytająco.

Zapytałem: O co chodzi?

Odparła: Zamknij się i mów, co się stało.

Zsunąłem lewą nogę z łóżka, podszedłem do drzwi, włożyłem ręce do kieszeni i odwróciłem się.

Zapytała: Nowe nieszczęście?

Powiedziałem: Chyba jesteśmy bogaci.

Żeby nie przedłużać — bibi zostawiła mi część swojej posiadłości. Najwyraźniej istnieje granica karania za trudne do zaakceptowania małżeństwo, choć w indyjskiej tradycji ludowej wszelkie niedopuszczalne związki powinny kończyć się morderstwem albo samobójstwem.

Z tego, co powiedziała matka, kawałek był niewielki. Ale i tak przechodził najśmielsze wyobrażenia moje i Fizz. Kiedy obliczenia zostały zakończone, podatki odprowadzone, bakszysze wręczone, dostałem pięć milionów siedemset trzydzieści dwa tysiące siedemset czterdzieści rupii. Tyle kosztowało dwadzieścia akrów, które przypadły mi w udziale. Przy mojej obecnej pensji było to równe wynagrodzeniu za pięćdziesiąt lat pracy. Kiedy dałem

czek w banku Malayalee, kasjer, z wąsami wyglądającymi jak namalowane kredką i z obficie natłuszczonymi włosami, wstał i podał mi rękę przez kontuar. Po raz pierwszy wtedy uśmiechnął się do mnie.

Pomiędzy telefonem matki a nadejściem czeku minęły prawie dwa miesiące. Był to dziwny, pełen napięcia czas. Nie wpadliśmy w euforię. Czuliśmy się skrepowani nieoczekiwanym przyływem gotówki — i źródłem, z którego pochodziła. Czuliśmy się bogaci i jednocześnie pomniejszeni. Przez kilka pierwszych dni w ogóle nie poruszaliśmy tego tematu, każde z nas czekało, żeby to drugie ustaliło ton rozmowy.

Pewnego wieczoru, na tarasie, powiedziałem wreszcie: Powinienem odmówić?

Odparła: Oczywiście, jeśli masz się tym zamartwiać.

Chyba nie to chciałem usłyszeć. Chciałem, żeby zeszła z honorowej ścieżki i podsunęła mi przekonujące powody nieodrzczenia spadku. To ja chciałem być honorowym człowiekiem, prowadzonym dobrymi chęciami drugiej osoby.

Powiedziałem z irytacją: Nie zamartwiam się! Chodzi po prostu o to, że się z nią nie zgadzałem i nic mi się nie należy. Ale w takim razie nie należy się nikomu! Przecież żaden z pozostałych typków nigdy się z nią nie zgadzał, i to w żadnej sprawie!

Odrzekła: Jeśli tak właśnie czujesz, to bierz te pieniądze. Ale pamiętaj, żebyś o tym zapomniał, w chwili gdy je weźmiesz. Nie spędź reszty życia na zadreczaniu się tym.

Może w takim razie nie powinienem, zasugerowałem.

Przez całe tygodnie roztrząsaliśmy problem w ten sam sposób. Myślę, że oboje wiedzieliśmy, że odrzucenie tych pieniędzy nie wchodziło w grę, musieliśmy po prostu rozważyć tę sprawę między sobą, omawiając ją, aż pozbędziemy się dyskomfortu. Potrzebne nam było zapewnienie, że niechętnie przyjmujemy ten spadek.

Szczerze mówiąc, wątpliwości nie pozbyliśmy się nigdy. Ani dwa miesiące później, ani dwa lata później, nawet kiedy wszystko się skończyło. Szybko nauczyliśmy się o to nie kłócić, ale za każdym razem, gdy jedliśmy owoce nieoczekiwanej gotówki, niesmak utrzymywał się jeszcze długo potem.

\*

Zaczęliśmy od kupienia samochodu Gypsy. Niebieskoszary, dwudrzwiowy, z dachem i wielką klapą bagażnika z tyłu. Fizz

pierwsza nauczyła się prowadzić w jednej z tych garażowych szkół, których absolwenci sprawiają, że człowiek ma ochotę czołgać się przy krawężnikach, i zakłócają normalny ruch uliczny. Potem ona nauczyła mnie. Sprzedaliśmy motocykl. Wstydziliśmy się do tego przyznać, ale dobrze nam było w gypsy.

Trzymaliśmy się naszej umowy dotyczącej nieporuszania tematu pieniędzy, ale ich obfitość zaczynała mieć na nas wpływ. Przechodząc obok ekskluzywnych wystaw w pasażu handlowym w Wasant Wihar, zauważyliśmy luksusowe podwójne łoża z bokami, w których można było ustawić książki, i skończyło się na tym, że je kupiliśmy. Zainstalowaliśmy w gypsy doskonałe stereo Sanyo, z czterema głośnikami zamiast stosowanymi zwykle dwoma. Z twarzami pokerzystów kupiliśmy eleganckie wideo Panasonic z wielofunkcyjnym pilotem, dzięki czemu mogliśmy obejrzeć wszystkie klasyki, za którymi tęskniliśmy od dawna. Z przerażeniem przyłapałem się pewnego dnia na tym, że nie mogę się doczekać kolejnej wyprawy po zakupy: smutne odwrócenie uwagi od życia pozbawionego pisania.

Zdaliśmy sobie sprawę, że gnębi nas specyficzna rozterka. Jeśli nie będziemy wydawać pieniędzy, nadamy im niezасłużone znaczenie. Będziemy je trzymać jako coś ważnego. A to było straszne. Jeśli będziemy je wydawać, staniemy się spektakularnymi materialistami. Konsumpcyjną parą w odwiecznej algebrze zysków i strat mojego ojca. A to było straszne.

Więc żyliśmy w strachu przed nimi. Baliśmy się ich w banku. Baliśmy się ich w rękach.

Myślę, że baliśmy się, że zmienią nas i nie będziemy już tacy jak dawniej, nie będziemy żyli jak dawniej. Staraliśmy się trzymać normalności. Staraliśmy się udawać, że nie istnieją. Nie rzuciłem pracy. Fizz nie przestała redagować książek dla Dharma Books ani też nie odeszła od badań prowadzonych przez Panią Surową królową. W łóżku robiliśmy to, co kiedyś, robiliśmy nowe rzeczy i choć zasypialiśmy przytuleni ciasno do siebie, jak przedtem, teraz bez przerwy leżały między nami, wbijały się nam w żebra, dławiły serca i głosy.

Pięć milionów siedemset trzydzieści dwa tysiące siedemset czterdzieści rupii.

Byłem pewny, że gdyby ktoś nagle nam je odebrał, odczulibyśmy ogromną ulgę.

I w rzeczy samej ktoś to zrobił. Było to równie nieoczekiwane jak samo pojawienie się tych pieniędzy.

Fizz wróciła któregoś wieczoru z targu w Green Parku z gorą-

cymi samosami i dzalebi. Listopad stal za progiem, pogoda się zmieniała. Była niedziela, siedziałem na tarasie, z nogami na betonowej ławce, i zmagalem się z Dantem. Całe to historyczne chrześcijańskie pisanie o winie i raju nie miało dla mnie sensu. Bardzo prymitywna książeczka. Jeśli już musiałbym kupować jakiś bełkot o życiu po śmierci, to wolałbym wydać pieniądze na hinduskie karmiczne napuszone gładzenie. Jest tam tyle klasy i tyle miejsca na manewry. Zapasy kontra szachy. Żadnego przyszpilania sumienia w podwójnym nelsonie, tylko błyskotliwe kombinowanie, jak ono ewoluuje na wyższe poziomy. Kiedy weszła zarumieniona od chłodnego powietrza, z poruszającymi się, żywymi lokami, z ulgą odłożyłem książkę na bok. Grafik zaprojektował dla niej czarną okładkę: nawet wyglądem przywodziła na myśl złe wieści.

Fizz postawiła zawinięte w gazetę zakupy na ławce i poszła po talerz i butelkę sosu pomidorowego. Ja zaś wsadziłem rękę do opakowania z dzalebi i wyciągając jedno, spostrzegłem ogłoszenie. Znajdowało się tuż powyżej linii lepkich ciastek i zawierało informację o sprzedaży posiadłości na wzgórzu.

Wsadziłem dzalebi do ust i powoli oddarłem górę strony, bardzo uważając, żeby nie powalać papieru lepkim syropem. Kiedy Fizz wróciła, dzalebi leżały odpakowane, a z mojego palca wskazującego zwisał kawałek gazety. Położyliśmy go na ławce i przeczytaliśmy uważnie. Ogłoszenie było krótkie. Stara posiadłość w okolicy Najnitalu. Nie napisano gdzie. Na wysokości tysiąca sześciuset pięćdziesięciu metrów. Niewygórowana cena. I numer telefonu. Delhijski numer telefonu.

Przełożyliśmy dzalebi na talerz i rozdarliśmy całe opakowanie, obejrzelśmy je z obu stron, żeby ustalić datę druku. Niczego jednak nie znaleźliśmy. Pochodziło z rubryki drobnych ogłoszeń. Żadnego terminu. Żadnych dodatkowych informacji, które mogłyby stanowić jakiś ślad. Nie byliśmy nawet pewni, z jakiej gazety pochodziło, bo żadne z nas nigdy nie czytało drobnych ogłoszeń w gazetach, które kupowaliśmy.

Postanowiliśmy zadzwonić. Posprzeczałiśmy się. Padło na Fizz.

Rozmowa nie trwała długo. Odebrała kobieta. Ogłoszenie ukazało się trzy tygodnie wcześniej. Tak, na posesji rosną drzewa. Dom jest stary. Oczywiście, nadaje się do zamieszkania. Jeszcze jeden numer telefonu, do jej wuja. On załatwi transakcję.

Tym razem ja zadzwoniłem. Po długim wykrzykiwaniu usłyszałem wuja. Połączenie było fatalne. Mówił łamaną angielszczy-

zną z silnym indyjskim akcentem, nosowo, raz po raz wplatał słowa w hindi. Powiedział, że to fantastyczne miejsce. Pan wierzy mi, historyczny dom. Tak, ma drzewa. Pięknie położony. Zaraz obok drogi. Stare kamienne ściany. Stare drewniane podłogi. Tak, oczywiście, ma drzewa. Wiele, wiele rodzajów ptaków. I małpy, i langury. Pan wierzy mi, lamparty cały czas przełazą przez posiadłość. Czasem i tygrysy. Tygrysy? Tygrysy! Park Corbett jest blisko, proszę pana! Doprowadzony prąd. Woda źródłana jest. Ekdam saf. Ekdam mitha. Tak, tak, proszę pana, wiele jest tam drzew! Może pan przyjechać, kiedy pan chce. Szybko niech przyjeżdża! Pan wierzy mi, nie odjedzie pan, jak pan przyjedzie. Jakie są pańskie oczekiwania?

Pan wierzy mi, jest warta trzy miliony. Spodziewałem się nie mniej niż dwa i pół, ale od pana wezmę dwa.

Przypieliśmy lepiący się kawałek gazety i numery telefonów do szafki z jedzeniem. Potem nie rozmawialiśmy o tym przez cały tydzień. Ponownie każde z nas czekało, aż to drugie poruszy temat. Kiedy siedzieliśmy w piątkowy wieczór na tarasie i rozgrzewaliśmy się whisky, dyskutując o planach na weekend, popatrzyliśmy na siebie, a ja powiedziałem: Chcesz rzucić na to okiem?

Ponownie zadzwoniłem do wuja. Wiele wykrzyczanych nazwisk, a potem podszedł do telefonu. Brzmiał, jakby sam też rozgrzewał się na własnym tarasie. Z miejsca zaczął na mnie wrzeszczeć. Kim jesteś, cholerny złodzieju kurczaków? Dom? Jaki dom? Nie sprzedaję żadnego domu żadnemu złodziejowi! Ty mi sprzedaj własny dom, pierdolony delhijczyku!

Miałem zamiar mu odbluzgnąć, kiedy nas rozłączyło, a w słuchawce rozległ się kobiecy głos.

Przepraszam. On nie czuje się dobrze.

Powiedziałem: Dzwonię w sprawie domu.

Odparła: Tak, możemy przyjechać jutro, do tego czasu poczuje się lepiej.

Słyszałem, jak gardłował w tle: Chce kupić mój dom! To ja kupię jego dom, i dom jego ojca, i dom ojca jego ojca! I dom ojca jego matki ojca!

Kobieta przy telefonie krzyknęła: Zamilcz, Taphen!

A potem podała mi wskazówki, jak tam dojechać. Fizz zapisywała, gdy ja powtarzałem głośno. Hapur, Garhmukteśwar, Gadźraula, Moradabad, Rampur, Bilaspur, Rudrapur, Haldwani, Dżeolikot, Gethia.

W niedługim czasie te nazwy stały się mantrą naszego życia.

Wyjechaliśmy w ciemności przed świtem i dotarliśmy do Hapuru przed brzaskiem. Było zimno, okna w gipsy trzymaliśmy zamknięte. Mijane po drodze miasteczka już nie spały, sprzedawcy warzyw i owoców zajmowali miejsca przy drodze. Kiedy przekraczaliśmy Ganges w Garhmukteswarze i zostawialiśmy za sobą wonie Gadźrauli, słońce było już na niebie. Opuściliśmy szyby w oknach. Chłodna bryza owiewała nam twarze, gadaliśmy i czuliśmy się cudownie. Od bardzo dawna tak nie rozmawialiśmy: lekko, wesoło. O przeszłości, o przyszłości. Widzieliśmy sójki i zimorodki siedzące na drutach wysokiego napięcia przed porannym buszowaniem. A na polach człowiek i zwierzę ciężko pracowali.

Chaos panujący w Moradabadzie przywrócił nam poczucie rzeczywistości, musieliśmy zamknąć okna, broniąc się przed hałasem i spalinami rynku, z jego warsztatami, rykszami, autobusami, motocyklami, handlarzami, jadłodajniami, dworcem kolejowym, poddając się regułom obowiązującym w domu wariatów. Rynek ciągnął się niczym dziecięce fochy, długo, długo, a kiedy wreszcie z niego wyjechaliśmy, znaleźliśmy się w niemającej końca kolejce przed przejazdem kolejowym. Byliśmy tak strasznie daleko, że nie wiedzieliśmy nawet, w którym miejscu tory przecinają drogę. Przerazał nas panujący wokół spokój. Większość kierowców i pasażerów wysiadła z pojazdów: przeciągali się, opalali, przykucali na poboczu, kupowali hinduskie gazety, pokrojone w plasterki guawy i białe mokre rzodkiewki. Niektórzy położyli się w nasłonecznionych miejscach i spali. Całkiem spora grupa sikała do rowu, osłonięta bladymi gładkimi pniami eukaliptusów, oglądając się przy tym raz po raz za siebie, na ludzi stojących na drodze, i jednocześnie z nimi rozmawiając. Kundle leżały wszędzie — wielokolorowe, ze skudłaconą sierścią, z czymś, co wyglądało na parchy — zupełnie niezainteresowane panującą krzątaniną.

Otrzymaliśmy pierwszą lekcję cierpliwości na drodze do naszego eldorado.

Nie minęło wiele czasu i też wysiedliśmy z jeepa. Kupiliśmy rzodkiewki, kupiliśmy guawę — czarnobrazowe od ćat masali. Przeczytaliśmy miejscowe gazety wydawane w hindi. Fizz usiadła na nagrzanym masce samochodzie. Ja poszedłem się wysikać do rowu. Słońce zaczynało mocno przygrzewać. Kupiliśmy butelkę podrabianej pepsi. Nie była zła. Poszliśmy dla odmiany wzdłuż kolejki, żeby zobaczyć, jak daleko sięga. Przypominała pytona, który



połknął klarnet, potem gitarę, saksofon, a na końcu wiolonczelę. I teraz drzemał w słońcu. Wybrzuszał się, zwiężał, pęczniał i szczupła!, i nie miał za grosz wyczucia porządku. Niezliczone ciężarówki, samochody osobowe, autobusy, dwukołowce, traktory, przyczepy, trzykołowce, półciężarówki wiozące bawoły, naczepy pełne gdaczących kurczaków, ciągnięte przez woły wozy z sianem, wozy konne załadowane wypakowanymi workami i stary jeep Willys z maską zadartą tak wysoko, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, by kierowca widział drogę przed sobą — wszystko to utknęło w każdy możliwy sposób, zaklinowane jedne w drugich, przepychające się do ostatniego kawałka wolnej przestrzeni, zanim cały ruch zamarł. Pyton wyglądał, jakby był w komie, niezdolny do ożycia.

I nagle węzłem wstrząsnął dreszcz. Szelest poruszenia. Nie słyszeliśmy ani nie widzieliśmy żadnego pociągu. Ale mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli wsiadać do swoich pojazdów. Kluczyki w stacyjkach się obracały, silniki wydały warkot. Ja i Fizz też wsiedliśmy do samochodu. Ostrzegawczy gwizd rozległ się gdzieś w oddali, poczuliśmy drzenie ziemi, nikły stukot stalowych kół, a potem, choć niczego nie zobaczyliśmy, wiedzieliśmy, że pociąg nadjechał i przejechał. Wszystko trwało w bezruchu. Ostatni sikający wrócili znad rowu i zajęli miejsca w samochodach. Wąż wydawał się wstrzymywać oddech. I nagle z rykiem i szarpnięciem eksplodował działaniem. Zafalował, zatrzęsł się i zaczął wić. Kiedy wąż z przeciwka ruszył ku nam, nasz się rozprostowywał. Pośród krzyków, klaksonów, przekleństw wszystkie odstające na boki elementy utworzyły linię. Wąż musiał się precyzyjnie przesuwać przez wąski przejazd, wyprostował się zatem, po czym zaczął się przelewać na drugą stronę. Wiele klaksono-hamulcowo-trzęsieniowo-przepychankowych minut później przejechaliśmy po wybojach podwójnego toru — drugi wąż prześlizgiwał się tymczasem wolno obok w przeciwnym kierunku — i znaleźliśmy się za przejazdem.

Ludzie interesu, który kwitł na tym skrzyżowaniu — handlarze korzenni sprzedający guawę, trzcinę cukrową, rzodkiewki, orzeszki ziemne, smażone ziemniaki, placki z farszem, golgappę, soczewicę — siedzieli teraz na porośniętej trawie poboczu i patrzyli, jak ich przejezdni klienci znikają z piskiem opon.

Kiedy będzie nadjeżdżał drugi pociąg, sznur samochodów urośnie.

Kiedy będzie nadjeżdżał drugi pociąg, rozbiją bank.

Niespełna trzydzieści kilometrów dalej, tuż przed Rampurem, niemal wrzasnęliśmy z przerażenia, gdy ujrzeliśmy, że formuje się następny wąż. Tym razem jednak pociąg już przejechał i wąż

był w ruchu, przeciekał przez tory, a my uczepiliśmy się jego ogona, nie przerywając jazdy.

Szczeście, które będzie nam dopisywać lub nie na tych dwóch oddalonych od siebie o trzydzieści kilometrów przejazdach, na zawsze określi nędzę naszego położenia we wszystkich podróżach.

Ostrzeżono nas, żeby uważać w Rampurze na skręt do Najnitalu, więc wypatrywaliśmy go po lewej stronie, tuż za rynkiem, pomiędzy dziesiątkami zaparkowanych ciężarówek. Przez następne pięć kilometrów droga ciągnęła się pomiędzy zatłoczonymi bazarami, składami drewna, szopami warsztatów samochodowych, wulkanizacyjnych, ogrodzeniami dla zwierząt. I całkiem niespodziewanie, wspaniale, otwierała się na panoramę zielonych i złotych pól z rosnącymi tu i tam drzewami. Droga była dziurawa jak twarz po ospie i nasz jeep tak łomotał, że musieliśmy wyłączyć stereo. Niemniej kiedy jechaliśmy z opuszczonymi szybami, mijając drzewa na poboczach, osłaniające nas od słońca, rześki wiatr wiejący znad pól wydawał się ożywym balsamem. Spaliny i hałas głównej autostrady zniknęły, ruch ograniczał się do sporadycznie pojawiających się samochodów, a jedynym dźwiękiem był szum gumy po asfalcie.

Fizz uśmiechała się szeroko, z włosami rozwianymi wokół twarzy, z prawą dłonią zaciśniętą na mojej lewej.

Pokonaliśmy ostry wiraż w Bilaspurze, most jednopasmowy, gdzie trzeba czekać, aż przejadą samochody z przeciwka, i mknęliśmy dalej do Rudrapuru, hurkocząc między coraz gęściej rosnącymi drzewami i coraz liczniejszymi zielonymi polami. Rudrapur miał szerokie ulice i ronda podobne do ćandigarhskich, przedostaliśmy się więc przez miasto szybko i bez postojów. W kilka minut później ponownie znaleźliśmy się wśród pól. Teraz skraj drogi porastały wielkie i dostojne drzewa kapokowe.

Potem skręciliśmy w lewo, przecięliśmy zrujnowany przejazd kolejowy i znaleźliśmy się na szerokiej szosie biegnącej przez las. Chłodny wiatr gwizdał nam w uszach. W rzędach na poboczach rosły głównie drzewa kapokowe i figowce święte, fikusy i damarzyM, ale tuż za nimi widać było plantacje eukaliptusów i topoli. Był to teren rezerwatu i po raz pierwszy od opuszczenia Delhi nie napotykalimy ludzkich osiedli. Ruch panował tu minimalny i trzeba było uważać jedynie na stada małąprzeszukujących pobocza.

Kiedy prawie wyjechaliśmy z lasu i zaczęły się pojawiać pierwsze domy i pola, Fizz spojrzała do góry i powiedziała: Ooowzgórza!

I rzeczywiście były tam, niższe pasma Himalajów, ciemne sylwetki, które zieleńiały, w miarę jak zbliżaliśmy się do Haldwani.

Przejazd przez bliźniacze miasta Haldwani i Kathgodam szybko stał z nas radość, jakiej dostarczył nam las. Wąskie ulice, niekończące się przewężenia, napierające ze wszystkich stron motocykle, skutery, samochody i autobusy, sklepy z ladami wystającymi do połowy jezdni, przekupnie na środku ulicy, wszędzie było. Kiedy wpadliśmy w rozpacz, wszystko to nagle zniknęło, zostawiliśmy miasto za sobą i znaleźliśmy się na pierwszej krętej górskiej drodze. Wjechaliśmy na pochyłość, pojawiły się też pierwsze zwiastuny gór: strome blaszane dachy pomalowane na czerwono albo zielono, porośnięte trawą pobocza z krzewiącą się bujnie bugenwillą, mury z ociosanych kamieni i schody prowadzące w górę od szosy, porosty i mchy w szparach kanałów ściekowych i w ścianach domów, pomarszczeni mężczyźni przykucnięci na werandach podpieranych starymi drewnianymi palami, watahy kur szukających ziarna, wychudłe kozy przeżuwające się przez świat.

Pokonaliśmy pierwszy zakręt i poczuliśmy, jak rosną nam skrzydła.

Z każdym zakrętem świat stawał się zieleńszy. Damarzyki zniknęły. Nad nami pojawiły się rosłe sosny w nieregularnych rzędach. Pod nami widać było skaliste koryto rzeki z wijącym się cienkim srebrnym łańcuszkiem wody. Tuż za nim piętrzyły się kolejne wzgórza, w większości opustoszałe, poza kilkoma tarasami pól, zielonych, z brązowymi łatami w miejscach, gdzie ziemia się osunęła.

Powietrze stało się chłodniejsze, a jego świeżość po prostu oszałamiała. Uśmiech Fizz był tak promienny, że mógłby złagodzić cały ból tego świata. Z magnetofonu słuchaliśmy piosenki *Mein zindagi ka sath nibhata čala gaja*. Dev Anand, z filmu *Hum dono*.

Szosa była szeroka i gładka, opadała i wspinała się z niewymuszoną gracją.

Niekiedy przecinały ją krystaliczne strumienie. Od czasu do czasu trafiało się ogrodzenie z drutu kolczastego, ale ogólnie widzieliśmy bardzo mało oznak obecności człowieka. Niewielkie drewniane, kryte blachą szopy pojawiały się okazjonalnie, sprzedawano w nich zapakowane przekąski, czekoladę, cukierki, papierosy, chleb z pakorami, colę. Mężczyźni o surowym wyglądzie siedzieli w kucki niemal wszędzie, palili bidi, sączyli herbatę i patrzyli na mijający ich świat.

Skręciliśmy pod kątem stu osiemdziesięciu stopni, zaczęła się mżawka. Była przyjemna, koronkowa, osiadała na moim wysuniętym na zewnątrz prawym przedramieniu niczym jedwabna siateczka. Fizz wystawiła głowę przez okno, zamknęła oczy i kiedy

wciągnęła ją z powrotem do środka, błyszczała od wilgoci i wyglądała na szczęśliwszą niż kiedykolwiek.

Pojawił się kolejny ostry zakręt, nad drogą stał szereg straganów zjedzeniem. Pierwszy okazał się jadłodajnią w rozsypce, z drewnianymi ławkami i stołami na werandzie pod gołym niebem.

Fizz powiedziała: Zjedźmy lunch.

Przybytek nosił nazwę DoGaon. Dwie wsie. Do południa brakowało jeszcze trochę czasu. Byliśmy w drodze od ponad sześciu godzin.

Młody właściciel przysypiał, ale na nasz widok zerwał się na równe nogi i zaczął podzwaniać garnkami. Rozpalił w piecu, żeby upiec placki, i zaczął doprawiać soczewicę i kalafior stojące na gazowej kuchence. Tuż obok dhaby było krystaliczne źródło, tryskające z pyska lwa. Pochyliliśmy się nisko i obmyliśmy twarze czystą zimną wodą, aż szczypała nas skóra. Dla jadłodajni była to martwa godzina i poza nami było tu tylko kilku miejscowych, palących papierosy i siedzących w kucki. Patrzyli na nas bez większego zainteresowania. W końcu był to szlak turystyczny.

Jedliśmy, siedząc naprzeciwko siebie, i patrzyliśmy w mżawkę przesłaniającą niebo. Nie ma nic piękniejszego od patrzenia na deszcz w górach. W odróżnieniu od nizin kształty nie ulegają rozmyciu. Widać każdą kreskę przemieszczającej się wody. Kiedy porusza się szybciej, można za nią nadażyć. Kiedy zacina, można ustawić się równo z jej kątem. Byliśmy otoczeni zielonymi zboczami z bujnym poszyciem i starymi drzewami, które jednak nie onieśmiały. Pnącza o wielkich liściach wiły się w koronach, łącząc je niby uprzężą. Łuskowata kora sosen pociemniała od wilgoci. Pogwizdujący drożd przysiadł pod ich okapem i przeczesywał piórka. Był tłusciutki, pewnie spał się na resztkach z jadłodajni. Skóra nam ożyła i lekko piekła. Włoski na moich rękach poruszały się. Fizz w pełni rozkwitła, twarz się jej zarumieniła, oczy błyszczały. Wiedzieliśmy, że przeżywamy wyjątkowy moment. W naszym wspólnym życiu było mnóstwo takich cudownych chwil, ale minęło dużo czasu, odkąd doznawaliśmy ich ostatni raz. Rozkoszowaliśmy się tym i zapamiętywaliśmy, żeby w przyszłości to sobie przypominać.

Fizz powiedziała: Czuję, że należę do tego miejsca. Przyznałem: Tak, to dziwne. Mam wrażenie, że wracamy do domu.

Nie powiedziałem tego tylko po to, żeby spuentować ten moment. To było niesamowite, bo naprawdę czułem, że powracam do czegoś, co znałem bardzo intymnie. Do miejsca, w którym miesz-

kałem albo, którego szukałem przez całe życie. Moje dzieciństwo, spędzone na Nizinie Hindustańskiej, nigdy nie kojarzyło mi się z domem: to były tereny, z których się uciekało przy pierwszej nadarzającej się okazji. Tak, raz, kiedyś, Salimgarh wydawał mi się domem, ale to uczucie także już dawno we mnie zgasło. Przez zbyt wiele lat domem była po prostu Fizz. Teraz poddawałem się dziwnemu wrażeniu, że zaczyna mnie wypełniać poczucie przynależności. Było to uspokajające i niepokojące zarazem. Siedząc tak w deszczu, wśród porośniętych płataniną zieleni zboczy, otoczony ciszą, przerywaną sporadycznie odgłosami zmiany biegów w jadących po górach samochodach i szmerem wody wypływającej z lwiego pyska, przyglądając się wpatrzonemu w nas tłustemu drozdowi, wdychając zapach świeżych placków i płonącego drewna w glinianym piecu, wyczuwając radość promieniującą z ciała Fizz — siedząc tam, czułem, że jestem bliski odnalezienia punktu na ziemi, którego wszyscy szukamy. Jedyne punktu na ziemi, do którego jesteśmy przykuci za kostkę i dokąd zawsze wracamy, niezależnie od tego, jak daleko zawędrowaliśmy.

Okazało się, że rachunek wyniósł jedynie dwadzieścia osiem rupii.

Fizz powiedziała: Mogłabym zamieszkać tu na zawsze. Zapytałem: Bez CNN?

Jechałem powoli, dostosowując się do panującej na wzgórzach etykiety, trzymając się krawędzi drogi, ze spazmem klaksonu przed każdym zakrętem. Na żadnym odcinku trakt nie piął się stromo, mimo to czuliśmy, że jesteśmy wysoko, że do tej pory zdążyliśmy objechać kilka wzniesień. Suche koryto rzeki już dawno zostawiliśmy za sobą, zrobiło się chłodniej. Wkrótce wyjechaliśmy z mżawki, niebo stało się czyste. Mżawka jednak padała tu wcześniej, zanim zeszła niżej, bo powietrze było czyste, a liście i szosa błyszcząły od wilgoci.

Fizz raz po raz kazała mi przystawać. Nie chciała, żebyśmy się śpieszyli. Była jak pielgrzym, który wie, że spełnieniem podróży jest oddanie żywione wobec miejsca docelowego. Wypatrywała wypiętrzeń obok drogi i panoramicznych widoków, a wtedy wołała: Okay, tutaj!

Zjeżdżałem na pobocze. Podchodziliśmy do skraju drogi — nie było tu spadzistych urwisk, tylko zwykłe zbocza, opadające łagodnie falami drzew, poszycia i tarasów. To były przyjazne zbocza. Gdyby toczyć się po nich w dół, człowiek zaczepiałby się o coś co dziesięć metrów. Poza sosnami było tu sporo dębów — brzydkich w swej sękatej asymetrii — i zarośla zdrowych bambusów o żół-

tych i zielonych łądygach. Od czasu do czasu zdarzało się proste jak kolumna drzewo kapokowe, o wspaniałym wyglądzie, skryte w lesie.

Trzymałem ją za rękę i oboje oddychaliśmy głęboko, wypełniając płuca upajającym powietrzem. Kiedy nie słyszałem żadnego warkotu silnika, stawałem za nią, wtulałem twarz w jej kark i wachałem skórę. Czasami odwracała oblicze, dzięki czemu miałem dostęp do niej całej. W którymś momencie zatrzymaliśmy się przy wypiętrzeniu obok ogromnego bloku skalnego. Wielki figowiec oplótł go wokół korzeniami niczym palce gracza obejmujące kulę do kręgli. Drzewo właściwie wyglądało tak, jakby wyrastało wprost z gładkiej skały, i trzeba było się dobrze przyjrzeć, żeby zobaczyć, w którym miejscu jego pojedyncza arteria zagłębia się w glebę.

Fizz powiedziała: Chcę je mieć w ogrodzie. Odparłem: No to je zabierzmy.

Staliśmy oboje przed skałą, nie sięgając nawet do połowy zakrzywionego u góry cielska, położyliśmy na niej ręce i zapierając się nogami, pchaliśmy ją z całych sił. Z tak bliskiej odległości było widać, że korzenie mają cieniutkie wypustki, które wnikają w niewidzialne pory kamienia, mocując drzewo solidnie w tym miejscu.

Powiedziałem: Raz, dwa, trzy, uuuuuuhhh!

Nawet ściana to nic przy skale.

Fizz oznajmiła: Miłość przenosi góry.

Odparłem: Jeśli za często wystawiasz ją na próbę, może zawieść.

Myślisz, że wie, że wystawia się ją na próbę? Tak myślę.

Może powinniśmy się podkraść i dopiero wtedy to zrobić? Przyznałem: To taktyka do przyjęcia.

Przy drogowskazie, który obwieszczał, że jesteśmy trzy kilometry od Dzeolikotu, jakiś człowiek wyszedł na szosę z podniesioną ręką. Zatrzymaliśmy się.

Mężczyzna położył rękę na jeepie i powiedział: Jest trzynasta dziesięć.

A potem wyciągnął ku nam otwartą dłoń. Fizz położyła na niej dziesięć rupii. Wylewnie podziękował i wycofał się na krawężnik, usiadł na starej przeciętej beczce po smole, teraz wypełnionej błotem. Włosy miał krótko przycięte jak rekrut i był młody, nosił stare spodnie khaki z oderwanymi guzikami. Na jego rękę nie dostrzegłem zegarka. Powieki zasłaniały mu oczy. Był ślepy, lecz

głowę trzymał prosto, nie spuszczał jej jak większość pozbawionych wzroku.

Potem Taphen Żongler — Stephen — powiedział nam, że dobrze zrobiliśmy. Zlekceważenie tego ślepeca na drodze jest czynem ryzykownym. Był gwarantem powodzenia i bezpieczeństwa. Wszyscy kierowcy ciężarówek, autobusów, każdy biznesmen jadący do Haldwani, by dobić targu, lub udający się do Najnitalu, żeby się zabawić, zatrzymują się i kupują jego ochronę.

Wierzy pan mi, powiedział Stephen, gdyby nie dał mu pan trochę pieniędzy, nie sprzedałbym panu tego domu. Coś by się wydarzyło. Nie wiem co. Coś. Nie spodobałaby mi się pańska twarz. Panu nie spodobałaby się moja. Coś.

Dżeolikot zaczęło się od stacji benzynowej z jedną pompą i rozciągało wzdłuż krętej drogi, aż nagle zmieniało się w tłoczny targ z żywnością i ze sklepami z artykułami przemysłowymi. Nad sklepami widać było chaotycznie pobudowane domy, przylepione do zbocza. Większość stanowiły nowoczesne budynki w stylu góralskim, ale niektóre miały po dwa piętra i świeżo pomalowane blaszane dachy. Panowała tu atmosfera placu budowy. Ciężarówka pełna cegieł stała zaparkowana z otwartą tylną klapą. Przy krawężnikach widać było zwwały piachu i żwiru, a kiedy spojrzano się w prawą stronę poniżej ulicy, w górę sterczały stalowe pręty, czekające, by urosły na nich domy.

W latach, które miały nadejść, przyzwyczaję się do tego. Wzgórza bez przerwy zabudowywano.

Zatrzymałem jeepa na końcu targu i wysiadłem. Jakiś starzec siedział w kucki przy drodze, ubrany w obcisłą brudną pidżamę, i zaciągał się mocno bidi. Kilkudniowy siwy zarost pokrywał mu policzki. Zadałem mu pytanie.

Nie podnosząc się, powiedział: Gethia? Wielki dom? Taphen? Tam!

Wskazał na przeciwległe zbocze szerokiej doliny i na pasmo wzgórz, wyższych od tych, na których się znajdowaliśmy, a tam, jak zwieńczenie bocznej grani, stał otoczony drzewami samotny dom. Miał dwa kominy i nawet z tej odległości było widać, że są osłonięte na końcach niewielkimi daszkami.

Kilka minut za Dżeolikotem odbiliśmy w prawo w kierunku Almory, przemknęliśmy przez jednopasmowy most, łączący brzegi płytkiego parowu, wspięliśmy się po kilkukilometrowej stromiźnie — powietrze stawało się zimniejsze, dolina otwierała się szeroko po naszej prawej stronie, przy drodze stały rzadko rozmieszczone domy i brzydki aśram — i okrążając górę, dotarliśmy

do sanatorium w Gethii. Jechaliśmy dalej, tak jak nam powiedziano, minęliśmy wartę złożoną z okazałych dwunastu dębów, aż dotarliśmy do drogowskazu z napisem: Bhowali 10 km. Wszedłem powoli w zakręt, a kiedy wyłoniliśmy się po drugiej stronie, znajdowaliśmy się poniżej domu na wzgórzu.

Z drugiej strony drogowskazu napisano: Kathgodam 24 km.

Musiałem trochę cofnąć, żeby znaleźć ścieżkę wijącą się ku domowi. Była zarośnięta chwastami i trawą, żaden pojazd z pewnością nie przejeżdżał tędy od bardzo dawna. Jeep wjechał na nią bez trudu. Zaparkowałem pod wielkim cedrem tuż obok starego białego ambadora, pozbawionego zarówno kół, jak i siedzeń. Ustawiono go na ceglach, maską wskazywał pień cedru — przykucnięty wspinacz, szykujący się do zaatakowania drzewa. Do domu prowadził ciąg starych kamiennych schodów.

Kiedy się po nich wspięliśmy i obeszliliśmy dookoła grube ponure mury, by dotrzeć do tylnego tarasu, Fizz podjęła już decyzję.

Pierwsze, co powiedziała, brzmiało: Chcę go.

Ja z kolei podjąłem decyzję w chwili, gdy zobaczyłem cedr.

Gdzieś w oddali czekał pies. Co kilka minut robił przerwę, by zawarczeć, a potem ujadał od nowa. Wkrótce przyłączył się do niego drugi.

Ścieżka prowadząca do tarasu na tyłach domu była zupełnie zarośnięta chwastami i gęstymi kępami trawy. Pod stopami mieliśmy pokruszoną skałę, trzymaliśmy się za ręce, żeby się nie poślizgnąć. Taras podtrzymywał ruiny starego budynku. Właściwie był to tylko jeden ogromny pokój. Nic z niego nie zostało, z wyjątkiem ostatniej warstwy ociosanych kamieni. W jednej ścianie było okno, którego przegniła framuga wypadła do połowy, miała jednak nadal przybite przerdzewiałe zawiasy. Resztki dachu stanowiła uszkodzona w wielu miejscach srebrzysta strzecha, wskazująca w niebo niczym oskarżycielski palec.

Choć zabrzmiało to dziwnie, ale kiedy stało się w środku i nad głową miało się niebo, a wokół hulał wiatr, człowiek nadal był przekonany, że znajduje się w pokoju.

W stosunku do miejsca, gdzie staliśmy, dach głównego budynku był ustawiony równoległe do nas. Gdybym skoczył z rozbiegu, i to skoczył tak, jakby mnie diabli gonili, wylądowałbym na jego zardzewiałej blasze, która zaczęła się rozłazić niczym



przemoczone tekturowe pudło zostawione na słońcu. Zbocza rozszerzającej się doliny przywodziły na myśl rozdwojenie doktora Jekylla i mister Hyde'a. Po jednej stronie widać było zadbane brązowe tarasy i punkty wskazujące na tętniące życie mieszkańców — zielone i czerwone dachy, otynkowane na biało ściany — i tuż za nimi Dżeolikot, z jego skupiskiem sklepów, i nitkę szarej drogi skręcającej ku góróm. Ale kiedy spojrzałem w drugą stronę, nie dostrzegłem śladów ludzkiego życia, jedynie szeroki lodowiec zielonych drzew, ciemne i odstręczające zbocze pokryte dębami i sosnami, schodzącymi aż do dna doliny, niedostępnego dla wzroku.

Znaleźliśmy wąską dróżkę, mającą po bokach gęstwinę ciernistych gałęzi skarłowaciałych limet. Musiałem je odsuwać dla Fizz, kiedy wspinaliśmy się do drugiego, mniejszego tarasu. Było to najwyżej położone miejsce tej posiadłości. Znajdował się tam stary zbiornik na wodę, słyszeliśmy jej bulgotanie. Kiedy przy nim staliśmy, na zboczu zjawiała się para wspaniałych niebieskich srok o czerwonych dziobach i zaczęła bawić się w berka. Ich długie ogony falowały na wietrze. Wokół nas roztaczał się widok na porośnięte lasami szczyty. Z tego miejsca biegł grzbiet bocznego pasma, wznosił się trochę ponad rzędy wysokich sosen i dębów, aż pokazywał się w całej okazałości sto kilkadziesiąt metrów dalej. Promienie popołudniowego słońca padały na nas bezpośrednio, ale silna bryza szczypała chłodem.

Ponad okazałą dzieżą doliny orzeł zataczał z gracją coraz szersze kręgi w powietrzu.

Główny budynek stał poniżej, dwa kominy przypominały zaciśnięte pięści. Gdybym rzucił kamień, nawet specjalnie się nie wysilając, wylądowałby z brzękiem na dachu.

Opierając się o mnie, Fizz powiedziała: Chcę go.

CNN?, zapytałem.

Nawet bez CNN, odparła.

Wściekłe ujadanie psów rozległo się bliżej. Głos z dołu krzyczał: Czy to pan tam jest?! Stephen?!, zawołałem.

Pański człowiek, Stephen!, usłyszałem w odpowiedzi.

Stephen okazał się mężczyzną po sześćdziesiątce, gruźliczym wrakiem z przerzedzonymi włosami, trzeszczącymi stawami, ziemistą skórą i popsutymi zębami. Przyszedł ciągnięty przez cztery kundły na smyczach, z których dwie były długimi linami. Przywiązał je do żelaznej poręczy na szczycie kamiennych schodów. Psy jednak tak się szarpały, szczekały i drapały pazurami, że mu-

sieliśmy obejść dom i dopiero po drugiej stronie dało się słyszeć, co mówimy.

Wierzy pan mi, to nie są psy, ale czarcie pomioty. Rzuciłyby się na panterę, a ona by zmykała gdzie pieprz rośnie!

Musieliśmy trzymać się w pewnej odległości od niego, kiedy mówił. Jego oddech cuchnął skwaśnią whisky. Rdzawoczerwony rozpinany sweter, który miał na sobie, cały był upstrzony psią sierścią w różnych kolorach; klaki oblepiały też jego szare spodnie. Zauważył, że im się przyglądamy.

Odślaniając zepsute zęby w śmiercionośnym uśmiechu, powiedział: Wierzy pan mi, ostatecznie okazuje się, że tylko pies to przyjaciel człowieka. Po jakimś czasie nawet żona nie pozwala się do siebie zbliżyć. Psów nie obchodzi, jak się wygląda ani jak pachnie. Widzą tylko serce.

Puścił oko do Fizz i dodał: Bez urazy, proszę pani. Ale my, mężczyźni, nigdy nie zrozumiemy waszego rodzaju.

Staliśmy przed kuchnią, pomiędzy domem a doliną Dżeolikot. Zbocze pod nami przecinała seria tarasów rozmaitej wielkości. Pierwszy znajdował się pięć metrów niżej, wyglądał jak trójkątny kawałek ciasta, a dalej tarasy pojawiały się co półtora, dwa metry, przypominały schody, po których jakiś olbrzym mógłby wchodzić z dna doliny na szczyt zbocza. Krzaki lantany wypełniały zakamarki każdego tarasu. Stephen wyjął z kieszeni spodni ćwiartkę bagpipera. Zostało w niej whisky na dwa palce. Podszedł do zlewu zamontowanego w ścianie, podstawił butelkę pod kran, nalał do niej trochę wody, wypił zawartość jednym haustem i machnąwszy ramieniem, powiedział: Nic innego, tylko bagpiper sprawia, że serce górala śpiewa! Chodźmy, pokażę panu najbardziej ekscytujący dom w całym Kumaonie.

Otworzył najbardziej ekscytujący dom w całym Kumaonie, unosząc lekko jedno skrzydło drzwi i potrząsając nim, aż wysunął się bolec wewnętrznej zasuwki. W środku panował mrok. Musieliśmy stać w jadalni przez kilka minut, zanim dostrzegliśmy cokolwiek. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, były grube pale, podtrzymujące sufit-podłogę nad naszymi głowami, i przybite do nich deski. Drewniana podłoga była moim marzeniem jeszcze z dziecięcych lat. Zawsze mieszkaliśmy wśród betonu i cegieł. Drugą rzeczą, jaką zauważyłem, był szeroki kominek w przeciwległej ścianie, z nadal leżącymi w nim zwęglonymi kawałkami polan. Wziąłem Fizz za rękę i pokierowałem jej wzrokiem. Nawet na nią nie patrząc, wiedziałem, jak bardzo jest podniecona.

Wszystkie okna były jak zabito deskami, popękany w miej-

scach, gdzie zagłębiły się gwoździe. Smugi ostrego światła, jakie przez nie wpadało, stanowiły jedyne punkty orientacyjne. Poszliśmy za Stephenem do dużego salonu, z kolejnym ogromnym kominkiem, identycznym jak ten w jadalni. Wisiał nad nim drewniany krzyż z Jezusem o długich włosach, pomalowany na niebiesko, biało i brązowo. Podłoga była nierówna, pełna śmieci. Ale tu znajdowały się główne bale podtrzymujące cały dom — były dwa, grube jak pnie drzew, połączone razem stalowymi obręczami. Nawet jako laik wiedziałem, że zdobycie podobnych bali w dzisiejszych czasach, legalnie czy nielegalnie, jest niemożliwe.

Zapytałem: Ile lat ma ten dom, Stephen?

Powiedział: Jest bardzo stary, proszę pana, za stary. Zbudowany, zanim się pan urodził, zanim ja się urodziłem. Wierzy pan mi, to historyczny dom. Dotyka pan historii. Było tu wielu wspaniałych ludzi. Gandhidzi stał tu, gdzie pan stoi.

Gandhi? Mahatma Gandhi?

A jak pan myśli? Mahatma Gandhi! Siedział przy tym stole i pił herbatę. Mówił o ahinsie i o metodzie walki satjagraha, i o sprawach wolności.

Żartujesz sobie, Stephen.

Powiedział: Dokładnie w tym miejscu, wierzy pan mi. W swoim białym dhoti. Popijał herbatę, uśmiechał się. Przyjechał odwiedzić Kamalę Nehru w sanatorium w Bhowali.

Był z nim Jawaharlal Nehru?

Nie, nie, proszę pana. On był w więzieniu. Wierzy pan mi, zawsze kraj przed żoną. Bez urazy, proszę pani.

Fizz powiedziała: Stephen, chcę, żebyś to powtórzył w obecności własnej żony.

Stephen zachichotał.

Ja nie jestem Jawaharlal Nehru, proszę pani, powiedział.

Przy czarnej ścianie salonu widać było schody prowadzące na piętro. Fizz ruszyła za mną, ja za Stephenem. Jeden ze stopni był niebezpieczny, przed czym Stephen nas ostrzegł. Wyszliśmy do przedpokoju z drzwiami w każdej ścianie. Troje z nich prowadziło do sypialni, czwarte, znajdujące się naprzeciw nas, na długi balkon, zbudowany na całej szerokości domu. Przyzwyczajeni do twardych podłóg, stąpaliśmy ostrożnie po deskach. Przy każdym kroku rozlegało się złowieszcze skrzypnięcie. Stephen zauważył naszą niepewność przy chodzeniu. Roześmiał się.

Wierzy pan mi, na tych podłogach słoń mógłby zatańczyć fokstrota z nosorożcem i nic by się nie stało, powiedział.

I żeby to udowodnić, zaczął podskakiwać, głośno nucąc melo-

dię *Come September.* Pa-pa-pa-paan-paan-paanpa-paan-paan.  
Paanpa-pa-paanpa-papa-paanpa...

Podłoga się zatrzęsła. Niemal umarliśmy ze strachu.

Fizz powiedziała: Stephen, panuj nad sobą. Rujnujesz mój dom.

Było tutaj znacznie więcej światła, wpadającego do środka przez frontowy balkon i szpary w deskach nad nami. Stałem na ostatnim szczeblu drabiny, żeby obejrzeć strych. Ogromny i zapuszczony, z dwoma oknami po obu końcach, zabitymi deskami. Dach był cały połatany, drewno pod nim przegniło od wody z przecieków.

Gdy ponownie znaleźliśmy się u podstawy schodów na dole, Stephen zatrzymał się i zaczął się mocować z drzwiami po prawej stronie, których nie zauważyliśmy, wchodząc na górę. Po kilku pchnięciach i szarpnięciach udało mu się je otworzyć.

To jest ostatni pokój, powiedział z dumą. A właściwie pokoje.

Kiedy weszliśmy do środka i spojrzeliśmy do góry, zobaczyliśmy cudownie błękitne niebo. Przecinała je jedynie wąska krokiew — ostatnia pozostałość po dachu. Pokoju powyżej brakowało. Widać było resztki drewnianych pali, które kiedyś podtrzymywały podłogę zamocowaną w nienaruszonej ścianie. Niektóre odcięto starannie, inne odrąbano, choć wyglądały raczej, jakby je złamano. Znajdowaliśmy się w pudełku bez wieczka. Można by pomyśleć, że to boisko do squasha na otwartym powietrzu, gdyby nie stan dewastacji pod naszymi nogami. Wydawało mi się, że stoję w zbombardowanym domu z filmu o bitwie o Anglię.

Podłoga była pokryta gruzem, gnijącym drewnem, kępkami namokłej trawy, kozimi bobkami, rdzewiejącymi gwoździami i kłamrami, uschłymi gałęziami, strzępami worków, pustymi butelkami, puszkami po konserwach, pogieętymi blachami. Drzwi i dwoje okien wyrwane z zawiasów stały oparte o ścianę, pozbawione szyb, z drewnem pokrytym pleśnią. Nienaruszone ściany wznosiły się wokół nas na wysokość dwóch pięter, tynk musztardowego koloru odłaził płatami, ukazując solidny kamienny kościel.

Nawet w blasku dnia, z wysokim niebieskim sklepieniem nieba i przy nieustannym paplaniu Stephena, wrażenie było upiorne. Jakby nagle miało się wizję końca wszystkiego. Solidny dom znajdujący się tuż po drugiej stronie drzwi zmierzał ku przemianie w taką właśnie ruinę.

Rozkład stanowiący immanentny element tego, co kiedykolwiek powstało.

To makabryczne uczucie wracało do mnie co rusz, kiedy przystąpiliśmy do remontu domu. Za każdym razem, gdy kładziono

nową warstwę cegieł, za każdym razem, gdy piłowano drewno, heblowano je i przybijano, za każdym razem, gdy wylewano cement z mieszalnika, za każdym razem, gdy prostowano i przycinano arkusze blachy, za każdym razem widziałem jedynie ich ostateczne zniszczenie.

Proces unicestwienia zapoczątkowany w akcie tworzenia.

Przy siewie nasion nie widziałem drzew, które z nich wyrosną, tylko opałowe drewno, w jakie się ostatecznie przemieniają. I zawsze obraz, jaki stawał mi wtedy przed oczami, przedstawiał ów wysoki podwójny pokój, bez sufitu i dachu nad nim, i gruzowisko złożone ze wszystkiego, co kiedyś żyło, a teraz jako martwe szczątki walało mi się pod nogami.

Stephen powiedział: Wierzy pan mi, kiedy te pokoje będą skończone, nie będzie pan chciał z nich wychodzić. Będą najlepsze.

Popatrzyłem na śmieci, brakujący sufit, brakujący dach, pojedynczą krokiew podtrzymującą niebo.

Wszyscy widzimy i słyszymy to, co chcemy.

Słyszysz odgłos zamykania drzwi, a według mnie ktoś je właśnie otwiera.

Powinienem go zapytać, czy Abul Kalam Azad też tu był. Popijał herbatkę z panią domu.

Kiedy wyszliśmy przez frontowe drzwi, został w środku. Zaraz do państwa dołączę, powiedział.

Słyszeliśmy, jak ze zgrzytem wsuwa z powrotem bolec zamka. Czekaliśmy na kamiennej werandzie. Nad nami były butwiejące deski balkonu — szaroczarne drewno, gnijące, z wielkimi szparami. Stephen wyszedł z domu, uśmiechnięty. Wyskoczył przez okno w kuchni, a potem je zatrzasnął.

Najbezpieczniejsze miejsce na świecie, powiedział. Jedyna kradzież zdarzyła się tu pięć lat temu. Osiem główek kapusty z pola Prema Singha, niedaleko restauracji w Gethii. Policjanci z posterunku przy targowisku przeprowadzili śledztwo. Złapali złodzieja. Musiał pracować przez miesiąc na polu Prema.

Stephen oprowadził nas potem po całym terenie. Przed domem widać było kolejny zrujnowany taras. Pozostała tylko jedna kamienna plinta. Powiedział, że była tu kiedyś cieplarnia. Niedaleko frontowej bramy natknęliśmy się na kolejne dwupoziomowe pokoje. I piętrowy budynek przy tylnej bramie. Oba obiekty w opłakanym stanie, drzwi i okna powyłamywane, blacha na dachu w strzępach. Większość posiadłości była zdewastowana i czasami ledwie dawało się przejść — lantany, trawa, krzaki, pnącza rosły wszędzie. Drzewa wymagały przycięcia, wiele z nich wyglądało jak zwykłe zarośla.

Kiedy wróciliśmy pod cedr, powiedziałem: Czy ten samochód jest w cenie domu?

Powiedział: Wierzy pan mi, może teraz nie ma wyglądu, ale wielu sławnych ludzi nim jeździło.

Tak, chciałem powiedzieć, Louis i Edwina Mountbattenowie.

Wymieniliśmy uścisk dłoni i zapewniliśmy, że niedługo się z nim skontaktujemy.

Popatrzył na Fizz i powiedział: Jeśli kupi pani ten dom, nigdy nie zapomni pani Stephena.

Były to bardziej prorocze słowa, niż mogliśmy się spodziewać.

Odszedł, ciągnięty przez ujadające psy. Zauważyłem, że pstrokaty kundel z przetrąconą tylną nogą był najbardziej agresywny, szczyrzył zęby i warczał na wszystko. Nawet pozostałe trzy psy trzymały się z dala od niego. Obeszliśmy ten cyrk powoli, kulawy pies obracał się i wyrывał w naszą stronę. Kiedy znaleźliśmy się przy dolnej bramie — właściwie nie było tam bramy, tylko pokruszone kamienne słupy — przeszliśmy przez drogę. Obok drogowskazu — Bhowali 10 km — stała niewielka kamienna ławka. Siedząc na niej, miało się widok na dom od dołu. Kamień pod nami — nagi, niepokryty cementem — był ciepły.

Po kilku minutach w prażącym słońcu rozmarzyliśmy się. Tuż za nami zbocze doliny opadało w dół, ciemne i zielone. Przed nami stało wzgórze z domem na szczycie; miał dwa kominy na dachu. Obok rósł cedr, a jego trzy konary były wyższe od domu, wyższe od kominów. Niebo wydawało się bezkresne i niebieskie jak woda. Kilka bawełnianych chmur przylepiło się do niego. Odgłosy dławiących się i zwiększających obroty silników słychać było ze wszystkich stron wzgórze. W krzakach wrzało od świergotu i trzepotu skrzydeł sikorek, drozdów, ziarnojadów, kowalików, małych ptaszków niemożliwych do zidentyfikowania. Siedzieliśmy tam, wdychaliśmy zapachy, patrzyliśmy, słuchaliśmy, byliśmy.

Oboje wiedzieliśmy, co zrobimy.

Fizz powiedziała: Panie Ćinćpokli, mogłabym zamieszkać tu na zawsze.

Odparłem: To przez ten sławny samochód, prawda? Nie, to urok Stephena. Kłaki psiej sierści nosi z taką elegancją. Siedzieliśmy tam bardzo długo, aż słońce w strumieniu krwawej czerwieni schowało się za przeciwległy szczyt. Przechodzili

obok nas wieśniacy. Przejeżdżały samochody, autobusy, ciężarówki. Byliśmy obiektem zaciekawionych spojrzeń, ale nikt nas nie zaczepił. Zanim słońce zaszło zupełnie, powietrze ochłodziło się. Musiałem opuścić podwiniete rękawy koszuli, a Fizz owinęła się szalem. Poszliśmy z powrotem do domu i na jego najwyższy taras — w rurze wodociągu nadal bulgotało — i patrzyliśmy na zmierzch zapadający w dolinie. Wszędzie dookoła w gęstniejącym mroku rozbłyskiwały punkciki światła. Malutkie świetlne drogowskazy pobłyskiwały na niedostępnych zboczach, które za dnia wydawały się niezamieszkałe. Człowiek naprawdę docierał wszędzie.

Dom znajdował się pod nami, pogrążony w zupełnej ciemności, jego dwa kominy sterczały niczym postawione uszy jakiegoś zwierzęcia. W jednej minucie niebo pociemniało, a potem rozbłysło gwiazdami. Nie widzieliśmy ich tyłu od czasu Kasauli, a to było wiele lat temu. Trzymaliśmy się za ręce i powoli obracaliśmy, żeby wchłonąć w siebie wszystko.

Fizz zapytała: Jak myślisz — jeśli dobrze policzę, zdecydujemy się?

Odparłem: Absolutnie. A jeśli źle policzysz, wsiądziemy do gipsy i odjedziemy.

Powiedziała: Daj mi chwilkę.

Zapatrzyła się do góry i zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. A potem powiedziała: Wydaje mi się, że to trzy miliony dwieście siedemdziesiąt tysięcy siedemset trzydzieści trzy.

Wykrzyknąłem: Bingo! Jest twój.

Objąłem ją i mocno przytuliłem — i jeszcze mocniej — podczas gdy obok woda bulgotała ze złością. Fizz pachniała i smakowała lepiej niż cokolwiek na świecie. Lepiej niż wszystko, co widziałem przez cały dzień, przez całe moje życie.

Później powiedziała: Znaleźliśmy wreszcie, prawda?

Myślę, że tak.

To jedyne miejsce na ziemi, do którego jesteśmy przykuci za kostki i gdzie zawsze wracamy, niezależnie od tego, jak daleko zawędrowaliśmy.

To jedyne miejsce, które przywróci nam poczucie całości, tracone przez nas latami. Jedyne miejsce, które zmieni stukot brothera w niekończące się delirium.

Chwila została przerwana gorączkowym szuraniem w krzakach u podnóża zbocza. Niczego nie mogliśmy dojrzeć, ale wiedzieliśmy, że tę krainę zamieszkują duże koty. Ostrożnie wróciliśmy wzdłuż limet — odgarniałem na bok gałęzie o soczystych zielonych

kolcach. Światło gwiazd i półksiężyca wystarczało, by jakoś się nie ześlizgnąć. Początek nocy rozdzierało rozlegające się od czasu do czasu szczekanie psa. Kiedy wsiedliśmy do gipsy, pozbawiony kół ambassador pod cedrem wyglądał jak wielki śpiący żuk. Oczekiwałem, że gdy zapuszczę silnik, ucieknie wystraszony.

Sam cedr — gruby pień rozgałęział się około dwóch i pół metra nad ziemią w trzy proste jak struna konary bodące niebo: Triśul, jak nazwiemy go później — wyglądał jak strażnik z innej, przedludzkiej epoki. Broń Śiwy zostawiona na wzgórzu w Gethii. By strzec nas i naszych marzeń.

Dla mnie ten cedr był wart ceny domu.

Gdy zjeźdzaliśmy po zboczu i pod kątem ostrym wpadliśmy na drogę, zobaczyliśmy wysoką ciemną postać, która cofnęła się z pobocza i skryła w cieniu rozpadającego się budynku gospodarczego. Było to tak nagłe i tak przerażające, że prawie niczego nie zauważyliśmy, a kiedy zwolniłem i spojrzałem do tyłu, nic nie było widać.

Co to było?, zapytałem.

Fizz powiedziała: Cokolwiek to było, wyglądało naprawdę przerażająco.

A kiedy brałem zakręt — światła gipsy odbiły się w skalistym zboczu góry — żeby zacząć wspinać się drogą do Najnitalu, gdzie planowaliśmy spędzić noc, dodała: Wydaje mi się, że nie miało ramion.



## W DRODZE

Kupiliśmy ten dom.

Trwało to niemal pół roku. Sprawa się ślimaczyła, a zmienność nastrojów Taphena doprowadzała nas do rozpacz. Było bowiem dwóch Taphenów. Jeden cudowny i wylewny: Cały jest wasz, cały wasz, proszę pana! Możecie go wziąć za darmo! Bo czym jest dom? Dobry bóg chciał, żebyśmy żyli pod gołym niebem! Drugi zaś wściekle napastliwy: Ten dom nigdy nie będzie sprzedany! Nigdy! A już na pewno nie takiemu złodziejowi kur jak ty!

O tym, z którym z Taphenów będzie się miało do czynienia, nie decydowała pora dnia, tylko wchłonięty przez niego alkohol. Często wieczorem jawił się jako wzór uroku i dobroci, rano zaś był spienionym potworem. Wszystko zależało do tego, kiedy mógł położyć łapę na butelce bagpipera. Nauczyliśmy się ryzykować. Wkrótce włączyłem się do bitwy. Kiedy zachowywał się obraźliwie, nie pozostawałem mu dłużny. Z pasją obrzucaliśmy się wzajemnie błotem.

Jesteś najszpetniejszym dupkiem w całym Kumaonie, Stephen! Kiedy matka nosiła cię w brzuchu, zamiast wody piła siki!

Ty pieprzony dilliwallo! Zachciało ci się domu w górach? To chodź, Taphen wsadzi ci gorącego grubego wała w twoje miejskie dupsko!

Stephen, jesteś synem węża!

A ty, drogi panie, jesteś futem jeżozwierza!

Na skutek luk w pamięci sprawy mu się mieszały. Jednego dnia dom i ziemia zajmowały teren czterdziestu nali, następnego trzydziestu, kolejnego trzydziestu pięciu. Jednego dnia mówił, że cena wynosi dwadzieścia dwa lakhy, następnego było to już dwadzieścia cztery, jeszcze następnego dwadzieścia. Do dnia, w którym poszliśmy po pieczęci potrzebne do wydziału ksiąg wieczystych, nie byliśmy pewni ceny, jaką zapłacimy za dom.

Później dowiedziałem się, że znano go w tych okolicach jako Taphena Żonglera. Znał angielski, a jednocześnie był pozbawio-

nym skrupułów alkoholikiem, przez co siedział rozkraczony między dwoma różnymi światami. Podczepiał się do ważnych urzędników państwowych i odwiedzającej te strony elity z różnych miast, popijał z nimi herbatę, czarował ich swoim melodyjnym angielskim i wiedzą o regionie. A z drugiej strony pił, spał i jadł z wieśniakami i miejscowymi, będąc tym, kim był, człowiekiem gór pomiędzy ludźmi gór. Był Żonglerem, bo brał dolę od rządowych zamówień na roboty publiczne, naprawy dróg i poboczy, podprowadzał materiały z państwowych budów oraz lekarstwa z sanatoriów i szpitali, kupował i sprzedawał drewno z nielegalnego wyrębu. I skrzętnie składał to wszystko na ołtarzu bagpipera.

Pewnego dnia, kiedy był na wpół pijany, zabrał mnie na tył domu, wskazał dół mający prawie trzy metry średnicy i powiedział: Ludzie pytają mnie, Taphena Żonglera, co zrobiłeś ze swoim życiem? A ja przyprowadzam ich tu i mówię: To właśnie zrobiłem! Znacie kogoś, kto dokonałby czegoś takiego?

W dole leżały butelki po wychłanym alkoholu, wszelkiego rodzaju, kształtu i koloru. Wysokie butelki, pękate butelki, okrągłe butelki, ośmiokątne butelki, kwadratowe butelki, półlitrowe butelki, ćwierćlitrowe butelki, w kolorach zielonym i brązowym, piaskowym i kremowym, i z przezroczystego białego szkła. Jeśli nie liczyć kilku na wierzchu, ze zwilgotniałymi, pozacieranymi nalepkami, nie miały jakichkolwiek śladów oznakowań i zalegały w wielu warstwach. Większość była uwalana błotem, ale przeświecało przez nie wystarczająco dużo szkła, by przyciągały oczy nawet w gasnącym świetle wieczoru.

Taphen powiedział: Kiedy byłem młody, stryj zdradził mi, że na świecie są dwa rodzaje ludzi. Tacy, którzy piją i żyją — jak mężczyźni. I tacy, którzy mówią o tych, co piją, i żyją — jak kobiety. Więc powiada: Decyduj, synu, chcesz pić i być mężczyzną czy gadać i być kobietą!

Trzymając głowę w dłoniach, siedział w kucki na krawędzi pomnika, który budował ku czci swego życia.

Powiedział: Zanim umrę, muszę go wypełnić.

Zostało mu jeszcze ponad sześćdziesiąt centymetrów.

Taphen był ciekawym facetem, ale doprowadzał mnie do szału. Fizz zachowywała więcej obojętności. Jego ciągle kombinacje i alkoholizm napawały ją odrazą, ale podziwiała jego miłość do psów.

Śpi z nimi, mówiła. Śpi z nimi — a to już coś.

A kto inny by się na to zdecydował?, pytałem wtedy.

To jego uzależnienie od bagpipera, mówiła. Marnuje się przez

swoje uzależnienie. Ale każdy się marnuje przez uzależnienie, prawda?

Jakiegokolwiek byłyby tłumaczenia, odczułem ogromną ulgę, wręczając mu ostatnią ratę w wydziale ksiąg wieczystych w górnym Najnitalu i przekazując kopertę zawierającą dwa procent całej sumy, co było ustaloną łapówką dla urzędnika. Zabrałem papiery i wyszedłem w poranne słońce. Przez sześć miesięcy wysysał mnie po kropelce jak pijawka i miałem już dość tego wyłudzenia pieniędzy.

Ale Taphen nigdy nie miał dość. Szedł za mną i wołał serdecznie: Wierzy pan mi, nigdy mnie pan nie zapomni! Dałem panu kawałek historii i geografii za małe pieniądze!

Wykąpał się i ogolił na tę okazję. Miał na sobie błyszczący czarny garnitur i bladoczerwony krawat. Na komplement Fizz powiedział: Proszę pamiętać, żeby służba się z panią nie spoufalala.

Taphen utrzymywał, że dostanie tylko niewielką część pieniędzy. Reszta szła do podziału między gromadę jego rodzeństwa. W to akurat nie wątpiłem, bo piątka zniedołężniałych ludzi — przyjechali z Dehradun i Moradabadu, i Bareli — czekała już na swoją dolę przy ogromnej sośnie obok jadalni. Trzej mężczyźni wyglądali na zmarnowanych, o organizmach spustoszonych przez zarazki i gin, każdy trzymał w palcach zapalonego papierosa. Dwie kobiety siedziały na brzegu werandy, ubrane bez gustu w sari, znekane, ze szklanym wzrokiem.

Taphen powiedział: To wszystko pijacy. Ja piję i pracuję. Oni piją i tłuką się nawzajem.

Stary kolonialny budynek stał kilka zakrętów powyżej przystanku autobusowego i jeziora. Poprosiłem Fizz, żeby poprowadziła gypsy, bo sam chciałem się przejść. Nie zadawała żadnych pytań. Wystartowałem różnym krokiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na idących nieśpiesznie miejscowych i leniwy handel. Droga była pozszywana ze słońca i cienia. Zanim dotarłem do wspaniałego jeziora z jego buczącą krzątaniem u początku — sklepów, autobusów, turystów, handlarzy, kuców — nasiąknęłam cudownym uczuciem posiadacza i byłem pewny, że podjąłem dobrą decyzję.

Kiedy teraz patrzę na to z perspektywy czasu, myślę, że musiałem być ślepy i głuchy. Historia i geografia, i rozhisteryzowana demonologia.

Za małe pieniądze.

Gotówka z góry.

A prawdziwą cenę płaci się potem.

Dostaliśmy obsesji na punkcie tego domu.

Było tak, jakbyśmy nagle stali się rodzicami dorosłego dziecka. Wychowanie dziecka to proces organiczny, człowiek łączy z nim swoje życie powoli i stopniowo, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. Ale kiedy pod opiekę trafia wyrosnięte dziecko, żąda całkowitego i natychmiastowego zaangażowania. Musisz odgadywać, analizować, rozumieć i poprawiać wszystko naraz, bo nie ma za wiele czasu. Jeśli występują jakieś wady charakteru, mówisz o nich wprost. Nie ma czasu na subtelne sugestie i powolne ukierunkowywanie.

Zbrojni pieniędzmi bibi, opadliśmy posiadłość, zdecydowani szybko nagiąć ją do naszej woli. Pierwsze oczyszczenie terenu ujawniło, że mamy więcej powierzchni, niż kupiliśmy. Kiedy czterech młodych chłopaków z wioski wymachiwało kosami — po pięćdziesiąt rupii za dzień — ścinając krzaki i trawę, niespodziewanie odsłaniały się jakieś ścieżki. W trakcie dokonywanych przez Fizz oględzin trudne do opisanie kępy poszycia okazały się pięknymi dębami, a usunięcie gruzu i śmieci poszerzyło tarasy.

Taphen przyszedł ze swoim ujadającym kwartetem, psia sierść była widoczna na całej jego postaci, i powiedział: Proszę pani, zaczyna tu być jak w dawnych czasach.

Damjanti, jego przysadzista żona z nizin, z Śahdżahanpuru, gdzie była nauczycielką, drwiła: Dawne czasy! Proszę pani, to nie żaden Taphen Żongler, to król łgarzy. Jeśli uwierzy pani w połowę tego, co mówi, oszaleje pani. Kiedy chciał się ze mną żenić, opowiadał mi wspaniałe historie o przyjęciach bożonarodzeniowych i cieście rumowym, i śliwkowym winie, o angielskich gazetach dostarczanych z Delhi i wielkim samochodzie, do którego zmieszczą się naraz wszystkie nasze dzieci! A jak tu przyjechałam, zastałam dziurę pełną pustych butelek, i teraz, po trzydziestu latach, mam wielki dół pełny pustych butelek!

Taphen powiedział falsetem: Nie wygłupiaj się, królu łgarzy! Wykop wielki dół! Szybko go zapełnij!

Żona odparła: Wystarczy! Tylko tego potrafi nauczyć! I tak mój starszy chłopak, Brian, jeździ autokarem w Pithoragarhu i ma już własną kolekcję. Mówi, że któregoś dnia będzie miał większy dół od ojca.

Wykop wielki dół! Szybko go zapełnij!, zaśpiewał Taphen.

Żona powiedziała: Sami państwo widzą! Co za głupek z niego!

Ale Michael, mój drugi chłopak, jest dobrym dzieckiem. Obroniłam go przed ojcem. Jest moim synem. I nie pije.

Taphen wtrącił: Nie pije. Robi zastrzyki. W prawą, w lewą, pośrodku. Psssss!

Żona wykrzyknęła: Zamknij tę zapijaczoną gębę! Uczy się pielęgniarstwa w Haldwani, proszę państwa. I to prawda, że chciałby wszystkim robić zastrzyki. Kiedy przyjeżdża, nie przywozi gościńców, przywozi zastrzyki. Mówi, że zdrowie to największy skarb na świecie. Wszyscy nienawidzą biednego Michaela. Przyjeżdża z czarną torbą i chodzi po okolicy, ściąga wszystkim spodnie i kłuje. Niech państwo na mnie popatrzą. Dostałam ponad sto zastrzyków. W ramiona, w brzuch, w uda, w pośladki. Mówi wtedy: Matko, to jest przeciw tęzcowi, to przeciw wścieklicznie, to przeciw zapaleniu wątroby, to przeciw typowi A, a to przeciw typowi B. Mówi: Matko, to szturchnięcie przez boga. Ale kiedy ludzie chcą do mnie przyjść, pytają najpierw, Michael w domu? A kiedy natkną się na siebie, pytają: Spotkałeś Michaela? Ukłuł cię? Kiedy dzieci widzą, jak nadchodzi, krzyczą: Zastrzykmichael przyszedł! Zastrzykmichael przyszedł! I wszyscy uciekają z wrzaskiem. Płakać mi się chce. A tego kundla Taphena i jego Brianka, choć to pijanice, wszyscy zapraszają! A mojego biednego Michaela, który pragnie pomagać — nikt nie chce!

Taphen śpiewał: Wszechmocny gowdal, nie żartuję! Zrób mi zastrzyk! Zrób mi zastrzyk! Wykop wielki dół! Szybko go zapełnij!

Wlał zawartość ćwiartkowej butelki do gardła.

Jego żona powiedziała z obrzydzeniem: Zapytał nawet kiedyś Michaela, czy zrobi mu zastrzyk z whisky.

Tego wieczoru powiedziałem Fizz: Błagam, trzymaj tych wariatów z dala od tego miejsca! Nie znoszę ich! Całe to wymieszanie krwi odebrało im rozum!

Fizz odparła: Kochanie, nie przynoś mi wstydu! A co z Michaelem? Chcesz, żebym go zaprosiła? Na maleńki zastrzyczek? Zastrzyczek od samego boga!

Sam wiem, gdzie go dostać!, powiedziałem.

Byliśmy w pokoju nad jadalnią. Wszystkie deski podłogi były tutaj brązowo-czarne ze starości, niektóre miały wielkie pęknięcia; wystarczyło przytknąć oko, by mieć pełen widok na pokój poniżej. Podłoga trzeszczała złowieszczo za każdym razem, gdy sta-

wiało się na niej stopę, i nadal nie przyzwyczailiśmy się do chodzenia po drewnie. W pokoju znajdowało się tylko jedno okno z widokiem na dolinę Džeolikot. To właśnie przy oknie człowiek zdawał sobie sprawę, jak naprawdę grube są kamienne ściany. Parapet miał szerokość sześćdziesięciu centymetrów i można było na nim siadać, mając to samo poczucie bezpieczeństwa co na sofie w salonie.

Z okna po prawej stronie widać było całą drogę do Birbhathi, z okna po lewej — Džeolikot. Można było też dostrzec punkt, w którym droga rozwidlała się w kierunku Najnitalu i Almory: Ek Number — Numer Jeden. W załomie pod pierwszym tarasem rosły krzaki lantany i chował się lelek. Nie zaczął jeszcze terkotać. Dochodziła dopiero dwudziesta druga. Zawsze staraliśmy się wcześniej tu przychodzić, zmęczeni operacją generalnych porządków. Dzisiaj księżyc był wielki, wlewał się do naszego pokoju i nadawał dolinie srebrną poświatę. Znajdująca się naprzeciwko droga przypominała lśniąca wstążkę z poruszającymi się po niej robaczkami świętojańskimi. Ponad nią, na pofalowanym szczycie góry, sosny maszerowały w pojedynczym szeregu — żołnierze w wielkich hełmach na nocnym patrolu. Siedzieliśmy na parapecie i patrzyliśmy w dół, jej nogi krzyżowały się z moimi, jej dłonie spoczywały w moich.

W ciągu czterech miesięcy, jakie minęły od chwili, gdy kupiliśmy ten dom, oczyściliśmy teren — rąbiąc, paląc, wycinając — a zebrane ze wszystkich rumowisk kamienie ułożyliśmy w równe sterty pod Triśulem, cedrem. Wezwaliśmy dźwig, który zabrał samochód Mountbattenów i postawił go obok wiejskiego sklepu, trochę dalej od nas. Już po tygodniu thakur wymontował ostatnie drzwiczki, włożył do środka drewniane deski i urządził w nim herbaciarnię-kawiarnię. Odkrywaliśmy też zawłości architektury i zasady rządzące nią w górach. I zawieraliśmy znajomości z ludźmi, którzy ją tworzyli.

To właśnie w tej dziedzinie Taphen początkowo miał nad nami przewagę, machał nam przed nosem pozwoleniami i mydlił oczy. Dopóki nie odkryliśmy licznych zalet Rakszasa. Potrzebowaliśmy kogoś, kto miałby na wszystko oko, pomógł doprowadzić dom do jakiego takiego stanu, uzdatnić go do zamieszkania. Potrzebowaliśmy stolarzy, murarzy, robotników, hydraulików, elektryków. Potrzebowaliśmy informacji, gdzie kupować materiały — drewno, kamień, piasek, cegły, cement, żwir, blachę. Potrzebowaliśmy informacji o regionalnych przepisach i właściwościach klimatu. Kiedy zrywa się szkwał, kiedy pada, kiedy przychodzi gradobicie.

Jak duże powinno być okno, jak mocne drzwi, jak gruba ściana. Jak jest naprawdę z małpami, panterami i wilkami. I mniejszymi szkodnikami, od myszy po mole.

Przyzwoita łazienka — to stanowiło nasze główne wyzwanie. Dom nie miał żadnej. Był za to ogromny pokój — absurdalnie wielki, obok kuchni — z dziurą w podłodze. Dziura znajdowała się w rogu, zrobiono ją w betonowej płycie, niecały metr na niecały metr, oddzielonej od reszty pokoju rodzajem ogrodzenia. Niskie ściany zbudowano z cegieł, połówkowe drzwi zamocowano na niepewnych zawiasach. Ponura mała enklawa na wielkiej przestrzeni. Nawet kiedy się przykucalo, można było patrzeć ponad ścianą i drzwiami na resztę łazienki. Mosiężny kran w dalekim końcu, wiszące nad nim niewielkie lustro, wyżej brudny wywietrznik i wąska betonowa półka z mydłem, pastą do zębów, olejkami i szamponami, czekającymi, by z nich skorzystać. Czasami jedno z nas się tam myło, podczas gdy drugie kucało — i rozmawialiśmy. Przy wstawaniu trzeba było oprzeć się o ścianę, żeby minął skurcz mięśni. Potem należało iść przez cały pokój, by napełnić wiadro i wrócić.

Fizz powiedziała: To dobrze wyważona poranna gimnastyka, dobra dla zdrowia — wyrabia wszystkie mięśnie, od zwieracza po bicepsy.

Najwyraźniej pierwotni mieszkańcy domu używali przenośnych ubikacji i misek do mycia. Ostatni zrobili dziurę w podłodze. My zaś chcieliśmy zbudować dwie łazienki obok sypialni. Wykucie miejsca na rury było pewną przeszkodą, ale znacznie większym problemem okazało się zrobienie otworów w grubych na sześćdziesiąt centymetrów ścianach, żeby doczepić łazienki. A ponieważ sypialnie były na piętrze i miały drewniane podłogi, stanowiło to nawet większe wyzwanie. Nie bardzo wiedzieliśmy, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy usiedliśmy, trzymając się za ręce, z poszycia rozległo się cykanie i szeleszczenie owadów. Księżyc przemierzał rozgwieżdżony dach nad doliną, na zboczach powoli gasły światła.

Fizz powiedziała: Jeśli góra nie przyjdzie do boga po zastrzyk, bóg będzie musiał zanieść zastrzyk górze.

Wyzwolila z mojego uścisku prawą rękę i położyła ją na moich spodniach od dresu. Biodra poruszyły mi się odruchowo.

Zapytała: Jak myślisz, Taphen nienawidzi Rakszasa?

Odparłem: Tak.

Powiedziała: Dzisiaj znowu mi powtórzył, niech pani uważa na tego borsuka. Wierz pani mi, ma jedną rękę, ale czworo oczu.

Czworo oczu, ale ośmioro uszu. Ośmioro uszu, ale osiemdziesiąt pomysłów. Mówią, że gada z duchami. Pani o czymś pomyśli, a on zaraz będzie to wiedział. Dobry pan będzie się uśmiechał, ale straci spodnie.

Powiedziałem: Tak.

Jej dłoń była teraz pełna. Unosiłem się nad doliną. Jak orzeł w południe.

Powiedziała: I dodał, jestem pijaczną, proszę pani, ale on to narkoman. Wierzy pani mi, położą mnie w mogile — jak nas wszystkich! — ale on pójdzie do więzienia. Nie przechodzisz startu. Nie dostajesz dwóch setek premii. Idziesz prosto do więzienia!

Przyznałem: Tak, tak.

Spodnie od dresu znalazły się na podłodze. Świat nie był teraz większy od małej dłoni. A ja wznosiłem się wyżej od wszystkich orłów nad wszystkimi dolinami świata.

Fizz powiedziała: Jednak wydaje mi się, że nie powinniśmy słuchać Stephena. Myślę, że Rakszas jest w porządku gościem.

Oczy miałem zamknięte. Ale wiedziałem, że się poruszyła. Ruszała się. Nie było jej już na parapecie. Teraz była na belce.

Rakszas-Taphen, rakszas-taphen, rakszas-taphen, rakszas-taphen. Ruchy stały się miarowe.

Ciepło i sucho, ciepło i wilgotno, cieplej i wilgotniej.

Rakszas-Taphen, rakszas-taphen, rakszas-taphen...

Fizz-ja, fizz-ja, fizz-ja...

Hindus-muzułmanka, hindus-muzułmanka, hindus-muzuł-manka...

Dobrze-źle, dobrze-źle, dobrze-źle...

Wsunięcie-wysunięcie, wsunięcie-wysunięcie, wsunięcie-wy-sunięcie...

Miłość-seks, miłość-seks, miłość-seks...

Rakszas-Taphen, rakszas-taphen, rakszas-taphen...

Siedzieliśmy potem nago, owinięci kołdrą. Fizz opierała się o mnie. W dolinie widać było teraz tylko kilka światełek oddalonych jedno od drugiego; to światła werand i bram, strażnicy ostatnich godzin nocy. Oboje odczuwaliśmy rodzaj ulgi. Nasze ciała stały się tak nieobliczalne wobec siebie, że za każdym razem, gdy się zapalaliśmy, było to jak proces uzdrawiania. Zranienia się zablizniały, skóra ponownie je zarastała. Co dziwne, podczas gdy sam dom podnosił nas niesłychanie na duchu, dla naszych ciał niewiele znaczył. Nowe sytuacje, nowe otoczenie, każde wspólne działanie zwykle nas elektryzowało. Ale tu nie udało nam się wstrząsnąć krokwiemi, jak się tego spodziewaliśmy, kiedy pierw-



szego dnia staliśmy na najwyższym tarasie i patrzyliśmy na dom i dolinę. Byliśmy tego boleśnie świadomi. Nie wiedzieliśmy, co z tym zrobić. Choć żadne z nas tego nie powiedziało, moim zdaniem oboje kładliśmy to na karb zwykłego fizycznego zmęczenia.

Odkąd kupiliśmy dom, staliśmy się zagorzałymi podróżnikami. Przyjeżdżaliśmy w góry w każdy weekend. Bez przerwy, w każdy weekend bez wyjątku. Wyruszaliśmy z Delhi w sobotę przed świtem, a do Delhi — w poniedziałek przed świtem. Dogadałem się z Śulterim: wolne soboty za dłuższe dni pracy w tygodniu i popołudniowa zmiana w poniedziałki. Ponieważ wypadłem z zasięgu radaru, nie miało to dla niego znaczenia. W ostatnim roku stracił miejsce na słupie, bo Król Czaszy rzucał bardzo dużo smaru w jego stronę. Gorączkowo, z przejęciem, szukał możliwości odzyskania dawnej pozycji. Jeśli nawet miał kiedykolwiek w głowie pomysł na książkę, to byłem pewny, że teraz ściekł mu do palców u nóg.

W każdą sobotę Fizz i ja budziliśmy się o czwartej rano i o wpół do piątej siedzieliśmy już w gypsy. Jeszcze przed pójściem spać pakowaliśmy wszystko i ładowaliśmy do samochodu. Tylne siedzenie i bagażnik pełne były domowych przedmiotów najróżniejszego autoramentu. Gwoździ, bolców, zawiasów, wtyczek, zwojów kabla, karniszy, sztućców, szkła, utensyliów kuchennych, abażurów, kluczy do śrub, otwieraczy do konserw, śrubokrętów, korkociągów, wiader, kubków, pościeli, obrusów, poduszek, kołder, zasłon, wieszaków, klipsów do bielizny, środków owadobójczych, płynów na komary, szamponów, mydeł, ręczników, plastikowych pudeł pełnych sypkiej herbaty, herbatników, mleka w proszku, dali, ryżu, mąki, przypraw, korzeni, puszek z mlekiem skondensowanym, pieczoną fasolą, rasgullami i koszmarnymi po trzykroć kielbasami z eleganckiego targu żywnościowego INA. Znajdowały się tam także butelki z piwem, whisky i winem, poutykane między pościelą.

Na podłodze stały ścięzione sadzonki drzew — figowca świętego, baniana, palisandru, płomienia Afryki, strączyńca, srebrnego dębu, bauhinii, miodli, puchowca, kasztanowca, bambusa. Niektóre nadal były w pobrudzonych ziemią plastikowych pojemnikach, prosto ze szkółki Dzor Bagh, niektóre w niewielkich doniczkach zabranych z istnego gaju, jaki Fizz stworzyła na tarasie. Gałązki zostały ostrożnie ułożone, niektóre zakrzywione bez-

piecznie pod dachem, niektóre wystawione przez okno, skąd machały niczym upiory do mijanych przechodniów.

Potem następowały książki — które zaczęły równymi partiami wyruszać do celu, jakim był dom w górach — pudełko z kasetami z muzyką, menu na weekend i wreszcie brother, maszyna podróżująca z nami w tę i z powrotem, postawiona na tylnym siedzeniu, spowita czarnym całunem, czekająca, jak ja, na moment, aż zobaczy światło.

Minęły miesiące od dnia, gdy czuła, jak stukot wstrząsa jej kośćmi. Dom na wzgórzu stał się pretekstem do unikania spojrzeń, które mi posyłała. Narzuciłem jej nieustanny system parady, wchodziłem do gabinetu i wychodziłem stamtąd, w ogóle na nią nie patrząc. Powieść wszechświat-w-drobinie o młodym sikhu od dawna leżała w komie, ostatnia strona zapisana do połowy nadal tkwiła na wałku, pogrzebana w ciemności. Czekala na zabójstwo z litości i bezpowrotne wrzucenie do księgoczarnej dziury.

Ruszaliśmy. Fizz trzymała w ręku butelkę gorącej herbaty. Delhi spało, a my mknęliśmy pustymi ulicami i mostem Nizamuddin, i przez Hapur, zanim niebo zaczęło się rozjaśniać. A potem mijaliśmy miasta, jedno po drugim, jeden korek na drodze po drugim, jedno skrzyżowanie po drugim, kiedy pędziliśmy i zwalnialiśmy, zmierzając do podnóża gór. A potem kilka minut za Kathgodamem, przedarłszy się jakoś przez nędzę Haldwani, braliśmy pierwszy zakręt na pierwszej pochyłości i wszystko zostawało za nami, a dusza śpiewała nam jak Julie Andrews po amfetaminie.

Przecinając Nizinę Hindustańską, czuliśmy się jak Kerouac i Cassady — gnaliśmy pod górę, przekraczając tysiąc sześćset trzydzieści jeden metrów, a potem staczaliśmy się z niej w drodze powrotnej do Delhi. Jak dzieciaki na deskorolkach pokazywane w programach sieci ESPN, które wjeżdżają w górę i zjeżdżają w dół zakrzywionych ścian, nie przewracając się, nie zatrzymując. W rytmie, który ma własną logikę i koniec.

Nie wiedzieć kiedy poznałem tę trasę lepiej niż jakkolwiek w życiu. Wiedziałem, gdzie zakręty są pod górę, a gdzie są łagodne, gdzie nawierzchnia jest gładka, a gdzie wyboista, gdzie niebezpieczeństwo czai się w cieniu, a gdzie mimo pozorów nic nie grozi.

Poznałem prawa tej drogi. Jak ścigać się do początku korka i wpychać ostro, gdy tylko zaczynał się rozładowywać. Jak wymijać z lewej strony, zjeżdżając z drogi — raz w Hapur właściwie przez pół kilometra jechaliśmy chodnikiem przed frontem sklepów, siejąc przerażenie wśród mężczyzn i dzieci, worków i kurczaków, niemal frunęliśmy, bo monsturalny korek zatkał główną

drogę od początku do końca. Jak unikać zablokowania przez wozy ciągnięte przez woły i przyczepy traktorów — niebezpieczne wiejskie siły niemające nic do stracenia. Jak nikomu nie ustępować z drogi, bo nikt nigdy nie ustąpi tobie. Jak wymijać ciężarówki, ale nigdy autobusy — wbrew powszechnemu mniemaniu, kierowcy autobusów są tak złośliwi, że kierowcy ciężarówek nie mogą się nawet z nimi równać. Jak nigdy nie rozstrzygać sporów z innym kierowcą na posterunku policji — zdarzyło się nam to niedaleko Gadźrauli i po dwóch godzinach pytań, doprowadzających do szału, powiedziano nam, że lepiej będzie, jak znikniemy i zapomnimy o całej sprawie.

Odkryliśmy, w których przydrożnych jadłodajniach jest dobra herbata, w których parathy i gdzie jeść sandwicze. W gorączce tamtych miesięcy utwierdziłem się w przekonaniu, że w większości dhab w Indiach klientów obsługują idioci. Nie tyle niemądrzy, ile urodzeni z pewnymi ułomnościami. Moim zdaniem rodzice na wsi — nieświadomi istnienia wspaniałych ośrodków psychiatrycznych w miastach — widzą w garkuchniach profesjonalny ośrodek terapeutyczny dla niedorozwiniętych synów. A cwani właściciele uczą tych chłopców nazw pięciu dań oraz podstawowych zasad noszenia i zmywania talerzy i szklanek. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby dostawali za to wyłącznie jedzenie i ani jednej rupii.

Struktura władzy w większości dhab przedstawia się, jak mniemam, następująco: cwany właściciel, rozsądny kucharz, rozsądny starszy kelner i spora grupa idiotów. Była jedna taka knajpa tuż przed Moradabadem, Pandźabijan Di Pasand, gdzie wszyscy byli stuknięci. Pewnego razu, kiedy szedłem się odlać, natrafiłem na otwarte okno od kuchni, więc do niego zajrzałem. W samym środku lata kucharz siedział tuż przy ogniu w khaki sola topi na głowie — poplamionym potem i brudem — i na całe gardło śpiewał piosenkę z jakiegoś indyjskiego filmu. Zauważył mnie i zaczął się walić szerniąłą chochlą po głowie, wołając przy tym głośno: Dal usmażyć z kolonii ćirrimirri? Dal usmażyć z kolonii ćirrimirri?

Stojący za nim zabiedzony chłopak w podartych szortach, myjący talerze w strumieniu wody z kranu, zaczął się uśmiechać i śliniąc się, walić o siebie dwoma blaszanymi talerzami. Głośno przy tym zawodził: Smażyćdal-smażyćdal! Smażyćdal-smażyćdal! Ćirrimir-ri-ćirrimirri! ćirrimirri-ćirrimirri! Obląkany duet wpadł w opętań-

czy trans, bębnił po blachach i kartonach, uśmiechał się pełen szczęścia i śpiewał: Smażyćdal-smażyćdal! Ćirrimirri-ćirrimirri! Smażyćdal-ćirrimirri! Smażyćdal-ćirrimirri!

Nagle z zewnątrz rozległ się ryk: Fudhiondajo! Zamknąć ryje! Ktoś zgwałcił wasze matki?

Obaj zamilkli, jakby ktoś strzelił im w głowy.

Zapiąłem rozporek i uciekłem.

Nie ma co mówić o kucharzu, w tej dhabie nie było nawet rozsądnego starszego kelnera, który potrafiłby przyjąć zapłatę za rachunek. Po zjedzeniu trzeba było podejść do lady i obliczyć wszystko z przysadzistym sardarem, właścicielem tego przybytku.

Wręczając resztę, mówił: To nie ich wina. Oni są niewinni. To świat oszalał.

Byłem przekonany, że można przejrzeć indyjskie dhaby i zebrać armię idiotów, która stanęłaby naprzeciw armii rozsądnych. A w zamęcie walki nie byłoby wiadomo, kto jest kim.

Fizz i ja nigdy wcześniej nie byliśmy w drodze tak jak teraz. Żadne z nas w latach szkolnych nie należało do kultury motocyklowej lub samochodowej ani też nie robiło wypadów turystycznych, żeby obejrzeć jakąś świątynię czy zabytek. Dopiero zaczęliśmy żyć dla podróży. Kupiliśmy cały wachlarz latarek, małą siekierkę do obrony, muzykę pop dobrą jedynie na jazdę w tę i z powrotem. W ciągu tygodnia rozmawialiśmy o rzeczach, które trzeba kupić, które trzeba zabrać, na podróż, do domu. Zdobyliśmy wygodne spodnie od dresu i podkoszulki. Nigdy nie rozpakowywaliśmy kosmetyczek z przyborami toaletowymi. Zaczęliśmy tracić kontakt z przyjaciółmi.

Uwielbiałem prowadzić samochód. Otwarta droga, rozpościerający się krajobraz, świat kontrolowany za pomocą kierownicy. W sobotni przedświt gypsy wytaczał się z naszej ulicy — latarni o żółtym świetle jeszcze nie wygaszono — a ja byłem szczęśliwy. Jeszcze szczęśliwsza była Fizz, wykąpana, wyszorowana, jaśniejąca. Z butelką gorącej herbaty w dłoniach. Jeden z tych wyjazdów był niezapomniany — w ostatnich dniach marca — kiedy trzymała rękę wysoko na moim udzie przez całą drogę i w przedziwny sposób ta jazda wypaliła mi się w umyśle niezatartym piętnem.

Prowadziłem w oszołomieniu, ale nic nie uszło mojej uwagi.

Wczesnym rankiem pobocza pełne były handlarzy cebulami

o cienkiej skórce i ciemnozielonymi arbużami. Wielkie ziemniaki w pochylonych do przodu wózkach, błyszczące jak jabłka. Otwarte pola z łodygami pszenicy, od zielonych po złote — często zielona plama sąsiadowała ze złotą, opóźnione dziecię dojrzewało w swoim czasie, kiedy rodzeństwo szło naprzód. Z trzciną cukrową rzecz miała się inaczej. Ładunki skoszonych i powiązanych w snopki łodyg na przyczepach i ciężarówkach, blokujących ruch, jechały powoli do rafinerii — uroczę włącznie grożące przechodniom, kiedy bujały się niebezpiecznie, wystając ponad burtami wozów — podczas gdy kwadraty wysokich włochatych trzcin nadal stały na polach, otoczone morzem karłowatej pszenicy. Kopce obornika dymiły cuchnąco przez cały dzień niczym antyczne bomby gotowe do wybuchu. Falliczne kominy niekończących się pieców do wypalania cegły wyrzucały z siebie czerwone prostopadłościany, które niewczyły piękno krajobrazu. W Bradźghat nurt Gangesu skurczył się do wielkości strumienia i padł łupem religijnych śpiewów i kruchych łódek. Niebo koloru niemytego błękitu, chmury pyłu unoszące się w powietrzu. Krzykliwe reklamy o wielkich literach na każdej dostępnej ścianie — domu, garkuchni, sklepu. Coli, papierosów, bidi, mydła, często ze śmiałą ofertą rozwiązania problemów seksualnych w czasie jednej wizyty. Zadzwoń do doktora Doctoróla, ABCDEFG (Londyn), HIJKLMNO (Ameryka), i znajdź siłę dnia w martwocie nocy! I wszędzie pienia się trawa, obładowana zakończonymi na biało pociskami pyłku, dusząca ludzi i rośliny. i równie jak trawa pienia się nowe symbole nowych Indii, automaty telefoniczne PCO i STD, całe dziesiątki, w każdej wsi, w każdym sklepie. Wieś indyjska gorączkowo obdzwaniana świat. Halo, dzień dobry, mamy się dobrze i jeszcze nie pomarliśmy!

I zakłady wulkanizacyjne, i warsztaty samochodowe, i jadłodajnie, i ludzie dosłownie wszędzie, siedzący w kucki, chodzący, jedzący, śpiący, wypróżniający się, oddający mocz, jadący, patrzący — każdy, wszędzie, przez całą drogę od naszego domu w Delhi do leśnych plantacji w Rudrapurze, bez przecinka, bez średnika, bez kropki, *Finnegan's Wake* ludzkości, zagadkowy i stanowczo za wylewny.

I łagodzący to wszystko marsz milionów drzew. W pierwszym rzucie bladokóre eukaliptusy, oskrzydłające drogę kilkoma rzędami, wysokie pniami i niskie w hierarchii, często zostawione same sobie w zbiornikach wody, którą wytworzyły. Dalej palisandry o powyginanych ciałach, lecz olśniewające perłowymi kroplami zielonych liści. Wokół każdego pnia pas białej farby, głoszący, że to własność państwa, a nie ludzi. A potem, kiedy

przemknę przez serce Indii — ogrodzone, okrągłe gaje mangowe, teraz rozpusztne obsypane kwiatami, które jeszcze staną się panem nad panami wszystkich owoców, lecz na razie przebijają się biało przez bujny baldachim brudnych zielonych liści, zmuszając naród do wstrzymania oddechu ze strachu przed pyłkami i rakiem.

Fizz powiedziała: W tym roku będziemy się kąpać w mango. Zdobyłem się tylko na jęknięcie.

Kiedy skręcamy za Rampurem, przez osiem kilometrów ciągnie się bałagan ciężarówek i sklepów, po czym wjeżdżamy na rolnicze tereny Bilaspuru i Rudrapuru, gdzie zaczynają się pojawiać geometryczne linie młodych topoli. Przedsiębiorczy napływowi rolnicy testują na tych ziemiach nowe handlowe możliwości. Topola jako novum w dziedzinie zarabiania pieniędzy: siedem lat, pocięcie i sprzedaż. Po obu stronach drogi, pomiędzy złoto-zielonymi polami pszenicy, młode drzewka wypuszczały nieśmiało cudowne listki. Topole sadzono na dwa sposoby. Jako drzewa graniczne: otaczając nimi zboże, lecz tak, by nie rzucały na nie zbyt dużego cienia. Albo we wzór szachownicy: w kwadratach oddalonych od siebie dokładnie o dwa metry czterdzieści centymetrów, wycinając idealnie prostą linię w każdą stronę. Nawet jako drzewna młodzież sięgały wzrostu dwóch ludzi i jedynie kruchość pni zdradzała ich prawdziwy wiek.

W zupełnym kontraście, na całej trasie, występowały najróżniejsze figusy, monumentalne w zasięgu i krasie. Niektóre to figowce święte, inne sprężyste, pozostałych w ogóle nie potrafiliśmy zidentyfikować. Zgodnie ze swą naturą rosły pojedynczo i z dala od siebie: obok wiejskiej szkoły, przed miejscowym sądem, pośrodku rynku, na dziedzińcu komisariatu policji. Fizz, z gorącą ręką na moim udzie, powiedziała: To są lwy w królestwie roślin. Topole to jelonki.

Najdostojniejszego lwa widać było na ostatnim zakręcie przed skrzyżowaniem w Rampurze. Na wzniesieniu z błota pośrodku zastałego stawu rósł, rozkładając gałęzie, mamuci banian. Żeby go objąć w obwodzie, trzeba by sześciu ludzi, a tysiąc mogłoby spać w cieniu jego odwiecznego baldachimu, który cały czas się rozrastał, popychany zwisającymi korzeniami. Przy grubej podstawie zbudowano z kamienia maleńką świątynię. Powiewała nad nią trójkątna szafranowa flaga, a szafranową pastę wtarto w pień drzewa. Z pewnej odległości i przejazdem trudno było dostrzec, który z bogów tu rezyduje, lecz można śmiało powiedzieć, że drzewo pomieściłoby całą hinduską trójcę.

Ostatnimi ze wspaniałych drzew przed podnóżem gór były posagowe puchowce, kapokowce. Zaczynały się pojawiać w ogromnej liczbie, kiedy dojeżdżaliśmy do Rudrapuru, i pomnażały, w miarę jak oddalaliśmy się od miasta i kierowaliśmy ku strzeżonej plantacji, ciągnącej się do Haldwani. Drzewa kapokowe były zuluskimi wojownikami, proste jak świeca, o mocnych ramionach, wysokie. Tego marcowego dnia większość nie miała liści i kwiatów, ich liczne ramiona i liczne palce bodły odważnie błękitne niebo. Kapokowce maszerowały godnie poboczem drogi i widać było, że przez całą trasę do Dżeolikotu wspinają się też na zbocza. Kiedy mijaliśmy teren plantacji, Fizz położyła głowę na moich udach, a ja stałem się królem szosy, królem życia i królem świata. Byłem teraz wysoki jak puchowce, z żyłami ze stali. Ale moja siła okazała się złudzeniem — rozwianym w chwili, gdy las się skończył, a ona uniosła głowę — po latach zaś odkryłem, że dokładnie tak samo było w przypadku drzew kapokowych. W rzeczywistości miały słabe drewno i łatwo się przewracały.

Pamiętam inne rzeczy.

Kiedy zatrzymałem się na siku za Gadźraulą — musiałem czekać dłuższą chwilę, zanim krew odpłynęła — Fizz wskazała ręką falujące zagony marihuany rosnącej przy drodze. Można było ją zerwać, pocierać wytrwale godzinami o otwartą dłoń i tworzyć czarne wtyczki do spokoju i nirwany. Można też ją zmielić na miazgę i w halucynacji odnaleźć szczęście. Fizz zerwała kilka soczystych łądyg i wrzuciła do bagażnika gypsy, żeby uschły. Czułem potem zapach zielenizny i grawitowałem ku jeszcze wspanialszej rzeczywistości.

I wreszcie, na całej trasie, cudowne plamy pól gorczycy, teraz kwitnące intensywnie, pasy zachwycającego złotożółtego koloru, których widok uderzał do głowy równie mocno jak dym z marihuany.

Gdy z rozwidlenia za Dżeolikotem zjechaliśmy na Jedynekę i z gwizdem opon braliśmy strome zakręty, mknąc ku domowi na wzgórzu, czułem się jak głodny człowiek, którego setki razy przyprowadzano do stołu i odprowadzano nienasyconego. Za każdym razem otrzymywał pyszne maleńkie przekąski, ale odmawiano mu głównego dania.

Fizz podała mi później tego wieczoru suty posiłek. Była to uczta, która wprawiłaby w zdumienie samego króla.

Mój głos musiał wypełnić do ostatniego zakamarka ten padół łez.

Gdy usiedliśmy na parapecie — minęła północ — wydarzył się jedyny elektryzujący wypadek, jaki sobie przypominam. Byliśmy

nadzy. Masywy tego dnia — ludzie i samochody — pogrążyły się we śnie. Masywy nocy — zwierzęta i ciężarówki — były w ruchu. A my mieliśmy świadomość, że to, co się stało, nie wydarzyło się tylko dlatego, że było późno. Dotąd przez większość czasu nasze dni były wypełnione sprawami życia. Ciekawymi, znaczącymi, satysfakcjonującymi, pełnymi nowych odkryć, lecz tylko sprawami życia.

Ale dla Fizz i dla mnie to nie była treść życia. Żyliśmy magią naszych ciał. Mieliśmy skłonność do paniki, kiedy nam tego brakowało.

Żeby jednak być w porządku, muszę stwierdzić, że życiowe sprawy szły całkiem nieźle. Wypełniały je nowe odkrycia.

Wystarczająco szybko znaleźliśmy robotników.

Wystarczająco szybko poznaliśmy nieskończone przymioty Rakszasa.

Wystarczająco szybko rozwiązaliśmy problem budowy łazienek.

I w ten sposób weszliśmy na drogę rozsupływania naszego życia.

Najważniejszy wśród zatrudnionych przez nas ludzi był Bideśi Lal. Jako mistrz stolarstwa miał ze sobą grupę chłopaków, z których najmłodszy liczył tylko sześć lat. Nazywał się Dolnći i pomagał maleńkimi rączkami, przytrzymując deski podczas ich rozkładania i przybijania. A potem, kiedy wszyscy inni odpoczywali, zbierał wióry i wkładał je do worków, jako opał na wieczorny ogień. Od czasu do czasu któryś ze starszych chłopaków strugał dla niego narzędzia wojny: miecz, pistolet, granat w kształcie butelki. Kiedy nikt nie patrzył, Dolnći ćwiczył się do bitwy, przypuszczał frontalne ataki na gruszę rosnącą obok werandy i rzucał granat daleko na terytorium wrogiej trawy.

Drzewo było atakowane z odgłosem czusz! czusz! czusz!

Granat wybuchał z odgłosem duumm! duumm! duumm!

Potem, gdy Dolnći odpoczywał po trudach bitwy, Rakszas pytał go: Ilu Pakistańczyków dzisiaj zabiłeś?

Dolnći odpowiadał z uśmiechem: Stu dziesięciu.

Rakszas klepał go wtedy zdrową ręką i mówił: Are bahadur! Ale tyłu to ja zabiję jedną ręką! Jutro musisz zabić dwustu dwudziestu!

Bideśi i jego chłopcy pochodzili z leżącego u podnóża gór Baheri. Mistrz miał trzydzieści pięć lat i dziesięcioro dzieci — dzie-



więc córek i dziesiątego syna. Najstarszy pracownik jego ośmio-osobowej ekipy liczył dwadzieścia jeden lat. Wszyscy byli niscy, wychudzeni i obdarzeni chwytnymi dłońmi i stopami. Umieali przycupnąć na kruszącym się parapecie lub bardzo stromym dachu i siedzieć tam godzinami, wałąc młotkami bez chwili przerwy. Przez całe miesiące spodziewałem się, że któryś z nich w końcu spadnie, ale nie, oni robili wszystko precyzyjnie i jakby bez wysiłku. Skład grupy zmieniał się dość często. Znana twarz znikwała, pojawiała się nowa. Jedynie chłopczyk był na stałe, ale nie wolno mu było majstrować przy ścianach ani łązić po dachach, choć potrafił piłować, heblować i zbijać kawałki drewna równie dobrze jak pozostali.

Najsilniejszy z nich, z muskularnymi ramionami, nazywał się Ćatur — zręczny — Lal. Chodził, kołysząc się na boki, i zawsze miał przy sobie brązową kurę. Chłopcy nazywali ją Begam. Kiedy przychodził do pracy, niósł ją pod pachą, a kiedy obrabiał drewno niczym tlok, wygładzając każdą nierówność do gładkości jedwabiu, przywiązywał Begam długim sznurkiem za łapę. Kiedy siadali do lunchu — wyciągając roti i aćar — trzymał Begam na kolanach i pozwalał jej jeść z ręki to, na co miała ochotę. Nigdy nie słyszałem, żeby odezwał się choć słowem. Tylko czasami o zmroku albo wczesnym rankiem chodził po okolicy i wołał aa aaa, aa aaa, aa aaa, bo szukał zagubionej kury. Nieraz, kiedy trzymał ją blisko siebie, wydawało mi się, że coś do niej szepcze, ale nigdy nie potrafiłem się domyślić, co to było.

Bideśi Lal powiedział, że Ćatur jest synem jego starszego brata. Kiedy chłopak miał pięć lat, podczas prac kamieniarskich został uderzony w głowę dużym odłamkiem kamienia i na skutek wstrząsu mózgu zatrzymał się w rozwoju. Niewiele rozumiał, ale był łagodny, cierpliwy i potrafił rozmawiać ze zwierzętami. Zacząłem mu współczuć, na co Bideśi powiedział: Niektórym bóg zabiera rozum, innym ciało. Syn Bideśiego, dziesiąte dziecko, po dziewięciu córkach, cierpiał na porażenie dziecięce i prawie nie mógł chodzić.

Bideśi ściągnął Dukhiego Rama, szefa kamieniarzy, który pochodził z Biharu i był tak wymizerowany, że policzki zdawały się przylegać bezpośrednio do szczęk. Trudno było określić jego wiek. Równie dobrze mógł mieć czterdzieści pięć jak sześćdziesiąt pięć lat. Mówił gwarą, z której Fizz i ja niewiele rozumieliśmy. Podczas gdy Bideśi uwielbiał rozmowy, roztrząsanie możliwości i teorii, Dukhi Ram nie znosił, gdy się go o coś pytało. Jego zasada brzmiała: objaśnić robotę i zniknąć. Nosił skape białe

dhoti i zawsze siedział w kucki. Nigdy nie widziałem go stojącego, jeśli nie liczyć chwil, gdy szedł.

Jego współpracownicy pochodzili z okręgu Madhuban. Było ich czterech, wszyscy po dwudziestce. Chłopcy Bideśiego palili bidi, za to ekipa Dukhiego żuła bez przerwy limonki i tytoń. Jeden z jego ludzi, ciemny przysadzisty facet o wydatnych wargach i kręconych włosach, miał piękny głos i czasami słycało było wieczorem, jak śpiewa głośno ludowe piosenki, przepełnione tęsknotą. Chłopcy Bideśiego byli skorzy do śmiechu — bez przerwy tręcali się łokciami i chichotali. Chłopców Dukhiego otaczała smętna aura. Uznałem, że ci pierwsi są szczęśliwi i czują się bezpieczni, jak wszyscy, których korzenie i domy są w zasięgu ręki, tymczasem ci drudzy — oddaleni o wiele dni drogi od rodzin, na obcym terenie, często odrętwiali z zimna — niosą ze sobą smutek wygnańców.

Dukhi i jego ekipa pracowali wyłącznie w cegle i betonie. Potrafili wznieść ściany, pokryć je tynkiem i radzili sobie ze skomplikowanym zadaniem, jakim było krycie dachów — przędli blaszane geometryczne ornamenty, montowali równiutko okiennice, wylewali cement. Ale niczego nie umieli zrobić z kamienia, ani go ociosać, ani wykuć.

Mistrz kamieniarski został sprowadzony przez Rakszasa. Pochodził z nieodległego Bhumiadharu. Był stary i zawsze nosił czapkę Gandhiego — jak Pratap, ojciec Abhaja. Jednak, jak się przekonałem, w jego przypadku nie miało to nic wspólnego z polityką. Po prostu był kiedyś zatrudniony przez administrację państwową jako pracownik czwartej klasy i nigdy się nie identyfikował z reprezentowaną przez czapkę władzą. Rakszas nazywał go Goli, ale przez szacunek dla jego wieku my zwracaliśmy się do niego per Golidźi.

Rakszas śmiał się i mówił: Golidźi! Nazywamy go Goli, bo niemal wytrul pół wioski, rozdając najróżniejsze lekarstwa, kiedy pracował jako goniec w sanatorium!

Obserwowanie, jak Golidźi pracuje, było prawdziwą przyjemnością. Miał silne przedramiona i pewnymi uderzeniami młota i dłuta oblupywał oraz kształtował kamienie. Była to mozolna, ciężka praca; postawienie zaledwie niecałego metra muru zabierało Rakszasowi i jemu kilka dni. W przeciwieństwie do nich murarze pracowali w karkołomnym tempie. Muśnięcie cementem, chlast. Muśnięcie cementem, chlast. Całe ściany mogły powstać w ciągu jednego dnia.

Część tej armii składała się z ludzi zatrudnianych dorywczo. Elektrycy, hydraulicy, malarze, spece od kratownic, polerownicy

drewna i kamieni — zjawiali się i znikali, z Haldwani i Najnitalu, na wezwanie. Byli jeszcze oczywiście dniówkowi robotnicy z wioski, gotowi za sześćdziesiąt rupii podjąć się każdej roboty.

Stałymi elementami armii byli jedynie chłopcy Bideśiego, chłopcy Dukhiego, Golidzi i Rakszas. Mieszkali na terenie posesji — Rakszas w domu przy dolnej bramie, pozostali zaś w piętrowym budynku przy górnej bramie. Wobec posiadłości wykazywali zapędy właścicieli i byli bardzo oddani sprawie remontowania domu. Słysząc było, jak po godzinach dyskutują zawzięcie o podtrzymywaniu ścian, kątach dachu, wielkości okien, szerokości belek, odległości między krokwiami, rozmieszczeniu dołów na szambo, jakości drewna, da-marzyk kontra czerwony cedr, sosna nowozelandzka kontra sosna kuamonijska, zawiasy okienne kontra podnoszone okna, kafelki ceramiczne kontra biały marmur, dach z blachy falistej kontra dach na modłę nainintalską.

Armia miała jednego dowódcę operacyjnego i jednego generalissimusa.

Dowódcą operacyjnym był zręda-machający-kikutem Rakszas.

To on każdego ranka prowadził armię do boju, walczył ramię w ramię z innymi i wrzeszczał na nich bezustannie. Wieczorami rozgrzewał oddziały koleżeńskością i dowcipem.

Generalissimusem była Fizz.

Ona kreśliła plany, przewodniczyła łańcuchowi zaopatrzenia i robiła codzienne inspekcje.

Odnaczając się bardzo rzeczowym podejściem i brakiem agresji, Fizz szybko pozyskała sobie szeregi. Zamiast używać formalnego zwrotu memsahib, żołnierze nazywali ją z czułością didi. Ja oczywiście byłem sahibem, odwiecznym fiutem z kasą. Prawdę mówiąc, to jej pomysłowość, która doprowadziła do rozwiązania problemów z dobudowaniem łazienek, rzuciła ich na kolana i sprawiła, że uznali ją za szefową.

Stało się to pewnego wieczoru, kiedy Fizz siedziała pod cedrem i wpatrywała się w dom. Byliśmy tam oboje, na ławce z czerwonego piaskowca, którą kazaliśmy postawić przy granicznym murze. Był środek lata i kilka godzin wcześniej przekonaliśmy się, czym jest wściekła nawałnica, która uderzała każdego popołudnia między czternastą a piętnastą i przetaczała się przez posiadłość. Nadchodziła z rykiem od strony Dżeolikotu i zmierzała ku Bhumiadharo-

wi. Rozrzucała wszystko, co było zostawione na zewnątrz — ubrania, krzesła, książki — i potem musieliśmy szukać tego w najdalszych zakątkach posiadłości. Kiedy człowiek próbował jej się przeciwstawić, popychała go do tyłu centymetr po centymetrze. Trzeba było mocno zaciskać powieki, żeby nie odciągnęła ich jak skórek banana. Na pierwszy odgłos jej zawodzenia, na pierwszy ostrzegawczy podmuch robotnicy odkładali narzędzia, zabierali bidi, li-monki i tytoń, przykucali rzędem w osłoniętym miejscu i wsłuchiwali się w wycie wiatru. Półtorej godziny później już go nie było, złożył starannie ostatnie turkoczące poły i przepadł. Następowiała cisza. Nie poruszało się ani jedno źdźbło trawy.

Wtedy Rakszas, podkreślając słowa kikutem, mówił: W porządku, skończyło się. Wichura odeszła. Ruszajcie swoje czarne pomarszczone dupska i wracajcie do roboty!

Rakszas opowiadał, że wichura to duch góry, który przespał czterdzieści dziewięć tygodni, obudził się i przez trzy tygodnie szalał po okolicy. Jego celem było przypomnieć ludziom, że natura nadal ma nad nimi władzę. Rakszas mówił, że ludzie stają się czasami tak arogancy, że nie dociera do nich to ostrzeżenie. Wtedy ziemia zaczyna się obsuwać. Duchy góry są łagodne, ale kiedy lekceważy się je zbyt często, sieją śmierć i spustoszenie.

Patrząc spod Triśula, Fizz powiedziała: Weranda. Odpowiedź brzmi: weranda. Powinniśmy wpaść na to wcześniej. Odpowiedzią zawsze była weranda!

Zrzuciła mnie z ławki, podniosła kredowy kamień i na czerwonej płycie narysowała plan. Najpierw duży kwadrat — główny budynek. Potem dodała dwa małe kwadraty po obu stronach. Kwadrat po prawej to była obora dla kóz, wielka przybudówka z zawalonym blaszonym dachem, połówkowymi drzwiami i smrodem koziego gówna, który wgryzł się głęboko w ściany. Kwadrat po lewej to wielka przybudówka postawiona przy innej ścianie — naszej obecnej łazience typu dziura-w-podłodze. Potem z ostrym, przenikliwym dźwiękiem narysowała krawędzią kamienia półkole łączące zewnętrzną ścianę obory dla kóz z zewnętrzną ścianą dziury-w-podłodze. Linia obejmowała rogi frontowej werandy, powiększając ją ku przodowi.

Wielkopańskim gestem wręczyła mi kamień i zapytała: I co ty na to, panie Ćinćpokli?

Odparłem: Wygląda dobrze. Zatem będziemy używać werandy jako łazienki?

Powiedziała: Tak, szlachetny panie. Ty będziesz używał werandy w prawdziwym duchu Ćinćpokli, a ja będę korzystała z łazienki.

Odebrawszy mi kamień, ze skrzypiąco-trzeszczącym odgłosem świadczącym o determinacji spłaszczyła strome dachy obory i dziury-w-podłodze po obu stronach głównego budynku. Na płaskich dachach umieściła mniejsze kwadraty. A na nich dopiero strome dachy.

Powiedziała: Grunt pod naszymi nogami. Czing Czow mówi, że żaden człowiek nie da rady się wysrać na stromej podłodze. Wykrzyknąłem: Och! To jest pomysł!

Pod spodem tych kreślarskich planów złożyła podpis „Fiza” z ozdobnym zakrętasem. A potem wyrzuciła kamień przez ramię.

Plan okazał się doskonały. Wznieść werandę wokół domu. Dać jej betonowy dach. Zrobić otwory w ścianach pokoi na piętrze i dobudować do nich łazienki. To było proste i naturalne. Nie zmieniało w zasadniczy sposób oryginalnej struktury, jedynie nieco ją rozbudowywało. W rzeczywistości weranda stawała się rodzajem betonowego pasa, chroniącego stare drewno i kamienie domu. Zapewniała także wielkie przestrzenie do codziennego użytku na obu poziomach w czasie złej pogody. A kiedy zaczęliśmy planować to w szczegółach, zdaliśmy sobie sprawę, że zyskamy trzy dodatkowe sypialnie.

Wymachując entuzjastycznie kikutem, Rakszas powiedział: Gdyby wszystkie kobiety na świecie miały takie mózgi jak didi, wszyscy mężczyźni na świecie byłiby szczęśliwi.

Patrząc na mnie nieufnie, Bideśi Lal powiedział: Niektórym bogowie dają rozum, innym bogowie dają pieniądze.

Kucając na ziemi, Dukhi Ram powiedział: Zaczynamy?

Jego smętna ekipa wpatrywała się w niego z niechęcią.

W tle Dolnći wysadził w powietrze gruszę granatem. Duumm!

Fizz zdecydowała: Wszyscy później. Pierwszy Golidźi.

Fizz nie miała nic przeciwko zbudowaniu nowych pokoi i łazienek z cegły i przerobieniu kuchni w ten sam sposób — i tak na murze położy się tynk — chciała jednak, żeby plinta werandy została wzniesiona z kamienia, bo wtedy harmonizowałaby z pierwotnym charakterem domu. Byliśmy tam rankiem, kiedy Golidźi, w czapce Gandhiego, wziął kłębek białej linki, obwiał wokół wielkiego kamienia i wyrównując ją z zewnętrzną ścianą obory dla kóz, rozwinął w linii prostej na trzy metry sześćdziesiąt centymetrów, a potem owinał ją wokół drugiego wielkiego ka-

mienia. Kiedy koordynaty zostały ustalone, Rakszas sprawdził je, pociągając za linkę jak za strunę gitary. Reszta armii stała wokół i patrzyła.

Rakszas i Golidzi, wspomagani przez dniówkowych robotników, wykopali pod napiętą linką płytki rów. Wierzchnia warstwa gleby miała jedynie niecałe trzydzieści centymetrów, potem w ruch poszły kilofy dźgające skałę. Rakszas wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął starą monetę z dziurką pośrodku oraz miedzianą figurkę wijącego się węża. Obwiązał je kilkakrotnie czerwoną bawełnianą nicią i z pełnym namaszczeniem zakopał na początku rowu. Zapalił tuzin khas-khuşbu agarbatti — ich zapach był intensywnie słodki nawet na otwartym powietrzu — a wszyscy pokłonili się, ażeby udobruchać duchy tego domu. Potem sięgnęli do pudełka z wilgotnymi pomarańczowymi laddu i wrzucili do ust po jednej kulce.

Ze stosu ułożonego przy placu budowy Golidzi wybrał ogromny kamień i łagodnymi uderzeniami młota ociosał nierówne płaszczyzny. Uginając nogi pod ciężarem, uniósł go i wrzucił w koniec rowu przy oborze dla kóz. Klęknawszy, upychał kamień, dopóki ten nie osiadł na dobre. Następnie wrócił do stosu i jak grymaśny klient kupujący owoce zaczął obmacywać i obracać kamienie, aż znalazł taki, którego kształtem i rozmiarem był usatysfakcjonowany. Ociosał go z czułością kilkoma ruchami młotka i dłuta. Potem nałożył trochę mieszanki cementowej — gęstej używali do kamieni, rzadszej, z piaskiem, do cegieł — na pierwszy kamień i starannie umieścił na nim drugi. Delikatnymi uderzeniami młotka połączył je w niemal doskonałej linii prostej.

Rakszas zaczął robić to samo przy drugim końcu, pracował jedną ręką w takim samym tempie jak Golidzi, ale brak mu było jego finezji.

Fizz i ja siedzieliśmy i patrzyliśmy na nich przez cały dzień. Do wieczora ściana wystawała już trochę nad ziemię, a my odkryliśmy, że nierówne kamienie mają same w sobie tyleż symetrii, co ułożone w szeregu cegły.

Harmonogram został ustalony. Zaczynaliśmy nową fazę w któryś z weekendów, a kiedy wracaliśmy w następny, sprawdzaliśmy jej wykonanie i przechodziliśmy do kolejnej. Podczas gdy Golidzi i Rakszas budowali rozszerzającą się werandę, chłopcy Dukhiego mieli robotę przy ceglach i przerabiali budynek gospodarczy przy górnej bramie. Kamień był deficytowym materiałem, a jeśli nawet udało się kupić go legalnie, kosztował bająnskie sumy. Dlatego postanowiliśmy odzyskać kamienie z domku przy górnej bramie

i użyć ich w głównym budynku, a rozebrane ściany postawić od nowa z tańszych cegieł.

W odróżnieniu od kawalerii murarzy — cegły i kamienie — która włączyła się do bitwy praktycznie bez żadnych przygotowań, chłopcy Bideśiego byli jak łucznicy, którzy muszą zrobić setki strzał z lotkami z piór, zanim przystąpią do walki. Od świtu do zmierzchu, nieprzerwanie, piłowali, heblowali i układali sosnowe i palisandrowe deski, kupione w tętniącym życiem tartaku w Haldwani. W salonie utworzyli komitet doradczy i tam się naradzali. Odgłos powstający w czasie ich pracy przypominał dźwięki wydawane przez ogromnego owada, szszy-szszy-szszy. Wieczorami, kiedy zasypiał, dziwna cisza opanowywała dom. Wtedy dopiero Dolnці małymi rączkami napychał do pełna dwa worki bladymi wiórami, a siłacz-głupek Ćatur — z kurą na sznurku — zanosił je do budynku gospodarczego.

Nocą zostaną spalone w ognisku, wokół którego zasiądzie armia. Chłopak o grubych ustach od Dukhiego będzie posyłał wtedy, choć nie zawsze, swe tęskne piosenki w dolinę, a my, siedząc na tylnym tarasie, będziemy ich słuchali wzruszeni.

\*

Zdarzało się, że w drogę powrotną wyruszaliśmy w niedzielę wieczorem, najczęściej jednak wyjeżdżaliśmy wponiedziałki przed świtem i przed dziewiątą docieraliśmy już do przedmieść Delhi. Jazda do domu — w zależności od ruchu — zabierała nam wtedy jeszcze od godziny do dwóch. Powrót do miasta zawsze działał dołująco, choć moment opuszczania szczytu góry sprawiał nam przyjemność.

Górskie drogi były opustoszałe, zbocza nadal spały, punkciki gwiazd pobłyskiwały po raz ostatni i często spóźniony księżyc wisiał jeszcze na niebie, oblewając dolinę magicznym światłem. Czasami można było wyłączyć światła i jadąc przez kilkanaście kilometrów w srebrzystym mroku, zapomnieć na chwilę, kim się było, gdzie się było i co jest naturą wszystkiego. Kiedyś z mostu nad Birbhatti dostrzeżliśmy przez sekundę — za wielkim czerwonym cedrem o pniu znacznie grubszym od naszego — ogon lamparta niknący w krzakach. Byliśmy tym podekscytowani wiele dni.

Kiedy dojeżdżaliśmy do przedmieść Delhi, zaczynały się katusze. Panował upał, kurz wzbijał się tumanami, a ostatni odcinek za Hapurem był ciasny jak nogawka spodni, gdy usiłuje się do niej

wsadzić obie nogi. Autobusy sunęły na nas jak nietoperze z piekła rodem i zawsze jakieś wraki po niedawnych wypadkach — metalowe puszki jakby zgniecione dłońmi olbrzyma — leżały na poboczach.

Droga stawała się łatwiejsza tuż za zjazdem w Ghaziabadzie, przechodząc w szeroką czteropasmówkę, lecz wtedy występował nowy rodzaj utrudnienia. Wzdłuż całej trasy stały niedokończone domy. Stalowe pręty sterczały w górę, podłogi na wpół wykończone, ściany jeszcze nieotynkowane, brakujące okna i drzwi, postawione częściowo balustrady tarasów. Krajobraz przy drodze sugerował, że nikt nie chciał dokończyć budowy—jakby każdy pragnął zachować niekończącą się możliwość dobudowywania. Hindusi wiedzą, że żyjemy wiecznie: nie trzeba się zatem śpieszyć z kończeniem rzeczy. Ale widok na ostatnim odcinku — zbudowane do połowy, rozrastające się po obu stronach autostrady miasto — był przytłaczający. Surowy, bez śladu zieleni. Małe nagie domy, rzędy cegieł połączone ohydny cementem przepychały się, by zdobyć trochę powietrza. Większość wyglądała jak piętrowe pudełka, rzadko z oknami. Ścieżki między nimi nie były wyłożone płytami chodnikowymi, szlam zatykał otwarte ścieki, góry śmieci rosły w każdym możliwym miejscu, czarne włochate świnie ryły w nich w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, niewielkie zielone sadzawki służyły ludziom i bawołom.

To była strefa mroku. Żyły tu niemające o niczym pojęcia szumowiny współczesnego i antycznego świata.

Życie bez godności wsi i bez możliwości miasta.

Stary talizman odradzania się ziemi pozostał gdzieś daleko w tyle.

Nowy, przebiegłości i zręcznej ręki, był zbyt odległy. Niewielu uda się wyrwać z tej strefy mroku i dokończyć wędrówkę.

Bardzo niewielu. Bardzo, bardzo niewielu. A nawet ci, którym się to uda, przybędą do miasta ścierającego w proch.

Kiełbaski w wielkiej maszynie produkującej kierowców, gońców, woźniców, robotników, kelnerów, kulisów, chłopców na posyłki, pomywaczy, pracy, zamiataczy, żebraków.

Przejdźcie pielgrzymia z łagodniejszego piekła do straszniejszego piekła.

Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją\*.

\* Dante Alighieri, *Boska Komedia*, w tłum. Edwarda Porębowicza.



Kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy miesiąc po miesiącu, widzieliśmy, jak posepność tego miejsca szerzy się niczym wysypka. W kierunku miasta i od miasta, ku drodze i od drogi. Krajobraz bez nadziei. Skóra odarta do żywego, bez balsamu, bez pomocy. Nawet deszczom — ratującym wszystko na subkontynencie — nie udawało się dodać tym miejscom odrobiny blasku. Brakowało zieleni, by ją zrosić. Nagie ceglane pudła, kurz i szlam, jeszcze bardziej przygnębiające bagniska i szwadrony komarów unoszące się nad wszystkim, dopełniające obrazu piekła. W dniach, gdy wiatr wiał w stronę drogi, fekaliczny smród atakował nozdrza i zostawał w nich na całe godziny, opierając się płukaniu wodą, myciu mydłem, skrapianiu wodą kolońską.

Patrząc na te połacie, trudno było sobie wyobrazić jakiegoś mściciela dusz, przystępującego do niesienia pomocy.

Nawet Gandhi musiałby nieźle kombinować, żeby wystąpić z odpowiednim rozwiązaniem.

Było lepiej, kiedy wyjeżdżaliśmy z Delhi. Wysypkę pokrywały ciemność i mgła i mogliśmy skupiać się wyłącznie na myśli o czekających nas górach. Martwiliśmy się jedynie o przejazdy kolejowe i węże tuczące się po obu ich stronach.

Góry zaprzętały nas nawet w Delhi i co do tego nie ma wątpliwości. Moje pisarskie hemoroidy sprawiły, że stałem się kompanem nie do wytrzymania. Dopóki odwiedzaliśmy sklepy z wyposażeniem sanitarnym i narzędziami w Kotli Mubarakpurze i na bazarze Hauz Khas czy handlarzy kamieni przy Mehruali, było okay. Fizz przejmowała dowodzenie, a ja się włączałem.

O domu rozmawialiśmy całymi godzinami: o architekturze, materiałach, widokach, drzewach, naszych planach opuszczenia Delhi na dobre za kilka lat i osiedlenia się w górach. Nauka dla dorosłych prowadzona w budynku gospodarczym; comiesięczna klinika zdrowia, ściągająca zaprzyjaźnionych lekarzy, by leczyli wieśniaków; raz w roku plener dla artystów; pokój z widokiem na ciemną dolinę przerobiony na azyl pisarski; taras z krzakami lantany zmieniony w uprawę ziół. Nasze dziewczynki, które miały się urodzić w pobliskim Najnitalu i dorastać w domu na wzgórzu, to wolne duchy, które będą umiały odróżniać drzewa, zanim poznają imiona bohaterów kreskówek.

*Ficus religiosa* przed Świnką Porcky.

Brodacz zielony przed Yosemite Samem.

W tym momencie Fizz mówiła: Ale nie będę ich uczyła w domu! Pójdą do normalnej szkoły i nauczą się norm moralnych od śpiewających zakonnic!

To koniec! Sprzedajemy dom!

W górach byliśmy szczęśliwi, całe godziny przesiadywaliśmy na tarasie, sącząc herbatę albo whisky. Po piętnastu latach odkryliśmy na nowo scrabble i wkrótce nasze umiejętności stały się znacznie większe niż kiedykolwiek, a siedmioliterowe słowa po prostu płynęły. Mnóstwo czasu spędzaliśmy przy pielęgnacji sadzonek, które Fizz pozyskiwała i sadziła z rozmachem i w zapamiętaniu.

Sam pobyt tam czynił z nas szczęśliwych ludzi, byliśmy szczęśliwi, kiedy o tym rozmawialiśmy, ale w chwili gdy dom przestawał być tematem, wycofywałem się i chowałem w sobie, nie mając nic do zaoferowania. Przez wiele miesięcy chyba ani razu nie zaproponowałem pójścia do kina, zjedzenia obiadu w restauracji albo wizyty u któregoś z naszych przyjaciół. Kiedy Fizz coś sugerowała, czasami się zgadzałem, a czasami unikałem odpowiedzi, zachowując zwykle milczenie.

Teraz patrzę na to z perspektywy czasu — i jestem wstrząśnięty własnym zachowaniem. Ileż to razy wstawałem w połowie wieczoru z przyjaciółmi, oznajmiając, że chcę wracać do domu! Ileż to razy wychodziłem w połowie filmu, mówiąc, że jest zbyt okropny, by wytrzymać chwilę dłużej! Ileż to razy posuwałem się do nalegania, żeby wstać od stołu, bo jedzenie jest poza wszelką krytyką albo restauracja nie ma krzty uroku. Po powrocie do domu chroniłem się na tarasie, pod płomieniem Afryki, a ona wracała w objęcia CNN. Czasami, gdy wchodziłem do środka, już spała, ale najczęściej nadal oglądała telewizję. Raz światła były zgaszone, a my sięgnęliśmy po siebie i dawny rytm wziął nas we władanie, i układaliśmy razem puzzle serca i włosów i gorąca i wilgoci i twardości i miękkości i zapachu i smaku i pamięci i pożądania, i nastąpiła długa rozkosz niosąca spokój.

Fizz dzielnie znosiła moją huśtawkę nastrojów, świadoma zmagania z osobliwymi demonami. Ale czasami warczała na mnie — i chłostaliśmy się nawzajem bez litości: nazywałem ją rozwiązłą dziwką, nazywała mnie wielkim pisarzem Cínópkli, mówiłem, że nie mam jej już nic do zaoferowania, że odchodzę od zmysłów, mówiła, że stałem się zupełnym neurotykiem i powinienem dać sobie przebadać umysł, żeby się dowiedzieć, gdzie się zaczyna i gdzie kończy.

Potem zmrażaliśmy się nawzajem, aż nasze ciała zbudowały most, albo dom na wzgórzu skłaniał nas do rozmowy.

Kilka razy naprawdę próbowałem odizolować się w gabinecie z maszyną do pisania, ale nic się nie działo. Absolutnie nic. Przeczytałem to, co napisałem wcześniej o średniowiecznym sarda-rze, i uznałem tekst za pozerski, bzdety-w-drobinie.

Przejrzałem dokładnie zapiski w kołonoratniku i nie natrafiłem na jeden choćby pomysł lub obraz, który miałby w sobie odrobinę nerwu. Usiłowałem napisać nowe zdanie, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że potrafię pisać, i nie mogłem sklecić nawet jednej frazy. Przemierzałem w tę i z powrotem maleńki pokój, w tle nastawiałem sobie bezustannie Dziewiątą Beethovena. Kiedy opuszczałem pokój wiele godzin później, byłem nieodmiennie w znacznie gorszym nastroju, niż kiedy do niego wchodziłem. Mniej pewny siebie, gotów na więcej podłych zachowań.

Gdy wyłaniałem się z gabinetu, Fizz obrzucała mnie przelotnym spojrzeniem i wiedziała, że jestem niezdatny do niczego jak eunuch.

Narzekałem przez większość czasu, lecz teraz nie potrafię sobie nawet przypomnieć, z jakiego powodu. Dziś wiem na pewno, że nie byłem w niezwyklej sytuacji. Wielu — bardzo wielu — ludzi tak żyło, dręczonych wiedzą, że nie znajdują się we właściwym miejscu, ale niepotrafiących odkryć, co i gdzie jest właściwym miejscem. Kraby bez wody, niemogące pływać, niemogące zdechnąć. Tacy ludzie markują, że żyją, a w rzeczywistości są uwięzieni w pustce. I większość z nich nie ma Fizz, dzięki której łatwiej to znieść.

Nadal pracowałem w redakcji, lecz w tym przybytku napiętej atmosfery stawałem się tak beznadziejny, że wchodziłem w rolę godnej pożałowania kreatury. Wiedziałem, że ludzie kpią sobie ze mnie, ale nie miałem ochoty się bronić. Nie wiedziałem nawet, czego miałbym bronić. Mogłem odejść, lecz tego kroku się bałem. Tak jakby redakcyjna rutyna była liną przywiązującą mnie do ziemi i gdybym ją przeciął, odleciałbym w przestrzeń, tam gdzie nikt nie mógłby mnie dosięgnąć i skąd nigdy nie mógłbym powrócić. I na swój dziwny sposób także pensja była dla mnie ważna. Dzięki niej czułem się człowiekiem zarabiającym na własne utrzymanie. Bo choć niespodziewane pieniądze bardzo usprawniły nasze życie, wciąż stanowiły dla nas problem.

Pięć milionów siedemset trzydzieści dwa tysiące siedemset czterdzieści rupii. Albo to, co z tego zostało. Niezarobione, wydawane bez opamiętania.

Kłuły nas pod żebra.

Myślę, że z podobnych powodów Fizz nie rzuciła prac zleconych. Nadal przyjmowała kretyńskie maszynopisy od Duma Aro-ry, przygotowując je do szybkiej wysyłki do jakiejś księgowczarnej dziury, i nadal wypełniała kwestionariusze dla Pani Surowejkró-lowej. Upływ czasu udowodnił, że była to kobieta tak twarda, jak świadczył o tym jej wygląd, wrąbująca się w życie swą siekierowa-tą twarzą.

Pogłębienie znajomości nie ujawniło łagodniejszej strony jej natury. Za każdym razem, kiedy Fizz się z nią widziała, Pani Surowakrólowa była zła na cały świat i miała przyklejony do twarzy szyderczy uśmieszek. Jakby знаła jakąś żalosalną prawdę na temat innych ludzi, o której oni nie mieli nawet pojęcia. Fizz nigdy nie zdołała prawidłowo zlokalizować źródła jej niepokoju. Przeczutowała, że mogło to mieć jakiś związek z faktem, że jej mąż był bogatym utracjuszem, sprowadzającym życie towarzyskie do irytujących romansów, a ona sama karmiła się feministycznymi witaminami. Jej wyobrażenie samej siebie nie pasowało do jej życiowej pozycji. Była jazz-bandem w pięciogwiazdkowej dyskotecie. Nie chciała opuszczać luksusowego hotelu, w którym grała, ale z drugiej strony nie łudziła się, że jej muzyka znajdzie tam słuchaczy. Dłubiąc w swoim wnętrzu, uznała, że ci ostatni nie mają znaczenia, a wobec hotelu, który stał się jej więzieniem, postanowiła żywić niewzruszoną pogardę.

Świat to okrutne miejsce. Traktuj wszystkich jak cykady.

Fizz, ze swoim szczególnym rodzajem empatii, nie zniechęciła się do niej. Zdołała jakoś się przebić przez jej twarde pancerz i zaangażować w pracę. Za jej męża o wazeliniańskim uroku i oczach zafiksowanych na kobiecych tyłkach nie była w stanie znieść. Zauważyła, że Pani Surowakrólowa traktuje go z lodowatą uprzejmością — ze specyficzną aurą miło-być-z-tobą-ty-smętny-bydlaku. Za każdym razem, gdy Fizz wylaniała się z bramy, trzymając w ręku czystą kopertę, mówiła: Chodźmy stąd, na ten tydzień to już koniec żałośnie przerażających popisów.

Pokłosie przeprowadzanych przez Fizz wywiadów nie przestawało nas bawić. Stała się elokwentnym analitykiem onanizmu. Odkryła, że mężczyźni mają wyobraźnię, o jaką nikt by ich nie podejrzewał. Czegóż to oni nie robili! Obejmowali pralki, gdy wibrowały. Ocierali się o poduszki sof Rexine. Wkładali sobie cien-

kie druciki i powoli nimi obracali. Narazali się na ryzyko minety robionej przez psy o grubych językach. I łagodnych wstrząsów elektrycznych z niskowoltowych źródeł zasilania. Atakowali szerokie krany tryskające gorącą wodą. Ocierali się o poduszkowate ciała w zatłoczonych autobusach. Gwałcili ciasta, bulki, arbuzy, budynie. Podglądali, zakradali się, szczypali, miętosili. Używali ubrań, butów, torebek, pościeli, ręczników. Mieli fantazje seksualne o przyjaciółkach, koleżankach, nauczycielkach, kuzynkach, służących, ciotkach, sąsiadkach, pielęgniarzach, dzieciach, teściowych, gwiazdach filmu, sportu i telewizji, modelkach z reklam pasty do zębów, cudzych żonach, cudzych córkach, cudzych matkach, a także cudzych braciach, wujach, ojcach, przyjaciółach. Jeden wspomniął nawet o labradorze.

Wyznawcy Onana mieli fascynujący wachlarz praktyk.

A Onan nagradzał ich natychmiast za każdym razem, gdy wielbili go przy jego ołtarzu.

Fizz powiedziała: Moim zdaniem król Onanu jest bogatszy od króla Omanu.

Zapytałem: Bo pompowanie własnej przyjemności bije na głowę pompowanie własnej ropy naftowej? Nie bądź prostacki.

Przepraszam. Kto zatem w twoich znaczących już badaniach jest królem Onanu?

Fizz powiedziała: Prawdę mówiąc, król Onanu jest prawdziwym niewolnikiem onanizmu. To ten, który ulega onanizmowi przy każdej nadarzającej się okazji. Ulegając, wygrywa. Poddając się, przezwycięża lęki, uprzedzenia, zabobony, żądze, skąpstwo.

Wtrąciłem: Negatywne nastawienie?

Kontynuowała: Tak, negatywne nastawienie też. Zagłębiając się w siebie, dociera do miejsca całkowitego spokoju. Nie szuka już niczego, nawet jeśli to tymczasowe. Ucząc się kochać samego siebie, uczy się kochać innych. To prawdziwy król sufizmu. Wewnętrznie spełniony, gotów do dawania innym. Wielcy onaniści to w rzeczywistości wielcy kochankowie.

A kim, w twoich badaniach, pani Doktor Doktorlola, oni są?

Moim bohaterem!

## NA GRANICY ROZSĄDKU

Nie było nas tam, gdy odkryli skrytkę.

Telefon zadzwonił po dwudziestej pierwszej trzydziści, kiedy opłata za połączenia zamiejscowe spada o połowę. Bideśi dzwonił ze sklepu thakura, w tle słyszałem ponaglenia Dukhiego. Połączenie było kiepskie, ich głosy zanikały. Domyśliłem się, że proszą o pozwolenie na otwarcie czegoś, ale nie mogłem zrozumieć czego. Nasza rozmowa okazała się zupełnie bezowocna.

W końcu, zirytowany, powiedziałem: Nieważne, będziemy tam za dwa dni — wtedy zdecydujemy.

Bideśi odparł: Okay, sahibie! Więc mówi pan, że powinniśmy otworzyć!

Po prostu zaczekajcie, będziemy tam w sobotę.

Okay, sahibie! Skoro tak pan mówi, otworzymy!

Po odłożeniu słuchawki zacząłem się zastanawiać, dlaczego Bideśi i Dukhi zadzwonili. Normalnie, gdy chcieli coś sprawdzić, szli najpierw do jednorękiego dowódcy, a on nam wszystko przekazywał. Gdzie się podział Rakszas? Usiłowałem dodzwonić się do sklepu thakura następnego ranka, ale nie zdołałem się połączyć. I zapomniałem o całej sprawie.

W sobotę dojechaliśmy do domu na wzgórzu około dziesiątej. Kiedy zaparkowałem gypsy pod Triśulem, chłopcy Bideśiego mieli przerwę na herbatę, a Dolnći wysadził właśnie w powietrze gruszę i pobiegł odzyskać granat. Ćatur siedział w słońcu, trzymał Begam pod muskularnym ramieniem i coś do niej szeptał. Oczy kury błyszczały pytająco, z zaciekawieniem.

Rakszas wyłonił się zza domu, krótkim kijkiem wymachiwał niczym rakietą tenisową. W chwili gdy go zobaczyłem, przypomniałem sobie niezrozumiałą rozmowę przez telefon.

Co to było?, zapytałem. Co chcieliście otwierać?

Popatrzył na mnie bez wyrazu i powiedział: Ja nie chciałem. Mówiłem im, żeby tego nie robili. Powtarzali, że dostali od pana pozwolenie. Głupcy.

Siedzący w kucki Dukhi popatrzył zmieszany na Bideśiego i dodał: Im mniej będzie się o tym mówiło, tym lepiej. Rozkopaliśmy górę i odkryliśmy mysz.

Bideśi powiedział: Are, sahibie, wyobraź sobie, w jakim byliśmy stanie. Myśleliśmy, że nasze zmagania z życiem dobiegły końca. Ale nieskończony biednym daje jedynie mądrość. Diamenty daje bogatym.

Wszystko wskazywało na to, że rozbijając grubą kamienną ścianę w pokoju z tyłu domu — tym zbombardowanym, gdzie stałem pierwszego dnia i patrzyłem do góry na niebo, mając u stóp zwały gruzu — natrafili na drewnianą skrzynię. Była zamurowana w ścianie pod oknem. Odkrycie wprowadziło robotników w stan rozgorączkowania. Skrzynia była wystarczająco duża — i wystarczająco ciężka — by rozbudzić fantazje karmione obejrzanymi filmami. Wierzyli przy tym, że Fizz podzieli się z nimi skarbem.

Nie musieli skrzyni ostrożnie wykopywać, bo stała w wyłożonej kamieniami wnęce, oddzielona od jej ścianek trzycentymetrową warstwą kawałków drewna, teraz szerniałego i przegniłego. Wisiała na niej wielka stara żelazna kłódka z rodzaju tych, do których potrzebny jest klucz z pustym końcem i które można otworzyć dopiero wtedy, gdy kilkakrotnie obróci się go w zamku. Po telefonie do mnie i cokolwiek wątpliwym uzyskaniu pozwolenia walczyli z nią wiele godzin, aż wreszcie jeden z chłopaków Bideśiego musiał iść do Haldwani i sprowadzić ślusarza.

Skrzynia stała w przedpokoju na piętrze, a Fizz zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia. Była zbita z grubych cedrowych desek i miała żelazne okucia. Chłopcy wyczyścili ją i teraz drewno lśniło bogato. Wielka żelazna kłódka, od której rdza odlaziła płatami, wisiała z rozwartym pałakiem przypominającym pysk dyszącego psa. Ślusarz — pracujący poza strefą swoich doświadczeń — zepsuł ją na dobre. Fizz podbiegła i zanim zdjęła kłódkę i uniosła wieko, pogładziła skrzynię, wyczuwając jej żelazne kości — okucia, nity, sworznie — i gładkość drewna. Nie było prądu, więc musieliśmy poprosić tłoczących się chłopaków, żeby się cofnęli od drzwi i wpuścili trochę światła.

Dukhi, który zdążył już ukucnąć na podłodze, krzyknął: A wy, próżniacy, co chcecie oglądać?! Myślicie, że tym razem będą tam sztabki złota?

Bideśi powiedział wysokim głosem: Niech państwo im dadzą po jednej! W szkole tracili czas na uciekanie przed nimi! Jeden nawet nie skończył piątej klasy! A teraz się przepychają, żeby dostać choć jedną!

Wnętrze skrzyni było podzielone na cztery równe części, a każdą wypełniały po samą górę identycznie wyglądające książki. Wszystkie leżące na wierzchu miały oprawy z garbowanej skóry. Kiedy się pochyliłem i jedną z nich wziąłem do ręki, pod nią ukazała się następna, dokładnie taka sama. Zanim otworzyłem trzymaną w rękę książkę, wyjąłem tę drugą i ujrzałem trzecią, identyczną, a pod nią jeszcze jedną.

Uśmiechając się głupawo, Bideśi powiedział: Niech pan nie przerywa, sahibie! Niech pan nie przerywa. Zabawa dopiero się zaczyna.

Kazałem chłopakom zabrać skrzynię z przedpokoju, zanieść do naszej sypialni i postawić pod oknem z widokiem na dolinę Dzeolikot. Bideśi, Dukhi i chłopcy czekali na naszą reakcję.

Powiedziałem: Zobaczmy, co tam naprawdę jest — dla niektórych ludzi może to być cenniejsze od złota.

Bideśi oznajmił: Are, sahibie, naszym przeznaczeniem są dwa posiłki dziennie. Kiedy ktoś daje nam złoto, ono zamienia się w proch w naszych rękach.

Fizz powiedziała: To piękna skrzynia, Bideśi. Potrafiłbyś zrobić dla mnie taką samą?

Z nieuleczalnym zarozumiałstwem Bideśi odparł: Are, didi, zrobię dla pani nawet lepszą!

W skrzyni znajdowały się sześćdziesiąt cztery oprawione w garbowaną skórę notatniki, po szesnaście w przegrodzie, każdy był grubości ponad pięciu centymetrów. Kiedy z szelestem otworzyłem jeden z nich, pierwsza strona okazała się czysta, druga natomiast ciasno zapełniona od góry do dołu odręcznym okrągłym pismem. Przeszedłem do ostatniej strony: ona także była zapisana do samego końca. Otwierałem na chybił trafił i każdą stronicę wypełniał zwarty ciąg okrągłych literek. Maleńkie kółkosłowa, toczące się naprzód i naprzód. O ile mogłem się zorientować, nie istniały tam akapity, w żaden sposób nie oznaczano początku i końca myśli. Słowom nie dano miejsca na oddech, jakby autor obawiał się, że mogą ożyć i wyskoczyć z notatnika.

Wziąłem inny i też go przekartkowałem, zatrzymując się w przypadkowych miejscach. Żadnej różnicy. Zawartość notesów, tak jak ich oprawa, była taka sama. Strona po stronie zapełniały je maleńkie słowa, zapisane blaknącym atramentem o kobaltowym odcieniu. Gruby papier zaczynał się kruszyć, jego kolor zmienił się na beżowy, czasem ciemniejszy. Fizz także wyjmowała i oglądała notatniki, szukając czegoś, czym by się od siebie różniły. Było jasne, że chłopcy wcześniej poddali je takiej samej procedurze, bo na



tomikach nie było zupełnie kurzu, a wewnątrz skrzyni zostało wytarte do czysta. Jeśli tworzyły jakiś porządek, brakowało jakiegokolwiek oznaczenia, które mogłoby go wskazać. A jeśli ową wskazówką było ich ułożenie, to bezmyślne przekładanie zupełnie ją zatarło.

Gdy przyjrzało się im dokładnie, dawało się rozpoznać te, które leżały na dnie. Ich kartki były niemal posklejane i musieliśmy powoli rozdzielać ich brzegi. Jedynym jeszcze śladem mogącym świadczyć o chronologii był atrament: w wielu notatnikach zblakł tak bardzo, że z trudem można było coś przeczytać. Niektóre strony robiły wrażenie rozmazanych: czy w czasie pisania, czy potem — trudno powiedzieć.

Kartkowanie zapisków na chybił trafił zajęło nam kilka godzin. Kiedy Rakszas zjawił się, żeby zawołać nas na lunch, siedzieliśmy pośrodku stosu oprawionych w skórę notatników. W chwili gdy go zobaczyłem, wiedziałem, że coś jest nie tak. Brakowało mu typowego entuzjazmu, jego przystojna, wyrazista twarz była zacięta, bez uśmiechu. Kikut przylegał ponuro do tułowia, nie poruszał się. Zdałem sobie także sprawę, że Rakszas nie uczestniczył w spektaklu ostatnich kilku godzin.

Zapytałem: Co to, Rakszas?

Powiedział od drzwi: Przeszłość zawsze powinna pozostać zakopana. Ledwie radzimy sobie z terażniejszością. Ale ci głupcy z nizin nie mają o niczym pojęcia.

Powtórzyłem: Ale co to jest, Rakszas?

Nie patrząc na mnie, powiedział: Nie wiem. Nic nie wiem. Wiem jedynie, że przeszłość powinno się zostawić w spokoju. Mój ojciec powtarzał, że terażniejszość należy do ludzi czynu, przyszłość do myślicieli, a przeszłość do przegranych. Przeszłość powinno się zostawić w spokoju.

Tego wieczoru Taphen zajrzał do nas, bo wiedział, że przyjechaliśmy z Delhi. Jak zawsze cuchnął whisky i cały był oblaźły psią sierścią. Niemniej on także zachowywał się w nietypowy dla siebie, surowy sposób. Usiedliśmy na tarasie i patrzyliśmy na zachodzące nad doliną słońce. Wojskowy konwój piał się krętą drogą z Birhatti, oliwkowozielone ciężarówki zachowywały identyczną odległość od siebie, sprawiały, że góra jęczała.

Taphen zapytał: Co państwo z nimi zrobili?

Odparłem: Ze skrzynią? Z notatnikami? Są w naszym pokoju.

Powiedział: Nie powinni byli ich wyciągać. Nigdy. Niech pan je spali, sahibie. Wierzy pan mi, przeszłość należy zostawić w spokoju. Nie tykać jej. Wszyscy w górach to wiedzą. To właśnie dlatego w górach panuje spokój, a problemy są na nizinach. Wszyscy odkopują świątynie i meczety, i trupy ludzi, i trupy idei, i sprowadzają wszystkie stare kłopoty, i mieszają je z nowymi, i tworzą coraz to większe problemy. Mój chłopak, Michael, mówi: Tato, dam ci zastrzyk, to żadna choroba nie będzie się ciebie imać. Ale tam, na nizinach, mówicie: Weźmy stare choroby i wstrzyknijmy je do nowych, powstanie ibnfatuta, której nikt nie potrafi uleczyć. Ludzie mówią, że przeszłość jest ważna. Ja mówię, że przeszłość to pułapka. Niech mnie pan posłucha, nie ma na świecie człowieka na tyle mądrego, żeby mógł nauczyć się czegoś od przeszłości — dogrzebują się w niej jedynie kłopotów.

Zapytałem: Co to za notesy, Stephen?

Odparł: Nic nie wiem, sahibie. Mówię tylko, żeby je spalić, spalić je, wyrzucić. Po co igrać z przeszłością? Cóż w niej jest takiego, co mogłoby się nam przydać?

Słońce schowało się za szczytami i było teraz jak jaśniejący abażur lampy. Dobrze widoczna dolina, skąpana w resztkach nieskazitelnego światła, tchnęła ciszą. Część konwoju znalazła się już poza zasięgiem naszego wzroku, wspinając się do Bhumiadharu, Bhowali i wreszcie do garnizonu w Ranikhecie. Nawet rytmiczny odgłos ciężarówek nie był w stanie zakłócić spokoju gasnącego dnia.

Odezwałem się: Stephen, jest coś, czego mi nie mówisz.

Powiedział: Wierzy pan mi, mówię panu bardzo dużo. Mówię, żeby zostawić w spokoju to, co było schowane. Świat potrzebuje żywych ludzi, nie duchów.

Mimo że bardzo się starałem wyciągnąć od niego coś więcej, pozostał niewzruszony. Powtarzał, że nic nie wie poza tym, że przeszłości nie powinno się ruszać. Kiedy wstał, żeby odejść, było już zupełnie ciemno. Zbocza i dolina ożyły tysiącem światełek. Cienki księżyc dopiero rozpoczynał wędrówkę ku otyłości — za dziesięć dni zaleje całą dolinę potokami światła.

Taphen chciał, żeby ktoś przeprowadził go przez zakręt szosy, by potem mógł już spokojnie wspinać się do domu polną drogą. Był sam, bez psów, bo wpadały w szal na widok chłopców i zachodziła obawa, że Ćatur rzuci się na nie z siekierą, jeśli zagrożą jego kurze. Teraz jednak nie było nikogo, kto mógłby z nim pójść. Wszyscy robotnicy wrócili do kwater, byli zajęci myciem się, sra-

niem, praniem, gotowaniem. Proszenie Rakszasa nie wchodziło w grę. Po Taphenie widać było napięcie.

W końcu zapytał: Czy odprowadzi mnie pan do domu?

Po drodze zwierzył się, że bardzo boi się ciemności. Opowiedział, że kiedy miał dziewiętnaście lat — a był wtedy roslym młodzieńcem — przy dolnej bramie wyskoczył na niego diabeł. Mierzył ponad dwa metry, miał żarzące się oczy i długie zakrzywione szpony zamiast palców. Kiedy otworzył usta, dobyło się z nich niskie, jakby odległe zawodzenie. Nie miał zębów, tylko bezkresną czarną czelusć. Taphen należał wtedy do szkolnej drużyny bokserskiej i usiłował się bronić, ale pochwycony bez najmniejszego wysiłku za kark mógł jedynie dyndać nogami nad ziemią. Jego pies zaczął miauczeć jak kot, uciekł i schował się w przepuście pod jezdnią. I w chwili, gdy Taphen wiedział już, że zaraz umrze, zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka, a kiedy jej reflektory całą mocą oświetliły diabła, ten upuścił go i zniknął.

Znaleźliśmy się na początku krętej ścieżki wiodącej do jego domu. Na górze, gdzie zawracała przed końcowym stromym odcinkiem, na orzechu wisiała żarówka, rzucając krąg żółtego światła.

Zapytałem: Chcesz, żebym poszedł z tobą na górę, Stephen? Odparł: Nie, tu jest bezpiecznie, proszę pana. Boję się okolic budynku gospodarczego. Rakszas tam mieszka. Sam.

Ale on jest hindusem, proszę pana. Diabeł dybie tylko na dusze chrześcijan.

\*

To był długi dzień — wyjechaliśmy z Delhi o czwartej rano — i byliśmy gotowi iść spać przed dwudziestą drugą, mieliśmy już w sobie po dwie whisky i zjedzony obiad. Rakszas podał go nam na tarasie. Był milczący i wrogi, kiedy przyniósł nam dał, gobhi i ryż, a potem posprzątał. W ciemności światła Najnitalu wyglądały jak kaskada lśniących brylantów. Na samym szczycie, gdzie się zaczynała, widać było ciemne wieże St. Joseph's School.

Fizz weszła do środka przede mną, a kiedy niedługo potem ruszyłem jej śladem, zobaczyłem, że wkłada wszystkie notesy z powrotem do skrzyni. Pomogłem jej. Cztery równe słupki, po szesnaście w każdym. Kiedy skończyliśmy, zamknęła wieko, zawiesiła zepsutą kłódkę z otwartym pałakiem. Z niezrozumiałych

powodów podniosła naszą walizkę i ustawiła ją na skrzyni, dociskając wieko.

Spojrzałem na Fizz. Zrobiła to odruchowo.

Gdy leżeliśmy pod kołdrą i było tak ciemno, że nie widzieliśmy się nawzajem, zapytała: Myślisz, że wszystko jest w porządku?

Trzymałem ją za rękę. Ścisnąłem mocno.

Odparłem: Oczywiście. Nie daj się wystraszyć tym dwóm żartownisiom.

Powiedziała: Zachowywali się bardzo dziwnie. I to pierwszy raz, kiedy są ze sobą zgodni.

Wyjaśniłem: To faceci z gór. Góry żywią się bzdurami. Ten idiota Stephen opowiedział mi, że raz spotkał tu diabła. Przy naszej bramie. Dolnej.

Fizz zachichotała: I co się stało? Diabeł uciekł?

Nie. Diabeł chwycił go za kark i potrząsał nim nad ziemią. Naprzeciw drogowskazu do Bhowali.

Okay, przestań. Straszysz mnie.

Mówił, że miał rozżarzone węgle zamiast oczu i przepastną czeluść zamiast gęby. Przestań!

Przysunąłem ją do siebie ramieniem i pocałowałem w czoło. Leżała z głową na mojej piersi, z nogą i ramieniem na moim ciele. Jej podkoszulek podsunał się do góry, ciało miała gorące. Włosy zaczynały dopiero przebijać się przez skórę, a mnie ta szczecinka podniecała. Początkowa chropowatość jest znacznie seksowniej-sza od jedwabistej gładkości.

Zapytała: Czytałeś któryś z nich?

Odpowiedziałem: Nie. Przekartkowałem tylko, szukałem różnic. Jak myślisz, co to jest?

Nie ma wątpliwości, że to rodzaj zapisków. Dzienniki albo coś podobnego.

Co z nimi zrobimy?

Rozległo się pierwsze smętne terkotanie tej nocy. Zanotowałem w pamięci — po raz enty — żeby sprawdzić krzaki lantany. Wiedziałem, że jeśli zejdę tam i przykucnę cichutko na kilka godzin, uda mi się w końcu zobaczyć lelka.

Powtórzyła: Tak więc co z nimi zrobimy?

Odpowiedziałem: Przeczytamy je. Zorientujemy się, co w nich jest, i sprzedamy za milion dolarów jakiemuś kretynowi z Londynu. A jeśli okażą się nudne, to je oddamy.

Jak myślisz, kto je napisał?

Ktoś naprawdę znerwicowany. To przerażająca ilość pisaniny.

I bez maszyny do pisania.

Rzeczywiście, powiedziałem: Prawdziwy maniak.

Odparła: Nie maniak, panie Ćinćpokli, po prostu ktoś z natchnieniem i zdyscyplinowany. Pytanie, czy ty potrafiłbyś dokonać czegoś podobnego?

Powiedziałem: Dobra, pani Doktor Doktorlola. Prawdziwe pytanie brzmi — czy on potrafi coś takiego?

Wturlałem się na nią, łapiąc jej twarz w pułapkę. Moje ręce zakryły wewnętrzne strony jej dłoni po obu stronach głowy. Moje usta znalazły się przy jej lewym uchu. Zaczynałem rosnać tam, gdzie najbardziej dojrzała, a ona przesunęła się, żeby zrobić mi miejsce. W miarę jak moje pożądanie się wzmagало, stawało się zwierzęcym poszukiwaniem zaspokożenia. Ześlizgnęło się w wilgoć i gwałtownie ruszyło do przodu. Całowałem ją po karku, w czułym miejscu pod linią włosów. Jęczała i wyginała się. Wsunąłem się cały, rozszalały w jej podnieceniu.

Czy on może to zrobić?

Powiedziała nieobecny głosem: Każdy może to zrobić. Uniosłem się ponad jej pełnością i znowu w nią wszedłem. Każdy?

Powiedziała głosem jeszcze bardziej nieobecny: Nikt.

Całowałem ją od czułego punktu do kącika ust. Słyszałem teraz jej wilgotność. Za każdym razem, gdy ją pytałem: Każdy?, mówiła: Nikt.

I za każdym razem była coraz bardziej nieobecna.

Skopałem z nas ciężką kołdrę. Zrobiło się więcej miejsca do manewrowania. Powiedziałem jej do ucha: Nikt? A ona powiedziała: Tylko ty. A ja powiedziałem: Nikt. A ona powiedziała: Tylko ty. I kiedy zadałem jej to pytanie po raz nie wiadomo który, przestała mnie słyszeć, ja też przestałem ją słyszeć, lecz oboje znajdowaliśmy się dokładnie w tym samym miejscu, jak zresztą zawsze.

Później, poprawiając kołdrę, odezwała się: Panie Ćinćpokli, wiesz co? Twoja odpowiedź jest zawsze pytaniem.

Osuwając się w sen, wymamrotałem: W środku wszystkich naszych pytań tkwią odpowiedzi!

Nie miałem pojęcia, co to znaczy.

Następnego dnia nie wstałem z łóżka do wieczora. Kiedy wreszcie poszedłem się umyć, robotnicy spakowali się już do odejścia, a Fizz siedziała na tarasie i patrzyła na zachód słońca.

Rankiem, jak tylko się obudziłem, poprosiłem Fizz, żeby podała mi jeden z notesów, chciałem go przejrzeć, pijąc herbatę. Skończyło się na tym, że śniadanie i lunch zjadłem w łóżku. W czytaniu nie przeszkadzało mi nawet walenie młotkami, heblowanie i trajkotanie wypełniające dom.

Kiedy Rakszas przyniósł mi lunch, powiedział bez uśmiechu: Mój ojciec mawiał, że najmądrzejsi są ci ludzie, którzy znają granice swojej mądrości.

Fizz była zbyt zajęta konferowaniem ze stolarzami i murarzami, by zawracać sobie mną głowę. Kilka razy zajrzała do mnie i powiedziała: Wspaniały pan Ćinćpokli ciężko pracuje!

W oknie naprzeciwko łóżka widziałem, jak dzień się zmienia. Liście dębu ożyły rankiem świergotem ptaków. Liście dębu lśniły blaskiem promieni południowego słońca. Liście dębu tańczyły w porywach popołudniowego wiatru. Liście dębu wyblakły i zastygły w bezruchu wraz ze zbliżaniem się nocy. Kiedy odrzuciłem koldrę — przesiąkniętą zapachami snu — żeby wstać i się wykapać, dzień dobiegł końca, a ja przeczytałem zaledwie dziesięć stron.

Tyle jednak wystarczyło, by wprawić mnie w osłupienie.

Kółkosłowa trudno było odcyfrować, na dodatek napisano je bardzo zawiłym językiem, z okropną gramatyką i ortografią. Często odnosiłem wrażenie, że zdania nie są logicznie powiązane. Musiałem wracać i próbować zrozumieć pełny sens tego, co mówiły. Dla kogoś, kto w tak kiepski sposób zapisał sześćdziesiąt cztery notesy, było to manifestacją niesłychanej wiary w siebie.

Ale zawartość. Ale zawartość...

Kiedy wyszedłem na taras, Fizz zapytała: No, to o czym on pisze?

Odparłem: To nie on.

Więc?

To ona.

Fizz zamyśliła się na chwilę, co było u niej niezwykle, a potem powiedziała: To znaczy kobieta?

Tak. Powinniśmy się tego od razu domyślić po charakterze pisma.

A zatem kim ona jest?

Zdołałem przeczytać jedynie dziesięć stron. Na ich podstawie nie da się nic powiedzieć. Oczywiście mieszkała tutaj?

Tak bym to sobie wyobrażał. Bo skąd wzięłaby się tu skrzynia pełna notesów? Pewnie chodzi o damę, o której tu wspominają. Tę, która zbudowała dom.

Jak się nazywa?

Jeszcze nie wiem. Taphen mówi o niej po prostu madam. Moim zdaniem on też niewiele o niej wie. Pytałem go o to kilka razy i zawsze dawał niejasne odpowiedzi. Mówi po prostu, że była bardzo odważna, bardzo śmiała. Jego słowami: wierzy pan mi, nawet biali ludzie się jej obawiali.

Co odkryłeś?

Już ci mówiłem. Bardzo mało. Zdołałem przeczytać tylko dziesięć stron. To bardzo trudne. Fatalna składnia, pismo nieczytelne — niełatwo coś z tego zrozumieć.

Fizz wstała i zaczęła ubijać nogami ziemię wokół dębu, który posadziliśmy na tarasie. Kilka mocnych uderzeń piętą z prawej strony i sadzonka trochę się wyprostowała. Listki ściemniały na obrzeżach. Prawdopodobnie od mrozu. Wytarła trampki o kępę trawy i zapytała: Więc czego się dowiedziałeś?

Odparłem: Z dziesięciu stron? Lady Chatterly zajęła się dolnymi Himalajami.

Co?

Dziesięć minut zajęło mi wyjaśnianie, co miałem na myśli. Fizz wydawała z siebie dźwięki niedowierzania. Nie była pewna, czy mówię prawdę, czyją nabieram.

W końcu zapytała: Więc co to jest? Rodzaj powieści?

Nie mam pojęcia. Materiał jest przerażający, ale nie wiem, czy opowiada o czymś prawdziwym, czy zmyślonym.

Powiedziała: Muszę jednak przyznać, że nie straciłeś umiejętności wyszukiwania świńskich kawałków w jakiegokolwiek książce! Sześćdziesiąt cztery tomy, a ty trafiasz na właściwe dziesięć stron!

Nocą, gdy zbierałem się do łóżka, ponownie wziąłem notatnik do ręki. Fragment niejasnych wspomnień przebił się do mojej świadomości. Od razu zawiązałem kedsy, narzuciłem kurtkę i poprosiłem Fizz, żeby zrobiła to samo.

Zapytała: Dokąd chcesz iść?

Pójdziemy odwiedzić Taphena.

Teraz?

Muszę go o coś spytać.

Teraz?

Teraz.

Baghira, którego dostaliśmy od emerytowanego oficera w Bhim-talu, był jeszcze ośmiotygodniowym szczeniakiem — czarną futrzaną kulką, przez cały dzień nie robił nic innego, tylko jadł i spał w wiklinowym koszyku w kuchni. Skoro więc nie mieliśmy psa mogącego nam towarzyszyć, wziąłem gładki kij z drewna sandałowego, kupiony kiedyś na Dżanpathu, a Fizz swoją niewielką czarną latarkę, która wycinała ostro zarysowaną dziurę w ciemności. Pewnie dlatego diabeł nie wyskoczył na nas przy dolnej bramie.

Kiedy weszliśmy na krętą ścieżkę odchodzącą od drogi i pnącą się do domu Taphena, stopami gnietliśmy suche dębowe liście i żwir, sprawiając, że psy zaczęły ujadać. Naga żarówka zwisająca z orzecha, w miejscu gdzie ścieżka zawracała na ostatnim odcinku, rzucała wokół złowieszcze cienie. Gdy pokonaliśmy zakręt, szczekanie się nasiliło. Zyskało wiele poziomów: zajadłe ujadanie, basowe warczenie, ostry skowyt, nieprzerwane wycie, i miało na celu postawienie na nogi całej doliny. Ale my byliśmy tu już wcześniej — kiedy kupowaliśmy dom — i wiedzieliśmy, że wraz z zapadnięciem pierwszej kurtyny zmroku Taphen przywiązuje psy w dwóch wielkich klatkach z żelaznych prętów, ustawionych po obu stronach frontowych drzwi. Lampart — z cętkami — uwielbia psie mięso, a cztery sztuki potrafi załatwić czterema machnięciami łapy. W niektóre noce przychodził i siadał naprzeciw klatek. Psy traciły wtedy całą brawurę, stając się skamłącymi słabeuszami.

Taphen, kompletnie pijany, rozpierał się w fotelu. Cienkie ramiona zwisały po obu stronach, palce dotykały zielonego linoleum podłogi. Złota w połowie szklaneczka stała obok prawej dłoni. Kółka znaczące podłogę wokół fotela — zachodzące na siebie setki kółek — upamiętniały lata złocistych wieczorów. Niewielki telewizor stał przed nim i hałasował. Tutaj odbierało się jedynie ogólnokrajowy program państwowy, Durdarśan, i każdego dnia trzeba było potrząsać anteną na dachu, żeby dostroić odbiornik. W tej chwili nie słychać było niczego oprócz trzasków i nie widać było niczego oprócz niewyraźnych postaci.

Usiedliśmy na kanapie z obiciem w kwiatowy wzór, z wykrzywionymi nóżkami i wygiętym do tyłu oparciem.

Damjanti powiedziała: Niech państwo wchodzą i razem ze mną się nim nacieszą! Dlaczego Damjanti miałyby sama korzystać z mądrości wielkiego Taphena Żonglera, szejka łgarzy z Kumaonu!

Poszła do innego pomieszczenia po czyste szklanki. Powiedziałem: Stephen, chciałbym się czegoś dowiedzieć.



Odparł: Dlaczego miałbym panu cokolwiek mówić? Dlaczego miałbym mówić cokolwiek komukolwiek? Czy mnie ktoś coś mówi? A właściwie kim jesteś?

Powiedziałem: Stephen, kiedy przyszedłem do twojego domu pierwszy raz, na ścianie wisiał portret kobiety. Gdzie on jest? I kim ona była?

Odparł: To królowa Saby i teraz usnęła. Nie sypia z takimi czarnuchami jak ty!

Damjanti przysłała z dwiema kwadratowymi szklaneczkami na plastikowej tacy i podała je nam razem z wypełnioną do połowy butelką bagpipera. Nie miałem ochoty na drinka.

Powiedziałem: Nie przynudzaj, kurwa, i odpowiadaj na moje pytanie, Stephen!

Fizz położyła mi ręką na ramieniu: Myślę, że powinniśmy już iść.

Aleja nie zamierzałem mu odpuścić. Taphen wpatrywał się we mnie przekrwionymi oczami. Wziął szklaneczkę, opróżnił ją i złączył uda ruchem człowieka kompletnie nawalonego.

Damjanti nakazała: Taphen, ani słowa od tej chwili!

Taphen powiedział: Wy, pieprzeni dilliwallo, poszliście kiedyś na całość? No, chodźcie, przewiozę was na czymś gorącym i grubym. Jednym sztosem pokażę wam cały Kumaon! Dwa sztosy i całe Indie! Trzy sztosy i cały świat! Wieżę Eiffla i Empire State Building! No, chodźcie!

Fizz wstała: Wychodzę.

Damjanti jęknęła: Uciszyć się, degeneracie! Och, czemu Michael nie może dać ci zastrzyku, który wyleczyłby cię z tej choroby!

Krzyknąłem: Taphen, jesteś psem! I zdechniesz jak pies!

Fizz powiedziała: Przestań! Co w ciebie wstąpiło?

Tymczasem Taphen zdjął pasek i usiłował rozpiąć szare spodnie.

Fizz ciągnęła mnie za ramię, a Damjanti powiedziała: Błagam, niech pan już idzie, zanim wszyscy będziemy się za niego wstydzili.

Kiedy znaleźliśmy się za drzwiami, psy zaczęły wyć i ujadać, rzucały się na pręty klatek, ślina leciała im z pysków. W obu klatkach stały aluminiowe miski z wodą, pogryzione i pokrzywione, pobrzękiwały i chlapały dookoła, gdy psy na nie wpadały.

Na dworze Damjanti, składając dłonie, powiedziała: Muszą nam państwo wybaczyć. Czasem jest człowiekiem, a czasem dzikim zwierzęciem. Nawet ja nie wiem, kiedy którym będzie.

Zanim Fizz zdążyła ją pocieszyć, powiedziałem: Damjanti, czy wiesz, o jaki obraz pytałem? Kto to jest? I gdzie jest ten obraz?

Z wnętrza rozległ się wrzask Taphena: Pieprzony czarnuch, jakieś szepty z moją żoną! Chodź, pogadaj z małym Taphena, to

wszystkiego się dowiesz! Kim ona jest? To mamusia twojej mamusi! I będzie dzisiaj ze mną spała!

Fizz, ciągnąc mnie za ramię, powiedziała swoim najbardziej stanowczym tonem: Idziemy, już!

Damjanti nalegała: Proszę, niech pan...

Fizz była wściekła. Szła przede mną całą drogę do domu, strumień światła z jej latarki podskakiwał ze złością. Kiedy znaleźliśmy się w łóżku, zapytała: Co się z tobą dzieje? O co w tym wszystkim chodzi?

Powiedziałem: Przepraszam.

Właściwie to sam byłem zaskoczony swoją reakcją. Wydawało mi się, że opanowałem już sztukę unikania Taphena, kiedy stawał się bestią.

Fizz nie ustępowała: I dlaczego ten obraz jest na tyle ważny, że wprawia cię w histerię?

Powiedziałem: Nie jest ważny. Naprawdę nie jest ważny.

Fizz zwinęła się w kłębek i zasnęła w minutę. Miała za sobą cały dzień chodzenia w górę i w dół przy nadzorowaniu prac, nic więc dziwnego, że padała z nóg. Jednak moje mięśnie były rozluźnione wypoczynkiem i sen w żaden sposób nie był w stanie ich uwieść. Chciałem wziąć do ręki notatnik i przeczytać coś więcej, ale jednej rzeczy Fizz nie znosiła — palącego się światła, gdy spała. W domu miałem lampę z nieprzezroczystym abażurem obok łóżka, tu była jedynie wielka stuwatowa żarówka, niczym nieosłonięta, w plastikowej oprawce, rzucająca jasne światło na nasze głowy i pomalowane na niebiesko ściany.

Przypomniałem sobie ten portret. Był to wielki olejny obraz w grubej drewnianej ramie. Kolorystykę miał niezbyt bogatą, właściwie trochę wyblakłą, rodzaj wypłowiałej żółci. Bez tła, scenerii, po prostu wypełniał ramę. Uwiecznioną na nim kobietę namalowano pod pewnym kątem, z prawym ramieniem na pierwszym planie. Nawet nie patrząc na jej duży dekolt, można było mieć pewność, że jest biała. Rysy miała ostre, lecz usta szerokie i pełne, co razem tworzyło dziwną mieszaninę powściągliwości i lekkomyślności. Związane z tyłu włosy zakrywały jej uszy i ginęły w tle płótna. Wycieniowane, grube, nie robiły wrażenia przylepionych do głowy.

Choć sportretowano ją odwróconą lekko profilem, patrzyła prosto z obrazu. Jej oczy były triumfem malarza. Żyły i w dener-

wująco bezpośredni sposób zwracały spojrzenie temu, kto ją oglądał. Śmiało oddano też przedziałek między piersiami: linia, a po obu jej stronach kragłości. Na szyi miała medalion, symbol religijny zawieszony na łańcuszku.

Portret — widziany przelotnie dwa razy wśród plastikowych rupieci w salonie Taphena, w tym Jezusów w krzykliwych kolorach na terakocie i ceglanych landszaftów — zapadł mi w pamięć, bo symbolem religijnym był nie krzyż, tylko OM. Pomyślałem wtedy, że to jeden z tanich plakatowych malunków, jakie powstawały w Indiach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Handlowano nimi na ulicach i wciskano je ziemiaństwu w postkolonialnych miasteczkach — zanglicyzowane postaci, mające pretensje do wdzięku i wytworności. Doszedłem do wniosku, że OM był bezczelnym, wywrotowym zagranem malarza.

W pograżonym w ciemności pokoju panowała zupełna cisza. Ostatnie psy zasnęły, a lelek nie odzywał się tej nocy. W każdym razie jeśli terkotał, uszło to mojej uwagi. Leżałem na plecach, z otwartymi oczami, ale niczego nie widziałem, nawet grubych krokwi tuż nade mną. Głowę miałem pełną myśli o tym, co przeczytałem, umysł zaczynał płatać mi figle, obsadzając kobietę z portretu w słowach z oprawionych w garbowaną skórę notesów. Usiłowałem oddzielić to, co przeczytałem, od wyglądu tej kobiety, ale nie mogłem. A potem, kiedy patrzyłem niewidzącymi oczami, kobieta zaczęła robić rzeczy, które opisała. Zamknąłem powieki i naciągnąłem kołdrę na głowę, objąłem Fizz ramieniem i zagłębiłem twarz w jej kłębiące się włosy, ale nadal widziałem tę kobietę. Patrzyła prosto na mnie.

Spojrzałem jej w oczy i ciągle się w nie wpatrywałem, gdy zasnąłem. Miałem potem bardzo realistyczny sen, niepodobny do żadnego z tych, które nawiedzały mnie w ostatnich latach. Dama z portretu wślizgnęła się do mojego łóżka i robiła ze mną to wszystko, co było opisane w notatniku. Dotyk jej pełnych, szerokich ust był za każdym razem wręcz nie do wytrzymania, jej dłonie badały mnie na sposoby, o jakich nie miałem pojęcia. Poruszała się po całym moim ciele, docierała wszędzie. Byłem dotykany, posiadany, pochłaniany, aż zacząłem kwilić.

Kiedy obudziłem się rano, czułem się, jakbym wrócił do szkoły, jak nastolatek, którego ciało jest otwarte na wszystko, gdy umysł śpi. Pamiętałem, że miała okazałe sutki, pamiętałem, że pod lewą piersią miała duże znamię. Niektóre momenty tego spotkania były niewyraźne. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy dokończyła. Wydaje mi się jednak, że nie. Swoją erekcją poniosłem Fizz i obra-

cając ją na plecy, wszedłem w nią z pragnieniem, jakiego nie odczuwałem od bardzo dawna.

Potem, opierając się chęci, by ponownie wziąć notatnik do ręki, umyłem się, ubrałem i poszedłem raz jeszcze do domu Taphena. Nasz własny dom rozbrzmiewał już do tego czasu harmidrem głosów — wciąż ktoś się czegoś domagał, rozkazywał, upominał — i całą gamą dźwięków wydawanych przez narzędzia, wbijania, heblowania, tynkowania. Rakszas cały czas chodził naburmuszony, usłyszałem, jak pytał Fizz, po co poszliśmy do Taphena minionej nocy. Niezadowolenie Rakszasa było w gruncie rzeczy skierowane do mnie. Wątpię, by za cokolwiek winił Fizz. Wtedy czy później.

Taphena nie było w domu. Damjanti powiedziała, że obudził się okropnie chory, zadzwonił do Michaela i poprosił, żeby przyjechał i zabrał go do szpitala. Ona sama wyglądała na zmęczoną. Siedziała na schodach werandy, pomiędzy klatkami dla psów, na jej rozpuszczonych siwych włosach połyskiwał olej, i grzała się w promieniach słońca. Wszystkie cztery psy powaliły się na betonową podłogę i robiły to samo. Uniosły powieki i gapiły się na mnie nieruchome. Damjanti powiedziała, że miały złą noc. Nad ranem zjawiła się pantera i doprowadziła je do tego, że szalały ze strachu. Kobieta całe rano sprzątała klatki.

Powiedziałem: Chciałbym zobaczyć portret.

Stała się czujna. Popatrzyła wokół — na własne stopy, w niebo, na psy — w poszukiwaniu pomocy.

Zmęczona kobieta, zbierająca codziennie wszystkie wewnętrzne siły, by jakoś sobie radzić.

Przez chwilę udawała, że nie jest pewna, gdzie go schowali. Kiedy nie chciałem odejść i uparłem się, że muszę rozejrzeć się po domu, skapitulowała. Upchnięto go na obudowanej werandzie — w swego rodzaju magazynie — na tyłach ich sypialni, za kompletem połamanych krzesel z jadalni. Zakrywało go zielone poprze-cierane prześcieradło z nadrukowanymi białymi liliami. Gdy je zdjąłem i ustawiłem obraz na jednym z krzesel, zdałem sobie sprawę, że moja pamięć zbyt łagodnie oceniła jego stan.

Dół ramy był połamany, wystawały z niego drzazgi, farba popękała na brzegach i odstawała maleńkimi płatkami, a kremowy tors został porysowany ostrymi przedmiotami, ołówkami, długopisami, obtarty o inne meble. Ktoś — jakieś dziecko — próbował

nawet obwieść piersi ledwie widoczną kreską szarej kredki. Pośród tych zniszczeń om na szyi, namalowany srebrzystoniebieską farbą, jeszcze bardziej rzucał się w oczy.

Przysunąłem krzesło i usiadłem naprzeciw obrazu. Twarz ocalała, cudem nie ponosząc żadnego uszczerbku. Skóra była gładka, z zaróżowionymi policzkami. Nos nie stracił nic z ostrości. Usta jawiły się jako zaproszenie, soczyste sedno obrazu. Drzemiąca w nich obietnica równoważyła wyniosłość nosa. Damjanti odeszła, żeby zaparzyć mi herbatę. Kobieta z portretu taksowała nieruchomymi oczami szczupłego, przedwcześnie posiwiąłego mężczyznę w dzinsach i rudym swetrze, z dwudniowym zarostem, z połyskującą w uchu maleńką kulką złotego kolczyka. Patrzyła mu w oczy i domyślała się, że łatwo go nawiedzać. Był z tego rodzaju mężczyzn, którzy wabili demony. Rozumiała takich mężczyzn. Zastanawiała się, czy wiedział, dokąd zmierza. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

Gdy patrzyłem na portret, poczułem, że jej oczy zaczęły się mrużyć. Żeby oczyścić umysł, przenieśliem spojrzenie na porośnięte drzewami zbocza Bhumiadharu. Poranek był piękny. Błękitne niebo, mocne nieme promienie słońca, orły zakreślały już koła w powietrzu. Damjanti przyniosła herbatę w wielkim porcelanowym kubku z nadrukowanym Kaczorem Donaldem. Obróciłem się i ponownie spojrzałem na portret. Kobieta przestała się uśmiechać, ale nadal się we mnie wpatrywała.

Powiedziałem: Usiądź, Damjanti.

Związała włosy. Tłuste od oliwy, przylegały gładko do głowy, przeświecała przez nie skóra na czaszce. Damjanti nie kryła skrępowania. Kiedy ponowiłem prośbę, przyniosła z sypialni wiklinowy stołek ze sterczącymi, poluzowanymi patykami i usiadła na nim.

Zapytałem: Kto to jest?

Odparła: Wiem tylko to, co Taphen mi mówi. On mówi, że to pani tego domu.

Czy to ona zbudowała dom? Dom, w którym teraz mieszkamy. Tak. Taphen tak mówi. Co jeszcze Taphen mówi?

Nic. Nie chce o niej rozmawiać. Kiedy pytałam go na początku, dał się na mnie. Kiedy znowu stawał się człowiekiem, mówił: Była panią, jedyną w swoim rodzaju, nikt jej nie lubił, boginią pełną miłości i chęci obdarowywania. A kiedy stawał się zwierzęciem, wrzeszczał: Co chcesz wiedzieć, zwariowana dziwko? Była sto razy większą wariatką od ciebie! Była pieprzoną ćurail! Białą

wiedźmą! I przestań zadawać pytania, bo jak ci wlezie między nogi, będziesz ganiać po szosie w górach w tę i z powrotem i wołać o pomoc!

Zapytałem: Więc co wiesz?

Odparła: Nic, sahibie. Ten obraz wisiał wcześniej w dużym domu, tam gdzie teraz państwo mieszkacie, ale gdy Taphen postanowił sprzedać ten dom, przyniósł portret tutaj i zawiesił w naszym salonie. Kiedy chciałam go wyczyścić, nawrzeszczał na mnie i powiedział: Nie dotykaj go, zwariowana dziwko! Niech sobie wisi i tyle.

Nie spytałaś dlaczego?

A można kiedy dostać od Taphena sensowną odpowiedź, sahibie? A potem, kilka miesięcy temu, siedział w salonie któregoś wieczoru i znowu był zwierzęciem, i zaczął krzyczeć: Damjanti! Damjanti! Zabierz ją! Zabierz ją! Zobacz, jak ona na mnie patrzy! Mówię ci, że czegoś ode mnie chce! Będzie chciała mnie ukarać za sprzedanie domu! Więc zdjęłam obraz ze ściany i zniosłam do magazynku. Następnego ranka mówi do mnie, znowu jak człowiek: Dobrze zrobiłaś, Damjanti. A teraz zakryj jej twarz prześcieradłem. Wiesz, co ludzie tu powiadają: Jeśli spojrzy się jej w oczy, człowiek jest zgubiony.

Zapytałem: W jaki sposób Taphen stał się właścicielem tego domu?

Odparła: Tak naprawdę to nie wiem. Nie chce w ogóle o tym rozmawiać. Ale wydaje mi się, że jego ojciec dla niej pracował i ona mu go zapisała.

Co jeszcze wiesz?

Nic. Poza tym, że Taphen mówił, jakoby prawie nigdy nie opuszczała granic posiadłości. Nigdy nie pojechała do Najnitalu albo Haldwani, albo Bhimtal, albo Sattalu, albo Naukućijatalu, albo Ranikhetu, albo Almory. Wielu miejscowych nigdy nie widziało jej na oczy. Taphen mówi, że miała strzelbę i strzelała do każdego, kto wszedł nieproszony na jej teren. Mówi, że nie lubiła nawet odwiedzin białych ludzi. Zdarzało się, że przyjeżdżali do niej angielscy oficerowie i już przy dolnej bramie ich zawracano.

A czy Taphen pamięta jakieś spotkanie z nią?

Chyba nie. Mówi, że był za mały, kiedy umarła. I mówi, że nie chciała być pochowana na wielkim cmentarzu, gdzie grzebali wszystkich białych, przy drodze do Najnitalu. Chciała być pochowana w Gethii.

W Gethii? Gdzie?

Na wzgórzu. Za domem.

Macie jakieś jej zdjęcie?

Nie, sahibie, żadnego. A ja nie chcę nawet tego portretu. Przeraza mnie.

Zapytałem: Czy Taphen ma coś, co do niej należało? Cokolwiek.

Nie, nic. Nic, o czym bym wiedziała. Tamtego dnia, kiedy Dukhi i Bideși znaleźli i otworzyli skrzynię, Taphen dostał szału. Zaczął szczekać i wyć jak pies, kiedy wyczuje panterę. Chodził po pokojach, walił pięścią w ściany. I wrzeszczał: Dłubać, dłubać, dłubać! Wszyscy chcą dodłubać się kłopotów! Dłubać w przeszłości każdego człowieka, dłubać w meczetach, dłubać w świątyniach, dłubać w kościołach, dłubać w domach! To jak dłubanie w nosie! Im głębiej dłubiesz, tym bardziej się brudzisz! Trzeba to wszystko wydmuchać! Wydmuchać i zapomnieć! Wydmuchać i odejść! Wydmuchać i odejść!

Obróciłem się, żeby spojrzeć na kobietę z portretu opartego o krzesło. Spokojnie mi się przyglądała. Oczy miała szaroniebieskie, a ja wpatrywałem się w nie tak długo, aż zaczęły mnie boleć powieki. Wydawało się, że ma w oczach rodzaj mądrości, którą chciałem poznać.

Gdy wstałem, jej wzrok mnie zatrzymał, moje odejście było wyzwaniem. Stałem jak wryty. Wtedy Damjanti stanęła między nią a mną, nakryła obraz prześcieradłem, a ja mogłem się wreszcie ruszyć.

Zapytałem: Rozmawiał z tobą o tym, co znaleźli w skrzyni? Odparła: Rozmawiał? Taphen? A widział pan osła dającego mleko?

Słońce na zewnątrz było oślepiające, a rozleniwione psy nie zastrzygły nawet uszami, kiedy schodziłem na ścieżkę wijącą się między dwoma rzędami starych cienistych dębów ku głównej drodze.

Po południu, podczas gdy dom był obstukiwany, tynkowany, pieszczony i hołubiony, wymknąłem się po cichu i kozią dróżką poszedłem na szczyt. Choć wznosił się dokładnie nad domem, nigdy tam nie byliśmy. Z domu widać było całą drogę na górę, wielkie sosny maszerujące w pojedynczym szeregu aż na sam wierzchołek, gdzie zbierały się w grupę, by dokonać szczegółowego oglądu doliny i oszacować własną strategię.

Trawa rosła tu w gęstych złotawych kępach, a ścieżka okazała się skalista — łatwo było się poślizgnąć na kamieniach — dlatego musiałem iść ostrożnie. Kiedy nie stąpałem po pokruszonej skale, miałem pod nogami dywan z sosnowych igieł, a ten — jeśli wziąć pod uwagę gładkie gumowe podeszwy moich sandałów — wymagał jeszcze pewniejszego stawiania kroków. O tej porze gdzieś na zboczu widać było przezuwającą coś kozę, której jeszcze właściciel nie zapędził do zagrody.

Wejście na górę nie zabrało mi więcej niż piętnaście minut. Widok stamtąd zapierał dech. Ukazywały się części doliny niewidoczne z domu. Wielki sezonowy staw znajdował się tuż pode mną i przypominał tafłę szkła, ani jedno zadrapanie nie szpeciło jego powierzchni. Potem dowiedziałem się, że było to pole do krykieta zimą, a basen dla okolicznych mieszkańców w porze mon-sunów. Zaraz obok widać było głębokie załamanie w ścianie zbocza, gdzie przycupnęły niewielkie chaty. Wokół siebie miałem stare sosny, niektóre wznosiły się na piętnaście metrów i więcej. Poszycie było tu gęste i cierniste, pełne owadów i przemykających ptaków. Kiedy spojrzeło się do tyłu, widać było jedynie dach domu — jego gładką, równiutko prażkowaną na nainitalską modłę czerwoną skórę — i dwa kominy w obcisłych czapach.

Wbrew wszystkim podjętym próbom nie udało mi się odnaleźć grobu. Cierniste krzaki stały mi na drodze i choć sam wierzchołek z oddali wydawał się niewielki, był jednak zbyt duży, by dokładnie go przeszukać w kilka godzin. W jednym miejscu natrafiłem na niewyraźne połyskujące obmurowanie i pomyślałem, że znalazłem. Kiedy jednak usunąłem gałęzie i pnącza, przekonałem się, że był to po prostu niewielki zbiornik na wodę, poniechany dawno temu, pęknięty i pokryty zielenią.

Po moim powrocie Fizz nic nie powiedziała. To cała Fizz, zawsze niechętna podejrzeniom, skłonna do ufności. Praca dobiegła końca, Bideši i Dukhi siedzieli na frontowej werandzie i razem z nią kreślili plany na przyszły tydzień. Ćatur karmił z ręki kurę ziarnami gorczycy. Po każdym dziobnięciu Begam wyciągała szyję, żeby spojrzeć chłopakowi w oczy, wole rośło jej od jedzenia i emocji. Kiedy pochyliłem się pod drutem kolczastym, żeby wejść na teren naszej posiadłości, zauważyłem Rakszasa stojącego w pobliżu ściany kuchni i obserwującego mój powrót z wyprawy. Jego przystojna twarz wyrażała zaciętość. Żaden z nas nie powiedział słowa.

Wziąłem oprawny w skórę tom i rozsiadłem się na tarasie. A gdy Fizz skończyła naradę i poszła się wykapać, nadal tam siedziałem, a gdy zapadał zmrok, nadal tam byłem, potem zaś za-



brałem książkę do łóżka, a gdy Fizz usiłowała ze mną porozmawiać o tym, co działo się w ciągu dnia, odciąłem się kamiennym murem obojętności, a gdy położyła dłoń na moim udzie, zignorowałem ją, a gdy wyczerpana całym dniem odwróciła się, żeby zasnąć, poczułem rodzaj ulgi.

Wykręciłem nagą żarówkę i zapaliłem lampę sztormową. Wcześniej poprosiłem Rakszasa, żeby postawił ją przy łóżku po mojej stronie.

Fizz zapytała sennie: Znalazłeś więcej świńskich kawałków?

A potem zasnęła. Oparłem się na lewym ramieniu i pochyliłem w stronę lampy. Zanim sam pogrążyłem się we śnie, trzymałem notatnik na zgiętym przedramieniu. Kilka godzin minęło nie wiedzieć kiedy.

Obudziłem się nagle w środku nocy. W lampie dopalały się ostatnie milimetry knota. Nie dawał żadnego światła, ot, żółtawy punkcik w szarej ciemności. Jakiś mroczny instynkt wyrwał mnie ze snu. Odsunąłem na bok ciężką kołdrę i spuściłem nogi z łóżka. Chwilę trwało, zanim znalazłem gumowe klapki. Z największą ostrożnością, stąpając najdelikatniej, jak to możliwe, przeszedłem przez pokój — podłoga wydawała jedynie krótkie skrzypnięcia. Uchyliłem drzwi i na palcach pokonałem przedpokój, trzymając się blisko ściany i stawiając stopy na końcach desek, bo tam były mocno zamocowane w murze. Po schodach zszedłem równie cicho, omijając szósty stopień. Kiedy dotarłem na dół, ciemność trochę się rozproszyła. Przez okno wpadało światło księżyca. Bezgłośnie przemierzyłem salon i gdy wszedłem do jadalni, zastałem ją siedzącą w starym fotelu, jej piękne rysy chwyciły światło nocy.

Zobaczyłem ją i wiedziałem, że czeka na mnie.

Miała na sobie rdzawoczerwoną jedwabną suknię i choć dekolt był głęboki, wysoki kołnierzyk otaczał jej szyję i włosy. Oczy — triumf malarza — patrzyły na mnie z tajemniczą intensywnością. Uśmiechnęła się, jej pełne usta rozciągnęły się powoli w zuchwałej obietnicy. Kiedy podszedłem bliżej, wyciągnęła przed siebie ręce, położyła mi je na ramionach i zmusiła mnie do ukłęknięcia. Gdy na nią patrzyłem, klęcząc przed fotelem, niespiesznie zdjęła luźną sukienkę. Nogi miała pełne — uda krągłe i ciężkie — jej skóra była gładka z rodzajem wewnętrznego blasku. Kiedy rozchyliła nogi, jej gotowość jaśniała.

Położyła mi dłonie na włosach i przyciągnęła moją twarz do swojej. Poruszałem jedynie wargami i językiem. Było jej tyle, że wypełniła całe moje usta. Wrastała w moje zęby, jej ciało otworzyło się na szerokość orlich skrzydeł. Zacząłem tonąć w jej obfi-

tości, a ona trzymała tył mojej głowy i kierowała mną jak zwierzęciem. Potem, dziwnym ruchem, narzuciła mi suknię na głowę. Materia zsuwała mi się po plecach, aż cały się w niej zatopiłem.

Znalazłem się w ciemnej jaskini szeleszczącego jedwabiu. Nie musiałem szukać drogi, mocnym uściskiem rąk prowadziła mnie wszędzie, gdzie chciała. Miałem silny wzwód. Po raz pierwszy, odkąd byłem małym chłopcem, bałem się, że skończę nawet bez dotykania. Wkrótce jednak zręcznie chwyciła mnie palcami u nóg i poruszała wolno, z maestrią doświadczonej ręki. Wystarczająco, bym się zagotował. Niewystarczająco, bym poleciał.

Nie miałem pojęcia, ani gdzie jest początek, ani gdzie jest koniec mojej rozkoszy.

Wessałem ustami skrzydła orła i rozpocząłem lot.

Wzniosłem się zbyt wysoko. Nie mogłem oddychać. Zacząłem się dławić. Nagle moim światem szarpnęło i rozpadał się deszcz. Twarz miałem zupełnie moką, pachnąca piżmem woda — pełna wodorostów i słońca — ściekała po krzywiznie mojego nosa, mijała brodę z dwudniowym zarostem, a ja spadałem, jej palce u nóg poruszały mną szybciej, zamknąłem oczy, a wtedy mokre skrzydła pieściły moją twarz, byłem oszołomiony i spokojny, szczęśliwy, że opadam swobodnie bez końca, świadomy, że to najwspanialsza droga, jaką można podążać.

Cudowna radość totalnego poddania.

Kiedy obudziłem się rano, byłem wyczerpany. W dobrze znanym rytuale Fizz sięgnęła po mnie, jej ciepła dłoń na moim brzuchu, jej słodki oddech obok moich ust. Aleja byłem wykończony. Przytuliłem ją, pocałowałem w policzek i złapałem jej rękę leżącą między nami. Spróbowała ponownie, całując mnie za uchem, wysilała się, by otworzyć wrota mojego pożądania, ale one były zawarte na głucho. Z bólem patrzyłem, jak się męczy. Przez całe nasze życie jej najłżejszy dotyk - zwykłe spojrzenie - otwierał te wrota na oścież. Skruszony, zamiast moich rozwarłem jej odrzwia i kładąc na niej rękę, kochałem ją aż do chwili, gdy na jakiś czas uwolniła się ode mnie.

Wstałem wtedy z łóżka, wziąłem oprawiony w skórę notatnik i poszedłem do łazienki.

Wracając do Delhi, zabrałem ze sobą dwa notesy. Resztę ułożyłem starannie z powrotem w skrzyni, zakryłem plastikową fo-

lią, poprosiłem Bideśiego, żeby naprawił zamek, i zamknąłem na wielką kłódkę marki Godrej. Mosiężny klucz powędrował do kieszeni moich dżinsów. W sposób dla nas zupełnie nietypowy jechaliśmy w niemal zupełnej ciszy. Przez chwilę przestałem nawet zauważać cokolwiek z otoczenia. Cały zatopiłem się we własnym umyśle.

Zostawiłem Fizz samą, by zmieniła muzykę i rozpoczęła niełatwą podróż do zrozumienia, której nigdy nie dokończy. Ani ja.

Oszukiwaliśmy samych siebie, wierząc w ład życia. Prawda jest jednak taka, że żadne życie nie jest w pełni uporządkowane. A te, które widzieliśmy — i te, o których czytaliśmy — wydają się takie schludne, bo wiemy o nich bardzo niewiele. Rozkład schowany za maską twarzy stojącej u drzwi jest zawsze daleko posunięty. Każde życie nękają własne niewidzialne upiory — chciwość, zazdrość, oszustwo, żądza, przemoc, paranoja.

Nie ma żadnego ładu w żadnym życiu — wielkiego ani małego. To jedynie złudzenie, za którym ludzie głupio się uganiają. Twarz przed drzwiami jest, czym jest — twarzą przed drzwiami.

Każde przeżywane życie to bałagan.

Ład mojego życia zaczął się rozpadać jakiś czas wcześniej, ale teraz przestał istnieć zupełnie, w miarę jak nikałem w świecie otwierających się bez końca wrót, prowokujących zagadek i życiorysów pozbawionych ograniczeń.

Po raz pierwszy uświadamiałem sobie, jak płytkie jest uporządkowanie.

Jak krępujące i ograniczające.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że uporządkowane życie jest życiem w stanie śpiączki.

Wkrótce największy ład mojego życia, Fizz, zaczął zanikać.

Nawet teraz, choć minęło tak wiele lat, mam trudności z pełnym zrozumieniem, w jaki sposób to stało się tak szybko, ale każde słowo przeczytane w oprawionych w garbowaną skórę notesach było jak rozprucie szwu naszego związku. A ja czytałem i czytałem, i czytałem — w każdą wolną chwilę dnia i nocy — a szwy puszczały jeden po drugim.

Wpadłem w te notatniki jak ryba w wodę. I nigdy nie chciałem wyjść. Mój wszechświat zamknął się w skórzanych okładkach. Notesy stały się wyzwaniem: kółkosłowa bez chronologii, bez gramatyki, bez interpunkcji, zaciemnione archaizmami i błędami ortograficznymi. Czasami musiałem wracać do jakiegoś zdania po dziesięć razy, zanim nabrało dla mnie sensu. Przez pół roku

udało mi się przeczytać tylko osiem tomów, ale to wystarczyło, żeby moje życie rozpadło się na kawałeczki.

Na początku zacząłem nieregularnie zjawiać się w pracy. Potem w ogóle z niej zrezygnowałem. Nikt tego nawet nie zauważył. Śul-teri wziął moje podanie i zadekretował je dla Króla Czaszy z lakoniczną uwagą: Proszę o zgodę. Gruby chłopak, Aggarwal z księgowości, przyszedł, zabrał mi przepustkę i kazał podpisać wiele papierów. Powiedział, że pełne i ostateczne rozwiązanie umowy dostanę za miesiąc. Zastanawiałem się nad obejściem pokoi i pożegnaniem z pracownikami, dopóki nie uświadomiłem sobie, że moje życie może się wywrócić do góry nogami, a nikogo to nie zainteresuje, niczego nie zmieni w redakcji. Aktywność na nasmarowanym słupie była frenetyczna jak zawsze, podsycana przez nowych chętnych. Członkowie Bractwa Lśniących Żołądźludzi byli zajęci wdrapywaniem się po sobie nawzajem, but-na-twarz, na serio.

Praw testosteronu — wymagających niekończącej się rywalizacji i podbojów — skrupulatnie tu przestrzegano. Każdy mężczyzna był erekcją, której nie dawało się zaprzeczyć.

Zatem zniknąłem jak cień w mroku. Stałem się tak mało znaczący, że nie zasłużyłem nawet na zwyczajowe pożegnalne ciasto z kawałkami ananasa w kremie i wyblakłymi wisienkami zatkniętymi na wierzchu.

Fizz martwiło moje odejście z pracy. Ale nasze rozmowy, wyschły niczym sezonowe rzeki w lecie. Rozmawialiśmy oczywiście o sprawach praktycznych. Nadal w każdy weekend jeździliśmy do domu na wzgórzu. Dom nabierał kształtu — dachy zostały położone, łazienki skończone, w przewodach popłynął prąd, zakopano rury. Ale z każdym tygodniem ostatnie zapasy żywności, którą karmił się nasz związek, malały. I nie minęło dużo czasu, kiedy musieliśmy się nieźle wysilać, by znaleźć choćby kropelkę w wysuszonym korycie rzeki.

Przestałem w ogóle wychodzić. A gdy wpadali do nas przyjaciele, zamykałem się w gabinecie pod pretekstem, że muszę skończyć coś pilnego. Czasami zgadzałem się iść na jakiś film, ale Fizz dostrzegła, że było to niechętnie ustępstwo z mojej strony. Miała rację. Nie mogłem się doczekać powrotu do lektury notesów. Było w nich życie, które mogłem smakować, pić, odnajdywać. Paplanina naszych przyjaciół stała się nie do zniesienia, podobnie jak codzienne problemy Fizz.

Zaczęła mieć ataki posepności. Tragiczne, ale pozostałem wobec nich obojętny.

\*

A wszystko przez to, że byłem zbyt zajęty mocowaniem się z samym sobą. W niektóre dni bałem się, że tracę rozum. Przez całe życie byłem cynikiem i ateistą. Buntowałem się przeciw rytuałom i pobożności, zrośniętych z moją rodziną i klanem. Wszyscy, których znałem, byli bardzo przesądni: nie wołaj za kimś, kto właśnie wychodzi; nie podróżuj dziewiątego dnia od wyjazdu; jeśli ktoś nieżyjący poprosi cię o coś we śnie, czekają cię kłopoty; kiedy kot przetnie ci drogę, nie idź dalej...

Wszyscy, których znałem, mieli własnego bożego człowieka, guru albo idiotę-erudyte. Jako chłopiec patrzyłem z pogardą, jak moi rodzice i inni członkowie klanu — wśród nich mój garnituro-wo-trzewikowo-krawatowy ojciec boxwallah i moi manhattańscy kuzyni, Tarun i Kun war — przyklękają służalczo przed brudnymi analfabetami, mieniącymi się prorokami, jasnowidzami, sufi, mistykami. Świętymi mężami, których mądrości zawierzano, nawet jeśli chciwie zagarniali ofiary od swych wyznawców.

Moja pogarda wzrosła jeszcze bardziej, kiedy odkryłem przepastne archiwa zachodniej literatury i filozofii, stając się dzieckiem empiryzmu i racjonalności.

Rozumiałem Nehru, nie rozumiałem Gandhiego.

Rozumiałem naukę i sztukę, nie rozumiałem rytuałów i religii.

Rozumiałem romantyczne i seksualne pożądanie, nie rozumiałem ponadnaturalnego i pozaziemskiego oddania.

Jechaliśmy gdzieś. Na przykład do wuja do Agry, żeby zobaczyć Tadź Mahal, fort, Fatehpuri Sikri, i ktoś — wuj, jego brat, ktoś inny — pytał wieczorem: Bhaisahibie, słyszałeś o świętym mężu, Babie GoleBole? Nie mówi słowa i błogosławi człowieka kopnięciem w głowę. Powiadają, że jakiegokolwiek życzenie — ale jedno — będziesz miał w głowie dokładnie w momencie, kiedy cię kopie, na pewno się ono spełni. Niektórych ludzi coś wytrącało z równowagi w tej właśnie chwili i mieli w głowach nie takie myśli, jak trzeba, potem płacili za to srogą cenę. Niejaki Pandę, który pracuje w State Bank i mieszka przy Civil Lines, pokłócił się z żoną, kiedy tam zmierzali, i w chwili kopnięcia myślał, że chciałby się jej pozbyć. Już następnego dnia kobieta zachorowała, straszliwie rozboleły ją kości. Jej stan pogarszał się co dzień, a lekarze nie potrafili postawić diagnozy. Wreszcie, pewnego dnia, kiedy już niemal umierała, Pandę przypomniał sobie popełniony błąd. Popędził do aśramy Baby GoleBole. Pomocnicy Baby

powiedzieli, że skoro siła kopnięcia została raz przekazana, nie można tego odwrócić. Pandę prosił i błagał. Pomocnicy naradzili się. Istniał jeden sposób. Jeśli Pandę dostanie następnego kopniaka i w tej samej chwili odwróci życzenie, może się uda. Zatem Pandę wszedł ponownie. Baba siedział na drewnianym podwyższeniu prawie dwa metry nad ziemią, nogi mu luźno zwisały, srebrne biću zdobiły każdy palec. Pandę ukłonił się, ręce miał złączone razem, i został kopnięty w głowę. Tym razem jego myśli były dobre. Dwa dni później żona zaczęła zdrowieć, aż wydobrza-la zupełnie. Teraz jest gruba i znowu wyklóca się z Pandę.

I tak następnego dnia cała moja rodzina wyruszała, żeby dać się kopnąć w głowę Babie GoleBole.

Wszyscy, których znam, mają na podorędziu bzdurną historię o tym, jak oni sami — lub ktoś z ich znajomych — byli świadkami cudu. Cudownego ozdrowienia, cudownej wieści, cudownego objawienia. W naszej wsi, Salingarhu, miałem kuzyna, który pracował w polu. Opowiadał, że spotkał Paraśuramę — legendarnego wojownika, mistrza topora, pogromcę kszatrijów — kiedy pewnej nocy szedł przez akacjowy las. Półbóg poruszał się bardzo szybko, był wysoki na trzy metry, trzymał w rękach wielki topór, włosy opadały mu na ramiona. Kuzyn zobaczył go i zamarł z przerażenia. Ale Paraśurama zgubił krok i posłał mu olśniewający uśmiech. Potęga tego uśmiechu okazała się tak wielka, że kuzyn poczuł, że w jednej chwili jego siły wzrosły w czwórnasób. Następnego dnia, kiedy wół zaczął wierzgać przy pługu, powalił go na ziemię jednym ciosem ręki.

Była jeszcze moja ciotka, LaddoMasi — kuzynka matki — mieszkająca w popadającej w ruinę wiosce tuż pod Amritsarem. Wyszkoiliła się w sztuce sprawiania, by kuchenka przemawiała. Wielu członków naszego klanu było świadkami tego wydarzenia. LaddoMasi — która zakończyła edukację na szóstej klasie, bo nie zdała do siódmej, i w dziewięć produktywnych lat urodziła czterech synów i trzy córki — brała mosiężny prymus o trzech nogach, czyściła go, aż lśnił, i stawiała na środku głębokiej mosiężnej tacy, również wypolerowanej do połysku olejem gorzycowym. Miejsce wokół tacy było udekorowane tajemnymi wzorami zrobionymi ze złotej kurkumy, czerwonego chili, białej soli, czarnego pieprzu i zielonych liści w kształcie serca. Zapadał zmierzch i światło zaczynało zanikać. Prymus-dewatę można było przywołać po zachodzie słońca i przed zapadnięciem nocy. LaddoMasi zaczynała śpiewać monotonną inwokację, nakłaniającą bóstwo do przybycia. Było to proste przywołanie, powtarzane w kółko.

Dziesięć minut monotonnego śpiewu i prymus zaczynał drzeć. LaddoMasi nakazywała wtedy wszystkim zebranym na podwórzu zacisnąć mocno powieki i nie odzywać się słowem.

Wypowiadała pierwsze pytanie: Prymus-dewato, za ile dni mój syn wróci z walk z buntownikami w Nagalandzie? Był kapitanem strzelców gurkhijskich. Pomiedzy nasłuchującymi uszami i zamkniętymi oczami cztery wyraźne stuknięcia przerywały grobową ciszę na zatłoczonym podwórzu. Wszyscy jak jeden wciągali głośno powietrze.

LaddoMasi pytała wtedy: Cztery dni?

Nie rozlegało się żadne stukanie.

Mówiła więc: Cztery tygodnie?

Dało się słyszeć pojedyncze wyraźne stuknięcie.

Potem każdy miał okazję zadać własne pytanie i trwało to długo, aż członki Prymus-dewaty zaczynały omdlewać i bóstwo nie mogło już odpowiadać.

Tradycja rodzinna utrzymywała, że wszystkie te wróżby zawsze się sprawdzały.

\*

Moi manhattańscy kuzyni i ich szykowni rodzice także mieli gurudzi, na przedmieściach Bombaju. Szukali u niego rady w sprawach dotyczących pieniędzy, majątku, smutku i świętowania. Młody gurudzi — miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a ogłosił światu swą wyjątkowość, cytując Gite z łona matki — pisał mantry plastikowym długopisem na paskach papieru wyrwanych z dziennika szkolnego, składał je w ciasno zwinięte karte-luszkki i wręczał swoim wyznawcom. Moi kuzyni studiowali na Harvardzie i w Stanfordzie i rutynowo rozbijali banki, robiąc wielomilionowe interesy inwestycyjne. Ale co wieczór — szczęśliwi i oszołomieni po powrocie z nocnych klubów Londynu, Nowego Jorku, Bombaju, wydawszy lekką ręką setki dolarów na jedzenie, picie i kreski narkotyków, spenetrowawszy lekkomyślnie jakieś kobiety i mężczyzn — wkładali każdy swój karteluszek do pustej szklanki, napełniali ją wodą i wypijali duszkiem do dna przed pójściem spać. Mokra karteluszkki były wyjmowane, ostrożnie układane na małym stoliku i już wysuszone wracały do ich portfeli następnego ranka. Mając w sobie boski tonik, byli chronieni przed każdą krzywdą i predestynowani do wszelkich możliwych sukcesów.

Wuj mówił, a kuzyni powtarzali jak echo: Świat jest pełen nierozpoznanych mocy. Dlaczego nie skorzystać z okazji? Dlaczego nie skorzystać z okazji?

Kiedy się nad tym zastanowić, była to lekcja pobierana przez wszystkich. Dlaczego nie skorzystać z okazji? Każdy boży człowiek, jasnowidz, guru, święty mąż, astrolog, nawiedzony, prorok, fanatyk, świr mógł trzymać w ręku klucz do twojego przeznaczenia. Wszyscy znamy prawdziwe historie tego rodzaju. Dlaczego nie skorzystać z okazji?

Tak więc nikt w Indiach nie ryzykował. Wszyscy mieli mistyczne bilety wetknięte w tylne kieszenie. Wszyscy mieli dostęp do jakiegoś boskiego toniku.

Walczyłem z tym przez całe życie, choć przyznaję, że upływające lata poczyniły dziury w moim głębokim cynizmie. Długi czas dowodziłem, że jeśli istniałby wspanialszy bóg, to jego nauki byłyby niestety nie do zastosowania. Dla niego ważna powinna być wewnętrzna wartość ludzi, ich codzienna przyzwoitość, ich codzienna krzątanina. Dlaczego jakieś przygłupie rytuały i symboliczne hołdy miałyby się liczyć? Po co wybrał sobie armię szumowin w różnych wcieleniach spośród przeciętnych ludzi — z których każdy pobierał opłatę — by przyprowadzali do niego wiernych? Po co nakazał wszystkie te pokłony i szurania?

To było zachowanie drugorzędnego potentata, a nie wspanialszego boga.

A jeśli to był drugorzędny potentat, do którego byliśmy prowadzeni, w takim razie mnie w ogóle nie interesował. Z drugiej strony — gdyby nie był żadną podróbą — moje ciało i umysł sprawowały się dobrze.

Byłbym agnostycznym wyznawcą boga. Jeśli istniał. I jeśli był wart swej religii.

*Quod erat demonstrandum.*

Wtedy nikt nie dał mi na to odpowiedzi, a odpowiedź, którą znam dzisiaj — kiedy to wszystko się skończyło i nic już nie jest ważne — stwierdza, że pokłony i szurania nie są dla wszechmocnego króla Srula, który siedzi nad nami. Robimy je dla siebie, by ćwiczyć się w pokorze. Albo tak przynajmniej powinno być.

Nasze codziennie pobierane nauki w radzeniu sobie z arogancją.

Wyteżony spacer ego, żeby nie utyło. Cztery kilometry w czterdzieści minut cztery dni w tygodniu: to zasada dbających o serce. Siedem przyklęknąć na siedem minut siedem dni w tygodniu: to zasada dbających o ego.

Żeby przypomnieć nam, że wiemy, że nie wiemy.



Ale w tamtym czasie algebra mojej wiary była poddawana poważnej analizie. Jako przeniesiony z grupy niewierzących do niedowiarków czułem, że jestem wrabiany w coraz większe upokorzenia. Z Nic Innego Nie Istnieje do Kto Wie, Może, do Tak, Istnieje. Byłem straszliwie zażenowany tą przemianą. Słyszałem echo całych lat wojowniczej argumentacji — kiedy ujeżdżałem teorie empiryzmu, racjonalizmu i ewolucji — rozlegające się w mojej głowie. Słyszałem Fizz i siebie, jak śmiejemy się i zastanawiamy nad bredniami, które zainfekowały nawet najmądrzejszych z naszych przyjaciół.

I słyszałem także szyderczy głos ojca, mówiącego: Twój rodzaj wiedzy jest tak naprawdę głęboką ignorancją.

Kiedy zatem zdawałem sobie sprawę z kryzysu, jaki wywoływałem w życiu Fizz, byłem jeszcze bardziej świadomy chaosu, jaki narastał w moim życiu. Rozmowa o tym z kimkolwiek w ogóle nie wchodziła w grę. Bo co miałbym powiedzieć? Że wpadłem po uszy w treść jakichś notatników? Że odkrycie ich sekretów stało się jedyną obsesją mojego życia? Że chodziło nie tylko o to? Że co noc miewam halucynacje? Że jestem nękany obecnością? Że wyczuwam ją przy moim ramieniu, kiedy siadam do czytania? Że wyczuwam ją w łóżku, kiedy śpię? Że budzę się w niektóre dni, czując się zniewolony i wycieńczony, pełen urazy i pragnienia? Że próbowałem się od tego odgradzić, ale po prostu nie byłem w stanie? Że wydawało mi się, że wiem, kim jest ta obecność? Chociaż nie wiedziałem, czego chce od mnie, a uwodzenie było przerażające w swej niematerialności i sile.

Co tu było do powiedzenia?

Że doznawałem pozacielesnych doświadczeń? Czułem się jak kuzyn, który spotkał w lesie Paraśuramę, wysokiego na trzy metry, z ogromnym toporem na ramieniu, gotowego do kolejnego globalnego ataku na kszatrijów. Miałem ochotę naśmiewać się z samego siebie. Potrzebny był mi kopniak w głowę od Baby Go-leBole. Potrzebowałem stu kopniaków w głowę od wszystkich, których znałem.

Ale nie było niczego, co mógłbym powiedzieć.

A Fizz mogła jedynie patrzeć z rozpaczą.

\*

W kilka miesięcy od kupna domu nadaliśmy mu nazwę i przymocowaliśmy marmurową tabliczkę na kamiennej kolumnie

podtrzymującej górną bramę. Eleganckim Trajanem, wszystko dużymi literami, stary rytownik muzułmanin z Halwani wykonał napis: Rzeczy Pierwsze, a pod spodem, Timesem kursywą, umieścił nasze imiona. W bezbłędny sposób skopiował mój wydruk, a potem dodał coś od siebie. W przyływie natchnienia umieścił na samym dole pojedynczą gałązkę miodli, przepięknie wyrzeźbioną; jej pięć listków wykuł z czułą delikatnością.

Rzeczy Pierwsze.

Co było na początku.

Przed ambicją, przed pracą, przed biurem, przed mianowaniem, przed nazwiskiem autora w nagłówku artykułu, przed samochodem, przed domem, przed małżeństwem, przed potrzebą.

Przed potrzebą, przed potrzebą, przed potrzebą...

Czystość pierwotności. Całościowość początku.

Miłość i pożądanie.

Serce i sztuka. Fizz i ja.

Rzeczy Pierwsze.

Eleganckim Trajanem z delikatnymi szeryfami.

Była w tym ironia, bo byliśmy zagubieni w kraju rzeczy ostatnich. Gdzie owoc gnije na gałęzi, zanim dojrzeje. Gdzie deszcze parzą wszystko, na co spadają. Gdzie powietrze wypala płuca każdym oddechem. Gdzie miłość, pozbawiona namiętności, jest tylko wspomnieniem innych czasów.

Fizz nie wiedziała o wielu rzeczach. Ale miała pewność, że moje ciało obróciło się przeciw niej. Wyłamało się ze wzoru, który był najwspanialszą prawdą i euforią naszego życia.

Najwyraźniej zaczęło, w akcie straszliwej zdrady, szukać innego ciała.

Księga czwarta  
KAMA: POŻĄDANIE

## NIEZWYKŁA AMERYKANKA

Pierwszy raz Catherine zetknęła się z Indiami w sklepie ojca.

Orientalne Osobliwości Johna były niesamowitym miejscem. Mieściły się w przycupniętym przy chicagowskiej Lake Street budynku z wąską fasadą i szeroką werandą, nieco bardziej odsuniętym od ulicy niż inne domy. Jeśli przejeżdżało się obok dość szybko, łatwo mogły ująć uwagi rzeźbione drzwi z orzechowego drewna, z wizerunkiem skaczącego tygrysa i wspaniałymi mosiężnymi ćwiekami w czterech rogach. Ale kiedy szło się nieśpiesznie — czego nikt w Chicago nie robił nawet w 1897 roku — nie sposób było nie dostrzec zasłon z chińskiego jedwabiu w oknach, cejlońskiej maski demona, patrzącej gniewnie znad wejścia, i ciężkiej, wykonanej z drewna i żelaza radżputańskiej tarczy z insygniami słońca pośrodku, zawieszanej pod skrzyżowanymi lśniącymi mieczami. Gdy zaś te przypadkiem się otwarły, wzrok przykuwały wspaniałe zakrzywione ciosy słonia indyjskiego wyrastające z przeciwległej ściany, tnące gęste, przesycone zapachem piżma powietrze, które wypełniało sklep.

Jeśli się tam weszło, rozchylając zawieszoną nad drzwiami zasłonę z maleńkich zwierząt wyrzeźbionych w drewnie i kości słoniowej, miało się wrażenie geograficznego zawirowania. Pokój oświetlały sprytnie rozmieszczone gazowe lampy, tworzące ruchome cienie. John rozumiał swoją klientelę i wiedział, że niedostatek światła potęguje nastrój tajemniczości. Lecz nawet gdyby zaszedł tam niewidomy, natychmiast by się zorientował, że to niezwykley sklep. Pierwszy oddech niósł ze sobą intensywny zapach dziwnych przypraw, indyjskich ittarów, spreparowanych skór zwierzęcych, wypolerowanego drewna sandałowego, nargili do opium i subtelniejsze wonie suszonych owoców, szkatulek z cedru, perfumowanych jedwabi i herbaty z Asamu.

Każdego, kto nie był ślepcem, wciągała natychmiast egzotyczna wizualna uczta, której nie dawało się zakończyć w trakcie jednej wizyty. Bardziej ekscytujące od krzywizn białej kości słoniowej

były połyskujące skóry tygrysie zawieszane na ścianach: piękne czarne i pomarańczowe pasy, rozwarte paszcze odsłaniały wypolerowane kły, jeszcze teraz wyglądające bardzo groźnie. Każde bezcielesne zwierzę miało przybitą obok tabliczkę. Ulubienicą Catherine była smukła tygrysica z uszkodzonym okiem. Jednooka księżna Kaladhungi, Kumaon, Zjednoczone Prowincje, 1892. Jej spojrzenie było niemal łagodne, jakby puszczała oko. Kiedy John sprzedał ją pewnego ranka, jego dziesięcioletnia córka bardzo się tym zmartwiła, a ponieważ nie zdołał jej przekonać, że kupiec nie może przywiązywać się do rzeczy, które oferuje, próbował odkupić skórę, ale klientem okazał się nowobogacki pośrednik w handlu nieruchomościami z Bostonu, którego nie dało się odnaleźć.

Równie pociągające były dla Catherine rzędy wielkich słoï z chemicznie zakonserwowanymi węzami. Znajdowały się wśród nich daszniki modre, żmije, węże brązowe, położy smugowe i dostojne hamadriady — kobry z groźnymi kapturami złożonymi przez śmierć. Był tam także ochrowy nakrapiany pyton skalny, ale ponieważ okazał się za gruby i za duży, by zmieścić się w słoju, włożono go do wielkiego sześciennego akwarium, gdzie wybrzuszał się, przywierając nieprzyzwoicie do szkła. Dziewczynka wpatrywała się w węże z odrazą całymi godzinami. Nie budziły w niej takiego zainteresowania zakonserwowane fragmenty innych zwierząt ani całe okazy: kolce jeżozwierza w słoïku, skórki latających lisów, dzikich kotów i psów, kilka olbrzymich ciem, motyli i żuków w szklanych gablotkach, wypchane sowy i piękne indyjskie dzio-borożce, poroża antylop i błyszczące skóry nakrapianych danieli, dekoracyjne pawie pióra, czasem skóra geparda, bardzo kobieca w swej jedwabistej szczupłości, i zakrzywiony róg nosorożca, szary i skórzasty.

Jej ojciec trzymał róg nosorożca za mahoniowym kontuarem, gdzie wszystko liczył, a kiedy czasem odwiedzali go przyjaciele, brali róg w ręce, gładzili go i pękali ze śmiechu.

Jednym z ulubionych zajęć Catherine było otwieranie torebek z unikatowymi przyprawami i wdychanie ich aromatu. Uwielbiała zapach cedrowych szkatulek: gładkim policzkiem dotykała chłodnego drewna, zamykała oczy i unosiła się w delikatnej woni. Opary ittarów były dla niej za mocne, lecz dla odmiany podobał się jej ostry odór skór i futer zwierzęcych, martwych, a przecieź żywych.

Przyjemność sprawiało jej teź wpatrywanie się w reprodukcje, rysunki tuszem i akwarele, wypełniające niszę pod kłami słonia. W większości były to sceny z subkontynentu. Ścierające się armie,

jedna w hełmach i mundurach, druga w turbanach i rozkloszowanych tunikach. Okazałe procesje ze słoniami w czaprakach, gepardami na łańcuchach i rzeszą ciemnoskórych ludzi tłoczących się wzdłuż przejścia. Maharadźowie o ogromnych bokobrodach, chłodzeni gigantycznymi wachlarzami podczas wystawnych darbarów. Widoki z bazarów kipiących krzątaniną i energią — ludzi, towarów, zwierząt — niespotykane w Chicago. Sugestywne walki kogutów obserwowane przez wiwatujący tłum, głównie Hindusów, ale także Europejczyków. Ghaty nad rzeką, z płonącymi stosami i modlącymi się tubylcami. Obrazki z polowań: tygrys zagoniony w kozi róg, przykucający na tylnych łapach, osaczony przez uzbrojonych białych mężczyzn na słońiach, którzy nadchodzą, by go zabić. Hinduski na wpół zasłonięte welonami, o ostrych rysach i krągłych ciałach, z oczami w kształcie migdałów.

Był tam jeszcze jeden zestaw reprodukcji, leżący w szufladzie za kontuarem, przy którym siedział John. Catherine odkryła je, gdy miała trzynaście lat. Sprawily, że zapłonął w niej ogień. Druki wielkości dłoni, zamknięte w książce zatytułowanej *Indyjska ka-masutra: gra miłości*, pokazywały mężczyzn i kobiety, robiących razem rzeczy, jakich nigdy sobie nawet nie wyobrażała. Tak plastyczne, tak pobudzające, tak nagie, tak akrobatyczne, tak ekstatyczne. Kobiety o migdałowych oczach tak śmiało wykorzystywały chwilę i wydawały się tak bardzo opanowane. Dziewczynka oglądała te reprodukcje, kiedy była sama w sklepie, i czuła wtedy, że jej ciało płonie i topnieje.

Zwłaszcza jedna ją absorbowała. Wielki ciemny mężczyzna bez turbanu, z bujnymi wąsami, z nagim torsem, jakiś służący; przed nim stała migdałowooka piękność o wyjątkowo ponętnych, bujnych kształtach, z piersiami dużymi i napęczniałymi, w sukni z kosztownego brokatu, jakaś księżniczka. Z fałdów dhoti mężczyzny wystawał nienaturalnie nabrzmiały fallus. Ze spódnicą uniesioną powyżej talii, księżniczka oplatała gołą lewą nogą szerokie plecy służącego, trzymając lewą ręką jego członek i wkładając go sobie w grubowargą miękkość. Przedstawiona scena nie pozostawiała miejsca na dwuznaczność: kobieta była agresorem, mężczyzna stroną ulegającą. Twarze obojga promieniały rozkoszą. Za każdym razem, kiedy Catherine patrzyła na ten obrazek, zaciskała dłonie pomiędzy udami; czuła się lepka i bliska omdlenia.

W ojcowskim sklepie najbardziej nudziły ją lady pełne jedwabi i atlasów, karakułów i soboli, wyszukanych kaszmirowych szali i sukien obszytych futrem. Tak samo nie dawała się omamić biżuterii, naszyjnikom i bransoletom, kolczykom do nosa, pierścionkom na

palce u nóg, ze szmaragdami, rubinami i nefrytami. Nawet wymyślne lustra w srebrnych ramach nic dla niej nie znaczyły. Dziwiła się kobietom, które przychodziły do sklepu i trawiły czas na czułym przekładaniu tych marności, ślepe na inne bogactwa znajdujące się wokół. Jeśli to było wszystko, czego chciały, myślała ze złością, powinny chodzić raczej do eleganckich budynków z marmurowymi fasadami na State Street i pozwalać się obsługiwać ugrzecznionym osobom, które by je tam witały i prowadziły przez sale o wysokich sklepieniach, pełne świecidełek i drogich damskich fatalaszków. Jeszcze przed ukończeniem trzynastego roku życia Catherine doszła do wniosku, że kobiety nie potrafią dostrzec cudów świata i powodowane nieśmiałością wykorzystują obsesję na punkcie ubrań i ozdób do izolowania się od wspanialszych doświadczeń. Jej matka nie była inna.

Już jako młoda dziewczyna Catherine dostrzegła, że jej wyjątkowo piękna, choć konsumpcyjnie nastawiona matka, Emily, wykazuje najwyższą obojętność wobec cechującego ojca zamiłowania do podróży. Nigdy nie słyszała jej pytającej Johna o to, gdzie właśnie był i co widział. Nigdy nie widziała jej ożywionej jego opowieściami lub towarami w sklepie.

Nigdy nie widziała matki innej niż posągowo zimnej i wyma-nikiurowanej.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, by matka mogła robić cokolwiek z tego, co pokazywały reprodukcje ukryte na dnie szuflady. Nie potrafiła nawet wyobrazić jej sobie bez ubrania, przyznającej się do posiadania piersi i miejsc intymnych.

Kiedy się poznali, John był dwa razy starszy od Emily. Skończył wtedy czterdzieści lat, z czego dwadzieścia cztery spędził na podróżowaniu po świecie. Był bardzo nietypowym Amerykaninem — odwrócił się plecami do bezpieczniejszych przygód czekających na dziewczym kontynencie, do gorączki złota, do zagrabiania ziemi pod rancza, i skierował się ku morzu. Dotarł aż do Japonii, na Jawę i Sumatrę w jednym kierunku i do Egiptu, Tanganiki i Zanzibaru w drugim. Jednak jego ulubionym miejscem stała się południowa Azja, rozległy indyjski subkontynent, rojący się od tygrysów i innych dzikich bestii, przesiąknięty głęboko starożytną cywilizacją i ogromną wiedzą, rządony przez garstkę białych ludzi, ale wypełniony milionami mrocznych bogów.

Cumował w portach Kalkuty, Bombaju i Madrasu, wyprawiał się do serca kraju, do Kanpuru, Agry, Delhi, Lahaur i aż do jego granic, podróżował konno, na wielbłądzie, na słoniu, czasem w kołyszącej się na boki lektyce, niesionej przez tubylców na ramionach, pokonywał pustynie, lasy, deszcze, burze, znosił choroby i zarazy, zachwycał się zabytkami mogolów, starożytnymi świątyniami hinduskimi, surowymi klasztorami buddyjskimi i wielkimi Himalajami.

W późniejszych latach, kiedy małżeńskie kajdany u nóg uniemożliwiły mu podróżowanie, mawiał: To miejsce jest najbardziej wariackim eksperymentem dobrego Boga. Nie ma na ziemi miejsca — a wiesz, że zwiedziłem świat wzdłuż i wszerz — tak dziwnego i niezwykłego. To właśnie tam Bóg wrzucił do jednego worka wszystko, co się dało — ludzi, bestie, klimat, geografie, historię, choroby, bogactwo, mądrość — chcąc zobaczyć, co z tego wyniknie.

A kiedy słuchacz pytał: I co z tego wynikło?, John zamyślał się i mówił: Prawdę rzekłszy, nie da się tego ująć słowami. Być może wiedza, że można być bogatym i biednym równocześnie, nieustraszonym i przelęknionym w tym samym momencie, mądrym i głupim w jednej wypowiedzi, wspaniałym i żalonym w jednej chwili.

Gdy nieustępliwie domagano się od niego przykładów, kontynuował: Tubylca nie sposób poddać analizie. Wzbudza ogromny podziw i głęboką pogardę. Nie da się go zrozumieć. Jest pełen cielesności i okultyzmu. Buduje oszałamiające monumenty i mieszka w lepiance. Zagarnia tak mało i odrzuca tak wiele. Jest pozbawiony wszelkiej godności, a mimo to w pełni ją posiada. Nie ma nic do dania, ale jest hojny we wszystkim. Jest rozdeptywany butem białego człowieka, ale nie da sobą rządzić. Nie sposób go pojąć.

John odbył osiem podróży do Indii; w czasie dwóch przyjął rolę muszkietera najemnika, podczas sześciu był kupcem. Raz niemal umarł na malarię w lasach środkowych Indii niedaleko Gwalijaru. Przez trzy tygodnie trawiły go ataki gorączki i tak bardzo był nimi wymęczony, że zaczął się modlić o rychłą śmierć. Dostarczone przez miejscowego aptekarza gorzkie liście, które musiał żuć, nie przyniosły ulgi. Lecz potem któregoś dnia żona wioskowego wodza przyniosła mu drewniany amulet ze świętym symbolem OM. Włożył go pod zwiniętą koszulę, na której kładł głowę, i wkrótce gorączka zaczęła opadać. Nadal nosił go na szyi, a kiedy szedł spać, wkładał pod poduszkę.

Na jego żonie amulet nie robił wrażenia, podobnie jak opowieści. Prawdę powiedziawszy, kiedy John mówił o swoich przygodach, oczy żony szkliły się obojętnością. Zaprawiony w trudach



podróżnik o łagodnym spojrzeniu, orlim nosie i włosach związanych w luźny koński ogon pierwszy raz zobaczył swą przyszlą żonę, kiedy przejeżdżał przez Nowy Jork. Kierując się dziwnym kaprysem, postanowił odwiedzić ciotkę mieszkającą przy Thirty-Second Street, akurat gdy zjawiała się tam Emily, by pokazać nowe wydanie Biblii, które właśnie kupiła. Policzki miała zarumienione i była tak bezbronna i piękna, że serce żywiej mu zabiło.

John był człowiekiem o ogromnym doświadczeniu i apetycie, cudzołożył z zapalem w każdym odwiedzonym kraju z kobietami wszystkich kolorów i kształtów. Powodowany czysto awanturczym zaciekawieniem i radością, odkrył — wbrew propagowanemu przez mężczyzn mitowi — że nie ma dwóch podobnych kobiet. A to, co najbardziej je różniło, większość mężczyzn uważała za identyczne. Za każdym razem, gdy z pokładu statku widział nowy ląd, myślał o kobietach, które go tam czekają.

Stał się koneserem sekretnych kobiecych miejsc. Wiedział, że każde pachnie inaczej, smakuje inaczej i otwiera się inaczej. Zanim zaczął i kiedy już skończył, uwielbiał fachowo ustawiać płomień świeczki tak, by oświetlił wewnętrzną część ud. Najbardziej podobały mu się ostatnie centymetry, gdzie ciało było najdelikatniejsze, a uda rozszerzały się ostatni raz przed połączeniem z tajemniczym wzgórkami, gdzie rosły włosy. Czasami zamykał oczy i wyczuwał to ostateczne miejsce jedynie opuszkami palców, przeżywając uniesienie. Najbardziej jednak zależało mu na patrzeniu, starannym badaniu i analizie. Niczym wybitny uczony dokonywał oględzin materiału badawczego cierpliwie i z miłością, a fotograficzna pamięć odnotowywała szczegóły do późniejszego wykorzystania.

Wiele kobiet zawstydzalo jego szczere spojrzenie, inne pokazywały mu się lubieżnie. Studiowanie kobiet przekonało go, że Bóg był artystą nieuznającym żadnych ograniczeń: stwórczym pstryknięciem palców — zakrzywienie tu, fałdka tam — tę samą rzecz nieustannie czynił inną. Mężczyźni, który chciałby stworzyć schemat kobiety, nie starczyłoby życia. John patrzył i patrzył, i zapamiętywał wzory.

Były tam tajemne miejsca usytuowane blisko skóry, otwierające się jak wilgotne pęknięcie w ściślejszej mandarynce, były i takie z delikatnie obrzmiałymi krawędziami, cudowne jak brzoskwinie, niewidziany obraz zaprzatający wyobraźnię wszystkich ucz-niaków, były i okapturzone jak kobra, rozłożyste na gorze, ostrzegające przed każdym wtargnięciem, były i takie, które rozwierały się jak skrzydła orła, gotowe się wznieść, były i takie, które zwisały niczym indyjskie korale, domagając się ssących ust,

były i takie, które znajdowały się tak daleko z tyłu, że najłatwiej było się do nich dostać od pupy, były i takie, które znajdowały się tak śmiało z przodu, że wchodziło się w nie bez uginania kolan, były i bujnie porośnięte płataniną włosów niczym amazońskie lasy, i takie, których gładkość przywodziła na myśl pustynne piaski Sahary, były i takie z korzeniami sterczącymi niczym maszty, mięśnie ich słupów były grube pod dotykiem palców, i takie, których korzenie zwodziły nawet po wielu dniach poznawania, i były takie, które szeroko się rozwierały w ospałym oczekiwaniu, i takie, które pozostawały ciasno zawarte, domagając się natarczywości, były i takie, których głębi nie dawało się zbadać nawet najdłuższym palcem, i takie, których dno osiągał palec najkrótszy, były i takie, które z pożądania wciąż zalewały się łzami, i takie, które ledwie wilgotniały nawet wtedy, gdy zalewała je fala miłości, były i takie, które jawiły się jako zwykłe tubki, tunele ciała, prozaiczne w swoim celu, i takie, które były bazarem pełnym alejek, oszalamiającym subtelnościami, zdolnymi do roztaczania niekończącego się uroku, i była też niezapomniana, którą widział w zakazanych alejkach Kalkuty, niejedna, lecz dwie, ulokowane jedna obok drugiej, oddzielone ścianką ciała, każda gotowa do spenetrowania i każda inna w ciepło-wilgotnym objęciu.

Dla uczonego jak John było to największe odkrycie. Kiedy już wykochał je obie zupełnie i nawpatrywał się w nie długo, wiedział, że Bóg jest dobrym człowiekiem i wyśmienitym sensualistą, który życzy największych przyjemności swym puszczonej wolno stworzeniom.

Na podstawie swoich studiów John doszedł do wniosku, że żaden mężczyzna nigdy w pełni nie pozna kobiety, jeśli wcześniej nie zgłębi tajemnicy jej ciała. A w wyglądzie kobiety nic nie daje najmniejszej wskazówki co do działania jej ciała. Piękna kobieta, śmiała jak ladacznica, może w chwili szacowania stać się zimna jak ryba. Podczas gdy inna, płochliwa jak sarenka, doprowadzona nad krawędź, może stać się uosobieniem sił natury, tygrysią, której się nie odmawia jej kawału mięsa. Można znać kobietę przez całe jej życie, ale gdy się wejdzie na intymne przestrzenie, traci się całą posiadaną wiedzę. Za każdym razem trzeba zaczynać od nowa.

Każda kobieta była wyzwaniem, a on poznawał je z tym samym zachwytem, który nieodmiennie towarzyszył mu w wyprawach na obce lądy.

I nigdy nie przestał być zaskakiwany.

Miał tylko jedną zasadę podrywu. Szukał w twarzy swego rodzaju wabika. Gładkość skóry, piękno kształtów, pełnia ust, uwodzicielskie oczy. Jak mówił kompanom, którzy odwiedzali jego sklep, kiedy przestał już wyjeżdżać: Ciało nie ma znaczenia, liczy się tylko twarz. Kiedy kochasz się z kobietą, widzisz tylko jej twarz. Jeśli potrafi cię przytrzymać tylko jej widokiem, jest dobrze i nigdy nie będzie zbyt źle.

Młoda Emily była pobłogosławiona niesamowitym wabikiem w twarzy. W chwili gdy John ją zobaczył, silny dreszcz wstrząsnął jego duszą. I nie chodziło o to, że było tak, jakby wcześniej nie zaznał miłości. Wszyscy mężczyźni wiedzą, co to miłość, w chwili gdy wlewają się w głębię kobiety. Podobnie było w przypadku Johna: kochał przelotnie każdą kobietę, w którą wchodził, nawet najżałośniejszą przedstawicielkę swego gatunku. Ale ta była inna. Wezbrała w nim tęsknota, chęć opiekowania się i posiadania. Potrzeba zamknięcia jej w ramionach i uczynienia ośrodkiem jego świata. Chciał jej służyć, uwielbiać ją i rozweselać. To była miłość — lecz nie w chwili ekstazy, tylko znacznie wykraczająca poza stosunek cielesny.

Zdarza się, że mężczyźni zostają jakby rażeni gromem — w najdziwniejszy sposób, w jednym momencie, pod wpływem najbardziej fałszywego impulsu — i kurs ich życia zostaje zmieniony na zawsze.

Kiedy się w końcu pobrali, John przekonał się, że jego żona jest zupełnie nieświadoma własnego ciała, niezdolna do rozbudzenia w nim żaru. Bazując na swym rozległym doświadczeniu, cierpliwie starał się stworzyć mapę jej czułych miejsc. Naciskał i badał, całował i lizał, pieścił i ssał, obserwował i ważył — mozolnie szukając przycisków, które uruchomią jej organizm. Wiedział, że każde ciało ma swój szyfr, a zdeterminowany kochanek szybko go złamie. Nie zdawał sobie sprawy, że niektóre szyfry są tak poplątane, że po prostu nie można ich rozwikłać.

Poszedł dalej i spróbował afrodyzjaków. Zawsze miał szafeczkę z różnymi proszkami i eliksirami, przywiezionymi z podróży do Indii i na Daleki Wschód. Żeń-szeń i ząb tygrysa, tłuszcz warana, eliksiry z cayenne i goździków, pieprzu i czosnku, imbiru i lukrecji, gałka muskatołowa i szafran. Zaczął je stosować, nieśmiało i odważnie, pojedynczo i w kombinacjach, co tydzień i codziennie, wyczekując z niepokojem zapalającej iskry.

Ale ciało młodej Emily, po miesiącach jego ciężkiej pracy, przymilania się i karmienia, wciąż było całkowicie obojętne.

Oczywiście nie odcinała się od niego. Poddawała się rytuałom, ale pozostawała zupełnie niewrażliwa, nietknięta nawet śladowym pożądaniem.

Niemniej coś dziwnego i nieoczekiwanego zaczęło się dziać z ciałem Johna. Powoli coraz bardziej uzależniało się od nieczułego jak kłoda ciała żony. Nieświadoma tego Emily miała w sobie dokładny kod do pożądania Johna. Dotyk jej skóry, krzywizna wąskiej talii, piżmo sekretnych miejsc, sterczące do góry guziczki piersi, a nawet słodycz jej oddechu, zaczęły wprawiać wymagającego podróżnika w stan gorączki. Jadał na najbardziej egzotycznych ucztach świata, lecz tylko to jedno danie było doprawione tak doskonale, że zadowalało najpełniej jego podniebienie.

Budził się rano rozochocony i nawet po zaspokojeniu jego pożądanie nie mijało. Wieczorami był obrzmiały na długo przedtem, zanim przyszła do łóżka. Nie zaznał takiego pożądania od czasu, gdy był nastolatkiem. Przyłapywał się na tym, że podglądają w toalecie; odkrywał ją delikatnie, gdy spała, żeby się w nią wpatrywać. Czasami, kiedy stawała przy oknie, żeby zaciągnąć zasłony, padał na kolana i unosząc jej suknię, zagłębiał twarz w jej uda, omdlewając z pragnienia.

Ona wszystko to tolerowała, poddając mu się bez narzekania, ale też bez namiętności. Biblijne pouczenia klepane niestrudzenie przez jej matkę — o moralności i odpowiedzialności — uczyniły ją niezdolną zarówno do radości, jak i protestu.

A John, który miewał stosunki z hurysami o umiejętnościach akrobatek i jęczącymi pięknościami na wszystkich czterech kontynentach, wysiłał się, żeby zrozumieć elektryzującą naturę obojętności żony. Z czasem przestał nawet wypatrywać śladów jakiegokolwiek reakcji z jej strony, łącząc się z jej ciałem, jak i kiedy chciał, i uzależniając się od niej jeszcze bardziej.

Prawdy jego życia zanikały jedna po drugiej.

Zawsze utrzymywał, że pożądanie to ulica dwukierunkowa i nie da się łąknąć kogoś, w kim nie budzimy namiętności.

Zawsze czuł, że różnorodność zachowań seksualnych kobiety determinuje jej siłę przywabiania.

Zawsze wiedział, że sekretne miejsca kobiet i nieskończona krzywizna ziemi będą lejtmotywami jego życia do ostatniego dnia.

Zawsze wierzył, że każda kobieta, w którą się wejdzie, zostawia na duszy nieusuwalny znak.

Ale to wszystko uległo zmianie.

Aż do chwili ślubu potrafił przypomnieć sobie każdą kobietę, z którą obcował, jak również towarzyszący temu stopień podniecenia, ale teraz młoda Emily leżała obojętna, a on dostawał na jej punkcie coraz większej obsesji. Ręce i nogi, wypukłości, wilgotne wrota i piżmo setek kochanych kobiet zaczęły powoli blaknąć. W konsekwencji, nieubłagane, stracił ochotę na wędrówkę krzywiznami ziemi. Nie byłby w stanie znieść kilkumiesięcznej rozłąki z doprowadzającą go do szału pasywną żoną. By przeżyć każdy dzień, potrzebował podniety, jakiej dostarczało mu jej ciało.

Musiał skupić się na sklepie, by zbudować sobie świat zastępczy.

I próbując trzymać się tego, kim kiedyś był, zaczął — jak najwięksi ludzie jego czasów — spisywać wszystko, co widział i poznał. Ponieważ nigdy nie miał zbyt wielu klientów, siedział za mahoniowym kontuarem i pisał w wielkiej, szytej księdze przychodów i rozchodów — notował fakty i zdarzenia, zanim zatarły się w pamięci, nie wiedząc, dla kogo to robi, nie wiedząc, jakiemu celowi może to kiedyś posłużyć. Pisał niewprawnie, ale z głębi serca i pełni życia. A że nie spodziewał się, by ktokolwiek kiedykolwiek to czytał, pisał bez przekłamań i strachu.

Nie miał pojęcia, że słowa same osiągają cel już w chwili, gdy są spisywane. Nie miał pojęcia, że jest czytany równie szybko, jak pisze.

Catherine, która nie znosiła Prywatnej Szkoły Tańca, Kultury i Dobrych Manier Pani Mills, Catherine, która nie znosiła mulistych rynsztoków i przesiąkniętych wilgocią ulic Chicago, Catherine, która nie znosiła łachmaniarek włóczących się po okolicy i włoskich imigrantów agresywnie zachwalających owoce sprzedawane na każdym rogu, Catherine, która nie znosiła czerwonych irlandzkich policjantów o czerwonych twarzach i wrzeszczących niezmordowane nastoletnich czarnych gazeciarzy, Catherine, która nie znosiła zimna panującego w Chicago, przenikającego ją do kości i mrożącego duszę, Catherine, która nie znosiła eleganckich sklepów na State Street, sprzedających towary z Paryża i Londynu, schlebiających ludzkiej próżności, Catherine, która nie znosiła uganiających się po bulwarach wyfiokowanych pań w jedwabnych sukniach i z koronkowymi parasolkami kupionymi w Potter Palmer's Emporium, Catherine, która nie znosiła rodzinnych przejażdżek jednokonnym powozem w towarzystwie śniętej matki, Catherine, która nie znosiła wyjazdów na pikniki nad jezioro Michigan z afektowanym kuzynostwem, Catherine, która nie cierpiała odwiedzin u wuja ze strony matki na Calumet Avenue, z całym ich sentymentalizmem, Catherine, która czuła odrazę do przyjaciółek matki, usiłujących do-

stać się do klubu najmodniejszych i najbardziej prominentnych chicagowskich dam, Catherine, która nie znosiła śmietanki towarzyskiej Chicago, gdzie mężczyźni byli bogami, a kobiety jedynie dekoracyjnym dodatkiem — młoda znudzona-zła-sfrustrowana-pogardliwa Catherine znalazła w słowach ojca, Johna, pokarm dla swej duszy.

W miarę jak podróżnik z końskim ogonem pisał, młoda dziewczyna czytała. W chwili gdy zniknął za drzwiami, stała za kontuarem. Kiedy nie zostawało już nic do czytania, oglądała schowane obrazki. Pośród tajemniczych wabików sklepu Orientalne Osobliwości Johna, magicznego przyciągania ożywionych słów ojca i mrocznej, uwodzicielskiej siły erotycznych rysunków, sprawiającej, że miękły jej kolana, Catherine wyrosła na kobietę, dla której w Chicago nie było miejsca.

Jeśli Catherine miała w sobie coś z Emily, było to jedynie fizyczne piękno. Jej dusza i duch należały w pełni do Johna. Żalem nappełniał ją widok siwiejącego i słabnącego ojca w sklepie-imitacji. Kiedy miała siedemnaście lat, on skończył sześćdziesiąt, pił na umór, a jego nieodmiennie kaprawe oczy były wpatrzone gdzieś w dal. Czasami dawał się namówić do opowiadania historii, które wcześniej słyszała już wiele razy, ale zawsze przerywał w pół zdania, uciekając myślami do miejsca, gdzie przebywał w młodości i gdzie nigdy już nie wróci.

Rzadko, bardzo rzadko, przed pierwszym porannym drinkiem brał się w karby dla ślicznej córeczki i maszerował w tę i z powrotem po sklepie, potrząsając rachitycznym końskim ogonem; perorował o cudach wypełniających wnętrze, wskazywał je, unosił głowę w triumfalnym geście, wychwalał wspaniałości zadziwiającego świata. Ale te próby zainspirowania córki szybko się kończyły i po każdym takim rozpaczliwym pokazie zapadał w samotność i jeszcze głębsze milczenie.

Łamało to serce Catherine.

Dałaby wszystko, żeby zobaczyć go raz jeszcze ożywionego, pełnego energii, z jasno wyznaczonym celem.

Dałaby wszystko, żeby pobudzić go do podjęcia ostatniej podróży.

Emily — oziębły obiekt wielkiego uwielbienia — teraz dojrzała czterdziestolatka, zwracała się stopniowo ku religii. Z grupą podobnych kobiet założyła Biblijny Klub Zbawicielek Świata. Spotykały się codziennie i czytały na głos fragmenty Pisma Świętego. Zrobiły listę ludzi potrzebujących pomocy. Z jednymi się spotykały i nieproszone udzielały im rad, innym wysyłały odpowiednie cytaty z Biblii, które ręcznie przepisywały. Nie mogły też pominąć działalności charytatywnej. Armia Zbawienia zdążyła już zapuścić w Chicago solidne korzenie, więc panie z biblijnego klubu Emily pomagały w zbiórkach pieniędzy i rzeczy dla biedoty. Sporządzały długie i szczegółowe wykazy wszystkich dobrych uczynków — natury duchowej i materialnej — jakie kiedykolwiek spełniły.

Emily i jej przyjaciółki śpieszyły się. Chciały dostać się na wyżyny ziemskich cnót. Wierzyły w milenijną przepowiednię i apokalipsę. Koniec świata miał nastąpić za niespełna sto lat. Aktami dobroczynności i wiary pomagały, na swój mały sposób, odkupić rodzaj ludzki.

Catherine uważała matkę za zwariowaną fanatyczkę.

John powiedział: W Indiach nie przejmują się końcem świata. Wierzą, że świat jest swawolną iluzją stworzoną przez swawolnego boga. Będzie trwał wiecznie. Każde życie jest jak mecz. Czasem się wygrywa, czasem przegrywa, ale nigdy nie jest się wykluczonym z gry. Jeśli grasz dobrze, przejdiesz do pierwszej ligi, jeśli grasz kiepsko, spadniesz na dół tabeli. Od ciebie zależy, gdzie chcesz trenować i grać. Bóg nie jest ponurym sędzią i katem; to łagodny arbiter ustalający reguły i rejestrujący wyniki. A ty, jeśli masz ochotę, możesz nawet się z nim spierać i nie zgadzać. Sam sędzia, nawiasem mówiąc, też nie zawsze jest w porządku i potrafi naginać reguły.

Catherine zapytała: A co na to Biblijny Klub Zbawicielek Świata?

John powiedział: Ich zdaniem to bardzo niegodziwa idea Boga.

W czasie wolnym od zbawiania świata Emily gorliwie rozglądała się za mężem dla córki. Młody mężczyzna o chrześcijańskim sercu i z wielkim sklepem albo młody mężczyzna o chrześcijańskim sercu i z małym sklepem. Równie dobrze mogłaby planować wegetariański posiłek dla tygrysa. Catherine bowiem pogardzała wszystkimi, z wyjątkiem ojca, mężczyznami ze swego otoczenia — młodymi i starymi. Nie znosiła ich arogancji, ich próżności, ich czysto kupieckich dusz i ich odpychających ciał. Pociągali ją męż-

czyżni o gładkiej ciemnej skórze z prężącymi się pod nią ścięgnami, otoczeni aurą cichej prostolinijności, stanowiący mieszaninę pokory i buntu. Ale oni przypominali cienie: choć widywało się ich wszędzie, trudno było zagaić z nimi rozmowę albo po prostu się spotkać.

Z jednym się udało, ukradkowo, przelotnie, w kuchni. Jim, szczupły młody Murzyn, przychodził do nich dwa razy w tygodniu pielić i kopać ogród. Opowiadał historie o swym dzieciństwie w Alabamie. Otworzył jej ciało przeszywającym bólem i skończył, zanim ból mógł zmienić się w przyjemność. Drzwi na tylne podwórze stały otworem, na zewnątrz świeciło oślepiające słońce, a młody Jim uciekł, nim minął mu ostatni spazm. Silny zapach piżma pozostał.

Doszło do tego raz jeszcze, również w kuchni, rankiem, kiedy na zewnątrz świeciło oślepiające słońce. Pochyliła się nad stołem, z rozpaloną twarzą na gładkim cyprysowym drewnie, a Jim ponownie z niej wyskoczył, zanim ustał w nim ostatni, trudny do wytrzymania dreszcz. Silny zapach piżma pozostał, na podłodze widać było plamy.

Nigdy potem tego nie powtórzyła, ale też nigdy nie żałowała. Sam moment nic dla niej nie znaczył, lecz odczuwała przyjemność przedtem i potem, w oczekiwaniu i we wspomnieniu. Wiedziała — instynktownie i z lektur — że przyjemność z samego aktu nadejdzie z czasem wraz z innym mężczyzną.

Wiedziała też, że w Chicago nie znajdzie takiego mężczyzny.

Nie mówiąc o tym głośno, Catherine całe życie przygotowywała się do opuszczenia Chicago i nieświadomie chłoneła instrukcje w Orientalnych Osobliwościach Johna. Często miała wrażenie, że o mieście, gdzie spędziła wszystkie dni, dowiedziała się mniej niż o wspaniałych lądach, których magia omywała ją w sklepiku ojca. Wytworzyła w sobie rodzaj pokrewieństwa nawet z pływającymi w słojach węzami, jak ona tkwiącymi w ciasnej pułapce, często przyłapywała się na gładzeniu rogu nosorożca i pieszczaniu wiszących na ścianach jedwabistych skór tygrysich, serce zaś przepelniała jej niejasna tęsknota. Studiowała dziesiątki pergaminowych map, które John trzymał w tekturowej teczce, i planowała trasy podróży bezkresnymi szlakami wodnymi. A potem, kiedy matka zaczęła zapraszać na herbatę młodych mężczyzn, coraz częściej zwierzała się ojcu i szukała u niego drogi ucieczki.

John kochał wystarczająco zarówno życie, jak i córkę, by pozwolić jej odejść. Im bardziej stawał się niedołączny, tym mocniej przerażała go myśl o zostawieniu Catherine pod kuratelą



Emily. Zaczął spisywać listę przyjaciół, jakich miał na świecie, przekazywał dziewczynie swoją wiedzę o portach i szlakach morskich, statkach i opłatach, językach i kulturach, ubiorach i nawykach, moralności i obyczajach, kuchniach i walutach, religiach i rytuałach.

Pewnego ranka Emily urządziła spotkanie klubu biblijnego we własnym domu i zaprosiła na nie młodego człowieka, który pisał monografię zatytułowaną *Nauka apokalipsy i sztuka jej przetrwania*. Był bardzo uprzejmy, bardzo błady i mówił z ogromną elokwencją. Jego szerokie bokobrody trzęsły się z pasją, kiedy opisywał ryczące płomienie spalające świat. Wybuchną z samego środka ziemi i sięgną niebios, gwiazdy się spopiela, a słońce sześ-nie. Wtedy nastąpi Sąd Ostateczny i każdy człowiek będzie musiał zdać rachunek ze swego życia.

Kobiety słuchały z ponurymi twarzami i złożonymi dłońmi.

Powiedział z przekonaniem: Mężczyźni, którzy dopuścili się gwałtu wobec innych ludzi, mężczyźni, którzy pragnęli więcej, niż potrzebowali, mężczyźni, którzy odwrócili się plecami do Pana, i kobiety, które pozwoliły, żeby Belzebub zasiał w ich członkach grzeszne pożądanie — wszyscy oni będą się piekli w apokaliptycznym ogniu i nie doznają wytchnienia, jakie niesie śmierć. Po wieczność, po wieczność, po wieczność. Bez litości i ulaskawienia. Bez wczoraj i bez jutra.

Kilka kobiet, które do tej pory nie skrzyżowały jeszcze nóg, teraz to zrobiło.

Wieczorem Emily powiedziała mężowi i córce, że wybrała tego właśnie młodego człowieka. Następnego ranka John, poniechawszy pierwszego drinka, zaczął przygotowania do swojej ostatniej podróży. Kiedy Catherine przyszła do sklepu po południu, wszystko było już gotowe. Nazajutrz rano wyruszyli do Nowego Jorku. Emily nie zdawała sobie sprawy, że już nigdy nie zobaczy córki. Catherine z kolei była tego pewna, lecz bynajmniej nie cierpiała. Zawsze mieszkaly pod jednym dachem, ale były sobie zupełnie obce. Jedna przygotowywała się do życia, druga do apokalipsy. Ich drogi nigdzie się nie przecinały. Catherine usiłowała wzbudzić w sobie współczucie dla Emily, lecz na próżno. Dopiero w chwili śmierci, wiele lat później, wiele tysięcy kilometrów od domu, znalazła w sobie łzę dla matki.

Ale na tętniącym życiem nabrzeżu w Nowym Jorku, zapchanym emigrantami o pustych oczach, przywarła do ojca i rozplakała się jak dziecko. John nie miał już zębów, włosy mu się przerzedziły, skóra zwiotczała i poszarzała, ramiona miał słabe, lecz trzymał

ją z mocą większą niż kiedykolwiek w życiu. Czasami któreś z rodziców przekazuje dziecku kawałek swej duszy — to melancholijna więź, uporczywa tęsknota. Na nabrzeżu, żegnając się z córką, John poczuł nagle, że jego życie dobiegło końca. Nic nie ciągnęło go już do Chicago, nie wiedział, po co miałby się obudzić następnego ranka. Zdjął z szyi talizman — drewniany amulet ze świętym znakiem om, który pokonał malarię i odstraszał złe oko — i zawiesił na szyi córki.

On nie potrzebował już żadnej ochrony, ona miała jej stanowczo za mało.

Catherine, płacząc jak dziecko, żywiła nadzieję, że ojciec choć raz poprosi ją, by nie wyjeżdżała, a wtedy ona porzuci myśl o ucieczce i wróci w ciepłe objęcia jego cienia.

Przez tygodnie na kołyszącym się pokładzie napełniała ocean solą swego żalu.

Londyn nie pobudził Catherine.

Przyjaciół ojca, pan Salisbury, był stary, nie miał jednego oka i nosił czarną przepaskę. Prowadził świetnie prosperujący antykwariat i lombard na Bond Street, znacznie się różniące od Orientalnych Osobliwości Johna. Sprzedawał świecidełka — niektóre niesamowicie drogie — wydobyte z bajecznych i rojnych arystokratycznych domów Indii. Większość pochodziła z szabru i kradzieży, dokonywanych przez awanturników, najemników, pracowników kompanii, żołnierzy i urzędników administracji brytyjskiej, adiutantów i sekretarzy, służących z książęcych domów, jak również przez żony i kochanki maharadzów i książąt. Inne błyskotki sprzedali sami członkowie rodziny królewskiej, którzy robili wszystko, by zachować rozrzutny styl życia mimo grabieży dokonywanej przez chciwych Brytyjczyków i moralnego nacisku ze strony patriotycznie rozbudzonych rodaków.

Były tam srebrne i złote tace, szkło, perskie dywany, kryształowe żyrandole i lampy, marmurowe szachy, miniatury ze szkół mogolskiej i kangryjskiej, jedwabne arrasy z królewskimi monogramami, jadeitowe poidła dla ptaków, nargile inkrustowane złotem, sztylety wysadzone brylantami, fotele o tygrysich nogach i poręczach z węży, marmurowe stoliki do kawy intarsjowane lazurytem, koronkowo rzeźbione szkatułki na biżuterię, kije do polo noszące słynne imiona, kabiny kąpielowe tak wielkie, że kobieta i mężczyz-

na mogli się w nich swobodnie obracać, serwisy do herbaty tak misterne, że stworzenie ich zajęło rzemieślnikom całe lata, ręcznie wykonane pistolety i muszkiety, marmurowe i brązowe popiersia królów i książąt o długich nosach, bokobrodach i w turbanach, kunsztownej roboty sztucce ze złota i srebra, a także wysadzane szmaragdami i rubinami bibeloty, jak laski, miecze, karafki, papierośnice, popielniczki, spluwaczki, lustra, szczotki do włosów, dzwonki świątynne, siodła, bidety. Był tam też wielki sztuczny penis z polerowanego cejlońskiego mahoni, zamówiony zgodnie ze zwyczajem przez starzejącego się księcia Karimthali, by zaspokajał jego czeską kochankę. Sprzedała go, kiedy została wygnana. Było to dzieło sztuki o znakomitej linii. Właściciel antykwariatu kazał je umyć i pokryć nową warstwą lakieru.

Pan Salisbury brał udział w ekspedycjach najemników na tereny przygraniczne, gdzie stracił oko, trafiony ze śrutówki przez jakiegoś członka plemienia. Ratunek i wyleczenie zawdzięczał Johnowi, a że więzi zacieśnione na polu bitwy są silniejsze od wszelkich innych, teraz był zdeterminowany pomóc córce przyjaciela. Jednak Catherine stanowiła dla niego zagadkę. Nie potrafił się domyślić, po co przybyła do Londynu i co chciała robić. Zadawała mu jedynie niezliczone pytania o Indie i indyjskie przedmioty wypełniające jego sklep. Doszedł ostatecznie do wniosku, że jest taka sama jak jej ojciec o orlim nosie, niezwykły Amerykanin, który interesował się tym wszystkim, co znajdowało się za oceanem.

Najmłodsza córka pana Salisbury'ego, Florrie, zorganizowała dla Catherine wycieczkę po Londynie. Zwiedziły Salon Madame Tussaud, British Museum, opactwo westminsterskie, Tower, pałac Buckingham, Kew Gardens, Trafalgar Square. Często towarzyszył im kochanek Florrie, blady, chudy młodzieniec uczący się na inżyniera mechanika. Pośród zabytków oboje wynajdywali zakamarki, by ćwiczyć się w uprawianiu miłości. Catherine wkrótce zaczęły irytować ich wiecznie zaczerwienione twarze i ciągłe wypatrywanie szerokich kolumn i ciemnych zakątków. Podczas każdej wycieczki pozostawali z tyłu za innymi, żeby całować się i obściskować. W przerwach blady chłopak opowiadał im fantastyczne historie o machinach latających, które w niedalekiej przyszłości pomogą człowiekowi wznieść się w przestworze, a nawet przelecieć przez Atlantyk. Catherine zastanawiała się, co też mężczyźni mogą wygadywać, byle zyskać przychylność.

Podobnie jak tą karykaturą namiętności, młoda Amerykanka szybko znudziła się nieskończonymi świadectwami wspaniałości imperium i jego militarnej potęgi. Posągi, pomniki, deklaracje.

Czy wszyscy mężczyźni są wszędzie tacy sami? Lawirujący pomiędzy arogancją a apokalipsą?

Żeby rozproszyć ponury nastrój Catherine, Florrie zabrała ją do Brighton. Jednak wycieczka się nie udała. Przyjechały, gdy świeciło słońce, a plaża była pełna lowelasów, ale bardzo szybko się rozpadało i lało przez dwa dni. W hotelu Metropole miały się hałaśliwe rodziny: dorośli czytali na głos gazety i grali w słówka, podczas gdy rozwrzeszczane dzieci biegały po korytarzach w tę i z powrotem jak demony z piekła rodem.

Przez wszystkie trzy wieczory obie były zaczepiane przez próbujących flirtować młodych mężczyzn, ale Catherine odstręczała ich bladą karnacją i tanie awanse. Florrie — spragniona odrobiny rozrywki — musiała cierpieć razem z nią.

Po powrocie opowiedziała ojcu o rozczarowaniu Catherine. Pan Salisbury postanowił wzmóc wysiłki — w końcu zawdzięczał Johnowi życie. Każdego dnia przeglądał starannie „Timesa” i informował córkę przyjaciela o najciekawszych wydarzeniach w mieście: sztukach, operach, wykładach, odczytach. Zabrał ją do Ascott, żeby zobaczyła wyścigi. Wysłał do Oksfordu i Cambridge, gdzie chodziła po ulicach wybrukowanych kocimi łbami i usiłowała wczuć się w gęstą atmosferę wielkiej nauki i jeszcze większych przywilejów.

Catherine nie dostrzegła w tym wszystkim ośrodka cywilizowanego świata, sztuki i wiedzy, dokonań i wyrafinowania. W jej oczach królowały tu snobizm, podział klasowy, pretensje i afekta-cja. Mięso wyczyszczone tuż pod skórą oświecenia. Głupi akcent i jeszcze głupsze kapelusze.

W zasadzie było tu tak samo jak w Chicago, tylko rozwarstwienie wydawało się bardziej stylowe i przestrzegano go z większą pewnością siebie. Tu napłynęło to z Indii znajdujących się pod pełną kontrolą imperium. W jej ojczyźnie wynikało z obecności czarnych cieni na ulicach.

Człowiek będzie takim — konkludowała — jakim go stworzą w ucisku.

Po trzech miesiącach była gotowa do wyjazdu. Nie tu przecież miał być kres jej podróży. John do niej napisał, podobnie jak Emily. Długi list od matki składał się z wielu stron wypełnionych nieprzerwanym lamentem. Zawierał słowa o miłości, lojalności, pobożności, obowiązku i wdzięczności. Ubolewając nad zdradą Catherine, Emily uznawała córkę za swą życiową porażkę. Pisała, że jedno stało się jasne: ziarno krnąbrności posiane przez ojca zagłuszyło szlachetne intencje matki. Wylizwała skrupulatnie i szczegółowo wszelkie swoje wysiłki zmierzające do ukształtowania córki od czasu, gdy

ta była jeszcze niemowlęciem. Całą winą obarczała Johna i jego sklep z osobliwościami. Nie powinna była nigdy pozwolić Catherine spędzać tak dużo czasu w tym piekielnym przybytku, z jego przedmiotami kultu wudu, wężami i skórami, proszkami i pastami, z jego seksualnym rogiem. Jej tragedią było to, że córka dała się zauroczyć nikczemnym życiem. Kiedy więc nadejdzie apokalipsa, matka będzie się smażyć po wieczność za grzechy córki. Cały list przeplatały sążniste cytaty z Biblii, przepisane słowo w słowo.

Kończył się tak: Twoja skazana na potępienie matka ze złamanym sercem, Emily.

Catherine pobieżnie go przeczytała i odłożyła. Nie było w nim niczego dla niej.

John zappełnił jedną stronę. Pisał, że podróż powrotna do Chicago była najdłuższą wyprawą w jego życiu. Donosił, że kiedy Emily dowiedziała się prawdy o jej wyjeździe, lamentowała i szlochała tak głośno i tak długo, że po raz pierwszy spał przez dwie noce w sklepie. Jednak sklep przestał już być miejscem, gdzie panuje szczęście. Nagle jakby stracił duszę. Ale nie wolno jej się martwić ani też oglądać za siebie. Musi pamiętać, że nikt nie jest pewny, czy czeka go następny dzień. Że każdy z nas ma wobec świata jeden moralny obowiązek: przeżyć życie najpełniej.

To samo dotyczy zarówno ludzi mądrych, jak i głupich, nie wyłączając Emily.

Żeby znaleźć swoją drogę w świecie, trzeba patrzeć naprzód. Na każdego czeka jakaś droga i miejsce ostatniego spoczynku. Musi chwycić szczęście, kiedy się jej trafi, musi korzystać z przyjemności, jakie tylko zdoła znaleźć, musi iść tam, gdzie nakazuje jej serce.

Miłość i pożądanie.

John pisał: Każdy rodzaj pożądania i wszystkie rodzaje miłości są dobre i uzasadnione. Nie musisz pożądać albo kochać przez sto lat, żeby uznać te uczucia za prawdziwe. Miłość w przelotnym momencie, krótkie pożądanie są tak samo prawdziwe i słuszne jak te trwające lat siedemdziesiąt. I nie daj sobie wmówić, że jest inaczej. W chwili gdy kosztujesz miłości lub pożądania, kosztujesz boskości. W moim życiu doznawałem wielu błogosławieństw, raz po raz, i tego tylko pragnę też dla Ciebie, Córeczko. Apokalipsa nie nadejdzie albo i nadejdzie, ale zanim to nastąpi, powinni-

śmy mieć tutaj, na ziemi, nasz raj. A dostaną się do niego tylko ci, którzy mają dar pożądania i dar miłości. Twoja matka ma połowę jednego. Może Ty będziesz miała oba w pełni. Może to będzie Twoje dziedzictwo po ojcu.

Kończył: Twój kochający ojciec, którego duch jest z Tobą ramię w ramię.

To był pierwszy list, jaki John do niej napisał. Nagle Catherine zdała sobie sprawę, że ojciec przenigdy nie mówił do niej w taki sposób. Jej wiedza o wylewnej naturze wolnego ducha Johna pochodziła jedynie z opowieści o podróżach i potajemnej lektury jego wspomnień. Przez większość życia obojga, kiedy John musiał z nią rozmawiać, to albo relacjonował jej szalone przygody, albo robił z siebie kompletnego głupka.

Przeczytała jego list trzy razy, powoli. Siedziała całymi godzinami, trzymając go na kolanach i wyglądając z okna na pierwszym piętrze na mżące deszczem szare londyńskie niebo. I postanowiła wyjechać.

Na każdego czeka jakaś droga i miejsce ostatniego spoczynku.

\*

Paryż ją pochwyił.

Panowała w nim libertyńska anarchia, szalenie pociągająca. Snobizm dotyczył tu w mniejszym stopniu zamożności i stanowisk, w większym zaś ekscentryczności i sztuki. I atmosfera — gdziekolwiek się poszło — była gęsta od pożądania, konsumpcji i żądzy życia. Dzięki Bogu, Catherine pozbyła się oka przyzwoitki i ramienia przyjaciela ojca. Przepłynęła Kanał, mając wrażenie lekkości; ciężki bagaż, kufry i skrzynie, zostawiła za sobą i zjawiła się tu jedynie z dwoma dużymi walizkami.

Wybranek Florrie, który wkładał jej ręce pod sukienkę, kiedy opowiadał o latających machinach, przekazał Catherine przyjacielowi wynajmującemu pokój w pobliżu Montparnasse'u. Przyjaciel okazał się bogatym dandysem. Jego ojciec dorobił się fortuny na agresywnym handlu w Afryce, a potem zadławił się kością w londyńskiej restauracji, podczas gdy współbiedniacy hałaśliwie pili i śmiali się wokół niego. Kiedy w końcu ktoś z nich o coś go zapytał, wyzyskiwacz setek plemion nie żył już od jakiegoś czasu i wyglądał na całkiem spokojnego. Młodemu Rudyardowi zostało jedynie obmyślenie sposobów wykorzystania majątku. Wziął się do tego z poczuciem celu. Kiedy Londyn przestał mieć dla niego jaki-

kolwiek urok, przeniósł się do Paryża. To miasto mogło zaspokoić apetyt Rudyarda na hedonizm. I była to doskonała baza do robienia oszałamiających wypadów w poszukiwaniu przyjemności. Do Hiszpanii, Włoch i na Riwierę.

Gdy Catherine zjawiała się w jego mieszkaniu, Rudyard udawał się właśnie na jedną z takich eskapad. Wybierał się z siedmioosobową grupą — czterech mężczyzn i trzech kobiet — która czekała już w jego salonie, gotowa do wyjazdu. Powitali ją lekko drwiącymi uśmiezkami. Ona z kolei poczuła się niezręcznie. Wyglądali bowiem, jakby w każdej chwili mogli zacząć pić i uprawiać seks. Rudyard zachowywał się uprzejmie i prawił komplementy. Powiedział, że na jej widok ma ochotę zmienić plany i zostać w mieście. Trzymał ją mocno za łokieć i zaprowadził do jej pokoju. I nagle wszyscy wybiegli w podnieceniu, z bagażami, pośród gwizdów, a w mieszkaniu zapanowała upiorna cisza.

Jej pokój był przestronny, miał atlasowe zasłony i olejne portrety arystokratów na ścianach. Rama łóżka okazała się mosiężna i nienaturalnie wysoka — kiedy z niego schodziła, musiała wykonać niewielki zeskok. Był tam też balkonik z balustradą z kutego żelaza, skąd roztaczał się widok na gwarną ulicę poniżej. W łazience czekała ją niespodzianka, bo nigdy wcześniej nie widziała bidetu, ale w jednej chwili poznała jego boskie możliwości.

W mieszkaniu stało mnóstwo ciężkich mebli. Wielka drewniana komoda, zwalisty komplet do salonu, zdobione fotele, ogromny fortepian i olbrzymie obrazy w złożonych ramach, które musiały kosztować fortunę. Wszystko to robiło wrażenie zwykłego zagracenia, nic nie nosiło śladu osobistego zaangażowania. Jedynie przy wejściu do sypialni Rudyarda widać było znak indywidualnego gustu — afrykańską maskę o grubych ustach, zębach wielkich i szerokich, małżowinach usznych długich jak ołówki.

Zostawiona samej sobie Catherine robiła dokładnie to, do czego zmuszał ją londyński gospodarz: zwiedzała. Pałace i pomniki szybko ją znudziły, ale Notre-Dame i wieża Eiffla zaskarbiły sobie jej uwagę. Obie fascynowały skalą i szczególną szpetotą. Siedziała przed nimi godzinami, usiłując zrozumieć neurotyczne dążenie do wyniosłości i kształty, jakie może ono przybrać. Ale całkowicie wykończył ją Luwr, odciągając na dobre od turystycznych szlaków. Nim skończyła oglądać czwarte z kolei skrzydło, zapadł zmierzch, a ona sama jesz-

cze nigdy w życiu nie czuła się taka zmęczona. Wszystko, co widziała, zlewało się jej w głowie w jeden wielki bałagan, greckie i rzymskie posągi, obrazy z okresu renesansu i reformacji, nawet niepewny uśmiech Giocondy, do którego wlokła się długimi korytarzami, by zobaczyć mały, niewart zapamiętania obrazek.

Kiedy wydostała się wreszcie na czworokątny dziedziniec, światło dnia przygasało, a przestrzeń wypełniali ludzie dochodzący do siebie po estetycznych doznaniach. Większość wyglądała tak, jakby chciała się położyć i umrzeć. Niektóre dzieci płakały nawet ze zmęczenia i głodu. Wśród otaczających ją dziesiątków osób nie udało się jej wypatrzeć choćby jednej szczęśliwej albo ożywionej twarzy. Catherine pomyślała: Jakim obciążeniem jest wysoka kultura. Jakiej wymaga ceny.

Tego wieczoru, po gorącej kąpieli, stała na balkonie i patrzyła na przelewające się w dole tłumy. Dziwne syczące spółgłoski i cała gama perfum docierały do niej na górę razem z dreszczem seksualnej energii. To był Paryż, którego częścią powinna się stać. Siedząc na grzędzie ponad nimi, poczuła, że kiedy tak patrzy na głowy śpieszących się w dole par, widzi spotkania, do których tam dochodzi, i narastające oczekiwanie. Widziała je w słowach, jakich ojciec używał, zapelniając księgę przychodów i rozchodów. Widziała je w pozach z druków schowanych w sklepie, bezwstydnym i akrobatycznym. Widziała je w rozgorączkowaniu młodego Jima, biorącego ją od tyłu, ogarniętego drżeniem.

Tak bardzo się podnieciła, oddychając perfumami i seksualnością, odsiewając je na sicie swej pamięci, że musiała wrócić do środka, usiąść na bidecie i pozwolić wodzie płynąć, aż wymyje z niej całe napięcie.

Rudyard i jego kompani wrócili następnego ranka. Catherine nadal leniuchowała w łóżku, marząc, by ból wywołany Luwrem wysączył się z jej ciała. Ich natarczywe głosy, którym wtórował głośny śmiech, rozbiły ciszę panującą w mieszkaniu. Niebawem rozległo się pukanie do drzwi Catherine. Odpowiedziała i Rudyard wszedł do środka. Jego złote włosy przedzielone pośrodku opadały po obu stronach twarzy. Nie miał marynarki, kciuki zatknął za czarne szelki. Biała wykrochmalona koszula częściowo wystawała mu ze spodni. Był w apogeum uwodzicielskości, oparł się w wystudiowany sposób o ścianę i zaczął sypać komplementami.



Wieczorem zabrał ją na obiad do restauracji o nazwie Le Chat Blanc przy rue d'Odessa niedaleko Gare Montparnasse. Powiedział jej, że zawsze pełno tam mających-wkrótce-zdobyc-sławę malarzy i pisarzy. Usiedli na dole w rogu. Salę wypełniał elektryzujący gwar rozmów i pobrzękiwanie kieliszków. Rudyard poradził, żeby nie spuszczała wzroku z drewnianych schodów w odległym końcu — bardzo często można zobaczyć schodzących po nich znanych ludzi. Catherine nic te sławne nazwiska nie mówiły i nie miała zamiaru się tym przejmować. Rudyard podał jej listę win o łamiących język nazwach, z których żadna nic dla niej nie znaczyła. A potem zaczęli pić. Najpierw szampana, potem wino. Bardzo szybko poczuła się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. On opowiadał jej szalone historie o dniach spędzonych w Paryżu i co kilka minut przerywał, żeby zachwycać się jej oszałamiającą urodą.

Nie zamówili ani nie zjedli obiadu. Rudyard delikatnie pieścił jej prawą dłoń, wychylając się do przodu, żeby Catherine mogła go usłyszeć w narastającym hałasie. Ona zaś rozkoszowała się chwilą. Czowała zapach wody kolońskiej, którą wtarł w policzki, i jego zabarwiony winem oddech na skórze. Był tak blisko, że widziała czarne punkciki na gładko wygolonym podbródku. Usta miał wilgotne i cieliste. I nagle, bez uprzedzenia, zaczęła go całować. Trwało to długi czas; czuła zawrót głowy, gdy dotykał wargami jej ust i próbował wpychać język między zęby.

Jego dotyk i wino sprawiły, że zapomniała, gdzie jest i że otaczają ich ludzie. Siedzieli tam we dwoje, zwarci ustami, z dłońmi wciąż leżącymi na blacie stolika.

Musiał ją mocno podtrzymywać, gdy wychodzili z restauracji. W kabriolecie, który wiozł ich z powrotem, ujął jej twarz w dłonie i wprawnymi ustami przedłużał pieszczoty. Kiedy niosąc ją na rękach, mijał afrykańską maskę, Catherine wpatrywała się w nią i zastanawiała, jak by odczuwała pocałunki takich grubych warg. Położył ją na łóżku i pewnym ruchem odkrył wszystkie jej sekrety. Pozwalała mu błądzić, gdzie chciał. Dużo czasu spędził przy sutkach, zafascynowany ich grubością. Kiedy znalazł znamię pomiędzy piersiami, powiedział, że to jednoznaczna wskazówka, iż jej życie będzie podporządkowane sercu, a nie umysłowi.

Catherine pozostawała przez cały czas baczną obserwatorką, choć równocześnie z entuzjazmem brała we wszystkim udział. Nie było tak źle, ale jedynym godnym zapamiętania wydarzeniem, którego wspomnienie zawsze będzie budziło w niej gwałtowny przypływ uczuć, był pierwszy pocałunek w Le Chat Blanc. Uderzające do głowy wino i wprawne usta.

Rankiem wziął ją ponownie. W sposób bardziej niedbały, wchodząc w nią z boku, bo spała zwinięta w kłębek. Nie przeszkadzało jej to: łatwo będzie mogła o tym zapomnieć. Kiedy skończył, uniósł jej włosy i całował ją po karku.

Następne dwanaście miesięcy było oszalamiającym ciągiem hulanek. Poszła na całość, stając się integralną częścią uganiania się za doznaniem świty Rudyarda. Jedyne pytanie, na które musiała odpowiadać każdego dnia, brzmiało: gdzie i jak kosztować przyjemności? Co wieczór nowe restauracje, ogromne ilości wina, wypijane i rozlewane, odkrywanie kobiet jednej nocy, śmiały, oryginalne pomysły, poddawane i realizowane.

Antoine wypił dzban caberneta, nie odrywając go od ust i nie robiąc przerwy na złapanie oddechu; trzeba go było potem ratować uciskaniem klatki piersiowej i brzucha. Marie zadarła do góry obszerną suknię i sikała głośno na środku boulevard Saint-Germain. Hrabia Vladimir usiłował jechać konno bez siodła, zespolony fizycznie z Anne, i niemal stracił organ, kiedy doszło do upadku. Wychodząc z jednej z knajp, której nigdy już potem nie odwiedzili, Catherine uniosła tylną część sukni i pokazała zgorszonej klienteli opięte białe majtki do kolan. Pewnej nocy w restauracji Rudyard popisał się — co wzięwszy pod uwagę ilość wina, jaką w siebie wlał, graniczyło z cudem — wolnym spacerem między stolikami z rozpiętym rozporkiem, z którego sterczała jego męskość w stanie silnej erekcji.

To właśnie takie zachowania, bardziej niż pieniądze, czyniły z niego przywódcę grupy.

Seks był podłożem wszystkiego. Każdego wypadu, każdego wysiłku, każdego zamieszania. I kończyła się nim każda noc. Rudyard żywiołowo przewodził paczce przyjaciół i brał, kogo chciał. Catherine to nie przeszkadzało. Bardzo go polubiła. Miał w sobie urok, wspaniałomyślność i ciepło, i szczerść kogoś, kto dostał od życia wszystko i korzystał wyłącznie z jego uroków. Rudyard i ona czerpali od siebie nawzajem rozkosz na nienaturalnie wysokim łóżku w jej pokoju albo na nienaturalnie wielkim łożu w jego sypialni, lecz Catherine wiedziała, kiedy przystopować. Była w pełni świadoma, że jest dla niego jedynie kolejną uroczą rozrywką. A on był dla niej cudownym przewodnikiem po nowych obszarach życia i niestrudzonym handlarzem ciekawostek.

Świetnie się z nim bawiła, ale w rzeczywistości bardzo często doznawała satysfakcji nie w łóżku, tylko na bidecie, bawiąc się wspomnieniami.

Z Rudyardem — a w swoim czasie z Antoine'em i hrabią Vladi-

mirem — poznała mechanizmy działania własnego ciała. Co je ożywiało, co rozpalało, co zatrzymywało w pół drogi. Przytrafiały się jej także flirty z innymi, po północy, w oszołomieniu alkoholem i w chwilach śmiałości, powierzchowne, eksperymentalne, skarbnice doświadczeń. Zapisy z księgi rejestrów ojca i naturalistyczne obrazki dobrze ją przygotowały, wyrobiły w niej własny stosunek do tych spraw. Ewangelia ojca Johna brzmiała jasno: musimy korzystać z przyjemności, jakie tylko zdołamy znaleźć.

Miłość i pożądanie. Kwestionować je to kwestionować życie.

W jeden z weekendów przyjechał do Paryża tyczkowaty oblubieniec Florrie, żeby spędzić trochę czasu z przyjacielem. W drodze powrotnej z nocnej hulanki, w taksówce, zaczął jej opowiadać o latających machinach, a ona, upojona alkoholem, chętna, by sprawić mu przyjemność, chwyciła go za głowę i wcisnęła ją między swoje nogi. Następnego ranka chłopak obudził się w sentymentalnym nastroju i próbował z nią romansować, ale ona była już nim znudzona. Widząc jego cienkie usta i poważny wyraz twarzy, zastanawiała się, po co w ogóle zawracała sobie głowę robieniem mu przyjemności. Kiedy później wspomniała o tym Rudyardowi, stał się wylewny i oświadczył: Nigdy nikomu nie powinnaś tego żałować — wszyscy mają tego znacznie mniej, niżby chcieli.

Sam był zaprzeczeniem twierdzenia, które wygłosił. Niewątpliwie miał tego aż za dużo, za dużo wszystkiego. Z czasem Catherine też spróbowała wszystkiego: paliła opium, jadła haszysz, odwiedzała najślynniejsze kurtyzany. Na rue Sainte-Cécile patrzyła, jak hrabiego Vladimira obłapiają dwie Włoszki, siostry Maria i Rachela, czarnowłose i czarnookie, o pośladkach jak z polerowanego marmuru. Rudyard obiecał im podwójną stawkę, jeśli skończą z przyjacielem w dziesięć minut. Młody hrabia — emigrant z Rosji — dzielnie starał się powstrzymać, lecz zaczął jęczeć z ulgi przed upływem wyznaczonego czasu.

Na boulevard Haussmann widziała Lucie Krauss o piersiach jak balony, spółkującą z takim zapamiętaniem z czarną jak heban Céline Pearl, że cała ich hałaśliwa gromadka zamarła w milczeniu z powodu seksualnego napięcia.

W tamtym czasie Paryż niczego nikomu nie odmawiał. Na rue d'Antin Catherine była świadkiem najświeższej sensacji, przybyłej z Algierii piętnastoletniej brunetki imieniem Jeanne, której błona

dziewicza nadal była przedmiotem aukcji. Dziewczyna pokazywała swe wdzięki tak szczodrze, że widzowie nie potrafili spokojnie ustać. Pocierała palcami swą maleńką łechtaczkę, by drząc gwałtownie, osiągnąć apogeum. Każdego dnia mężczyźni, patrząc na nią, dostawali paroksyzmów. Rudyard postawił pewną sumę i usłyszał, że zostanie powiadomiony po zamknięciu aukcji.

Ale najśmielszą osobą, jaką Catherine widziała, była czarnooka diva Marguerite de Barras z Katalonii, na rue Notre-Dame de Lorette. Miała piersi sterczące ku niebu i pośladki, o których się mówiło, że wydoi nimi najbardziej niewrażliwego mężczyznę, w ogóle nie poruszając torsem. Jej dom wypełniały zwierzęta i egzotyczne ptaki — żółtoskrzydła ara, kakadu, paw, sokół myśliwski, szczebioczące papużki faliste, para złotych wilg i węzojad czubaty. Były tam psy, koty, wiwery, lisy, małpy, jeżozwierz, a nawet mały leniwiec. Wiele z nich trzymała w klatkach, inne snuły się po okrato-wanych pomieszczeniach. Smród wypełniał cały dom i kiedy się tam wchodziło, człowiek odruchowo się cofał. Zajmowała pokój w najdalszym kącie wschodniego skrzydła i dla wygody klientów zostawiała otwarte okno.

Była droga, bo miała wiele gąb do wykarmienia. Ale jej umiejętności należały do unikatowych w Paryżu. Olśniewająco piękna, robiła wszystko, o czym śniła chimeryczna wyobraźnia mężczyzny — często włączając w to swą menażerię, ażeby zadowolić prawdziwych zboczeńców. Kiedy szedłeś do Marguerite, spodziewałeś się zaspokojenia najmroczniejszych pragnień, jakie kiedykolwiek przysły ci do głowy. Seks po jakimś czasie jest jedyną nowością. Nie było wspanialszej kobiety dla mężczyzny od Marguerite. Mówiło się o podstarzałym radzy z zachodnich Indii, któremu dała tyle szczęścia, że obsypał ją deszczem rubinów i szmaragdów i obiecał przywieźć jej tresowanego geparda.

Catherine widziała ją robiącą rzeczy, jakich nigdy potem już nigdzie nie oglądała.

Na swój sposób to nawet dobrze, że Marguerite i jej ekstremalne popisy stały się kroplą przepelniającą puchar. Miesiące conoc-nego nadużywania zmysłów zaczęły dawać o sobie znać. Ciekawość została zaspokojona, ostrze odkryć tępało. Myśl o kolejnej nocy spędzonej na włóczędzie po barach i burdelach, o kolejnych zwariowanych ekscesach, wywoływała większą nudę niż podniecenie, a poddawanie się raz jeszcze dotykowi bladokórego mężczyzny nie budziło ani pożądania, ani nie dawało przyjemności — myśl o kolejnej nocy w poszukiwaniu desperackiej zabawy zaczęła działać przygnębiająco.

Catherine doszła do punktu, w którym pojęła coś ważnego. Bez smarowidła w postaci miłości nie da się ciągle pożądać tej samej osoby. Nieważne, jak wspaniała byłaby z nią rozkosz. Miłość jest uzupełnieniem smaru w maszynierii pożądania. Jeśli nie istnieje, trzeba iść do przodu, zanim nieoliwiona maszyna stanie ze zgrzytem i łoskotem.

John, ojciec, poznał tę prawdę intuicyjnie. Nie przestawał się przemieszczać, od osoby do osoby, od pożądania do pożądania, nigdy nie ociągając się na tyle, by zacząć potrzebować smaru miłości. Aż znalazł Emily, a w niej zarówno miłość, jak i pożądanie. I stracił potrzebę nieustannego wędrowania.

Catherine zrozumiała to, kiedy bidet zaczął sprawiać jej większą przyjemność niż mężczyźni, z którymi spała.

Pożądanie to coś cudownie rozwiążłego, ale kiedy wpada w pułapkę monogamii, nie może przetrwać bez miłości.

Przez zamroczenie wywołane zawrotnym nurzaniem się w przyjemnościach zaczynało do Rudyarda docierać, że Catherine powoli wyslizguje się z jego orbity. Często przyłapywała go na tym, że intensywnie się w nią wpatruje, studiując stopień jej zaangażowania w ostatnie wygłupy i radości. Rosnący brak zainteresowania stał się ewidentny i wkrótce zaczęła się wycofywać z niektórych nocnych eskapad. Początkowo Rudyard drażnił się z nią i zasypywał ją homiliami o hedonizmie: jedno życie, wykorzystaj jak najlepiej to, co posiadasz, nikt jeszcze nie widział jutra, nikt nie wrócił z opowieścią o życiu po śmierci, wszystko się kończy wraz z końcem, ciało jest świątynią, fallus jest kapłanem, vagina jest ołtarzem, orgazm jest bogiem.

Catherine chciała go poinformować, że świątynia i kapłan nie prowadzą jej już do boga.

Ale zatrzymała to dla siebie, pozwalając mu perorować. I wtedy, nagle, w nastawieniu Rudyarda nastąpił niespodziewany zwrot. Młody Anglik jakby dostał reprimendę, zwolnił. Szaleńcze eskapady do burdeli i barów ustały, cała kompania odkryła przyjemności płynące z nieśpiesznego biesiadowania. Rozmowy zaczęły przekraczać granice pożądliwości.

Catherine odkryła, że hrabia Vladimir — niski chudzielec, którego bez przerwy zmuszano do robienia z siebie widowiska z kurwami — był skarbnicą wiedzy o sztuce i literaturze. Znał dogłębnie

twórczość rosyjskich, francuskich i angielskich pisarzy, opisywał ich i rozróżniał. Świetnie rozumiał, w jaki sposób impresjoniści zmienili funkcję płócien. Pewnego wieczoru w Le Chat Blanc wskazał gestem samotnego, poważnego mężczyznę, posilającego się niezwykle dystyngowanie przy narożnym stoliku, i powiedział jej, że to młody angielski powieściopisarz, który wcześniej zaczął się zmagać z pisarską niemocą. Dodał, że przyjechał do Paryża, żeby jakoś ją przełamać, i je tutaj niemal każdego wieczoru. Nazywał się Maugham.

Innym razem pokazał jej z podnieceniem krępego mężczyznę o promiennej twarzy i niesłychanej energii, zasiadającego przy jednym ze stolików pośrodku hałaśliwego towarzystwa złożonego z pięknych kobiet i agresywnych mężczyzn. Hrabia poprosił, by wszyscy dobrze mu się przyjrzeni. Powiedział, że ten człowiek to tykająca bomba. Już zaczynał skopywać tyłek światu starej sztuki — choć wielcy impresjoniści nadal byli w zasadzie awangardowi. Robił na płótnie rzeczy, jakich nikt przedtem nie widział. Miał na imię Pablo, a plotka głosiła, że potrafi malować

1 rysować gorączkowo przez cały dzień i doprowadzać kobietę do jęków rozkoszy przez całą noc.

Catherine chętnie wierzyła. Nawet z drugiego końca sali widać było bijącą od niego żywotność. Mógł mieć każdego — mężczyznę albo kobietę — siedzących przy jego stole. Mógł — i wystarczyłby jeden gest — mieć ją. Choćby nawet tylko raz. Choćby nawet tylko po to, żeby sprawdzić seksualną swobodę pożądania.

Z licznej grupy przy tamtym stole tylko jedna osoba wpadła Catherine w oko. Nieduży mężczyzna o delikatnych rysach, najwyraźniej najspokojniejszy z nich. Kobiety siedzące po jego obu stronach bez przerwy pochylały się ku niemu i coś mówiły, a on odpowiadał z łagodnym uśmiechem, bez agresji i zniecierpliwienia. Włosy miał gładko zaczesane, z przedziałkiem po lewej stronie, a jego wąsy były równo podstrzyżone w kącikach ust. W lewym uchu pobłyskiwał mu brylantowy kolczyk. Spośród innych wyróżniała go aura powściągliwości i kolor skóry. Z czasem Catherine przekona się, że były typowe dla Hindusów. Skóra miała kolor gleby, aura spokoju miała korzenie w cywilizacji wierzącej w ustalony z góry porządek rzeczy i ściśle ustalone miejsce każdego człowieka.

Mimo dzielącej ich odległości mężczyzna pochwycił wzrok Catherine. Jego oczy były spokojne i pełne ciepła. Patrzył na nią bez mrużenia powiek, a ona przez długą chwilę wytrzymywała jego wzrok. Kiedy odwróciła spojrzenie i ponownie na niego popatrzyła, on nadal się jej przyglądał.

Jak jej ojciec, John, w Nowym Jorku, ponad dwadzieścia lat wcześniej, dała się zwieść złudnej miłości od pierwszego wejrzenia.

Do Le Chat Blanc wróciła sama następnego wieczoru. Już tam był, czekał samotnie, schludny i powściągliwy. Weszła i usiadła, a on wkrótce znalazł się przy niej i podszedł do niej, żeby się przedstawić. Był zafascynowany historią Catherine i w czasie pierwszego spotkania zadał jej więcej pytań niż Rudyard i jego przyjaciele przez dwanaście miesięcy. Wziął do ręki amulet z omem, poznał dzieje Johna i Emily, odkrył jej miłość do Indii, prześledził trasy planowanych podróży i usiłował zrozumieć jej potrzebę wojażowania.

Spotkali się ponownie następnego dnia. I następnego. Była oszołomiona poziomem jego wiedzy i doświadczenia. Podobnie jak jej ojciec, przemierzył ogromne obszary globu, ale oprócz szlifów podróżnika zyskał również erudycję naukowca. Potrafił mówić nie tylko o widokach i dźwiękach, i kolorach świata, lecz także o jego gospodarce, historii i polityce. Sprawiał wrażenie człowieka, który sporo wie o muzyce i sztuce, i literaturze. Wypytywał ją o te sprawy w Ameryce, lecz ona nie miała o nich pojęcia.

Nazywał się Mustafa Syed i wywoływał w niej nadmierne podniecenie. Po trwającym od roku wykorzystywaniu ciała inspirowanie umysłu wydało się jej niesłychanie erotyczne. Nigdy nawet sobie nie wyobrażała, że słowo mówione może nieść aż taki ładunek, że może zmienić jej ciało w wodę. Każdego dnia śpieszyła na spotkanie z nim, a spotkania te stawały się coraz dłuższe. Zamawiał wino — zawsze czerwone — i zanim je napoczynali, objaśniał jego przymioty. Pili powoli, a kiedy opróżnili butelkę, zamawiał następną, innego czerwonego, i ponownie objaśniał jego atrybuty.

Mówił po angielsku z ogromnym wyczuciem brzmienia — niskim, głębokim tembrem, frazy układając bez pośpiechu niczym kolejne takty w kompozycji — i samo patrzenie na niego, gdy budował skomplikowane zdania, działało hipnotyzująco. Nigdy jeszcze nie słyszała języka mówionego o takim bogactwie i stylu. W porównaniu z nim młody elokwentny specjalista od horroru apokalipsy — najlepszy mówca, jakiego do tej pory słyszała — wydawał się plemiennym bębniarzem. Długie godziny bez Syeda spędzała na powtarzaniu, obracaniu i testowaniu w głowie słów, które wymienili ostatnim razem. Zaczynała patrzeć na świat w nowy

sposób. Jak na przeogromne dynamiczne przedsięwzięcie będące w ciągłym ruchu, bez przerwy formowane i przemodelowywane, kształtowane przez ludzi, ich pomysły i wysiłki, a nie - wbrew temu, w co dotychczas podświadomie wierzyła — jak na stabilny byt, w który można się włączyć, kiedy ma się na to ochotę.

John powiedział jej, że świat jest cudownym miejscem do oglądania.

Syed powiedział jej, że świat jest cudownym miejscem do poznawania.

Za każdym razem, gdy się z nim widziała, miała wrażenie, że w jej umyśle otworzyło się kolejne okno.

Syed opowiadał głównie o rzeczach, które nie dotyczyły go bezpośrednio. To, że po zaprezentowaniu przekroju świata poruszy w końcu temat Indii, stało się nieuniknione. Podobnie jak John, był nimi zafascynowany, ale w odróżnieniu od Johna mówił o nich z pozycji mieszkańca i - inaczej niż wszyscy, którzy się nimi zachwycali — nie trzymał się kurczowo ich egzotycznej magii: religii, języków, dzięki przyrody, kultur, historii i starożytnych czasów.

Mówił przede wszystkim o ich tragicznym zaniedbaniu, ich niespełnionym narodzie.

Jak u prawdziwego patrioty jego słowa wypełniała nie tylko duma, ale też ogromna doza udręki. Jak prawdziwy patriota chciał lekarstwa na chorobę, a nie peanów. Chciał, żeby pacjent został wyleczony i uczyniony godnym szacunku, a nie — by leżał w odrętwieniu i marniał, zwodzony iluzjami. Rozumiał, że przeszłość dobiegła końca i teraz może być w najlepszym wypadku jedynie rodzajem przewodnika, a nie modelem. Martwił się fałszywymi pocieszeniami i oszukańczym triumfalizmem czasów dawno przebrzmiałych, które mogły osłabiać potencjał terażniejszości.

Jego cicha złość i pasja wzruszały Catherine. Dziwne przyciąganie kraju, którego nigdy nie widziała, pogłębiło się.

Syed był surowy dla brytyjskich kolonialistów, ale nie zrzucał na nich pochośnie odpowiedzialności za wszystkie nieszczęścia Indii. Był znacznie surowszy wobec indyjskich elit rządzących krajem, feudalnych panów i książąt. Mówił, że naród indyjski, żałośnie biedne chłopstwo, był od tysięcy lat lekceważony przez władców. Nadmierne podatki, ucisk, żadnego światła wtunelu. Indyjscy władcy sprawowali mecenat i przyczyniali się do tworzenia - dla własnej przyjemności - wspaniałej sztuki, literatury, budowli i muzyki, ale nie zrobili nic, by inicjować procesy, wzory, prawa, instytucje, które miałyby na celu edukację poddanych i poprawę ich doli.



Członkowie rodów panujących zachowywali się jak swawolni uczniacy, a nie mądrzy ludzie.

Ogromny postępowy impuls racjonalizmu i uniwersalnego poszanowania godności człowieka, który gdzie indziej nabierał rozmachu, ominął Indie. Podczas gdy w Europie przez ostatnie trzysta lat nastąpił wielki skok w dziedzinie rozwoju nauki, oświecenia i praw jednostki, wywierając ogromny wpływ na reformy społeczne, indyjscy potentaci karmili naród rzadką kaszką bzdurnego mistycyzmu i religijnego popapraństwa. Żadnych szkół podstawowych, żadnych szkół średnich, żadnych sądów, żadnych szpitali, żadnych dróg, żadnej elektryczności, żadnych wodociągów, żadnego postępu. Tylko bzdurny mistycyzm i religijne popapraństwo.

Mistrzowie w propagowaniu cnoty zaciskania pasa.

Podczas gdy ich świecidełka — jadeity, rubiny, szmaragdy — mnożyły się, ich pałace stawały się coraz bardziej barokowe, ich konstruowane na zamówienie samochody schodziły z taśm fabryki Rolls-Royce'a, a ich haremy powiększały się o taką liczbę pięknych kobiet, że mężczyzna musiałby mieć sto fallusów, aby je wszystkie zadowolić — podczas gdy ich apetyty rosły, rozbudzone nowymi europejskimi zabawkami, naród Indii ubożał coraz bardziej. Będące kiedyś wspaniałą cywilizacją — tygłem astronomii i medycyny, literatury i filozofii — Indie stały się enklawą ignorancji i wyniszczenia, rządzoną próżnością i tandetą.

Ale, powiedział Syed, nie wszystko przedstawiało się tak rozpaczliwie. Ponownie na subkontynencie coś się działo — budziły się idee, budzili się ludzie, zaczęły się gromadzić nowe siły twórcze. Mówił, że w Punie i Bombaju, w Pendżabie i Bengalu są ludzie — a także jeden człowiek, o którym szeptało się, że jest w Afryce Południowej — którzy mówią nowym językiem, z nową pewnością siebie. Prawnicy i nauczyciele wyłaniali się — pojedynczo i w parach — z edukacyjnych dróg przemian, które zaczęli torować Brytyjczycy, i Syed miał nadzieję, że wkrótce zadadzą pytanie, które zmusi nieudolnych indyjskich władców i chciwych kolonialistów do szukania kryjówek.

Pytanie, które detronizuje królów.

Kto dał ci prawo do pozbawiania mnie praw?

Wkrótce Catherine zupełnie przestała wychodzić z Rudyardem i jego paczką. Teraz wydawali się jej niedojrzałymi chłopacz-

kami, szalejącymi na szkolnym podwórzu. Nawet hrabia Vladimir. Jego wiedza o literaturze i sztuce jawiła się jej jako hobby estety, błaha próżność bez jakiegokolwiek celu, trywialna przyjemność. Ich swawolne życie — kiedyś tak czarujące — straciło całą atrakcyjność. Nagle zaczęło cuchnąć zgnilizną.

Nie mogła teraz znieść nawet myśli, że którykolwiek z nich mógłby jej dotykać. A Mustafa Syed nigdy tego nawet nie próbował. Odwiedzała go w hotelu Grand, a on pod żadnym pozorem nie pokusił się o zaproszenie jej do pokoju, tylko siedział z nią w westybulu i rozmawiał godzinami. Mówił i mówił, i mówił, łagodnie i z przekonaniem, ona zaś wracała każdego dnia wilgotna z pożądania, jego cudne słowa były bowiem bardziej zmysłowe niż jakakolwiek znana jej pieszczota.

Pewnego dnia, kiedy od ich pierwszego spotkania nie minęły jeszcze dwa miesiące, powiedział, że ją kocha. Kiedy to mówił, trzymał ją za rękę. Wróciła do siebie oszołomiona.

Następnego dnia, gdy ponownie się z nim spotkała, nadal jak odurzona, powiedział, że wkrótce wyjeżdża do Indii, i spytał, czy by z nim nie pojechała.

Powiedziała: tak, a kiedy szła do mieszkania Rudyarda, zastanawiała się nad tą decyzją. Nadal prawie nic o nim nie wiedziała. Do tej pory wyjawiał jej jedynie, że studiował w Oksfordzie, ma dyplom z filozofii i tak dobrze gra w krykieta, że gdyby potrafił utrzymać w tajemnicy swoje przekonania polityczne, mógłby występować w reprezentacji Anglii. Dodał, że jego rówieśnicy z królewskich rodów robili to z powodzeniem.

Powiedział: Gry są grami jedynie dla tych, którzy mają przywileje — bogatych ludzi i bogatych narodów. Dla uciskanych wszystko jest narzędziem wojny — wojny o życie i godność.

Catherine pomyślała o czarnych cieniach w jej ojczyźnie i zrozumiała coś z jego słów.

Następnego dnia postanowiła zadać mu kilka bezpośrednich pytań. Kiedy spotkali się na lunchu i zanim przyniesiono wino, spytała: Gdzie się zatrzymam?

U mnie, powiedział.

W jakim charakterze?

Jaki sama wybierzesz.

Z kim mieszkasz?

Z rodziną. Z braćmi, kuzynami, wujami, ciotkami, bratankami i bratanicami, dziadkami, stryjecznymi dziadkami, stryjecznymi babkami, żoną.

Żoną?

Tak, jestem od dawna żonaty. Od czternastego roku życia. Ale to nie ma znaczenia.

Dla mnie ma. Powiedziałeś, że mnie kochasz. Na jakich zasadach miałabym tam zamieszkać?

Na jakich będziesz chciała.

Ale jako kogo mnie chcesz? Jako kogo mnie zabierasz? Jako żonę. Jako moją towarzyszkę. A co z twoją żoną?

Nic. Nie powie słowa. Ani, jak mniemam, nie poczuje się urażona. Zrozumie.

Zupełnie się tego nie spodziewałam. Muszę to przemyśleć.

Wcale nie musisz. Przywiązujesz do tego zbyt dużą wagę. Ale jeśli takie jest twoje życzenie, proszę bardzo.

Catherine nie wróciła do domu. Usiadła pod katedrą Notre-Dame i dokładnie wszystko przemyślała. Wiedziała, że pojedzie. Niczego tak nie pragnęła, jak nadal słuchać jego słów. Ale co naprawdę oznaczało stać się dodatkową żoną, rozbitkiem na morzu rodziny, na obcej ziemi, pomiędzy obcymi ludźmi, z obcą religią? Musiała się nad tym dobrze zastanowić, przekonać samą siebie. Kiedy spojrzała do góry, gargulce warczały, rzucając jej wyzwanie.

Po jakimś czasie wstała i weszła do katedry, usiadła na ławce z tyłu. Nastąpiła pora niesporów i w półświatle lamp można było dostrzec kilka głów pochylonych w modlitwie. Inni poruszali się bezgłośnie, zapalali świece przywracające nadzieję.

W tej ogromnej bryle Catherine wpatrywała się w witraże, szukając boskiego znaku. Młody człowiek z powiewającą brodą przeszedł nawą, mamrocząc pod nosem: Pan żył w wierze i my żyć w wierze powinniśmy, Pan żył w wierze i my żyć w wierze powinniśmy. Pomyślała w tamtej chwili: Jak duży musi stać się dom boży, by zamieszkał w nim Bóg? Ilu argumentów potrzebuje wiara, zanim stanie się wiarą? Religijna histeria matki zawsze napawała ją odrazą, ale teraz, w Notre-Dame, szukając w sobie odwagi, którą i tak miała, uwolniła się zupełnie od terroru religii, od strachu przed nieznanym.

Nigdy więcej nie weszła do żadnej świątyni.

Kiedy wyłoniła się z wielkich drzwi, na zewnątrz panowała noc, a gdy spojrzała do góry, gargulce schowały się w ciemności i już na nią nie warczały.

Na statek wsiedli w Marsylii. Odprowadzając ją na dworzec w Paryżu, Ruyard stał się melancholijny. Podobnie jak inni. Pocałowała każdego i każdą z nich, a wszyscy szeptem ją przestrzegali, by uważała, co je i pije, i dobrze się prowadziła. Kochała i dawała rozkosz im wszystkim, a oni przeprowadzili ją w przyśpieszonym tempie przez szczęśliwą anarchię młodości, która powinna być udziałem każdego. Pomogli jej odkryć niejedną cudowną ścieżkę, wspominaną w zwierzeniach ojca. Miała wrażenie ogromnej straty.

Anne powiedziała: Przywieź mi maharadzę. Z brylantem pod każdą pachą.

Hrabia Vladimir powiedział: Miło byłoby dostać trochę marihuany z pogranicza indyjsko-afgańskiego.

Ruyard powiedział: Syed, dobrze się nią opiekuj. Chcemy, żeby szybko wróciła.

Catherine nie wyobrażała sobie, że nigdy już tu nie wróci. Ze przemierza ocean po raz ostatni. Że podróż, która zaczęła się w jej głowie jeszcze w sklepie ojca wiele lat wcześniej, weszła w ostatnią fazę.

W Marsylii spędzili noc w hotelu. Syed zarezerwował — co dziwne, ale i stosowne — dwa oddzielne pokoje. Po obiedzie rozmawiali długo o paczce Ruyarda — ze Syedem zawsze się przyjemnie rozmawiało — a potem pocałował ją delikatnie na dobranoc i zostawił przed drzwiami jej pokoju. Leżąc w łóżku z otwartymi oczami i gładząc rozpalone ciało, by ochłonęło, zastanawiała się nad jego wyjątkową powściągliwością.

Na statku Syed również zarezerwował dwie oddzielne kabiny. W ładnym stylu i przez wzgląd na nią oddał jej kabinę wyższej klasy. Dzielili ich jedynie podłoga. Całe dnie i wieczory spędzali razem, na pokładzie i w sali jadalnej — zaczął uczyć ją słów w języku hindustani — przed spaniem jednak nieodmiennie całował ją na dobranoc i odchodził. Gorączkowo szukała odpowiedzi. Ojciec nie wspominał o kochankach, którzy nie uprawiają miłości. Zamknęła oczy, położyła dłonie na ciele i kołysała się razem ze statkiem.

Kiedy trzy tygodnie później zacumowali w Bombaju, Syed nadal nie posunął się poza pocałunek na dobranoc przy drzwiach kabiny. Mówił pięknie jak zawsze i jak zawsze Catherine była tym bardzo poruszona, ale zaczęła się niepokoić.

## NAWAB FILOZOF

Podróż pociągiem przez rozpalone niziny środkowych Indii i cała moc subkontynentu zwały ją z nóg. Od chwili zejścia na ląd w Bombaju — czując się jak wzgardzona dziewczica — wpadła w wir kolorów, dźwięków, widoków. Każdy z jej zmysłów znalazł się pod naporem bodźców. Od razu zauważyła wielki indyjski paradoks: równoczesne wrażenie przyprawiającego o zawrót głowy rozgardiaszu i kompletnego odrętwienia.

Zatrzymali się we wspaniałym hotelu Tadź Mahal nad brzegiem morza i tym razem też czekały na nich dwa osobne pokoje. A kiedy dzień później wsiedli do pociągu na stacji Victoria, znaleźli się w jednej salonce, lecz o dwóch oddzielnych sypialniach. Catherine była już zrozpaczona i gdyby nie to, że wszystko wokół całkowicie ją pochłaniało, rzuciłaby się na Syeda. Gdy pociąg wytoczył się z sennego dworca, jej oczom ukazał się widok bezkresnych zielonych i brązowych pól, z rozsianymi na nich akacjami i fikusami, bydłem poruszającym się w zwolnionym tempie i półnagimi wieśniakami, w większości w turbanach, którzy wyglądali, jakby uprawiali tę ziemię od początku świata.

W pociągu od razu polubiła smagłoskórych posługaczy, którzy pojawiali się co kilka minut, proponując ogromne ilości jedzenia i picia. Ani przez chwilę, wtedy ani nigdy potem, nie czuła zagrożenia ze strony tubylców. Bez przerwy się uśmiechali, okazywali szacunek, choć z dziwną godnością zachowywali dystans.

Przypomniła sobie słowa ojca. Jakże były prawdziwe! Nie zapomniła ich do końca życia.

Cudowni ludzie, ale kompletnie nieprzeniknieni.

Gdy dotarli do Delhi, Syed postanowił pokazać jej cuda mogolskich Indii i inne zabytki historii sięgającej tysiące lat wstecz. Mi-

jali obszary porośnięte pustynną roślinnością i akacjowe lasy, by obejrzeć zadziwiający dwunastowieczny kompleks Kutub Minar i przeżyć zawrót głowy, patrząc w dół z jego piątego poziomu.

W ruinach fortu Tughlakabad szydziły z nich wielkie rezusy. W Starym Forcie przekupnie opowiadali im, że tu właśnie znajdowało się królestwo Pandawów. Ale tym, co fascynowało i przerażało Catherine najbardziej, było otoczone murem miasto, a zwłaszcza trójkąt cudów: masywny Czerwony Fort, majestatyczny Meczet Piątkowy i gwarne alejki Ćandni Ćauk.

Było to lustro tętniącego życiem obłędu Indii. Z jednej strony jawił się obraz miliona brzęczących much, żywiących się w legendarnych sklepikach ze słodyczami, obdartych żebraków z członkami wyżartymi trądem i o twarzach z dziobami po ospie, brudnych, zapchlonych, parchatych psów, płaczących się stale pod nogami. Z drugiej strony były obficie zaopatrzone sklepy z towarami ze wszystkich kontynentów. Mówiono, że na Ćandni Ćauk można kupić lub sprzedać wszystko, co dawało się kupić albo sprzedać na świecie. Od perskich dywanów przez chiński jedwab i arabskie konie, przez słonie indyjskie, brazylijskie kakao i afgańskie opium, po tureckie mydła i angielskie wyposażenie łazienek, od ajurwedyjskich ziół i homeopatycznych globulek po dziwki o ciałach jak z gumy i catamite o wydatnych ustach.

Jeszcze cudowniejsi okazali się żebrzący mnisi. Byli to nadzy sadhu z ciałami poprzekłuwanymi na wylot metalowymi prętami, ze skołtunionymi włosami sięgającymi czasem do kostek. Jeden z nich stał na prawej nodze; penis, obciążony wielkim kamieniem, zwisał mu do kolan niczym słońiowa trąba. Kiedy przechodzili obok, zakołysał nim wesoło jak wahadłem. Syed wrzucił do jego miski monetę z dziurką w środku. Był tam także sprzedawca eliksirów, nagabujący ich agresywnie, oferujący Catherine biały proszek, który pomógłby jej się pozbyć konkubin i żon Syeda, bo wyssałby z nich wszystkie soki i zostawił ich łona suche jak zwiędłe liście.

Widziała fakira, chudego jak źdźbło trawy, z długą siwą brodą i o rozwianych włosach, krocącego rażno z bambusowym kijem na lewym ramieniu; na obu końcach miał zamocowane koszyki wplecione z trzciny. Podekscytowany Syed wskazał go palcem i powiedział, że to Baba Muggermaći, który w każdy poniedziałkowy rano przepływa na krokodylu rzekę Jamunę, by dostać jałmużnę od kupców. Baba, opowiadał, może wedle własnej woli nakazać każdemu krokodylowi z tej rzeki, by służył mu za środek transportu.

Catherine spojrzała na Syeda. I to był ów mężczyzna z Oksfordu, który zawsze mówił o wspaniałości impulsów racjonalnego myślenia i postępu!

Syed uśmiechnął się i powiedział: Jest na świecie wiele rzeczy, których nie rozumiemy — zbyt sceptycyzm się nie oplaca.

W tym momencie kochała go szczerze. Bezbronne ciało pod skórą krańcowej powściągliwości. Z czasem Catherine nauczy się rozpoznawać tę cechę wyciszonych Hindusów: ciasne koło rozumowania, poza którym leży wielka niewiadoma. Biją pokłony bogowi rozumu, biją pokłony bogowi nauki, biją pokłony bogowi empiryzmu, a potem ostatecznie biją pokłony bogowi wszystkich innych rzeczy, małych i dużych, znanych i nieznanym.

Żyć na ścieżce pomiędzy bogiem racjonalności a bogiem nieracjonalności. Klaniać się obu, nie obrażać żadnego.

I nie było w tym żadnej sprzeczności. Tylko ludzie próżni ją widzieli.

Nagi fakir zaprzęgający krokodyla do pracy zrobił na niej w każdym razie większe wrażenie od prawiącego kazania młodego człowieka, podliczającego własne dobre uczynki i skazującego wszystkich innych na buzujące płomienie apokalipsy.

Tuż przed powrotem do hotelu Syed poprowadził Catherine krętymi uliczkami za Meczetem Piątkowym, aż doszli do małej wyspy spokoju: prostego, pomalowanego na biało grobu i stojącego obok, w cieniu wysokiej miodli, maleńkiego pawilonu o zakratowanych oknach. Był to grobowiec słynnego pira, w środku siedział młody człowiek pogrążony w medytacji, jego wyznawca. Syed usiadł ze skrzyżowanymi nogami na zimnej marmurowej podłodze, Catherine zrobiła to samo. Syed coś powiedział. Młodzieniec — z zawiązanym na czole kawałkiem białego materiału, z zaniedbaną brodą — obrócił się i na długo zapatrzył w Catherine. Potem zamknął oczy i siedział nieruchomo. Kiedy wyszedł z transu, zaczął z ożywieniem mówić do Syeda, kładąc rękę na jego dłoni.

W chwili gdy opuścili oazę pira i znaleźli się na gwarnej ulicy, Catherine zapytała swego towarzysza, czego się dowiedział od młodego człowieka.

Syed odparł: To prorok. Mówił, że czeka cię w życiu wiele radości: bogactwo, wysoka pozycja społeczna, dzieci, miłość, pożądanie. Ale zawsze będzie w tym jakaś skaza. Wszystko jakby przesłonięte welonem. W ogrodzie zawsze będzie wąż. Mówił, że przeżyjesz największe uniesienia i poznasz smak najniższego upadku.

Syed mógł jednak z powodzeniem coś poradzić na tę przepowiednię.

A raczej księżę Syed.

Po przybyciu do domu ukochanego Catherine czekało mnóstwo niespodzianek. Syed pochodził z księżęcej rodziny. Jego ojcem był nawab Dżagdewpuru. Ich księstwo miało osiemset dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych i leżało niemal u podnóża Himalajów, około dwustu kilometrów od Delhi. Brytyjczycy uhonorowali je salutem z jedenastu dział. Księżącą enklawę Hukumgandź zaśmiewały pałace członków rodziny panującej. Źródła architektonicznych inspiracji były różne — Mogołowie, Francuzi, Anglicy i starożytni Hindusi. Syeda witano ukłonami i szuraniem nóg, ale ku swej uldze Catherine przekonała się, że dla siebie wybudował stosunkowo skromny dom w stylu angielskim — z piętnastoma pokojami — który otaczały szerokie indyjskie werandy.

Syed przeznaczył dla Catherine luksusowy apartament i tam właśnie ją umieścił. Wszystkie meble wykonano z birmańskiego drewna tekowego, mahoniu i rattanu — ciężkie, kolonialne, z ciemną politurą. Za oknami widać było wymanikiurowane krzaki róż, kwitnące drzewa plumerii, krzewy harsingar, jaśmin i lianę quisqualis. Z czasem Catherine uzależni się od ich następujących po sobie zapachów. Syed już pierwszego dnia wyznaczył starego tragarza Maq̄bula i energiczną młodą dziewczynę Banno do zajmowania się wyłącznie jej potrzebami. Ich dwoje wystawało pod drzwiami pokoi i wystarczyło, by wymamrotała ich imiona, a już się zjawiali.

Największe wrażenie w domu Syeda robił elegancki dwupokojowy gabinet — ogromny, z obitą pluszem sofą i przedpokojem. Ściany od podłogi do sufitu zakryte były regałami, obok stały cztery stołki, z jednym, dwoma, trzema i czterema stopniami — by łatwiej było sięgać po książki. Były tam też dwa biurka, po jednym w każdym pokoju, i lampy umieszczone w newralgicznych miejscach. Na luksusowej sofie, idealnej do leniwego czytania, leżały jedwabne poduszki w kolorze indygo, przed nią stał niski stolik do kawy. Syed siadywał na skórzanym fotelu z podnóżkiem. Popołudniami najbardziej intrygującym meblem była głęboka i wysoka drewniana szafa, zawsze zamknięta. Gdy pewnego dnia w końcu ją otworzyła, zobaczyła, że upchano w niej notesy oprawione w garbowaną skórę. Musiało ich być co najmniej dwieście.



Ale gdzie podziewała się jego rodzina? Trzeciego dnia zaczęła wypytywać służących. Bardzo szybko zdała sobie sprawę, że Syed jest w rodzinie kimś w rodzaju pariasa. Domyśliła się, że jego przyjazd uznano za złą nowinę, zwłaszcza że sprowadzał ze sobą białą kobietę, ale najwyraźniej nikt nie spodziewał się po nim niczego lepszego. Banno powiedziała, że zdaniem krewnych jego zachowanie jest haniebne, niegodne członka rodziny panującej, no i Syed przynosi pecha każdemu, kogo los postawi na jego drodze.

Catherine pokochała go z tego powodu jeszcze bardziej. Tamtego wieczoru — w bibliotece, przy kieliszku burgunda — zrównała się z nim. Kiedy zaczął rozprawiać o lordzie Curzonie i podziale Bengalu, weszła mu w słowo i niczym sztywna, lecz łagodna dyrektorka szkoły zadała, jedno po drugim, swoje pytania:

Kim jest jego żona?

Gdzie mieszka?

Dlaczego z nią nie przebywa?

Kim on jest?

Co robi?

Dlaczego robi to, co robi? Dlaczego ją tu przywiózł? Czym według niego powinna się zajmować? Dlaczego nie robią tego, co zakochani powinni robić bez przerwy?

Przez jakiś czas Syed trzymał głowę w dłoniach. Potem patrzył na nią długo bez wyrazu, ważąc coś w myślach. Czekala cierpliwie. W końcu wstał i chodząc po pokoju w tę i z powrotem, zaczął opowiadać.

Syed był pierworodnym synem nawaba Dżagdewpuru. Miał żonę, begam Sitare, ale nigdy nic go z nią nie łączyło. Syedowi i Sitarze wyprawiono zaręczyny, gdy byli w wieku ośmiu i pięciu lat, a ślub wzięli, kiedy on miał lat czternaście, ona zaś jedenaście. Trzydzieści jeden słoni maszerowało równym krokiem, by podkreślić wagę tej chwili, i przez ponad trzy dni dziesięć tysięcy ludzi podejmowano wystawną ucztą. Teraz begam Sitara mieszkała w głównym pałacu z rodziną Syeda. Czasami, kiedy odwiedzał rodziców, widywał także i ją. Wyznał, że nigdy nie miał jej nic do powiedzenia, a jego dwie wczesne próby wypełnienia małżeńskich obowiązków pozostawiły po sobie jedynie niesmak.

Wina za tę porażkę spoczywała wyłącznie na nim. Całe życie dręczył go niepokój związany z jego pozycją społeczną i dopiero w Oksfordzie sobie z tym poradził. Dostał tam obsesji na punkcie filozofii polityki i zła, jakie ludzie wyrządzają sobie nawzajem. Czytał Woltera i Rousseau, Beniamina Franklina i Tomasza Jeffersona, Johna Ruskina i Abrahama Lincolna, Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Zastanawiał się nad prawem własnej rodziny do sprawowania władzy i bladł na myśl o tym, w jaki sposób ona z niego korzysta. Pisał długie, pełne złości listy do ojca, nawoływał go do obniżenia podatków, wnoszenia większej liczby szkół podstawowych i średnich oraz poniesienia kosztów rozbudowanych rytuałów i ceremonii, które opróżniały skarbiec i zwiększały ucisk poddanych. Tak intensywnie i nieustannie pouczał starego ojca o moralnych obowiązkach władcy, że nawab uznał go za człowieka przynoszącego hańbę rodowi i stanowiącego zagrożenie dla dynastii. W końcu go wydziedziczył i ogłosił swym następcą jego młodszego brata.

W swojej księdze aforyzmów nawab napisał: Zbytne wykształcenie czyni zwykłych ludzi królami, królów zaś zwykłymi ludźmi.

Co kilka lat jego złote myśli były zbierane w książce i publikowane jako *Boskie mądrości nawaba, ojca nieoświeconego ludu Dżagdewpuru*.

Uczniowie w szkołach pisali wypracowania o tych aforyzmach.

Skompromitowanemu Syedowi złożono niedwuznaczną propozycję wyjazdu do Europy, na co otrzymał dość środków, by mógł robić, co zechce, na kontynencie i oczywiście w Anglii. Niewiele myśląc, przystał na to, ale potem uznał, że zdradził w ten sposób swoje poglądy. Zdał sobie sprawę, że musi wrócić i działać, nawet jeśli ograniczałoby się to do słuchania poddanych i grania roli sumienia rodziny.

Zafarowi, jego bratu, przyszłemu nawabowi, bardzo się to nie spodobało. Obecność Syeda osłabiała jego autorytet. Wybuchła zacięta awantura. Ostatecznie Syed przyrzekł, że nie będzie otwarcie atakował sprawowanej władzy. W zamian rodzina pozwoli mu zostać i wybrać miejsce, gdzie chciałby zamieszkać.

Dlaczego się na to zgodził?

Dlaczego nie był z begam Sitarą?

Dlaczego nie robili z Catherine tego, co zakochani powinni robić bez przerwy?

Wszystkie te pytania prowadziły do jednej odpowiedzi. Kiedy Syed miał trzynaście lat, zakochał się bardzo zmysłowo w młodym przystojnym nauczycielu matematyki. Nazywał się on Afir i sama

myśl o nim sprawiała, że mały nawab cierpiał z podniecenia. Syed odkrył wtedy wspólnie z Afirem własne ręce, usta i duszę romantyka. Ze względu na służących guwerner i jego uczeń powtarzali głośno tabliczkę mnożenia, podczas gdy ich dłonie pod stołem nie traciły czasu. Zdarzały się dni, kiedy skandowali tak głośno i tak długo, że po skończonej lekcji obaj byli zachrypnięci.

Wieczorem, zgodnie z pouczeniem Afira, Syed wsmarowywał w skórę perfumowane olejki, żeby stała się miękka i delikatna.

Do lekcji matematyki przygotowywał się, czytając romantyczne wiersze.

Kiedy nadszedł właściwy czas, młody nawab odmówił odwiedzin w łóżku dojrzałej już żony, a zaskoczony ojciec nakazał służbie, by go mimo wszystko tam doprowadziła. To doświadczenie było dla Syeda straszliwie nieprzyjemne. Tłuszczyk piersi, śliskie wnętrze ud, pustka w kroku, szczególnie zapach kobiecej skóry — chciał uciekać. I tak zrobił. Kilka tygodni później zaprowadzono go do niej jeszcze raz — dwór aż huczał z powodu pierwszej porażki. Begam Sitara została przygotowana z jeszcze większą starannością: wykapano ją w oślim mleku, ciało natarto wonnymi balsamami, intymne miejsca posmarowano olejkami i pachnidłami. Syed niemal zwymiotował, tak mu było niedobrze.

Następnego dnia Afir i jego podopieczny przepowiadali materiał z niespotykaną gorliwością i doszli akurat do dziewięćdziesiąt dziewięć razy dwanaście, kiedy wszedł nawab. Dwaj skandujący wpadli w pułapkę: chcąc okazać mu szacunek, nie mogli siedzieć; wstając, musieli się odślonić. Wzwodowi towarzyszyło przerażenie.

Afira nazajutrz wyrzucono.

W swej księdze aforyzmów nawab napisał: Tabliczki mnożenia nie wolno uczyć w pokoju, tylko zawsze na świeżym powietrzu, pod drzewami.

Przez całe dziesięciolecie dzieci z Dżagdewpuru recytowały potem czynniki i iloczyny pod gołym niebem.

Syed popadł w głęboki smutek. Tęsknił za kochankiem w każdej sekundzie dnia, a nocami leżał bezsenny i cierpiał z pragnienia. Prześladowały go wspomnienia zapachu Afira, jego ust, rąk i włosów, nabrzmiałości i gwałtownego pulsowania. Onanizował się, by znaleźć ukojenie i zasnąć. Ale chwilę później budził się ponownie. W niektóre noce powtarzał ten rytuał sześć-siedem razy, a kiedy świt wstawał nad wieżycami pałacu — był wyczerpany obłaskawianiem demonów swego pożądania.

Nawab jako człowiek światowy rozumiał obu chłopców i ich wzajemny pociąg. Wkrótce sprowadził z pobliskiego miasteczka,

Dhampur, nowego nauczyciela. Nazywał się Iabal i wyglądał jak Adonis. Już piątego dnia ręce Syeda i Iabala były bardzo zajęte pod stołem, podczas gdy głośno przepowiadali tabliczkę mnożenia. Ból po stracie Afira złągodniał.

Nawab sprowadzał nowego, osobiście wybieranego gubernera co dwa miesiące. Wiedział, że w młodości miłość i pożądanie nie powinny być ze sobą mylone. Bo mogło to prowadzić do niebezpiecznej — a nawet tragicznej — obsesji.

W księdze napisał: Dobry kucharz, który uwielbia jeść, bardzo szybko zabija sam siebie.

Syed zaobserwował oczywiście, że nowość ciała może wytłumić ukłucia miłości.

A na ośmiuset dwudziestu pięciu kilometrach kwadratowych Dżagdewpuru wszyscy młodzi nauczyciele matematyki czekali w nadziei, że zostaną wezwani do pałacu.

Strategia nawaba powiodła się tylko częściowo. Spodziewał się, że syn szybko odkryje istnienie świata przyjemności wykraczającego poza mężczyzn. Sam przebył tę drogę, podobnie jak wszyscy znani mu mężczyźni. Każdy z nich ostatecznie zaznawał rozkoszy z kobietą i przy tym trwał, mężczyźni zaś stawiali się jedynie sporadycznym urozmaicheniem. Ale Syed nie przestawał zaniedbywać żony. Nawab spróbował ożenić go po raz drugi. Tym razem jednak dojrzały dziewiętnastolatek się zbuntował.

Przez wszystkie te lata Syed nie nauczył się matematyki, ale czekając na nowego gubernera-kochanka, przeczytał wystarczająco dużo książek, powieści, poezji i pism filozoficznych — w urdu, po arabsku i angielsku — by samodzielnie się wykształcić i przestać pasować do książęcej rodziny. Odkrył świat idei i idealizmu, mimo swego pochodzenia stał się wrażliwy na prawa innych.

Gnębiło go ogromne poczucie winy z powodu begam Sitary, młodej żony, ale nie mógł nic na to poradzić. Nie potrafiłby jej dotknąć, a rozmowa z nią przypominała pogaduszkę z uprzywilejowanym dzieckiem, którego horyzonty były tak wąskie i tak wygładzone, że zupełnie nie było się czego chwycić. Pozwolić, by kolejna młoda kobieta została złożona w ofierze na jego ołtarzu — nie wchodziło w grę.

Stosunki między nawabem a synem przybrały formę ponurego milczenia albo żywiołowych kłótni. Dżagdewpur, jak każde księstwo w Indiach, przywykł do skandali w pałacu, ale codzienne pogńębienie nawaba podważało w nim poczucie własnego autorytetu. Postanowił wysłać syna za granicę — mając nadzieję, że białe kobiety, biała edukacja i białe powietrze utemperują go i wyleczą.

Syed miał przynajmniej jedną umiejętność, która zapewniała mu pozycję w Oksfordzie: doskonale grał w krykieta. Z nogą wysuniętą do przodu i lekko uniesioną do góry, rutynowo wybijał piłki przeciwnika bardzo daleko poza boisko.

Oksford wywarł nań odwrotny wpływ. Syed stał się właściwie jeszcze bardziej świadomy przepaści, jaka dzieli zwykłych ludzi w Anglii od zwykłych ludzi w jego ojczyźnie. Zrozumiał, jak bardzo jego rodacy są oszukiwani i zdradzani przez tych, którzy nimi rządzą. U białych istniały przynajmniej lojalność i poczucie obowiązku wobec własnego narodu, kodeks honorowy i odpowiedzialność. W jego kraju wszystko to kończyło się przy drzwiach pałaców. Naród był jedynie źródłem środków do zaspokajania fantazji rodziny panującej.

W Oksfordzie Syed czytał niestrudzenie, zawiązywał przyjaźnie z radykałami i podróżował. Stał się komunistą, zanim to słowo nabrało jakiegokolwiek znaczenia, ukrył swą arystokratyczną przeszłość i pod koniec pierwszego roku, olśniewszy już uniwersytet wybijaniem piłek, zrezygnował z krykieta, uznając go za marnowanie czasu, za rozrywkę brytyjskich kolonialistów i myślących wyłącznie o sobie indyjskich książąt. W późniejszych latach mawiał: Gdyby ta gra rozpowszechniła się wśród naszych mas, stałyby się one równie leniwe i nieudolne jak nasza rodzina książęca. I postawmy sprawę jasno — historia Indii nie zmieni biegu od zerkania na nogawki.

Podobnie jak wcześniej z nauczycielami matematyki, Syed doznawał teraz przeżyć z białymi kolegami studiującymi razem z nim filozofię. Jednak znajdował w tym niewielką przyjemność. Białe ciała, ich dotyk, ich zapach w ogóle go nie poruszały, tak się różniły od świeżo wykąpanych, smagłych, nasmarowanych olejkami gibkich ciał, które wypełniały mu czas, gdy był nastolatkiem. Niemniej nie rezygnował z nowych doświadczeń, przede wszystkim z powodu potrzeby, częściowo z ciekawości i czasem też wiedziony uczuciem.

Syed wierzył, że można z kimś uprawiać miłość jedynie dlatego, że darzy się tę osobę sympatią. Jeśli zależy ci na kimś wystarczająco, podzielenie się ciałem nie jest zbyt wielkim poświęceniem, nawet jeśli to dla ciebie żadna przyjemność. Wszystko, co Syed musiał robić, ograniczało się do zamykania oczu i myślenia

o przystojnym guwernerze z Dźagdewpuru, powtarzającym tabliczkę mnożenia.

Pierwsza podróż z Oksfordu do domu przyprawiła go o amok. Pałac potrzeby ciała stłumiły górnolotność idei i książek. Nie był już chłopcem. Stał się mężczyzną, który wiele podróżował, wiele przeżył i dobrze wiedział, czego pożąda. Mężczyźni przewijali się przez jego komnaty bez względu na godzinę. Ze swych dworaków bezwstydnie uczynił stręczycieli. Lubił, gdy jego partnerzy byli męscy, trochę dominujący. Chciał, by nad nim panowano. Nie potrafił się nasycić. W niektóre dni zaliczał aż po dziesięciu ogierów — mężczyzn, których imiona zacierały mu się w pamięci, ale których ciała odciskały się piętnem w jego umyśle.

Gdy nadszedł czas powrotu, Syed był wyczerpany psychicznie i fizycznie, a w środku czuł pustkę, pojawiającą się zawsze, gdy ktoś za bardzo sobie pofolguje. Osłabiony — jak wielu dobrych ludzi — nękającymi go wątpliwościami co do znaczenia własnej osoby, ponownie odczuwał potrzebę wypełnienia próżni czymś konkretnym. Dlatego cieszył się z wyjazdu, jednak nie dotarł jeszcze na dobre do Oksfordu, gdy ból i tęsknota za mężczyznami Dźagdewpuru znowu opanowały jego ciało. Stłumił je w jedyny znany sobie sposób, to znaczy czytając i pisząc niestrudzenie.

Ten cykl powtarzał się za każdym razem. Ideały, książki i wyrafinowanie Oksfordu, a potem, po powrocie do domu, niekończąca się orgia. W oczach ówczesnych Dźagdewpurczyków ich upadły książę — podobnie jak większość innych nawabów — był jedynie ciałem. Nie potrafili dostrzec drzemiących w nim szlachetnych ideałów i uczuć, nie potrafili dopatrzeć się elokwencji w mowie i myśli; wszystko, co widzieli, ograniczało się do ciała, folgującego sobie bez żadnych zahamowań.

Nawab najchętniej trzymałby syna jak najdalej. Zachęcał Syeda do osiedlenia się w Anglii albo gdzieś indziej w Europie i zapewniał mu wysokie apanaże. Tymczasem Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wicekróla miało już oko na wywrotowe poglądy Syeda. Bonzowie z Wydziału Indii w Londynie wysłali raport wywiadu, stwierdzający, że chłopak pisuje zaciekle pamflety, a gdy mówi, otwarcie podżega do buntu. Informacja o niezadowoleniu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych została przekazana nawabo-wi przez politycznego agenta, podpułkownika Seana Brosnana. Część swego gniewu władca księstwa uśmierzył decyzją o wydziedziczeniu Syeda i ustanowieniu następcą młodszego syna, ale wiedział już, że oczy urzędników są zwrócone na Dźagdew-pur, który może zostać połknięty i znaleźć się w brzuszysku koro-

ny brytyjskiej pod byle pretekstem. W żargonie bazaru: bez jednego beknięcia.

W swej księdze nawab napisał: Król, który nie posiada wielkiej armaty, musi się nauczyć siedzieć cicho we własnym zamku.

Ale Syed nie miał ochoty na rolę wygnańca. Chciał nieść otuchę rodakom i marzył o ich ciałach. Chciał spędzać w Dżagdew-purze coraz więcej czasu, a coraz rzadziej bywać w Europie. Nawab był zażenowany. Bał się, że wkrótce wszyscy catamite z jego państwa odwiedzą pałac, poddani zaś zaczną sobie podkpiwać z rodziny panującej. Co gorsza, nie było wiadomo, w jakim stopniu poglądy Syeda mogą zniechęcić Brosnana i Brytyjczyków. Nawab nie zgadzał się, by wrócił on na dobre. Ojciec i syn kłócili się, walczyli, wrzeszczeli na siebie, ścierali się, wyzywali od tyranów i homoseksualistów, zanim wreszcie osiągnęli kompromis.

Syed wybuduje dom z dala od głównego pałacu i tam osiadzie.

Znajdzie sobie żonę, z którą zamieszka, żeby zatkać usta plotkarzom.

Nauczy się dyskrecji w wyborze kochanków. Nie będzie publicznie gromił nawaba i Brytyjczyków. W zamian nawab zostawi go w spokoju, by mógł żyć własnym życiem.

Wszystkie długi Syeda zostaną spłacone.

Dostanie to, co mu się należy z rodzinnego majątku.

I na jego własność przejdzie także wspaniała biblioteka Dżagdewpuru — z kolekcją klasycznych arabskich i perskich manuskryptów oraz z cudownymi średniowiecznymi miniaturami ze szkół mogolskiej, radżpuckiej i kangryjskiej.

Syed postawił jeden stanowczy warunek: jeśli nawab dopuści się czynu skrajnie tyrańskiego, umowa zostanie zerwana.

Nawab zaś miał jedno zastrzeżenie: wywołasz skandal zagrażający istnieniu rodziny panującej, będziesz zdany na własne siły.

Większość postanowień nietrudno było wcielić w życie. Nawab udostępnił synowi pieniądze, a Syed zbudował dla siebie dom w stylu angielskim. Natychmiast przejął bibliotekę, zaczął ją porządkować i katalogować. Sprowadził z Londynu znakomitych introligatorów, żeby pomogli uratować tysiące luźnych kart i nauczyli fachu miejscowych.

Najtrudniejszym punktem porozumienia okazało się zdobycie żony. Nie mógł sprowadzić do siebie begam Sitary, bo pomijając strach, jaki wywoływało w nim jej ciało, odstręczała go głupotą, a nie był na tyle bezduszny, by każdego dnia pogłębiać ją swą pogardą. W Dżagdewpurze nie znalazł żadnej kobiety, która byłaby

w stanie zainteresować go choćby w najmniejszym stopniu, a gdyby zawarł białe małżeństwo z kobietą z ludu, nie tylko skazałby nieszczęsną na jałowe życie, ale też naraziłby na groźbę wywołania jeszcze większego skandalu.

Tak oto, zdesperowany, bawiąc w Paryżu i jedząc obiad z grupą przyjaciół, którzy zaprosili także zmysłowego, dobrze się zapowiadającego i łamiącego konwenanse artystę, zobaczył ładną kobietę w drugim końcu sali. Szczególnie zaskoczony był symbolem OM, który nosiła na szyi. Nie wątpił, że amulet nie ma nic wspólnego z modą i nie przedstawia sobą żadnej wartości, ale chciał poznać jego pochodzenie. Kobieta niezbyt pasowała do hałaśliwej gromady, z którą siedziała, i oddała mu spojrzenie z aurą tak tajemniczego zainteresowania, że go zaciekawiła.

Powodowany odruchem wrócił tam następnego dnia.

Kiedy po trzecim wieczorze z nią przyszedł do swojego pokoju w hotelu Grand, wiedział, że bliski jest jak nigdy zakochania się w kobiecie. Prawdę mówiąc, była pierwszą kobietą, która go w ogóle żywiej obesła. Różniła się od wszystkich, jakie znał. Myślała inaczej, pochodziła z miejsca jeszcze odleglejszego niż jego ojczyzna, i miała umysł szeroko otwarty.

Ani razu nie spytała go o pozycję i majątek, ani razu nie słyszał, by mówiła o biżuterii czy sukniach.

Uwielbiał z nią rozmawiać. Słuchała z taką uwagą, że wszystko, co powiedział, nabierało znaczenia. Dzięki niej mówienie zmieniało się w głęboką i zmysłową przyjemność.

I tak ani niczego nie knując, ani niczego nie kalkulując, zapragnął zabrać ją ze sobą do Dżagdewpuru, by żyła razem z nim, dotrzymywała mu towarzystwa. Skoro nie mogła dzielić jego łoża, niechby dzieliła jego dni. Słuchała go, kiedy mówił, rozumiała, jakie sprawy leżą mu na sercu. Bunt potrzebuje świadków, idealizm potrzebuje świadków, ofiara potrzebuje świadków. Gdyby tylko mógł zabrać Catherine ze sobą! Mogłaby sprawić, że dałby radę zrobić dla swego ludu — dla siebie — to, co należało.

A czy w ogóle pomyślał przy tym o jej potrzebach?

Tak, pomyślał. Oczywiście, że pomyślał. O ile będzie w stanie, zajmie się jej wszystkimi potrzebami, te zaś, które przekroczą jego możliwości, zostaną, jak miał nadzieję, zaspokojone w ten czy inny sposób.



Catherine siedziała bez ruchu, mokra od oceanu informacji, którym ją zalewał.

Syed nadal chodził po gabinecie, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Podczas gdy opowiadał, zdążyła zapaść noc, służba pojawiła się bezgłośnie i zapaliła lampy. Niewypite wino w kieliszkach odbijało światło, intensywnie czerwone. Słysząc było szczekanie psów we wszelkich możliwych rejestrach, ujadających w klimatyzowanej psiarni na drugim końcu siedemdziesięcioakrowego kompleksu pałacowego. Nawab miał bzika na punkcie psów i trzymał ich niemal trzy setki, wszelkich ras, kolorów i rozmiarów. W drugim tygodniu października urządzał coroczny psi festyn, przyciągający nie tylko miłośników czworonogów z całych Indii, ale też stręczycieli i domokrażców wszelkiego autoramentu. Żadne zgromadzenie nie jest pełne bez potajemnego seksu.

Tymczasem w Chicago matka Catherine właśnie się budziła, gotowa do ratowania świata, usypywania jeszcze wyższej góry cnoty. Jej ciało było zimne, jej serce było zimne — i z takim żalnym stanem posiadania dokonywała co najmniej wątpliwych kalkulacji dobra i zła. Jej ojciec także wstawał teraz z łóżka, wynurzał się z zamroczenia alkoholowego, by w niedługim czasie pójść do sklepu. Jego ciało było słabe i sponiewierane, serce miał ciężkie. Z takim żalnym stanem posiadania dokonywał nostalgicznej kalkulacji cudownych rozkoszy, jakich zakosztował, i cudownych okazji, jakie go ominęły.

Jedno trwożliwie przygotowywało się do przyszłości, drugie żalnie celebrowało przeszłość.

Życie przeżywane kontra życie kalkulowane.

O co właściwie ją proszono? Ma żyć czy kalkulować?

Catherine wstała z sofy, podeszła do Syeda i objęła go. Zrobiła to po raz pierwszy, powodowana głębokim uczuciem. Przytulił ją mocno, ogarnięty niesłyszana wdzięcznością i miłością.

Syed ożenił się z Catherine, co wywołało falę plotek i niezadowolenia. Rodzina panująca w Dżagdewpurze należała do ortodoksyjnych szyitów, zawierających małżeństwa z równymi sobie przedstawicielami arystokracji. Sama idea ślubu z białą Amerykanką nie mieściła się w rozgorączkowanych głowach multów. Nie pochwalali tej decyzji także podpułkownik Brosnan i Wydział Indii; prowadzona przez Brytyjczyków polityka zniechęcała do zawierania małżeństw tego rodzaju, podkopywały one bowiem fundamenty supremacji białej rasy. Ale nawab wiedział, jak poradzić sobie z rozsierdzonymi mułami i bonzami z władzy brytyjskiej. Uciszał ich, przypominając raz po raz, że przecież wydziedziczył najstarszego syna.

Catherine zapytała Syeda, czy da jej jakieś wskazówki, objaśni podstawy, jak powinna się zachowywać w labiryncie indyjskiej władzy.

Syed dał jej tylko jedną radę.

Nie wolno być zbyt sztywnym. Hindusi kochają swoich panów: są twardzi przy słabych i słabi przy twardych, trwoży ich okrucieństwo i są okrutni dla trwożliwych.

Przyjęła niepoważną radę Syeda za dobrą monetę i przywdziała pancierz. Nigdy nie nabrała wielkopańskich manier i twardości, ale potrafiła być nieprzenikniona. To sztuczka wielu ludzi, którzy nie chcą ani stosować, ani doświadczać agresji. Nieprzeniknioność.

Dobrze jej służyła. Zapewniła szacunek i trzymała prowokatorów na odpowiedni dystans. Pozwalała jej również zachować enklawę prywatności. Prywatności, której bardzo potrzebowała, biorąc pod uwagę niezwykłość położenia, w jakim się znalazła.

Wszystkie pałace w Indiach są budowane zgodnie z zasadą libertyńskiego braku umiaru, lecz dom Catherine i Syeda miał unikatową egalitarną aurę. W miarę upływu lat ich dwoje — mąż i żona — nauczyło się korzystać razem z przyjemności ciała, choć nie ze sobą. W hołdzie harmonii, która panowała w ich związku, w hołdzie wzajemnemu zaufaniu i miłości obdarzali się nawzajem pełnym przywilejem patrzenia. W ciemnym kącie jego sypialni Catherine zatapiała się w fotelu i obserwowała, jak na ogromnym łożu popychał swe ciało ku wyszukanym granicom.

Nagi, okazał się filigranowy, o wąskich ramionach i wąskich biodrach. A ponieważ wcześniej wielokrotnie uprawiał seks, nigdy nie zainteresował się kimś, kto najpierw sam go nie zachęcił. Lecz kiedy już zaczął, był niestrudzony. I choć nie musiał, dawał tyle samo rozkoszy, ile otrzymywał. Widziała bardzo wielu mężczyzn przewijających się przez jego sypialnię. Żaden z nich nie wyszedł niezaspokojony.

To był akt honoru: pozwolić kwitnąć demokracji ciała. Syed nie kontrolował wydarzeń. Jako dobry kochanek pozwalał w łóżku na nieskrępowaną inicjatywę, poddawał się woli partnera na wszelkie możliwe sposoby. Prowadził i był prowadzony. Brał i dawał.

Catherine przekonała się, że mężczyźni kochają innych mężczyzn z taką samą namiętnością i czułością, z jaką kochają kobiety. Są tak samo pomysłowi i nieprzewidywalni. W księdze przycho-

dów jej ojca, schowanej pod ladą w sklepie, czytała o niekończącej się różnorodności sekretnych miejsc kobiety. Teraz zdała sobie sprawę, że mężczyźni nie różnią się pod tym względem. Prawdę mówiąc, tajemnice ich ciała były nawet bardziej enigmatyczne. To, co mężczyzna odsłaniał, zdejmując ubranie, nijak się miało do tego, jakim wydawał się ubrany. Żadne zależności rozmiarów, kształtów, karnacji, owłosienia nie wchodziły w grę.

Widziała wątłych mężczyzn zachowujących się jak władcy i potężnych mężczyzn skromnych do granic możliwości. Widziała chudych mężczyzn grubych jak przegub dłoni. I grubych mężczyzn cienkich jak mały palec. Widziała pięknych mężczyzn z sękatymi korzeniami i brzydkich mężczyzn z cudownymi pniami. Widziała silnych mężczyzn czyniących sentymentalne wyznania i słabych mężczyzn twardych jak skała. Widziała pełne rozmachu uwertury, które kończyły się rozczarowującą nutą, i krótkie wstępy nabrzmiewające do potęgi symfonii.

Uświadomiła sobie, że Stwórca bardziej się starał, gdy kształtował mężczyznę: był to bowiem rzadki przypadek, kiedy wielkiemu artyście udało się wyrzeźbić gatunek bezbłędnie i prawdziwie.

Wszystkie te krzywizny i zagięcia, ostre lub zaokrąglone, po lewej i po prawej, zygzakowate, tworzyły konstrukcyjną anarchię, której zasad nie sposób było przejrzeć.

Liczni mężczyźni zjawiający się w sypialni Syeda kochali kobiety. Przychodzili jedynie, by służyć swemu panu. Mimo to każdy z nich wychodził w pełni zadowolony. Jeden został jego kochankiem. Nazywał się Umaid. Miał ostry nos i szerokie ramiona, ogromne bokobrody i grube długie włosy. Był koniuszym i sprawiał, że Syed przy nim nie jęczał tak jak przy nim. Z Umaidem — i tylko z Umaidem — Syed zostawał w łóżku, gdy było już po wszystkim, i opuszkami palców czule gładził jego muskularne ciało, z miłością pieścił jego wycieńczony organ.

Kiedy Catherine zapytała, w jaki sposób, kochając Umaila fizycznie, a ją duchowo, może nadal pożądać tak wielu innych mężczyzn, Syed odpowiedział: Tylko jeden jad zatruwa ludzi — przymus posiadania. To zabija pożądanie, zabijamłość, zabijaprzyjaźń, zabija pokrewieństwo. Kurczy świat do wielkości czterech ścian, garści srebra, pary członków. Traktuję pożądanie jako rytuał celebrowania, a nie rytuał posiadania. Zawsze pożądanie jako celebrowanie. I nic innego. Nie ego, nie kontrola, nie prawo własności. Więc celebrowuję Umaila, a inni wracają mi życie, bo nie chcę mieć żadnego z nich na własność.

Pożadam Umaila, bo go nie posiadam.

Nie chcę zyskać własności i poświęcić pożądanego. Poddaję się obfitości życia.

A ono nigdzie nie jest bogatsze niż w domenie pożądanego.

Catherine dostrzegła mądrość w tym, co powiedział. Pomyślała o Johnie i żalostnej Emily. O ojcu, który w ogóle nie przejmował się rytuałem posiadania. Oraz smutnej Emily i jej smutnych przyjaciółkach, kalkulujących życie doczesne i życie po śmierci, o małych, ciasnych żywotach i nadwrażliwej moralności.

Samą Catherine bardzo rozpałało patrzenie; kiedy siedziała w fotelu schowanym w cieniu, śliskie ręce miała między nogami. Zdawała sobie sprawę, że Syeda i jego partnera dodatkowo podnieca świadomość, że są obserwowani — przez kobietę, i to na dodatek białą.

Wiele razy po zakończonym akcie Syed wydawał się zawstydzony. Starając się to ukryć, szedł z nią cło gabinetu, otwierał butelkę czerwonego wina i od niechcenia omawiał stosunek. Co mu się podobało, czego nie lubił. Kreślił nawet porównania. Bawił się szczegółami. Ona dzieliła się z nim własnymi spostrzeżeniami. Czasami stawała się nazbyt wylewna, mówiła o pięknie kochających się ze sobą mężczyzn.

Choć Syed wypierał się tego z całą elokwencją, Catherine wiedziała, że czuje się pomniejszany przez dominujący w jego życiu homoseksualizm. Często mówił jej: Nie chcę umrzeć jak Wilde — mądry facet, który dużo gadał, ale niczego nie zmienił. Catherine wyczuwała, że dręczy go ogromne poczucie winy z powodu wszystkiego, co powinien zrobić dla swojego ludu. Ale trawiony własnymi potrzebami zawarł faustowski pakt z ojcem — stłumił przymus postępowania zgodnie z sumieniem, by ulec żądaniom ciała.

Energia, którą należało spożytkować dla publicznego dobra, została zamknięta między ścianami domu w angielskim stylu i była ostatecznie zużywana na dogadzanie zmysłom.

Właściwie bez przerwy próbował to w sobie zwalczyć. Mijał tydzień, a on nie pozwalał służącym wpuszczać do siebie żadnego mężczyzny. Zamykał się w gabinecie, przeglądał manuskrypty przyniesione z biblioteki, bardzo dużo pisał pewną ręką w oprawnym w skórę notesie, trzymając się w karchach z widocznym wysiłkiem.

Pisał wtedy górnolotne eseje, jak choćby *Zasadność przyjemności: pożądanego i wysiłek*, w którym bronił swojej pozycji i ob-

rzucal błotem nawaba. Inne rozwlekłe rozmyślania poświęcał ideom humanizmu i równości, bestii kolonializmu, grzechom religii i cnotom rozumu.

Był bardzo ironiczną istotą: czytany człowiekiem, który chciał się identyfikować z pośledniością. Napisał kiedyś dziwaczną rozprawę, *Wiejski fallus: podstępna zemsta ewolucji*. Dowodził w niej, że wieśniak, niezdolny do okazania jakiegokolwiek wyższości w obliczu dominującej elity, przez tysiąclecia zyskał ukrytą przewagę: został wyposażony w większy organ i większą jurność.

Catherine widziała jednak, że jako zawór bezpieczeństwa pisanie nie wystarcza. Syed stawał się napięty i surowy, coraz bardziej lękliwy. Każdego dnia śruba w krępującej go obręczy obracała się kilka razy. Powoli milki, słowa się wyczerpywały. Przeszawał w ogóle mówić, pisał. A potem śruba przekreślała się ostatni raz, obręcz pękała z hukiem. I kiedy Catherine przychodziła szukać go w gabinecie, on był już w łóżku i studiował geometrię z kolejnym młodym ciałem, znajdując rozkosz i odzyskując stracony głos.

Szlachetne pobudki ponownie zostały odłożone na później.

Catherine w mniejszym niż on stopniu uważała swoje położenie za pułapkę. Nie nękała jej ciągła ruja i mogła wybierać tych, których chciała, spośród mężczyzn łądujących w łóżku Syeda. Czasami któregoś rekomendował. Wtedy akcja przenosiła się do jej pokoju — Syed siedział w fotelu ukrytym w ciemnym kącie — a ona korzystała z przyjemności, najlepiej jak umiała. Bez słowa i agresywnie.

W odróżnieniu od Syeda nie czuła potrzeby, by dawać równie wiele, jak dostawała. Brała i brała, i brała, a kiedy się nasyciła, chciała zostać sama. Jej partnerzy nie musieli znosić żadnych ograniczeń, dopóki nie osiągnęła nieomylnego finału, któremu towarzyszyły silne wstrząsy i pojedynczy rozdzierający krzyk. Wtedy na pewno i szczerze było po wszystkim. Mężczyzna w najlepszym razie miał jeszcze tylko krótki moment na dokończenie. Kiedy wychodził, Syed wyłaniał się z cienia, tulił jej głowę i szeptał czule, ciepłe słowa.

Co dziwne, miało to dla niej większe znaczenie od spółkowania. Sam akt był jedynie doznaniem ulgi, rodzajem zmysłowego masażu, jaki robiła jej Banno, i niośł niewiele więcej przyjemności niż własne ręce. Nie było w nim nic z intensywnego pragnienia utrzymującej się rozkoszy, która — co Catherine odkryje w późniejszych latach — jest najważniejszą nagrodą prawdziwej namiętności.

Lojalna grupa sług Syeda wybierała, przygotowywała, nagradzała i pilnowała mężczyzn. Zgodnie ze swymi przekonaniem

Syed był niesamowicie hojny wobec służących, ci zaś upewniali się, że dyskrecja i milczenie będą zachowane. Że ich panu nie grozi narastająca wrzawa plotkarskiej kampanii. Catherine nic to nie obchodziło.

Z biegiem lat nauczyła się korzystać z przyjemności bez oglądania się przez ramię. I choć w pełni przyswoiła sobie radę Syeda o rozsądnej wyniosłości, która zapewnia wolność w indyjskim wymiarze, z ogromną pewnością siebie przechadzała się po polach i lasach, upajając się naturą i krajobrazami, które pierwsze — jeszcze gdy była dzieckiem — rozbudziły jej wyobraźnię w Orientalnych Osobliwościach Johna. Kilka razy w tygodniu uciekała z klau-strofobicznego domu. Czasami szła całymi kilometrami przez pola z dojrzewającą pszenicą, muskając palcami nabrzmiałe kłosy, czasami godzinami siedziała nad Bangangą i rzucała kamyczki w rwący nurt, a czasem siadała pod masywnym pnem figowca, rosnącego tuż przed starożytną świątynią Dewi, i słuchała niekończącego się śpiewu, który dochodził ze środka.

Okolicę obiegały wieści o jej dziwactwach, o jej sekretnych mocach, tajemnych praktykach.

Ona jednak wcale się tym nie przejmowała. Czuła tylko coraz większą odrazę do tego, co się działo w rodzinie panującej, a czego w najmniejszym stopniu nie dawało się porównać z tym, co robili ona ze Syedem.

Pogoń za błahymi przyjemnościami wypełniała życie władców Dźagdewpuru. W kuchni nawaba pracowało pięćdziesięciu dwóch kucharzy. Każdy specjalizował się w jednej potrawie i musiał przyrządzać ją codziennie. Nawab wyskubywał co smaczniejsze maleńkie kaski, a resztę jedzenia odsyłał do klimatyzowanego psiego pałacu, gdzie podawano je czworonogom na drogiej zastawie.

Każdy pies miał indywidualnego opiekuna, który ryzykował pracę, a nawet życie, jeśli jego podopiecznemu stało się coś złego. Przedwczesna śmierć ulubieńca nawaba, doga niemieckiego Gul-badana, skończyła się dla psiarczyka Imtiaza publiczną chłostą; bito go, aż skóra na plecach odłaziła zakrwawionymi płatami. Gulbadanowi urządzono państwowy pogrzeb, złożono w ofierze jedenaście białych pawi, a żołnierze ze złotymi szamerunkami i czerwonymi sznurami maszerowali w tę i z powrotem, kiedy składano go do grobu w trumnie z polerowanego drewna tekowego.

Nawab naprawdę kochał swoje psy; co noc jeden z nich spał z nim w łóżku.

W księdze aforyzmów nawab zapisał: Co pies zrobić może, człowiekowi nigdy się nie uda.

Ta złota myśl była zagadką dla całych pokoleń uczniów.

Zenana, w której upchnięto ponad sto kobiet, przypominała psi pałac; różniła się od niego jedynie tym, że było tam odrobinę więcej pluszu. Kiedy Catherine odwiedziła ją po raz pierwszy, na widok tyłu piękności zaparło jej dech. Stłoczyły się wokół niej; ich skóra połyskiwała perfumowanymi olejkami, uszy, nosy i palce lśniły od brylantów i rubinów, ciała spowijały brokaty i jedwabie. Ale oczy miały puste, nawet ich ciekawość wydawała się przygaszona. Zdaniem Syeda przyczyną była świadomość, że nic nie zmieni ich życia, nawet pełny serwis informacji o tym, co dzieje się na świecie. Przekonanie, że nikomu nie są potrzebne, łamało w nich ducha. Niektórych z nich nawab od lat nie brał do łóżka. Musiały jakoś sobie radzić z samopoczuciem i ciałem w pozłacanych ścianach zenany.

Nawab miał zaprojektowany specjalnie dla niego przenośny klozet z poduszką w oparciu, wystarczająco duży, by pomieścić jego wydatne pośladki. Stał on w ogromnym pokoju, na podwyższeniu z dwunastoma stopniami. Po lewej stronie ustawiono stół z marmurowym blatem na talerze i kielichy, po prawej zaś pięć foteli dla urzędników, z pulpitami do pisania. Nawab, zmagając się z zaparciem, siedział na klozecie przez długie godziny i przyjmował w tym czasie poddanych, którzy ze złożonymi dłońmi czekali w kolejce przed podestem, żeby wnieść skargę lub poprosić o rozstrzygnięcie sporu. Sprawy urzędowe były załatwiane przy wtórze niskich odgłosów z przewodu pokarmowego i odbytniczych grzmotów.

Ekscesy nawaba budziły zdumienie. Miał cztery przestronne pałace wypełnione francuskimi meblami, dywanami z Aubusson i rzadkimi obrazami — pejzażami i portretami — które wisały kiedyś w najlepszych francuskich salonach. Łazienki były wielkie jak sale balowe, a sale balowe jak boiska do gry w polo. W książęcym pałacu stało sześć robionych na zamówienie rolls-royce'ów. Catherine widziała je, jak przejeżdżały, lecz sama nigdy w żadnym nie siedziała. W stajniach setki arabów stukało kopytami o ziemię.

Skarbiec nawaba w głównym pałacu — zaprezentowany jej tylko raz — wypełniały drogocенności: złote sztabki, naszyjniki i obroże z pereł i brylantów, złote napierstniki, pierścienie z bry-

lantami wielkości gładów, skrzynie srebrnych monet. W polerowanej wzmocnionej ramie zawieszono bezcenną tiarę ze szmaragdów otoczonych perłami i brylantami, którą, jak utrzymywano, przodkowie rodziny dostali od Szahdżahana za pomoc w budowie Tadź Mahalu.

Syed powiedział, że produkcja w Dżagdewpurze była obłożona podatkiem w wysokości od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu procent. Egzekwowano go z profesjonalną brutalnością, nieskażoną choćby śladem litości. Dla większości rolników naj-pomyślniejszym wynikiem było utrzymanie się na ziemi, jedzenie dwóch posiłków dziennie i uchronienie pojedynczych sztuk bydła od śmierci głodowej.

Cała ziemia w Dżagdewpurze należała do rodziny panującej.

Wieśniacy uprawiali ją dzięki jej hojności.

Syed mówił, że ojciec czasami siadał w skarbcu nago, wkładał tiarę, cały obwieszał się biżuterią, napierstnikami, kolczykami, naszyjnikami i wzywał kobiety, żeby przechodziły obok niego i doznawały olśnienia. Marzył, by robić to z pełną erekcją, bo słyszał, że udaje się to maharadży z Patijali. Ale był tak niemrawy, tak zepsuty nadmiarem przyjemności, że dla nikogo nie było tajemnicą, iż nawet w najlepszych czasach miał kłopoty ze wzrodem.

Dziesiątki aptekarzy, zielarzy i alchemików — na państwowych etatach — godzinami mieszało i łączyło zioła oraz eliksiry w poszukiwaniu sekretu nabrzmienia. Książęca wiotkość była poważną sprawą. Szaleni naukowcy, wypróbując swoje wynalazki, przyprawiali się o choroby. Wypalali sobie dziury w żołądku, wywoływali rozległe czyraki i guzy, tracili włosy, cierpieli na częściową ślepotę, rozregulowywali jelita, wyniszczali genitalia, a nawet tracili rozum.

Przyświecające im motto brzmiało: Fallus nawaba stanie się sztywny jak kij.

Podczas gdy nawab był utracjuszem, jego młodszy syn, dziedzic, brat Syeda, Zafar, okazał się niszczyicielem. Rachitycznej budowy — praktykowana od pokoleń endogamia prowadziła do upośledzeń — miał skłonność do okazywania mściwej władzy. Polio zostawiło mu niewładne lewe ramię, zwisające bezużytecznie z boku, prawe natomiast bez przerwy było zajęte okładaniem pięścią lub policzkowaniem kogoś.



Dotknięty do żywego efektami nauki Syeda, nawab chronił Zafara przed zbytnią edukacją. Jego wykształceniem zajmowali się w pałacu uczeni, którym nawab zakazał rozwódzić się nad literaturą, estetyką i filozofią. Sztuki wyzwolone mogły okazać się torpedami dla autokracji, wybuchając ładunkiem humanitarnych i egalitarnych ideałów i pogrążając wspaniałą ideę boskiego pochodzenia władzy.

Cokolwiek by mówić, fiasko nadziei pokładanych w starszym z braci odcisnęło na Zafarze piętno. Chciał on zadowolić ojca, chciał zadowolić samego siebie. Już we wczesnym dzieciństwie sporo ucierpiał z powodu obojętności ojca i kąśliwych uwag dotyczących jego niewładnego ramienia. Nazywali go półnawabem. W tamtym czasie wszyscy zachwycali się przystojnym Syedem, a Zafar pozostawał jedynie kaleką w jego cieniu. To obudziło w nim silną potrzebę akceptacji i uzewnętrzniło niebezpieczną zjadliwość, którą w normalnych warunkach dobrzy rodzice z łatwością by wyplenili.

Znalazszy się nagle na środku sceny, Zafar stał się tyranem. Zaczął kompletować armię służących i łobuzów lojalnych tylko wobec niego. Wyjmowali mu papierosa z ust, kiedy palił, rozbierali go, kiedy szedł się kąpać, i nawet przygotowywali mu kobiety, kiedy miał ochotę na spółkowanie.

I w takim stopniu, w jakim jego ojcu nie stawał, jemu właściwie nie opadał. Zafar miał własny harem w starej haweli, należącej kiedyś do nieżyjącej już jednej z begam ojca. Urządzał tam orgie, a nierzadko dostawał się pod tak wielką liczbę nagich i nasmarowanych olejkami ciał, że lojalni zakapiorzy musieli wyciągać go spod nich, ratując przed uduszeniem. Był okrutny wobec kobiet, które go drażniły. Przypiekał je papierosami, rzucał swoim zbirom, chłostał im tyłki, a niekiedy kazał nawet sprowadzać ogiery z książęcej stajni, by je pokryły i rozerwały im uda.

Z czasem miał czelność przeglądać harem ojca i wybierać sobie stamtąd, kogo chciał. Nawab — wymęczony zaparciami i kłopotami z erekcją — stracił ochotę na sprzeciwianie się młodszemu synowi. Gang oprychów Zafara, ubranych w czarne sal-war-kamiz — i znanych jako czarne psy — miał swoją hierarchię i podział ról. Zło bardzo szybko się organizowało, gdyż — w odróżnieniu od dobra — odznaczało się jasnością celu i szybkością działania.

Ruja Zafara nie ograniczała się do samych kobiet. Lubił też młodych chłopców. Nastoletnich, ładniutkich, niezbyt owłosionych — praktycznie kobiety z penisami. Wybrani na catamite ka-

lekiego półnawaba wiele ryzykowali. Uleganie pociągowi do chłopców przypominało mu o klęsce brata i wzbudzało w nim głęboki wstręt do samego siebie — który wyładowywał na kochankach. Kiedy kończył po zaledwie kilku minutach — słabiutko, zawsze słabiutko i z nagłym charkotem — chłopaków zaciągano na tortury i upokarzano. Niektórych gwałcono tłuczkiem z końcówką wysmarowaną chili, innych zmuszano do seksu z książęcymi psami, a naprawdę pechowym cięto fallusy na cienkie plasterki i rzucano sępom.

W końcu Zafar i jego czarne psy stali się takimi tyranami, że rodzice zaczęli ukrywać co ładniejsze córki — i synów — przed obcym okiem i nawet mężatki zaczęły nosić burki dla ochrony.

W swej księdze nawab napisał: Mężczyzna z ładną żoną i bez muszkietu musi się nauczyć skrywać ją w domu.

W czasach Zafara setki niewinnych ludzi zniknęło w nieoznakowanych grobach. Przez dłuższy czas podpułkownik Brosnan powstrzymywał się przed wkroczeniem do akcji, bo Zafar umiał dobrze się przysłużyć i jemu, i jego przełożonym. Kiedyś zorganizował dla gubernatora Zjednoczonych Prowincji i jego gości z Londynu polowanie na tygrysy w Teraju. Ściągnął do lasu całą armię słoni i Dżagdewpurczyków, którzy mieli wypłaszać zwierzynę. Kiedy dzień dobiegł końca, pola pszenicy wokół Kaśipuru były zupełnie zdeptane, wokół stali zmęczeni naganiacze, a pośrodku leżało sześć wspaniałych kotów o szklistych oczach, ułożonych niczym brzana po wyciągnięciu z wody.

Innym razem bratankowie gubernatora Pendżabu zamierzali o polowaniu na kuropatwy. Jednak wówczas na tych terenach występowało bardzo niewiele kuraków. Czarne psy przystąpiły do działania, przeczesując ptasie bazyry w Delhi i Laknau. Wkrótce wielkie klatki z gałęzi wypakowane ptakami zaczęły przybywać na maleńką stację kolejową w Dżagdewpurze. Zwieziono pociągami kilka tysięcy sztuk i przez całe tygodnie ich ciche ćwierkanie — kaan, kaan, kaan — wypełniało miasto. Wybredni bratankowie i czarne psy zastrzelili je wszystkie w trzy dni.

W mieście ponownie zapanowała cisza. W oszalałym świecie nawet masakra może nieść ulgę. Brosnan miał skrepowane ręce także na inne sposoby. Ekscesy seksualne niewiele go obchodziły, dlatego dziewczyny i chłop-

cy Zafara nie przyciągali jego uwagi. Hołdował jednak skrywanej obsesji, na rzecz której był gotów do daleko idących kompromisów. Był sułtanem onanizmu i miłośnikiem sztuki. Połączył te dwie pasje w poszukiwaniu starych erotycznych miniatur indyjskich. Ze szkoły mogolskiej, ze szkoły kangryjskiej, ze szkoły radżputańskiej, ze szkoły wschodnich Indii. Do jego ulubionych należała *Wariacja pozycji niewyczerpanej łagodności*, prowincjonalna mogolska miniatura z około 1775 roku, na której koniuszek siedzącego mężczyzny ledwie dotykał nabrzmiałych warg joni kochanki. Kolejna z jego faworyt, *Pozycja ułagodzonego słonia* ze szkoły kangryjskiej, przedstawiała chłopca w turbanie, na kolanach, wchodzącego w kochankę od tyłu, otwierającego ją niczym kwiat tuż poniżej ciemnego pączka odbytu.

Ale najbardziej cenił sobie we własnych zbiorach *Stado krów*, miniaturę z Radżastanu, na której wąsaty Lothario, rozciągnięty na plecach, drażni cztery kobiety stojące w czterech rogach łoża, wpychając im palce nóg i rąk, podczas gdy piąta kuca przy jego grubym organie, oraz drugi rysunek z cesarzem Dżahangirem, trzymającym jedną rękę na łbie oswojonego geparda, a drugą na głowie konkubiny, której twarz jest głęboko wciśnięta między jego uda. *Popołudnie cesarskiego ryku*.

Zafar regularnie przywłaszczał sobie eksponaty cudownej kolekcji znajdującej się w Dżagdewpurze — której prawdziwą wartość pojmowała jedynie garstka ludzi — i przekazywał je podpułkownikowi.

Brosnan ukrywał dzieła starannie i od czasu do czasu urządzał pokazy pornografii.

Ale wtedy doszło do dwóch wydarzeń, które zaczęły psuć Zafarowi szyki. Wydarzeń, które doprowadzą do tego, że Catherine ostatecznie zerwie więzi z Dżagdewpurem.

Pierwsze było następstwem zachłyśnięcia się władzą. Zafar oszalał. To, co zwykł robić z czarnymi psami po nocach, zaczął robić w biały dzień. Panny młode były hańbione w godzinie ślubu, kupcom konfiskowano towar bez powodu, wieśniaków zapędzano do pracy w czasie polowań i przy budowach, nawab był na okrągło obrażany publicznie, każdemu, kto choćby wyszeptał słowo sprzeciwu, ucinano język, podrzynano gardło, odrąbywano członki.

Każdy z czarnych psow stał się ekspertem we władaniu miejscowym nożem sprężynowym: mistrzem ostrza, który potrafi wyciągnąć nóż, otworzyć go i przeciąć główną żyłę — kalecząc lub zabijając — w mgnieniu oka.

Czasami ciała były przysyłane rodzinom jako ostrzeżenie, czasami wrzucano je do głębokiego dołu, gdzie piętrzyły się już inne. Wszystkich skłonnych do krytyki przeprowadzano obok niego, udzielano im lekcji terroru, aż rzygali ze strachu.

Brosnan jako przedstawiciel imperium musiał wkroczyć do akcji. Żadna z cennych miniatur nie była w stanie zatuszować podobnych zachowań. Oficjalnie wezwał do siebie Zafara, który musiał obiecać, że będzie się hamował. Ograniczenie przybrało formę chloroformu. Obląkany młody półnawab zachwyił się odkryciem tego przezroczystego płynu o śmiertcionośnej mocy. Ogromne słoje z chloroformem zostały sprowadzone od farmaceutów z otoczonego murami miasta Delhi i złożone w jego pałacu. Morderstwo zyskało wymiar przyzwoitości: zaczęto je popełniać elegancko za pomocą chusteczki do nosa. Zafar mógł się pozbywać ogromnej rzeszy ludzi bez prostackiej brutalności i bez zostawiania śladów. Zwykli ludzie, niepotrafiący odgadnąć, czym są atakowani, nazwali przyczynę śmierci smrodem czarnego psa.

Erotyczne miniatury znowu z powodzeniem tuszowały zbrodnię.

Drugie wydarzenie wiązało się z pierwszym. Wokół Syeda zaczęły się tworzyć enklawy oporu. Przez ponad dziesięć lat Catherine patrzyła na Syeda grającego rolę hojnego dobroczyńcy poddanych, nie przywódcy, nie źródła inspiracji. Ale teraz mężczyźni, którzy odwiedzali jego dom, mieli coraz mniej wspólnego z seksem lub prośbami o drobne przysługi, za to więcej ze sprawami państwa.

Przychodzili namawiać Syeda, by przejął władzę i położył kres terrorowi Zafara. Zasady moralne starszego z braci i jego postępowe poglądy były dobrze znane — jeśli ktokolwiek miał wyprowadzić lud ze straszliwych mroków, to tylko on. Syed poczuł dreszcz emocji: nadszedł najważniejszy moment jego życia. Wprowił w ruch listowną kampanię, skierowaną do urzędu wicekróla w Kalkucie i Wydziału Indii w Londynie. Wykorzystanie odległego wroga dla pozbycia się najbliższego uznał za sensowną taktykę.

Ale przewroty wymagają działania, nie epistoł.

Chcą mundurów, organizacji, hierarchii, bitwy.

Syed dyskutował o tym z Catherine każdego dnia długo i z przejęciem. Stała się jego równoprawnym partnerem. Wiedziała już wszystko o rodzinie panującej w Dżagdewpurze i zrobiłaby wiele,

byle tylko odsunąć ją od władzy nad poddanymi, ale uważała jednocześnie, że Syed nie nadaje się do sprzątanania tego bałaganu. Był uczonym, nie działaczem, reformatorem, nie wojownikiem, przewodnikiem, nie generałem.

Najlepiej służył swemu ludowi w sposób, w jaki robił to od lat: spotykając się na werandzie cztery razy w tygodniu z poddanymi wnoszącymi skargi i proszącymi o rozstrzygnięcie sporów — pochylając się nad ich nędzą. Nastawiał życzliwego ucha nawet najbardziej nużącym zwierzeniom i bardzo rozważnie udzielał rad. W jego zaangażowaniu w sprawy ludzi nie było żadnego fałszu, żadnej interesowności. A przy tym bardzo hojnie rozdawał pieniądze — jakby miał nie dożyć następnego ranka.

Catherine nigdy nie kochała Syeda bardziej niż w chwilach, gdy widziała go na werandzie, dzielącego się mądrością i pieniędzmi, otoczonego aurą sufi.

To był ten sam człowiek o żarliwych słowach, ten z paryskich kawiarenek, w którym się zakochała.

Teraz jednak bała się o niego, widząc go w nowej, obcej mu roli. Obawiała się, że przy eskalacji działań zostanie zniszczony nie przez zwykłego wroga — jego brata — ale przez własnych popleczników. Kiedy uczestniczyła w wieczornych spotkaniach i patrzyła na przemawiających ludzi o rozplomienionych oczach, widziała również sprężynowe ostrza zwisające im u boku.

Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jeśli teraz Syed nie podejmie działania, będzie tego żałował do końca życia. Nie dzieliła się z nim swoimi sądami i wspomagała go, jak mogła; chciała, by rozglądał się wokół w poszukiwaniu właściwych rozwiązań. Ale Syed szukał potwierdzenia swego losu. Chciał, by Catherine kazała mu korzystać z chwili. A ponieważ tego nie robiła, po raz pierwszy w życiu zaczął kokietować na wszelkie możliwe sposoby wróżbitów, panditów i maulawich. Wszyscy co do jednego powtarzali mu, że godzina nadeszła — wkrótce przyszłość Dżagdewpuru miała zostać ukształtowana jego rękami. Wyczytali to w pozycjach konstelacji, liczbach, w liniach dłoni, w snach.

Syed wykonał pierwszy ruch. Utworzył radę wojenną. Jego poplecznicy wybrali dla siebie białe salwarkamiz jako mundury i sierpy o krótkich trzonkach jako broń. Pierwsze było symbolem czystości, drugie wsi. Ogłosili swoje akty wiary:

Bóg ponad nawabem.

Człowiek ponad psem.

Sierp ponad nożem.

Śmierć ponad hańbą.

Biorąc pod uwagę sytuację przywódcy, unikali kontrowersyjnych zestawień w rodzaju bogaci i biedni, hetero i homo. Jak to się dzieje w przypadku wszystkich mężczyzn ubranych w mundury i wyposażonych w broń, poziom ich testosteronu poszedł w górę. Wypracowali własny szyfr językowy, zgodnie z którym trzeci wyraz w każdym zdaniu był słowem operacyjnym. Mieli potajemny salut — dotknięcie nosa — mający symbolizować, że pierwszej odetną sobie nos, niż zdradzą się nawzajem.

Próbując wypełnić zadania mężczyzn, łatwo stali się chłopcami.

Catherine przyglądała się temu z ogromnym niepokojem, gdyż nawet Syed robił wrażenie, jakby mu się to podobało.

Wycofała się do biblioteki i zaczęła czytać. Większa część domu stała się istnym ulem. Mężczyźni w bieli przychodzili i wychodzili o wszystkich porach dnia i nocy. Syed przesiadywał bez przerwy na radzie, dyskutował o operacjach i logistyce. Przeskok od analiz książkowych i idei do przewidywania motywów i zachowań prawdziwych ludzi to gigantyczna zmiana. Syed nie był na nią przygotowany. Prawdopodobieństwo, że w swoim rozumieniu zwykłych ludzi arystokratyczna elita będzie bardziej chwiejna, jest znacznie wyższe niż w przypadku elity ludzi skorumpowanych. Ponieważ podstawowe instynkty są powszechniejsze, łatwiej na nich grać niż na instynktach wyrafinowanych.

Ludzie z otoczenia Syeda, wykorzystując jego patronat, załatwiali swoje małe interesiki: spierali się o własność prywatną, terroryzowali handlarzy i ściągali z nich kontrybucję, doprowadzali do nędzy chłopstwo, zabierając ziarno, znęcali się nad chłopcami, zmuszając ich, by wykonywali za nich pracę, i czasami zabawiali się za darmo w burdelach.

Wkrótce Dżagdewpur miał kolejne źródło strachu: białe psy.

Obie bandy — Syeda i Zafara — rozbiegały się po ulicach, uliczkach i zaułkach, meczetach, polach, ogrodach i szkołach. Wojna została wypowiedziana.

Siedząc na nocniku, grząc odbytem, nawab napisał w księdze: Żeby znaleźć spokój w życiu, musimy wszyscy szamotać się pomiędzy białym i czarnym.

Wszystko to miało tragiczny finał kilka miesięcy później. Dla każdego. Zwłaszcza dla Syeda. A iskrą, która wywołała pożar, stała się krwawa groteska. Po kilku utarczkach pomiędzy białymi

i czarnymi psami, zakończonych paroma ranami ciętymi i kłutymi, siły Syeda postanowiły przeprowadzić akcję dywersyjną za linią wroga: uderzyć w czułe miejsce nieprzyjaciela przy jednoczesnym ograniczeniu własnych strat. W bezksiężycową noc wataha sześćdziesięciu białych mundurów, z sierpami w prawej dłoni i sporymi kawałami baraniny w lewej, natarła na klimatyzowany pałac psów nawaba.

Wybuchło pandemonium śmigających sierpów i klapiących zębisk.

Biali wojownicy Syeda byli gryzieni w łydki, ramiona, pośladki, krocza. Mungeri Lala, chuderlawego szewca, widziano, jak szaleńczo ujeżdżał bernardyna, bezskutecznie usiłując go zachłastać. Irfan, chudy jak szkielet krawiec, kręcił się w kółko jak bąk, z dobermanem mocno uczepionym jego penisu. Bholu, zamiatacz po pięćdziesiątce, został osaczony przez rodzinę dziesięciu ujadających jamników, które wszystkie niczym pijawki wgryzały mu się w nogi, podczas gdy on przeklinał, kopał i wymachiwał sierpem.

Kiedy masakra zakończyła się po dwóch godzinach — kontratakami niemrawych, zniewieściałych gwardzistów nawaba — cztery białe psy i sto dziewięć czworonogów przypląciło ją życiem. Labradory, charty, jamniki, spaniele, owczarki alzackie, szpice, dogi niemieckie, beagle, apso, doberman, boksery, buldogi, teriery leżały z wyprutymi flakami na marmurowej posadzce, wciąż z kawałkami mięsa w pyskach. Wiele innych kulilo się pod korynckimi kolumnami, krwawiło z ran, konało.

Wycofujące się siły uderzeniowe, w poszarpanych ubraniach, wtopiły się w noc, kulejąc, wspierając się na sobie nawzajem, pośród jęków i wybuchów śmiechu.

Nawab oszalał z bólu.

Władze brytyjskie w Bombaju dobrały się Brosnanowi do tyłka, co było dyskomfortem, jakiego nawet pozycja latającego żółwia z mogolskiej miniatury nie była w stanie złagodzić.

W ciągu zaledwie kilku dni zastąpił go pułkownik James Boycott z Yorkshire. Twardy, szorstki, w ogóle nie interesował się sztuką ani onanizmem. Połączył siły z nawabem i przystąpił do temperowania obu jego synów.

Organizacja czarnych psów Zafara została rozwiązana. Jego trzech głównych zauszników skazano na wygnanie z Dżagdewpu-ru — groziła im kara śmierci, gdyby kiedykolwiek ponownie ich tam złapano. Władza administracyjna została mu odebrana, podobnie jak dowództwo rozwydrzonej policji i jeszcze bardziej za-

losnej armii. Nie miał też już prawa nawet oglądać kolekcji sztuki. Zostawiono mu harem i zachęcono, by raczej tam spędzał dni.

Los Syeda okazał się sroższy. Nałożono nań ścisły areszt domowy. Jego gości kontrolowano i wydano rozkaz, zgodnie z którym nigdy już nie wolno mu opuścić księstwa. Wszyscy bali się jego żarliwych mów, jego siły moralnej i zdolności do skupiania na sobie uwagi Dżagdewpuru. Pozwolono mu zatrzymać służących, ale dochody zmniejszono mu do jednej czwartej, by nie mógł już prowadzić żadnego życia publicznego.

Boycott wyjątkowo nie lubił tubylców o intelektualnych pretensjach. Nienawidził wyrafinowania Syeda i jego homoseksualizmu. Przyjemność sprawiało mu myślenie, że zdławi w nim jedno i drugie. Jego postawę wobec białych psów cechowała mściwość. Dwudziestu z nich, zamieszanych w masakrę w pałacu, wytropiono i postawiono w stan oskarżenia — świeże blizny pozwoliły ich łatwo wykryć. Pięciu powieszono, pozostałych skazano na dożywocie. Stary Maąbul opowiadał, że Umaid, kiedy zarzucano mu na głowę płócienny kaptur, w ostatnim błaganiu krzychał imię Syeda.

Kiedy Boycott przyszedł zobaczyć się ze Syedem, nawet nie udawał, że dostrzega Catherine — była białym śmieciem, który poślubił brązowego śmiecia.

Rozmawiał ze Syedem jak pan z niewolnikiem. Uczony książę nie odezwał się słowem, wpatrywał mu się po prostu w oczy.

Ale był kompletnie złamany.

Wycofał się do gabinetu. Przesiadywał tam całymi dniami, patrząc przez okno na wielkolistną plumerię, prawie w ogóle nie czytał, pisał coś jedynie od czasu do czasu. Niektórzy z dawnych kochanków nadal mieli do niego dostęp, ale jego ciało oziębło i nie szukał już zbliżeń. Wydawał się zatapiać w sobie, kurczyć fizycznie. Największa przyjemność jego życia, rozmowa, zanikła. Już się prawie nie odzywał. Siedzieli oboje z Catherine otoczeni książkami, pozwalali, by dzień mijał, włączano lampy, cisza narastała.

Mniej więcej w tamtym czasie Catherine odkryła terapeutyczne właściwości prowadzenia dziennika. Przez lata widziała, jak Syed pisze regularnie w oprawionych w skórę notatnikach, ale nigdy nie zaciekało jej, dlaczego to robi. Teraz — o lata całe oddalona od dzieciństwa w Chicago, zepchnięta na margines historii, bez żadnych perspektyw na teraźniejszość i przyszłość — zaczęła odczuwać potrzebę nadania sensu własnemu życiu.

Poprosiła Syeda o notatniki i o radę.

Syed powiedział: Pisz bez obaw i bez koloryzowania. Niczego nie ukrywaj. I nie przejmuj się tym, jak piszesz. Pisz ze świadomości-



cia, że to, co piszesz, nie jest literaturą, tylko surowym materiałem literackim. Może któregoś dnia ktoś zrobi z niego literaturę.

Wzięła dziesięć notesów z szafy, zajęła stół w przedpokoju gabinetu i przystąpiła do odgrzebywania swojego życia. Zaabsorbowana, nawet sobie nie wyobrażała, w jakim stopniu to zajęcie ją pochłonie. Stół przywoływał ją przez cały dzień, a gruntowne przypominanie sobie tego, co było, napełniało ją dziwnym spokojem. Słowa nadawały jej życiu solidność, której nagle w nim zabrakło.

Nie mogło to jednak trwać w nieskończoność. Słowa nigdy w pełni nie zastąpią życia. W czasie gdy pisanie dziennika zaczęło odgrywać swą prawdziwą rolę — terapeutę zajmującego jedynie część dnia — powróciły do niej ogromne obszary życiowej pustki, domagające się wypełnienia.

To właśnie wtedy przyszedł do ich domu człowiek proszący o posłuchanie. Mężczyzna, który ponownie zmieni ich życie. Ostatni raz.

Boycott zakazał Syedowi urządzania cztery razy w tygodniu darbarów na werandzie, ale wolno mu było przyjmować pojedynczych gości, których wcześniej sprawdzili gwardziści nawaba. Dochodziła dziewiętnasta, lecz czerwcowy upał nadal pulsował potężnymi falami, a na indyjskich nizinach wszystko — ludzie, bydło, rośliny — leżało w odrętwieniu, z trudem łapiąc powietrze. Od tygodni tumany pyłu unosiły się nad Dźagdewpurem i nawet ptaki — wróble, gwarki, kruki, papużki — można było usłyszeć jedynie o świcie i w ostatnich minutach przed zapadnięciem zmroku. Kiedy szło się drogami przez pola, trupy padłego bydła leżały na popękanej ziemi, a ponure sępy pożywiały się na ich kościach.

Chłopi — i wszyscy, którzy pracowali pod gołym niebem — wstawali o czwartej rano i wracali do chat o ósmej. Ci, którzy musieli podróżować, przemieszczali się nocą, za dnia kryjąc się w cieniu. Niczym jedno gigantyczne oko miliony ludzi wpatrywały się w horyzont, marząc, by pociemniał.

Co dzień meteorolog nawaba ryzykował zapowiedź monsunu i nieodmiennie się mylił. Ale dzięki Boycottowi nawab odczuwał spokój. Nie miał już na głowie problemów z synami. Drewniane i druciane klatki z nowymi szczeniakami zaczęły przybywać do psiego pałacu. Z laboratorium libido donoszono, że aptekarzom udało się uzyskać niebieski proszek, który sprawia, że organ staje

się twardszy i nie trzeba się już uciekać do pozycji cesarza. Występowały przy tym jednak skutki uboczne, takie jak bóle głowy, zatykanie nosa i zaburzenia wzroku, jednak wyeliminowanie ich było jedynie kwestią czasu. Tak więc nawab leżał w basenie z płatkami róż — zgryźliwy hipopotam — i opróżniał nieskończony ciąg zielonych szklanek z sorbetem z korzenia wetiwera, obmyślając kolejny aforyzm i śniąc o niebieskim proszku, który wywoła nabrzmienie naturalnych rozmiarów.

Zafar leżał nagi w innym basenie z perfumowaną wodą, w swoim haremie w starej haweli, i regularnie osiągał orgazm dzięki pięknym konkubinom. Ale nie czerpał już z tego żadnej przyjemności. Był po prostu mechanicznie pobudzany i doświadczał pustej ulgi. Bez poczucia władzy rozkosz nie istniała. Urodził się do rządzenia, rozkazywania, dominowania. Urodził się do trzymania w garści nici życia tysięcy. Urodził się do oglądania strachu w ludzkich oczach i z tego strachu oraz siły, jaką z niego czerpał, pochodziły soki jego życia. To, z czym go teraz pozostawiono, ograniczało się do niewiele wartych pałacowych przyjemności — ubrań, biżuterii, służby, przyziemnych luksusów i pozbawionych smaku orgazmów.

Zafara zżerało pragnienie wolności. Żuł opium cały dzień, wpadał we wściekłość z byle powodu i wyżywał się na wszystkich, których miał pod ręką. Najchętniej skreśliłby kark Syedowi i jego białej wywłóce. Głupi pedał, bez kontroli nad własnymi pomysłami i działaniem, zniszczył ich obu — i siebie, i Zafara. Uczynił ich więźniami we własnym księstwie. W każdej minucie Zafar obmyślał, jak się go pozbyć. Bo gdyby Syed był martwy, wymiar kary mógłby się zmienić i Zafar znowu położyłby łapę na sterze władzy.

Ale jego szpiedzy donosili, że Syed jest co najwyżej bardzo smutny. A nawet jeśli smutek zabija, trwa to bardzo długo. Zafar zaś był w najlepszym razie niecierpliwym człowiekiem.

Catherine i Syed siedzieli na werandzie obitej drucianą siatką, kiedy cherlawy Ram Asre — który ożenił się z Banno i wszedł w skład domowej służby — oznajmił wizytę petenta. Duży wachlarz poruszał się wolno, przesuwając fale gorącego powietrza po mokrej skórze. Quisqualis, który Catherine posadziła siedem lat wcześniej, zarastał teraz w całości druty siatki, zasłaniając ciekawskim oczom widok. W tej chwili pokrył się drobnym różowym kwieciem. W ogrodzie

plomień Afryki gwałtownie traciły jaskrawoczerwone kwiaty. Rozparty na rattanowym fotelu, z nieprzeczytanym egzemplarzem *Pani Bovary* na kolanach, Syed już niemal odprawił Rama Asre gestem, ale w tej samej chwili poczuł typowe dla siebie ukłucie wyrzutów sumienia i skinął głową.

Mężczyzna, który wszedł, był wysoki i dobrze zbudowany, z szeroką twarzą o ładnych rysach. Miał sumiaste wąsy podkreślone do góry, a jego usta wydawały się niezwykle pełne i grube. Kiedy uklonił się nisko przed Syedem, głowę trzymał wysoko i równo. Nazywał się Gadź Singh. Prosił o pozwolenie mówienia bez strachu i w pełnym zaufaniu.

Gadź Singh od lat pracował w książęcej kuchni. Jego specjalnością była pudinakorma-i-dilbahar, czyli dobrze rozbita baranina przyrządzona z tradycyjnymi przyprawami i na koniec skąpana w miętowym soku. Nawab nie znosił tej potrawy i zgodnie z tym, co powiedział Gadź Singh, spróbował jej tylko raz w ciągu ostatnich czterech lat, choć przygotowywana była codziennie. Ale doberman najwyraźniej ją uwielbiał i kiedy miał wolne, były na granicy strajku głodowego.

Gadź Singh powiedział, że przed czterema miesiącami przeniesiono go do pałacowej kuchni Zafara. A tam usłyszał złe rzeczy. Wyprostowany, z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrząc na Syeda i mówiąc z doskonałą mieszaniną szacunku i godności, Gadź Singh oznajmił, że przyjemność nie jest złem, luksus nie jest złem, środki odurzające nie są złem — bogowie stworzyli je, by człowiek mógł zakosztować boskości — ale podle zamiary są złem, chciwość jest złem, zazdrość jest złem, morderstwo jest złem — zmniejszają bowiem nawet bogów do wymiarów człowieka.

W tych dniach w pałacu półnawaba Zafara cienie szeptały jedno: jak pozbyć się Syeda po cichu, bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. A z nim — tu spojrzął na Catherine z ukosa, łagodnymi, spokojnymi oczami — angrez bibi, białej memsahib.

Syed siedział nieporuszony, jakby w ogóle niczego nie słyszał. Ostre słońce wreszcie zaszło i nad werandą zapadła ciemność. Maq-bul i Ram Asre przynieśli po dwie lampy z podstawami w kształcie tygrysich łap.

Gadź Singh powiedział, że wiele spisków już uknuto. Książę powinien z namysłem godzić się na spotkania i jeść ostrożnie. Każdy gość powinien być przeszukany, zanim stanie przed jego obliczem. Każdy kęs powinien być próbowany przez kogoś innego, zanim trafi na jego talerz. Łóżko powinno być przewracane do góry nogami każdego wieczoru, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim

węży. A okiennice jego pokoju powinny być starannie zamknięte przez cały czas, dniem i nocą.

Prawdę mówiąc, byłoby najlepiej, gdyby jego książęca wysokość jak najprędzej wyjechał z Dżagdewpuru.

Syed patrzył na niego bez jednego słowa, ani zaniepokojony, ani wdzięczny.

Catherine podeszła bliżej i powiedziała: Jesteśmy ci głęboko wdzięczni, ale dlaczego zdecydowałeś się na ten krok? Gdyby doszło to do Zafara, kazałby cię obdrzeć ze skóry.

Gadź Singh spojrział na człowieka siedzącego na fotelu i powiedział: Ja i moja rodzina zawdzięczamy życie prawdziwemu nawa-bowi. W górach mówimy, że jeśli zapominamy o naszych długach, bogowie szykują nas na rzeź.

Okazało się, że wiele lat wcześniej starszy brat Gadźa Singha złożył rozpaczliwą prośbę podczas darbaru na werandzie. Monstrualna burza zmiotła całe jego zbiory i bydło — rodzina głodowała. I choć nie należał do społeczności Dżagdewpuru, Syed dał mu pieniądze i załatwił pracę w policji stanowej. Rok później brat przyprowadził Gadźa Singha i umieścił go w książęcej kuchni, żeby gotował baraninę, której nawab nie znosił, a którą uwielbiały dobermany.

Catherine zapytała: A skąd możemy wiedzieć, że jesteś godny zaufania?

Gadź Singh odparł: Mam to wypisane na twarzy. A jeśli tylko nadarzy się sposobność, będzie to też zapisane w moim życiu. Tam, skąd pochodzę, wierzymy, że bogowie wybierają nas do specjalnych celów. Ja zostałem odesłany do kuchni półnawaba z jakiegoś powodu.

Mówił prawdę. Choć Catherine zadała to pytanie, ani przez chwilę nie wątpiła w szczerść mężczyzny. Chodziło o twarz. Szeroką, szczerą, z czystymi oczami, o chłopskiej godności. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie jest postawny, to tylko duża ładna twarz sprawiała, że taki się wydawał.

Catherine zapytała: Skąd pochodzisz?

Z Birhatti. Około stu czterdziestu kilometrów stąd. Wysoko w górach. Nad boskim jeziorem Najni. Myślisz o czymś konkretnym?

Gadź Singh odparł: Mam pewną propozycję. I być może plan.

## TWÓRCY I NISZCZYCIELE

Gethia była oddalona jedynie o niecałe pięć kilometrów od Birbhatti i Catherine zobaczyła ją po raz pierwszy otuloną przemierzającą się mgłą. Odkąd Gadź Singh zjawił się w ich domu, minął ponad miesiąc. W tym czasie u Syeda lekarze niby to wykryli galopujące suchoty i dlatego do Boycotta i starego nawaba skierowano usilne prośby, by pozwolili mu przenieść się do jakiegoś górskiego miasteczka. Obaj wyrazili zgodę.

Ale Boycott postawił sprawę jasno: na pierwszą wzmiankę o podburzaniu ludzi Syed zostanie wezwany z powrotem i ponownie zatrzymany w areszcie domowym. Tymczasem Gadź Singh wypowiedział pracę w książęcej kuchni i zatrudnił się u Syeda. Jego odejście nie pociągnęło za sobą żadnych konsekwencji — ani nawab, ani Zafar w ogóle nie wiedzieli o jego istnieniu. No i nikogo, oprócz dobermanów, nie obchodziła pudinakorma-i-dilbahar.

Ludzie jak on tworzyli niekończący się szereg służących. Jeden padał martwy. Następny, proszę.

W sposób zupełnie dla siebie nietypowy Catherine jechała okrakiem na niskim górskim kucu, podczas gdy Syeda nieśli w drewnianej lektyce czterej żyłaści kulisi. Poruszali się w cudownie rytmicznym tempie, stopy mieli doskonale skoordynowane, biodrami kiwali na boki, oddychali sycząco w kolektywnej zachęcie. Hszszsz. Hszszsz. Hszszsz.

Ścieżka była wyjeżdżoną polną drogą z dwiema koleinami i obciążeni kulisi dotrzymywali tempa kucowi. Gadź Singh szedł przed nimi długimi krokami górała, na samym końcu zaś maszerowała następna grupa kulisów — z dwoma mułami — niosąc namioty, pościel, przyrządy kuchenne i zapasy żywności. Było już prawie popołudnie, a oni szli od dziewięciu godzin. Biwak w Kathgodamie opuścili przed świtem, ale wiele razy przerywali podróż, żeby odpocząć i posilić się.

Monsun rozpoczął się dwa tygodnie wcześniej i ubrał góry w szatę połyskującej zieleni. Sosnowe i dębowe lasy porastały wszystkie

zbocza, a pod dębami tworzyło się gęste poszycie. Wiele koron drzew przystrajały stumetrowe girlandy pnączy. Tu i tam jaśniała fioletowa plama późno zakwitłego palisandru, a kiedy minęło się DoGaon i Dżeolikot, widać było kłębiaste chmury przylepione do górskich stoków. Zewsząd dochodził szmer płynących wartko strumieni, głośnie, wesołe gulgotanie życia.

Ptasia populacja była tu wyjątkowo bogata. W ciągu pierwszych kilku godzin w górach Catherine widziała więcej gatunków niż przez ponad dziesięć lat w Dźagdewpurze. Najpiękniejszy był niebieski ptak wielkości gołębia, z długim powiewającym ogonem — trzykrotnie większym od jego ciała — który zeskakiwał z drzewa na ścieżkę i wskakiwał na nie z powrotem. Czasami ptaki te pojawiały się w gromadzie, skrzecząc na siebie, ale najczęściej występowały w parach. Jeden z nich wzywał nagląco partnera, a w chwili gdy go zobaczył, przefruwał dalej i nawoływał z nowej grzędy.

Catherine nazwała je drażnikami, a kilka lat później Carpet Sahib powiedział jej, że to w rzeczywistości czerwonodziobe niebieskie sroki.

Od Kathgodamu droga zaczęła się wznosić, stała się szeroka i wygodna, lekko pochylona. Nie wiedzieć kiedy znaleźli się wysoko, powietrze ochłodziło się gwałtownie i im dalej się posuwali, tym intensywniejsza była drobnuteńka mżawka — właściwie samo powietrze stało się mokre — co dodało skrzydeł konwojowi i wywołało uśmiechy na twarzach.

Catherine nie pamiętała, by czuła się kiedykolwiek w życiu taka szczęśliwa i beztroska.

W Kathgodamie, przed świtem, włożyła parę bryczesów khaki i kremową muślinową bluzkę. Wygodne ubranie, zimne szare niebo nad głową, grzebiący kopytem kuc czekający na osiodłanie, kulisi usiłujący w ciemności zamocować toboły — wszystko to przyniosło ze sobą niewinną radość, jakiej od dawna jej brakowało.

Kiedy jechała pod górę, a niebo otwierało się, by zalać szczyty światłem, zsunęła sola topi i rozpuściła sięgające ramion włosy. Dwie godziny później, zanim dotarli do DoGaon, na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Zdjęła sztruksowy zakiet i rozpięła bluzkę pod szyją. Nie minęło wiele czasu, i zaczęła nucić niedbale.

Przyznał się jej potem, że z trudem odrywał od niej wzrok. Promiennosc jej skóry, odsłonięty obojczyk, odznaczające się na muślinie piersi, pośladki opięte bryczesami — rozpałały go. Potem powiedział też, że nigdy nie wyglądała piękniej niż właśnie podczas tej pierwszej podróży w góry. Powiedział, że na pewno

więzało się to z poczuciem szczęścia, bo później nigdy nie widział jej równie radosnej.

Kiedy dotarli do liczącej siedem chat osady Dżeolikot, a Gadź Singh wskazał ręką cel ich podróży — szczyt po drugiej stronie pięknej, bezludnej doliny — Catherine nabrała przekonania, że zbliża się do ostatecznego miejsca swego przeznaczenia. Gdy minęli klin Birbhatti, opuścili się do lodowatego szemrzącego strumienia spływającego z Najni, z ogromną ostrożnością przebyli go w bród, trzymając się grubej liny, i wspięli się po stromym zboczu do Ghetii, jej poczucie przynależności osiągnęło punkt kulminacyjny. Była w domu. To było jedyne miejsce na świecie, które jej przeznaczono.

Do gry przystąpiła teraz wilgotna mgła. Przemieszczała się bez przerwy, a góry i doliny po obu stronach co kilka minut pojawiały się i znikwały. Od czasu do czasu ukazywał się Catherine widok na całą dolinę, aż po górską drogę po drugiej stronie, a potem, kiedy ponownie się odwracała, nie mogła dostrzec nawet kulisów idących za lektyką Syeda. Zakrawało na cud, że i on wydawał się obudzony z wielomiesięcznego odrętwienia. Oczy mu błyszczały i rozmawiał z tragarzami. Chciał poznać nazwy miejsc, które mijali, dowiedzieć się, jaka panuje tu pogoda, jakie zwierzęta żyją w okolicy.

Miejsca. Bhumiadhar, Birbhatti, Dżeolikot, Najni i trochę dalej Bhowali oraz Pangot i ciąg jezior Bhim, Sat i Naukućija, szemrzących pięknem, pełnych prastrągów i karp. I dalej Ramgarh i Na-thuakhan, i Hartola, i jeszcze dalej Almora i Ranikhet, a potem Gwaldam, Mukteśwar, Bageśwar, Dżogeśwar i majaczące w dali niebosiężne szczyty wyższych Himalajów.

Pogoda. Mgła, mgła, mgła: Gethia, szczyt wznoszących się mgieł. Oczywiście bywa tu słońce, posyła promienie z góry przez cały rok, nie musząc pokonywać żadnych przeszkód, sprawiając, że niebo jest błękitne i czyste. Zdarzają się też deszcze, ulewne w porze monsunów, kiedy to nieboskłon opróżnia się bez końca, i sporadyczne przez cały rok. I bywa śnieg, od czasu do czasu, co roku, przez dzień lub dwa, pokrywa bielą zbocza. Bywa też bogini wichury, zjawiająca się tu każdego lata, wznosząca się w powietrze popołudniami, zmuszająca ludzi i zwierzęta do szukania schronienia. No i gdy bogowie się gniewają, bywają też burze. Szaleją z iście boską mocą i nic nie można na nie poradzić, jak tylko ukłęknać i oddać się modlitwie. Ostatecznie jednak Gethia to mgły, unoszące się, tańczące, zjawiające się i znikające mgły.

Zwierzęta. To część królestwa dużych kotów, pasiastych tygrysów i cętkowanych lampartów. Jak to jest w zwyczaju królów, pa-

siasty sporadycznie zjawia się z wizytą, przychodzi wolnym krokiem z położonych niżej lasów, by dokonać inspekcji własnej domeny. Lampart zaś to pomniejszy wódz plemienia, który z chciwością typową dla gawiedzi czai się w okolicy, porywa psy i bydło.

Rzadko, bardzo rzadko, kiedy wielki kot zasadzi się na ludzi, do urzędów państwowych w Najni i Kathgodamie trafiają skargi. Jeśli urzędnicy zawiodą, wysyła się posłańca do Kaladhungi, u podnóża gór przy drodze za Najni, gdzie zaczynają się rozległe tereny porośnięte bhabbarem. Mieszka tam wielki biały czarownik, który umie poruszać się po lesie niczym duch nocy i czyta w umyśle każdego dużego kota. Nie zabija dla przyjemności, jedynie z wyższych pobudek. I niezawodnie odpowiada na każde wezwanie o pomoc. Nazywa się Carpet Sahib.

Catherine słuchała z uwagą wszystkich informacji zebranych przez Syeda. Wtedy właśnie kochała go najbardziej. Człowieka pełnego ciekawości, chęci do nauki, nielekającego się zdobywania wiedzy od stojących najniżej. Kiedy pokonali zakręt pod kątem stu osiemdziesięciu stopni na końcu długiego wypiętrzenia — cienkiego kawałka tortu wbijającego się w wielką dolinę — Gadź Singh dał znać, że dotarli na miejsce. Syed zapukał delikatnie w lektykę, a kulisi postawili ją na ziemi. Catherine zsiadła. Kuc otrząsnął się, brzęcząc uprzężą. Jeden z tragarzy podszedł i wziął jego lejce. Zaczęli iść, Gadź Singh kilka kroków przed nimi, lecz cały czas okazywał im szacunek, idąc poboczem, na wpół zwrócony w ich stronę.

Powietrze było chłodne i rześkie, Catherine odetchnęła pełną piersią. Syed uśmiechnął się i powiedział: To właśnie dlatego wszystkich bogów umieściliśmy w górach i dlatego wszyscy oni są w gruncie rzeczy miłymi ludźmi. Ciekaw jestem, co by się działo, gdybyśmy zaczęli sprowadzać ich na równiny.

To był typowy Syed. Nie widziała go takim od długiego czasu. Samo to wystarczyło, by uznać tę wyprawę za sukces.

Obszar, który Gadź Singh chciał im pokazać, rozciągał się w górę i w dół trzech niewielkich wzniesień, a kiedy doszli do końca trzeciego, stanęli na początku ścieżki wiodącej ku położonemu wyżej miasteczku Najni, gdzie przebywała bogini. Żyła tam w pięknym i wielkim jeziorze, które okoliczni mieszkańcy od stuleci ukrywali przed światem.

Za zdradzenie miejsca jej pobytu ludziom bogini przeklęła cudzoziemskiego intruza i od tamtej pory wody jeziora co roku pochłaniały jednego białego człowieka.

Gadź Singh powiedział, że gdyby wyruszyli teraz, za dwie godziny siedzieliby nad jeziorem, popijając gorącą herbatę. Po dro-



dze minęliby zbocze, na którym biały człowiek chował swoich krewnych — przedwcześnie poległych w walkach i zmarłych podczas zarazy tysiące kilometrów od domu — i kładł kamień nad każdym, jakby świat miał dość czasu i miejsca, by oznakowywać miejsca pochówku niezliczonych zmarłych.

Gadź Singh powiedział: To wszystko wynika z próżności białego człowieka. Nawet po śmierci bardziej się przejmuję ciałem niż duszą.

Cała długość trzech wzgórz nie przekraczała półtora kilometra — były naprawdę kawałkiem tortu sterczącym w dolinie, z trzema nierównymi wierzchołkami. Kiedy Gadź Singh prowadził ich tamtędy — ledwie dostrzegalnymi ścieżkami pod sosnami i dębami — roztaczał się przed nimi zapierający dech w piersi widok na doliny po obu stronach. Jedna, biegnąca w kierunku Bhumiadharu, była ciemna i posępna, porośnięta gęstym lasem, druga zaś, wychodząca na Dżeolikot, otwierała się szeroko i swym pięknem przyciągała wzrok na wiele, wiele kilometrów.

To był magiczny dzień. W jednym momencie pieściły ich pajęczyny deszczu, kładąc warstewkę wilgoci na ubraniach i włosach, w następnym niebo się przejaśniało, a świat wydawał się wysoko sklepiony i błękitny. Mgła była wszechobecna, przemieszczała się miarowo, co chwila zmieniając widoki. Czasami stawała się tak gęsta i skotłowana, że niemal można było wyciągnąć rękę i oderwać kawałek.

Poszycie aż huczało od cykania owadów. Łopotanie pierzastych skrzydeł rozlegało się w koronach drzew, gdzie drażniki układały swoją szaradę. Ponad niecką doliny orzeł zataczał równe kręgi w powietrzu.

Z miejsca, w którym stała Catherine, widać było wijącą się drogę, przypominającą niedbale rzucony sznurek. Tu i tam, niczym wielkie paciorki, pojawiały się na nim skupiska blaszanych dachów, a w górze zboczy, z dala od drogi, widniały od czasu do czasu osiedla wciśnięte pomiędzy wąskie tarasy, uformowane ręką i motyką.

Kiedy stali i patrzyli, z samego środka doliny Dżeolikot wyłonił się łuk tęczy. W kilka minut rozrósł się nad ich głowami i zatopił zęby drugiego końca gdzieś w głębi doliny Bhumiadhar. Oniemiali, zastygli na długo w bezruchu pod wibrującym pasmem, równie potężnym jak mgła.

Kiedy w końcu tęcza zaczęła blednąć, a mgła odcięła widok, Catherine powiedziała: Gadźu Singhu, kupimy to.

Interes został dobity. Pieniądze zapłacono.

Boycott ucieszył się, że nie będzie musiał oglądać powrotu Syeda. Nawab był zadowolony, że upokorzenie syna zostało usunięte sprzed jego oczu. Wezwał do siebie Catherine i powiedział jej uprzejmie, że ma nadzieję, iż teraz Syed, wysoko w górach, odnajdzie spokój i szczęście. Zapewnił ją, że nie zabraknie im niczego. Syed odmówił spotkania z ojcem.

Raport o reakcji Zafara był, jak zwykle, zniechęcający. Otepiały nędzą własnego poniżenia, w swym rozgorączkowanym, odurzonym opium umyśle uciemiężony młodszy brat doszedł do wniosku, że Syed w jakiś podstępny sposób ponownie zbierze samą śmietankę, tak jak zdobył wykształcenie na zagranicznym uniwersytecie, poślubił białą dziewczynę i zaskarbił sobie miłość ludu.

Egzystencjalne ubóstwo Zafara łamało Syedowi serce — mimo wszystko przecież byli kiedyś kochającymi się towarzyszami zabaw, a więzi genów nie obumierają łatwo — ale na spotkanie z nim także nie potrafił się zdobyć.

W gruncie rzeczy Syed znowu żył i rozkoszował się odzyskaną formą. Nie chciał, by cokolwiek ją psuło. Catherine i on na powrót odkryli przyjemność rozmowy, przekonali się, że w ich życiu może się coś dziać. Całymi godzinami dyskutowali o usytuowaniu domu, jego architekturze i zdobnictwie. Odbyli następną podróż, a ta okazała się równie magiczna jak pierwsza — mgła nadal się przemieszczała, deszcz padał i każdy centymetr gór był pokryty zielenią.

Tym razem jednak poruszali się szybciej. Syed także dosiadł kuca, podobnie jak Catherine i Gadz Singh. Kulisów z prowiantem i ekwipunkiem wysłali przodem.

Kiedy wrócili, Syed chciał zlecić plany i projekty europejskim architektom. Zafascynował go pomysł zbudowania szwajcarskiego domu w stylu alpejskim, o wysokim stromym dachu godzącym prosto w niebo. Ale Catherine stanowczo odrzuciła jego propozycję. Postawiła sprawę jasno: dom powinien być wzniesiony w lokalnym stylu, z lokalnych materiałów i przez lokalnych rzemieślników.

Załatwienie wszystkiego powierzyli Gadźowi Singhowi.

Gadź Singh wyjechał do Kathgodamu i wrócił po czterech dniach z myszaty, krzywonogim człowiekiem nazywanym Premem Kumarem. Okazał się on specem od budowania w górach. Usiadł

w kucki na podłodze, narysował kredą dwie długie linie układające się w odwrócone „V” i w punkcie ich złączenia umieścił piętrową konstrukcję o planie kwadratu. Na niej dorysował stromy dach. Czterema krótkimi liniami zaznaczył przed niżej naszkicowanym kwadratem kolumny i dorysował werandę. Nad nią nakreślił rząd maleńkich okien — jak w pociągu — i dodał zabudowany balkon. Potem pochylił się trochę do przodu i umieścił niewielki kwadrat, podzielony na dwie części, za głównym budynkiem. Kuchnia była gotowa. Przesunął się trochę, nadal siedząc w kucki, i po obu przeciwległych końcach głównego domu dorysował dwa kolejne kwadraty, a obok nich zaznaczył krzyżykami bramy. Teraz służący zyskali dach nad głową.

Zaczynał się nieźle bawić. Przystąpił do sadzenia drzew: wokół domu, przy bramach, jako tarczy z żywopłotu mającej zakryć kwaterę służby przed wzrokiem przebywających w głównym domu. Niektórym dał grube pnie, inne obdarzył rozłożystymi koronami. Wpadł w amok. Zaczął rysować kontury odwróconego „V”, żeby pokazać, jak naprawdę będzie wyglądało zbocze, a potem zaznaczył węzowy kontur strumienia płynącego dnem doliny, dodawał nasypy na brzegu i kępy traw. Nie minęło wiele czasu i na szkicu pojawiły się ptaki wlatujące nad domem i drzewami. Chmury nabierały kształtów.

Gadź Singh powiedział: Wystarczy.

Catherine spojrzała na Syeda.

Odparł: Sama zdecyduj. To twój dom.

Przysunęła krzesło do rysunku na podłodze i wyciągając palec, zaczęła zadawać pytania.

Kiedy wiele godzin później Prem Kumar wyszedł, miał w torbie pieniądze, na twarzy uśmiech, a w krzywych nogach skoczność. Trzeci wierzchołek — wzniesienie najbliższej drogi wspinającej się do Najni — został wybrany jako miejsce budowy. Był tam najlepszy płaski teren i tarasy, a także naturalna osłona przed gwałtownymi podmuchami wiatrów, które zgodnie ze słowami Gadźa Singha wiały każdego lata, a czasem także w innych porach roku. Istniał problem z wodą — w najbliższym sąsiedztwie nie było żadnego źródła — ale Prem nie przejął się tym specjalnie. Oznajmił, że rozejrzył się dobrze po okolicy i odkrył całoroczne źródło cudownie czystej, słodkiej wody niecałe pięć kilometrów dalej, na zboczu Birbhatti, tuż pod Najni, i zdecydował, że doprowadzi się stamtąd wodę do domu rurociągiem.

Zanim wyszedł, Catherine powiedziała: Obdarzymy cię zaufaniem, ale musisz postawić dom, na który nie będziemy się skarżyli.

Gadź Singh dodał: O tak, Prem, spieprzysz sprawę, i już nigdy nie postawisz domu w tej okolicy.

Szurając krzywymi nogami, Prem odparł: Proszę spać spokojnie, memsahib. Dom będzie stał sto lat, a i wtedy wystarczy zrobić nowy dach, i znowu będzie służył przez następne sto lat. A z mojego rurociągu ludzie wypiją więcej wody, niż potrzebowałyby armia Akbara.

Syed powiedział: Cat, wyzwalasz elokwencję nawet w murarzach.

Syed nie przestawał młodnieć: wiele tygodni później, wieczorem, poczuwszy podmuchy zimnego, późnolistopadowego wiatru, Catherine skróciła codzienne zajęcia w ogrodzie i wchodząc do ogromnej sypialni Syeda, zastała go sycącego się ciałem Gadźa Singha. Paliła się tylko jedna lampa z ledwo wysuniętym knotem, stojąca obok masywnego łóża z czterema kolumnami i baldachimem. Catherine przeszła, muskana tańczącymi palcami światła, i usiadła bezgłośnie w cieniu, gdzie stał jej fotel.

Nagi Gadź Singh leżał pośrodku łóżka, ciało miał muskularne, bez grama tłuszczu, żółte światło igrało na jego zagłębieniach i krzywiznach. Niegdyś delikatny i subtelny, Syed wyglądał teraz bez ubrania na małego i postarzałego. W tej chwili pochylał się nad ciałem Gadźa Singha i robił wrażenie żalosego kundla szukającego zaspokojenia. Litość i obrzydzenie przeszły Catherine, ale zaraz wyparła je ciekawość.

Widziała, że Syed jest bardzo pobudzony; tylko ta część jego nagiego ciała emanowała siłą. Ale widziała też, jak się wysiła, by wywołać reakcję drugiego mężczyzny. Podczas gdy Syed kochał go zapamiętane rękami i ustami, Gadź Singh unosił się i opadał, chwilami smukły i ładnie zakończony, księżę w przebraniu żebraka.

Było jasne, że służący nie przyszedł po miłość, jedynie z lojalności. Leżał z dłońmi założonymi pod głowę, pozwalając swemu panu brać, co chce. Catherine dostrzegła, że jego ładna twarz niczego nie wyraża. Wpatrywał się w baldachim, nie czując ani przyjemności, ani niechęci.

Po jakimś czasie Catherine włożyła sobie dłonie między nogi. Syed zwijał się jak w ukropie, onanizował Gadźa Singha, onanizował siebie, zginał się i obracał na łóżku. Wkrótce Catherine przeżyła pierwsze powolne obroty na karuzeli rozkoszy, przyjemna ociążałość ogarnęła jej ciało. Zapadła się głębiej w fotelu, stopy

oparła o krawędź stojącego przed nią niskiego stolika. Syed zaczął wydawać ustami mlaszczące dźwięki. Spazm nie do opanowania przeszył ciało Catherine, sprawił, że zamknęła oczy i naprężyła się, poprzez oślepiające doznania usłyszała szuranie stolika.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Gadź Singh się w nią wpatruje. Żaden cień ani mrok nie jest w stanie ukryć pięknej, podnieconej kobiety. Catherine nie zmieniła pozycji, nie zsunęła nóg, nie zatrzymała rąk. I kiedy patrzyła, jak Gadź Singh wlepia w nią spojrzenie, dostrzegła, że pęcznieje i rozszerza się niczym sprowokowana kobra. Nagle stał się księciem o siłach wieśniaka. Syed zobaczył niespodziewaną erekcję i rzucił się na niego z jękiem. Gadź Singh prowadził go niecierpliwie, ani na chwilę nie spuszczał wzroku ze zmysłowego cienia.

Dwóch mężczyzn zaczęło teraz napierać na siebie i żądać wzajemnego zaspokojenia.

Karuzela rozkoszy kręciła się coraz szybciej. Catherine, pozbawiona powietrza, nie mogła złapać oddechu. Za każdym razem, gdy otwierała oczy i widziała na łóżku wpatrującego się w nią zgrabnego mężczyznę z erekcją, karuzela przyspieszała.

Nic tak nie podnosi temperatury pożądania jak pożądanie. Syed wpadł w szaleńczy trans, rzucał się dziko i poleciał z charkotliwym jękiem. Gadź Singh chwycił głowę swego pana i poruszał nią energicznie, aż pozwolił mu wysssać z siebie całe pożądanie i zabić arogancję kobry.

Przez cały czas nie odrywał wzroku od śliskich cieni. Przejście ze świadomości w niebyt ogłosił dumnym, ledwie słyszalnym pomrukiem. Ale nawet już po wszystkim nie przestał wpatrywać się w ciemny róg pokoju. Jego palące spojrzenie było ostatnią iskrą dla jej ciała. Odeszła, jaśniejac.

Choć powróciła, nadal ciągle drżała. Syed zasnął, jego niskie chrapanie odbijało się echem po pokoju. Gadź Singh nie poruszył się ani nie przeniósł wzroku.

Tej nocy, Medy Catherine leżała w ciemności na łóżku — okna były zamknięte, światło księżyca przebijało przez półprzezroczyste zasłony — kiedy leżała tak oparta o poduszki, kiedy jej jądro topiło się od żaru, a głowę wypełniało pragnienie, zobaczyła, że drzwi otwierają się powoli. Stał w progu przez długi czas — zbierając się na odwagę, jak powiedział później. Był ciemniejszą sylwetką w ciemnym pokoju, jego twarzy o mocnych rysach nie dało się pomylić z inną. Czekala i czuła, jak jej uda stają się coraz wilgotniejsze. Wydawało się, że minęły godziny, zanim wreszcie się poruszył. Do tego czasu tak podnieciła się oczekiwaniem, że mogłaby spłonąć bez dotykania.

Zamknął cicho drzwi za sobą i odszedł. Spędziła najbardziej wyczerpującą noc w swoim życiu, podobnie jak Syed, kiedy był jeszcze chłopcem i rozpacział po odesłaniu ukochanego guwenera, raz za razem zmuszając ciało do reakcji i nie znajdując ukojenia.

Następnego dnia Syed wezwał go ponownie. Tym razem Gadź Singh zadbał, by Catherine wiedziała, że zmierza do komnaty pana, i dopiero kiedy weszła, usiadła w cieniu i zaczął na nią patrzeć, ożył, stał się wściekłą kobra, wprawiając Syeda w rozgorączkowanie.

Tę noc spędziła, siedząc w łóżku i nie spuszczać drzwi z oka. Nie otworzyły się. Nazajutrz znowu zajęła miejsce w fotelu, a on się w nią wpatrywał. Ustalił się dziwny schemat. Oboje, Catherine i on, wiedzieli, że to z nią uprawia miłość, gdy pozwala swemu panu sycić się swoim ciałem. Choć dzieliła ich długość pokoju, utrzymywali intensywny kontakt. I każdej nocy nie spała, czekając na niego, marząc, by drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Ale on nigdy nie przyszedł.

Syed zadurzył się w Gadźu Singh. Chciał go mieć w zasięgu wzroku przez cały czas. Gadź Singh musiał pozostawać w gabinecie, kiedy Syed tam był, stał przy wyjściu na werandę, gdy on był na werandzie, chodził tuż za nim, kiedy on energicznie przemierzał ogród, przebywał w sypialni, gdy on tam był. Syed wyznał Catherine, że się zakochał, że to jest silniejsze niż kiedykolwiek, przyjemniejsze niż z Umaidem.

Wszystko to sprawiło, że Catherine zaczęła myśleć o Johnie i Emily, o pokretnych drogach pożądania. Dziwacznej pasywności, która potrafi wzbudzić największą namiętność.

Zacząła też zamykać swoje dzienniki. Przeniosła je z gabinetu do sypialni, włożyła do solidnej drewnianej skrzyni z kłódką. Miała teraz myśli, których nie chciała dzielić ze Syedem. Prawie nie sypiała, ciało bolało ją przez cały czas. Każdego dnia, kiedy po odprawionym rytuale wychodziła z sypialni Syeda, nie czuła ulgi, tylko narastającą gorączkę.

W normalnej sytuacji pocieranie przynosi zaspokojenie. Przy wielkiej namiętności wyzwala większe szaleństwo.

Catherine stała się bombą z uruchomionym zapalnikiem.

Prem Kumar pojawiał się co trzy tygodnie, by informować ich na bieżąco. Tarasy zostały oczyszczone i wyrównane, wytyczono granice, stawiano ściany nośne, zamówiono kamienie na ściany,

zamówiono piaskowiec na okładziny, zamówiono blachę na dachy, drewniane krokwie i stalowe dźwigary były w drodze i niedługo miał powstać z nich szkielet, przycięto sosnowe deski i ułożono do sezonowania. Za każdym razem, gdy przychodził, siadał w kucki na podłodze, rysował kilka nowych planów i wychodził z pieniędzmi w kamizelce i skocznością w krzywych nogach.

Trochę przebiegle Catherine zaproponowała w lutym wyjazd do Ghetii, żeby sprawdzić postępy budowy. Gadź Singh powiedział, że to najzimniejsza pora roku i oprócz mrozu może tam być śnieg. Syed dał się przekonać — nie bez trudu — żeby nie ryzykował.

Napięcie w chwili wyjazdu powaliłoby nosorożca.

Gdy zaczęli wspinać się z Kathgodamu, Catherine ponownie poczuła radość, jaka zawsze wiązała się z tym miejscem. Tym razem powiększała ją jeszcze oczekiwanie. Krzątanka na placu budowy przywodziła na myśl ul i jakimś cudem nawet o tej porze roku słońce tu przygrzewało, sprawiając, że na otwartym terenie było niemal gorąco. Ale w cieniu, pod drzewami, chłód przenikał do kości.

Wszędzie widać było stosy kamieni, desek, kopce żwiru, stalowe dźwigary i arkusze ocynkowanej blachy. Prem Kumar siedział na szczycie sterty obrobionych kamieni, żuł źdźbło trawy i pokrzykiwał na robotników. Zeskoczył, by przywitać się z Catherine, dopiero gdy nabrał pewności, że widziała, jak ciężko pracował. Z dumą wyciągnął rękę. Kamienne ściany — grube na sześćdziesiąt centymetrów — wszystkie już stały. I choć brakowało jeszcze dachu, była w nich solidność i wspaniałość domu, który roztaczał swój blask na całą dolinę. Catherine dostrzegła go z Dzeolikot, z odległości kilku kilometrów, a Gadź Singh powiedział: Siedzi niczym lew i dogłąda swego królestwa.

Ale w tej chwili dom nie był głównym zmartwieniem Catherine. Dała się oprowadzać po terenie i oglądała dotychczasowe efekty robót — gładziła palcami żyły ociosanych, chropawych kamieni, klepała żółtawe deski — ale jej umysł zaprzętała myśl o tym, co ją czeka.

Noc zapadła szybko, zimno potęgowało się z chyżością padającego deszczu, przenikało przez ubranie i wywoływało dreszcze. W ciągu kilku minut cała ekipa budowlana stopiła się z mrokiem i wkrótce można ją było zlokalizować jedynie dzięki małym punktom ognia.

Ludzie Gadźa Singha postawili namioty, lecz Catherine kazała im przygotować łóżko w jednym z pokoi na parterze, który miał już sufit z sosnowych desek. Był to pokój na tyłach, wchodziło się do

niego z salonu: tam właśnie będzie ułożona pierwsza sosnowa podłoga, a wiele dziesięcioleci później, pod koniec długiego i burzliwego wieku, nie pozostanie po niej ślad, w jej miejscu będą leżały rdzewiejące puszkę, gruz i gnijące drewno, a patrząc w górę przez dziury w suficie i dachu, będzie się widziało czyste błękitne niebo.

Pierwiastek rozpadu tkwiący w akcie stworzenia.

W tamtym czasie drewno jaśniało złotawo po świeżym heblowaniu, a żywiczny zapach odurzał. Zamknięty niczym pudełko pokój był przytulny, Gadź Singh ogrzewał go ogniem z drewnianych szczap, które rozpalał na blaszanych tacach używanych przez kamieniarzy do mieszania zaprawy.

Zanim Catherine położyła się spać, poszła na spacer, otulona grubym wełnianym szalem. Nisko po niebie, zasłaniając gwiazdy, przesuwały się wolno cienkie zimowe chmury. Ale księżyc był w pełni i w jego świetle, kiedy stanęło się na krawędzi bocznej grani, dolina Dżeolikot wydawała się srebrzystym cudem. Widać było wstążki dróg, zarysy odległych osiedli, kropeczki światła lamp, robiące dziurki w ciemności, a ponad mroczną masę gór — rzędy maszerujących sosen, ubranych w duże niemieckie hełmy.

Trzymał się w niewielkiej odległości za jej plecami. W jednej ręce miał lampę sztormową, w drugiej bambus gładki jak dłoń księżniczki, osadzone na nim zakrzywione ostrze chwytalo światło księżyca. Przez ostatnie dwadzieścia lat zbyt wiele dużych kotów rozsmakowało się w ludzkim mięsie, a teraz chodziły słuchy, że lampart wybrał sobie na rezydencję głęboki wąwóz pod Birbhatti.

Stali dwa tarasy powyżej domu. To właśnie tam Prem Kumar, przeciągnawszy rury po wzgórzach i przez dolinę, wykopał zbiornik. Świeża źródłana woda wpływała teraz do niego rytmicznym, chlupoczącym strumieniem. W tle słychać było monotonne cykanie owadów w poszyciu, zagłuszane od czasu do czasu wyciem psa. Kiedy Catherine obróciła się w prawo, widziała wznoszące się tuż pod nią ściany domu, trochę gołe na górze, bez dachu. Nagle uświadomiła sobie, że słyszy dźwięk tok tok tok, dochodzący z regularnymi przerwami. Zapytała, czy to jakiś owad. Odpowiedział, że nie, to jakiś ptak, którego nigdy nie widać. Odzywa się jedynie nocą. Ostrzega ludzi, że choć śpią, czas płynie.

Napięcie w zimnym nocnym powietrzu było gęstsze od księżyca.

Mogłoby powstrzymać stado nacierających nosorożców.

Kiedy schodzili w dół śliską ścieżką — on szedł o krok przed nią i trzymał lampę — potknęła się lekko na obłuzowanym kamieniu i skreśliła kostkę. Ruszył ku niej, ale ponieważ miał zajęte obie



ręce, niewiele mógł zdziałać. Odzyskała równowagę i ostrożnie dotarła na miejsce. Przy drzwiach Gadź Singh zawahał się, zawisła między nimi chwila pełna niepewności i wijącego się pożądania. Ponadczasowa zagadka: wiedzieć i nie wiedzieć. Wykonać perfekcyjny krok, który przełamie lody, nie krusząc ich na kawałki.

Kiedy na nią spojrział, patrzyła gdzieś w bok, a gdy ona na niego spojrzała, wbijał wzrok w ziemię. Moment minął.

Cofnął się i powiedział, że będzie spał na zewnątrz, w zasięgu głosu. Położyła się do łóżka, nie przykrywając się grubą kołdrą. Ciało jej płonęło, przepełniały ją złość i frustracja.

Wiedzieć i nie wiedzieć.

Perfekcyjny krok, który przełamie lody, nie krusząc ich na kawałki.

Niemal widziała go, leżącego na wielkim łożu Syeda, pod dzierganym jedwabnym baldachimem, jego ciało było cudownie smukłe i muskularne, jego nagość rozłożyła jak kaptur kobry. Syed dotykał go ręką, ustami, policzkiem, nosem, a ona mogła jedynie patrzeć, Ale on wpatrywał się w nią i nawet ślepiec by dostrzegł, czego naprawdę chciał.

A teraz leżała na wysokości ponad tysiąca sześciuset metrów, sama, w na wpół zbudowanym domu, bez Syeda, bez Maąbula, bez Banno, bez służby, tylko z nim, tuż za drzwiami, czekającym, by go zawołała, ale wszystko to wydawało się równie beznadziejne jak siedzenie w kącie, ukrytym w głębokim cieniu. Pożądanie i złość dudniły w niej jak dziecko zamknięte w pokoju i szukające wyjścia. Nic, co mogła zrobić dłońmi lub głową, nie potrafiło ich uciszyć.

Unosiła się w kalejdoskopie snów: roz hulane paryskie kurwy rządzące w tandetnych buduarach surrealistyczne pokazy, ogromne wzwoły pojedynkujące się na łożu Syeda, dawno zapomniany obrazek ze sklepu w Chicago, ze smagłą księżniczką stojącą przed ogorzałym sługą, chwytającą nabrzmiały fallus i wpychającą go w siebie.

On był wszędzie: w Paryżu, na łóżku Syeda, w dłoni księżniczki.

Nikt jednak nie otwierał drzwi. Czas stał się torturą.

W którymś momencie zorientowała się, że noc minęła i nastaje świt. W pokoju o grubych ścianach i oknach zabitych deskami można to było jedynie niejasno wyczuć w ledwie widzialnym rozjaśnieniu słoików sufitu nad głową. Leżała teraz pod grubą kołdrą, a budząc się, czuła, jak pożądanie wzmaga się w niej gwałtownie i skurcze targają jej wnętrznościami. Zsunęła nogi z łóżka i kiedy stawiała prawą stopę na podłodze, przeszył ją silny ból. Zawołała głośno.

Powiedział później, że przez całą noc nie zmrużył oka, czekając, aż go zawoła.

Wbiegł do środka. Wyciągnęła nogę przed siebie. Uklęknął na podłodze, położył dłonie na jej kostce, a jej nogi rozsunęły się odruchowo. Podłożywszy jedną rękę pod piętę, masował ją delikatnie, sięgając aż do palców stopy. A potem spojrział w górę, szukając u niej aprobaty. Jej oczy utrzymały jego wzrok, nastąpiła chwila perfekcyjnego kroku, moment, w którym niewiedza staje się kompletną wiedzą. Catherine wyciągnęła prawą dłoń, ujęła nią tył jego głowy i przycisnęła ją do siebie, podczas gdy lewą zrzuciła nocną koszulę, uwalniając zbierające się od dawna piżmo, które wypełniło mały pokój i sprawiło, że wsunął twarz między jej połyskliwe uda. Wygięła się w łuk w bezgłośnym krzyku, zanim jeszcze sięgnął jej otwartymi ustami.

Pochwyił jej nasiąknięte wilgocią skrzydła wargami, otarł je delikatnie językiem, a ona rozpoczęła lot. Dopiero godzinę później odgłosy przybywających do pracy robotników zmusiły ją, by opuściła się na ziemię.

Zamiast planowanych dwóch zostali tam pięć dni i wysłali posłańca, żeby poinformował Syeda o opóźnieniu. W ciągu tych pięciu dni Catherine odkryła w sobie pokłady intensywnej namiętności, o której istnieniu nie miała pojęcia. Całe lata uważała, że jej pożądanie jest po prostu dobrze wyregulowaną potrzebą. Można je było zaspokoić i przez jakiś czas nie zawracać sobie nim głowy, nigdy też nie przejmowało nad nią pełnej kontroli. Wydawało się jej, że w rozmowach ze Syedem, w intelekcie Syeda, w uczuciach Syeda znalazła ukojenie. Głód ciała sprowadzał się do pocierania, a to mogła robić w dowolnie wybranym momencie. Od czasów Rudyarda nigdy nie współżyła z żadnym mężczyzną więcej niż raz: twardy organ i gorące ciało były dla niej jedynie narzędziami. Rozkoszowała się ich różnorodnością i korzystała z przyjemności, kiedy tego potrzebowała. To była lekcja udzielona jej przez ojca, którą realizowała w życiu bardzo długo. Teraz jednak zaczynała odkrywać znaczenie jego wykładu o wielkiej namiętności.

Przez pięć dni kochali się dwadzieścia pięć razy. Dzikość tych aktów budziła w niej tak wielki podziw, że starannie je liczyła. Prawie nie spali nocami dłużej niż przez godzinę. Z planowanej wycieczki do źródła, z którego woda płynęła do nich rurociągiem,

nic nie wyszło, bo chcieli trzymać się blisko domu, tak by schować się w nim przy każdej nadarzającej się sposobności. Byli tak ze sobą połączeni, że nawet wymiana przelotnych spojrzeń przypominała uprawianie seksu. Catherine zauważyła, że jest ciągle wilgotna, i za każdym razem, gdy dotykała Gadza Singha, przekonywała się, że jest nabrzmiały i gotów do miłości.

Nie umiała się od niego oddalić. Wzywała go co kilka minut i prowadziła do odosobnionego kąta w domu, całowała i pieściła. Czasami były to jedynie lepkie ręce i usta, czasami brał ją na stojąco z zapamiętaniem obłąkanego bębniarza, opartą o nieporu-szoną kamienną ścianę, z suknią podciągniętą pod piersi.

Była to dziwna pozycja, najwyraźniej niezbyt wygodna, ale jego rozpalony organ znajdował ją bez problemu, wystarczyło, że Gadź Singh ugiął kolana, i geometria się sprawdzała — stworzony jak na miarę, w pełni zdolny do ruchów, w pełni stworzony do rozkoszy.

Czasami rozdzielali się, chwilowo zaspokojeni; czasami podtrzymywali ogień, by zyskać większy żar.

Trzeciego ranka musiał sprawdzić jakieś sosnowe bale niedaleko Bhumiadharu, zanim zostaną odesłane do Haldwani i pocięte na deski. Nie było go przez dwie godziny. Okazało się, że to za długo. Nie potrafiła nad sobą zapanować, ostatecznie rzuciła się na łóżko, macała palcami, zachłystując się wrażeniem, które nią wstrząsało. Kiedy wrócił, był w pełni gotowy, ona leżała na plecach. Znalazł się w niej bez wymiany choćby jednego słowa i oboje osiągnęli kres w czasie krótszym, niż potrzeba na wbicie gwoźdźcia.

Trzy łagodne uderzenia wstępne. Trzy zdecydowane ruchy.

Tego dnia podczas południowego posiłku dał robotnikom wolne na resztę dnia. Powiedział, że memsahib nie czuje się dobrze, a hałas, jaki powodują, tylko pogarsza sprawę. Mężczyźni wycofali się do swoich bud na granicy posiadłości, on obejrzał ją dokładnie, w świetle zaś dostrzegł, że jest nie tylko biała, ale również zmysłowo piękna. W szczerym podziwieniu obracał ją raz po raz. Gładził i całował jej wielkości i jej maleńkości, jej włosowości i gładkości, jej prężności i jej miękkości.

Później mówił raz po raz, że nie ma zielonego pojęcia, czym sobie na to zasłużył.

Ostatniej nocy zabrał ją na taras ze zbiornikiem. Gwiazdy ostro odcinały się na firmamencie i było ich tyle, że wydawały się przepychać łokciami. To wrażenie potęgowało się jeszcze, bo co kilka minut spadająca gwiazda — wypchnięta ze swego miejsca — przelatowała przez nieboskłon i niknęła za horyzontem. Ostatnie ogniska robotników zgasły i zostało niewiele punkcików światła na szarym

dywanie doliny. Z poszycia dochodził gwar, a woda z chłupotem wyciekała z rury do zbiornika. Przez pięć dni Gadź Singh zyskał nową pewność siebie; teraz klęczał u stóp Catherine na mokrej trawie i z głową wsuniętą pod jej sukienkę unosił ją do nieba.

Trzymała go tam dłońmi i prowadziła. A potem, zamknawszy oczy, poszybowała lekka i wolna, stała się królową doliny. Kiedy później weszli do domu, ubrania mieli mokre od szronu, ale krew w ich żyłach była gorąca i pulsowała.

Następnego ranka nawet jazda na kucu stała się erotycznym doświadczeniem. Catherine była obolała i opuchnięta, ale aż boleśnie ożywiona. Za każdym razem, gdy kuc się potykał, a ona krzywiła się w bolesnej rozkoszy, on, jadący obok, zwracał ku niej swą szeroką twarz i posyłał ciepły uśmiech zrozumienia.

Syed czekał z ogromnym niepokojem.

Narzekał bardzo z powodu opóźnienia. Powiedział Catherine, że kiedy ich tu nie było, cierpiał z powodu tęsknoty za mężczyzną. Zwierzył się, że napisał dla niego sześć wierszy. Opiewał w nich jego dłonie, usta, uda, pepek, pośladki i fallus. Dodał, że myśląc o Gadź Singhu, po raz pierwszy od prawie dziesięciu lat tak się podniecił, że sam musiał sobie ulżyć.

Powiedział: Cat, rozpaczliwie go pragnę, ale moim zdaniem on mnie nie chce. Myślę, że to znosi wyłącznie z poczucia obowiązku. Przerazające jednak jest to, że dopóki mogę go mieć, w ogóle mnie to nie obchodzi. Może niczego nie czuć, bo ja czuję dość za nas obu.

Catherine zachowała zimną krew, usiłując dopatrzeć się w tym jakiegokolwiek sensu.

Wiedziała, że obawa o nową miłość szybko zacieśnia świat.

Pamiętała, jak wbrew swej naturze Syed początkowo był bardzo zaborczy wobec Umaida, jak zabraniał stajennemu jakichkolwiek innych flirtów. Wkrótce jednak, gdy Syeda opuścił impuls wyłącznego posiadania, patrzyła na smutnookiego Umaida, który cierpiał, widząc, jak łóżko jego pana zapełnia się coraz to nowymi mężczyznami wszelkiego rodzaju. Bardzo często, wyglądając przez okno sypialni, widywała go siedzącego w kucki pod uroczynem, ze wzruszającą młodą twarzą pozbawioną wyrazu, z turbanem na głowie, obracającego w palcach wielki kremowożółty kwiat.

Przypomniała sobie, jak mówiono, że wykrzykiwał jego imię, kiedy zakładano mu pętlę na szyję.

Catherine zaczynała czuć się jak Umaid. Siedzenie w cieniu na fotelu było jak siedzenie pod uroczynem, samotna i frustrująca czynność, pełna smutku i myśli o rozstaniu. Jej dłonie umierały na niej. Nie chciała już oglądać dogadzającego sobie z nim Syeda. W głowie kotłowały się jej różne wspomnienia. Pragnęła gorączki jego ciała. Jego chłopskich rąk, ocierania ust. Jego płomiennej żarliwości.

Miała swoją część Gadźa Singha każdej nocy, ale to nigdy nie wystarczało. Przychodził późno, kiedy Syed już zasnął, a do tego czasu zdążyła już przesunąć dłońmi po całym swym ciele, podsycając i utrzymując wzrastające podniecenie. Kiedy otwierał drzwi, piżmo jej pożądania wypełniało pokój. Gdy jej dotykał, znajdowała się już drżąca na krawędzi.

Uwielbiała moment pierwszego dotyku: usta na jej ustach, sam koniuszek jego środkowego palca delikatnie, niewiarygodnie delikatnie, otwierał jej ciało. Niemal wstrzymywała oddech, kiedy wędrował wolno, najlżej jak to możliwe, do szczytu wzgórzka, gdzie strażnik już powstał. Wtedy strażnik i palec zaczęli pojedynek, tańczyli wokół siebie, nacierali i parowali, a ona wypuszczała powietrze, zaczynała się poruszać i jęczeć.

Dopóki on tam był, o końcu nie mogło być mowy.

Nawet kiedy już się zaspokoił, nie przestawał jej pieścić i całować.

A kiedy wstrzymywała jego ręce, zbyt wyczerpana, by znieść jeszcze jakiegokolwiek podniecenie, szeptał jej do ucha słowa miłości.

Catherine nigdy przedtem nie była tak wielbiona. Pośród płytkiego libertyńskiego chaosu Paryża, ciepłej, aseksualnej obecności Syeda, klinicznego spółkowania z męskimi utrzymankami poznała dobrze, czym jest satysfakcja, ale nie zaznała takiej adoracji. Gadź Singh zbliżał się do niej z nieustającą ekstazą. I aż do chwili, gdy musiał iść — tuż przed świtem — jakaś część jego zostawała, by kochać jakąś część jej. I choć to szaleństwo, po kilku minutach od jego wyjścia, zapadając w sen i budząc się, zaczynała pragnąć go boleśnie od nowa.

Nie zwierzała się Syedowi, choć może ułatwiłoby jej to dostęp do Gadźa Singha. Trzymanie tego w tajemnicy było sprzeczne z ich długą przyjaźnią, ale intuicja ostrzegała ją i nakazywała milczenie. Przeczuwała, że gdyby Syed zobaczył ich we dwoje, byłby zdruzgotany. Głębi ich namiętności nie dałoby się ukryć — bo

czyż oliwa nie zapłonie, gdy przytknie się do niej płomień — i czuła, że Syed, zmagający się z własną nieodwzajemnioną miłością do służącego, nie potrafiłby sobie poradzić z tą wiedzą.

Wkrótce zdecydowała, że nie chce być świadkiem spółkowania tych dwóch mężczyzn. Czuła się potem jak wyżęta. Ale Gadź Singh nawet nie chciał o tym słyszeć. Dowodził, że gdy jej nie będzie, nie podnieci się, zawiedzie jako kochanek, a wtedy Syed może się na niego zezłościć i zniszczyć cały układ.

I tak nadal to trwało.

Gadź Singh tak bardzo był zauroczony Catherine, tak się nią sycił i tak wyczerpywał przy niej każdej nocy, że obsługiwanie Syeda stało się dlań obowiązkiem nie do zniesienia. Skarżył się z tego powodu Catherine. Mówił, że nie będzie tego kontynuował, bo wypełnia go pogarda dla samego siebie. I nagle trzy dni z rzędu zawiódł w łóżu. Żadne wysiłki Syeda nie były w stanie obudzić twardości w pięknym ciele służącego. Syed przestawał i wpatrywał się, przestawał i wpatrywał się; w żółtym świetle wszystko błyszczało od jego wysiłków, ale nic się nie działo. Chwała kochanka pozostawała ukryta, wyzuta z wszelkiej dumy, unikająca reakcji.

Gadź Singh także próbował, próbował równie mocno. Wlepiał oczy w cień, by dostrzec jej zmysłową sylwetkę i podniecić się jak wcześniej. Ale teraz pragnął jej ciała, a nie tylko widoku. Zamykał oczy i usiłował uwolnić swoją namiętność. Pierwszy dreszcz w chwili, gdy dotykał jej stóp, oszalałe uderzenie o nieporuszoną kamienną ścianę, powolne odkrywanie jej sekretów w półświecie dnia, podróż w nią, kiedy stała obok zbiornika na wodę, wpatrując się w dolinę, conocne odzieranie kolejnych warstw pożądania.

Myślał o tym, w jaki sposób Catherine doprowadza go do szaleństwa — nie tylko swoją pięknnością, ale i agresywnym oddawaniem się, bezgranicznym nurzaniem w rozkoszy, pieśczołą zamykającej się dłoni.

Zaledwie jednak wspomnienia zaczęły go poruszać, wysiłki stawały się natrętne, ciągnąc jego umysł z powrotem do terażniejszości i tamując dopływ krwi. Następnego dnia Catherine i Gadź Singh nie mieli wątpliwości, że Syed zaczyna popadać w bardzo ponury nastrój. Jego wysiłki były daremne, twarz miał zaciętą. Po ponad godzinie prób odprawił służącego pogardliwym machnięciem ręki.

Powiedział potem: Cat, myślę, że go tracę. Ale mam zamiar dopilnować, żeby tak się nie stało.

Tej nocy Gadź Singh oznajmił Catherine: Powinienem odejść. Wiem, że jeśli szybko tego nie zrobię, to wszystko fatalnie się skończy.

Catherine starała się rozwiać jego niepokój. Wychwalała dobre strony charakteru Syeda.

Na służącym nie zrobiło to wrażenia. Powiedział: Słuchaj, nic nie wiesz o panujących. To prawda, że ktoś z królewską krwią w żyłach może przez jakiś czas być człowiekiem, nawet przez długi czas, ale nie wolno zapominać, że siedzi w nim diabeł, który nigdy nie umiera. W chwili gdy się go zlekceważy albo nie posłucha jego woli, ożywa i przejmuje kontrolę nad wszystkim, co może być w nim dobre.

Uprzejmość królów to dziwna rzecz. Nie ma jej w sprawiedliwości, łaskowości ani współczuciu, jest jedynie w nędzy tego, który jej szuka.

Trzeciego dnia Gadź Singh starał się ze wszystkich sił podniecić ciało i umysł, ale przekonał się, że istnieje coś jeszcze, co ma nad nimi władzę. Syed na zimno sprawdzał, czy kochanek reaguje. Ostatecznie poddał się i odprawił go ze złowieszczym ostrzeżeniem: Impotencja jest zaletą jedynie u strażnika haremu. Lepiej przestań robić to, cokolwiek robisz.

Tej nocy, bardzo późno, Syed próbował otworzyć drzwi pokoju Catherine, ale zastał je zamknięte. Usiadł w wielkim przedpokoju przed sypialnią na pięknie rzeźbionym fotelu w stylu Ludwika XIV. Był na tyle drobny, że zniknął za jego poręczami. Otoczony dawną aurą wstrzemięźliwości siedział jeszcze, kiedy drzwi otworzyły się o pierwszym brzasku i wyszedł przez nie Gadź Singh. Gdy przystojny służący znalazł się przy końcu korytarza, Syed powiedział łagodnie, ale głośno w ciszy świtu: Wiedziałem, że ogiery nie stają się impotentami z dnia na dzień. Zdychają, zanim stracą jurność. Albo skazuje się je na śmierć.

Służącemu żołądek podszedł do gardła. Nogi się pod nim ugięły.

Zanim gniew króla zdążył się objawić, zanim dusza dobrego człowieka została splamiona, dziwnym, surrealistycznym zbiegiem okoliczności stwierdzono u Syeda gruźlicę, na którą miał jedynie rzekomo chorować. W pośpiechu wysłano go więc do Gethii i umieszczono w sanatorium, a po miesiącu już nie żył.

Przewieziono go tą samą drogą, którą przebył po raz pierwszy na barkach biegnących tragarzy. Wydziedziczony za życia, teraz znowu należał do klanu. Rozpoczęły się skomplikowane rytuały, związane z odejściem członka rodziny panującej. Catherine zupełnie z nich wyłączono. Na czas jego wejścia do raju cierpiąca od dawna begam Sitara — teraz gruba i przysadzista, z fałdami skóry grubości palca pod oczami — została wyciągnięta z pałacu i przygotowana do żałobnych lamentów. Nawet Zafar — prawie niedołączny w wieku trzydziestu dziewięciu lat, ze zdrowymi członkami zwisającymi tak samo jak kalekie, z zepsutymi zębami i niezdatnym do niczego fallusem — nawet Zafar, któremu wspaniałość brata zatruwała całe życie, uronił łzę.

W swej księdze nawab napisał: Śmierć każdego czyni zwycięzcą, nawet jeśli wcześniej zawiódł i był nielojalny.

Zamiast cierpieć z powodu odsunięcia, Catherine zapakowała osobiste rzeczy, ogromne ilości niepotrzebnych jej przedmiotów oddała służbie i z Gadżem Singhem jako eskortą oraz Maąbulem, Banno i Ramem Asre jako dożywotnio jej przypisanymi wyruszyła do Gethii. Jediną ciężką rzeczą, jaką wiozła, była skrzynia z notesami — wieloma czystymi, wieloma zapchanymi kółkosłowami — i z kilkoma miniaturami.

Być może z powodu bólu i lekceważenia, jakie wycierpiała ze strony rodziny panującej, nie rozwodziła się nad śmiercią Syeda i jej następstwami. Na niespełna trzech stronach opisała jego śmierć, a potem rozlokowała się w domu na wzgórzu, pośród zapachu świeżego sosnowego drewna i pod nowym dachem oksydowanym na czerwono, zabezpieczonym solidnie stalowymi pasami, dzięki którym miał się opierać wszelkim wichurom i burzom.

Potem, jak się wydaje, jeszcze tylko raz usłyszała o Dżagdewpurze. Wiele miesięcy później Gadż Singh pojechał do miasta i wrócił z wiadomością, że nawab wydał rozkaz oczyszczenia wszystkich oficjalnych zapisów. Istnienie Catherine miało zostać wymazane z pamięci, Syeda zaś przedstawiano jako szczęśliwego i długoletniego małżonka begam Sitary. Malowano ich wspólne portrety i umieszczano na ścianach z drzewami genealogicznymi. Każdy mężczyzna chwalcący się intymną znajomością ze Syedem i każdy, o kim dowiedziano się, że miał kontakt z Catherine, był narażony na głębokie niezadowolenie nawaba.

Catherine ucieszyła się jedynie, że pozbawiono ją tego niepotrzebnego balastu.

Nigdy w życiu nie przejmowała się sprawami materialnymi. Teraz obchodziły ją jeszcze mniej.



Znalazła swoje miejsce w świecie.

Zamieszkiwały je demony odziedziczone przez nią po ojcu, Johnie.

Miłość i pożądanie.

Przez długie lata, które tam spędziła, widziała, jak wzgórza się zmieniają i pozostają takie same. Z każdą mijającą porą roku na szarym całunie doliny pojawiały się nowe plamy światła. Raz na wiele lat wycinano grupę starych jak świat sosen i w ich miejsce sadzono nowe. Gdy karczowano teren i szykowano go pod taras, na którym miał powstać ogród, na zboczu, w przypadkowym miejscu, wyrastał stopień. Z czasem pojawili się też błyskotliwi geodeci i niezdolni drogowcy, nakreślili drogę z przedmieść Dżeolikotu, wokół następnej góry, aż do Najni.

Stojąc przy domu, Catherine widziała w dole rozwidlenie, gdzie nowa droga skręcała na lewo, podczas gdy stara zmierzała meandrami ku domowi na wzgórzu. Otaczała go łagodną pętlą i biegła dalej do Bhowali i Bhimtalu, i Ranikhetu, i Almory. Gethia była pulsującym punktem na tej trasie, osobliwością z sanatorium dla gruźlików i obcą białą kobietą na bocznej grani. Catherine cieszyła się z tego. Nigdy nie miała dość prywatności.

Najmniej zmieniały się same wzgórza. Większość lasów sosnowych i dębowych trwała na miejscu, a pojawiające się osiedla wędrowały pod górę zbyt wolno, by zagrozić zboczom. Drażniki nadal zdobiły drzewa, a wielkie koty przemierzały wąwozy, przychodząc z Te-raju, gdzie dynamicznie rozwijające się rolnictwo niszczyło lasy.

Gethia pozostawała w całunie mgieł i cudownym zrządzeniem losu w okolicy domu Catherine prawie nikt się nie sprowadził. Kilkoro nowych przybyszów osiedliło się poza zasięgiem jej wzroku, w pobliżu sanatorium, dwa pasma wzgórz dalej.

Plotki o białej kobiecie obiegały góry. Miała ponurą przeszłość, w której mieściły się nie tylko pałace na równinach, ale też Anglia i jeszcze dalsze miejsca. Była bogata jak królowa i piękna jak hurysa. Pożerała książąt na śniadanie i wieśniaków na obiad. Przybyła w góry, uciekając przed prześladowaniami. Odprawiała tajemnicze rytuały, których bali się nawet inni biali. Uprawiała czarną magię, której bali się nawet czarni.

Catherine wiedziała o tych pogłoskach. Podobnie jak w Dżagdewpurze, nic ją nie obchodziły i na swój sposób była z nich za-

dowolona. Trzymały bowiem z dala wszystkich intruzów. Jedną z rzeczy, jakie przywiozła z domu Syeda, był winchester. Nie bardzo wiedziała, jak się z niego strzela, dlatego powiesiła go po prostu nad kominkiem. Ludzie jednak zaczęli powtarzać, że chętnie strzela do każdego, kto wchodzi na teren jej posiadłości. Że nocami przemyka po swojej ziemi, ze strzelbą gotową do strzału w rękach.

Wiele z tych opowieści rozpowszechniali jej służący: Maabul, Banno, Ram Asre i Gadź Singh. Mieli w tym swój cel: trzymanie miejscowych w strachu przed memsahib. A ponieważ Catherine nie robiła nic, by dementować te zmyślenia, gadali, co im ślina na język przyniesie.

W przedziwny sposób te wszystkie plotki stały się prawdą. Catherine sama się dostosowała do oczekiwań i lęków ludzi. Początkowo nawet chętnie jeździła co kilka tygodni do Najni. Było to ruchliwe i piękne miasto z czarującym jeziorem, z uroczymi kościołami, restauracjami, sklepami i szkołami, zamieszkałe przez mieszkankę miejscowych górali, ludzi z nizin i Brytyjczyków. Pobudzało jej wrodzoną ciekawość i szybko zawarła tam kilka znajomości, ale gdy tylko zaczęto mówić, że ten i ów planuje ją odwiedzić, gwałtownie się wycofała.

Z frontowej werandy widziała światła najwyższego punktu Najni, wpatrywała się w nie każdej nocy aż do końca. Ale przez ostatnie lata życia w ogóle nie jeździła do miasta. Ostatni raz zjawiała się tam — i była to jedna z niewielu wyraźnie zapisanych dat, zawartych w kółkosłowach: szesnasty maja 1924 roku — by wziąć udział w pogrzebie Mary Corbett, matki przyjaciela.

Odnotowała to jako poważną, wspaniałą uroczystość — Mary miała prawie dziewięćdziesiąt lat i należała do grona duchów założycielskich nowego Najni — i zakończyła słowami, że chciałaby, aby jej ostatnie pożegnanie miało dokładnie odwrotny charakter. Z jednym tylko człowiekiem przy jej ciele, jedynym, który wiedział, że żyła pełnym i głębokim życiem. Podobnie jak pragnęła tego dla Syeda — obecności tylko jednej kobiety przy jego grobie, tej, która wiedziała o nim wszystko, bez żadnych kłamstw i zmyśleń.

Ostatecznie w śmierci prawda musi zwyciężyć.

Syn Mary, Jim, stał się niespodziewanie jej przyjacielem wkrótce po tym, jak się tam sprowadziła. Odwiedził Bhumiadhar, od-

prowadząc jednego ze swoich ludzi. Wrócił właśnie z frontu pierwszej wojny światowej i rozwiązywał 70 Kompanię Kumańską, którą wcześniej stworzył. Pięciuset lojalnych górali poszło za swoim bohaterem i choć powąchało niewiele prochu, doświadczyło nędzy. Przyprowadził ich z powrotem z wyjątkiem jednego, którego wykończyła choroba morska.

Jim zatrzymał się, by poznać nową mieszkankę tej części gór, a ona polubiła go od razu, kiedy zobaczyła, jak rozmawia z Gadżem Singhem i Ramem Asre. Był skromny i silny, ciekawy, lecz nie natarczywy. W odróżnieniu od Syeda nie żył w świecie umysłu, ale twardo stąpał po ziemi i z największą elokwencją mówił o wszystkim, tylko nie o sobie. Urodzony nauczyciel; w czasie ich długotrwałej znajomości — choć nie widywali się często, bo Gethia nie leżała na zwykłej trasie Kaladhungi-Najni — udało mu się obdarować ją trzema cennymi rzeczami, dzięki którym mogła się w pełni wtopić we wzgórza Kumaonu.

Pierwszą były najważniejsze wiadomości o ptakach i zwierzętach, pośród których przyszło jej żyć. Kilka dni po spotkaniu przysłał jej do domu kartkę z adnotacją, że tego właśnie sam najpierw się nauczył o tutejszej przyrodzie i że potem bardzo mu się to przydawało. Była to podstawowa klasyfikacja.

Ptaki

a) Ptaki, które upiększają ogród natury. W tej grupie umieściłem purpurki, wilgi i kolibry.

b) Ptaki, które napełniają ten ogród melodią: drozdy, rudziki i sroczi białorzyte.

c) Ptaki, które odtwarzają ogród: brodacze, dzioborożce i bul-bule.

d) Ptaki, które ostrzegają o niebezpieczeństwie: aldabary, bankiwy i stadniaki.

e) Ptaki, które utrzymują równowagę w naturze: orły, sokoły i sowy.

f) Ptaki, które pełnią funkcje czyścicieli: sępy, kanie i kruki. Zwierzęta

g) Zwierzęta, które upiększają ogród natury. W tej grupie umieściłem jelenie, antylopy i małpy.

h) Zwierzęta, które odtwarzają ogród, ryjąc i utleniając ziemię: niedźwiedzie, świnie i jeżozwierze.

i) Zwierzęta, które ostrzegają o niebezpieczeństwie: zwierzyna płowa, małpy i wiewiórki.

j) Zwierzęta, które utrzymują równowagę w naturze: tygrysy, lamparty i dzikie psy.

k) Zwierzęta, które pełnią funkcje czyścicieli: hieny, szakale i świnie.

Stworzenia pełzające

l) Węże jadowite. W tej grupie umieściłem kobry, daszniki modre i zmije.

m) Węże niejadowite: pytony, zaskrońce i położy.

Podział na grupy nie opierał się na zasadach naukowych, tylko praktycznych, odzwierciedlających zadania poszczególnych gatunków w naturze, i był znacznie pożyteczniejszy dla zainteresowanego laika niż jakiegokolwiek wyjaśnienia dotyczące ewolucji lub formy. Do samego końca miał jej towarzyszyć jako przewodnik po naturze. To właśnie Jim powiedział jej również, że drażniki to w rzeczywistości czerwodziobe niebieskie sroki.

Drugą rzeczą, którą Carpet Sahib obdarował Catherine, były trzy sadzonki cedru, przywiezione z podróży do Gwaldamu. Posadziła je w trzech miejscach: przy dolnej bramie, przy górnej bramie i pomiędzy nimi. Dziesięć lat później tylko jedna przetrwała, ta pośrodku, a po dwudziestu pięciu latach stała się symbolem domu. Prężne młode drzewo, rozszczone prawie dwa metry nad ziemią na trzy wyciągnięte w górę ramiona, górowało ponad domem, a miejscowi nadali mu imię Triśul.

Trójzęb.

Broń Śiwy przeciw wszystkim przybyszom o złych zamiarach.

Siedemdziesiąt pięć lat później drzewo — z przykucniętym obok pnia beznogim samochodem — przeważało przy podejmowaniu decyzji.

Trzecim podarunkiem od Carpeta Sahiba było wyczucie tajemnicy wzgórz Kumaonu. Najwięcej wskazówek Catherine otrzymała z drugiej ręki — od niego i służby — ale nigdy ich nie zapomniała. W sposób trudny do wytłumaczenia wzbogaciły jej życie. Wystarczyło, że usiadła na tarasie i popatrzyła na dolinę, zbocza i nieustannie przemieszczającą się mgłę, by wiedzieć, że jest częścią czegoś wiecznego i wszechogarniającego, że została wyróżniona możliwością przebywania w wyjątkowym miejscu. W takich momentach czas i odległość topniały i czuła, że jest blisko ojca, Johna.

Za każdym razem, kiedy Jim do niej zachodził i mówił łagodnym, rzeczowym głosem, to poczucie wyjątkowości się pogłębiało. Opowiadał jej urocze historyjki o zwykłych góralach i niesamowite historie o polowaniach na ludojady. Najbardziej fascynująca była opowieść o pierwszym zwierzęciu, które wytropił ponad dziesięć lat wcześniej — o ludojadzie z Ćampawatu siejącym terror w górach i podobno odpowiedzialnym za śmierć ponad czterystu ofiar. Fragment dotyczący wieśniaczki, która przeżywszy spotkanie z tym potworem, zaniemówiła na wiele lat, wrył się w pamięć Catherine. Kiedy Jim zabił demona, zaniósł do Pali, wioski tej kobiety, jego skórę. Ledwie nieszczęśnica ją zobaczyła, głos wydobył się z jej jamy strachu. Biegała potem po wsi i krzyczała do wszystkich, by przychodzili i oglądali skórę.

Z długiej odysei polowania na lamparta ludojada z Rudrapraja-gu Catherine zapamiętała na zawsze szczegół, który łączył się ze śmiercią wielkiego kota. Zgodnie z miejscowymi podaniami nigdy wcześniej nie było równie nienasyconej, przebiegłej i nieuchwytej bestii. Pomiędzy 1918 a 1926 rokiem lampart zabił sto dwadzieścia pięć osób i terroryzował szlaki pielgrzymów. Wszelkie próby złapania go w zasadzkę, zastrzelenia, otrucia spęły na niczym — sam Jim spudłował niejedną raz. Kiedy w końcu jednak go zastrzelił, odkrył, że najbardziej znienawidzony i przerażający lampart Indii był starym, posiwiałym zwierzęciem, z ciałem pełnym blizn po ranach, o startych zębach pozbawionych koloru i języku czarnym od trucizn, którymi go karmiono.

Większość historii, które myśliwy jej opowiedział, była świadectwem wiary.

Jedną mówiła o przyjacielu Jima z dzieciństwa, Kunwarze Singhu, który polując w lesie z kolegą, Harem Singhem, niechcący zakłócił spokój tygrysicy pilnującej młodych. Zwierzę rzuciło się z groźnym rykiem, a Kunwar w dzikiej panice wspiął się na najbliższe drzewo. Znacznie od niego powolniejszy Har Singh został przyspi-lony do pnia przez bestię, która siadła na tylnych łapach, a przednimi z wściekłością darła korę po obu jego bokach. Strzałem w powietrze Kunwar przerwał kakofonię wrzasku Hara Singha i ryku tygrysicy. Kocica odskoczyła, ale najpierw rozpruła Hara Singha od pępka po kręgosłup, sprawiając, że jelita wypłynęły na zewnątrz.

Przerażeni, bojąc się powrotu bestii, wepchnęli wnętrzości do środka, razem z kawałkami spróchniałego drewna, gałązkami

i liśćmi, i przewiązali brzuch materia turbanu. Pośpieszyli do pokrytego cynkowaną blachą szpitala w Kaladhungi, gdzie młody lekarz zrobił, co mógł. Har Singh dożył sędziwego wieku, a podrapane drzewo zginęło przed nim w pożarze lasu tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Wiara. Człowiek musi jej ulec, żeby odnaleźć w sobie spokój. Wszyscy, których Catherine poznała w Indiach, byli w harmonii z tą wiedzą, nawet Syed, choć stało to w straszliwej sprzeczności z jego temperamentem.

Sytuujesz życie pomiędzy bogiem rozsądku i bogiem braku rozsądku.

Kłaniasz się obu, żadnego nie obrażasz.

Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Tylko człowiek próżny może uważać, że jest inaczej.

W górach dominował bóg braku rozsądku. Gadź Singh powiedział, że to dlatego, iż wszystkie duchy, dobre i złe, zmierzają ku wzniesieniom Himalajów. Tam, w siedzibie bogów, jest zarówno schronienie, jak i zbawienie.

Służący Catherine byli przesądni do głębi i mieli doświadczenia mistycznej natury, a Jim — biały, przyrodnik, człowiek czynu, empirysta — wcale się od nich nie różnił, co odkryła z biegiem czasu. Modlił się w hinduskich świątyniach i zanim wyruszył na tygrysa, musiał zapolować na węża. Niechętnie i bardzo pobieżnie opowiedział jej o swoich spotkaniach z duchami. O tym w leśnej chacie niedaleko Ćampawatu, które nawet po latach przyprawiało go o ucisk w gardle, o tym w położonym na odludziu dak bungalowie, kiedy to Jima i jego przyjaciela coś wyrzuciło na zbocze góry w środku nocy, o tym w Braemarze w Najni, o złośliwym duchu w dak bungalowie w Ramgarhu, o mrozącym krew w żyłach wrzasku zjawy — ale nie ćurail, która chodzi na odwróconych stopach i krzyczy inaczej — kiedy zasadził się na ludojada z Thaku na platformie nad Ćuką.

W 1929 roku opowiedział jej o najdziwniejszym — i podnoszącym na duchu — doświadczeniu na świętym wzgórzu Purna-giri, gdzie pewnej nocy bogini Bhagawati ukazała jemu i myśliwym, którzy z nim polowali, przesuwając się po stromym zboczu w grze świateł. Powiedział, że był to gest błogosławieństwa, bo podążali wtedy tropem ludojada z Talia Deś, terroryzującego okolice.

Podczas rzadkich wizyt Carpet Sahib przekazywał jej także wieści z szerokiego świata. Wcześniej nie miała innych źródeł wiedzy poza służącymi, na których relacjach nie można było po-

legać. Jim przynosił jej egzemplarze „Illustrated London News”, gdzie mogła przeczytać o kataklizmie w Europie. Kiedy wybuchła druga wojna światowa i Paryż padł, wspomniała przyjaciół, z którymi od kilku dekad nie miała żadnego kontaktu. Jim dzielił się z nią także informacjami o ruchu narodowym w Indiach, ale w tym przypadku jego opowieści nie różniły się od tego, co słyszała od Gadźa Singha i Maąbula. Wspaniała idea przetaczała się przez równiny, niesiona przez wspaniałych ludzi: kolejna przemiana w Indiach była tylko kwestią czasu.

Wszystko to się zmieni, wszystko, powiedział Jim, obejmując gestem ręki dolinę Dżeolikot, wzgórze Najni i jeszcze odleglejsze ziemie. Sam regularnie podróżował do Tanganiki i Kenii. Świetny tropiciel, wiedział, jak sprawy stoją, gdy przygotowywał sobie ostatni w życiu biwak.

Catherine otarła się o historię na swój własny cudowny sposób, kiedy pewnego popołudnia dwa czarne samochody zatrzymały się przed bramą i pięciu mężczyzn wspięło się ścieżką do jej domu. Silnik jednego z samochodów się przegrzał i potrzebna była woda do chłodnicy. Dwóch mężczyzn miało na sobie czarne garnitury, dwóch białe kurty i białe spodnie, piąty zaś, z gołymi nogami, nosił jedynie skąpą przepaskę dhoti i zgrzebny brązowy szal, który okrywał mu ramiona.

Ten mężczyzna wydawał się chudy jak źdźbło trawy i gdyby nie to, że był łysy i gładko ogolony, wyglądałby jak maszerujący energicznie fakir, którego widziała po raz pierwszy na Candni Cauk prawie trzydzieści lat wcześniej. Baba Muggermaći. Ale ten fakir, o czym wiedziała, płynął na największym z krokodyli, na przedpotopowym potworze stworzonym przez sprzeczości i uciążliwe brzemie trzystu milionów ludzi. Potrzebował wszystkich swych magicznych sił, aby przepłynąć na drugą stronę. A w chwili gdy tego dokonał, krokodyl obrócił się i go pożarł. A potem uwolniony od zaklęcia wrócił do swych diabelsko okrutnych taktyk schrupię-złupię machinacji-kombinacji cwaniactwa-pierzchactwa upaprania-wyślizgania zastraszenia-zwodzenia.

W brzuchu jest już fakir w bieli, teraz my rządzymy Delhi.

Catherine nie dożyje chwili, w której mogłaby usłyszeć, że zginął od kuli. Zbyt wiele dobroci pociąga za sobą niebezpieczeństwo. Stulecie będzie wtedy dopiero zbliżać się do polowy.

Tego popołudnia wielki fakir wypił dwa łyki wody i ani kropli herbaty, którą mu proponowała. Uśmiechnął się łagodnie i zadał kilka pytań. Jej zaś żadne pytanie nie przychodziło do głowy. Wkrótce już go nie było. Pośród trzystu milionów ludzi była niedomagająca kobieta, którą musiał odwiedzić w Bhowali — żona innego wielkiego człowieka. Żegnając się, położył Catherine na nadgarstku rękę, małą i kościstą. Uścisk najuboższego.

Pomyślała o Syedzie i decyzji, której nigdy nie zdołał podjąć.

Umysł otrzymał sygnał od serca. Ale wola — wola — nie była w stanie odebrać sygnału od umysłu.

Obwód serce-umysł-wola nigdy się nie zamknął.

Gadź Singh, Ram Asre i reszta stali w pewnej odległości ze złożonymi dłońmi, pochylonymi plecami. Obrócił się ku nim wszystkim, a potem wsiadł do samochodu i odjechał. Gadź Singh powiedział: Czy to możliwe, że to on?

Tak więc Carpet Sahib obdarował ją wiedzą, wtajemniczeniem i cedrem, a przejeżdżający fakir był dotykiem historii. Służący wykorzystywali to wszystko do budowania jej mitu. Kiedy Carpet Sahib zaszedł do niej kilka razy, natychmiast rozgłosili, że wspaniały myśliwy przychodzi opowiadać jej o swych słynnych trofeach. Na początku jednak nie było to takie proste. Gadźem Singhem targała burza zazdrości. W czasie wizyt Jima trzymał się w pobliżu, a po jego wyjściu przez całe godziny chodził ponury. Bardzo szybko jednak stało się jasne, że tych dwoje nic nie łączy.

Jim był nieśmiałym mężczyzną, uganiał się za czymś innym.

Catherine wspomniała o tym w swoich zapiskach. Zrobiła uwagę, że pożądanie wspaniałego myśliwego najwyraźniej obrało sobie niewłaściwy przedmiot i zawędrowało na terytoria, gdzie nie było ani gry, ani satysfakcji.

Tacy ludzie jak wielki fakir czy Carpet Sahib byli rzadką — bardzo rzadką — odmianą w jej ponaddwudziestoletnim życiu w Gethii. Sedno historii tych lat nie ulegało zmianom. Koncentrowało się na jednym miejscu: domu, i jednej manii: Gadźu Singhu. Namiętność, która rozgorzała, gdy Catherine siedziała w fotelu w sypialni Syeda, i potem płonęła w górach, przerodziła się powoli w obsesję. Oprawione w skórę notesy z tamtych czasów są wypełnione spisywanymi dzień po dniu relacjami o początkowej fascynacji, potem zaś powtarzanych do znudzenia emocjo-



mnącymi szczegółami ich spółkowania. Odkrycia i przekraczanie granic. Pragnienie i zaspokojenie.

Opisy są jednoznaczne. Ojciec i Paryż, i Syed dobrze ją wyuczyli i obdarowali szczerością. Sławiła każdą część smagłego szczupłego ciała Gadża Singha. Rozmiar wzwodu w zależności od rodzaju prowokacji. Sposób, w jaki jego skóra poruszała się pod jej palcami, które były jak atlas przesuwający się po marmurze. Jak zaczynał jęczeć z pragnienia, naprężając wszystkie włókna za każdym razem, gdy jej dotykał. Jak jego twarde pośladki układały się, gdy wstawał z łóżka. Jak w odpowiedzi na jej słowa jego wielka ładownica bywała niezobowiązującą ofertą lub stanowczym oświadczeniem. Jak jego pełne usta doprowadzały ją do ekstazy, wysysając wszędzie szlaki bezbolesnych obrzęków. Jak twórczymi palcami odnalazł głęboko w niej miejsce, którego dotykał, gdy chciał przywieść ją na skraj obłędu, ona zaś myślała wtedy, że umiera.

Obsesja była zupełna. Wszystko, co go dotyczyło, wprawiało ją w stan rozgorączkowania.

Podniecała ją woń jego pach, jego oddech na twarzy, jego dłonie na przedramionach. I przez cały czas Catherine zachowywała formalne pozory. W obecności innych był po prostu służącym, nawet jeśli faworyzowanym. Mieszkał, jak reszta służby, w zabudowaniach gospodarczych. Oddała mu dom przy dolnej bramie, tak by każdej nocy mógł się stamtąd łatwo wymykać, pozostając niewidocznym w cieniu dębów.

Wiedziała dość, by zdawać sobie sprawę, że jeśli zacznie otwarcie obejmować Gadża Singha, straci uprzywilejowaną pozycję, a także szacunek pozostałej służby i miejscowej ludności. Zniszczy własny mit, być może nawet wystawi się na nieznane niebezpieczeństwa. Na innym poziomie, równie ważnym, rozkoszowała się aurą tajemniczości otaczającą jej związek. Zrodzona w sekrecie i zagrożeniu miłość wywodziła się z ukradkowych nocnych spotkań w domu Syeda: jej moc była na zawsze połączona z nielegalnością. Nagłące uczucie utrzymywane na śliskiej krawędzi wciąż wydawało się świeże.

Intuicyjnie wyczuwała, że to pożądanie jest jak porost rozwijający się jedynie wśród mroku i wilgoci. Światło dnia mogłoby je zabić.

Kiedy wszyscy ułożyli się już do snu, a wzgórza zostały zajęte przez armie nocy — ćmy, cykady, lelki, nietoperze, lisy, niedźwie-

dzie i wielkie koty — Catherine, przebywając w pokoju nad izbą, do której pierwszy raz zawołała Gadża Singha, by rozmasował jej stopę, otworzyła drzwi prowadzące na zewnątrz. Co dziwne, drzwi na piętrze nie wychodziły ani na taras, ani na balkon, tylko na stromy cynkowany dach dobudowanej jadalni. Krzywonogi Prem Kumar, kończąc wznoszenie domu, w ostatnim olśnieniu popełnił błąd. A ponieważ wszystkie rysunki architektoniczne wykonane kredą na podłodze w domu Syeda już dawno zostały starte, nie było nic, do czego można by się odwołać. Zamiast zbudować pokój nad aneksem, Prem w pośpiechu postawił na nim dach i uznał budowę za zakończoną. Kamieniarze, chcąc się przypodobać, starali się ze wszystkich sił dotrzymać obiecanych terminów, dlatego postawili na zewnętrznej ścianie solidne jak skała kamienne schody, prowadzące do pokoju, którego nie było.

To właśnie po tych surrealistycznych, niezniszczalnych schodach na tyłach domu Gadż Singh wspinał się co noc, podczas gdy Catherine siedziała w bujanym fotelu, ciśnieniowa lampa naftowa syczała cicho w rogu pokoju, drzwi były otwarte na oścież, a poniżej, tuż za spadzistym dachem, roztaczał się widok na dolinę Dżeolikot, podziurawiony kilkoma punktami światła i czasami przesłonięty przesuwającą się zasłoną mgły.

Przyszedł tylną ścieżką, zwinny i cichy jak zwierzę; jedynie niemal niedosłyszalny chrzęst żwiru oznajmił, że jest u stóp schodów i wkrótce wejdzie do pokoju. I choć przychodził każdej nocy, uda Catherine natychmiast zwilgotniały.

W jednej chwili pokonywał dziesięć kamiennych stopni. Widziała najpierw na framudze drzwi jego prawą rękę — z grubą żelazną bransoletą i pierścieniem z brązu — z cofniętym nadgarstkiem, szukającą punktu zaczepienia. Lekkie jak piórka stopy na uginającym się dachu, nagle mamrotanie blachy, i podciągał się do środka. Wycierał o próg skórzane buty; gdyby padało, otrząsnąłby się jak pies. Potem, odcinając widok na dolinę i noc, zamykał za sobą drzwi. Z lekkim trzeszczeniem — sosna zawsze się wypacza — dociskał je i przesuwiał skobel. Później podchodził i klękał przed nią, a ona go chwytła i wciskała w swoje ubranie.

Czasami się z nim drażniła, bawiła się nim.

Czasami była już w łóżku pod kołdrą i udawała, że śpi, kiedy się do niej wślizgiwał.

Czasami jej tam nie było i musiał chodzić po domu, zastanawiając się, gdzie i w jakim stanie ją znajdzie.

Czasami lampa była zgaszona, a ona klęczała na łóżku, z dala od drzwi, światło księżycy błyszczało na jej krągłościach.

Czasami była zupełnie naga.

Czasami zupełnie pozbawiona włosów.

Czasami w monotonii oczekiwania smarowała na sobie ścieżkę od nadgarstka do swego sedna i kiedy się zjawiał, dawała mu rękę do pocałowania, ażeby mógł powoli odnaleźć prowadzącą do jej wnętrza drogę.

Z czasem spróbowali każdej z tych praktyk. To znamienne, że wszystko na świecie się zmienia, oprócz tego, co robi ze sobą dwoje pożąających się ludzi.

Wspinali się na szczyty i spadali z nich. Robili stare rzeczy na nowe sposoby. I nowe rzeczy na stare sposoby. Czasami tak, jakby byli tworem surrealistycznych mistrzów. Każda część ciała mogła być połączona z każdą częścią ciała. Rezultatem było dzieło sztuki. Palec u nogi i język. Sutek i penis. Palec i kubek smakowy. Pacha i usta. Nos i łechtaczka. Obojczyk i pośladek. *Mons veneris* i *phallus indica*.

*Ostatnie tango Labii Majory*. Gethia, około 1927. Malował Salvador Dali.

Rysownicy: Gadź i Catherine.

Krzyczała cicho cały czas — przez zaciśnięte zęby, szeroko otwartymi ustami — i tylko Gadź Singh wiedział, jak głośno. Dźwięk przeszywał dom i wypełniał dolinę. Potrafiła zupełnie się zatracić. Jej oczy stawały się szkliste, a ciało drżąco dostrojone, napięte do granic swoich możliwości. Zerwany kabel wysokiego napięcia sypiący iskrami. Gadź Singh często usiłował jej później opisać ją samą.

Nie było niczego, czego by nie zrobili. A robili to nie dlatego, że mieli skłonność do eksperymentowania. Wszystko wynikało z intensywności pragnienia, którego nic nie mogło powstrzymać.

W sposób nieunikniony musiało to prowadzić do unicestwienia albo do nowych granic.

\*

I tak pewnego dnia, w połowie powstającego dzieła sztuki, kiedy jego palce szukały sedna jej kobiecości, rozległ się ostry syk plującego węża, a gdy Gadź Singh spojrział w dół, włosy na piersi miał zupełnie mokre, zaczynały spadać z nich krople.

Klucz przekręcił się w zamku, kolejne drzwi stanęły otworem.

Po tym doświadczeniu Catherine zeszła do sfery, której żadne z nich nie potrafiło zrozumieć — ani Gadź Singh, ani ona sama.

Na początku popuszczała od czasu do czasu w chwilach wielkiej namiętności. Krótkie, silne, czyste strumienie. Zdarzało się to, gdy błdziły w niej jego palce. Powodowany lękiem zaczął coraz częściej stosować próbny masaż naciskowy, a ona powoli tryskała jak fontanna. Przypominała odkręcony kran. Kiedy ją kochał, jej ciało nabrzmiwało i kurczyło się, nabrzmiwało i kurczyło się, niemal wypychając z niej strumień za strumieniem, a miejsce, gdzie siedziała — fotel, łóżko — było przemoczone.

A później, kiedy wszelkie hamulce zniknęły jak uciekinier w mroku, owe fontanny stały się tak obfite, że przypominały ulewę, a na podłodze pojawiały się niewielkie kałuże, Gadź Singh musiał przynosić szmatę, żeby je wytrzeć.

Przez długi czas doprowadzały do tego tylko jego palce, ale potem zaczęło się to przydarzać, kiedy się w niej poruszał. Leżał na plecach, a ona powoli szybowiała — z zamkniętymi oczami, przypominająca kabel wysokiego napięcia, który ma zaraz pęknąć — nagle jej ciało nabrzmiwało niesamowicie i podczas gdy on zmagał się z falami zagłady, ona płynęła. Jego brzuch był zupełnie zalany, jego uda były zupełnie zalane. A wtedy zaczynała poruszać się znowu, wkrótce jej ciało ponownie nabrzmiwało niesamowicie i wylewała się na niego. Teraz leżał w stawie. Czasami przydarzało się aż sześć deszczów za jednym podejściem, a kiedy kończyli, prześcieradła i materac były przemoczone do suchej nitki.

Przechodzili do innej sypialni, żeby złapać trochę snu.

Pokój z drzwiami prowadzącymi na cynkowany dach stał się na długie lata wyłączną areną ekstazy. Każdej nocy na framudze pojawiała się ręka, rozlegało się mamrotanie blachy, odgłos wycieranych butów i następował rytuał miłości.

Bardzo szybko nauczyli się kłaść między prześcieradło a materac podgumowane płótno.

Każdej nocy rozwieszali prześcieradła przed kominkiem w salonie. Po kilku dniach moczenia i suszenia, kiedy przestawały być szeleszczące, a stawały się sztywne, oddawali je Bunno do wygotowania i uprania.

Zdarzały się dni, kiedy po zdjęciu prześcieradła widać było na podgumowanym płótnie płytkie kałuże. Należało wtedy chwycić płótno za cztery końce i wylać wszystko na spadzisty dach.

To było poza sferą zrozumienia.

Jej ciało przekroczyło wszelkie granice i wyewoluowało do swego rodzaju seksualno-duchowego poziomu.

Gadź Singh nazwał to amrytą, nektarem bogów.

Powiedział, że czuje się błogosławiony, mogąc kąpać się w nim każdego dnia.

Powiedział, że to jak z Śiwą i Parwati. Kiedy uprawiali kosmiczną miłość, świat skapał się w ich libacjach.

Śiwa i Parwati. Pierwotny duet. Stwórcy i niszczyciele.

W ciągu ponad dwóch dekad, kiedy tam mieszkała, tylko raz opuściła Gethię i wyjechała na niziny. Ponieważ data w dzienniku jest bardzo niewyraźna, trudno powiedzieć, w którym roku to się stało, w każdym razie na pewno na początku lat dwudziestych. Pojechała do Agry. Prawdopodobnie zobaczyła Tadz Mahal, Fa-tehpur Sikri i Fort, ale nie tylko po to tam się udała, bo nie było jej przez ponad cztery miesiące. W kółkosłowach niewiele jest o zwiedzaniu. Napisała jedynie, że wyjechała, że podróż okazała się wyczerpująca i że był z nią Gadź Singh. W późniejszych notesach pojawiają się od czasu do czasu wzmianki o podróży do Agry, ale nie rzucają żadnego światła na jej cel.

Istnieją wskazówki świadczące o tym, że w pierwszych latach dostawała listy z Chicago. Są bowiem lekceważące odniesienia do apokaliptycznych gromów Emily, przestrzegającej córkę, by nie odchodziła zbyt daleko od Pana i pamiętała, że Pan upomni się o nią, choćby się ukryła w najbardziej odludnym miejscu.

John umarł, kiedy jeszcze mieszkała w Dżagdewpurze. Dzięki wewnętrznej mądrości Syeda zdołała jakoś pokonać rozpacz. Stratę ojca przeżyła z niemal nieartykułowanym bólem. Próbowala — w notatniku — napisać do niego list w formie epitafium. Zmagała się z tym. Zaczynała cztery razy: Mój najdroższy Ojciec, a potem kluczyła przez kilka trudnych emocjonalnie akapitów

I przerywała, kreśliła wszystko i zaczynała od nowa. Ostatecznie porzuciła myśl o liście na rzecz prostej notatki, napisanej ładnymi drukowanymi literami na prawdopodobnie jedynej niezapchanej słowami stronie w bibliotece notesów: Johnie, ojciec, w kraju, gdzie mieszkam, mówią, że rodzimy się ponownie raz po raz, żeby wyrównać nasze długi. Jeśli to prawda, gorąco się modłę, bym znowu urodziła się jako Twoja córka.

Nie ma najmniejszego śladu, że kiedykolwiek napisała do matki, i żadnej wzmianki o tym, kiedy Emily mogła umrzeć.

W którymś momencie — na początku lat trzydziestych — dzienniki zaczynają stawać się ponure, a potem jeszcze bardziej mrocznieją. Wąż wślizgnął się do ogrodu Catherine. Gadź sprowadził z wioski żonę i trójkę dzieci, by z nim zamieszkali. Żona nazywała się Kamla, była ładna, drobna i niepiśmienna. Nie miała władzy, która pozwoliłaby jej powstrzymać męża przed wspinaniem się każdej nocy na spadzisty dach, a i on nie zaprzestał tego robić. Najwyraźniej jednak miała w sobie coś, co go intrygowało.

Wyglądało na to, że Gadź Singh zaczął odczuwać wobec żony silne pożądanie. Z dziecięcej narzeczonej Kamla przeistoczyła się w śliczną dziewczynę, potem zaś w piękną dojrzałą kobietę, której uroki w końcu odkrył. Nie zostawał już na całą noc w wielkim domu i zdarzało się nawet, że szukał wymówek, by w ogóle nie przychodzić, najczęściej powołując się na jakiś rodzinny kryzys — chorobę dzieci lub pretensje Kamli. Dochodziło do kłótni i dąsów. Jego rosnące zainteresowanie atrakcyjną żoną wyszło nagle na jaw. Pewnego razu, kiedy nie przyszedł, Catherine zeszła o północy na dół w klapkach z gumowymi podeszwami, minęła dęby, stanęła przed dwuizbową służbówką przy dolnej bramie i usłyszała jego dyszkant. Był najwyraźniej rozgorączkowany, mówił do żony gardłowo w dialekcie, powtarzał, jaka jest urocza, i pytał, czy podoba jej się to, co robił. Obojętnym głosem Kamla spytała, czy jest tak samo urocza jak biała memsahib i czyjej też było tak przyjemnie.

Tak tak tak, jeszcze jeszcze jeszcze, lepiej lepiej lepiej, zawodził Gadź Singh, rytmicznie czerpiąc rozkosz.

Kiedy Catherine wróciła do domu, stopy i kostki miała pokryte rosą, musiała zanurzyć je w wodzie z tytoniem, żeby pozbyć się pijawek. Potem przyłożyła dłonie do innego miejsca, gdzie też była mokra, i łagodnie rozpostarła skrzydła, szykując się do lotu.

Nie przestała spadać deszczem na Gadźa Singha, ale teraz był w tym kwas. Wyzwolenie miłości i pożądania, które celebrowała całe życie, zaczynało się warzyć. Narastało w niej coś na kształt zła, szpecąc cudowne piękno jej wolnego ducha.

Zabroniła Kamli i dzieciom przychodzić do głównego budynku, nawet na tarasy, dwa od frontu i jeden na tyłach. Nie chciała nawiązywać z nimi żadnych, nawet mimowolnych kontaktów. Czasami z tarasu ze zbiornikiem widziała przy dolnej bramie dwie dziewczynki z warkoczykami i ładnego chłopca, którzy rzucali płaskie

kamyczki, jakby grając w kulki, ale w chwili, gdy któreś z nich podnosiło wzrok i mogło ją dostrzec, natychmiast się odwracała.

Często widywała Gadźa Singha na drodze przy domu, niosącego chłopca na ramionach. Malec chichotał i pisał, było jasne, że jest jego oczkiem w głowie. Budziło to w niej złość.

Nigdy niczego im nie dała. Byli intruzami zagrażającymi jej miłości.

Namawiała Gadźa Singha, by odesłał ich wszystkich do wioski. Opierał się przez długi czas, wprawiając ją w nocną ekstazę, by niczym balsamem uśmierzyć jej rozżalenie. Ale balsam nigdy nie działał po ostatnim dreszczu, po ostatniej ulewie. W chwili gdy stawał w drzwiach, by ześlizgnąć się na cynkowany dach i odejść, ponury nastrój i złość dopadały ją ponownie. Kiedy się kochali, było tak jak zawsze, ale przez resztę czasu wrzała w niej furia.

Żeby sprowadzić go na właściwe miejsce, zaczęła faworyzować Banno i Rama Asre, którzy stali się Peterem i Mary. Ta para z niskiej kasty, przygarnięta kiedyś przez wspaniałomyślnego Syeda, postanowiła zmienić obiekt lojalności — przynajmniej powierzchownie — i powierzyć się potężniejszemu bogu. W każdym razie takiemu, który ma potężniejszych wyznawców i okazuje im trochę więcej szacunku. Do owej zmiany doszło z inicjatywy zadziornej Banno. Zawiesili sobie teraz krzyże na szyjach i w niedziele chodzili na msze do Najni. Banno, absurdalnie wystrojona w sukienkę, zaczęła chodzić, kołysząc biodrami. Nauczono ich piec ciasta na Boże Narodzenie, zapalać świece i śpiewać wrzaskliwe hymny i kolędy, przetłumaczone na hindi przez konwertytów.

Wywodzący się z wyższej kasty Gadź Singh odmówił nazywania ich Peterem i Mary i nadal zwracał się do nich per Ram Asre i Banno. Powiedział: To idioci! Gdyby zmiana imienia mogła zmienić czyjeś życie, sam nazwałbym siebie królem Jerzym Pań-ćamem!

Królem Jerzym Piątym.

Banno powiedziała do Catherine: Wiem, że dla nas niczego to nie zmieni, ale jestem pewna, że przynajmniej pomoże naszym dzieciom.

Gadź Singh powiedział do Catherine: Brak jej rozumu. Kasta jest niezbywalna. Można ją zmienić jedynie czynami, nie imie-

niem albo religią. Ta głupia kobieta myśli, że jeśli nazwie dzieci Aniasrania Peterświter, to ich życie także się zmieni!

Chcąc, by jej zamiary stały się jasne, Catherine pozwoliła dzieciom BannoMary przychodzić na podwórze przed głównym domem. BannoMary miała już bowiem dwie córki i dwóch synów, a wkrótce spodziewała się następnego dziecka. RamAsrePeter i ona mieszkali teraz przy górnej bramie, ich dzieci mogły korzystać z głównej ścieżki po zboczach, a później nawet wchodzić do domu.

BannoMary czuła, że zmiana religii już teraz przynosi jej rodzinie korzyści w świecie.

Tymczasem Gadź Singh wpadał w cykle narzekań i dąsów. Stał się niekomunikatywny, ponury, jego piękna twarz straciła swój wyraz i zrobiła się zacięta. Catherine była zadowolona, że przebija się do niego, że go rani. Ale i w jego przypadku cała złość i gierki przestawały się liczyć, gdy ich ciała znalazły się blisko siebie. Szaleństwo brało ich wtedy we władanie i było im dobrze jak zawsze. Kochał ją z tak wielkim zapalem, że aż miał wrażenie, iż za chwilę eksploduje mu głowa, ona zaś sphywała na niego strugami niczym obfity monsun.

Problem polegał na tym, jak radzić sobie z miłością, kiedy nie dochodziło do zbliżeń.

Popadli w zawily i wyniszczający taniec wzajemnych pretensji, przytykowi ciągłych manipulacji. Ich palące pragnienie — pozbawione czystości, przeciwstawione innym potrzebom — wypaczyło im dusze.

W końcu Catherine rozkazała Gadźowi Singhowi odesłać rodzinę do wioski, a on musiał posłuchać. Miała go teraz tylko dla siebie, przychodzącego oświetloną księżycowym światłem ścieżką pod dębami na tyłach domu: chrzęst żwiru na stromych schodach, wygięta do tyłu dłonie na framudze drzwi, mamrotanie blachy, szuranie nóg, usta, ręce, nos, fallus, nieustający deszcz, mokre prześcieradła, kałuże miłości na podgumowanym płótnie, suche łóżko w innym pokoju, budzenie się rano z jego miłością nabrzmiewającą w jej ręce.

Rytuały powróciły, rozkosz nadal była niedościgniona, ale Catherine wiedziała, że coś się zmieniło, brakowało jego najważniejszej części. Teraz, kiedy poruszał się w niej i na niej, jego brakujący fragment ją dekoncentrował. Jeśli widziało się butelkę pełną życia, to nawet gdy ubyło z niej jedynie odrobinę, może się to wydać niepokojące. Oko kieruje się na to, czego brakuje, a nie na to, co jest. Wiedziała, że to, czego nie ma przy niej, jest przy



Kamli, zaczęła się martwić, że cała reszta zostanie wessana przez tamtą kobietę.

Wyczuwała jego narastającą ekscytację, gdy — co piętnaście dni — zbliżał się termin odwiedzin u rodziny. Dostrzegala gładko ogolone policzki, wykrochmaloną koszulę, sprężysty krok i wspaniałą nastrój w dniu wyjazdu.

Doprowadzało ją to do szaleństwa.

Zacząła włóczyć się po posiadłości o wszystkich porach dnia i nocy. Sama, nieobecna myślami. RamAsrePeter i BannoMary protestowali, bojąc się, że może ją zaatakować jakiś dziki zwierz, błagali, by zabierała ich ze sobą za każdym razem, gdy wychodzi. Catherine ich odprawiała. Po zmroku chciała, by jej prywatne domeny nie były niczym krępowane. Nie skończyła jeszcze z Gadżem Singhem.

I choć chciała, by pragnął jej tak jak dawniej, była pewna — nawet jeśli on już tak nie czuł — że nadal go pożąda.

Nie dostrzegala tego, ale stawała się taka sama jak Syed pod sam koniec.

Wypaczona przez dręczące pożądanie. I niezaspokojona.

Pisanie stawało się teraz coraz bardziej podniosłe, kółkosłowa wpadały na siebie i jak mleko zbyt długo mieszane nad otwartym ogniem stopniowo zgęstniały na kamień. Początkowo głębokie odrętwienie tamtych dni — pustka, wyczekiwanie, brak towarzystwa — zaczęło wypełniać strony. Potem narracja ustała, a te same rzeczy pojawiały się raz po raz, zapisywane w coraz ostrzejszym tonie. Balansowała na granicy halucynacji i trudno było doszukać się sensu w tym, co napisała. Niespodziewanie po upływie dekad pojawiły się pokrętnie odniesienia do grzechu — nieoczekiwany cień Emily — i tajemnicze błagania o wybaczenie.

Pisała, że nie ofiarowała tam, gdzie powinna.

I ofiarowała tam, gdzie nie powinna.

Pisała o grzechu wobec własnej krwi.

I o odkupieniu i łasce.

Pisała o swojej miłości do Syeda i żałowała, że nie ma przy sobie jego ciepła.

I pisała o pójściu do kościoła, czego nie robiła od czasów Notre-Dame.

Pisała o wyjeździe do Ameryki, jeden ostatni raz. Jeden ostatni raz, by dokończyć niezakończoną sprawę. I mówiła o oddaniu Gethii tego, co należało do Gethii. W którymś momencie wydawało się, że przepełnia ją strach. Mieszanka hipochondrii i paranoi. Zaczęła pisać bezładnie o do-

legliwościach, utracie energii, dziwnych nocnych odwiedzinach. Rozwlekłe zdania stawały się coraz bardziej niezborne i niejasne. Pisała, że czuje się jak Carpet Sahib w dak bungalowie, w którym coś się na niego zasadziło, żeby go stamtąd wyrzucić. Jednak w przypadku Catherine chodziło o jej własny dom.

Pewnego razu napisała o lamparciu przychodzącym co noc, siadającym pod jej oknem w świetle księżyca i drwiącym z niej. Czasami zwierzę jedynie się w nią wpatrywało, czasami śpiewało miękkim głosem ludowe piosenki z Kumaon, pełne ostrzeżeń i przepowiedni. Napisała, że zna jej wszystkie tajemnice, a gdyby go nie zaspokoila, pożarłby jej wnętrzności.

A potem pisanie nagle się urwało.

Śmierć upomniała się o swoje prawa.

Księga piąta  
SATJA: PRAWDA

## CAŁOŚĆ HISTORII

Kiedy wypłynąłem z ostatniego wiru notesów, okazało się, że pochłaniały mnie przez trzy lata, a świat wokół zmienił się tymczasem w nieoczekiwany sposób. Nowa samcza siła, która zaczynała kiełkować w kraju na początku dekady, teraz, w ostatnich latach tysiąclecia, stała się szalenie modna. Ciągłe obecny duch wielkiego fakira został stanowczo wyparty i odłożony do lamusa. Brak przemocy, tolerancja, współczucie, humor — wszystkie zakopano głęboko w ziemi. Ujeżdżacz krokodyli został pożarty przez dinozaury.

Mitologia uwiodła technologię i to draństwo zagnieździło się między nami.

Wzięliśmy nasze okazałe metafory i uczyniliśmy z nich niepo-każną broń.

Nie chcieliśmy latać na skrzydłach Gity, chcieliśmy położyć rękę na brahmastrze.

Staliśmy się państwem posiadającym broń nuklearną. I teraz cały kraj był Bractwem Lśniących Żołądźludzi. Wszędzie widać było pulsujące erekcje. Nabrzmiałe od niebieskich pigulek propagandy i władzy, gotowe unicestwić każde usta, które ośmiela się otwarcie przeciwstawić.

Aptekarzom nienawiści udało się wreszcie sprawić, by fallus każdego demagoga był twardy jak kij do polo.

Nawet ci, którzy nie byli demagogami, z przejęciem głosili, że są ludźmi, opierając samoocenę na wielkości swoich organów. Wielkości swojej bomby, wielkości swojej historii, wielkości swojego narodu, wielkości swoich bogów.

Podczas gdy zachęcano fakira, by umarł po cichu w kącie, jego równie wspaniały jeździec na krokodylu, najświętszy ze świętych, Jawahar — skarb, stał się ulubioną przez wszystkich tarczą do gry w strzałki. Ludzie, niewarci tego, by oddychać tym samym co on powietrzem — ludzie pozbawieni odwagi, szlachetności, idei — spędzali całe dni na rzucaniu w niego strzałkami. Położyliśmy

przed sobą marzenia i czytaliśmy je niczym księgi rachunkowe, a nasze księgi rachunkowe stały się dziennikami złodziei.

Straciliśmy przyzwoitość, a zyskaliśmy chciwość.

Zagubiliśmy magię wspaniałych zmagania i nie udało się nam udoskonalić szarego życia.

Wszyscy wpadliśmy w pułapkę wyjątkowej burleski małostkowości.

Wszyscy. Codziennie. Wszędzie. Od przeciętnych mieszkań po wielkie gmachy kolonialne Nowego Delhi.

Nie udało nam się zostać tym, kim mogliśmy być. Stawaliśmy się gorsi, niż byliśmy.

Prawda jednak była taka, że nic mnie to nie obchodziło. Narody i masy ludzkie pójdą własnymi perwersyjnymi drogami, błyszcząc i niknąc w losowych cyklach głupoty i szlachetności. Miałem własne życie, z którym się męczyłem. A jak wie każdy, kto żył, jedno maleńkie życie wymaga takiej samej uwagi i pokierowania jak życie całego narodu.

Istniała szansa, że kraj odnajdzie własną drogę szybciej, niż ja znajdę swoją.

\*

Kiedy szamotałem się, by wypłynąć na powierzchnię — macki notesów nadal trzymały mnie mocno za kostki — czułem się jak Pup Van Winkle. Powodowany rodzajem afektacji pozwoliłem, by urosły mi włosy i broda — włosy coraz bardziej siwe, broda czarna — i mogłem jedno i drugie związywać gumką. Nadawało mi to lichy wygląd — jakiegoś mnicha z Dalekiego Wschodu — z czym chętnie się godziłem. Zabawne było patrzeć na miejscowych, okazujących mi szacunek, jaki należy się każdemu, kto obcuje z duchowością. Zniżali głosy, gdy z nimi rozmawiałem, a kiedy mijaliśmy się na drodze, pozdrawiali mnie głębokim ukłonem. Wygląd świadczy o nas. Z bogatego mieszcza, który zjawił się między nimi, stałem się samotnikiem z wielkiego domu, spartańskim mędrce czytającym grube księgi.

Cieszyło mnie to. Mogłem iść do tanich garkuchni i jadłodajni przy postoju ciężarówek albo przejść obok maleńkich sklepów spożywczych przy ścieżce wiodącej pod górę do Najnitalu — pięknie ułożonej w jodełkę z cegieł — albo podążać zygzakami pomiędzy herbaciarniami w szopach w stronę popadającego w ruinę sanatorium, bez poczucia, że powinienem porozmawiać o skut-

kach palenia papierosów i bidi z którąś z grup siedzących w kucki mężczyzn. Uniesienie dłoni, uprzejmy skłon głowy wystarczały. Nawet w dni, kiedy szedłem, żeby coś zjeść, byłem obsługiwany bez zwyczajowej pogawędki, a głosy w prowizorycznej jadłodajni stawały się niższe z szacunku dla mojej obecności.

Słyszałem o krążących plotkach — że porzuciła mnie żona i bardzo po niej rozpaczam. Słyszałem też, że mówiono, jakobym pisał książkę, żeby egzorcyzmować wspomnienia o niej. Wszystkie te informacje przekazywał mi Prakaś, prawdopodobnie sam je najpierw rozpuściwszy. Prakaś był idiotą, który zajął u mnie miejsce Rakszasa. Był dziobatym, tępym głupolem z Almory. Jego nastrój zmieniał się co kilka minut, od uśmiechu do dąsów, od dąsów do uśmiechu. Świetnie by się nadawał do pracy w każdej dhabie, bijąc na głowę wszystkich zatrudnianych tam debili, ale jego ambicją była służba w wojsku. Każdego roku stawiał się w centrum rekrutacji w Ranikhecie i zostawał odrzucony. Jakakolwiek armia musiałaby być szalona, żeby człowiekowi takiemu jak on dać broń do ręki. On jednak nie tracił nadziei, nawet gdy przekroczył już wiek poborowy. Każdego ranka wykonywał wiele pompek i przysiadów, maszerował w tę i z powrotem po niższym tarasie krokiem defiladowym. Był przekonany, że niedługo wybuchnie gigantyczna wojna z Pakistanem, a wtedy powołani zostaną wszyscy rezerwiści. Trzymał formę na ten moment.

Prakaś robił wszystko, by moje życie toczyło się dalej — gotował, prał, sprzątał. Każdą wolną minutę poświęcał na wpatrywanie się w mały czarno-biały telewizor, który postawiłem w rogu jadalni. Antena na dachu łapała jedynie sygnał sieci ogólnokrajowej. Za każdym razem, kiedy występowały zakłócenia odbioru, wołał mnie w panice, biegł na dach, rzucał się na antenę, ciągnął ją i przesuwiał we wszystkie strony, cały czas domagając się ode mnie krzykiem potwierdzenia, że obraz powrócił. Szeptał mi też o cudach telewizji kablowej.

Rozśmieszałem go, bo nie było w moim życiu nikogo innego, kogo mógłbym rozśmieszać. Mimo swej głupoty dzielił w końcu ze mną dach nad głową i jadł mój chleb. Był mi towarzyszem.

Fizz opuściła mnie dwa i pół roku wcześniej, a ja przez krótki czas nad tym bolałem, lecz nawet na chwilę nie oderwałem wzroku od notesów. Rozszyfrowywanie dzienników było powolnym procesem: ustalenie ich kolejności, odczytywanie okrągłego pisma Catherine i doszukiwanie się sensu w jej kiepskiej prozie. Podczas lektury robiłem szczegółowe notatki i choć czytałem nawet do czternastu godzin dziennie, każdy notatnik pochłaniał mi

kilka tygodni. Często musiałem się cofać lub wybiegać naprzód w poszukiwaniu odniesień, związków między wydarzeniami i ich znaczenia. Teraz widzę, jak bardzo się bałem rozstania z notesami. Bałem się, że nie mam innego życia. Bałem się tego, co mnie czeka.

Niemy brother i brak Fizz.

\*

Czasami próbowałem naśladować coś, co zrobiła Catherine — stawałem przy zbiorniku o określonej godzinie, siadałem pod Triśulem, szedłem konkretną ścieżką — żeby sprawdzić, czy dopatrzę się podobieństwa.

Czasami nic z tego nie wynikało, czasami doświadczałem czegoś niesamowitego.

Kiedyś o północy w ostatnim tygodniu września — księżyc był w pierwszej kwadrze, poszycie wrzało rozmowami, wolno przesuwały się fale mgły, lelek właśnie zaczął terkotać — zszedłem do dolnej bramy, pragnąc odtworzyć nocną trasę Gadza Singha. Uparłem się, żeby Prakaś spał w jadalni, bo nie chciałem być sam w domu. Czytałem wyrazistą relację z późnonocnej wizyty, kiedy usłyszałem trzaski z telewizora — o północy krajowa telewizja przestawała nadawać — i postanowiłem przerwać lekturę.

Włożyłem stare adidas na gołe nogi, narzuciłem kurtkę, wziąłem latarkę i zszedłem po wewnętrznych schodach. W jadalni świeciła się słaba żarówka, Prakaś zaczynał chrapać. Baghira, śpiący przy jego łóżku, uniósł na chwilę łeb, gdy otwierałem frontowe drzwi i wymykałem się na zewnątrz. Ponurą nocą szedłem ostrożnie, żeby nie zdeptać niezliczonych młodych roślin, które Fizz wszędzie posadziła. Prakaś i ja okazaliśmy się złymi ogrodnikami, lecz wiele nasion pielęgnowanych przez Fizz zyskało punkt oparcia w obojętnym środowisku i rosło. Przedzierałem się przez wysokie do pasa kufliki, dęby i cedry, sięgające kolan miodle i palisandry, trawa pod moimi stopami była mokra i śliska.

Dolna brama została zabita deskami i opleciona drutem kolczastym. Obróciłem się i spojrzałem na dom. W ciemności przypominał przykucnięte zwierzę, dwa kominy wyglądały jak sterczące uszy. Droga za mną lśniła od światła księżyca, bez odgłosu gumowych pocałunków opon była pogrążona w ciszy. Tuż za nią leżała dolina Bhumiadhar, głęboka i ponura. Mogłem być nim sprzed siedemdziesięciu lat, rozglądającym się ostatni raz przed

nocną eskapadą. Jediną różnicę stanowił Triśul. Był wtedy pewnie wysokości człowieka i dopiero zaczynał rozszczepiać się w trójzab. Teraz zaś dominował nad wszystkim, jego trzy pnie podtrzymywały nieboskłon, jego gęste gałęzie rozpościerały się puszyście i łagodnie.

Wspinałem się powoli pod górę, podążając ledwie przetartą ścieżką, która prowadziła bezpośrednio na tyły domu. Liście tak nasiąkły wodą, że musiałem ostrożnie stawiać kroki. Nie włączyłem jednak latarki. Kiedy szedłem, miałem wrażenie, że wszystko wokół mnie zamiera. Cykanie w poszyciu ustało, wiatr ucichł, wszelkie tok i tik zamarły, wataha chmur połknęła księżyc. Gdy dotarłem do niewielkiego podwórza za domem, czekały na mnie wysokie stopnie. Dziesięć, z solidnych kamieni, pnaće się stromo, przywierające do nieporuszonej ściany. Nagie, surowe, bez poręczy.

Z przerażeniem spojrzałem w górę. Przez zasłony przeświecała niska żółtawa poświata, jakby w pokoju paliła się lampa naftowa. Niemal słyszałem syczenie pompki ciśnieniowej. Chciałem się rozejrzeć, ale nie mogłem zebrać się na odwagę. Czy ogromne oczekiwanie i ogromny strach wywołują takie same sensacje? Jego skóra także była zapewne lepka, serce też waliło mu jak młotem. Trzymając się ściany, pokonywałem stopień po stopniu, lewą rękę wyciągnawszy do tyłu, na wypadek gdyby ktoś mnie ścigał. Buty cicho miażdżyły żwir.

Kiedy stanąłem na ostatnim stopniu, nie zobaczyłem stromeego cynkowanego dachu, po którym mógłbym zwinnie się przemieścić. Położyliśmy tam betonową płytę, urządając pod nią nowoczesną kuchnię. Widziałem teraz ciemniejszy zarys doliny Dzeolikot. A przez szparę pod drzwiami sączyło się światło zapalanej naftowej lampy. Wiedziałem, że ona tam jest i czeka na mnie.

Stałem przez długi czas, kompletnie wystraszony.

Pomyślałem nawet o tym, żeby zrobić w tył zwrot i wrócić do domu frontowymi drzwiami. Czy on wahał się za każdym razem w tym właśnie momencie? A potem, w nagłym odruchu, przesunąłem prawą rękę wzdłuż ściany, zgiąłem dłoń na framudze drzwi, zamknąłem oczy i stawiając stopę na betonie, jakby był stromą blachą, podciągnąłem się do drzwi. Zaskrzypiały. Otworzyłem oczy, pewny, że ona tam będzie.

Musiałem posiedzieć na łóżku prawie godzinę, zanim się uspokoiłem.



Nocami miałem halucynacje. Nie każdej nocy, lecz wystarczająco często. Świetnie się czułem, idąc do łóżka i zasypiając, wypełniony tym, co przeczytałem — i nagle w którymś momencie dochodziło do spotkania. I zawsze trwało godzinami, i zawsze wydawało się bardzo realne. W większości przypadków, kiedy budziłem się rano, byłem kompletnie wyczerpany. Wypijałem na tarasie dwie filiżanki herbaty, patrząc na budzącą się dolinę, a potem wracałem do pokoju i przesypiałem jeszcze kilka godzin.

Poleciłem Prakaśowi, by budził mnie około dziesiątej i podawał herbatę i jajka.

Przez długi czas z trudnością oddzielałem lęk od oczekiwań. Bałem się tego, co działo się każdej nocy z moim ciałem i umysłem, ale z drugiej strony senne marzenia sprawiają przyjemność nawet dorosłemu mężczyźnie. A potem w makabrycznej paraleli, gdy miłość Catherine i Gadża Singha gorzkniała, a w nich samych narastało zło, jej nocne koszmary zaczęły mnie prześladować. Teraz, kiedy się zjawiała, twarz miała wykrzywioną furją i nie tyle mnie pieściła, ile atakowała. Walczyłem, by trzymać ją z daleka, a ona mną potrząsała, jak dzikie zwierzę potrząsałoby człowiekiem, gwałtownie i bez litości.

Rankami budziłem się poturbowany, wszystko mnie bolało.

Sen zaś nie chciał powrócić. To było najbardziej niezwykle. Zawsze byłem dumny z tego, że potrafię usnąć w ciągu minuty. Fizz żartowała, że umiałbym spać na stojąco. Teraz jednak czułem się osaczony. Głowę miałem ciężką — pełną obrazów i pytań — przez cały czas, nigdy nie opróżnioną na tyle, by mogło się do niej wlać trochę snu.

Stan mojego rozłupanego umysłu znajdował odbicie w domu, który niszczał coraz bardziej. Remont przerwano przed deszczową nocą, kiedy Fizz ode mnie odeszła. Nie dodano odtąd ani jednej cegły, ani odrobiny cementu, ani jednej deski. Trzy z sześciu świetlików pozostały nieprzeszkłone. Zakryliśmy je z Prakaśem kawałkami cynkowanej blachy, które nie oparły się jednak ulewnym deszczom minionych miesięcy i teraz woda spływała ciemnymi liniami po tynkowanych ścianach. Sterty oheblowanych sosnowych desek leżały w równych rzędach na bocznej werandzie, już nie jasnozłote, lecz pozbawione koloru, czarnoszare.

Na niższym tarasie kopce piachu i żwiru powoli malały — źdźbła trawy zapuszczały w nie korzenie — pewnie za zgodą Pra-

kaśa wieśniacy wywozili je na taczkach. Trzy worki cementu leżące w górnym pomieszczeniu gospodarczym nasiąkły wilgocią i stwardniały na kamień. Większość pokoi nie została wykończona, brakowało drzwi, okien, szaf. Kiedy wchodziło się główną bramą, dom przypominał szczerzącą zęby czaszkę, z pozbawionymi szyb oknami na górnej i dolnej werandzie jako oczodołami i dziurą w miejscu nosa.

Fizz kazała pozakładać fikuśne krany, lecz ponieważ nigdy ich nie używano, z wyjątkiem tych w kuchni i w łazience na górze, zaczynały się zatykać. Nawet zbiorniki na wodę i sedesy stały się ponure i splotniałe — Prakaś nie przykładał się do sprząwania łazienek, a mnie było wszystko jedno.

Podobnie mosiężne zasuwki i zawiasy, które kupiła w Delhi, straciły pion i trzeba było szarpać drzwiami i oknami, żeby naprowadzić je na miejsce. Sfrustrowani, Prakaś i ja, działaliśmy prymitywnie i większość drzwi zamknęliśmy w najprostszy sposób — po prostu zabiliśmy je dużymi zakrzywionymi gwoździami.

Na parapetach, w pustych pokojach w całym domu, krany, kafelki, kolanka, uszczelki, śruby, bolce, gwoździe, zawiasy, zasuwki, pojemniki, rolety, puszki z farbami leżały zapomniane w kartonowych pudłach, na których zbierał się kurz.

Pierwiastek rozpadu tkwiący w akcie stworzenia.

Czaszka pod skórą.

Nigdy nie zapomnę, w jaki sposób po raz pierwszy to sobie uświadomiłem: stojąc na gruzowisku w pokoju bez sufitu i dachu i patrząc na wielki błękitny nieboskłon.

Teraz uderzało mnie to za każdym razem, gdy siadałem na parapecie niewykończonego gabinetu i patrzyłem na dolinę Dżeolikot, rozwidlenie na Jedyńce i kręte górskie drogi. Czułem się jak mogolski cesarz, melancholijnie świadomy, że każdy pomnik wyobraźni umiera już w chwili, gdy jest zamawiany.

Nie ma niczego na tyle wspaniałego, by wkrótce nie szczeło.

Oczywiście w ogóle się tym nie przejąłem.

Jedyną rzeczą, która czasami mnie pobudzała, były rośliny. Wiedziałem, jak wiele znaczyły dla Fizz i jak bardzo by się zmartwiła ich oplakany stanem.

Na szczęście wiele z nich mocno trzymało się ziemi i rosło: palisandry, bauhinia i figowiec święty przed domem, dęby wzdłuż muru na granicy posiadłości, gałązki wierzby płaczącej, które zerwała nad jeziorem w Naukućijatalu i wetknęła w ziemię obok kranu na niższym tarasie, wszechobecne kufliki, drzewa goździkowe i cedry czerwone przy ścieżce za kuchnią, kilka mangowców

na zboczach Dżeolikot, zmagający się z losem, ale odmawiający uschnięcia złotokap na górnym tarasie i podobnie waleczny płomień Afryki przy frontowej bramie. Rósł też banian, dokładnie pomiędzy bramą a domem, który po czterech latach miał zaledwie metr osiemdziesiąt: wyglądał na martwy, ale każdej wiosny wypuszczał jeden zielony listek nadziei.

Fizz nie zjawiała się ani razu od wyjazdu w tamten burzowy, deszczowy wieczór.

Na początku dzwoniłem do niej kilka razy, ale rozmowa zaczynała kuleć już po paru słowach.

Wszystko okay?

Tak.

Przepraszam cię za to, co się stało. Tak.

Bierz pieniądze z banku, kiedy tylko potrzebujesz. Tak.

Mam nadzieję, że niedługo przyjedziesz. Zobaczymy.

Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała? Tak.

Wiesz, jak się czuję z twojego powodu. Tak.

Tok. Tok. Tok.

A potem, coraz bardziej pochłonięty zawartością notesów, poirytowany jej posepnością, przestałem się zmuszać do rozmów i wkrótce ból zaczął przechodzić. Kilka tygodni później Rakszas odebrał jej telefon w sklepie thakura, a kiedy wrócił, popatrzył na mnie gniewnie i powiedział: Didi się wyprowadziła, klucze zostawiła u właściciela mieszkania.

Poczekalem, aż zniknie mi z oczu, zanim pobiegłem do wielobranżowego sklepu thakura. Dzwoniłem i dzwoniłem, i dzwoniłem, ale nie podnosiła słuchawki. Musiała opuścić mieszkanie zaraz po telefonie do Rakszasa.

Ogarnęła mnie nagła panika. Gdzie była? Z kim była? Co kombinowała? Dobrze się czuła? Miałem ochotę wskoczyć do gipsy i pędzić do Delhi. W tamtej chwili wszystko poszło w niepamięć. Poszedłem nawet do pokoju, zniosłem na dół kluczyki i już miałem wsiąść do jeepa, kiedy zobaczyłem Rakszasa stojącego przy

oborze dla kóz. Zdrową dłonią trzymał się za kikut i patrzył na mnie szyderczo.

Wyraz triumfu w jego oczach podziałał na mnie jak zimny prysznic. Przystanąłem, wziąłem się jakoś w karby i ruszyłem wolno schodami — mijając go — do zbiornika na tyłach domu. Tam usiadłem na ławce i wsłuchując się w bulgotanie osiemdziesięcioletniej rury Prema Kumara, patrzyłem na dolinę, obserwowałem ciężarówki mozolnie pokonujące zakręty. O zmroku, kilka godzin później, kiedy wszystkie ptaki usadowiły się na noc, w końcu się podniosłem. Niebo dusiło się od gwiazd, księżyc wzeszedł, a w poszyciu wrzało od nocnej krzątaniny. Wchodząc do domu, dostrzegłem koło kuchni jednoreki cień, wpatrujący się we mnie i nieporuszony, jakby pogrążony w medytacji.

Jeszcze tej nocy dałem jej się opętać tak zupełnie, że nic nie pozostało, nawet panika.

Dwa dni później Rakszas odszedł. Powiedział: Niech pan wraca do Delhi, sahibie, i ją odnajdzie. Mężczyzna musi umieć odróżnić złoto od tombaku albo będzie stracony na zawsze.

Wręczyłem mu pieniądze, po prostu, i powiedziałem, żeby ruszał swoją drogą.

Cztery dni później thakur przyprowadził Prakaśa. Samotne noce spędziłem w oborze dla kóz, zamykając się od środka, z butelką wody i siekierą o długim trzonku przy boku. Źle spałem, ale, co dziwne, nękały mnie nie wyuzdane halucynacje, tylko szydząca jednoreka obecność.

Gdy wychodziłem na spacer, by zaspokoić jakiś dziwny impuls — obowiązku, ciekawości — dzwoniłem do domu. Dźwięk telefonu, którego nikt nie odbiera, wydawał się niemal jak z filmu. Wkrótce sam w sobie stał się rozmową. Sękaty thakur, o skórze na twarzy pomarszczonej jak worek mosznowy, patrzył na mnie z zainteresowaniem: oto mężczyzna, który wybierał numer i wybierał, ale nigdy nie powiedział słowa. Mężczyzna, który pomylił żonę z telefonem.

Jestem pewny, że wyskoczyłbym ze skóry, gdyby po drugiej stronie ktoś naprawdę się odezwał.

A potem, pewnego wieczoru, w słuchawce usłyszałem jedynie niskie buczenie. Następnego dnia było tak samo. Telefon został wyłączony. Niezapłacone rachunki, a może się zepsuł. I tak które

goś popołudnia, mniej więcej w pół roku po tym, jak dowiedziałem się o jej wyprowadzce, wsiałem do gypsy i pojechałem do Delhi. Była to dziwna podróż. Jechałem powoli, K.L. Saigal zawodził cudownie w samochodowym stereo — Fizz nigdy nie pozwoliłaby mi go słuchać — i nigdzie się nie zatrzymywałem, żeby coś zjeść albo się napić czy wysikać; unikałem wszelkich miejsc, gdzie zostawiliśmy nasze ślady. Nawet na przejeździe w Moradabadzie nie było korka. Rozprostowałem nogi, gdy zatrzymałem samochód na naszej ulicy w Green Park.

Właściciel z żoną oglądali serial w telewizji. Indyjska hałaśliwość filmu wypłynęła na zewnątrz, kiedy otworzył drzwi. Przyglądał mi się przez chwilę obojętnym wzrokiem, a potem pośpieszył do środka i przyniósł klucz. Powiedziałem, że zobaczymy się rano. Wdzięczny, zamknął drzwi. Miał czeki na zaliczki. Pieniądze podejmował pierwszego każdego miesiąca. Ja zaś w ogóle tam nie mieszkałem. Byłem wymarzoną lokatorem.

Mieszkanie było pogrążone w ciszy niczym grób i pokryte kurzem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Fizz niczego nie wzięła. I tak było. Poza własnymi ubraniami i zbieranymi z upodobaniem bibelotami — małymi ceramicznymi zwierzątkami, popielniczkami z różnych kamieni, szkatułkami z kolorowymi paciorkami, szklanymi bransoletkami — poza zupełnie osobistymi rzeczami i drobiazgami wszystko zostawiła. Nawet książki, muzykę, wideo.

Dopełniła wszystkich rytuałów towarzyszących opuszczeniu domu. Wtyczki były powyciągane, okna zamknięte na podwójne zamki, lodówka rozmrożona, zostawiona z otwartymi drzwiami, zasłony zaciągnięte, krzesła ustawione w rzędzie, wszystko umyte, sprzątnięte, poskładane, podkładane.

Na lodówce była przyklejona żółta karteczka. Wszystkie rachunki zapłacone. Nikt nie jest nikomu nic winien.

Znalazłem rum, usiałem na tarasie i piłem. Od gówna w nocniku lepszy rum w przelęku. Nieprzycinane gałęzie płomienia Afryki ocierały się o podłogę tarasu. Urwałem gałązkę i pieściłem nią przedramię. O północy, głodny, zamoczony, pojechałem do Jusuf Sarai, zjadłem dwa placki z jajkami i wypięłem kilka kubków herbaty.

Była tam grupa modnie ubranych młodych mężczyzn, pijących z plastikowych kubków, jedzących parathy, rozmawiających głośno i kopiących na zmianę psy, które przychodziły zebrać o jedzenie. Zrobili sobie z tego rodzaj sportu. Niczym gra wideo: kopniak, głośne skomlenie, czmychanie i coraz cichszy skowyt z oddali, wy-

buch śmiechu. Przerwa na kilka kęsów. A potem powtórka. Pomyślałem, żeby interweniować, ale odwróciłem po prostu głowę.

Nieswojo było spać w tym łóżku bez Fizz. Miałem sny o sphywających deszczem udach i jednorekic cieniach, a kiedy się obudziłem, ogarnęło mnie jeszcze dziwniejsze uczucie, bo nie oddychałem zimnym górskim powietrzem i nie widziałem doliny budzącej się poniżej.

Rano poszedłem do banku, gdzie mogłem ustalić, że Fizz podjęła najwyżej dwadzieścia tysięcy rupii. To mnie zdruzgotało. Chciałem, żeby wzięła znaczną sumę, a najlepiej wszystko. Na bazarze Hauz Khas odszukałem PCO — szklaną gablotę wewnątrz innej szklanej gabloty, zawierającej faksy i kserokopiarki — i zadzwoniłem do kilkorga przyjaciół Fizz. Wszyscy byli lodowaci i niezbyt skłonni do rozmowy. Nikt nie dał mi najmniejszej wskazówki, gdzie ona może się podziewać. Musiałem ograniczyć się do pytania, czy wszystko u niej w porządku.

Tak, w porządku. Dziękuję.

I przykro nam, panie Cincpokli, lecz nie dysponujemy adresem, pod który mógłby pan wysłać więcej bólu.

Nie zadzwoniłem do żadnego z moich przyjaciół. Troska, pytania, wyjaśnienia. Nie miałem na nie ochoty. Przed sobą na szklanej ścianie zobaczyłem niewielki kartonik w krzykliwie fioletowym kolorze. Było na nim napisane: Muzyka mokszy. A poniżej: Ośrodek Kręgu Życia. Świat ciągle się zmienia, ale dzieje się to według planu. Można zajrzeć w przeszłość, terażniejszość i przyszłość, wystarczy zadzwonić pod jeden z trzech podanych numerów. Był tam też rysunek przedstawiający mężczyznę w garniturze i krawacie, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami jak Budda, emanującego spokojem i zrozumieniem.

Numery okazały się miejscowe. Zadzwoniłem pod pierwszy. Odebrał ktoś o głosie służącego. Spytał, czy dzwonię w sprawie mokszy.

Tak, szybka dawka. Albo, lepiej, niech pan da podwójną.

W słuchawce rozległ się kobiecy głos. Był łagodny, uspokajający i pełen troski. Wyznaczył mi spotkanie na popołudnie.

Sala mokszy mieściła się w dobudówce domu w Panćsil Park. Bujnie kwitnąca bugenwilla z białymi i różowymi kwiatami obramowywała drzwi. W środku niski stolik z polerowanego drewna tekowego z mosiężnymi okuciami. Siedząca przy nim kobieta

była pogodna i atrakcyjna, z rudymi włosami otaczającymi twarz równym owalem. Miała na sobie niebieską garsonkę w zachodnim stylu. Biała bluzka pod spodem, robiąca wrażenie wykroch-malonej i czystej, ukazywała zarys obfitych piersi.

To był bogobalsam z klasą. Żadne kopanie w głowę przez Babę GoleBole.

Powiedziała: Wygląda pan na człowieka, który ma problemy. Odparłem: Nie, nie mam żadnych. Uśmiechnęła się słodko, wyczekująco. Poprawiłem się: Tak, mam.

Odrzekła z łagodnym uśmiechem: Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Czasami najlepszą metodą gry jest wyłożenie kart na stół. Zwodzenie nadmiarem. Mówiłem poważnie. Słuchała spokojnie, jakbym prezentował jej akademickie *résumé*. Kiedy skończyłem, zadała mi kilka pytań. Potoczyście udzieliłem odpowiedzi. Więcej halucynacji, więcej seksu. Podeszła i stanęła za mną, ujęła moją głowę dłońmi i poprosiła, bym zamknął oczy.

Jej ręce pachniały wanilią, były gładkie i ciepłe. Zacząłem dryfować.

Zaintonowała delikatnie: Wiedz, co widzisz, i zobacz, co wiesz. Skinąłem głową.

Trochę później odsunęła dłonie i zapytała: Co pan widział?

Nie pamiętam.

Niczego?

Niczego.

Dobrze, dobrze. To bardzo dobrze.

Potem odeszła i usiadła na krześle, złączyła palce u rąk i zaczęła mówić mi o energiach wszechświata. Dobrych i złych. Pozytywnych i negatywnych. O paktach, jakie zawieramy ze wszechświatem, kiedy się rodzimy, scenariuszach, jakie wybieramy. Jak regulujemy długi z poprzednich wcieleń, wpasowujemy się w pradawne oceny. Przypadek nie istnieje. Wszystkich, których znamy teraz, znaleźliśmy wcześniej. I poznamy znowu.

Patrzyłem na jej poruszające się usta. Starannie nałożona szminka sprawiała, że wydawały się większe.

Zapytałem: Jestem Gadżem Singhem?

Odparła: To nie takie proste. Ale istnieje głębokie powiązanie.

Syedem?

Nie tak łatwo to stwierdzić. To może być związane z jej wcześniejszym wcieleniem. Jakieś niedokończone sprawy z innego czasu. Coś, co ona usiłuje panu przekazać.

Nalegałem: Carpetem Sahibem? Co?

Przepraszam, nieważne.

Wzięła ode mnie osiemset rupii — pierwsza rata za moksę — i powiedziała, że będę musiał przyjść na terapię regresji poprzedniego życia. Zajmie to co najmniej cztery godziny. Uzyskam wszystkie potrzebne odpowiedzi. Powiedziała, że dostrzega we mnie mnóstwo negatywnej energii. Ażeby ją usunąć, konieczny może się okazać psychiczny zabieg: wygarnięcie jej, zneutralizowanie w misie ze słoną wodą i wylanie do ścieku. Była to jednak złożona operacja. Jeśli nie zostanie przeprowadzona prawidłowo, negatywna energia może się rozlać i zniszczyć inne rzeczy na świecie, a nawet dokonać spustoszeń w chirurgu.

Kiedy wychodziłem, kobieta uściśnęła mi rękę i uśmiechnęła się wyrozumiale, pełna troski.

Powiedziała: Nie wolno się panu bać. Strach blokuje energie wszechświata. Wszystkie odpowiedzi nosi pan w sobie. Żyje pan zgodnie ze scenariuszem, który pan wybrał.

Tak, proszę pani. Nie będę. Przyjdę. Zobaczymy.

Świat ma swoją logikę. Musi pan nauczyć oczy ją dostrzegać.

W sto lat po tym, jak Syed zbuntował się przeciw hipokryzji, ja ją dopiero odkryłem.

Wspaniały pisarz Cincpokli. Nowy wędrowiec na ścieżce pomiędzy rozumowaniem a jego brakiem.

Wróciłem do Gethii następnego ranka i nie wyjeżdżałem przez kolejne sześć miesięcy. I tak mijały lata. Nadal wynajmowałem barsati, niezdolny do znalezienia sił, by uporządkować jego zawartość. Mieszkanie pozostawało w kamiennym bezruchu, pokrywane kolejnymi warstwami kurzu — pomnik przyziemnej natury naszej miłości. Romans w niezbędniku.

Jedyną osobą, z którą się spotkałem w czasie krótkich wypadów do Delhi, był Philip. Doznałem jednak rozczarowania. Pracował dla nowego kanału telewizji i produkował talk-show, w którym trzech uczestnicy atakowali się inteligentnymi i agresywnymi zdaniem, a prowadzący podpuszczał ich na siebie nawzajem. Philip miał na sobie czyste i wyprasowane ubranie, nosił skórzane buty, gładko się golił i już nie wtykał ust w jedzenie jak pies. Ożenił się. Jego żona była dobrze prosperującą praw-



niczka. I ani słowem nie wspomniał o epopejach, które chciałby sfilmować.

Kiedy się żegnaliśmy, poprosił mnie o numer kontaktowy w Gethii, a ja podałem mu zmyślane cyfry. Nie miałem ochoty ponownie się z nim spotykać.

Przez cały ten czas, kiedy byłem pogrążony w lekturze notesów, nie miałem żadnych wiadomości od Fizz ani o Fizz. A kilka moich nieudolnych prób zlokalizowania jej zakończyło się fiaskiem. Nigdy więcej nie podjęła pieniędzy z banku. Jej bojowo nastawione przyjaciółki, które zapewne wiedziały wszystko, nadal mnie od niej odgradzały. Zadzwoiłem do jej matki w Dźorhacie w dalekim Asamie. Połączenie było fatalne, a kiedy rozpoznała mój głos, zaczęła płakać. Odłożyłem słuchawkę. Gdy zadzwoniłem następnym razem, to ona odłożyła słuchawkę. Dla wszystkich mogłem równie dobrze żyć w epoce prehistorycznej.

Jednak bardziej niż zagadka Fizz — gdy już wypłynąłem na powierzchnię wiru dzienników pod sam koniec tysiąclecia — pożerała mnie wciąż zagadka Catherine. Kilka milionów słów później, kiedy dwukrotnie przeczytałem swoje notatki, odniosłem dręczące wrażenie niedokończonej historii. Nie wypowiadając tego głośno, zacząłem mieć poczucie, że jestem najświeższą — ostatnią? — postacią tej sagi. Ale jaka była moja rola, co musiałem zrobić — nie miałem pojęcia.

Przeczuałem, że notesy doprowadzą mnie nad jakąś krawędź, lecz teraz byłem zostawiony samemu sobie.

Mój niepokój pogłębiał jeszcze fakt, że nocne koszmary stały się torturą. Nie czułem się już pożerany, tylko prześladowany. Kładłem się spać przerażony, a moje obawy okazywały się najczęściej w pełni uzasadnione.

Jej twarz była teraz już zawsze wykrzywiona, jej potrzeby nieodmiennie zatruwał jad.

Każdego ranka budziłem się pod wrażeniem, że padłem ofiarą przemocy. Nocami źle spałem, dniami nie spałem wcale.

Zaczynałem wpadać w dziką panikę. Dzienniki się kończyły, a ja nie potrafiłem iść naprzód. Potrzebowałem jakiegoś zakończenia — ale czego? I jak je znaleźć? Linie życia tworzą bezładne kłębowisko. Wszelkie próby uczynienia z nich starannych węzłów są daremne i w sumie ograniczają, moja jednak kotłowała się tak niepokohowanie, była tak wypełniona duchami, że aż uchodziło z niej całe życie.

Ponad miesiąc później — kiedy pewnego ranka przeczytałem

ostatnie słowo na ostatniej stronie i usiadłem na parapecie okna w niewykończonym gabinecie, zapatrzony w przesuwane się mgły, z głową ciężką z powodu braku snu — uderzyła mnie pewna myśl. W jednej chwili wrzuciłem do torby trochę ubrań, wsiadłem do gypsy i pojechałem do Rudrapuru, tam skręciłem w prawo na Kaśipur i zacząłem pytać o drogę. W niecałe dwie godziny od opuszczenia Gethii pędziłem przez zielone pola ryżu, mijałem nadgorliwe czaple i rzędy sterczących w górę topoli, kierując się ku Dźagdewpurowi.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak szybko rzeczy pogrążają się w zapomnieniu.

Miasto nawabów, pałaców, pompy i uroczystości, polowań, defilad, haremów i szubienic — miasto Dźagdewpur — okazało się popadającym w ruinę koszmarem. Droga już wiele kilometrów wcześniej zmieniła się w łąkę z asfaltu, na horyzoncie widać było sylwetki minaretów i ząbkowane mury w stylu saraceńskim. Za ledwie wjechałem do miasta, dostrzegłem otwarte ścieki pełne szlamu. Pokryte czarną szczecią świnię gmerały w nich ryjami. Jakiś starzec pedałowal rykszą, wioząc nieśpiesznie kobietę z twarzą zakrytą burką. Wszędzie wisiały kuszące plakaty hollywoodzkich filmów.

W rozpadającej się herbaciarni obok rozpadającego się dworca autobusowego — muchy i śmieci wokół — zapytałem o drogę. Zebrani tam mężczyźni — wielu muzułmanów, niektórzy z brodami, ale bez wąsów, inni w jarmułkach — popatrzyli na mnie z nieskrywanym zaciekawieniem. Jeden z nich wskazał kierunek, drugi powiedział: Jest pan profesorem?

Jedzie się tam przez wysoką sypiącą się bramę, za którą nie ma już żadnych bram, które mogłyby kogokolwiek zatrzymać, podobnie jak nie ma żadnych wartowników. Ogromny teren pałacowy to ugór porośnięty krzakami, jeśli nie liczyć wiekowego baniana z setkami zwisających napowietrznych korzeni i pary figowców świętych. Stare drzewa umarły, a nowych nikt nie posadził. Wychudzone bydło z nisko opuszczonymi łbami objadało zarośla.

Były trzy pałace: jeden bardzo duży i dwa mniejsze. Pozbawione mebli, ze ścianami odartymi z ozdób, bez drzwi i okien, przypominały puste muszle. Zaparkowałem gypsy na głównym dziedzińcu i przeszedłem przez wszystkie budowle. Moje kroki niosły się echem pośród gruchania gołębi. Odkąd umieszczone wysoko

wywietrzniki zmieniły się w ptaszarnie, podłogi pokrywały warstwy ptasich kup.

Niektóre z mniejszych pokoi miały prowizoryczne drzwi — najwyraźniej zamocowane później — z toporną zasuwą. Kiedy się je otwierało, z wnętrza bił stęchły zapach zwierzęcych skór wymieszany z mdłym smrodem krowich placzków i kozich bobków. W rogach widać było siano i żłoby, w mozaikową posadzkę powbijano stalowe bolce, by mocować do nich pętające kopyta łańcuchy.

Wiele było tu olbrzymich komnat, wysokich na cztery i pół metra, mogących pomieścić tysiąc osób. Człowiek zastanawiał się, jak próżny musiał być ktoś, kto potrzebował tak gigantycznego tła. Tynk odlaził ze ścian niczym strupy. Wszystkie kolumny były poszczerbione, żłobkowania pokiereszowane, drewno z balustrad wyrwane i wyniesione. Solidne żelazne haki w suficie świadczyły o ciężarze wiszących tu niegdyś żyrandoli. Łazienki nie mogły już spełniać swoich funkcji: urządzenia sanitarne zniknęły, marmurowe płyty wykopano. Przez szczeliny w ścianach przepychały się rośliny — wśród nich wiele figowców — które w nadchodzących latach rozniosą pałace w proch.

Pierwiastek rozpadu tkwiący w akcie stworzenia.

Pałace były wzniesione na wysokich cokołach — rośliny zdążyły je już podważyć — toteż musiałem wejść po szerokich schodach, by dotrzeć do frontowych drzwi. Znajdowały się za nimi ogromne wewnętrzne dziedzińce z przestrzennymi werandami, podtrzymywanymi przez rzeźbione kolumny. Kiedyś zapewne obok roztrzaskanych marmurowych fontann rosły dekoracyjne drzewa. Teraz jednak je wykopano, bo potrzebne było miejsce na grządki do uprawy zielonej papryki i bakłażanów.

Niektóre z maleńkich pokoi w najdalszych skrzydłach okazały się zamieszkałe. Widziałem sprzątające i piorące kobiety, a także dzieci, które z wprawą ekspertów, szybkim ruchem nadgarstka, puszczały drewniane bąki. Ich krzątania jeszcze bardziej pogłębiała panujące wokół wrażenie opuszczenia. Ledwie mnie dostrzegły, odwróciły wzrok w ogóle niezaciekawione, a ja pomyślałem, że lepiej będzie nie nawiązywać bliższych kontaktów. Jeden z mniejszych pałaców miał wiele małych pokoi tych samych rozmiarów, wszystkie pozbawione frontowych ścian. Najprawdopodobniej był to psi pałac. Tu także na dziedzińcu stały ruiny fontanny.

Szybko zmęczyłem się pustką ruin. Pokonałem zaledwie niewielką ich część, zupełnie pomijając ciemne wewnętrzne skrzydła i wyższe piętra. Wyszedłem na zewnątrz, gdzie słońce było gorącym monolitem, przyciskającym wszystko do ziemi.

Banian miał wokół pnia betonową platformę, na której stał gliniany pojemnik z aluminiowym kubkiem o długiej ręczce. Wlałem w usta zimną wodę o gliniastym posmaku, trzymając kubek wysoko, tak by ochłapać twarz i pierś. A potem usiadłem i czekałem. Nie wiedziałem na co. Nie było tu nawet śladu domu w angielskim stylu. Może zbudowano go gdzieś indziej. Całe to miejsce wydawało się tak bardzo wymarłe, że trudno było wyobrazić sobie jego wygląd z czasu, gdy Catherine opisywała je w dziennikach.

Zwinałem się w kłębek na gładkim betonie i zasnąłem. Śniło mi się, że jechała na koniu i ciągnęła mnie za sobą. Ubrana była w powiewną białą sukienkę i kapelusz z dużym rondem. Im bardziej protestowałem, tym szybciej galopowała, cały czas oglądając się na mnie i uśmiechając enigmatycznie. Biegłem przepętniony rozpaczą, nogi pracowały jak tłoki, ledwie wytrzymywały, serce mało mi nie pękło. I w chwili gdy pomyślałem, że zaraz umrę, przecięła trzymającą mnie linę, a ja upadłem pod fikusem i straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, nadal tam leżałem. Cienie na pałacowym gruncie wydłużyły się. Formacje papuzek nierozłączek leciały do baz zielonymi strugami, testując swoim skrzekiem barierę dźwięku. Hałaśliwie rozpytujące kruki szukały nocnych siedlisk. Ostatnie gołębie, szykując się do odpoczynku, sfruwały w dół spod pałacowego okapu. Wlałem w usta i wylałem na twarz następny strumień zimnej wody, po czym poszedłem do gypsy.

Maska była za gorąca, żeby na niej usiąść, więc wszedłem po szerokich schodach i przykucnąłem w cieniu wysokich pałacowych murów. Słońce stawało się coraz słabszą, czerwoną, jaśniejącą kulą, kiedy w głównej bramie pojawił się rowerzysta. Niemal dziesięć minut zajęło mu dotarcie do ogromnego, wyasfaltowanego głównego dziedzińca, gdzie kiedyś stała setka samochodów i powozów. Jechał na starym atlasie, z rytmicznym postukiwaniem — brakowało mu kulek w łożysku — niewielki przedni reflektorek zwisał z kierownicy, połączony z dynamem na tylnym kole. Wstałem i pomachałem, a on skręcił w moją stronę.

Miał na sobie spodnie i koszulę z dużymi kieszeniami zapinanymi na guziki, twarz zasłonił przed kurzem kolorową chustą. Kiedy ją zdjął, usta miał poplamione karminowym sokiem betelu. Zanim się odezwał, strzyknął gęstą krwawą śliną w róg schodów,

niemal obryzgując mi przy tym adidasy. Powiedziałem, że chciałbym zobaczyć się z kimś, kto pamięta czasy nawabów.

Roześmiał się bardzo głośno i zapytał: Których nawabów? Tych, którzy sami zbiednieli, czy tych, którzy z innych zrobili biedaków?

Rzuciłem kilka imion. Syed. Zafar. Boycott. Wspomniałem o księdze aforyzmów nawaba.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak szybko rzeczy pogrążają się w zapomnieniu.

Niczego nie wiedział. Słyszał jedynie o członkach rodziny panującej z ostatnich lat. Jednym z nich był Abbas, który w latach sześćdziesiątych pojechał do Bombaju, by zostać gwiazdą filmową, i wystąpił nawet w kilku filmach, w których zagrał czarne charaktery. Zasłynął jako gwałciciel, dodał mój rozmówca. Inny, Abid, zamieszkał w Lakhnau i prowadził tam rodzaj historycznego hotelu w przerobionej haweli. I jeszcze jeden, Murad, został w Delhi projektantem mody.

Wypluwając kolejny strumień soku, mężczyzna powiedział: Powodzi im się znacznie gorzej niż nam. Muszą się zachowywać jak nawabowie, ale niczego nie mają. Widzi pan te pałace? Zostały ogołoczone ze wszystkiego, co dało się wynieść. Oni sami to zrobili. Zniszczyli pracę własnych ojców. Stali tu i mówili: Zabierzcie to, wynieście to, ile za to, ile za tamto. To miasto jest martwe, sahibie. Umarło w chwili, gdy rząd zabronił wydobywania rudy żelaza i uznał, że drzewa są czymś cenniejszym od ludzi. I te wszystkie pałace są martwe. Nikt nie chce dzisiaj tych ruin — nawet darmo. Jeśli spędzi pan tu noc, usłyszysz głosy duchów mężczyzn, kobiet i psów, hałasujących w pustych korytarzach. Mieszkam tutaj, bo ojciec zostawił mnie dwadzieścia lat temu; dobrze poznałem duchy i nie muszę się ich obawiać.

Zapadał zmierzch, pojawiło się dwóch innych mężczyzn. Wszyscy palili teraz papierosy bez filtra i mądrzyli się na temat czasu, przeznaczenia, bogactwa i mądrości. A ja potrzebowałem faktów i nie chciałem spędzić całej nocy w tym zapomnianym przez boga mieście. W nikałym świetle i ciszy bryły pałaców robiły niesamowite wrażenie. Siedem rodzin mieszkało tam, gdzie kiedyś tysiące ludzi pędziło życie wśród pompy i namiętności.

Spytałem o dom Syeda w angielskim stylu. Żaden nie miał o nim pojęcia.

Dopiero kiedy zniecierpliwiony zaczynałem zbierać się do odjazdu, skupili się ponownie na moich pytaniach. Powiedzieli: Jest

tylko jeden człowiek, który być może powie panu to, czego chce się pan dowiedzieć. Nazywa się Rommel Mijan.

Odparłem: Zaprowadźcie mnie do niego.

To jednak było niemożliwe. Mieszkał bardzo daleko od miasta, na polach wnuka. Wyruszymy tam z samego rana, powiedzieli i zaczęli szykować mi nocleg. W jednym z pokoi z prowizorycznymi drzwiami, tuż obok pomieszczeń dla zwierząt, ustawili dla mnie łóżko. Dali mi też dobrze zjeść. Chciałem się poprzehadzać w świetle księżycy, ale coś mnie przestraszyło przy banianie, więc wróciłem biegiem do pogrążonego w ciemności pałacu.

Spałem fatalnie. Czułem się osaczony czyjąś obecnością i za każdym razem, gdy bydło szurało kopytami bądź prychało, zrywałem się z sercem bijącym jak młotem. Zasnąłem dopiero nad ranem, kiedy zobaczyłem przez szpary w drzwiach, że noc rozjaśnia się brzaskiem. Obudził mnie głos ojca, który wołał w rozczulający sposób, jak to robił, zanim staliśmy się zaprzysięgłymi wrogami. To był mój gospodarz. Przyniósł szklanę gorącej herbaty, która niemal porobiła mi bąble na palcach.

Wiele lat minęło od czasów farmy bibi Lahauri w Salimgarhu, a ja wziąłem teraz napełnioną starą butelkę po wodzie mineralnej i zacząłem się włóczyć po zarośniętych krzakami terenach pałacowych. Przekonałem się, że te ugory wykorzystywane są nie tylko przez mieszkańców pałacu, ale również przez innych ludzi z miasta, którzy kucali pod murami i załatwiali się tu niczym kaczki wystawione na odstrzał. Ogrody rozkoszy nawaba zamienione w pole do srania dla biedaków. Siedząc tam w kucki, przeżyłem chwilę odrealnienia. Niemal wpadłem w fałdę czasu, zapominając na moment, kim jestem, gdzie jestem i co tu robię: przykucnięty za żółtym krzakiem oleandra, w średniowiecznym umierającym mieście, gdzie diabeł mówi dobranoc, pod osłoną ruin pałacu, z pogniecioną plastikową butelką w ręku.

Później mój gospodarz uruchomił ręczną pompę, a ja usiadłem na ziemi i pozwoliłem, by mnie oblewały strugi cudownie zimnej wody.

\*

Wszyscy czterej mężczyźni postanowili iść później do pracy, a tymczasem załadowali się ze mną do gipsy. Mijając rolników kończących właśnie poranną pracę, podskakiwaliśmy na wybojach wiejskich dróg — między zielonymi polami, ciernistymi aka-

cyjami i gajami mangowców — przez blisko godzinę. Ścieżki stawały się coraz gorsze, coraz węższe. W którymś momencie droga wiodła po tak wysokim błotnistym nasypie, że jeep mógł z łatwością się z niego stoczyć. Przez cały czas towarzyszyły nam tumany kurzu, które czasami robiły się tak gęste, że musiałem stawać i czekać, aż opadną, bo nie widziałem drogi przed sobą.

Z błota i obornika postawiono trzy izby i nakryto je strzechą. Dołączono do nich — bez wątpienia później — dwa wielkie kwadratowe pokoje z nieotynkowanych cegieł. Na płaskim dachu nowych pokoi, na końcu długiej rury kanalizacyjnej, zamocowano olbrzymią antenę. Musieliśmy zostawić jeepa i przejść ostatnie dwieście metrów gęsiego przez pola. Dwa żwawe kundle zaczęły szczeekać, gdy podeszliśmy do domostwa, krążyły wokół nas, machając ogonami. Podwórze — za sprawą wielu warstw zaprawy z błota gładkie jak łysina — było pełne gdaczących i dziobiących kur.

Rommel Mijan przypominał sękaty kawałek imbiru. Zastaliśmy go na żelaznym łóżku ze sprężynami w pierwszym pokoju lepianki. Ani nie siedział, ani nie leżał, maleńka garstka człowieka. Miał gęste siwe włosy, ale usta zapadły mu się z braku zębów. Uniósł rękę podobną do zwierzęcej łapki, by pobłogosławić wszystkich mężczyzn, którzy dotknęli jego stóp. Przyniesiono dla mnie drewniane krzesło, na którym mogłem usiąść. Z okrągłej belki nad głową Rommla Mijana zwisał długi sznurek z przywiązaną do niego szmacianą piłką. W pozbawionym drzwi wejściu, gdzie zatrzymało się światło słońca, brzęczały muchy.

Był stosunkowo sprawny umysłowo, lecz rozumiałem go z trudem, bo mówił głównie miejscowym dialektem, a z jego bezzębnych ust słowa wychodziły zniekształcone. Rozmawiałem z nim za pośrednictwem moich kompanów. Uprzejmościami spróbowałem dobrze go usposobić. Powiedział, że wstąpił do wojska w czasie drugiej wojny światowej. Wszyscy stali w rzędach na placu defiladowym Dżagdewpuru, młodzi i starzy. I wtedy biały oficer wyszczeekał coś, czego nie rozumiał. Wielu mężczyzn wystąpiło naprzód. Więc i on to zrobił. Po tygodniach marszu w górę i w dół oraz szkoleniu w obsłudze broni i rzucie granatem załadowano ich na okręt. Przez wiele dni chorował na morzu. Potem znaleźli się na pustyni w Afryce Północnej. Zaczął tam kopać okopy i groby, okopy i groby, i kopał, kopał i kopał, od rana do wieczora, każdego dnia, kopał, kopał i kopał, aż Rommel został pokonany. Pokonał Rommla bez jednego strzału. I wtedy wrócili. Położył się na łóżku i nigdy więcej nie przepracował fizycznie ani

jednego dnia. Mimo to od tamtej pory ramiona nadal go bolały. I za każdym razem, gdy spał, śnił, że kopie doły i do każdego z nich się kładzie.

Próbujący się z niego nabijać słyszeli w odpowiedzi nazwisko człowieka, od którego okazał się lepszy.

Przestał się nazywać Śakur i zaczął się nazywać Rommel Mijan.

Piłka wisząca przed jego nosem służyła do odpędzania wlatujących do środka ptaków i szerszeni bez konieczności podnoszenia się z łóżka.

Wystarczy tych uprzejmości, wielki wojowniku. Przystąpmy do rzeczy. Odsłoń tajemnice, które posiadasz.

Syczące seplenienie Rommla stało się tak dominujące, że nawet moi towarzysze ledwie go rozumieli. Musieli prosić, żeby powtarzał wszystko po kilka razy.

Jego ojciec był przez całe życie służącym na dworze nawaba, a on sam wychował się, wysłuchując historii o księżącym cyrku. Nie, nie chce pan poznać szczegółów. Mógłby pan zwątpić w jasność umysłu wszechwiedzącego w chwili, kiedy rozdzielał bogactwo i splendory.

Tak, wiedział o białej kobiecie, którą młody nawab przywiózł do domu z Anglii.

Tak, była bardzo piękna i jeździła konno równie dobrze jak mężczyzna.

Tak, była czarownicą, odprawiającą sekretne rytuały.

Tak, mieszkali w osobnym domu, a nie w żadnym z pałaców.

Tak, była inna żona, której młody nawab nigdy nie tknął. Umarła w 1971 roku — w tym samym, w którym Indira Gandhi odebrała dożywotnie apanaże członkom rodziny królewskiej — nadal jałowa jak pustynia.

Tak, to prawda, młody nawab był dziwnym człowiekiem, o silnym umyśle i słabym ciele.

Tak, jego ludzie go kochali i rozpaczali po nim.

Tak, został wydziedziczony przez starego nawaba.

Tak, mówiło się wtedy, że w całym Dżagdepurze nie ma dość mężczyzn, by zaspokoić jego chuć.

Tak, wyglądało na to, że jej potrzeby nie są wcale mniejsze od potrzeb nawaba.

Tak, był także półnawab z kaleką ręką. Zafar.

Tak, użalali się nad nim i bali się go. Dobry człowiek zepsuty przez kalectwo.

Tak, ci dwaj bracia walczyli. I obaj przegrali.

Tak, był też jeszcze jeden mężczyzna. Silny i cwany. Z gór.



Tak, wodził oboje, młodego nawaba i białą kobietę, jak szczeniaki na sznurku.

Tak, młody nawab został zamordowany. Otruty za pomocą bitek z baraniny, suto przyprawionych miętą. Z dodatkiem datury.

Tak, ona to zrobiła.

Tak, stary nawab nie czynił szumu wokół tej sprawy, bo młody nawab po prostu za długo przynosił mu wstyd.

Tak, dom w stylu angielskim został zburzony. Wszystkie ślady po niej usunięto.

Tak, człowiek z gór zabrał ją w góry, gdzie mgły ukryły prawdę.

Tak, nigdy więcej nie widziano jej w Dżagdewpurze.

Tak, kiedy wrócił po zwycięstwie nad Rommlem, słyszał, że umarła.

Tak, dowiedział się o tym od człowieka z gór, który przyjechał w odwiedziny do jego ojca. Trzymał ojca za rękę i szlochał. Powiedział, że stracił wszystko. Wszystkowiedzący udzielił mu ponurej lekcji. Nie zasłużył na nią. Stracił miłość, dobytek, reputację i, co najgorsze, dziecko.

Tak, najgorsza była utrata ukochanego syna, który podobnie jak Zafar był półnawabem.

Chwyciwszy piłkę dyndającą przed twarzą, Rommel Mijan cisnął ją we wróbla, który wleciał do izby. Ptak wyfrunął z ćwierko-tem, a w lepiance piłka kołysała się dalej niczym wahadło czasu.

Rakszas.

Tydzień później, kiedy starannie przeczytałem ponownie kilka partii dzienników, postanowiłem przejść się do Bhumiadharu. Dzień był pochmurny, Gethię otulały przesuwające się mgły. Zanim doszedłem do jadłodajni, mgła się roziała, powietrze stało się czyste i zimne. Szedłem niewłaściwą stroną drogi i mogłem patrzeć w dół na dolinę, zasłanianą chwilami przez tarasy i przechodzącą w dywan z dębów. Gdy się obracałem, widziałem dom w cieniu Triśula, przykucnięte zwierzę gotowe do skoku.

W dhabie dwóch pomocników siekało cebulę i ziemniaki na wieczorny obiad, podczas gdy bracia zapaśnicy, do których należała jadłodajnia, siedzieli na drewnianej ławce na zewnątrz i nacierali nogi olejem gorczycowym. Obok nich przysiadło kilku kierowców ciężarówek, gawędząc leniwie i popijając herbatę.  
Wy-

chudzone, parchate psy leżały chyba pod każdym krzesłem i każdą ławką. Zapaśnicy unieśli dłonie w geście pozdrowienia. Zrobiłem to samo.

Nigdy przedtem nie chodziłem do Bhumiadharu, ale okazało się to znacznie łatwiejsze, niż myślałem. Zbocza nade mną porośnięte były sosnami, także poniżej ich czubki wystawały ponad szosę, stare i majestatyczne. Droga pięła się i opadała, miała wygodne, porośnięte trawą pobocze, na które można było zejść, gdy przejeżdżał jakiś pojazd. Przez chwilę czułem się niemal lekko i beztrasko.

Odnalezienie go nie zabrało mi wiele czasu. Wszyscy go znali. Co charakterystyczne, mieszkał z dala od głównego skupiska domostw w wiosce. Kierując się do jego kamiennego domu przypominającego pudełko, z małymi oknami i połatanym dachem z cynkowanej blachy, musiałem zejść trochę w dół zbocza, a potem przeciąć kilka pól na tarasach. Ze środka dochodziło szczekanie psa, rozlegające się seriami. Cisza, ujadanie, cisza. Kiedy zapadała cisza, wołałem go kilka razy, a potem czekałem.

Po jakimś czasie obszedłem dom i między grządkami kapusty ruszyłem na koniec tarasu, zwężającego się do punktu, w którym mocował go do ziemi wielki orzech. Pies w domu przestał szczekać. Wkrótce jakiś inny zaczął ujadać, tym razem gdzieś w dole, jego głos przemieszczał się jednak w moją stronę.

Rakszas wyłonił się spośród dębów. Palii marihuanę w ćilam, szczekający pies biegł żwawo kilka kroków przed nim. Rakszas dostrzegł mnie, wsunął ćilam pod lewą pachę i uniósł rękę w geście pozdrowienia. Zrobiłem to samo. Miał cudowny talent do okazywania szacunku bez służalczości.

Krzywiąc wargi w uśmiechu, powiedział: Słyszałem o pańskiej nowej fryzurze.

Pies pobiegł przodem do domu, a my ruszyliśmy za nim w milczeniu. Rakszas otworzył drzwi, wszedł do środka i wyniósł dla mnie krzesło. Pies, zamknięty dotąd w domu, wybiegł na zewnątrz. Obwąchał mnie i popędził dalej, goniony przez drugiego psa. Usiadłem i oparłem stopy o niski kamienny murek ogradzający podwórze. Po drugiej stronie Gethii słońce zaczęło się zniżać. Byliśmy daleko w dole zbocza, stąd światło zniknie znacznie szybciej.

Wrócił z dwoma kubkami herbaty na wyszczerbionej drewnianej tacy. Podał mi jeden, wziął drugi i usiadł w kucki pod niskim murkiem. Herbata mocno pachniała świeżym imbirem.

Powiedziałem: Przeczytałem wszystkie notesy.

Odparł: Co mi do tego? Powiedziałem: Pojechałem do Dżagdewpuru. Wpatrywał się we mnie długo, bez wyrazu, i nic nie odparł. Powiedziałem: Poszedłem do pałacu nawaba. Spotkałem się też z Rommlem Mijanem.

Odstawił kubek i zaczął trzeć lewe ramię prawą dłonią. Powiedziałem: Rommel Mijan mówił mi o wielu rzeczach. Co panu mówił? Wszystko.

Więc teraz wszystko pan wie?

Tak, wiem wszystko.

To po co pan tu przyszedł?

Bo chcę też dowiedzieć się tego od ciebie.

Co chce pan wiedzieć?

Wszystko.

Niech mi pan wierzy, mój ojciec go nie zabił. Nawet nie chciał. Myśl o tym prześladowała go do ostatniego dnia. Myślę, że nigdy potem nie zaznał już spokojnego snu.

Tak.

Powiedział: Ona oszalała. Bez przerwy powtarzała ojcu, że młody nawab zwariował. Mówiła, że planuje zabić ich oboje. Mówiła, że kazał ich bez przerwy szpiegować. Że opium i zazdrość pomieszały mu w głowie. Że nie jest już tym samym człowiekiem, jakiego wcześniej znali. Mówiła, że młody nawab wiedział, że jego książęca rodzina ucieszy się jedynie, jeśli pozbędzie się jej i jego. Mówiła, że jeśli chcą być razem, jeśli chcą ocalić życie, muszą działać pierwsi, działać natychmiast. Mówiła, jak to cudownie się składa, że jeżeli zadziałają pierwsi, panująca rodzina będzie po prostu uszczęśliwiona — szczęśliwa, że się go pozbędzie, bo przynosił jej wstyd. Tak więc albo oni, albo on. To prawda, ojciec był nią zuroczony — bo, jak mówią, nie sposób było jej nie ulec. Biała, bardzo piękna, a ojciec wspominał, że potrafiła robić mężczyźniom rzeczy, o jakich ten nie może nawet marzyć. Ojciec przyznawał, że był w transie — poderżnąłby sobie gardło, gdyby go o to poprosiła. Ale nigdy nie chciał go zabijać. Kochał go. Kiedyś młody nawab ocalił życie całej naszej rodzinie, a ojciec poszedł do niego, by uchronić go przed złymi zamiarami nawaba Zafara. A potem poznał ją i zamiast być jego obrońcą, stał się zabójcą. Ale w dosłownym znaczeniu nie zabił go. Kiedy nadszedł czas, powiedział jej, że ona powinna to zrobić. Przyrządził potrawę, ale ona ją doprawiła. Mówił, że nie potrafił nawet znieść tego widoku. Tamtej nocy wzięła go z większą pasją niż kiedykolwiek, jakby chciała zetrzeć ze skóry

poczucie winy. Przez następne kilka dni zachowywała się spokojnie, jak święta, nie dopuszczając, by ktokolwiek nawet spojrział na nią oskarżycielsko. Jak się okazało, wszyscy odczuli ulgę. Później rozdała wszystko ludziom, którzy dla niej pracowali, zabrała ze sobą Maabula, Banno i Rama Asre, wypięła się na Dżagdepur i nigdy tam nie wróciła.

Czekałem, nic nie mówiłem, pozwalając mu podążać ścieżką, którą sam wybierze.

Zaciągnął się głośno ćilam. Jego przystojna, wyrazista twarz była pozbawiona ekspresji. Zaproponował mi fajkę. Ująłem ją obiema rękami, zaciągnąłem się głęboko dwa razy, nie dotykając ustami gliny, i zatrzymałem dym w płucach. Wziął fajkę ode mnie i też głęboko się zaciągnął. Jego oczy, jak zauważyłem, były wilgotne. Przeżyte lata dawały o sobie znać.

Powiedział: To był dziwny związek. Przypominał znany z mitologii motyw ubijania oceanu. Podobnie jak w micie było tam po równo nektaru i jadu. Ojciec mówił, że kosztował z nią raj, raz po raz, raz po raz, ale na końcu pojawiła się trucizna. Ale niech mi pan wierzy, sahibie, kochał ją. Kochał ją bardzo głęboko. Żył dla niej, wszystko robił dla niej. Nazywał ją fontanną radości. Mówił, że była jak cudowne źródło, które uderzało do głowy, odbierało rozum każdemu, kto się w nim wykapał. Ona też go kochała. Ojciec mówił, że dla niego zrobiłaby wszystko, czego by zechciał. Ale on niczego nie chciał. Chciał od niej jedynie miłości. To prawda, że w ostatnich latach jej życia oddalili się od siebie, ale głównie dlatego, że zaczęła się zmieniać. Jej pożądanie skaziła zazdrość, oczy wszędzie widziały cienie. Moja biedna matka, która nigdy się nie skarżyła z jej powodu, która żyła własnym życiem, szczęśliwa z okruchów, jakie ojciec mógł jej ofiarować, moja matka stała się dla niej demonem. Ileż to lat żyliśmy bez ojca! Jak nauczyliśmy się czekać na jego odwiedziny! Czasami przychodził potajemnie rankiem i wieczorem znikał w pośpiechu. Matka sama namawiała go, żeby szedł, bo wiedziała, jakie rozpęta się piekło, jeśli nie wróci na czas. Wiedzieliśmy też, że zażywała bardzo dużo gandzi — dwoje oszustów z niskiej kasty zwodziło ją dzięki temu — a to zaburzało jej władze umysłowe.

Słowo, jakiego użył, brzmiało „równowaga”. Traciła równowagę.

Powiedział: I, sahibie, jak pan wie, żadna miłość nie przetrwa, kiedy zacznie walczyć z upiorami, które nie istnieją. A pożądanie umiera w chwili, gdy jest kontrolowane.

Zapadła noc. Psy wróciły i legły przed drzwiami, kładąc łby na

przednich łapach. Wszedł do środka, przekreślił włącznik i żółte światło żarówki rozbłyło nad domem. Wszędzie wokół na zboczach widać było jasne punkciki. Samochody i ciężarówki z warkotem silników pięły się drogą nad nami. W dole panowała prawie zupełna ciemność, zastępy dębów ciągnęły się bez końca, stłoczone razem niczym grupy długodystansowców.

Kiedy ponownie wyszedł z domu, usiadł pod murkiem i zapalił fajkę, powiedziałem: I co się z nią stało?

Powtórzył: Co się z nią stało?

Odparłem: Tak, co?

A co dzieje się z każdym? Umarła.

Pytam jak.

Myślałem, że wszystko pan wie.

Bo tak jest, ale chcę usłyszeć, co ty masz do dodania.

A co niby? Tych dwoje się jej pozbyło. To się stało. Dostali, czego chcieli, a potem ją załatwili. Porzucili własnych bogów dla resztek z jej stołu. A ona była tak obłąkana i wściekła na mojego ojca, że nie wiedziała, co robi. Jeśli dasz nisko urodzonym zasmakować lepszego życia, płacisz za to wysoką cenę. Starła się być dla nich dobra, a oni ją zniszczyli. Myślę jednak, że płaciła też za swoje wcześniejsze postęпки. Czy to nie prawda, że to, co czynisz, będzie uczynione tobie? Dusza młodego nawaba musiała odczuć ulgę. Ale ojciec miał złamane serce. Płakał całymi tygodniami, minęły miesiące, zanim mógł pójść i usiąść przy jej grobie. A tych dwoje? Nie odczekali nawet tygodnia przed wprowadzeniem się do domu. Z dziećmiakami i tandetnym dobytkiem. Zaczęli nosić jej ubrania. Zaczęli spać w jej łóżku. Zaczęli srać w jej klozecie. Zaczęli sprzedawać po kawałku jej posiadłość. Ale ojca to zupełnie nie obchodziło. Traktował ich tak, jak zawsze ich traktował, jak ludzi z niskiej kasty. Zawsze powtarzał, że miał ją, duszę i ciało — a jej głupi majątek w ogóle go nie interesował.

Zapytałem: Jak się jej pozbyli?

Zaciągnął się głęboko i odparł: Daturą.

Z cienką czarną latarką Fizz w kieszeni ostrożnie wracałem na drogę, bacznie obserwując szeleszczące zarośla lantanów. Spacer powrotny do domu wypełniła magia. Księżyc wzeszedł wcześniej, niebo było czyste i usiane gwiazdami. Lśniąca szosę widać było aż do następnego zakrętu. Co jakiś czas urok niweczył samochód

przejeżdżający obok z charkotem silnika, ale potem, parę minut później, gdy hałas przycichał, oczarowanie wracało. Przy padao parkowało na drodze kilka ciężarówek z otwartymi drzwiami. Zapaśnicy ciężko teraz pracowali, nadzorując obiad grubymi ramionami i piskliwymi głosami.

Niedaleko sklepu thakura, gdzie wyłożona w jodełkę ścieżka wspinała się do Najnitalu, zwolniłem i stałem się bardziej czujny. Sześć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni, pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą, widziano tu panterę przechodzącą z doliny Dzeolikot do doliny Bhumiadhar. W sąsiedztwie zginęły trzy psy, dlatego przywiązywaliśmy Baghirę wcześniej niż zwykle. Ale nie napotkałem żadnego wielkiego kota i po chwili byłem już na terenie posiadłości, gdzie doszedł mnie trzeszczący dźwięk z telewizora i ujrzałem poświęcę w jadalni, a w tej poświęcie ziemistą twarz Prakaśa z wytrzeszczonymi oczami.

Wziąłem butelkę whisky, szklanę, butelkę wody i poszedłem na tylny taras. Dzeolikot mieniło się światłami, duży ruch panował na Jedyńce, przednie światła krzyżowały się bez przerwy, jeden samochód na cztery skręcał w naszą stronę. Po mojej prawej stronie światła spadały nierówną kaskadą po zboczu doliny — niebezpieczny znak, że miasto się rozrasta. Żyło w strachu przed dniem, gdy niesieni furją bogowie gór powstaną i pozwolą, by ziemia się osunęła. Po mojej lewej stronie znajdował się ciemny garb bocznej grani Gefhii i gdzieś tam, pomiędzy jej dębami i sosnami, był grób.

Nagle przeszedł mnie dreszcz. Pogoda się zmieniała. Choć miałem whisky we krwi i cienki sweter na sobie, było mi zimno. Do nowego tysiąclecia zostały cztery miesiące. Rok 2000. Od czasu do czasu, kiedy Prakaś przynosił mi z Bhowali gazetę, widziałem armie handlarzy zmieniających świat w magazyn przed gigantycznym orgazmem świętowania i wydawania pieniędzy. Mnie to nudziło. Ale nieraz głowę wypełniały mi słowa, które wymienialiśmy z Fizz piętnaście lat wcześniej, gdy rozmawialiśmy o przyszłości.

Jak myślisz, gdzie będziemy?

To było ulubione pytanie. Jak myślisz, gdzie będziemy?

Tak, gdzie? W popierdolonej halucynacji, robiąc notatki.

Szybko opróżniłem drugą szklanę, wniosłem butelki do środka, wziąłem krótki kij z drewna sandałowego i nic nie mówiąc Prakaśowi, który siedział jak skamieniały przed ekranem, zszedłem do dolnej bramy, przedostałem się przez drut kolczasty i ruszyłem w kierunku sanatorium.

Kiedy zacząłem się wspinać pomiędzy dębami, włączyłem latarkę. Na zakręcie ścieżki żadne światło nie rozpraszało ciemność-

ci. Żarówka na orzechu nie była zapalona. Psy Taphena zaczęły już ujadać. Dostrzegłem żółtą żarówkę z kloszem z blachy, zawieszoną na zewnątrz werandy Taphena. W chwili gdy dochodziłem do jego domu, psy wpadły w szal. Siedziały w klatkach po obu stronach frontowych drzwi. Zawołałem. Wyszła Damjanti; widać było, że jest wystraszona.

Taphen siedział w fotelu — butelka na podłodze, szklanka w rękę, zrolowana szara kominiarka na głowie. Widziałem go po raz pierwszy od kilku miesięcy i wydał mi się starszy, bardziej wyniszczony. Jego nieogolona skóra stała się obwisła i workowata, oczy miał przekrwione.

Powiedziałem: Wiem o tobie wszystko, Stephen.

Nie podnosząc głowy, odparł: Nawet wszechwładny tego nie wie.

Chcę, żebyś mi wszystko powiedział, Stephen.

Nic nie wiem.

Wiem o wszystkim.

To dobrze. W takim razie niech pan stąd idzie. Niech pan sobie przypomni: mówiłem, żeby pan nie czytał tych diabelskich notesów.

Nawet na mnie nie patrzył. Wpatrywał się w swoje uda. Damjanti podała mi szklankę, a ja nalałem sobie hojną ręką. Nie miałem zamiaru wychodzić, dopóki nie usłyszę odpowiedzi na moje pytania.

Powiedziałem: Rozmawiałem z Rommlem Mijanem, Stephen. Zapytał: A co to za gnojek? Odparłem: Pojechałem do Dżagdewpuru. Nagle podniósł wzrok i zamarł w bezruchu. Powiedziałem: Pojechałem do kolonii Ambedkar i spotkałem się z siostrzenicą Banno. Nawet nie drgnął.

Powiedziałem: O, przepraszam, z siostrzenicą BannoMary. Była bardzo miła. Przesyła ci pozdrowienia, choć, jak wspomniała, nigdy się nie spotkaliście. Jestem pewny, że nawet nie wiedziałeś, że masz tam kuzynkę.

Kłamałem. Ale w ogóle mnie to nie obchodziło.

Powiedziałem: Mówiła, że jej rodzice przestali się zadawać z twoimi, bo nie mogli im darować zmiany religii. Ale ona wszystko o nich wiedziała. Rodzina bacznie śledziła, co się z wami działo — wiedziała o uśmiechu losu, o bogactwie i skąd się ono wzięło. Same pieniądze nie powinny niczego zmieniać, podobnie jak sama religia, ale połączone mogą zdeprawować nawet anioła.

Zaczął płakać. Ot tak. Siedział nieruchomo, a wielkie łzy ście-

kały mu po pobrużdżonych policzkach. Milczałem. Przyszła Damjanti, stanęła w drzwiach i wpatrywała się w niego.

Po jakimś czasie powiedział: Moja matka była dobrą kobietą. Bardzo dobrą kobietą. I kochała ją. Bardzo ją kochała. Bardziej niż własne dzieci, bardziej niż nas. Przez całe życie służyła jej jak niewolnica. Gotowała dla niej, sprzątała dla niej. A kiedy ona chorowała, myła ją, kąpała, przebierała. W każdej minucie żyła dla niej, dniem i nocą. Czasami ona ją wołała, a my płakaliśmy, bo chcieliśmy mleka albo czegoś do jedzenia, ale matka biegła na wezwanie. I te wszystkie kłamstwa, rozprowadane przez głupich bydlaków, że z jej powodu matka zmieniła religię. Zmieniła, bo ci gnoje traktowali ją jak zwierzę, i ojca traktowali jak zwierzę, a nas traktowali jak zwierzęce pomioty. Arogancki maderćód Gadź Singh nawet swoim dzieciom nie pozwalał się z nami bawić. Byliśmy robactwem, karaluchami, mętami. Zwróciła się w stronę Jezusa nie z powodu memsahib, ale żeby zyskać trochę szacunku. A Jezus zapewnił jej szacunek. Jezus zapewnił szacunek nam wszystkim. Siedzę tu i rozmawiam z panem w ten sposób, bo Jezus zapewnił mi szacunek. Pieprzyć tych wszystkich sukinsynów! Jezus dał mi szacunek.

Sam doprowadzał się do złości, a jednocześnie użalał się nad sobą. Wzruszał się własną historią.

Odczekałem chwilę i powiedziałem: Jak ona umarła, Stephen?

Panując już nad łzami, powiedział: On ją zabił. Ten maderćód ją zabił. Myślał, że jest jakimś Romeo w jej życiu. Wielki, pierdzie-lony Romeo. Był diabłem, miał nad nią kontrolę. Dokładał jej do jedzenia dziwne rzeczy, które rzucały na nią zły czar. No i to on otrął młodego nawaba i sprowadził ją tutaj. Matka powtarzała, że młody nawab był wspaniałym człowiekiem, mężczyzną, jakich rzadko się spotyka, mahatną. Zawsze robił coś dla biednych i będących w potrzebie. Był człowiekiem, który wrócił z Anglii i dał matce i ojcu pracę u siebie w domu. Nikt z pałacu nie pozwoliłby im się nawet zbliżyć. A memsahib Catherine kochała matkę. Zawsze trzymała ją blisko siebie. Kiedy matka zwróciła się ku Jezusowi, to ona nadała jej imię Mary. Matka Jezusa nosiła to imię, powiedziała, i teraz nikt nie ośmieli się pluć na ciebie.

Wtrąciłem: Rozumiem, Stephen. Ale dlaczego ją zabił?

Odparł: Bo już go nie chciała. Miała go dość, była nim zmęczona. Wykorzystywał ją, oszukiwał i wreszcie po wielu latach przejrzała na oczy. Zrozumiała, kto naprawdę się o nią troszczył. Widzi pan, nie pozwalała jego dzieciom przychodzić do domu, bo ciągle coś kradły. A my? My mogliśmy przychodzić i odchodzić, kiedy



chcieliśmy. Kochała nas. Mówiła: Ze Stephena, kiedy dorośnie, będzie doskonały ksiądz! Widzę to. Ma w oczach troskę o innych.

Spojrzałem na Damjanti. Obojętna, stała oparta o framugę.

Powiedziałem: To niewystarczający powód, żeby kogoś zabijać, Stephen. Nic by nie zyskał.

Taphen rozzłościł się. Wlał w gardło zawartość szklanki, napełnił ją na nowo i opróżnił jednym długim haustem. A potem, patrząc prosto na mnie, zaczął wrzeszczeć: Myśli pan, że to my ją zabiliśmy! Tak właśnie pan myśli? Czy to usiłował panu wmówić ten jednoręki sukinsyn? Powiem panu, nawet nie wiedzieliśmy, że zapisała nam posiadłość. Ale jego ojciec, wielki Romeo, wiedział. Bo mu powiedziała. Żeby znał swoje miejsce. Żeby zrozumiał, że stary porządek się zmienił. Że przejrzała jego podłe gierki. A on nie mógł tego znieść. Myślał, że mają na własność. Że ona będzie na zawsze jego niewolnicą. Bez przerwy podsuwał jej haszysz, żeby mieszać jej w głowie. I był zły — dodawał do niego daturę, kilka nasionek za każdym razem. Czasami dosypywał ich tyle, że przez całe dni nie wiedziała, co robi ani co mówi. Kto się wtedy nią opiekował? No, kto? Moja matka. Moja matka. Mary! Banno Mary! Matka Jezusa!

Ponownie napełnił szklankę. Jeszcze nie skończył.

Powiedział: Przez to właśnie doszło do tego, że ucięła temu borsukowi rękę. Ten madercód nafaszerował ją haszyszem, a potem przysłał chłopaka, żeby zabrał z jej domu parę rzeczy. Ona go zobaczyła i uderzyła laską z okutym zakończeniem. Rozcięła mu ramię, a po trzech tygodniach stało się ono tak zgniłe jak ich zamiary. Musieli go zawieźć do misyjnego szpitala i odciąć rękę. I jaki z niego kundel, choć ma tylko jedną rękę! Z dwiema zostałby bandziorem!

Zapytałem: Nic im — jemu — nie zostawiła?

Znowu zaczął krzyczeć: Wystarczająco ją oskubali! Wyssali jej ciało, wyssali duszę i zabrali wszystkie rzeczy, jakie miała! Co więcej mogła im dać? Rozumie pan, dla memsahib Catherine przedmioty nie miały znaczenia. Zostawiła całe bogactwo, kiedy opuszczała pałac nawaba. Zależało jej na miłości. Prawdziwej miłości. Dla niej poświęciła wszystko. Ale ten sukinsyn Romeo ją zdradził. Złamał jej serce. Zadał jej ból. Wyrzucił jej córkę. Tak, proszę pana, wyrzucił jej córkę. Powiedział jej, że albo ona, albo on. W ostatnich latach życia płakała po swojej dziewczynce. Płakała od rana do wieczora. Wylała rzeki łez. Pożłobiły jej twarz. Ale było za późno. Zachowywał się jak diabeł. I Jezus go za to ukarał. Zabrał rękę jego syna. A wtedy ten sukinsyn Romeo tak się na nią

wściekł, że ją otruł. Otrul ją swoją pierdzieloną baraniną. Tak samo, jak to zrobił z młodym nawabem, dobrze przyprawiał jedzenie daturą! Każdego dnia dziesięć nasion. Każdego dnia dziesięć nasion. Po trochu wpędzał ją w obłąd. Później jednego dnia sto nasion. Po wszystkim! Załatwione! Koniec! A potem Taphen wpadł w amok.

Podniósł się i ledwo stojąc na nogach, wrzeszczał: A ty przychodzisz tu z tym swoim pierdzielonym kucykiem i cacy-sracy miastowym dupskiem i oskarżasz mnie! Cierpieliśmy! Ona cierpiała i cierpiała! I tylko dlatego, że jesteśmy biedni i musieliśmy ci sprzedać dom — jej dom — myślisz, że masz prawo przychodzić i zadawać głupie pytania! Wynoś się stąd, zanim wyciągnę wielkiego wała i wsadzę ci go w ucho! Jazda stąd, sukinsynu!

Jego oczy pływały w morzu czerwieni. Kołysał się na boki jak bambus na silnym wietrze. Gdybym został jeszcze kilka minut, przewaliłby się na podłogę.

Ale ja już załatwiłem sprawę. Nie mógł mi opowiedzieć nic więcej.

Odezwałem się: Jesteś psem, Stephen. I wyszedłem.

Już na zewnątrz Damjanti powiedziała: Swoje przecierpiał. Nie jest dobrym człowiekiem. Ale też nie jest zły. Wszyscy tacy jesteśmy. Czasami ludzie, czasami bestie.

Zapytałem: O co chodziło z tą córką? Kto ją zabił?

Odparła: Nic o tym nie wiem. Ale, widzi pan, on gada czasami od rzeczy.

Zapytałem: Czy oni zawsze się nienawidzili?

Odparła: Jak każda nienawiść, tak i ta zawiera w sobie rodzaj dziwnej miłości. Nigdy ze sobą nie rozmawiają, ale pomogliby sobie nawzajem. Wiele lat temu Taphen pokłócił się ze sklepikarzem w Bhowali, obrażał jego matkę i siostrę, aż stracił głos. Wieczorem przyszli całą grupą, żeby dorwać Taphena, ale jednoreki stanął między nimi z siekierą w ręce i poprosił, żeby sobie poszli, jeśli nie chcą mieć w nim wroga. A kiedy dał nam pan pieniądze za dom, Taphen zawinął dziesięć tysięcy rupii w kawałek gazety i zostawił na łóżku Rakszasa. Ja trzymam się od tego z dala. To sprawa wyłącznie pomiędzy nimi dwoma. Znają się od dziecka. Taphen może go wyklinać przez cały dzień, ale drze się na mnie, jeśli spróbuję dodać coś od siebie.

Taphen wrzasnął ze środka: Damjanti! Czy ten drań próbuje włożyć ci rękę do salwar? Powiedz sukinsynowi, że mój wał robi mu taką dziurę w uchu, że ptaki będą tam wlatywać i wylatywać, śpiewając kolędy!

Tym razem psy na mnie nie czekały. W powietrzu nie było czuć zapachu pantery, więc ułożyły się do snu. W wypełnionej owadami ciszy krótkiemu spacerowi pomiędzy dębami towarzyszyło dziwne, niesamowite uczucie. Przez chwilę na drodze panowała kompletna martwota — żadnego odgłosu silnika — a ja mogłem cofnąć się o sto lat wcześniej i przedzierać przez ponury dramat, którego nie rozumiałem. Księżyc stał już wysoko na niebie, dobrze oświetlając góry. Wystarczyło kilka minut, bym znalazł się przy zakręcie drogi, gdzie zaczynała się nasza posiadłość.

Dom wznosił się nade mną, cichy i mroczny, jego liczne okna były jak czujnie patrzące oczy. Jakieś nocne ptaki szeleściły liśćmi w koronie Triśula. Stałem przy dolnej bramie obok domu gospodarczego. Był zamknięty, bo Prakaś spał na górze. To właśnie w tym miejscu wiele lat wcześniej reflektory ciężarówki uratowały Stephena przed diabłem. To właśnie stąd Gadź Singh wyruszał każdej nocy boczną ścieżką, kamiennymi schodami, przez mamroczącą blachę, do kobiety wilgotnej z miłości i pożądania.

Nie schyliłem się przy drucie kolczastym. Zamiast tego poszedłem po prostu dalej drogą, postanawiając wejść przez główną górną bramę. Marmurowa tabliczka na kolumnie odbijała światło księżyca. Rzeczy Pierwsze. I poniżej nasze imiona. I poniżej pięknie wyrzeźbiona gałązka miodli. Otworzyłem zasuwkę, a potem zacząłem iść w górę drogi w kierunku Bhumiadharu.

W jadłodajni widać było niewielką plamę żółtego światła. Kończyła się obiadowa krzątanina. Wprawdzie kilku zapóźnionych kierowców ciężarówek jeszcze się posilało, ale obsługiwali ich tylko jeden zapaśnik i jeden pomocnik. Trzymałem się drugiej strony drogi i przeszedłem za zaparkowanymi ciężarówkami, bo nie chciałem, by ktoś mnie zauważył. Szosa błyszczała na całej długości, sosnami poruszał łagodny wiatr, w poszyciu bezustannie bzyczały owady. Od czasu do czasu rozlegało się wycie psa, ale nie sposób było stwierdzić, czy dochodziło z tyłu czy z przodu, z dołu czy z góry.

Kilka razy się przestraszyłem i włosy stanęły mi dęba na głowie. Musiałem się odwrócić w panice, żeby sprawdzić, czy nikt za mną nie idzie. Za każdym razem, gdy dochodził mnie warkot samochodu, odczuwałem ulgę, uspokojony jego zbliżającymi się światłami i zgrzytaniem. Przejeżdżał obok, a ja musiałem zejść z drogi na pobocze. Lecz potem, kiedy dźwięk zamierał kilka zakrętów dalej, ponownie nerwowo spoglądałem za siebie przez ramię.

Ścieżkę prowadzącą do domu Rakszasa dawało się łatwo zauważyć. Znakiem rozpoznawczym był kiosk z papierosami, z wymalowaną na nim reklamą białych podkoszulków na ramiączka i białych slipek. Szedłem ostrożnie w dół i zanim minąłem trzeci taras, wywołałem ujadanie co najmniej tuzina psów. Dom przypominający oborę tonął w ciemności — nawet żarówka na dachu była wyłączona — ale ze środka dochodziło szczekanie psów. Miałem nadzieję, że obudzą gospodarza. Wykrzykiwanie jego imienia o tej porze wydawało mi się nie na miejscu. Czekałem. Wkrótce psy ucichły. Rosnący poniżej dębowy las zlewał się w jedną masę — światło księżycy nie sięgało tak głęboko.

Ostatecznie zawołałem Rakszasa po imieniu, niezbyt głośno. Kiedy krzyknąłem trzeci raz, teraz już głośniejszym głosem, psy ponownie zaczęły szczekać, a on coś odkrzyknął. Mieszkańcy gór wiedzą, że duchy wołają ludzi nocą, a jeśli się im odpowie, wysysają całą energię człowieka i odchodzą. Ale duchy wołają tylko dwa razy, po czym idą dalej, dlatego górale, zanim zareagują, czekają na trzecie zawołanie. Wyszedł z siekierą na długim trzonku, z przepaską koloru błota zawiązaną na głowie i grubym szalem na ramionach. Wyglądał na jeszcze bardziej nieogolonego niż kilka godzin wcześniej, siwy zarost gęsto pokrywał jego wydatny podbródek.

Usiedliśmy we frontowym pokoju o niskim suficie. Pełno w nim było lichych krzeseł i stołów: niepolakierowanych, z widocznymi łebkami gwoździ, zbitych najprawdopodobniej przez miejscowych stolarzy. Krokwie i deski nad nami były stare i pozbawione koloru. Podłogę tworzyły kamienne płyty. Na ścianie wisiał religijny kalendarz — Kryszna jako cherubinek o niebieskiej skórze jadł wielką kulę białego masła. Był tam też inny kalendarz, z ponętą gwiazdką Bollywood, o jędrnych piersiach i zachęcającym spojrzeniu.

Powiedział: Poszedł pan i spotkał się z tym pijanym kundlem Taphenem?

Odparłem: Tak.

Zapytał: Ile nowych kłamstw naopowiadał panu tym razem?

Powiedziałem: Mówił, że to ona poharatała ci ramię, kiedy kradłeś jakieś rzeczy z jej domu. I tak właśnie je straciłeś.

Pogarda wypełniła mu oczy. Zapytał: Czym jest prawda dla ludzi, którzy potrafią zmienić bogów dla kilku rupii? Własne życie zbudowali na kłamstwie. Jak może pan dawać wiarę temu, co mówią?

Odparłem: No więc jak je straciłeś?

Powiedział: To prawda, że nie przez panterę. I to prawda, że zraniła mnie i ręka zaczęła mi gnić. Ale uderzyła mnie, bo głośno płakałem i ciągnąłem ojca za sweter, kiedy ona usiłowała z nim rozmawiać. Myślę, że była naćpana gandzią, którą dawała jej kobieta z niskiej kasty. Po prostu wpadła w furję. Ojciec niemal na nią skoczył ze złości. Rana była niewielka, na długość palca. Ale tydzień później ramię zaczęło zielenieć i bolało tak, że mój wrzask słychać było w całych górach. A potem stało się rozmiękłym warzywem. Poszliśmy do misyjnego szpitala i biały lekarz powiedział: Gadźradź, chcesz poświęcić ramię chłopca?

Zapytałem: Więc twój ojciec dał jej w złości daturę?

Odparkł: Nie, sahibie. Za bardzo ją kochał. Nie mógł bez niej wytrzymać. Próbował. Ale zawsze wracał biegiem po kilku dniach. Przed śmiercią wyznał mi, że był od niej uzależniony. Jak niektórzy od gandzi. Powiedział: Jeśli zakosztujesz raję, nigdy tego nie zapomnisz. Dopiero pod koniec zaczął się jej opierać. Tych dwoje zatruwało jej umysł — ona była zwykłą kobietą, wspaniałą kobietą. Zmuszali ją, żeby wystawiała duszę mojego ojca na próby. Zmuszali, by ją z niego wydarła. Oddał jej wszystko. Nic już mu nie zostało. Moim zdaniem zaczął się wycofywać, bo pomyślał, że i jemu, i jej może to przynieść trochę spokoju.

Milczał przez jakiś czas. A potem powiedział: Wątpię jednak, by tak się stało.

Zapytałem: Kto zatem ją zabił?

Odparkł: Mówiłem panu, tych dwoje niewdzięczników z niskiej kasty. Patrzyli łakomym wzrokiem na jej posiadłość. Bali się, że zostawi wszystko mojemu ojcu. Pod koniec *padre* z Najni przyjeżdżał do niej, bo zaczęła mieć dziwne sny — budziła się w nocy z krzykiem. Namówili księdza, żeby przekonał ją, by wszystko im zapisała. I zaczęli dodawać daturę.

Czy krzyczała z powodu córki?

Zapytał cicho: Co?

Powtórzyłem: Czy krzyczała z powodu córki?

A skąd pan o niej wie?

Wiem.

Czy o tym też napisała w notesach? Obiecała ojcu, że nigdy nie wspomni o niej słowem. Nigdy. Skłamałem: Tak. W takim razie pan wie.

Znam tylko relację z jej strony. I, jak się przekonuję, nie zawsze prawdziwą. Chcę, żebyś mi powiedział, co ty wiesz.

Dwa psy zeszły po drewnianych schodach i zwinęły się obok

niego w kłębek na tapczanie. Zamiast obroży miały wokół szyi zawiązane niebieskie nylonowe sznurki. Rakszas siedział z podwiniętymi nogami i przecierał oczy. Wyglądał na starca. Światło żółtej żarówki wydało mi się ciemniejsze, niż w chwili gdy wszedłem.

Powiedział: Z tego powodu oboje pojechali do Agry. Ona nie chciała skandalu, a on musiał myśleć o mojej matce. Zostali tam przez cztery miesiące, w misji. Ojciec chciał przywieźć dziecko z powrotem, ale ona była stanowcza. Przeczuwała, że przekreśliłoby to jej pozycję tutaj, bała się też, że przy byle sporze utraci ojca. Mieli na swoim punkcie taką obsesję, że moim zdaniem nie chcieli, żeby cokolwiek stało między nimi.

Wtrąciłem: To znaczy, że dziecko żyło.

Spojrzał na mnie ostro: Dlaczego? Co ona napisała?

Przepraszam. Mów dalej.

Powiedział: Zostawili ją w misji, z masą pieniędzy. Ojciec mówił, że była smagła jak on, ale oczy miała jasne po matce. Skończyła miesiąc, kiedy stamtąd wyjechali. Siostry zapewniły ich, że nie muszą się o nic martwić. Obiecały dobrze się nią opiekować. Znaleźć jej dom. Tak, jeśli to możliwe, w Anglii albo w Ameryce. Nie przypuszczam, żeby potem kiedykolwiek o niej rozmawiali. Oboje dręczyło poczucie winy. Wiedzieli, że zrobili coś strasznego.

Zamilkł i wpatrywał się w ścianę za moimi plecami. Łatwo było dostrzec, jak przystojny musiał być jego ojciec. Duża twarz, mocny nos, solidny podbródek. Jako dziecko widywałem podobnych wieśniaków w Salimgarhu. I nie chodziło tylko o rysy. W tym, jak się nosił, w wyrazie twarzy była ogromna godność. Jestem przekonany, że taki rodzaj szlachetności może charakteryzować jedynie ludzi, którzy pracują na roli. Czuję, że ma to coś wspólnego z ich mozolnym trudem, z poddawaniem się kaprysom bogów pogody, z odnalezieniem harmonii ze zwierzętami, roślinami i glebą, życiem ze świadomością, że jeśli nic się nie uda, wystarczy po prostu wrócić i kopać, orać i siał od nowa.

Dla ludzi uprawiających ziemię nie ma skrótów. Żadne maszyny nie mogą niczego przyspieszyć, interesów nie da się szybko ubić, nikt nie może wydać polecenia o podwyżce pensji ani podkraść z państwowej kasy. Dajesz ziemi codzienny znój, a ona w swoim czasie ci się rewanżuje. I to właśnie staje się podstawową zasadą życia. Zanim będziesz czegoś oczekiwał, najpierw dajesz. I bierzesz ze stoickim spokojem to, co zostaje ci zwrócone. Nie ma ministerstwa pogody, do którego można by składać zażalenia. Żadnego szefa, u którego można by się domagać podwyżki. Jest jedynie kolejny ranek, czekająca orka, czekająca ziemia.

Rolnicy to fataliści, pracujący ciężko każdego dnia. Niewiele jest szlachetniejszych rzeczy.

Rakszas najwyraźniej popadł w zadumę. Oczy mu zwilgotniały. Czekalem.

Nie obracając się, by na mnie spojrzeć, powiedział łagodnym głosem: Ojciec widywał ją w koszmarnych snach. Była w nich dzieckiem, wpadała do wartkiej rzeki i wołała go na pomoc, wyciągając drobną rączkę, a on wychylał się z łodzi i rozpaczliwie próbował ją chwycić, ale dotykał ledwie końców jej palców, wyslizgiwały mu się, widział tylko jej wielkie oczy błagające go o ratunek. Krzyczał do niej, że już nadchodzi, że ją uratuje. Zdesperowany wskakiwał w końcu do wody i szukał jej gorączkowo, ale było już po niej, znikwała bez śladu. I choćby nie wiedzieć jak głęboko nurkował i jak bardzo się starał, nigdy jej nie odnajdywał. Powtarzał: Jeśli choć raz uda mi się uratować ją we śnie, w prawdziwym życiu ponownie ją odnajdę.

Zapytałem: Czy rzeczywiście kiedykolwiek próbował?

Odparkł: Dopiero pod koniec życia. Oboje rozumieli, że nigdy nie powinni o niej rozmawiać. Wiedzieli, że to mogłoby ich rozdzielić. Winił ją za to, a być może ona też winiła jego. Ale pod koniec życia zwariowała na jej punkcie. Wysłała ojca do Agry, żeby ją odszukał. Tyle że było za późno. Wszystkie stare zakonnice albo już umarły, albo wyjechały. Nowe zaś powtarzały, że udzielanie jakichkolwiek informacji jest wbrew przyjętym zasadom. Wrócił po tygodniu. Popadła w głęboką depresję.

Zapytałem: Więc kto ją zabił?

Odparkł: Oni. Mówiłem panu, że oni to zrobili. Kreatury z niskiej kasty trwały powoli tę biedną, ufną kobietę. Dla jej domu, jej sukni, jej pieniędzy. Dziesięć nasion każdego dnia.

Każdego dnia dziesięć nasion, aż po trochu wpędzili ją w obłąd. I później pewnego dnia sto nasion.

Kiedy wróciłem do domu, zegar wskazywał drugą w nocy, księżyc już zaszedł. Dhaba była zamknięta i na całej przestrzeni nie było widać ani jednej plamki światła. Nawet bzykająco-mamroczące poszycie zasnęło. Otworzyłem zasuwkę przy frontowych drzwiach, lekko nimi szarpiąc — jak nauczył mnie Stephen za pierwszym razem — i na palcach wszedłem po schodach. Ale nie z powodu Prakaśa, którego obudziłoby jedynie gwałtow-

ne szarpanie. Baghira przyczlapał za mną i położył się pod moim łóżkiem.

W nocy śniłem o znanej mi dziewczynie — ale nie wiedziałem, kim jest — która wpadła do rzeki, gdy razem płynęliśmy na tratwie, i zaczęła tonąć. Zdesperowany robiłem wszystko, by ją uratować, wskoczyłem nawet do wody, lecz moje wysiłki na nic się zdały. Trzymałem się krawędzi tratwy i krzychałem jej imię — Fiiiizz — kiedy Prakaś mnie obudził i powiedział, że mam gościa.

Pomyślałem, że jest późno, ale się myliłem. Dochodziła dopiero szósta rano — było jasno i zimno — a słońce jeszcze nie dotarło do szczytów porośniętych grzebieniami drzew. Zszedłem na frontową werandę. Na stopniu schodów siedział Rakszas i żuł liść. Bul-bule o białych policzkach śmigały w krzakach. Gwiżdżący drozd pił wodę z kałuży koło kranu, puszył piórka usatysfakcjonowany. Rakszas gładko się ogolił, przez co jego krzaczaste wąsy jeszcze bardziej się uwydatniły. Nie wyglądał młodziej niż kilka godzin wcześniej, ale wydawał się mniej przygnębiony.

Włożył prawą rękę do kieszeni i wyciągnął złożony kawałek papieru. Stary i pozbawiony koloru, nierówno wydarty z jakiegoś notatnika. Kiedy go rozłożyłem, zostały głębokie załamania. Były na nim napisane tylko trzy wyblakłe słowa. Gramercy. Nowy Jork.

Powiedział: To wszystko. To wszystko, co dały mu zakonnice.

Spod kikuta wyjął ciasno zwinięty rulon pergaminu, przewiązany żółtawą wstążką. Rozwiązałem ją. Były tam cztery pięknie kolorowane miniatury o cudownej kresce i żywych barwach.

Powiedział: Zostawiła je dla niej.

Jedynyprawdziwybożezmiłujsięnadnami! Zmiłujsię!

Odwrócona pozycja latającego żółwia.

Fallus przypadku w dziurze historii.

\*

Po niecałych dwóch miesiącach siedziałem na pierwszym piętrze hotelu na rogu Seventh Avenue i Fifty-Fifth Street na Manhattanie i patrzyłem na najmocniejszych ludzi świata zakupujących się na śmierć.

Wyjechałem do Delhi w dwie godziny po odpakowaniu miniatur. Zapytałem Rakszasa, czy zechciałby ponownie zamieszkać i pracować w mojej posiadłości, a potem powierzyłem jego pieczy dom i Prakaśa. Oczekiwanie na wizę zajęło mi sześć tygodni. Nigdy nie wyjeżdżałem za granicę, ale kiedyś oboje z Fizz, w przyprawie



entuzjazmu, zamarzyliśmy o podróży dookoła świata i wyrobiliśmy sobie paszporty. Sprawa była bardzo prosta: załatwił je nam magik Miśradzi z redakcji gazety, nie musieliśmy więc chodzić po urzędach. Teraz jednak nie miałem pod ręką żadnego Miśradzkiego ani dziennikarskiego identyfikatora, jedynie kwestionariusze, biuro podróży i łapówki.

Podczas gdy czekałem na wizę, odwiedzałem internetową kafejkę za centrum handlowym Green Parku. Łączność była słaba i musiałem się nieźle namęczyć, żeby ją utrzymać. Właściciel — miody facet z aparatem korekcyjnym na zębach — miał cztery komputery, a ja wziąłem jeden z nich w wyłączne posiadanie. Siedziałem tam całymi dniami, wychodząc jedynie, żeby coś zjeść, wieczorami czekałem, aż powie, że musi zamykać, zanim brałem stertę wydruków i wychodziłem.

Próbowałem na wszystkich wyszukiwarkach. Za każdym razem, gdy wklepywałem Gramercy, pokazywały się tysiące linków. Parki Gramercy, tawerny Gramercy, galerie Gramercy, hotele, apartamenty, dywany, prasy drukarskie, muzea, agenci nieruchomości, firmy ubezpieczeniowe, wypożyczalnie samochodów, plakaty, książki, orkiestra dęta, szkoła podstawowa, doradcy finansowi, adwokaci, kwiaciarnie, centra chirurgiczne, lampy, studia, grill, obrazy, muzyka, plantacje, Gramercy, gramercy, gramercy. Bez końca. Całe setki można by spokojnie pominąć, a jednak musiałem wszystko przejrzeć.

Przeszukiwałem też listy absolwentów szkół, książki telefoniczne, drzewa genealogiczne. Łączyłem Gramercy z Indiami, Agra, sierotą, opiekunem. Każdego dnia drukowałem setki stron z Internetu, a potem, wróciwszy do domu, siadałem na tarasie, z nogami na kamiennej ławce, i dokładnie je analizowałem. Pogoda poprawiała się z każdym dniem, wiejąca po północy od strony Deer Parku bryza była zimna, sprawiała, że płomień Afryki ocierał się o ściany. Rano brałem wypisane adresy i wysyłałem dziesiątki e-maili.

Żeby ograniczyć pole poszukiwań, wykorzystałem wszelkie możliwe kryteria eliminacji. Płeć, wiek, historia rodziny. Odpowiedzi na wiele e-maili same się wykluczały. Kiedy dostałem wizę i wszedłem na pokład samolotu British Airways, miałem teczkę pełną wydruków, tropów wyśledzonych w stale rozrastającej się paszczy sieci.

Dynamiczny rozwój techniki zaprzęgnięty do szukania duchów. Mistrz Ullukapillu często pohukiwał nocami. Kiedy zahukał pierwszy raz, niemal zerwałem się na równe nogi, żeby wymusić na Fizz interpretację.

Mistrz mówi, że po to jesteśmy na świecie, by rozwiązać własne zagadki.

Ale w miarę pohukiwania Mistrza Ukp zrozumiałem, że wiadomość była bardziej prozaiczna.

Od najwspanialszego na świecie klucza francuskiego do największego na świecie wariata.

Moje noce ogarnął większy bałagan niż kiedykolwiek wcześniej. Ona nadal tam była, wykrzywiona i wściekła, biorąca mnie tak, jak bestia brałaby człowieka, domagając się różnych rzeczy, przerażając mnie. Ale teraz była też tonąca dziewczyna, której dłoni nie mogłem złapać, i jednorękie widmo, które zaskakiwało mnie w ciemnych kątach. Nie pamiętam nawet jednego poranka, kiedy obudziłbym się wypoczęty. Mimo to zawsze cieszyłem się, otwierając rano oczy — z dala od nocnych stworów, mając przed sobą nowy, rzeczywisty dzień.

Odwiedziłem bank i trochę zbiła mnie z tropu informacja, że nie było żadnych wypłat z konta, żadnych transakcji. Fizz nie zamierzała niczego mi ułatwiać. Właściciel mieszkania powiedział, że od wyprowadzki ani razu się nie pokazała. Wystrzegałem się dzwonienia do jej przyjaciół. Ich lojalność była niepodważalna, a ja bałem się, że mnie sprowokują i powiem coś nieprzyjemnego.

Kiedy wylądowałem na lotnisku Kennedyego, nie byłem ciekaw mekki wolnego świata. Wiedziałem o niej wystarczająco dużo, przyswoiłem sobie dość, mimo że moja noga nigdy wcześniej tu nie stała. Zawsze powtarzałem Fizz, że dostajemy więcej Ameryki — niepytani — niż potrzebujemy. Świat wymaga amerykofiltera, zaworu regulującego ilość przepływu Myszki Miki, macburgera, Schwarzeneggera i CNN.

Poproszę o dwa rodzaje ożywczej wolności. Niech będą duże. Ale bez przybrania z krzykliwej reklamy, pustych gadek i wciskania ciemnoty. I żadnej wisienki uświęcenia, bardzo proszę.

Taksówkarz przed lotniskiem okazał się sikhem i chciał porozmawiać o ruchu khalistańskich separatystów w Pendźabie. Przyjechał do Ameryki nielegalnie piętnaście lat wcześniej i od tamtej pory nie był w ojczyźnie. Za kilka lat dostanie papiery. Żona i synowie dołączyli do niego po jakimś czasie. Jego akcent był nadal typowo amritsarSKI. Na desce rozdzielczej trzymał zdjęcie guru Gobinda Singha. Miał siwą brodę, był mądry i absolutnie pewny,

że sikhom jest potrzebne oddzielne państwo. Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, jakie obrazy swojej ziemi nosi w pamięci, jakie uczucia, jakie winy.

Wspomnienia ludzi potrafią być równie niebezpieczne jak ich fantazje.

Jazda do hotelu okazała się bezbarwna — świst przemykających samochodów, rozwidlające się ulice, prace budowlane, ogromne billboardy, szare niebo — a ja cieszyłem się, że Nowy Jork nie jest aż tak wyjątkowy, jak się początkowo obawiałem. I wtedy znalazłem się na Manhattanie. Kiedy wysiadłem przed hotelem, dech mi zaparło.

To musiał być wielki kanion ludzkiej próżności.

Kościoty w średniowiecznym stylu przeżyły wieże, by narzucić bojaźń przed Bogiem. Budynki z chromu, kamienia, stali i szkła, pnące się jeden za drugim, narzucały bojaźń przed człowiekiem. Bardzo, bardzo bogaci ludzie, których królestwami były marki, których generałowie rozkazywali na całym świecie, których niewolnicy rekrutowali się spośród wszystkich ras, regionów, płci i religii. Których neony były wielkie jak okręty i prawdopodobnie zużywały dziennie więcej prądu niż większość wiosek w ciągu miesiąca.

Szczęka sama opada na widok takiego neonu, a kolano samo przyklęka w obecności takiego władcy.

Zadowolony, że dotarłem do hotelu, zaszyłem się w pokoju. Jego rozmiar był prawdziwy, wyposażenie skromne. Cudownym zbiegiem okoliczności stało w nim takie samo łóżko jak to, które mieliśmy w domu na wzgórzu. Było schronieniem przed nerwowym handlem w kanionie na zewnątrz.

Przez następne kilka tygodni wychodziłem tylko wtedy, gdy już absolutnie musiałem. A wyjścia były związane głównie z kupowaniem babeczek, kanapek, herbatników i butelek mleka — tak pięknie opakowanych, jakby wymagały rewerencji. Połowa łóżka pokryła się wkrótce wydrukami, papierem, książkami telefonicznymi, mapami, ja zaś blokowałem linię telefoniczną dniem i nocą.

Spałem jeszcze gorzej niż wprzód.

Łóżko było zbyt miękkie, poduszki zbyt duże, moja głowa zbyt rozgorączkowana. Chaotycznie wskakiwali do niej ludzie ze wszystkich miejsc: Prakaś, Philip, Stephen, koledzy ze szkoły, bibi Lahauri, jak magik wyciągająca niekończące się zwoje notatek z waginy, moi rodzice tańczący fokstrota w pałacu nawaba, matka Fizz płacząca jednym okiem i wpatrująca się we mnie drugim, przyjaciele Fizz w kamaszach i hełmach idący gęsiego przez nasze barsati, Syed uwodzący mnie dźwięcznymi słówkami i giętkimi palcami, dwaj sikho-

wie, którzy zawieźli nas do Delhi po raz pierwszy, pijący hałaśliwie z Jimem Corbettem na werandzie domu na wzgórzu, Śulteri całujący Hajle Syllasje, Rakszas dyrygujący kikutem Berlińskimi Filharmonikami, Taphen wspinający się na górę z butelek, by zatknąć flagę na jej szczycie, kobieta od mokszy pieszcząca moje ciało waniliowymi dłońmi, Pani Surowakrólowa jęcząca coś o Kierkegaardzie pod delikatnymi, posuwistymi ruchami Gadża Singha, Król Czaszy dosiadający Catherine, w wysokich butach z cielecej skóry. Pif-paf!

Na chwilę przed przebudzeniem dławilem się czymś, rozpaczliwie, śmiertelnie. I wszyscy stali wokół mnie, cała ta dziwaczna brygada z pewnej odległości przypatrywała mi się w milczeniu. Nawet Fizz. Rzuciłem się, żeby zaczerpnąć powietrza, prosiłem o pomoc niezdolny do mówienia, ale nikt z nich do mnie nie podchodził. A potem Fizz mówiła: Okay, chłopaki, przedstawienie skończone! I odwracała się, a jej druga strona stawała się bezwzględną twarzą Catherine, ja zaś wydawałem ostatni niemy krzyk przerażenia.

Za każdym razem, gdy się budziłem, potrzebowałem kilku minut, żeby się zorientować, gdzie jestem.

Poszukiwania szły źle. Większość ludzi okazywała mi uprzejmość, lecz moje pytania wprawiały ich w osłupienie, a w końcu doprowadzały do irytacji. Nie, w ich rodzinie nie było żadnej adopcji. Nie, nie mają żadnych związków z Indiami. Nie, w ich domu nie ma siedemdziesięcioletniej kobiety o smagłej skórze i jasnych oczach. Prawdę mówiąc, czy mógłbyś się odpierdolić z łaski swojej i zadzwonić innego dnia, kiedy nikogo nie będzie w domu.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu listy i nazwiska zmieniały się w nicość, a ja wkrótce razem z babeczkami i mlekiem zacząłem przynosić butelki jacka daniel'sa. Burbon pomagał mi na ząb trzonowy, który zaczął pulsować i wszedł w rodzaj harmonogramu dwanaście na trzydzieści sześć. Dwanaście godzin bólu, trzydzieści sześć godzin spokoju.

Pilem i dzwoniłem, i pilem, i dzwoniłem, a kiedy patrzyłem w dół z pierwszego piętra hotelu Wellington, na całej długości ulicy tłoczyli się gapie i ludzie robiący zakupy. Japońce, obywatele Europy Wschodniej, Azji Południowej — wszyscy wniebowzięci, że choć na krótko są w centrum świata. Nawet o północy gwar nie

przycichał — jak w górach cykanie owadów w poszyciu — i czasami, kiedy jeszcze nie spałem o trzeciej nad ranem, ulica nadal żyła. Głosy nawołujące się wzajemnie, hurgot sprzątań, ostatni balangowicze machający sobie ręką na pożegnanie przed powrotem do domu.

W niedzielne poranki ulica zmieniała się w bazar. Jaśnie państwo udawali niewolników. Wyobrażenie bogaczy o biedzie. Był tam niemal żywcem przeniesiony obraz z mojego dzieciństwa w miastach Uttar Pradeśu, ale odznaczający się znacznie większym szpanem. Na ulicy pojawiały się stragany i kioski. Zapach gorących kebabów i zimnych sorbetów wypełniał powietrze. Sprzedaż niepotrzebnych ubrań, torebek, bielizny, ceramiki zen, orientalnych osobliwości, muzyki soul i oczywiście technogadżetów odbywała się wśród targów na całej długości jezdnii. Raz przeszedłem się tam, w pierwszą niedzielę. A potem siadywałem na parapecie okna i patrzyłem z góry na to, co się działo.

Już piątego tygodnia dotarło do mnie magiczne słowo. Unosiło się łagodnie na morzu burbona.

Siedziałem w nocy przy oknie, patrzyłem na tłum ludzi przelewający się w stronę Times Square i z powrotem — w samym środku mojego okresu bólu — kiedy spojrzałem na łóżko, ani pojedyncze, ani podwójne, lecz dokładnie takie samo jak to, które miałem w górach.

Aż krzyknąłem z radości i wałnąłem pięścią powietrze.

W kilka minut znalazłem się na ulicy, zmieszałem z tłumem, było mi lekko na sercu. Usiadłem na tarasie restauracji, zamówiłem dużą laphroaig i talerz przyprawionego na ostro makaronu. Wszystko wokół było jednym wielkim neonem i przemieszczającymi się ludźmi. Po latach zdałem sobie sprawę, że zacząłem zauważać kobiety, całe ich hordy, opanowujące ulicę, w obcisłych, kusych ubraniach, obnoszące się ze swoimi ciałami, pierwszymi, jakie widziałem od lat poza nocnymi halucynacjami.

Następnego ranka obudziłem się wcześnie, bardzo podekscytowany. Wybrałem numer i wypowiedziałem magiczne słowo; wybrałem numer i wypowiedziałem magiczne słowo; nagle stało się to znacznie łatwiejsze. Trzy dni później niski, załamujący się głos odpowiedział. Bardzo starałem się wytłumaczyć, dlaczego chcę się spotkać. Ale właścicielka głosu wolno myślała i była zbyt ostrożna, by mnie zaprosić. Zadzwońnię ponownie trzy godziny później; zasłaniając mikrofon chusteczką i zmieniając akcent, oświadczyłem, że mam dla niej ważną przesyłkę.

Sprawdziłem adres w recepcji i pod wieczór, rezygnując z metra, złapałem taksówkę i pojechałem do Harlemu. Miałem jakieś wyobrażenie o slumsach, gwałtach na chodnikach, gardłach podrzynanych w biały dzień. O tym, że może być gorąco. Ale nie działo się tam nic godnego pióra Chestera Himesa. Jasne, nie był to wielki kanion próżności, ale pomyślałem, że wygląda tak samo szykownie jak osiedla w Delhi. Ogromne domy towarowe po obu stronach ulic i solidne budynki. W którymś momencie mineliśmy batalion mężczyzn we wzdymanych wiatrem dżalabijach i gdyby nie to, że wszyscy jak jeden byli czarni, łatwo byłoby sobie wyobrazić, że jesteśmy w jakimś arabskim mieście.

Blok, przed którym się zatrzymaliśmy, miał zniszczoną fasadę z ciemnobrązowej cegły. Był to wielki sześcian, z rachitycznymi balkonami o żelaznych balustradach i metalowymi schodami przeciwpożarowymi na całej wysokości. Sprawiał wrażenie bardziej zaniedbanego od innych budynków w okolicy. Klatka schodowa była słabo oświetlona i śmierdziała brudem. Pod ścianami stały związane worki na śmiecie. Nie zdecydowałem się na jazdę windą, bo miała zamknięte drzwi i nie budziła zaufania.

Na ścianie, wzdłuż schodów na pierwsze piętro, ktoś napisał: Jezus nadejdzie i my też! Poniżej, innym charakterem, był dopisek: A wszystko dla przyjemności wesołych białasów! Wesołych białasów!

Schody okazały się szerokie i zniszczone, wykładzina porwana, w balustradzie widać było braki. W niektórych miejscach stalowe poręcze zwisały bezwładnie. Musiałem wejść na drugie piętro. Na każdej kondygnacji zaglądałem w głąb klatki schodowej i sprawdzałem numery mieszkań na drzwiach po obu stronach korytarza. Wszędzie stały worki ze śmieciem. Albo coś szwankowało w wywózce śmieci, albo mieszkańcy wystawiali odpadki, gdy tylko mieli na to ochotę. Szukałem numeru 314, a idąc korytarzem, słyszałem głosy i różne dźwięki dochodzące przez cienkie ściany.

Były to drugie od końca drzwi po lewej stronie i nic na zewnątrz nie ujawniało tożsamości lokatorów. Zapukałem delikatnie. Ktoś ze zgrzytem przesunął osłonę wizjera. Starłem się wyglądać najłagodniej, jak to było możliwe.

Niezdecydowany głos powiedział: Josha nie ma. Przyjdź później.

Odparłem: Mam dla pani paczkę.

Uniosłem rulon.

Głos zapytał: Dla kogo?

Dla Gethii. Dla Gethii Gramercy.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów, blokował je łańcuch. Była stara, siwowłosa, smagła i o jasnych oczach. Miała na sobie sukienkę nieokreślonego beżowawego koloru, poplamioną jedzeniem. Wydawała się zmieszana.

Zapytałem: Czy mogę wejść na minutę?

Zastanawiała się, jakby była trochę ociężała umysłowo. Mierzyła mnie przy tym wzrokiem od stóp do głów. Potem przez chwilę zmagala się głośno z łańcuchem, zanim otworzyła drzwi. Już na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że nie było tam niczego, co mogłaby utracić. Człowiek musiałby cierpieć nieopisaną biedę, żeby napadać na takie mieszkanie.

Usiadłem na pierwszym krześle, na które natrafiłem.

Powiedziałem: Przyjechałem z Indii.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

Powiedziałem: Mam pani coś do przekazania.

Skinęła głową, wyglądała na roztargnioną.

Zapytałem: Czy zna pani miejsce swojego urodzenia?

Odparła: Filadelfia.

Rozejrzałem się. Pokój był zapuszczony. Z pudła stojącej przy ścianie kanapy wystawała pościel. Najwyraźniej mebel służył też za łóżko. Na jego końcu leżała poduszka. W dalekim rogu łagodnie syczał telewizor, męczyzna prowadzący talk-show rozgrzewał publiczność zamaszystymi ruchami ramion. Był tu też sztuczny kominek — bez pretensji, płaska atrapa — na półce nad nim stały brudne czerwone róże z materiału. Na ścianie powyżej wisiał symbol religijny: Chrystus na krzyżu, z terakoty. Tuż za pokojem dostrzegłem małą wnękę, a na jej ścianach znoszone ubrania. Papierowa tapeta z wzorkiem małych fioletowych kwiatków wszędzie odłaziła. W pokoju pachniało zjełczalym tłuszczem.

Zapytałem: Co robił pani ojciec?

Odparła: Był kaznodzieją — podróżował ze słowem bożym. Zapytałem: Czy trafił kiedykolwiek do Indii? Odparła: Jeździł wszędzie. Moje imię pochodzi od indyjskiego kwiatu, tak mi powiedział.

Co jeszcze mówił pani o Indiach?

Zakazał mi tam jechać. To nie miejsce dla cywilizowanego człowieka. Powiadał, że mają tam pięć milionów bogów, bo muszą się bronić przed pięcioma milionami złych rzeczy.

Miałem wrażenie, jakbym trafił w sam środek kretańskiego hollywoodzkiego filmu. Pan Cincpokli jedzie do Harlemu.

Powiedziałem: A matka?

Była teraz nieobecna myślami. Powtórzyłem pytanie. Widziałem, z jak wielkim wysiłkiem stara się skoncentrować.

Po jakimś czasie odezwała się niepewnie: Kto cię tu przysłał?

Nie musiałem odpowiadać na to pytanie, bo znowu odpłynęła. Jej spojrzenie powędrowało nade mną.

Kilka razy usiłowałem pytać ją o życie i dzieci, ale jej po prostu nie było. W którymś momencie najwyraźniej zasnęła, spuszczać głowę. Czekałem. Obudziła się niespodziewanie, szarpnąwszy ciałem, i zapytała, czy mam pieniądze. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaczęła chaotyczną opowieść o ubóstwie córki.

Kiedy mówiła, ogarnęła mnie fala straszliwej rozpacz. Przestałem słuchać i zacząłem się zastanawiać, co tu właściwie robię. W tym obrzydliwie śmierdzącym pokoju w obcym mieście staram się poznać życie, którym w ogóle nie powinienem się interesować.

Byłem wykończony.

Nie chciałem się już niczego dowiadywać. Wszystkie historie muszą się kończyć w odpowiednim momencie, zanim zmieniają się w brednie. A jeśli ktoś mówi, że w każdej bredni kryje się jakaś wartość, ten z pewnością nie ma pojęcia o uniesieniach, jakie niosą ze sobą wyjątkowe chwile.

Cudowność ojca Johna po stu latach zeszła do poziomu tej nędzy. Duch awanturника skurczył się do wielkości pozbawionego powietrza pudełka. Niesamowita ciekawość stała się tanią pogardą. Respekt budzony przez milion bogów został odrzucony jednym zdaniem. Emily zwyciężała. Tyle że świat nie przestał istnieć w jednym wspaniałym wybuchu, lecz słabł, wyciekając po trochu.

Pożądanie, z pewnej odległości, ma swoją magię. Z bliska jest jedynie prozaicznym kopulowaniem. Bez cokołu narracji nie może się stać zachwycającym momentem. Zostają tylko luźne kawałki i pocieranie-pocieranie. Trafiłem na coś wielkiego i ruszyłem tym śladem, aż dotarłem do nieciekawej przyziemności. Zwykle pocieranie-pocieranie.

Rozebrałem Tadź Mahal i zostałem ze stosem marmurowych płyt.

Chciałem stamtąd uciec. Z tego bloku na otwarte powietrze, z powrotem do ojczyzny. Rozwinałem rulon i powiedziałem jej, jaka jest jego wartość. Wytłumaczyłem, że to prezent od przyjaciela jej ojca, który bardzo wiele mu zawdzięcza. Dodałem, że przez resztę życia będzie dzięki temu bogata.

Wyglądała na nieprzekonaną. Przez grube szkła okularów wpatrywała się w miniatury.



W tej samej chwili wszedł do mieszkania czarny mężczyzna, świetnie wyglądający, bez wątpienia młodszy od niej. Powiedziała: Josh.

Zanim zdążył się odezwać, wyjaśniłem: Jestem z Indii. Przyjaciel ojca pani Gethii zostawił jej cenny spadek. Ja po prostu go przywiozłem. Zróbcie z niego państwo dobry użytek. Sotheby's, Christie's, zanieście to gdzieś. Będziecie ustawieni do końca życia.

Kiedy patrzył na obrazki, napisałem na kawałku papieru nazwisko i adres i stanąwszy w otwartych drzwiach, powiedziałem: A jak już to państwo zrobicie, wyślijcie część temu człowiekowi. Przechował spadek dla pani Gethii. Wielkie dzięki i do widzenia.

Josh zaczął coś mówić, ale ja byłem już na korytarzu i zbiegałem po schodach. I znowu światła paliły się w sklepach i na ulicach, i krzątania wczesnego wieczoru zbierała w sobie energię. Chudy, czarny mężczyzna w kapeluszu o szerokim rondzie brzdąkał na mandolinie. Ruszył za mną, prosząc o dolara, a ja szedłem szybko chodnikiem, nie oglądając się za siebie, byle jak najdalej od bloku, w którym mieszkała Gethia.

Kiedy dotarłem do hotelu, nie poszedłem do pokoju, tylko skierowałem się prosto do recepcji. Przedarłem się przez tłum nowo przybyłych turystów o czerstwych twarzach — mamroczący coś w jednym ze wschodnioeuropejskich języków, zapełniali westybul, wielu z nich uwaliło się na podłogę — i poprosiłem siedzącą tam blondyneczkę, żeby pomogła mi załatwić bilet na pierwszy samolot do Indii.

Gdy wszedłem do pokoju, pomyślałem o jednorekim Rakszasie i jednej miniaturze, którą powinienem zachować. Odwrócona pozycja latającego żółwia. Fallus przypadku w dziurze historii.

Zadzwonił telefon. Blondynka powiedziała: Może pan lecieć za dwie godziny albo jutro po południu.

Za dwie godziny, powiedziałem. Zdam się przedtem wymeldować.

## GAWĘDZIARZ

Pierwszy raz zobaczyłem ją latem 1979 roku, kiedy otworzyła drzwi swojego domu. Za solidnym drewnianym skrzydłem znajdowała się siatka przeciw owadom, ale i tę odsunęła bez wahania. Były to niewinne czasy, przed terroryzmem, przed zamachami, przed AK-47 i laskami żelatyny<sup>1</sup>. Dzisiaj już nikt by tak nie postąpił, nie zadawszy wpierw wielu pytań, które zachwiałyby pewnością siebie pukającego. I w owej niewinności była dzieckiem swoich czasów, daleka od podejrzliwości, jak miałem się później przekonać.

Było południe, a linia żaru zaczęła się przemieszczać z werandy i wypalać świat. Na drzewach rosnących przy miejskich alejach nie drżał ani jeden liść, a kuflik na łacie trawy zwiesił nisko gałązki, surowo ukarany.

Zeby widzieć coś na dworze, w słońcu, trzeba było mrużyć oczy, a jeśli zapomniało się schować rower w cieniu, rozpalony metal parzył potem skórę palców. Nawet siodełko z dermy parzyło, podobnie jak plastikowe rączki. Wprowadziłem mojego czarnego atlasa na drogę dojazdową do domu, po czym oparłem go o ceglana ścianę, której słabiutki cień tworzył piętnastocentymetrową oazę.

Nie było w tym dniu niczego szczególnego — ani w stanie mojego umysłu, ani w fizycznym samopoczuciu — co zapowiadałoby, że moje życie ulegnie odmianie. Jeśli przeznaczenie chciało wybrać najbardziej niewinny dzień, by zmienić kierunek mojego życiorysu, nie mogło wybrać lepiej.

Zawsze potem twierdziłem, że zakochałem się w niej, zanim zamknął się siatkowy ekran. Nigdy w to nie uwierzyła. Otwierająca drzwi dziewczyna miała twarz o świeżym pięknie, które zupełnie wyciszało, sprawiało, że chciałoby się zastygnać w jej jaśnieniu. Przez wiele lat dorastałem z dala od dziewcząt, bo nie chodziłem do

---

<sup>1</sup>Gelatine stick — materiał wybuchowy stosowany w indyjskich kamieniołomach, często wykorzystywany także w zamachach terrorystycznych (przyp. tłum.).

szkoły podstawowej, a w świecie ludzi dziewczyny wydawały mi się bardzo odległe. Oniemiałem. Dziesięć lat wpajania etykiety w szkole misyjnej zrobiło swoje. Powiedziałem: Dzień dobry pani.

Przez resztę naszych wspólnych lat wytykała mi ten formalizm. Dzień dobry pani. Dokładnie tak samo, jak wiele lat później trafiła mnie celnie nedorzecznym panem Ćinćpokli, w chwili gdy usłyszała to od chłopca wołającego tak na pasażerów autobusu. Muszę jednak oddać jej sprawiedliwość i powiedzieć, że przynajmniej nie chichotała. To by mnie zniszczyło.

Otworzyła po prostu szerzej oczy i powiedziała: Ty musisz być...

Skinąłem głową. Posłała mi uśmiech — świat pojaśniał: jej doskonałe zęby dostrzegłem parę lat później, szczegóły powoli się ujawniały — i powiedziała: Wejdz. Miler będzie lada chwila. Poszedł z ciocią na targ.

Kiedy wszedłem do środka, zauważyłem, że podłoga z terakoty jest wypolerowana jak lustro, a dziewczyna ma bose stopy. Meble — proste, solidne fotele o grubych poręczach i niczym nieprzykryta sofa bez bocznych oparć — nie miały w sobie odrobiny elegancji i w ogromnym pokoju, służącym za salon i jadalnię, wydawały się ubożuchne i przypadkowe. Usiadłem na brzegu sofy i zdjąłem niebieskie gumowe ćappale. Podłoga była zimna i gładka.

Choć w ogóle nie przejmowałem się tym, że nogi mam pobrudzone kurzem, a klapki zniszczone, brakowało mi śmiałości, by nawiązać rozmowę. Nie miałem pojęcia, co się mówi dziewczynie, na dodatek takiej ładnej. Jako uczeń byłem tylko w niewielkim stopniu wprowadzany w tajniki pogawędek towarzyskich, a przez dwa lata college'u, z braku praktyki, zupełnie straciłem nawet tę umiejętność.

W przeciwieństwie do mnie ona w ogóle nie była skrepowana. Spytała, czy chcę wody albo herbaty. Odpowiedziałem przecząco na obie propozycje, nie patrząc na nią, tylko przyglądając się wszystkiemu dookoła. Powiedziała, że Miler często o mnie mówił. To w jakiś sposób dodało mi pewności siebie.

Chciałem spytać ją o imię, ale nie wiedziałem, jak to zrobić.

Nigdy nie nauczyłem się zadawać tego pytania. Jak się nazywasz? Jest w nim coś pospolitego. Imię to coś, co powinno być ofiarowywane. Nie można się go domagać. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy przedstawiła się, otwierając mi drzwi; byłem tak zmieszany, że mogłem to przeoczyć.

Łatwiej było zapytać, co studiuje. Geografię i psychologię w żeńskim college'u państwowym. Chciałem się dowiedzieć, czy pochodziła z Ćandigarhu, czy też, jak większość z nas, jest przyjezdną stu-

dentką w tym mieście bez przeszłości i najwyraźniej bez przyszłości. Niemniej nie wiedziałem, jak o to spytać, nie okazując natarczywej ciekawości. Bałem się powiedzieć cokolwiek, co kompromitowałoby mnie w dziewczęcym pamiętniku. No i nie miałem zielonego pojęcia, co zawiera taki dziewczęcy pamiętnik.

Siedziałem w milczeniu, wgapiając się w brzydki szary dywan ze smokami o ognistych językach. W końcu przeprosiła mnie i wyszła. Wtedy po raz pierwszy na nią popatrzyłem, na jej oddalającą się postać w sztruksowych spodniach, białej bluzie i z falującymi włosami. Na końcu pokoju skrzyła w prawo i zniknęła.

Rozejrzałem się wokół. W odległej ścianie dostrzegłem otwór łączący pokój z kuchnią, przez który widać było zlew i ustawione obok naczynia. Pod otworem, na całej długości ściany, stała przeszklona drewniana szafka. Pomiędzy liczne puste wazony i stłoczone fotografie w ramkach wciśnięto szpulowy magnetofon Grundig. Później miałem przychodzić do tego pokoju tak często, że stał się on jednym z najbardziej intymnych znaków topograficznych w moim życiu. Ale przez wszystkie te lata nigdy nie usłyszałem, by magnetofon choć raz został uruchomiony.

Obok szafki, połączona ze ścianą grubym czarnym kablem, stała niewielka biała lodówka, wstrząsana co jakiś czas przez pracujący agregat. Był do niej przyklejony duży magnes z Dennisem Rozrabiaką. Wykręcałem szyję, żeby przeczytać jej markę, i doznałem rozczarowania, przekonawszy się, że to Allwyn. W głupi sentymentalny sposób byłem przywiązany do Kelvinatora. Kiedy miałem sześć lat, ojciec przyniósł taką właśnie lodówkę do domu, a matka dbała o nią z wyjątkową troskliwością — nikt ze służby nie mógł jej otwierać, do środka nie wkładało się niczego bez opakowania, była rozmrażana i myta co tydzień. Po dziesięciu latach używania została sprzedana za cenę, za jaką była kupiona. Nabyliśmy nową. Większą. Ale i tym razem marki Kelvinator.

Rodzice byli głupimi ofiarami lojalności, oddanymi artystami bezpiecznego świata. Dotyczyło to wszystkiego, od ubrań po artykuły spożywcze: marka, która ich satysfakcjonowała, stawała się jedyną na resztę życia. W naszym domu Philips zastępował Philipsa, pastę do zębów Bianca pasta do zębów Bianca, barwnik Bombay barwnik Bombay, dżem Kissan dżem Kissan, Bournvita Bournvite, Bata Batę.

Po mojej prawej stronie wisiał na ścianie paskudny pejzaż górski. Druk, na którym go przymocowano, wystawał ponad ramę. Był to amatorski obraz olejny przedstawiający dom na wzgórzu, z niebieskozielonymi szczytami w tle i dziewczyną w długiej spód-

nicy siedzącą na werandzie, zapatrzoną w zachodzące czerwone słońce. Dom był jednopiętrowy ze stromym dachem i grubymi kamiennymi kolumnami. Kępy zielonego bluszczu oplatały ściany. Na pierwszym piętrze ciągnął się rząd przeszklonych okien, a z jednego, tuż nad dziewczyną, wychylał się mężczyzna i patrzył na nią. Z prawej strony, przy samej ramie, widać było wielkie drzewo z rozłożystymi gałęziami.

Kiedy wróciła, tupiąc bosymi stopami, zapytała, czy nie napiłbym się soku z karamboli.

Powiedziała: Jest ohydny. Ma okropny smak. Sama nigdy go nie wypiję.

Dorzuciłem: No i na dodatek wygląda obrzydliwie. Oznajmiła: Miler jest jedyną osobą, jaką znam, która uwielbia to świństwo.

Potwierdziłem: Miler zje i wypije wszystko.

I dzięki temu opowiedziałem jej moją pierwszą historię.

Historię o tym, jak poznałem Milera.

Pierwszy raz spotkałem go w kafejce college'u, gdzie pomiędzy okruchami dos i kawą rozwijała się hałaśliwie gra w monetę-szklanę. Chodziło o to, żeby pstryknięciem palców wrzucić pięć-dziesięciopajową monetę z krawędzi stołu do szklanki ustawionej pośrodku blatu. Miler, wysoki, chudy sardar z rzadką bródką, wielkim orlim nosem i w za dużym turbanie, kosił rywali. Do gry przyłączały się kolejne stoliki, niczym opilki przyciągane przez magnes. Sobers, Śit i ja, dzielący między siebie dwie dosy i planujący wypad do kina, także daliśmy się wciągnąć. Sobers odpadł po dwóch kolejkach, a Śit wyrzucił monetę tak mocno, że wyładowała w misce z sambarem dwa stoły dalej.

Mnie udało się wrzucić monetę do szklanki za drugim razem. Tak jak Milerowi. Na jego twarzy malował się absolutny spokój, co z czasem pokochałem. Otaczała go grupa fanów — chłopaków z rodzaju tych, jacy włączają się po korytarzach akademika w nadziei, że ktoś wreszcie zauważy ich istnienie. Wystarczy, że się do nich uśmiechniesz, a na pewno odwiedzą cię wieczorem w pokoju, gotowi zawrzeć z tobą przyjaźń. Za czwartym razem moja moneta znowu wpadła do szklanki, Milera również.

W typowy dla siebie sposób Śit zdecydował, że sprawę należy przesądzić inaczej.

Powiedział: Podrzucajcie monety nosami.

Miler odsunął od siebie aluminiowe krzesło. Ukląkł na podłodze i ustawił pięćdziesięciopajśówkę na krawędzi. Moneta uniosła się trochę z jednej strony na aluminiowej lamówce stołu i wyglądała niczym trampolina nad basenem. Ostrożnie wysunął ją najdalej, jak to było możliwe. Oczy miał teraz na wysokości stołu, nad nimi spiralą wznosił się turban.

Najpierw Miler spróbował przyjąć odpowiednią pozycję, kiwając głową w górę i w dół. Potem podsunął głowę bliżej, aż jego długi nos znalazł się pod krawędzią monety. Wszyscy wstrzymali oddech. Uniósł prawą rękę i poprawił grube okulary na nosie. A potem, ze wzrokiem utkwionym w pieniążku, z nosem pod nim, energicznie opuścił głowę w dół.

Turban uderzył w lekki aluminiowy stół, który stanął dęba niczym koń. Talerze i szklanki, zsunięte na jedną stronę, wykonały salto i detonowały na podłodze niczym bomby.

Sit wrzasnął: W nogi!

Łasicowaty kierownik z wąsami jak ołówki krzyczał: Łapcie tych gnoi!

Kelnerzy w turbanach i białych tunikach z zielono-żółtymi pasami bez entuzjazmu ruszyli w naszą stronę, ich gumowe klapki tupały po kafelkach podłogi.

W mgnieniu oka znaleźliśmy się za szerokimi drzwiami. Biegliśmy na boisko, śmiejąc się i głośno przeklinając. Spojrzawszy za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie dogania, zobaczyłem, że Miler leży na podłodze i szuka na oślep okularów, otoczony oddziałem pościgowym w szerokich zielono-żółtych pasach.

Kierownik kazał mu iść do stołu z kasą. Miler poczłapał za nim bez słowa i usiadł na krześle naprzeciwko. Ze spokojem, z jakim nauczyciel patrzy na egzaminowanego ucznia, przyglądał się kierownikowi, który zaczął robić obliczenia na kartce papieru.

Postanowiłem wrócić.

Kierownik powiedział: Dwadzieścia jeden rupii.

Miler spojrzał na mnie, a potem na kierownika. Trzymał się za przód i tył turbanu — który wyglądał jak łódź rzucona po wzburzonym morzu — i usiłował go zamocować nad czołem. Ustawił go prosto, ale w tej samej chwili rozlazły się boki.

Kierownik powiedział: Dziewięć rupii za trzy talerze, trzy rupie za trzy miseczki, cztery i pół rupii za trzy szklanki i cztery pięćdziesiąt za trzy dosy. Dwadzieścia jeden rupii bez podatku.

Zaprotestowałem: Nie wszystko stłukliśmy. A tych dos nawet nie zjadłem.

Kierownik powiedział: On zjadł. Uściśliłem: Zjadł jedną. Kierownik odparł: Zjadł trzy. Spojrzałem na Milera.

Skinął głową. Z każdym kiwnięciem jego turban opuszczał się niżej.

Powiedziałem: Ale nie tylko my odpowiadamy za wszystkie potłuczone naczynia.

Kierownik zapytał: Kto jeszcze w takim razie? Odparłem: Było tu ponad piętnastu chłopaków. A czyja banda wywaliła stół?

Znalazłem w kieszeni pięćrupiowy banknot, rozprostowałem go i położyłem na stole. Zapytałem: Okay?

Kierownik odparł: Jeszcze szesnaście.

Popatrzyłem na Milera. Obojętnie wsunął ręce do kieszeni szortów, wyjął jeden banknot pięćrupiowy i jeden jednorupio-wy i położył je na blacie.

Przebierając palcami, kierownik zaczął z czułością prostować brudnym paznokciem ich załamania.

Coś we mnie drgnęło. Podniosłem się i powiedziałem: Chodźmy.

Kierownik nie ustępował: Jeszcze dziesięć rupii.

Skierowałem się do wyjścia. Miler szedł za mną, nadal walcząc z turbanem.

Kierownik wrzasnął: Sardardzi, pójdę na skargę do dyrektora!

Sardardzi powiedział: To mój wujek.

Tak, tak, a Indira Gandhi to twoja ciocia!

Tymczasem byliśmy już na zewnątrz. Chmary chłopaków w kolorowych koszulkach grały w piłkę nożną, koszykówkę i hokeja na trawie. Ich nagłe wołania o natychmiastowe podanie i ostre przekleństwa wypełniały powietrze. Wrzawę czasem przerywały głucho uderzenia skóry o drewno, kiedy serwujący musiał biec w następujących po sobie bez końca zmianach w krykiecie.

Miler spojrzał na mnie i po raz pierwszy jego twarz coś wyrażała. Rozjaśniał ją powoli cichy uśmiech zrozumienia.

Dzięki, powiedział.

Zapytałem: To naprawdę twój wujek?

Odparł: A Indira Gandhi to moja ciocia.

Usiedliśmy na betonowych schodach w pobliżu boiska do koszykówki i zaczęliśmy rozmowę, która trwała nieprzerwanie przez ponad rok, osiągając intensywność, jakiej nie potrafilibyśmy sobie wyobrazić w tamto wypalone słońcem popołudnie, z rozlega-

jącymi się wokół wrzaskami studentów, niczym latawce wznoszącymi się coraz wyżej w rozgrzanym powietrzu.

Wraz z tą pierwszą historią stałem się dla niej gawędziarzem.

Potrzeba opowieści stanowiła podstawę naszej miłości.

Co dziwne — ale być może adekwatne — jej życie także zawierało pewną historię.

Nazywała się Fiza i pochodziła z niezwykłego domu. Jej matka była sikhijką, a ojciec muzułmaninem. Zakochali się w sobie i pobraли w latach po masakrze, która towarzyszyła podziałowi Indii. Napotkali mur ostracyzmu ze strony obu rodzin. Zrozpaczeni porzucili północ i w latach pięćdziesiątych wyemigrowali na wschód do Asamu, dokąd jechali pociągiem przez ponad trzy dni.

Dotarli możliwie najdalej i ostatecznie znaleźli się w Dźorhacie, zapadłej miejscinie, która — zgodnie z relacją Fizz — słynęła z kilku rzeczy: bazy lotniczej, gymkhana klubu dla snobistycznych plantatorów herbaty, corocznych wyścigów kuców, wielkiego domu towarowego i dobrej szkoły misyjnej. Ta ostatnia, jak utrzymywała, była wyjątkowa: koedukacyjna, przepełniona duchem wolności. Kierowała nią zakonnica z Europy, organizująca przyjęcia, kiermasze, pikniki i patrząca przez palce na pierwsze zauroczenia.

Rizwan, ojciec Fizy, prowadził bez powodzenia sklep z odzieżą, a potem otworzył kino. Matka, Dźasprit, dorabiała, udzielając lekcji hindi w szkole misyjnej. Oboje unikali otwartego wyznawania religii, przez co Fiza dorastała, klękając przed niezbyt jasno określonym ojcem-który-jest-w-niebie-święć-się-imię-twoje, niezmordowanie lansowanym przez wiecznie się krzątające i szeroko uśmiechnięte zakonnice. Kiedy narastające problemy etniczne zaczęły fatalnie oddziaływać na życie i szkolnictwo w Asamie, rodzice postanowili wysłać ją do sztucznej oazy Ćandigarhu, rozrastającego się jako miasto uniwersyteckie. Owdowiała ciotka Dźasprit, przez lata trzymająca jej stronę, miała tam dom, w którym dziewczyna zamieszkała. Miler był stryjecznym wnukiem ciotki i *defacto* krewnym Fizy, lecz on także odkrywał ją po raz pierwszy.

Gdy przyjechała do wzniesionego na planie kwadratu miasta, nie miała jeszcze szesnastu lat i natychmiast doznała wstrząsu z powodu jego nieustającego priapizmu: agresji, prymitywnych zachowań, codziennych propozycji od mężczyzn i chłopców, któ-



rzy stawali na jej drodze. Panujące w Dźorhacie swoboda i cudowna bierność były uświęconym stylem życia. Szkoła misyjna i masa filmów, które oglądała — indyjskich w kinie ojca i angielskich w gymkhana clubie w każdy weekend — ukształtowały jej wrażliwość. Świat był pełen łagodności, miał moralny porządek, a życie jawiło się jako urocza historia ze zdarzającymi się nieszczęściami, które jednak ostatecznie zawsze dają się przewyciężyć. Wystarczyło, że spojrzała na ojca lub matkę, żeby się w tym utwierdzić.

Szczęśliwe małżeństwa mogą naprawdę skrzywdzić własne dzieci fałszywymi nadziejami.

Na północy przekonała się, że nie obowiązują żadne reguły. W chwili gdy wyjeżdżała z domu małym niebieskim rowerem, stawała się obiektem zaczepek. Chłopcy odprowadzali ją do college'u i z college'u. Kiedy szła do Sektora Siedemnastego, włóczyli się za nią grupami. Łazili za nią do kin, restauracji, parków. Rzucali w nią kamieniami, żeby pokazać, jak im się podoba. Obnażali się za drzewami i krzakami, pokazywali jej, co mają; uśmiechając się, poruszali zawartością zaciśniętych dłoni. Zostawiali kwiaty i podarki w jej skrzynce pocztowej, jeden przez cały miesiąc wkładał tam co rano świeże jajko. Żaden jednak nie odważył się jej zagadnąć. Wystarczyło im, że proponowali jej natychmiastowy seks na odległość i że byli bez końca ignorowani.

Jeden z chłopaków z college'u, który robił takie rzeczy codziennie — było to nazywane męskimi wypadami — powiedział mi: Prosimy bez przerwy — w końcu pewnego dnia to dostaniemy.

Kiedy ją poznałem, przebywała w tym mieście od prawie roku i nauczyła się poruszać wewnątrz własnego kokonu. Dzięki temu priapiczne ataki nie mogły w żaden sposób urazić jej ducha. Bawiły ją, ale nie miały wpływu na jej niesłychaną świeżość; traktowała codzienne popisy jak filmy, które oglądała w kinie ojca. Wszyscy chłopcy odgrywali jakieś role i nikt tak naprawdę nie miał złych zamiarów. Zdumiewało mnie to, bo wiedziałem, jak bardzo chłopcy mogą być zajadli w swojej nieświadomości. Usiłowałem jej to powiedzieć. Niemniej to ona miała rację, a ja się myliłem. Zmienić się ze strachu to przegrać w zabawie.

Życie to ciągle ryzyko. Ale zawsze na twoich zasadach.

Bez ukrytych intencji chodziłem z Milerem do jej domu każdego tygodnia. Wtedy już od prawie roku łączyła nas obu głęboka przyjaźń. Po awanturze w kafejce odkryliśmy w sobie ogromne wewnętrzne podobieństwa. Ale nie była to cicha wspólnota. Uczestni-

czyliśmy w orgii rozmów. Dla mnie było to jak śpiew ptaków o świcie po długiej ciszy nocy. Zamieszkaliśmy w jednym pokoju, przestaliśmy chodzić na zajęcia, zaczęliśmy włóczyć się po mieście i spędzaliśmy dni na dyskusjach o książkach, filmach, krykcie, boksie, filozofii, polityce, pornografii, człowieku.

Wbrew temu, co twierdzą ludzie, jądrem wspaniałych związków jest brak przeciwieństw. Nie ma czegoś takiego jak zdrowe różnice: każda odmienność zdania jest jak termit w tratwie związku, dziurawi go, grozi mu zatonięciem, podczas gdy zgoda, nawet fałszywa, jest jeszcze jedną belką wspierającą konstrukcję. Tak więc ja i Miler nigdy się nie spieraliśmy, a jeśli nawet odczuwaliśmy coś inaczej, grzebaliśmy to wrażenie pod ogólnym podekscytowaniem naszą wspólnotą.

Miler utwierdzał mnie w moich ambicjach. Przygotowywał mnie na nią. Dorastając w Delhi, robił wiele rzeczy, kosmopolitycznych rzeczy: latał samolotami, jadał w szpanerskich hotelach, tańczył w dyskotekach, bywał na jam sessions acid rocka, poszedł na koncert Osibisy. Znał miarę spraw, był światowcem. Ja niczego takiego nie zaznałem, ale wcześniej robiłem coś, czego on nie zakosztował. Czytałem. Cale stosy klasyki.

Czytałem jakby z potrzeby podświadomości, wcale nie po to, żeby zdobywać wiedzę. Wypełniałem po prostu długie senne dni w zakurzonych miastach Uttar Pradeśu. Książki brałem z podupadających bibliotek szkolnych i klubowych. Stare twarde okładki koloru błota, z czarną plamą na grzbiecie, gdzie wypisywano tytuł, czerwone stemple, informujące szczegółowo o właścicielu egzemplarza na dziesięciu różnych stronach, i pożółkły, łamliwy papier z maleńkimi dziurkami na brzegach, wydrążonymi przez klimat i owady. Przy przewracaniu stron palce pokrywały się delikatnym pyłem.

Pochłonałem cały kanon literatury angielskiej, cofając się aż do XVI wieku. Podjąłem nawet próbę przedarcia się przez opasłe tomisko dramatów zebranych Szekspira. Papier tej księgi był tak cienki, że można było patrzeć przez niego, a żeby czytać, należało położyć ją na stole.

Niewiele rozumiałem, a zapamiętywałem jeszcze mniej. Doceniłem wartość moich lektur, kiedy zobaczyłem błysk w oczach Milera. Fakt, że przeczytałem tyle książek, że znam tak wiele niezwykłych słów, uważał za coś wyjątkowego. Niczym kozuch na świeżo przegotowanym mleku, jego podziw powoli krzepł na mnie, motywując do zagłębiania się w kolejne książki i dając mi poczucie wartości, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

I właśnie takiego siebie jej zaprezentowałem i takiego mnie ona pokochała. A później, kiedy zaczęły ujawniać się pęknięcia, była zraniona i zła jak ktoś, kto w głupim i niewinnym odurzeniu wziął maskę za człowieka.

Dwa rytuały opowiadania stały się osnową i wątkiem mojej miłości.

Opowiadanie historii i zabieranie na oglądanie historii.

Oglądanie było łatwe. Wszyscy to robili. Chodzenie do kina było epidemią w Chandigarhu. Bilety na film kupowało się za bezcen — trzy rupie dziesięć pajs na balkonie, a za mniej niż połowę tego na parterze. Odwiedzało się wszystkie pięć kin każdego tygodnia i czekało na nowe tytuły puszczone w piątki. Całkiem powszechne było oglądanie tego samego filmu po kilka razy.

Podobnie jak we wszystkim w tym mieście tu także obowiązywała hierarchia.

Prawdziwi szpanerzy oglądali angielskie filmy i na ich pokazach sami dawali się oglądać. Wielką celebrą był niedzielny poranny seans w dziwnym, podobnym do hangaru KC. Wyświetlane tam filmy były najdziwniejszą mieszanką hollywoodzkich staroci i nowości. *Wielka ucieczka*, *Szczęki*, *The Duchess and the Dirt-water Fox*, *Gorączka sobotniej nocy*, *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*, *Sprawa Kramerów*. To, jaki film puszczano, nie miało znaczenia, sala zawsze była napakowana.

Zapach perfum i wód kolońskich unosił się w powietrzu, demonstrowano publicznie efekt wielogodzinnych przygotowań. Mężcy młodzi mężczyźni w wysokich butach z bawolej skóry, z dzwonami dżinsów idealnie otaczającymi ich kostki, stali oparci o lśniące motocykle Yezdi, wykrzywiając usta w kpiącym uśmiechu. Atrakcyjne młode kobiety z Pendżabu, o skórze błyszczącej podnieceniem, o ciałach dojrzałych już do fantazjowania — kobiety, które w wieku dziewiętnastu lat były wolnymi seksualnymi syrenami, a które odpadną z gry przed trzydziestką, zniszczone przez dzieci i tłuszcz — nieskazitelnie ubrane w doskonale uprasowane dżinsy i obcisłe kurty, kołysały się w grupach, rzucały na boki powłóczyste spojrzenia i podniecały chłopaków do nieprzytomności.

Tego wszystkiego było stanowczo za dużo. Wszyscy wydawali się balansować na granicy wyjącego orgazmu.

W pierwszym miesiącu mojego pobytu w tym mieście za zna-

komity przykład jego afektacji posłużył mi chudy jak patyk sardar, ubrany w ciasny turban i workowate spodnie. Stał na masce fiata przed KC i handlował na lewo biletami — był konikiem. Z rzadką bródką, z wąskimi ramionami odgiętymi do tyłu, co nadawało mu wygląd luku, darł się wysokim dyszkantem: Paaaap-piiiiillooon! Och, Paaaappiiiiillooon! Och, Paaaappiiiiillooon!

W prawym ręku powiewał mu plik biletów, a chętni do obejrzenia *Papillona* tłoczyli się przy samochodzie.

Niemal nigdy nie chodziłem na niedzielne poranne pokazy. Czułem, że nie pasuję do tej rewii idealnego wyglądu i pewności siebie. A poza tym panował tam ścisk i były kolejki. Chłopacy ustawiali się w nich trzy godziny naprzód i kupowali bilety, żeby potem sprzedawać je dziewczynom, które z kolei dzięki temu siedziały obok nich. Wolałem należeć do niższej klasy.

Niższa klasa żyła filmami indyjskimi. Składała się głównie ze studentów z miasteczek i wsi Pendżabu, Harijany i Himaćal Pradeśu. Przyjazd do metropolii był dla nich ogromnym skokiem, absorpcja jej krawieckiego sznytu, jej towarzyskiego polotu, jej kodów kontaktów damsko-męskich, jej rytuałów obowiązujących w restauracji i kawiarni, dotyczących palenia i picia, motocykli i dziewczyn — absorpcja tego wszystkiego była najeżona trudnościami. Zdradzały to ich oczy. Niepewność siebie i pożądanie.

Widać ich było wszędzie. Zawsze chodzili w niewielkich grupach i nawzajem dodawali sobie otuchy rozpaczliwymi, często prymitywnymi żartami. Przesiadali przy wejściu prowadzącym do Sektora Siedemnastego — przed jakąś restauracją, szpanerskim sklepem muzycznym, butikiem z modnymi ciuchami. W akademiku spotykało się ich palących dunhille, pieśczośliwie obracających w palcach czerwoną paczkę z ostrożnie uniesionym wieczkiem, żeby nie podrzeć celofanu. Albo niemogących dojść do ładu z parą dziwnie leżących na nich džinsów, które kupili w przypiływie odwagi.

Ale tak naprawdę to kobiety zbijały ich z tropu. Przykładali swój małomiasteczkowy stereotyp wielkie-miasto-łatwe-kobiety do otaczających ich zewsząd dziewczyn i nie wiedzieli, jak sobie z tym radzić. Pożerali wzrokiem wszystkie kobiety, często łazili za nimi godzinami po targowiskach i ulicach, z głowami wypełnionymi fantazjami i strachem.

Nosząc nerwy na wierzchu jak epolety, większość tych chłopców garnęła się do hollywoodzkich filmów jak do jedynej wyspy na wodach bezkresnego morza. Wracali raz po raz na ciemne łono hinduskiego kina, by poczuć się sobą. Ze swą szczególną mi-

tologią dostarczało im ono oszałamiającej kontynuacji ich własnego życia. Gdy tylko zgasły światła, przenosili się na znany teren i nikt nie przyglądał się im badawczo.

Fizz, w typowy dla siebie sposób, traktowała z pobłażliwością obie konwencje. Kiedy pierwszy raz ją spotkałem, nie przejmowała się niczym. W odróżnieniu od reszty nas poruszała się we własnym kokonie pewności i niewinności. Upraszczała wszystkie sprawy, po prostu ich nie komplikując.

Chodziła na filmy — angielskie i indyjskie — i nie pozwalała, by cokolwiek z rozgrywającego się wokół dramatu kładło się cieniem na jej nastrój.

Zacząłem chodzić z nią na filmy indyjskie — raz w tygodniu — ale w dalszym ciągu unikałem niedzielnych przedpołudniówek. Wypadki do hinduskiego kina początkowo odbywały się grupowo i minęło wiele miesięcy, zanim udało się nam na tyle odizolować od innych, że mogliśmy chodzić tam sami. Niemniej nadal nie trzymaliśmy się nawet za ręce ani nie szeptaaliśmy sobie czułych słówek, choć sprzyjająca temu atmosfera narastała wokół nas, nabierając coraz konkretniej szych kształtów i krzycząc, by nazwać ją po imieniu.

Ale to historie, które usłyszała, a nie te, które obejrzała, ostatecznie nas stworzyły.

Ona naprawdę chłoneła opowieści. Miała rzeczywisty talent do słuchania, budziła we mnie skłonności gawędziarskie, o jakie się nawet nie podejrzewałem. Kiedy czytałem notesy — dwadzieścia lat później — wiedziałem, dlaczego Syed tak pięknie się wysławiał. To był wpływ Catherine, która pięknie słuchała. Wiedziałem, bo to samo Fizz czyniła ze mną.

Chciała słuchać wszystkiego, co miałem do powiedzenia. O książkach, filmach, polityce, sztuce, sporcie, ludziach, życiu, ideach. Chciała się czegoś dowiedzieć o wygłupach, w jakich brałem udział w ciągu minionego tygodnia, o absurdach wypełniających moje życie. Była zachwycona wszystkim, co niekonwencjonalne, nietypowe, ekscentryczne. Myślę, że ojciec wywarł na nią duży wpływ. I jego upór. I dramaty z filmów, zawsze obecne w jej życiu.

Absurdalność i intensywność przeżyć przyciągały ją w równym stopniu, jak innych ludzi przyciągają pieniądze i władza.

Filozofowałem, psychologizowałem, cierpiałem, dramatyzowa-

łem, rapsodiowałem, a ona nurzała się w tym z lubością, jakby to był prysznic w środku lata, zmieniający nieznośny upał w czystą magię.

Zjawiałem się u niej w domu — właściwie w domu jej ciotki — w każdy sobotni wieczór. Początkowo z Milerem, ale kiedy pół roku później wyjechał do pracy w sadach wuja w Kalifornii, przychodziłem sam, opierałem atlasa o szarą ścianę i udawałem przed ciotką, że podtrzymuję pewien zwyczaj, że robię to dla przyjaciela. Opierałem stopy na dywanie ze smokami — przed oczami miałem niemego grundiga, lodówka Allwyn trzęsła korpusem, prymitywny pejzaż górski wgapiał się we mnie z prawej strony — i zaczynałem mówić.

Ona ubrana była w dżinsy, włosy miała związane w ciasny koński ogon, jej twarz o klasycznych rysach wyrażała skupienie, a uśmiech rozświetlał świat. Okazało się, że nawet patrzenie na nią sprawia mi trudność. Byłem oszołomiony samym faktem, że znajdowaliśmy się w jednym pomieszczeniu.

Nie przypuszczam, żeby zdawała sobie sprawę, w jakim stopniu ukształtowała mnie swoim słuchaniem.

Stałem się kimś, kogo moim zdaniem chciała słuchać.

Zacząłem żyć po to, by opowiadać jej historie.

Każdy mój tydzień stawał się wydarzeniem, które mogłem jej zrelacjonować: jak to razem z przyjaciółmi rozebraliśmy się w kinie w Nilam z mokrych ubrań, bo szliśmy na film w ulewnym deszczu, a potem zmuszono nas nagich do wyjścia, bo trzęsienie ziemi zakołysało miastem; jak to razem z Milerem wmówiliśmy przyjaciołom, że bydło jest bardzo groźne, zmuszając wszystkich do chowania się za drzewa i w krzakach za każdym razem, gdy pokazała się jakaś krowa; jak to przeżyliśmy cały tydzień na bananach i mleku — przez co dostałem okresowego zaparcia — bo wszystkie pieniądze wydaliśmy na książki; jak to pięciu z nas szło na piechotę z Kasauli — znowu brak pieniędzy — żeby dotrzeć do Čandigarhu czternaście godzin później z poranioną skórą i w złachmanionych ubraniach.

Snułem i snułem gawędy — prawdziwe, upiększone, doprawione magią — aż stały się podobne do opowieści Szeherazydy — historie, które pozwalały mi istnieć w jej życiu w taki sam sposób, w jaki ojciec matki istniał w moim, opowiadając mi historie z *Ma-habharaty*: kiedy jego opowiastki się skończyły, zniknął i on, i przypomniałem sobie o nim dopiero, gdy umarł — pozbawiona znaczenia powłoka niegdysiejszego narratora pełnych napięcia opowieści.

Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że sama historia

jest zawsze ważniejsza od tego, kto ją przekazuje. To nie gawędziarz ożywia historię, ale to historia trzyma gawędziarza przy życiu.

Przez długi czas moje opowieści dotyczyły eskapad i wygłupów — absurdów, które do niej przemawiały i rozśmieszały ją. A potem, kiedy Miler powoli przestał być z nami, zaczęły traktować też o innych sprawach, bardziej intymnych, bardziej emocjonalnych. Stały się scenariuszami, które nakreślały trajektorię naszych życiorysów.

Dwadzieścia lat później, gdy siedziałem w ciasnym pokoju hotelowym przy Seventh Avenue na Manhattanie, gmerając w gruzowisku mojego życia i czekając na samolot powrotny do domu, wiedziałem lepiej niż ktokolwiek, że to właśnie kochankowie potrzebują daru opowieści. Muszą bez przerwy opowiadać sobie jakieś historie, żeby nie zniknąć dla siebie nawzajem.

Namiętna miłość nie ma nic wspólnego z oczywistymi cechami kochanka — klasą społeczną, intelektem, wyglądem, charakterem. Wiąże się natomiast w całości z opowieściami, jakie potrafi on snuć. Kiedy historie są poruszające, skomplikowane, głębokie — jak najwspanialsze powieści, nigdy nie muszą być do końca prawdziwe — wtedy taka jest i miłość.

Kiedy opowieści są liche — ich gramatyka kulawa, oddziaływanie słabe, fabuła pretensjonalna — wtedy taka jest i miłość.

Historie, które kochankowie relacjonują sobie nawzajem, są opowieściami o nich samych, ich przeszłości, ich przyszłości, ich wyjątkowości, ich nieuchronności, ich niezłomności. Opowieściami o ich marzeniach, fantazjach, ciemnych zakamarkach strachu i perwersji. Ci, którzy potrafią przekazać swoje opowieści z mocą, tworzą potężną miłość. Ci, którzy tego nie potrafią, nigdy nie poznają tego uczucia.

Miłość to opowieść, wino w butelce. Opowiadający jest zaledwie butelką i ma jakieś znaczenie jedynie dopóty, dopóki wino jest spożywane. Wspaniałe butelki czezną na półkach, jeśli wino okaże się niedobre, jeśli historia zacznie kuleć.

Wszyscy znamy pięknych ludzi, którzy nigdy nie zaznali miłości.

Jak w przypadku wielkich powieści, historie opowiadane sobie nawzajem przez kochanków mogą traktować o czymkolwiek, mogą być snute każdym tonem. Mogą wybujałością przypominać Dickensa albo powściągliwością Hemingwaya, mogą być rozbuchane jak u Joyce'a albo niepokojące jak u Kafki, mogą być szalone jak u Lewisa Carrolla albo smutne jak u Thomasa Hardy'ego. Mogą być jakiegokolwiek — ponure, komiczne, filozoficzne, wariackie.

Ale muszą być prawdziwe.

W szczególnie fałszywy sposób wielkie powieści są prawdziwe. W szczególnie fałszywy sposób wielka miłość jest prawdziwa.

Całowanie przenosi zarazki, ohydne wirusy z ogonkiem. Ale pocałuj mnie szybko, mały. Właśnie przyjąłm szczepionkę.

Nauczyła się tej przyśpiewki w szkole misyjnej w Dźorhacie. Pewnego popołudnia wykorzystala ją przy mnie w charakterze katalizatora. Przypominało to wystrzelenie rakiety, która trafiła w tamę. Wody mojego požądania przedarły się, zatapiając wszystko, aż nie pozostało nic poza pragnieniem.

To było dziwne, bo przez prawie rok zadowalałem się jedynie trzymaniem jej za rękę. W miesiąc po wyjeździe Milera z Ćandi-garhu przestrzeń naszego życia wyszła poza sale kinowe i tamten ponury salon. Straciłem atlasa, którego ukradli mi sprzed knajpki Prima w Sektorze Dziesiątym, i odtąd musiałem przemieszczać się pieszo. Zaczęła chodzić razem ze mną. Pedalowała energicznie, kiedy przyjeżdżała na nasze randki małym niebieskim rowerem. Zostawialiśmy go potem na parkingu i ruszaliśmy w drogę.

Codziennie chodziliśmy całymi godzinami, z sektora do sektora, z mojego pokoju w Sektorze Dziewiątym na uniwersytet w Sektorze Czternastym, do księgarni w Sektorze Siedemnastym, do kin w całym mieście, do jej domu w Sektorze Trzydziestym Piątym. W tamtych czasach Ćandigarh było idealnym miastem dla spacerowiczów, z szerokimi ulicami, z rosnącymi wzdłuż nich cudnymi drzewami, ardżuną, złotą mimozą, płomieniem Afryki, miodlą, puchowcem. Każdego wieczoru, kiedy musiała wracać, desperacko pragnąłem wykorzystać czas do ostatniej minuty, przytrzymałem więc jej rower, odprowadzając ją pod dom przez całe miasto.

Nie ma wspanialszego pretekstu do zalotów niż spacer. Uczymy się wtedy równego kroku, mamy okazję wyrażać błahe zatroskanie — ostrzeżenie, ostrożność, dotknięcie łokcia, pulsowanie krwi w żyłach, poczucie ruchu i wspólnego celu, wrażenie, że jest się tylko we dwoje pośród panującego wokół zamieszania, i nade wszystko możliwość swobodnego mówienia na otwartym powietrzu, bez lęku przed wzajemnym spojrzeniem i badawczym wzrokiem.



Ci, którzy chcą znaleźć miłość, powinni nauczyć się spacerować.

Kiedy szliśmy, zmuszała mnie do mówienia: pięknego i nieprzerwanego. To, co Miler we mnie obudził, ona doprowadziła do owocowania. Bez słowa przesądziła, kim jestem i kim miałem zostać. Czytałem teraz więcej niż kiedykolwiek, bo ona chciała o tym słuchać. Mówiłem o pisaniu więcej niż kiedykolwiek, bo ona chciała o tym słuchać. Każdą minutę, gdy nie byłem z nią, przesiadywałem w pokoju, tkwiłem w pułapce między stronami, przygotowując się dla niej, przygotowując się do mojej przyszłości.

Wraz z wyjazdem Milera przestałem się widywać z pozostałymi przyjaciółmi i w ogóle zrezygnowałem z college'u. Wynająłem niewielki pokój w przybudówce rozpadającego się bungalowu w Sektorze Dziewiątym i nikomu nie zdradziłem nowego adresu. Pokój znajdował się nad garażem, brudne zielone liście mangow-ca napierały na okno. Nie było tam żadnych mebli oprócz starego wiklinowego krzesła na wąskim balkonie. Na podłodze leżała mata z sitowia, a na niej mój materac otoczony morzem książek. Niekończącymi się, nieregularnymi stertami. Przemieniały one pokój w osiedle wielopiętrowych domów różnej wysokości, zaprojektowane przez architektów, którzy nie potrafili narysować linii prostej. Każdą rupię od ojca wydawałem na książki, a ona robiła to samo, znosząc je do mnie w papierowych torbach. Kupione książki trzymała przez kilka dni w szafie między perfumami i ubraniami, tak że pachniały nią cały czas, doprowadzając mnie do szaleństwa.

Moje stosunki z ojcem popsuły się zupełnie. Przysyłał mi długie kazania o karierze, jaką dla mnie zaplanował, o instytucjach zarządzania, wydziałach prawa i uczelniach dla przyszłych pracowników administracji państwowej. Uznałem, że zgłupiał jeszcze bardziej. Przestałem do niego pisać i spodziewałem się, że odmówi mi dalszej pomocy finansowej. Jednak czeki na dwieście pięćdziesiąt rupii przychodziły każdego miesiąca, a ja zamieniałem je na nowe książki.

Raz w tygodniu, kiedy on był w biurze, szedłem do centrum handlowego i dzwoniłem do matki, aby dać jej znać, że mam się dobrze, ale rozłączałem się natychmiast, gdy tylko zaczynała wymuszać na mnie bardziej szczegółowe informacje. Czasami po takiej rozmowie siedziałem na skraju werandy przy sklepie spożywczym Guptadźiego, pogrążony w obłąkańczym smutku. Potem rozpaczliwie potrzebowałem obecności Fizz, a jeśli nie mogłem się z nią zobaczyć, zaczynałem iść. I szedłem, i szedłem, i szedłem —

niczego nie widząc, z rękami w kieszeniach — aż żal, który czułem, ustępował.

Przez ponad rok nie pojechałem do domu w czasie wolnym od nauki, nawet w dniach morderczego ćandigarhskiego lata, wybierając apatyczne leżenie nago pod wolno kręcącym się wiatrakiem, pokrywanie się grubą warstwą potu i leniwe czytanie albo czekanie na powrót Fizz z odległego Dźorhatu, wypatrywanie listonosza, który codziennie przynosił mi od niej list, wiele, wiele stron, starannie złożonych, z zasuszonymi liśćmi bambusa w załamaniach, z zapachem jej perfum, słodką, słodką Madame Rochas, unoszącym się nad nimi. Każdy list czytałem po kilka razy, doszukując się w każdej sylabie ukrytych znaczeń, czasami zaś leżałem po prostu na plecach i kładłem je sobie na twarzy, wypełniając się jej zapachami.

Biorąc pod uwagę, jak sprawy potoczyły się później, to dziwne, że tak długo zadawałem się jedynie trzymaniem jej za rękę i rozmowami. Ale tak było. Otaczała nas surrealistyczna atmosfera nieskazitelności. Uszczęśliwiało mnie już samo to, że była w pobliżu. Moje ponuractwo zmieniało się w rozmowność, zacząłem czuć się coś wart. W czasie gdy nie było jej przy mnie, żyłem jedynie po to, by znowu z nią być. A kiedy nadchodził ten moment, cały się rozpromieniałem.

Dwie dekady później, z pewnym wysiłkiem, nadal mogłem wywołać w sobie to uczucie i wiedziałem, że jest prawdziwe.

Ponieważ nie odważyłem się posunąć poza trzymanie jej za rękę, z typową dla siebie prostolinijnością postanowiła działać. Siedzieliśmy na materacu otoczeni wysokimi słupami książek, czytałem jej wyjątki z *Preludiów* Conrada Aikena, kiedy przerwała mi i wyrecytowała tamtą śpiewkę. Jeszcze nie skończyła, gdy przywarłem ustami do jej ust i nie odrywałem ich przez wiele godzin, aż zapadła noc i Fizz musiała wracać do domu.

Od tamtego dnia, dziewiątego stycznia 1981 roku, pożądanie wchłonęło wszystko.

Spacery, rozmowy, literaturę.

Czekałem na nią od wczesnego ranka, siedziałem w drzwiach balkonu i wpatrywałem się w dziurawy asfalt podjazdu, usiłowałem czytać, ale bez powodzenia. Z płaskiego magnetofonu kasetowego Philips rozlegały się dźwięki *Mr and Mrs 55* albo *Barsat*,

albo *Ar Par*. Otwierałem drzwi w chwili, gdy zaczynała wchodzić po betonowych spiralnych schodach. Przywierałem do niej ustami, zanim jeszcze na dobre weszła do pokoju. Zawsze wyglądała i pachniała tak, jakby dopiero co wyszła z kąpieli, choć przejechała na rowerze połowę miasta.

Odkryłem, jak bardzo różowe są sutki młodej kobiety.

I jak jej twarz przybiera ten sam kolor, kiedy się je ssie.

Odkryłem, jak bezkresne jest kobiece ciało.

I jak znajduje się więcej, im więcej się szuka.

Odkryłem, jak w miłości łatwo dotrzeć wszędzie ustami.

Odkryłem, że nigdy nie kocha się kobiety bardziej niż w chwili, gdy jest się głęboko w niej.

Odkryłem pożądanie, jakiego nigdy bym się po sobie nie spodziewał. Nie potrafiłem się nią nasycić. Przychodziła, zaczynałem ją kochać i do chwili, gdy ją odprowadzałem do domu — zawsze już po zmierzchu — moje ręce pieściły jej przedramię. I zmuszałem ją, byśmy postali jeszcze przy bramie, aż stawało się to podejrzone.

Kiedy nie było jej w pobliżu, torturowały mnie jej zapachy i smaki — zniecierpliwienie, jakie temu towarzyszyło, redukowało mnie często do takiego stanu, że w godzinę mogłem przeczytać ledwie stronę. Przestały nas interesować wyjścia do kin, do restauracji czy przebywanie w centrach handlowych, bo moje pragnienie było tak wielkie, że nie dawało się zaspokoić w miejscach publicznych.

To prawda, że za pierwszym razem nie wytrzymałem nawet jednego ruchu, za drugim tylko jeden, ale w miarę upływu tygodni nauczyliśmy się kochać godzinami, aż pokój pachniał tylko nią, a jej nieme jęki wypełniały go tak, że niemal eksplodował. Nie chciałem się z nikim widywać, nie chciałem nigdzie chodzić, chciałem jedynie być z nią w tamtym małym pokoiku, między książkami, zatopiony w jej ciele.

Cóż za świat odkryłem, cóż za świat żywotności i usatysfakcjonowania!

Nigdy nie żyłem bardziej intensywnie. Jedna kobieta potrafi stać się wszechświatem.

Była pełna w sposób, jaki zwykle kiepsko wychodzi na zdjęciach. Została stworzona do miłości. Jej ciało dawało równie dużo, jak brało. Podniecały mnie wszystkie jego zagłębienia i krzywizny, wszystkie wilgotności i piżmo. Była to odkrywca podróży, która miała trwać latami. Każda część jej ciała stawiała mnie w gotowości, nawet jej renoirowskie nogi, których nie znosiła, i często racjo-

nowalem sobie przyjemności — poprzestając na przystawkach — by nadać mojej rui pozory zdrowego rozsądku.

I jej twarz, jej twarz. Była ekstazą, olśniewającym obrazem olejnym pędzla renesansowego mistrza, a przy jej prostoliniowości odzwierciedlała wszystkie uczucia. Czytałem w niej miłość i popadałem w coraz większy obłęd. Ojciec John miał rację: znaczenie ma jedynie urok twarzy, bo tylko ją widzisz, kiedy znikasz w kobiecie.

Żyłem jak w gorączce. Czasami kończyłem ją kochać i kilka minut później, wdychając jej piżmowy zapach utrzymujący się na mojej twarzy, znowu byłem pobudzony. I tak to trwało godzina za godziną. Wkrótce zacząłem zatrzymywać niektóre części jej ubrania. Potrzebowałem ich, kiedy budziłem się w nocy napięty od pożądania.

Moje słownictwo skurczyło się do alarmujących rozmiarów. Fizz przestała pięknie słuchać. Ja zacząłem mówić ubogim językiem. Stałem się ospałym zlepkim wyświechtanych sloganów. Zdrobnień i sloganów. Paplaniny. Ale nic innego nie było w stanie oddać moich uczuć. Zostałem zredukowany do czystych i prostych podstaw.

Przeistoczyłem się w bestię pożądania i nawet kiedy mówiłem o książkach, ideach, marzeniach i fantazjach, moim celem było tylko wydobycie z niej dodatkowego liźnięcia namiętności.

Z biegiem lat słuchała mniej i czyniła to mniej pięknie, a ja mówiłem więcej i ubożej, lecz pragnienie jedynie się wzmagало. A my trwaliśmy przy sobie, pobłogosławieni cudem pożądania.

\*

Ożeniłem się z nią w lipcu 1982 roku.

Miałem dwadzieścia dwa lata, ona niecałe dwadzieścia.

Do tego czasu nie potrafiłem już rozstawać się z nią wieczorami. Za bardzo jej pragnąłem, a ta potrzeba ciągle rosła. Matka się dąsała. Ojciec powiedział, że i tak niczego dobrego się po mnie nie spodziewał. Bibi Lahauri kopnęła mnie w jaja.

Muzułmanka! Po moim trupie!

Jej rodzice też nie wpadli w euforię.

Ich niezadowolenie wynikało nie tyle z powodów religijnych, ile z moich lichych przymiotów jako pana młodego. Miałem dyplom z ekonomii i historii i skromną karierę zawodową. Zacząłem pracę jako redaktor stażysta w jednej z delhijskich gazet, a po pół

roku podpisałem umowę jako reporter lokalnego dziennika z Chandigarhu, z pensją sześciuset rupii miesięcznie plus po cztery rupie za każdą nocną zmianę. Gołym okiem było widać, że nie mam żadnych perspektyw. Młody pisarz nie istniał jako kategoria w indyjskim wykazie małżeńskim. Z drugiej strony Fizz była olśniewająco piękna i inteligentna. Wszędzie mogła zrobić karierę.

Nic mnie to jednak nie obchodziło. Nie potrzebowałem niczyjej aprobaty.

Tamte sześć miesięcy w Delhi było dla mnie najniezwyklejszym okresem w życiu. W każdą sobotę łapałem autobus do Chandigarhu, spędzałem z nią dzień i wracałem nocnym kursem. Czasami tak rozpaczliwie chciałem ją zobaczyć, że jechałem przez całą noc, zjawiałem się na miejscu o świcie, spędzałem z nią dwie godziny i jechałem z powrotem, żeby zdążyć na popołudniową zmianę. Żyłem w oszołomieniu; czekanie na kolejny list, na telefon, na następną podróż autobusem aż bolało. Stęchły zapach panujący w autobusach tak wżarł mi się w nozdrza, że czułem go przez lata. W Delhi zaprzyjaźniłem się z jednym tylko człowiekiem, Philipem, ale jemu też nie mogłem się zwierzyć, bo moje emocje były zbyt intensywne, zbyt skomplikowane, by dawały się ubrać w słowa.

Na długo przed końcem owych sześciu miesięcy wiedziałem, że jeśli szybko się z nią nie połączę, zmarnuję się, zostanę nikim.

Tak więc gdy tylko dostałem pracę w Chandigarhu, zrobiłem, co należało: powiedziałem, że się pobieramy, i na chybił trafił ogłosiłem datę ślubu. Z perspektywy dwudziestu lat przyznaję, że było to znaczące posunięcie.

Jej ojciec strasznie się zaperzył. Fiza, która nigdy nie sprzeciwiała się rodzicom, teraz patrzyła mu w oczy i była nieugięta. Do akcji musiała zatem wkroczyć jej matka. Przypomniała mężowi ich własną historię. Rizwan w końcu się zgodził, ale niechętnie. To, że sam się zbuntował w młodości, nie zwalniało go z troski o śliczną córkę.

Żeby zamknąć wszystkim usta, zgodziłem się na przyspieszoną procedurę.

Nie wzięliśmy ślubu w urzędzie stanu cywilnego, bo nie miałem ochoty na zawracanie sobie głowy dokumentami. Nie mieliśmy też ślubu w obrządku hinduistycznym ani muzułmańskim. Razem z Fizą wybraliśmy ceremonię sikhijską, którą można odprawić rankiem. Jest szybka i prosta, a jednocześnie ma w sobie wzniosłą powagę odpowiednią dla tego typu uroczystości.

Zjawili się jej rodzice, podobnie jak moi, oraz przypadkowi

krewni, przyjaciele i koledzy z gazety. Był to ponury rytuał, który najwyraźniej wszystkich rozczerował. Potem nastąpił lunch, na który podano gumowate nany i kurczaka w ostrych przyprawach. Mój ojciec, mimo skwaru, miał na sobie rdzawoczerwony krawat i ciemny trzyczęściowy garnitur; patrzył na wszystkich sceptycznie. Zdrowy i silny Rizwan, ubrany w koszulę we wzory roślinne, wyglądał na zakapiora, którego siłą wyciągnięto na światło dzienne. Obie matki siły się na uprzejmości, ale niełatwo im to przychodziło, gdy gruby makijaż ściekał wraz z potem na ich jaskrawo pomalowane usta.

Kelnerzy w białych marynarkach z rdzawoczerwonymi lamówkami i złotymi klapami mieli pod pachami ogromne plamy. Salę wypełniał odór potu. Wielkie wentylatory mieszały gwar i powietrze. Wszystko było przygnębiająco szmatławe.

Czułem się niezręcznie w kremowej kurcie i spodniach do kompletu i coraz bardziej złościła mnie ta sytuacja. Po kiego chuja zgodziłem się na całe to, choćby minimalne, zawracanie głowy?

Fiza z drugiego końca sali widziała, jak to we mnie narasta.

Przeszła wolno przez pokój, niewiarygodnie śliczna w rdzawo-czerwonym salwar-kamiz, stanęła przede mną, uśmiechnęła się, rozjaśniając świat, i powiedziała: Desperacko potrzebuję zalegalizowanego spółkowania.

Tego wieczoru, gdy dotarliśmy do naszego pokoju w hotelu — łóżko przykryto narzutą ze sznurami nagietków i tuberoz — byliśmy szczęśliwsi niż kiedykolwiek.

Niczego nie potrzebowaliśmy. Nikogo nie potrzebowaliśmy.

Sama myśl o tym, że nigdy więcej nie będzie musiała odchodzić, nappełniła mnie zaskakującym zadowoleniem i poczuciem bezpieczeństwa.

Położyła się na plecach, twarz jej jaśniała, ciemne loki leżały rozsypane wokół głowy, i powiedziała z tym swoim uśmiechem: Przepraszam, że musiałeś przez to przechodzić.

Odparłem: Dla ciebie, kochana, znowu bym przez to przeszedł. Dla ciebie zrobiłbym wszystko.

Tańczyłbyś na ulicy?

Zrobiłbym wszystko.

Łuskał groch z tysiąca strączków?

Zrobiłbym wszystko.

Zabrał mnie do Grecji?

Zrobiłbym wszystko.

Napisał arcydzieło?

Zrobiłbym wszystko.

Pocałowałbyś mnie teraz?

Zrobiłbym wszystko. I jeszcze bym powtórzył.

I jeszcze byś powtórzył.

Zrobiłbym wszystko. Dla ciebie, kochana, zrobiłbym wszystko.

Dla ciebie.

## RZECZY PIERWSZE

Podczas lotu powrotnego śniłem, że stałem się lekki jak piórko.

Był to drugi etap podróży, z Heathrow do Delhi, a samolot, wielki jak kamienica, okazał się prawie pusty. W połowie dwunastogodzinnego warkotu zająłem pięć miejsc w końcowym rzędzie i ułożyłem się z lewym policzkiem na siedzisku. Przy trzecim jacku daniel'sie uroczy uśmiech nie najmłodszej stewardesy zmienił się w ostrzegawczy grymas. Nie byłem w nastroju, żeby się z nią kłócić, próbowałem jedynie pogрузić się w nieświadomości.

Wszyscy byliśmy na boisku college'u, graliśmy w piłkę nożną. Sobers, Miler, Śit, twarze z moich szkolnych czasów, moi kuzyni. Aleja miałem problem z utrzymaniem piłki. Za każdym razem, gdy robiłem krok, wznosiłem się prawie dwa metry ponad ziemię i przelatywałem nad wszystkimi. Przemieszczałem się szybciej i dalej niż inni gracze, ale nie udawało mi się dotknąć piłki. Koledzy z mojej drużyny krzyczeli, żebym trzymał się murawy, żebym dorwał się do piłki.

Bardzo się starałem, ale nic z tego nie wychodziło. Co więcej, stawałem się coraz lżejszy, a zdolność przebywania w powietrzu niosła ze sobą fantastyczne uczucie. Przy każdym kroku zacząłem się unosić na wysokość już nie dwóch, lecz niemal czterech metrów. Wszystkim zapało dech z podziwu. Teraz widziałem już wierzchołki miodli i płomieni Afryki, salę gimnastyczną i stojaki do rowerów, akademik i aulę, kort tenisowy i tereny rekreacyjne.

Opadałem powoli, uderzałem o ziemię i wznosiłem się ponownie, coraz wyżej i wyżej.

Wkrótce jednak poczucie radości i swobody przerodziło się w panikę. Leciałem zbyt wysoko. Nie miałem nad tym kontroli, bałem się, że odlecę na dobre. Mecz przerwano, wszyscy zbili się w gromadę na środku boiska, patrzyli w górę, krzyczeli. Zjawili się tam również inni zawodnicy: koszykarze, skoczkowie, zapaśnicy, bokserzy, biegacze, hokeiści i gracze w krykieta w oślepiająco białych flanelach. Wszyscy spoglądali w górę, machali i krzyczeli.



Ja zaś zacząłem desperacko poruszać kończynami, usiłując jakoś powstrzymać wznoszenie. Wrzeszczałem do wszystkich zebranych na boisku, żeby mi pomogli, ściągnęli mnie na dół. Ale nic nie pomagało. Wpadłem w panikę, strach mnie obleciał. Wkrótce nie potrafiłem już rozpoznać twarzy. A potem także ucichły głosy. Grupa w dole stała się punkcikiem. College stał się punkcikiem. Całe Candigarh stało się punkcikiem. Wszystko stało się punkcikiem.

I wtedy panika minęła.

A ja wznosiłem się coraz wyżej, aż nie było niczego pode mną i niczego nade mną.

Jak tylko wróciłem w środku nocy do naszego barsati przy Green Parku, zacząłem jak głupi dobijać się do drzwi właściciela i pytać, czy ma jakieś wieści o Fizz. Nie miał.

Kiedy wyszedłem na taras, Mistrz Ullukapillu pohukiwał.

Džan bači so lakhon paje, laut ke buddhu ghar ko gaje.

Chwalmy pana, głupiec wrócił, jego żywot się nie skrócił.

Nazajutrz rano poszedłem do banku. Ani jednej transakcji.

Zadzwoniłem do jej przyjaciółek. Džai, Mini, Čai. Wszystkie były zaskoczone, uprzejme i zupełnie nieprzydatne. Utrzymywały, że nic nie wiedzą, że od lat nie utrzymuje już z nimi kontaktu. W to nie mogłem uwierzyć. Nie należała do ludzi skrytych; było to równie nieprawdopodobne jak to, że obnosiłaby się ze swoimi ranami.

Zadzwoniłem do jej domu w Džorhacie. Matka powiedziała, że Fizz przestała przyjeżdżać do nich na wakacje. A potem rozpoznała mój głos i rozpłakała się. Czekałem. Pociągała nosem, straciwszy panowanie nad sobą. Rizwan wziął od niej słuchawkę. Był zimny i melodramatyczny. Powiedział, że odkąd mnie zobaczył, uważał, że nasz związek to pomyłka.

Świat to okrutne miejsce. Traktuj wszystkich jak cykady.

Powiedziałem: To pilne. Naprawdę muszę się z nią skontaktować.

Głosem rodem z filmów, które wyświetlał w swoim kinie, powiedział w hindi: Kula raz wystrzelona nigdy nie wraca do lufy.

Błagałem: Proszę, niech mi pan pomoże.

Odparł: Nikt ci już nie pomoże, synu. Nawet bóg.

Odłożył słuchawkę.

Chciałem powiedzieć: A gdyby Baba GoleBole kopnął mnie w głowę? Czy to by pomogło? O Rizwanie, ojczyźnie córki wielkiej urody, a tysiąc kopniaków od Baby GoleBole?

Ponownie wybrałem numer.

Powiedział: Pomyłka — to zawsze była pomyłka. Od chwili gdy cię zobaczyłem, wiedziałem, że to pomyłka.

Tym razem to ja odłożyłem słuchawkę.

Zostały dwa dni do Bożego Narodzenia, o szóstej rano było jeszcze ciemno. Wyciągnąłem kozetkę na taras, wziąłem whisky, otuliłem się ciasno grubym siwym pledem, który kupiliśmy kiedyś na pchlim targu w Kasauli, i usiadłem na dworze. Kiedy mnie nie było, właściciel kazał przyciąć płomień Afryki, żeby zyskać trochę zimowego słońca. Bez zasłony z gałęzi czułem się niemal odkryty.

Hałas uliczny dochodził zewsząd. Panował także na naszej ulicy, będącej oazą spokoju, kiedy sprowadziliśmy się do Delhi dwanaście lat wcześniej, a teraz wypełnionej warkotem silników i wrzawą pokrzykiwań. Dominowały głosy mężczyzn gotowych do zabawy. Rozpoczął się okres świąteczny. Dni przyjęć, pijatyk, ulicznych szaleństw. W gazetach pełno było ogłoszeń dotyczących hucznego obchodzenia przełomu wieków. W całym mieście rozbrzmiewała muzyka — w sklepach, samochodach, domach.

Pamiętam ten czas, kiedy w ostatnie dwa tygodnie grudnia wychodziliśmy co wieczór z przyjaciółmi i wracaliśmy do domu spragnieni miłości. A potem leżeliśmy w łóżku i odtwarzaliśmy każdy rok, wspominaliśmy triumfy i nieszczęścia. 1981, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 94, 94...

Mówiła wtedy: Ten rok będzie doskonały — jedno dziecko, jedna książka, dwa razy wakacje.

Ja zaś odpowiadałem: Najpierw książka. Potem dziecko. Potem wakacje.

Powtarzasz to co roku — i nic. Załóżmy, że to ja napiszę książkę! Świetnie. Ja w takim razie zajmę się robieniem dziecka. Ale nie martw się. Nikomu nie powiem. Zgarniesz całą sławę. I o to chodzi. Właśnie tego chcę.

Ponieważ płomień Afryki został przycięty, mogłem patrzeć na mroczne cienie Deer Parku, na pojawiające się już palce mgły pieszczące drzewa. Niemal tęskniłem za głosem mądrości Mistrza Ukp, ale dla niego było za wcześnie na pohukiwanie. Ranek spędziłem na darciu i wyrzucaniu setek wydruków przyniesionych z kafejki internetowej. Wezwałem też sprzątaczkę z dołu i zapłaciłem jej, żeby posprzątała w domu i umyła podłogi. Poszukiwanie dobiegło końca, lecz najwyraźniej nie byłem tym zachwycony.

Nagle opętała mnie pewna myśl. Wszedłem do środka i zadzwoniłem do sklepu thakura. Potem odłożyłem słuchawkę, odczekałem dziesięć minut i znowu wybrałem ten sam numer. Rak-

szas był zdyszany. Znalazł ją pan? Jak wyglądała? Pamiętała cokolwiek? Co mówiła? Wspomniał pan jej o nas? Powiedziałem: Opowiem ci wszystko, jak tylko przyjadę. Ale najpierw chcę wiedzieć, czy były jakieś...

Nie, nie było żadnych. Przez chwilę wyobrażałem sobie, jak na filmach, że wszystko jakoś się układa. Musiałem siedzieć na tarasie kilka godzin, nieobecny myślami, bo w końcu Mistrz Ukp zaczął pohukiwania.

Głupcze, ona nie wraca do domu na wakacje.

W jednej chwili wiedziałem już, gdzie jest.

W pośpiechu włożyłem wojskową parkę, wsunąłem szczoteczkę do zębów do wewnętrznej kieszeni, pogasiłem światła i zamknąłem za sobą drzwi, a wszystko to w niespełna kwadrans. Kiedy wstawiałem gipsy na parking przy dworcu autobusowym, było po dwudziestej drugiej. Dworzec znacznie zmodernizowano, odkąd widziałem go ostatni raz, ale przystanek do Chandigarhu znajdował się dokładnie w tym samym miejscu co osiemnaście lat wcześniej. Gdy tam dotarłem, odjeżdżał właśnie autobus Haryana Roadways. Zająłem miejsce w przedostatnim rzędzie, oparłem kolana o drewno i żelazo siedzenia przede mną i poddałem się nastrojowi podróży.

Po kilku minutach nogi mi zdrętwiały, a kwaśny odór autobusu wypełnił nozdrza. Telepały się szyby we wszystkich oknach, wiele z nich się nie zamykało, do środka wpadały zimne podmuchy wiatru, zmuszając pasażerów do zakrywania twarzy. Większość miała koce i szale, ja miałem parkę. Byliśmy jak banda sa-botazystów na misji. Piętnaście lat wcześniej, gdy szalał terroryzm sikhów, taki autobus cuchnąłby strachem. Teraz wszyscy chrapali, porozkładani na miejscach niczym szmaciane lalki.

Po północy kierowca zjechał na posiłek do dhaby w okolicy Murthalu. Kiedy stojąc w wodzie, obsikałem blade eukaliptusy, kiedy zjadłem dalroti z blaszanego talerza, kiedy pompowałem jedną ręką zimną wodę na swoją ponurą twarz, kiedy szedłem drogą tuż poza plamami światła z dhaby — znowu byłem dwudziestoletnim mężczyzną z nieogarnionym bólem serca.

Dojechawszy do Chandigarhu, umyłem bez pasty zęby, zjadłem bułkę maślaną, popiłem ją kilkoma kubkami parującej herbaty i przeszedłem się tu i tam, żeby krew zaczęła lepiej krążyć. A potem przesiadkowy autobus Himachal Roadways był już gotów do drogi. O dziewiątej, jęcząc w ostatnim wysiłku, pokonał końcowe wzniesienie i zaparkował przy kompleksie handlowym. Było zimno, przenikliwie zimno. Słońce nie przebiło się jeszcze przez poranny chłód, a zwykle zatłoczone centrum handlowe i parking

były dosłownie puste. Trochę dalej wybrukowany teren bazaru wyglądał, jakby powoli szykował się do otwarcia podwojów. Kiedy byłem z nią zimą w Kasauli, przez cztery dni ani razu nie wstaliśmy z łóżka przed południem.

Spacer do szkoły nie trwał nawet dziesięciu minut. Wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką człapałem w stronę klasztoru, moje samopoczucie bardzo się pogorszyło. Z boisk nie dochodził żaden dźwięk, w kolumnowych korytarzach nie rozlegały się żadne kroki, w klasach o kamiennych ścianach nie mamrotało żadne dziecko. Szkoły bez uczniów nie mają też nauczycieli.

Miła zakonnica w brązowym habicie z czarnym welonem ze zgrzebnego płótna powiedziała mi, że Fiza wyjechała, podobnie jak wszyscy inni, kiedy szkołę zamknięto w pierwszym tygodniu grudnia. Nie, nie wie, dokąd mogła pojechać. Tak, wróci tu razem z innymi w ostatnim tygodniu stycznia. A ja byłem jej...

A ja byłem jej aniołem zemsty z piekła rodem...

Wspaniały pisarz Ćinćpokli. Uganiający się za marzeniami. Spółkujący z fantomami. Nowy tropiciel ścieżki pomiędzy rozsądkiem a brakiem rozsądku. Z krainy rzeczy pierwszych.

Napisałem notkę, włożyłem ją do pożyczonej od zakonnicy koperty i zakleiłem.

Siostra Graca, o jasnej skórze i łagodnych oczach, dostarczy jej uprzejmie moje nadzieje i niech wasz Pan przybity do krzyża zachowają dla mnie w zdrowiu.

Późnym popołudniem byłem już z powrotem w Ćandigarhu. Zepsuty ząb trzonowy — otwarty szeroko niczym krater — zaczął mnie tak boleć, że ledwie mogłem unieść powieki czy mówić. Przyjmujący naprzeciwko przystanku autobusowego dentysta włożył mi jakiś środek znieczulający i zrobił wypełnienie z fletcheru. Musiałem siedzieć w jego poczekalni pół godziny, zanim pulsowanie ustało. Połknąłem potem combiflam i pojechałem rykszą do starego szarego domu w Sektorze Trzydziestym Piątym. Odniosłem wrażenie, że miasto straszliwie się skurczyło od czasu, gdy kochaliśmy się tutaj dwadzieścia lat wcześniej. Odległości, które pokonywaliśmy wtedy bez końca, teraz wydały mi się całkiem krótkie. Rzędy drzew zostały cofnięte w tło przez narastający ruch uliczny. Jezdnię zapełniały pojawiające się falami samochody i motocykle.

Pamiętałem te ulice jako ciche miejsca, gdzie można było rozmawiać. Teraz panował tu niekończący się zgiełk silników i klaksonów. Pomyślałem: już nie da się tu spacerować ani znaleźć miłości.

Skrót do jej domu — przez puste działki — którym co tydzień

sześliśmy, gadając, z Milerem, przestał istnieć. Cały kwartał został zabudowany od końca do końca. Niemniej dom się nie zmienił. Ta sama brama z tabliczką, niskie szare ściany i kuflik pochylający gałęzie, surowo ukarany. Maleńki ogródek — gdzie czasem siadywaliśmy — był ładnie utrzymany, trawa świeżo skoszona, a krzewy hibiskusa w dalekim rogu ładnie przyszczyżone. Nie miałem roweru, który mógłbym oprzeć o ścianę, a intuicja podpowiadała mi, żeby nie odprawiać rykszy.

Młoda kobieta otworzyła drewniane drzwi, ale te drugie, z siatką przeciw owadom, pozostały zamknięte. To nie był już rok 1979. Był 1999 i władał nami strach. Indie wypuściły na wolność wszystkie demony — a niemało ich zwabili niegdyś podstępnie do butelek i zamknęli wielcy fakirzy — i teraz szalały one wokół i straszły nas bezmyślnie. Rządy obłędu stały się naszym przeznaczeniem, a my staczaliśmy się ku nim, mając jako punkt zaczepienia jedynie drzwi z siatki przeciw owadom.

Wyjaśnienie jej, kim jestem, zajęło mi kilka minut. Ciotka nie żyła. Była jej cioteczną wnuczką. Słyszała o mnie. Z pewnością chętnie obejrzałaby mój dowód osobisty, ale, jak przypuszczam, nie wypadało o to prosić nawet najbardziej pokreconych krewnych, którzy uganiają się za zmarłymi w środku nocy w wysokich górach.

W pokoju nie było już grundiga, wielka czerwona lodówka pożarła małą białą, meblowanie stanowiły teraz obite pluszem sofy i stoliki ze szklanymi blatami, a zamiast górskiego pejzażu wisiały powiększone zdjęcia zaślinionego niemowlaka.

Stojąc niepewnie przy stole, zaproponowała mi herbatę, ale ja chciałem iść do łazienki. Do tej z podwójnymi drzwiami. Okazało się, że nie była już białym schronieniem, z którego tak często korzystaliśmy. Kafelki, sedes, umywalka, wszystko zostało wymienione, wszystko w różnych odcieniach zieleni. Lustro nad umywalką stało się sześć razy większe.

Spojrzałem w nie i w swoim odbiciu nie mogłem dopatrzeć się chłopaka, którym kiedyś byłem.

Postarzałem się.

Bujna broda miała plamy siwizny, a we włosach były białe pasma. W wielkiej wojskowej parce wyglądałem jak zmęczony żołnierz wracający po bitwie do domu. Spojrzałem we własne oczy i rozpłakałem się.

Nie robiłem tego od dzieciństwa. I płakałem, płakałem, płakałem, aż nic już we mnie nie zostało.

Ani miłość, ani tęsknota, ani wspomnienia, ani pożądanie.

Delhi, Hapur, Garhmukteswar, Gadzraula, Moradabad, Rampur, Bilaspur, Rudrapur, Haldwani, Kathgodam, Dzeolikot, Ge-thia. Magiczna mantra naszego życia. Jechałem powoli, w oszołomieniu, i cieszyłem się z powrotu w góry. Chociaż drogę do Najnitalu zatykał wakacyjny ruch, w chwili gdy gypsy zaczęły się wspinać, poczułem, jak ogarnia mnie fala spokoju. Kiedy minąłem rozwidlenie na Jedynce, nabrałem nagle przekonania, że zastanę ją tam, na górze, czekającą na mnie. Przepełniony szalonym szczęściem przemknąłem po starym moście nad Birbhatti, obok żelaznych wymion betonowej krowy przed aśramą, obok rzędu starzejących się dębów u podnóża sanatorium, pokonałem zakręt i byłem w domu.

Czy ona tu jest?, zapytałem Prakaśa zamykającego za mną bramę.

Kto?, spytał.

Za nim stał Rakszas, strażnik mrocznych tajemnic.

Nie było mnie przez zaledwie kilka miesięcy, ale miałem wrażenie, jakbym wracał po bardzo długim czasie. Sadzonki Fizz wydawały się większe, dom jeszcze bardziej popadł w ruinę, malejące sterty piachu i żwiru znikły zupełnie. Dałem Rakszasowi niebieską zamszową kurtkę, którą dla niego przywiozłem, i powiedziałem, że to prezent od jego przyrodniej siostry.

Zapytał: Czy jest tak samo ładna jak jej rodzice?

Odparłem: Tak, jest ładna.

Siedziałem na tarasie jeszcze długo po północy, piłem whisky i patrzyłem na drogę. Noc była pogodna, wyraźnie widziałem światła w całej dolinie. Na niebie błyszczowało więcej gwiazd niż kiedykolwiek.

Potrafi je pan policzyć?

Tak, trzy miliony dwieście siedemdziesiąt tysięcy siedemset trzydzieści trzy.

Bingo! Ona należy do pana. Z dostawą do domu, ani trochę nieodmieniona.

Bawiłem się w grę polegającą na zgadywaniu, w którym pojeździe, jadącym ku nam z Dzeolikotu, mogła się znajdować. Czy jest w tym? A może w tamtym? Ryk silników narastał pode mną, a potem milkł za występem, by za kilka minut rozlec się znowu od strony padao. Ząb zaczął pulsować, a ja postanowiłem uśmierzyć ból whisky.

Lelek rozgadał się tej nocy swoim alfabetem Morse'a. W miarę upływu godzin i ubywania whisky w butelce jego terkot stawał się coraz głośniejszy, rozbrzmiewał niczym uderzenia bębna wszechświata.

Tok. Tok. Tok.

Wkrótce to dudnienie rozwalalo mi mózg; miałem ochotę zeskoczyć pod taras, sięgnąć pod lantany i skręcić lelkowi jego tok-toktokujący kark.

Prakaś obudził mnie późnym rankiem, przynosząc jajka i herbatę. Miałem lekkiego kaca po whisky i nie pamiętałem, kiedy wróciłem do środka. Związałem włosy gumką i wyszedłem na dwór. Słońce oślepiało. W odruchu wymiotnym musiałem cofnąć się do sieni. Niebo było bladoniebieskie i czyste.

Ząb nadal pulsował.

Po gorącej kąpieli poszedłem na niższy taras i usiadłem na kamiennej ławce pod Triśulem. W cieniu panował chłód. Baghira przykucnął tuż za linią cienia, chłonąc sobą słońce. Zauważyłem, że wspaniały strażnik Siwy — sadzonka od Carpet Sahiba — także się postarzał. Kilka gałęzi od strony nawietrznej złamało się i odpadło, inne wyglądały na kruche, a kora nabierała niezdrowej bladości wyniszczenia. Z dołu dom także wyglądał na stary: jego bezszybe okna stały się ślepymi oczami zniedołęźniałego człowieka, a wyblakły czerwony dach tandetnym spiczastym kapeluszem wiedźmy.

Zastrzykmichael nadszedł od dolnej bramy, niosąc niewielkie różowe plastikowe pudełko. Był przystojnym mężczyzną ze starannie ostrzyżonymi włosami i podciętymi wąsami, o sprężystym kroku oficera i ciepłym uśmiechu wieśniaka. Widać było, że pacjenci są mu wdzięczni. Nasienie BannoMary-RamAsrePetera wydało piękny kwiat. Przyniósł mi bożonarodzeniowe rumowe ciasto.

Zapytał: Jak się pan miewa? Jeśli wolno, nie wygląda pan najlepiej.

Odparłem: Dobrze się czuję, Michaelu. Po prostu za często siedzę do późnej nocy. A co u Stephena?

Powiedział: Dochodzi do siebie po Bożym Narodzeniu, proszę pana. Jak pan wie, mój ojciec zawsze dochodzi do siebie po Bożym Narodzeniu.

Wziął mnie za przegub i zaczął mierzyć puls. A potem przyłożył wewnętrzną stronę dłoni do mojej szyi.

Powiedziałem: Boli mnie ząb, Michaelu.

Nie najlepiej z panem. Potrzebny panu zastrzyk.

Michaelu, czy masz taki na straszliwą udrękę? Przykro mi, proszę pana.

Po prostu zrób zastrzyk, Michaelu. Ale potem musisz mnie zaprowadzić na grób madam.

\*

Nie udało mi się odnaleźć go między sosnami i dębami na bocznej grani, bo był zakryty walącą się szopą za domem, tuż obok dołu z butelkami, który Taphen nieustannie zapełniał. Kiedy Zastryk Michael pchnął przegniłe drzwi, w środku coś zaczęło czmyhać w popłochu. Jedyne światło wpadało tam przez dziury w pokrytym blachą dachu. Nie było okna. Unieśliśmy wypaczone drzwi i otworzyliśmy je na całą szerokość, wpuszczając do środka snop słonecznego światła. Odsunęliśmy na boki porąbane polana i szczapy do palenia w kuchni, aż została jedynie płaska marmurowa płyta. Michael powiedział, że jego ojciec rozebrał resztę grobowca i sprzedał kamień. Wyszedłem na zewnątrz. Kilkakrotnie napełniałem wodą starą puszkę i wylewałem ją na płytę, aż zmyłem kurz i brud.

Grubymi gotyckimi literami z licznymi zawijasami wyryto:

Czy ktoś może zatrzymać istotę ognia? Czy ktoś poznał kiedyś alchemię pożądaną?

Poniżej napisano:

Catherine z Gethii, żona Syeda, córka Johna. Zmarła 1942.

Jego kwiat miał kształt dzwonu, cudownie fioletowego lub białego dzwonu, i jak wszystkie zielone rośliny był podobny do człowieka: błogosławiony wieloma nastrojami, zdolny w równym stopniu do czynienia dobra i zła.

Ofiarowuje coś liśćmi i ofiarowuje coś nasionami.

Można go palić w ćilam, można nim doprawiać potrawy, można go zmieszać z herbatą.

Kiedy się uśmiecha do ludzi, leczy wrzody na skórze, na-



brzmiały hemoroidy, ataki reumatyzmu, napady astmy, brzydkie siniaki i rany, znieczula ból przy zrastaniu się złamanych kości.

Kiedy się boczy na ludzi, przyśpiesza ich puls, parzy gardło, rozszerza źrenice, skręca mięśnie, czerwieni twarz, rozpuszcza im żołądek, wtrąca w depresję i neurozy. Sprawia, że stają się „wyschnięci jak kość, czerwoni jak burak, obłąkani jak zmokła kura i niezaspokojeni jak królik”.

Kiedy bawi się ludźmi, sprowadza na nich halucynacje i sny, każe im zapominać i przebaczać, kołysać się i uśmiechać, wprawia ich w trans i obdarowuje zdolnością prorokowania, daje podniecenie i zmusza do spółkowania.

Używają go rabusie.

Używają go mordercy.

Używają go lekarze.

Używają go wiedźmy.

Używają go kochankowie.

Jego odurzający dym był natchnieniem wyroczni delfickiej.

Awicenna poświadczył jego Janusowe oblicze w XI wieku.

Był czczony w Chinach jako ulubiona roślina Buddy.

W Indiach Wschodnich przyśpieszał wzwody.

W Indiach był znany jeszcze w czasach przedhistorycznych.

Jest wszystkim dla wszystkich ludzi i rośnie przez cały rok.

Swobodnie porasta pobocza dróg, można go mieć za darmo.

Pochodzi z rodziny śmiertelnośnego psiankowatego klanu *Solanaceae*.

Jest spokrewniony ze skopolaminą.

Niektórzy nazywają go bielunem dziedzierzawą. Niektórzy nazywają go kolczastym jabłkiem. Niektórzy nazywają go trąbką diabła. Niektórzy nazywają go jabłkiem szaleństwa.

Ale w Indiach, w górach, wszyscy nazywają go daturą.

Rośnie na poboczach. Swobodnie.

Żeby go mieć za darmo.

\*

Przez następne kilka dni pulsowanie w zębie przeszło w młot pneumatyczny. Pochłaniałem garściami combiflam i piłem szklanki ciemnej whisky, ale nie mogłem go zagłuszyć. Nocami przesiadywałem na tarasie, aż alkohol odbierał mi przytomność, cały ból, myśli, wszystko. Każdej nocy liczyłem gwiazdy, dokładnie co do jednej, ale ona nie przychodziła.

Rakszas czuwał w pobliżu i wnosił mnie do domu przed świtem, bezwładnie opartego o jego ramię.

Cudownym zrządzeniem losu nie nawiedzały mnie już koszmary. Nikt nie przychodził mnie uwodzić, żądać czegoś, grozić mi. Każdego ranka budziłem się słaby od whisky i bólu zęba. Pra-kaś przynosił mi jajka i herbatę.

Czwartego dnia nie mogłem już znieść bólu. Wziąłem Rakszasa do gipsy i pojechałem do Haldwani, powoli wchodząc w zakręty, ogłupiały pulsowaniem. W Haldwani panował chaos, ludzie wylegli na ulice, jechali i szli we wszystkich kierunkach. Żebyśmy mogli jakoś przejechać, Rakszas musiał wychylać się przez okno i bezustannie wykrzykiwać przekleństwa. Na parterze nowego, ale już sypiącego się kompleksu handlowego, pośrodku ogromnego pustego pokoju, stał zardzewiały fotel dentystyczny. Dentyście w gumowych klapkach i luźnych spodniach tylko moment zajęło zagłębienie harpuna i wyciągnięcie fleczeru z trzonowego zęba. Niemal w tej samej chwili ogarnęła mnie ulga. Powiedział, że wskutek zamknięcia ujścia powietrza wytworzyło się ciśnienie, które drażniło nerw. Przemysł krater środkiem dezynfekującym i włożył mi tam małą kulkę z waty.

Powiedział: Czasami trzeba zostawić ranę bez opatrunku.

W drodze powrotnej cały czas mijaliśmy samochody mknące do Najnitalu, rozbrzmiewające radosną muzyką. Tu i ówdzie stały zaparkowane na poboczu, a młodzi mężczyźni — a czasem też kobiety — pili piwo z butelek, twarze mieli ożywione podnieceniem i szczęściem, głośno rozmawiali.

Powietrze było zimne, szczypiące.

W połowie trasy zobaczyłem wielką skalę Fizz z figowcem, którego korzenie oplatały kamień wokół niczym palce gracza obejmujące kulę do kręgli.

Miłość przenosi góry. Czy mogę przenieść tę dla ciebie?

Zabrać ją do naszego ogrodu, pani. Ustawić ją tam niczym pomnik.

Zanim dotarliśmy do domu, ból minął zupełnie. Ale gdy zapadała noc, nie do końca byłem z tego zadowolony. Powinienem bowiem myśleć teraz o innych rzeczach, a nie miałem o czym.

Wcześniej poszedłem na taras i zacząłem pić. Zapadał zmierzch, wstęgi dróg pomrukiwały. Odgłosy silników, narastające i cichnące, wypełniały dolinę. Kiedy tak siedziałem, dzień się skończył i zaczęły pojawiać się światła w Dzeolikocie pode mną i w Najnitalu nad moją głową. Zbocza gór chlubiły się swym stopniem zasiedlenia. Niebo było czyste i pełne gwiazd, a ja znałem ich liczbę.

Za jakiś czas lelek zacznie się ze mną kłócić, a ja będę się zastanawiał, co mnie powstrzymuje przed zejściem na dół i zaciśnięciem mu palców na gardle.

Z nieznanymi powodami myślałem o matce jako dziewczynce ze szkolnej fotografii, z powiewającymi warkoczami, błyszczącymi bransoletkami, i przepełnił mnie żal. Kiedy się nad tym zastanawiałem, dziewczynka ze zdjęcia stała się Fizz.

Napiłem się i ponownie policzyłem gwiazdy.

Rzeczy pierwsze.

Przed miłością, przed pożądaniem, przed Fizz.

O dwudziestej pierwszej Prakaś przyszedł zabrać Baghire i spytać o obiad. Piłem już od ponad czterech godzin. Powiedziałem, żeby przygotował trzy roti i zostawił je w piecu. W tej samej chwili lelek rozpoczął terkotanie. Tok.

Godzinę później Rakszas wszedł na górę po tylnych schodach — tych samych, po których jego ojciec wspinał się każdej nocy siedemdziesiąt lat wcześniej, by przez mamroczącą blachę przejść do czekającej kochanki — i powiedział: Właśnie był telefon do sklepu thakura. Powiedziała, że jest zdrowa i będzie tu za kilka dni.

Następnego ranka obudziłem się wcześniej, zanim wzeszło słońce, i czułem się lekki jak piórko.

Dolina rozciągała się u moich stóp, pomalowana rosą i pogrążona w zupełnej ciszy.

Kilka siwych smug dymu zaczynało piąć się ku niebu.

Był ostatni dzień tysiąclecia, trzydziesty pierwszy grudnia 1999 roku.

Przepowiadana przez Emily apokalipsa nie nadeszła. Będziemy musieli poszukać łagodniejszego rozwiązania.

Z drewnianej szafy wyjąłem maszynę do pisania, zdjąłem z niej czarną pokrywę i przetarłem czerwony korpus. Zniosłem ją do niewykończonego gabinetu i postawiłem na parapecie ze złocistego kamienia z Dżajsalmeru. Kiedy przed nią usiadłem, unoszące się w powietrzu klawisze zaczęły się wyciągać ku moim palcom.

Wiedziałem teraz, że nie ma czegoś takiego jak księgowczarna dziura.

Wszystko, co zostało napisane, naprawdę żyje wiecznie. Każde prawdziwe słowo. Każda prawdziwa historia.

Trzeba po prostu znaleźć własne słowa. Trzeba znaleźć własną historię.

Nie historię pandita, nie historię Pratapa, nie historię Abhaja. Nie historię młodego sikha i jego ukochanego konia. Własną historię.

I trzeba ją przeżyć. A kiedy się przeżyje, trzeba ją opisać.

Ani lepiej, ani gorzej, niż to się potrafi.

Gdy klawisze wyciągały się ku moim drżącym palcom, coś się we mnie poruszyło. Po bardzo długim czasie poczułem, że pożądanie wypełnia mój korzeń i każe mu rosnąć.

Bulbule o białych policzkach zaczęły krzątaninę na dębach.

Pierwszy tego dnia orzeł wyruszył w przestrzeń ponad doliną, unosząc się jedynie dzięki wierze w siebie.

Wsunąłem kartkę papieru pod gładki wałek maszyny, położyłem drżące palce na lśniących czarnych klawiszach i zacząłem uderzać. Kliknięcia rozbrzmiewały niczym strzały z karabinu.

Seks nie jest najwspanialszym spoiwem łączącym dwoje ludzi. Miłość...

## PODZIĘKOWANIA

Kiedy pisałem tę książkę, musiałem jednocześnie stawić czoło zaciekłym i bezlitosnym atakom ze strony rządu, którego korupcję demaskowała redakcja mojego pisma „Tehelka”. Te lata pomogła mi przetrwać mała armia: przyjaciele i rodzina, a także zupełnie obcy ludzie, wśród nich legion prawników. Żadna z tych osób nie przyczyniła się bezpośrednio do powstania powieści, ale każda na swój sposób sprawiała, że w ogóle mogłem dalej pisać.

Neena i Minty, bardziej niż ktokolwiek, to przypomnienie spraw najważniejszych.

Tiya i Cara, ponad innymi, to obietnica wszystkiego.

Bliscy, którzy wspierali mnie otuchą, pieniędzmi, śmiechem: Sanjoy i Puneeta, Shoma i Aditya, Nicku i Mike, Amit i Peali; Manika, Gayatri i Yamini; Satya Sheel, Rajdeep i Sagarika, Shobha i Govind, Patrick i Abe, Bilu i Roma, Rajeev, Smita, Bindu, Gee-na, Rahul, Annu, Padma, Farrukh, Charu, Sunil Khilnani, Renu, Pavan, Aniruddha, Philip George, Kabir Chawla, Mala i Tejbir, Bani i Niki, Amrit, Ashok, Bina, Shankar i Devina; Karan i Kabir; Gunjun, Chottu, Deepak; Adarsh i Krishan.

Vidia i Nadira, wielka inspiracja i jeszcze większa otucha.

Publiczni wojownicy, którzy odważnie głoszą swoje przekonania: Ram Jethmalani, Kapil Sibal, Prashant i Shanti Bhushan, Arundhati Roy i Pradip Krishen, Mahesh Bhatt, Alyque Padamsee, Tony i Rani Jethmalani, Vikram Lal, Anu Aga, Vir Sanghvi, Shobhaa De, Manish Tewari, Meet Malhotra, Uma Shankar, Kavin Gulati, Siddhartha Luthra, Rajeev Dhawan, K.T.S. Tulsi, Madhu Kishwar; Rajiv, Ranjan, Porus i Prabha z Erewhonu; Mark Tully, Kuldip Nayar, Madanjeet Singh, Shireen Paul, Niranjana Tolia, H.S. Veda, Shahnaz i Carl Pope, Dushyant Dave, Malvika Sanghvi, Dilip Cherian, Seema Mustafa, Nari Hira, Swami Agnivesh.

Tysiące Indusów, wybitnych i zwyczajnych, którzy odważyli się wykupić subskrypcję na gazetę-mrzonkę, stanowiącą bez-

precedensowy w świecie mediów akt zbiorowego idealizmu, oraz Raj-Priyanka i Taizoon-Fatima, którzy przejęli pałeczkę.

Moi znakomici koledzy, którzy mimo wszelkich przeciwności wypuścili na rynek tygodnik „Teheka”, wciąż napawający nas dumą: Sankarshan, Shoma, Shammy, Amit, Shobhan i wszyscy pozostali, a wśród nich Rajnish, Neena i chłopaki od finansów. A także Brij, Prawal, Arnab, Kumar, Shashi, Mathew i Anand, których nie zniechęciły rany wyniesione z naszych pierwszych bitew.

I wreszcie dziękuję wydawcom: Nandicie i Andrew za błyskotliwe redaktorskie oko; Gillonowi i Ashokowi za czujny instynkt kierowniczy; Liz i Vatsali za stanowczą korektę; Winnie za dach, pod którym mogliśmy się spotykać i pracować.

## SŁOWNICZEK

aćar — pikle (na przykład z mango) zalewane mocno przyprawionym olejem

agarbatti — kadzidełko

ahimsa — niestosowanie przemocy

andolan — ruch (np. społeczny lub polityczny)

Angrez — Anglik, Angielka, angielski

are — hej!, słuchaj!

aśram(a) — pustelnia

baba — ojciec; obecnie określenie popularnych „gum” hinduizmu bahadur — dzielny człowiek

barii — rodzaj słodyczy z mleka i cukru, najczęściej obtaczanych w kardamonie lub orzechach

barsati — dosł. „płaszcz przeciwdeszczowy”; oznacza mieszkanie na ostatnim piętrze „zbierające deszcz”

begam — pani, królowa, zwrot grzecznościowy używany w stosunku do muzułmanek

bhabbar — *Eulaliopsis binata*, trawa, której łodygi sięgają 90 cm, a liście mają długość do 60 cm

bhindi-tori... — okra — gorczyca, okra — gorczyca, bierzcie okrę, bierzcie gorczycę, gorczycę bierzcie, okrę bierzcie, bierzcie okrę, bierzcie gorczycę, gorczyca — okra, okra — gorczyca, trochę okry, trochę gorczycy, gorczyca — okra, okra — gorczyca

bibi — pani, żona, dama, zwrot grzecznościowy używany w stosunku do kobiet muzułmańskich

bibidzi — bibi z końcówką dži, wyrażającą szacunek, dodawaną do nazwisk, tytułów lub terminów pokrewieństwa

biću — pierścionek noszony na palcach nóg

bidi (biri) — tanie papierosy z nieobrobionego tytoniu, owinięte w liście, cygaretki

boxwallah — połączenie angielskiego słowa *box* i hindi *wala*, które początkowo oznaczało komiwojażera sprzedającego z pudła szale i biżuterię; w XIX w. określano nim zagranicznych kupców (najczęściej Brytyjczyków) mających ogromne wpływy i władzę

brahmastra — magiczna broń, która trafia w wyznaczony cel, nie krzywdząc przy tym niewinnych

Buland Darwaza — dosł. „wysoka brama”; brama w Tadź Mahal, jedna z najwyższych na świecie

bulbul — ptak z rodziny *Pycnononitidae*, wyróżniający się pięknym śpiewem, uważany za słowika

burka — zasłona na twarz

catamite — kochanek, utrzymanek homoseksualisty

ćai — herbata

ćapati — podplomyki, cienkie placki z mąki razowej

ćappale — proste sandały, trepy, klapki

ćat masala — mieszanka przypraw, z przewagą kolendry

ćauk — targowisko w mieście pod gołym niebem, często na skrzyżowaniu

dróg

ćauki — posterunek policji

ćilam — rodzaj fajki, niegdyś kamiennej lub z wypalanej gliny, dziś często robionej z ceramiki, z pumeksem jako filtrem

ćinćopkli — tu: prowincjusz ćuda — jedno z plemion Sammasów

ćulha — palenisko, piec

ćurail — wiedźma; duch zmarłej przy porodzie, prześladowa ciężarne kobiety i nowo narodzone dzieci

ćuridar kurta — tradycyjna hinduska męska luźna koszula ze stójką ćutija — idiota

dak bungalow — chata dla podróżnych, najczęściej na dawnej trasie pocztowej; dak to oryginalnie usługa pocztowa na subkontynencie indyjskim, wykorzystująca sztafety posłańców, którzy w takich chatkach odpoczywali

dakoita — członek gangu lub grupy złodziejskiej w Indiach i Birmie; rabuś, bandyta

dal — rodzaj jednogarnkowej potrawy, gęstego sosu, robionego najczęściej z soczewicy

dalit — członek najniższej kasty społecznej, tzw. niedotykalny

dalroti — posiłek składający się z soczewicy i placków

darbar — ceremonialne przyjęcie przez władcę, audiencja

datura — *Datura stramonium*, bieluć dziedzierzawa dewata — bóstwo

Dewi — bogini mająca wiele imion odnoszących się do różnorodnych aspektów i funkcji

dhaba — popularna przydrożna jadłodajnia, restauracja lub bar dharm — sprawiedliwość, moralność, zacność; jedno z ważniejszych pojęć w kulturze indyjskiej, prawo moralne normujące właściwe postępowanie i sposób wywiązywania się z obowiązku wobec siebie i innych dhobi — pracz

dhoti — dolna część ubrania męskiego; prostokątny kawałek materiału owinięty wokół bioder, a następnie przeciągnięty pomiędzy nogami

didi — dosł. „starsza siostra”; forma zwracania się do starszych dziewcząt i młodych kobiet

dilliwalla — delhijczyk, mieszkaniec Delhi

480



dosa — cienki naleśnik, placek  
dźalebi — precelki w kształcie spirali, smażone na tłuszczu i nasączone syropem z cukru  
dżat — jedna z trzech grup sikhów, wyodrębnionych na podstawie różnic etnicznych; oznacza plemiona rolnicze  
ekdam mitha — słodziutki ekdam saf — czyściusieńki  
fudhiondajo — matkojebcy  
Gajatri — hymn do boga Sawitara, uznawany za najważniejszą i najświętszą mantrę Wed gali — alejka, zaułek  
gand phati toh har... — gdy ci dupa drży, wtedy każdy powie ci: hadźmola, hadźmola!  
gandu — dupek gawdal — dół  
ghat — schody prowadzące do rzeki, także miejsce na brzegu, gdzie hindusi kremują zwłoki  
ghi — topione, klarowane masło  
gobhi — kalafior (smażony w cieście)  
golgappa (panipuri) — smażone ciasto z nadzieniem z ziemniaków, ciecierzycy, cebuli, podawane z ćatni, gęstym pikantnym sosem z przyprawami  
gorał — *Nemorhaedus gorał*, gatunek antylopy górskiej  
gul mohr (gul mohar) — *Poinciana regia*, pięknie kwitnące drzewo tropikalne pochodzące z Madagaskaru  
gur — nierafinowany brązowy cukier, otrzymywany przez odparowywanie soku trzciny cukrowej  
Gurdwara — świątynia sikhów  
Guru Granth Sahib — inaczej Adi Granth, święte teksty sikhizmu  
gymkhana club — elitarny klub sportowy  
hadźmola — ziołowy cukierek poprawiający trawienie  
Har Gowinda Har Gopal! — fragment pieśni religijnej, w której intonuje się imiona boga, tutaj Kryszny  
harsingar — *Nyctanthes Arbor-Tristi*, popularny w Indiach krzew pięknie pachnący w nocy  
hartal — wstrzymanie się od pracy i jakiegokolwiek działalności jako forma protestu  
haweli — prywatna rezydencja, dawniej: miejsce zamknięte w rezydencji  
ibnfatuta — kurewska choroba  
itar — olejek zapachowy  
joni — żeński organ płciowy

kadam (kadamba) \_ *Anthocaphalus cadamba*, *Nauclea cadamba*, drzewo o pomarańczowych pachnących kwiatach

kamiz — rodzaj tuniki, długiej koszuli; zob. salwar-kamiz

karahi — wklęsłe naczynie podobne do chińskiego woka

karman — dosł. „dzieło”, „czyn”; w religii i filozofii hinduizmu suma uczynków popełnionych w poprzednim życiu, od której zależy charakter następnego wcielenia

khadi — ubranie ze zgrzebnego, samodziałowego bawełnianego płótna

khas-khuśbu — szczególnie, charakterystyczny zapach

kirpan — ceremonialny sztylet noszony przez sikhów

kotwal — nadinspektor policji, prefekt

kszatrija — rycerz, wojownik, członek drugiego co do znaczenia stanu w Indiach; jego powinnością była walka podczas wojny i sprawowanie rządów w okresach pokoju

kułca — przekąska w formie niewielkiego chlebka faszerowanego warzywami lub mięsem

kurta — strój indyjski w postaci sięgającej poniżej kolan luźnej koszuli ze stójką

laddu — słodczyce w kształcie kulek lakh — sto tysięcy

lathi — bambusowa pałka, kij z żelaznym okuciem

lungi — rodzaj sarongu, kawałek materiału okręcany wokół bioder, noszony przez mężczyzn

maderód — matkojebca madźhbi — jedna z kast sikhów

maharani — żona maharadży, księżna

mandi — targ dla hurtowników marasi — jedna z kast

masi — ciotka; forma zwracania się do starszych kobiet

masur dal — czerwona soczewica z curry

mathi — niewielkie okrągłe słone ciastka, twarde i kruche, smażone na oleju

maulawi — znawca prawa muzułmańskiego

memsahib — biała kobieta

mijan — tytuł szlachecki z Pendżabu, używany najczęściej przez władców i przywódców z plemienia Gurdźarów

mithai — słodczyce

moksza — najwyższy cel życia człowieka, wyzwolenie się od wszelkich więzów łączących ze światem, rozwiązanie wszystkich problemów

nali — dosł. „mały kanał”, rynsztok; tu: rodzaj miary powierzchni, ok. 220 m<sup>2</sup>

nan — indyjski chleb wypiekany na drożdżach

nawab — lokalny władca z czasów imperium mogołskiego; osoba o wysokim statusie społecznym, bogacz

nim datun — gałązka miodli indyjskiej, używana do czyszczenia zębów

OM — właściwie sylaba a-u-m, święta sylaba hinduizmu, jej trzy głoski symbolizują trzy Wedy, trzy światy i w zasadzie każdą troistość

pajal — bransoletka noszona na kostce nogi pajsja — jedna setna rupii  
pakora — kawałki warzyw lub mięsa maczane w rzadkim, ostro przyprawionym cieście i smażone w głębokim tłuszczu  
pandit — mędrzec, uczonego indyjskiego w tradycyjnym stylu, nauczyciel  
pappu-tappu — tłuszczoszek, grubasek  
paratha — rodzaj placków  
parda — zasłona, przegroda, kotara; w przenośni: odosobnienie i izolacja kobiet, chronienie ich przed zetknięciem z mężczyznami  
pir — święty muzułmański  
plumeria — *Plumeria rubra*, drzewo o pięknie pachnących kwiatach i dużych podłużnych liściach  
prema — czysta i szczerza miłość do wszystkich istot  
pudża — obrzęd religijny hindusów, odprowadzany przy wielu różnych okazjach, polegający na adoracji wyobrażenia boga  
Radżput — mieszkaniec Radżastanu, nazwa wielu rodów i kast w północnych Indiach  
ramdhun — rodzaj pieśni religijnej  
rasgulla — kulki z sera gotowane w syropie, rodzaj słodczy  
roti — płaski, okrągły placek, pieczony na płycie kuchennej, podpłomyk  
sadhu — hinduski asceta, świątobliwy mąż  
sahib — tytuł używany w Indiach w stosunku do Europejczyków, biała mężczyzna; obecnie mężczyzna postawiony wyżej w hierarchii społecznej  
salwar — szarawary, luźne spodnie  
salwar-kamiz — tradycyjny strój kobiet w północno-wschodnich Indiach, składający się z salwar (luźnych spodni, szarawarów) i kamiz (długiej do kolan tuniki)  
sambar — danie z soczewicy  
samosa — smażone pierożki nadziewane warzywami  
sant — żarliwy wyznawca, święty, mędrzec  
sardar — wysoki dowódca, wysokiej rangi przywódca, naczelnik; tytuł używany zwyczajowo przy zwracaniu się do sikhów  
sardardźi — jak sardar; partykuła dźi podkreśla szacunek  
satjagraha — dosł. „obstawanie przy prawdzie”; metoda Gandhiego osiągnięcia celów bez uciekania się do przemocy  
singh — lew  
sird — od sardar; popularne określenie sikha  
sirdźi — określenie sikha podkreślające szacunek  
sola topi — kapelusz chroniący przed słońcem, z włókna uzyskiwanego z rośliny sola z rodziny bobowatych  
tandur — piec z gliny z otworem u góry, opalany węglem drzewnym  
thakur — od czasów feudalnych tytuł dziedzicznego władcy stosunkowo niskiej rangi, zwłaszcza niewielkich posiadłości w zachodnich Indiach  
triśul — trójząb

ullukapillu (ullu ka pillu) — wyrażenie podkreślające niezadowolenie, odpowiednik naszego „cholera”, jak też określenie kompletnego idioty, „głupi Jasio”

uttapam — placek z masy ryżowej z pomidorami i cebulą Wedanta — dosł. „koniec Wed”; nurt filozoficzny

zenana — część domu wydzielona dla kobiet, zgodnie z zasadami religii muzułmańskiej